

JENNIFER
CRUSIE

KŁAM
MI,
KŁAM

*Każda fikcja to plotka.
Truman Capote*

1

Pewnego upalnego sierpniowego popołudnia, w czwartek, Maddie Faraday sięgnęła pod siedzenie mężowskiego cadillaca i znalazła czarne koronkowe majteczki.

Nie swoje czarne koronkowe majteczki.

Aż do tej chwili dzień wydawał się jej całkiem znośny. Mikrofalówka wyzionęła wprawdzie ducha podczas próby zrobienia grzanek dla Em, ale w jasnych promieniach słońca niebieski dom wyglądał doprawdy pięknie. Temperatura nie przekraczała trzydziestu stopni, przynajmniej do południa. Przejęta Em planowała szkolne zakupy i w ogóle wszyscy byli ze wszystkiego zadowoleni. Nawet Brent, pomrukujący złowrogo z powodu brudnego samochodu, poweselał wyraźnie, kiedy Maddie zaproponowała, że umyje go i posprząta, motywowana zresztą raczej poczuciem winy niż obowiązku. W końcu może umyć samochód, ponieważ nie pracuje w czasie wakacji, a mąż owszem. No i ostatnio robiła nawet więcej, niż potrzeba, by zachowywać się przyzwoicie, ponieważ tak łatwo przychodziło jej zachowywać się nieprzyzwoicie. „Przecież ja cię nawet nie lubię - miała na końcu języka - niby dlaczego więc miałabym myć ci samochód?” Ale Brent był dobrym mężem, a przynajmniej nie był złym: nie wrzeszczał, nie przepijał pensji, nie bił żony i w ogóle nie robił tego, czemu najwyraźniej oddawali się wszyscy mężowie z rzewnych piosenek country. Grał rolę dobrego męża, więc ona mogła podjąć próbę zagrania roli dobrej żony, prawda? - Em i ja umyjemy ci samochód - obiecała, kiedy przytulił

córkę na pożegnanie. - Zadzwoń do Howiego, niech cię podwiezie do firmy.

Udało się jej zaskoczyć Brenta; pocałował ją w policzek.

Kiedy ośmioletnia Em dowiedziała się o tej obietnicy, przewróciła oczami przysłoniętymi okularami, ale potem jakby się zamyśliła na chwilę i nagle zmieniła się w małego aniołka. Po lunchu bez słowa protestu podreptała do samochodu. Coś się za tym kryło; Maddie nie miała wątpliwości, ale tymczasem sprzątała pod przednim siedzeniem mężowskiego cadillaca i podśpiewywała do wtóru Roseanne Cash.

Em, zajmująca się tylnym siedzeniem, zapełniała śmieciami kartonowe pudło.

- Zabieram je do domu - poinformowała.

Chwyliła pudło małymi rączkami i podreptała szybko ku azyłowi czystej, pogodnej, żółtej klimatyzowanej kuchni. Maddie pomachała do niej, wyjęła spod siedzenia i zgmiotła opakowanie po kanapce, nie przestając podśpiewywać Blue Moon with Heartache. Ładny dzień, ładna piosenka. Po prawej skrzyknęły drzwi; to pani Crosby wyszła na niepokalanie czysty mały ganek i mrużąc oczy, poprzez niepokalanie czysty mały ogródek spojrzała podejrzliwie na podjazd sąsiadów, a zwłaszcza na samochód Brenta, który w dzień powszedni nie powinien stać przed domem.

Pani Crosby była dziś w nastroju frywolnym, o czym świadczył dobrany do luźnych czerwonych spodni na chudych nóżkach pomarańczowy podkoszulek z napisem: „Najwspanialsza babcia świata” - dowód na to, że we Frog Point hipokryzja opłaca się od najmłodszych lat. Wzrok miała już nie ten co dwadzieścia lat temu i słuch także, ale mówić potrafiła równie dobrze jak za młodu. Nie wiadomo, kiedy skończyłoby się piekło jej autorstwa, gdyby je rozpełtała: „Na podjeździe stał samochód, wyobraźcie sobie - samochód! Zupełnie jakby ten człowiek nie pracował, nie musiał utrzymywać rodziny!”. Lepiej zapobiec nieszczęściu, pomachać ręką i krzyknąć: „Dzień dobry, właśnie myjemy samochód!” niż ponosić konsekwencje zignorowania sąsiadki.

Pani Crosby odmachnęła i wycofała się do domu, pewna, że u sąsiadów nie dzieje się nic niezwykłego. Maddie wrzuciła papierek po kanapce do torby na śmiecie, sięgnęła głębiej pod siedzenie i wyciągnęła majteczki.

Pani Crosby nie miała racji. Działo się coś niezwykłego.

Maddie opadła na siedzenie cadillaca, gapiąc się na kawałek czarnej koronki. Nie od razu zorientowała się, z czym ma do czynienia, ponieważ majteczkom nadano przedziwny fason: składały się z czterech przezroczystych trójkątów połączonych czarnymi elastycznymi paskami. W końcu jednak prawda do niej dotarła. Pomyślała: Znów...? Beth! Dzięki Bogu, Em poszła do domu. A zaraz potem: Teraz już mogę go rzucić.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiczek samochodu po lewej. Drgnęła, zgmiotła majteczki w kulkę i mocno zacisnęła dłoń.

Gloria wróciła do domu. Nie wolno dopuścić, by zajrzawszy przez wysokie drewniane ogrodzenie, jak to zawsze robiła, zobaczyła Maddie siedzącą w samochodzie męża i trzymającą w ręku koronkowe majteczki.

Roseanne zaśpiewała: My Baby Thinks He 's a Train. Maddie wyłączyła magnetofon i spróbowała uporządkować myśli.

Być może przekonanie, że Gloria Meyer potrafi z czterdziestu kroków rozpoznać sztukę damskiej bielizny, zakrawa na paranoję, lecz we Frog Point ryzyko nie opłacało. Gdyby rozpoznała, nos by się jej wydłużył, pokiwałaby dłonią i uciekła do siebie, a w godzinę później zadzwoniłaby mama Maddie dowiedzieć się, czy to prawda, co powiedziała jej Esther, kiedy oglądały kuchenki mikrofalowe w Kmarcie. Poinformowałaby córkę, iż już wszyscy we

Frog Point rozmawiają tylko o tym, że Maddie jest idiotką. „Jakie to straszne dla Emily! To wszystko moja wina, bo nie potrafiłam cię wychować” - dodałaby matka.

Spalone słońcem osiedle zasnuło się nagle mgłą i zakołysało; żołądek podszedł Maddie do gardła i tam się zatrzymał. Zdała sobie sprawę z tego, że nie oddycha, więc wciągnęła głęboko upalne powietrze, w którym unosił się kurz. Poczowała łomot krwi w skroniach.

Trzasnęły drzwi Gloria weszła do domu.

Myśl! - rozkazała sobie Maddie. Daj spokój z zawrotami głowy! Kiedy poprzednio zdarzyło się coś podobnego, rozmowa była obrzydliwa. A teraz Em jest już wystarczająco duża, żeby zrozumieć, co się dzieje.

No i mama... O Boże! Mama!

Myśl! Dość paniki.

No cóż, zawsze może zrobić jedno: dopilnować, by nigdy więcej nie wyjść na idiotkę. A gdyby tak wziąć rozwód? Skinęła głową i natychmiast poczuła się idiotką, bo kto kiwa głową sam do siebie, siedząc samotnie w samochodzie? Obiema rękami odepchnęła się od rozgrzanej jasnej skóry siedzenia, wstała i rozejrzała się dookoła. Śmieszne, świat wygląda tak normalnie. Ogrodzenie z sosnowego drewna stoi tam, gdzie zawsze, podobnie jak drewniany obłupany stolik piknikowy i niebieski poobijany rowerek Em. Wszystko jak zawsze, a przecież przed chwilą znalazła cudze majtki w samochodzie, właśnie tu, na Linden Street, pomiędzy domami Glorii Meyer i Leony Crosby, pośrodku osiedla, pośrodku tego, co było całym jej życiem.

Jeszcze raz odetchnęła głęboko, wspięła się po schodach na tylny ganek i weszła do kuchni. Mocno zatrasnęła drzwi, niechętnie domykające się w upale. Drobiazgi, drobiazgi są teraz najważniejsze - nie będzie klimatyzować ulicy tylko dlatego, że jest zbyt przejęta, by dopilnować dokładnego zamknięcia nieposłusznych drzwi.

Stanąwszy przy zlewie, próbowała pogodzić czarne koronkowe majteczki z banalną codziennością, tak jak Em umiała godzić niezwykle z codziennym, śpiewając przy „Ulicy Sezamkowej”: Coś tu jest nie tak, coś tu do niczego nie pasuje. Żółty plastikowy blat. Kuchenka mikrofalowa, która nie działa. Ściereczka w niebieską kratę. Kubeczek z podobizną Flints-tonów i resztką mleka na dnie. Naczynie po zapiekance serowej, odmakające w zlewie, brązowo nakrapiana rękawica do garnków z wyhaftowanym napisem: „Kocham cię, mamó”. Czarne koronkowe majteczki...

- Mamó...?

Maddie wepchnęła majteczki do naczynia po zapiekance, ochlapując podkoszulek brudną wodą. Odwróciła się. Emily stała w drzwiach, drobniutka w wielkim podkoszulku Marvina Marsjanina; brązowe włosy okalały buzię dziewczynki. Była tak bezradna, jak bezradne mogą być tylko ośmiolatki.

Maddie musiała oprzeć się o zlew.

- Tak, skarbie...?

Córka patrzyła na nią wielkimi oczami, powiększonymi jeszcze przez soczewki okularów.

- Co to?

- Co? - Maddie nieprzytomnie przyglądała się jej przez chwilę.

- To coś. - Em podeszła, ocierając się bokiem o żółty blat, objając o uchwyty szafek. - Coś czarnego.

- Aha. - Majteczki wypłynęły tymczasem, trzeba koniecznie wepchnąć je pod wodę. - To myjka. - Zaczęła szorować naczynie, czerpiąc otuchę z faktu, że resztki sera przylepiają się do wytwornej koronki.

- Myjka? — zaciekawiona Em zajrzała do zlewu. - Kiepska myjka. - Czarna, nasiąknięta koronka znikła w brudnej wodzie. - Zaraz ją wyrzucę. O co chodzi? Co z tymi śmieciami? Zrobiłaś porządek?

— Oczywiście. - Emily wyprostowała się dumnie. - Zaniiosłam pudło do piwnicy, żeby nikt się o nie nie potknął.

Strach ścisnął gardło Maddie. Em czegoś chciała, stąd ta wzorowa grzeczność; coś sobie planowała, a mogła planować, bo żyła w spokojnym, bezpiecznym świecie, który za chwilę miał zwalić się jej na główkę. Kolana się pod nią ugięły, trafiła jednak na kuchenne krzesło, nie przewróciła się, nie zrobiła z siebie idiotki w oczach córki.

- Mamo...?

Wyciągnęła rękę i mocno przytuliła córeczkę.

- Kocham cię - szeptała, kołyszając ją. - Bardzo cię kocham.

- Ja ciebie też. - Em odsunęła się. - Czy coś się stało?

- Nie. - Maddie zmusiła się do wypuszczenia jej z objęć. - Nic się nie stało.

- To świetnie. - Em powoli cofała się w stronę drzwi. -Aha, mamo, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, krzyknij, dobrze? Muszę jeszcze popracować nad listą szkolnych zakupów. Jest długa. W trzeciej klasie trzeba się bardzo starać.

- Oczywiście.

Emily chciała o coś poprosić, ale postanowiła chyba poczekać, aż mama znormalnieje. A nie zanosilo się na to, no, chyba że uda się jej jakoś przeżyć jeszcze kilka chwil. Najważniejsze to nie wpadać w popłoch. Skupić się na zwykłych sprawach. Opanować panikę. Co bym robiła, gdybym nie znalazła tych majtek? Umyłabym naczynie po zapiekance, wyniosłabym śmieci. Dzisiaj je wywożą. Tak, trzeba koniecznie wynieść śmieci!

Wstała i spróbowała wyjąć spod zlewu plastikowy kosz. Coś się zacięło.

Szarpnęła raz, drugi i trzeci, zaciskając zęby, i zwyciężyła po trudnej walce. Nareszcie! Maddie

odetchnęła głęboko. Wylała wodę z naczynia po zapiekance i wrzuciła do kosza ohydne, oblepione serem majtki. Czując obrzydzenie, spryskała śmieci i ręce lizolem aż płyn zaczął ściekać jej po palcach. Kichała w oparach tego środka dezynfekcyjnego. Wyniosła kosz i wrzuciła jego zawartość do

pojemnika. Powinna wprawdzie wsypywać śmieci do toreb, nim wrzuci je do pojemnika, ale dzisiejszy dzień nie sprzyjał bynajmniej pamiętaniu o takich drobiazgach. Nie, to nie był taki dzień. Zamknęła pojemnik. Usłyszała skrzypnięcie, a potem trzaśnięcie drzwi w domu po sąsiedzku. Gloria, któżby inny?

- Maddie...? - Gloria wyjrzała zza ogrodzenia, zaczesując za ucho kosmyk bardzo jasnych włosów.

Maddie zmrużyła oczy, oślepienie blaskiem słońca. Gloria -szczupła, blada, przerasowana - była nawet ładna w nieokreślony arystokratyczny sposób. Może to z nią zdradza ją Brent? Mieszka po sąsiedzku, więc nie musiałby się nawet szczególnie starać. Tak, to by do niego pasowało.

- Wiesz, chciałabym cię o coś zapytać. Co myślisz o trawie? Maddie zaciśnęła zęby.

- Niewiele myślę o trawie. - Ruszyła w kierunku domu, wiedząc, że zachowała się nieuprzejmie, lecz wcale się tym nie przejęła. Nie, właściwie trochę się przejęła, w końcu po co sprawiać Glorii przykrość, i - co z pewnością ważniejsze -dawać powód do gadania. Przechodząc obok ogrodzenia, uśmiechnęła się do niej lekko. Do diabła, musisz lepiej się starać! — skarciła się.

Ale Gloria bynajmniej się nie przejęła.

- No, wiesz... - Zmarszczyła czoło. - Nie sądzisz, że wasza jest trochę za długa? Może warto porozmawiać o tym z Brentem?

Maddie cudem powstrzymała się przed wydrapaniem jej oczu. Gloria była wprawdzie dokuczliwa jak wrzód na tyłku, ale przecież z pewnością nie spała z Brentem! Po pierwsze, na pewno nie nosi fikuśnych koronkowych majteczek, a po drugie, gdyby spała z Brentem, nie gadałaby raptem o żadnym cholernym trawniku!

- Trawa sobie sama poradzi - powiedziała Maddie.

- Naprawdę tak sądzisz? Moim zdaniem jednak powinnaś porozmawiać z Brentem.

Gloria towarzyszyła jej, idąc wzdłuż płotu, ocierała się o niego jak Em o blat w kuchni Maddie dotarła do schodów i nie zatrzymała się. Powiedziała:

- Musze już iść — i uciekła do kuchni.

Może przesadziła? Oczywiście, że przesadziła. Była gotowa zamordować Brenta, ale z jakiego powodu? Koronkowych majteczek, których obecność w samochodzie można pewnie jakoś logicznie wyjaśnić? Odnosiła wrażenie, że zachowuje się zupełnie jak w kiepskim serialu telewizyjnym, takim co to zaczyna się od nieporozumienia widocznego dla każdego idioty, potem bohaterowie spiskują, kłócą się i wrzeszczą na siebie przez pół godziny po to, by w ciągu ostatnich pięciu minut porozmawiać spokojnie, rozważnie i rozwiązać problem tuż przed emisją reklam. Śmieszne, po prostu śmieszne! Będzie

musiała wspomnieć o majteczkach, gdy tylko Brent wróci do domu.

Spokojnie, rozsądnie, bez nerwów.

„Cześć, kochanie. Powiedz, proszę, skąd te czarne koronkowe majtki wzięły się pod siedzeniem twojego samochodu?”

Uspokój się!

Myśl.

Zjedz czekoladkę.

Doskonały pomysł. Czekolada stymuluje endorfiny, które uspokajają, i zawiera kofeinę, dodającą energii. Energia jest Maddie niezbędna do zamordowania męża!

W szafkach znalazła tylko warzywa w puszkach i paczki płatków kukurydzianych, ale w zamrażalniku, za fasolą i rosołem sprzed tygodnia, spoczywał zamrożony na kamień batonik. Dzięki Bogu! Obrała go z folii odchodzącej paskami i rzuciła na plastikowy blat. Ślizgał się po nim niczym kostka lodu.

Bomba! A mikrofalówka padła... Kobieta bardziej intelektualna od Maddie dostrzegłaby w tym pewnie symbol głębokiego kryzysu życiowego. Na szczęście ona nie jest przesadnie intelektualna. Zje zamrożony batonik i już! Próbowwała odgryźć kawałek, ale równie dobrze mogłaby gryźć kamień. Wyciągnęła z szafki wielki nóż do mięsa. Batonik leżał sobie na blacie - uparty, niechętny, zionący chłodem. Zamachnęła się i zadała mu cios, ale ostrze nie imać się twardej czekolady, pozostawiło za to rysę na blacie. Brent wścieknie się, kiedy ją zobaczy. Po co się jednak martwić? Brent ostatnio wściekał się o wszystko; Maddie od tygodnia nie potrafiła jego zdaniem zrobić dobrze niczego, ale to niczego. Pomyślała o samochodzie i krew uderzyła jej do głowy. Spróbował znowu! Z Beth...? Oczami wyobraźni zobaczyła ładną rudą chichotkę. Nienawidziła chichotek. Niech diabli wezmą i ją, i mnie!

Przyłożyła czubek noża do batonika, dokładnie pośrodku. Tylko precyzja się liczy. Zacisnęła zęby i nacisnęła. Nóż zagłębił się w twardą masę i... utkwiał w niej. Batonik nie miał zamiaru rozpaść się na jadalne kawałki. Cóż za uparta bestia!

I co za pech: jedyny batonik w domu musiał oczywiście okazać się męzczyzną.

Podniosła nóż wraz z nadzianą na ostrze ofiarą - piękny, symboliczny obrazek. Podeszła do kuchenki, zapaliła gaz i zaczęła opiekować batonik. Kuchnię wypełnił zapach przypalanej czekolady.

Kto tym razem? Znow Beth czy jakaś nowa dziewczyna? Jak każda zdradzona żona, Maddie układała w myśli listę rywalek.

Gloria, sąsiadka?

Kristie, sekretarka?

Dziewczyna z kręgielni?

Ktoś, dla kogo budowali z Howiem dom?

Czy ma to zresztą jakiegokolwiek znaczenie?

Podkręciła gaz. Jeśli już coś się zdarzyło, czy ważne, z kim zdarzy się po raz drugi? Przecież zawinił tylko Brent, on jej to zrobił. Em! O Boże, Em. Byle tylko jej...

Zadzwonił telefon. Maddie warknęła groźnie, zakręciła gaz i poszła do pokoju, wciąż trzymając w dłoni nóż z nadzianym nań batonikiem.

- Halo?

- Maddie, kochanie, tu mama!

Zamknęła oczy. Czekwała, aż mama powie: „Maddie, kochanie, nie uwierzysz, co usłyszałam dziś o Brencie!”.

- Kochanie, nic ci nie jest? Dzwoniłam przed kwadrans, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Odetchnęła z wysiłkiem.

- Byłyśmy na podwórku, sprzątałyśmy samochód Brenta. - „Zgadnij, co znalazłam przy okazji tych porządków”.

Przeszła przez pokój, opadła na kanapę obitą materiałem w niebieskie kwiatki. Rozciągnęła przewód telefonu. Może, ustawić jakoś nóż ostrzem do góry? Brent wraca do domu, potyka się o kabel telefoniczny, przewraca i... Wyobraziła sobie, jak pada jego wielkie, masywne ciało; wyobraziła sobie wbijający się w nie nóż do mięsa.

- Przecież jest za gorąco, żeby sprzątać w samochodzie. Powinnaś siedzieć w domu.

- Obie siedzimy w domu. Nie zamierzamy nigdzie wychodzić. - Ścisnęła trzonek noża, aż zbielały jej palce. Odgryzła kawałek batonika. Był twardy, zimny, ale i słodki. Ssała go, czuła, jak topi się w jej rozpalonych ustach. Przełknęła, zakrzuszyła się. Spokojnie! - ostrzegła samą siebie i odetchnęła głęboko przez nos.

- Dokucza ci alergia? - zaniepokoiła się mama. - Nie.

- Wszystko jedno, weź benadryl. Ciężko oddychasz. Nie chcę ci przeszkadzać, ale chyba powinnaś wiedzieć, że lada chwila będziesz miała towarzystwo.

- Żartujesz... - Maddie odgryzła kolejny kawałek batonika.

- Skąd! To ten siostrzeniec żony szeryfa Henleya. Chodziłaś z nim do liceum.

- Siostrzeniec...?

Potrzebowała trochę czasu, żeby zrozumieć, o kim mowa. Nagle puściła nóż, ani trochę nie przejmując się batonikiem. W.S. Sturgis! Jej pierwsza prawdziwa pomyłka. Gdyby do małżeńskiej sypialni wstąpiła jako dziewczyna, nie zdarzyłoby się nic z tego, co się zdarzyło. Macała ręką po granatowej wykładzinie w poszukiwaniu batonika i z wysiłkiem próbowała udawać zblazowaną.

- Nie pamiętam.

Mama pamiętała, ale w tym nie było, oczywiście, nic dziwnego. Jeśli chodzi o obsługę bazy danych mieszkańców Frog Point, którym zdarzyło się coś spapać, mama była lepsza od komputera, musiała więc mieć całkiem spory

rekord na Stur-gisa. A teraz jej rekord na temat córki, zawsze niemały, miał stać się jeszcze większy.

- Wpadłam na niego przed komisariatem. Szukał Brenta. ale kiedy mu powiedziałam, że jesteś w domu, postanowił do ciebie zajrzeć.

- Dziękuję ci, mamu. - Gdzie ten cholerny batonik!

- Aha, Maddie, czułam się głupio. - Matka konspiracyjnie ściszyła głos. - Nie pamiętam, jak on się nazywa. Wiem, że nie Henley, jest synem siostry Anny, ale za nic nie mogę przypomnieć sobie nazwiska. W szkole był rok niżej od ciebie. Wpadał w kłopoty, bo ciągle się bił, no i tak nieostrożnie prowadził. Pamiętasz?

- Coś pamiętam.

Maddie zgarbiła się. Chciała chwilę spokojnie porozmyślać, ale nie udało się jej to. Znalazła nóż z nabitym nań batonikiem, leżący między jej stopami.

Batonik był włochaty od wykładziny, na szczęście spod kłaczeków prześwitywała czekolada.

W.S. wrócił...?

Podniosła nóż, odepchnęła się dłońmi od podłogi, wstała i zaczęła spacerować po pokoju. No proszę, a jeszcze wczoraj żałowała, że prowadzi takie nudne, spokojne życie. Ludzie, dajcie mi cofnąć się do tej wczorajszej nudy! Dostała gęsiej skórki i znów dziwnie oddychała. Próbowała oczyścić batonik, ale to trudne zadanie do wykonania jedną ręką, zwłaszcza kiedy się chodzi po pokoju.

Mama rozgrzała się i nie sposób było jej przerwać.

- Ożenił się z Sheilą Bankhead i wyprowadził z miasta, ale ona go zostawiła, a w dodatku zabrała wszystko, co miał. Nie pamiętasz? Może przyjeżdża, żeby znów się ożenić? Jak on się nazywa? Jakoś tak dziwnie...

Maddie wsunęła słuchawkę między ramię i ucho. Czyściła batonik, podczas gdy mama wymieniała jednym tchem różne nazwiska. Kiedy zamilkła, Maddie podpowiedziała usłudze:

- W.S. Sturgis.

- No właśnie! Sturgis! Lada chwila powinien być u ciebie. -Nagle głos się jej zmienił. - Jakim cudem zapamiętałaś to nazwisko?

- Tak jakoś. - Jakby mogła zapomnieć! Dobrze już, dobrze, do diabła z W.S. Sturgisem! Do diabła ze wszystkimi mężczyznami! A zwłaszcza do diabła z Brentem!

Znów rozpoczęła spacer, przeżuwając kawałki odtajalego już nieco batonika.

- W każdym razie Sheila wychodzi za Staną Sawyera. Jest głupi jak but, ale jej pewnie zależy na pieniądzach, a nie na intelekcie. Właśnie odziedziczył majątek po ciotce Becknell.

Rak. Straszne. No i Sheila jest przecież o niebo lepsza od tej Beth, z którą się spotykał.

Maddie przystanęła. Żołądek znów podszedł jej do gardła, tym razem ciężki

od czekolady. Beth... Skupiła się na swych uczuciach, szukając śladów nienawiści, którą czuła do Beth przed pięciu laty, ale po uczuciu tym nie pozostał nawet ślad. A przecież powinna być na nią wściekła, okazuje się jednak, że wprawdzie nie przepada za nią, co oczywiste, ale i nie nienawidzi jej. Nienawiść do Beth nic by tu zresztą nie pomogła. W każdym razie przed pięciu laty nie załatwiła niczego. Beth nie była problemem Maddie, choćby nawet okazało się, że to ona jest uboższa o czarne koronkowe majteczki. Problem Maddie to Brent. Powinna zostawić tego sukinsyna. Niech się żeni z Beth. Bardzo dobrze, to wyrównałoby rachunki.

Mama nie milkła. Nie umilkłaby nawet podczas końca świata, komentowałaby go na żywo, nie pomijając najdrobniejszego zjawiska. „A teraz grzesznicy trafiają do jeziora ognia. Widzę Beth, tę rudą dziwkę z naszego miasta. Jak mi się wydaje... tak, płynie żabka”. Maddie poczuła coś w rodzaju współczucia, sama zresztą czuła się tak, jakby wpadła do jeziora ognia. Tonie po raz trzeci, z Brentem przywiązany do szyi. Przyłożyła czoło do ściany. Matka zmieniła temat.

- Byłam w banku, rozmawiałam z Candace Lowery. Miała taki piękny beżowy żakiet. Kiedy się na nią patrzy, trudno uwierzyć, że jest członkiem rodziny Lowerych.

- Mamo... - W uszach Maddie dźwięczał zbiorowy głos Frog Point. „Została z nim po pierwszej zdradzie, więc czego można się po niej spodziewać? Patrząc na nią, nikt nie uwierzyłby, że należy do Martindale'ów”. Odwróciła się, oparła o ścianę plecami, podniosła nóż i zjadła kolejny kawałek batonika.

- W Reveo spotkałam Trevę. Powiedziała, że Trzeci przyjechał na miesiąc z uczelni.

- To bardzo miło. - Chyba powinna spotkać się z Trevą. Może opowiedzieć jej wszystko, co do tej pory rozważała tylko w myślach? Treva obróciłaby w żart kłopoty Maddie, a później obie śmiałyby się do rozpuku. Nie widziały się przecież od tak dawna. Od zeszłego tygodnia!

- Nie wiedziałaś? Nie wiedziałaś, że syn twojej najlepszej przyjaciółki przyjechał do domu? - Matka podniosła głos.

- Byliśmy zajęci. - Właściwie nie potrafiła powiedzieć, dlaczego nie spotyka się z Trevą, ale w tej chwili nie bardzo ją to obchodziło. Postanowiła nie myśleć, skupiła się na resztkach batonika. Biorąc pod uwagę, co przeszedł, był to naprawdę doskonały batonik.

- Zajęci? Czym?

W tym momencie rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi. Maddie uderzyła tyłem głowy w ścianę. W.S.!

- ...Przecież są wakacje. Nauczycielki nie mają nic do roboty - kontynuowała matka.

Dzwonek. Trzeba oderwać się od ściany.

- Mamo, ktoś dzwoni. Muszę iść.

- To ten Sturgis. Chyba lepiej, żebyś porozmawiała z nim na ganku. Wiesz, jak ludzie gadają. Sprawdź, czy to on. Poczekam przy aparacie.

- Nie, mam. Muszę kończyć. Kocham cię.

Mama mówiła coś jeszcze, ale Maddie odłożyła słuchawkę. Przy jej szczęściu może w progu ujrzeć seryjnego mordercę, a na pogrzebie mama będzie opowiadać wszystkim: „Mówiłam jej, żeby nie odkładała słuchawki, ale ona nigdy mnie nie słuchała”. Wszystko da się spartolić tak, by pamięć o spartoleniu przetrwała życie, i zdaje się, że otwarcie drzwi frontowych zapowiadało się na coś szczególnego.

W.S. Sturgis nie był Maddie do niczego potrzebny. W.S. Sturgis nie był jej do niczego potrzebny szczególnie w tej chwili. Za każdym bowiem razem, kiedy z Brentem coś poszło nie tak, przypominała sobie W.S. Sturgisa. Mogło być gorzej! -powiedziała sobie stanowczo. Mogłam wyjść za W.S. Sturgisa. Tylko że gorzej już chyba nie mogło być. W.S. nie pozostawił po sobie aż tak złych wspomnień, a poza tym minęło dwadzieścia lat od czasu, gdy zwabił ją na tylne siedzenie samochodu.

Maddie chętnie zaryzykowałaby przypuszczenie, że przez te lata mógł się tylko poprawić. Brent wprawdzie nie dał rady, ale przecież nie oznacza to wcale, że nikomu nie może się udać.

Kolejny dzwonek. Przeszła przez biały hol i szarpnięciem otworzyła drzwi. Rzeczywiście, w progu, oświetlony promieniami słońca, stał w niedbalej pozie W.S. Sturgis, którego w jej życie wprowadziła mama i złowrogi los. Wyglądał lepiej, niż miał do tego prawo. Po dwudziestu latach!

- Cześć, Maddie - powiedział.

Maddie w myślach porównała siedemnastoletniego W.S. ze stojącym przed nią trzydziestosiedmiolatkiem. Na jego twarzy pojawiły się bruzdy, wydawał się wyższy i z pewnością stał się masywniejszy, szerszy w ramionach okrytych koszulą w niebieskie paski, ale ciemne włosy nadal miał gęste i nieco potargane, brwi nadal schodziły mu się nad nosem, przez co wyglądał jak chłopiec na posyłki w służbie szatana. Jego ciemne, płonące oczy nie zmieniły się nic a nic, podobnie jak szeroki, pogodny, niewinny jak sam grzech uśmiech. Nie sposób było pomylić go z kimkolwiek. W.S. Sturgis - buntownik bez sensu.

- Maddie...? Twoja mama powiedziała, że mogę wpaść.

Głos miał miły, uśmiechał się po staremu, ale te jego ciemne oczy stały się jakieś takie... uważne. Dlaczego tak się jej przygląda? Przecież nie zrobiła mu krzywdy. Nie zrobiła, choć rzuciła go po jednej nocy na tylnym siedzeniu jego samochodu. Dwadzieścia lat to z całą pewnością wystarczająco długi czas, żeby zapomnieć o takich drobiazgach. Cofnął się o krok. Maddie groźnie zmarszczyła brwi. Pewnie nie zapomniał. W takim dniu jak ten Maddie wcale by się nie zdziwiła, gdyby ujrzała, że jakaś dziewczynka, którą popchnęła w przedszkolnej piaskownicy, idzie do niej w odwiedzinach, uzbrojona w granat.

W.S. wciągnął głowę w ramiona. Przyglądał się jej uważnie; znów był siedemnastolatkiem, niepewnym siebie i przez to bardzo niebezpiecznym. Dobrze pamiętała, że W.S. w chwili słabości był groźny dla całego świata.

- Kiepski dzień, co? - spytał.

Bomba! I on wie o Brencie. Poskromić go spojrzeniem!

- Ciekawe, skąd ci to przyszło do głowy?

- Cholernie wielki ten nóż.

Rzeczywiście, zapomniała o nożu! Trzymała go w lewej dłoni, ostrzem w górę.

- Miałam ochotę na batonik.

W.S. Sturgis skinął głową, ale nie wyglądał na przekonanego.

- Ach tak. To wszystko wyjaśnia. Nie chcę ci przeszkadzać. - Znów spojrzął na nóż. - Brent w domu?

Paranoja! Pół godziny temu żyła sobie jak zwykle, a teraz jak gdyby nigdy nic gawędzi z W.S. Sturgisem, który chce porozmawiać z tym wypierdkiem, jej mężem.

- Wiesz, mama powiedziała mi, że chcesz mnie odwiedzić, a ja nie mogłam w to uwierzyć.

- Och, powinnaś jej wierzyć, oczywiście. - Jąkał się; nóż miał z tym chyba coś wspólnego. - A skoro mówimy o Brencie...

Do diabła z Brentem! Machnęła nożem, by skupić na sobie uwagę gościa.

- Słuchaj, W.S., jestem zajęta...

Zabrał jej broń, tak błyskawicznie i zgrabnie, że pozostało jej tylko gapić się na pustą rękę.

- Przepraszam cię, Maddie. Minęło trochę czasu, ale z tego, co wiem, nadal możesz czuć nieprzepartą ochotę zadźga-nia mnie.

Zszedł z ganku i aż po rękojeść wbił kuchenne narzędzie w rabatkę przy schodach. Figurę miał równie dobrą jak za czasów szkolnych, a sądząc po stanie dżinsów, nosił je od szkolnych czasów. Podeszedł do niej i znów się uśmiechnął. Przysięgłaby, że jego uśmiech też się nie zmienił od szkolnych czasów - był równie uroczy jak wówczas i równie wyraźnie zwiastował kłopoty. Nie mógł jej nie poruszyć. Było w nim jednak coś, co kazało odpowiedzieć uśmiechem, jeśli nawet człowiek wiedział, że popełnia poważny błąd.

Rozluźniła się, udało się jej nawet zmniejszyć napięcie mięśni ramion.

- Przepraszam. Rzeczywiście miałam kiepski dzień.

Uśmiechnął się ciepło, ze zrozumieniem. Przypomniała sobie, dlaczego tamtego feralnego dnia dała się zaprosić do jego samochodu.

- To dlatego, że zostałam we Frog Point. Tu każdy dzień jest kiepski. A przy okazji... ślicznie wyglądasz.

Maddie przyjrzała się swemu różowemu podkoszulkowi, pochłapanemu wodą ze zlewu.

- Wiesz, W.S., istnieje coś takiego jak przesadny komplement

- Nie, mówię szczerze. Naprawdę wyglądasz wspaniale, jak w liceum. Czegoś od niej chciał. Musiał czegoś chcieć. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł przecież spojrzeć na nią i po

wiedzieć: „wyglądasz jak w liceum”, nie po dwudziestu latach, złych i dobrych, i tych spędzonych z Brentem. Ścierpła.

- Dzięki. Więc czego chcesz? - spytała chłodno. W.S. zdziwił się, ale on nigdy nie dziwił się długo.

- Dobrze. Skończyliśmy przyjacielskie pogaduszki, udało mi się rozbroić cię, a zatem chyba już mogę bezpiecznie spytać, czy zastałem Brenta.

Brent... Sukinsyn! Gdziekolwiek się obróci, trafia na niego. Obrzuciła gościa spojrzeniem doprawdy złowrogim.

- Nie. Jestem zajęta. Spróbuj złapać go w firmie. Próbowała zatrzaskać mu drzwi przed nosem, ale W.S.

trzymał stopę w miejscu strategicznym.

- Zarzekaj chwilę. W firmie go nie ma.

Stali teraz bliżej siebie niż przed chwilą i Maddie zorientowała się, że przez te dwadzieścia lat W.S. nie tylko urósł i zmężniał. Był także bardziej prawdziwy, bardziej rzeczywisty; czarnymi oczami patrzył na świat pewniej niż wówczas. Dorósł, niech go wszyscy diabli! Wydoroślał!

Szkoda, że Brentowi nie przydarzyło się to szczęście. Westchnęła głęboko.

- Słuchaj, nikt mi nie płaci za opiekę nad moim mężem, rozumiesz? Nie wiem, gdzie jest. Miło było cię zobaczyć i w ogóle, ale muszę już iść.

- Nie wierzę, po prostu nie wierzę. - Nagle powiało od niego chłodem i Maddie cofnęła się o krok. - Cuda się nie zdarzają, nikomu nie uda się zniknąć bez śladu w tym mieście. Jesteś żoną Brenta. Musisz wiedzieć, gdzie go znajdzie.

Tego już doprawdy za wiele! Uczestnik jej pierwszej kłęski miłosnej komentuje drugą taką kłęskę.

- Posłuchaj, nie wiem, gdzie on jest! A teraz wyhoś się.

- Dobrze, oczywiście! - W.S. wyciągnął ręce jakby w geście obronnym. - Chcę tylko z nim porozmawiać. Nie wpuścisz mnie do domu?

- Nie, nie wpuszczę cię do domu. - Odsunęła nogą jego stopę i zatrzaskała drzwi. Sama się zdziwiła, że tak gładko jej poszło i że jest taka wściekła. Miała w życiu dwóch mężczyzn i obaj zawiedli ją przy wydatnej pomocy samochodu. Do diabła z mmi!

- Maddie...? - powiedział zza drzwi W.S.

- Nie teraz. Nigdy. Idź sobie. - Nasłuchiwała pod drzwiami, chcąc upewnić się, że intruz odszedł. Podskoczyła, kiedy usłyszała za plecami:

- Mamo...?

Em trzymała w dłoni listę szkolnych zakupów.

- Słyszałam, że z kimś rozmawiałaś. Kto to był? Dziwnie wyglądasz.

Em... Gdy tylko Maddie usiłowała zapomnieć o tym, co się dzieje, gdy tylko mogła udawać, że nic się nie stało i nawet żartować, pojawiała się Emily. Nie,

sama sobie nie poradzi.

- Nikt - powiedziała. - Chodźmy odwiedzić ciocię Trewę i Mel.

- Dobrze. - Em przyglądała się matce bardzo uważnie.

W dziesięć minut później Maddie stała przed drzwiami swej najlepszej przyjaciółki, z wysiłkiem udając bez troskę. Treva patrzyła na nią nieco nieprzytomnie, zupełnie zaskoczona.

- Mel jest w pokoju zabaw - poinformowała Em, nie spuszczać wzroku z twarzy Maddie. - Poszukaj jej. - A kiedy dziewczynka odeszła, złapała przyjaciółkę za ramię. - Co ci się stało? Wyglądasz okropnie. Czy to przeze mnie? Nie dzwoniłam, wiem, przepraszam. Co się dzieje?

- Brent mnie zdradza. Muszę go rzucić. Rozwieść się. - Trudniej było wypowiedzieć te okropne słowa, niż sądziła. Cofnęła się i z wymiotowała batonik w krzaki.

- O, cholera! - jęknęła Treva.

Jako prawie dojrzały, prawie rozsądny, prawie dorosły mężczyzna, W.S. Sturgis zdawał sobie, oczywiście, sprawę z tego, że uczucie, które narodziło się, gdy był w piątej klasie podstawówki i na jego nieszczęście odrodziło z monstrualną wręcz siłą w liceum, nie powinno mieć żadnego wpływu na jego obecne życie. Tylko tak jakoś nagle uświadomił sobie, że oto udało ma się przejechać niemal całą Linden Street i nadal nie wie, dokąd jedzie i po co. bo przed oczami ma obraz Maddie w mokrym podkoszulku. To tyle, jeśli chodzi o prawie dojrzałość.

Biorąc pod uwagę reputację, jaką cieszy się we Frog Point, zjechał do krawężnika i zatrzymał kabriolet; nie poprawiłby jej, gdyby przejechał jakiegoś porządnego obywatela, snując lubieżne myśli na temat zamężnej kobiety. Dodałby tylko kolejny punkt do długiej listy rzeczy, które „ten W.S. zrobił, by zawstydzić Henry'ego i złamać serce biednej Annie”.

Stukał palcami po kierownicy, próbując jednocześnie zagonić nieposłuszne myśli tam, skąd nie mogłyby się już wydostać. Maddie Martindale, taka piękna na progu domu... ciemne, wijące się włosy, zmysłowe ciało i bystre spojrzenie... Nie, nie, jeśli chodzi o niego, Maddie Martindale to historia i nic oprócz historii. W końcu przecież jedynie rozmawiał z nią na ganku jej domu - czego tu się wstydzic? Nie zrobił nic nagan-

nego, no i na szczęście nie prowadzi już w stanie nieprzytomnego zachwycenia. Jest dorosły, spłacił samochód, ma wszelkie prawo być tu, gdzie jest, i rozmawiać z każdym, z kim ma ochotę rozmawiać.

Przyjrzał się starym domom niknącym w perspektywie ulicy, pokazującym jej ślepe oczy ciemnych okien. Osunął się na siedzeniu, przygnieciony wspomnieniami drzew ustrojonych papierem toaletowym, okien zasmarowanych mydłem, rur wydechowych zatkanych ziemniakami, korków wybuchających w skrzynkach na listy. Potrząsnął głową. Przecież od dwudziestu lat nie spłatał we Frog Point żadnego figla. Nikt nie jest w stanie

niczego mu zarzucić. Może nawet spokojnie opuścić samochód. Zaciągnął ręczny hamulec, wysiadł i zatrzasnął drzwiczki. Echo poniosło się cichą uliczką.

Oparł się o kabriolet. Zapalił. Rozejrzył się dookoła, czując dziwne wrażenie, że zaraz policjant zatrzyma go za to wykroczenie, zanim uprzytomnił sobie, że ma trzydzieści siedem lat i że prawo pozwala mu na palenie w miejscu publicznym.

Na ganek domu po drugiej stronie ulicy wyszła kobieta. Spojrzała na niego podejrzliwie. Z dusznego wnętrza wywabił ją niewątpliwie widok samochodu zaparkowanego na jej ulicy, i to teraz, kiedy wszyscy uczciwi mężczyźni powinni ciężko pracować. Wydawała się W.S. znajoma, ale nie od razu ją poznał, nie od razu zdał sobie sprawę, dlaczego przystanął właśnie tu. Pani Banister! Kiedy kończył liceum, sporo czasu spędził w samochodzie, właśnie w tym miejscu, uwodząc jej córkę Lindę. Sukces przeszedł jego najśmielsze oczekiwania, więc odruchowo wrócił tu, ofiara ślepego instynktu. Wyprostował się i przyjacielsko pomachał do kochanej pani Banister. Niech wie, że W.S. to nie żaden zboczeniec lub, co gorsza, jakiś włóczęga, sztachający się marychą i gotowy lada chwila zedrzeć jej z głowy lokówki. Pani Banister w popłochu wycofała się na z góry upatrzone pozycje, trzaskając drzwiami.

Może jednak wzbudził w niej podejrzenia, a może po prostu poznała go, nawet po tylu latach? Nie obeszło go to przesadnie, interesował się wyłącznie Maddie.

Kiedy otworzyła mu drzwi, wyglądała na nieszczęśliwą i zagubioną, a potem zrobiła się szorstka, nieprzyjemna... W niczym nie przypominała uśmiechniętej dziewczyny, którą była w latach szkolnych. Ilekroć w ostatnim czasie wspominał Maddie, pamiętał ją przede wszystkim jako dziewczynę pogodną. Dziś nie była bynajmniej pogodna. Ktoś ją skrzywdził. W.S. domyślał się, kto to mógł być i na myśl o tym kimś aż skręcał się w duchu. Ktoś powinien zapłacić za jej los. W.S. nie miał wątpliwości kto. Brent Faraday.

Na szczęście wiedział też, jak zmusić Brenta Faradaya do zapłaty. Tak się dziwnie złożyło, że broni dostarczyła mu była żona.

- Potrzebuję cię - powiedziała, kiedy w zeszłym tygodniu rozmawiali przez telefon. - Potrzebuję księgowego, któremu ufam. Przecież możesz przedłużyć sobie trochę weekend, w tej twojej firmie wszyscy cię kochają, nie będą mieli nic przeciwko krótkiemu urlopowi. Byłeś kiepskim mężem, ale księgowym jesteś wspaniałym.

Po takim wstępie nie miał, oczywiście, problemu z powiedzeniem „nie”, kiedy wyjaśniła mu, że obawia się, iż jej narzeczony jest oszukiwany; nie miał problemu z powtórzeniem „nie”, kiedy się rozplakała; nie miał problemu obstawać przy „nie”, kiedy Sheila obiecała zrezygnować z alimentów -w końcu po zawarciu małżeństwa ze Stanem i tak musiałyby z nich

zrezygnować. Potem jednak powiedziała coś, co zachwiało jego decyzją.

- W.S., błagam. Przecież proszę cię tylko o to, żebyś tam pojechał, zajrzał w księgi i powiedział mi, czy Brent Faraday nie próbuje przypadkiem oszukać Stana, oferując mu dwadzieścia pięć procent udziałów w firmie za dwieście osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Wystarczy: „tak, kantuje” albo: „nie, nie kantuje”.

- Pojadę - zgodził się natychmiast.

Zaciągnął się papierosem z nadzieją, że nikotyna przytłumi choć trochę siłę wspomnień.

- Słuchaj, tam pewnie nie dzieje się nic złego - powiedziała jeszcze Sheila. - W końcu mówimy przecież o Brennie Faradayu...

W.S. od razu wiedział, że z pewnością dzieje się coś złego. Bardziej niż Frog Point nienawidził tylko Brenta Faradaya, który mógłby pozwolić sobie nawet na morderstwo, nie przestając być oczkiem w głowie mieszkańców miasta, który ożenił się z Maddie, a tymczasem W.S. raz za razem dokopywano za drobiazgi, nic, tylko drobiazgi.

Dzięki Bogu, wszystko to już przeszłość. Teraz jest przyzwoitym obywatelem, ma przyzwoite dochody, a przed sobą przyzwoitą przyszłość. Może uda mu się złapać na czymś Brenta? Nie ma co się okłamywać, W.S. marzył o tym, żeby przyłapać na czymś Brenta, ale nie musi się martwić tym, że jego na czymś przyłapią.

Zgasił papierosa i właśnie miał wsiąść do samochodu, kiedy za mustangiem stanął radiowóz policji, a funkcjonariusz, który wysiadł z radiowozu, wolnym krokiem ruszył w jego kierunku.

2

W.S. Sturgis ciężko oparł się o drzwiczki mustanga.

- To chyba żart?

- Nie. — Policjant zsunął kapelusz na tył głowy, ujawniając gęstwą rudych włosów na głowie i piegów na twarzy. Uśmiechnął się szeroko. - Pani Banister zameldowała, że jakiś podejrzany mężczyzna gapi się na jej dom. Henry kazał mi sprawdzić, czy to rzeczywiście ty. Nie ma to jak dawne dobre czasy, nie?

- Vince, to były dawne straszne czasy. Może udało ci się o tym zapomnieć, ale przecież ty wówczas uciekałeś przed policjantami, a nie reprezentowałeś ich. Kiedy Henry cię zadudnił, powiedziałem mu, że cierpi na starczą sklerozę.

- Ależ skąd! - zaprotestował Vince. - Postąpił bardzo mądrze. Zdawał sobie sprawę, że wiem wszystko o przestępczości nieletnich we Frog Point, ponieważ większość przestępstw popełniłem tu jako nieletnia w twoim towarzystwie. Zatrudnił więc eksperta. Dobra, WS. odwróć się teraz, oprzyj o samochód i rozstaw nogi. Musze cię ob-szukać.

- Odwal się! Jezu, wystarczy przypiąć łobuzom znaczek, a zaraz zachoruje na manie wielkości. Henry naprawdę powiedział ci że chodzi o mnie?

- Przecież wiesz że on ma rentgen w oczach i uszach. No i pomógł mu trochę fakt, że akurat jesteś jedynym obcym w mieście. Moim zdaniem znacznie zmniejsza to możliwość popełnienia błędu. Daj papierosa.

- Chcesz mnie aresztować za próbę przekupienia funkcyj-nariusza policji? Zapal własnego.

- Nie mam. - Pogodny do tej pory Vince wyraźnie zmar-kotniał. - Donna kazała mi rzucić palenie.

- Załatwiła cię, chłopie.

- Mam dwójkę dzieci. Nie chcę obdarzyć ich rakiem płuc z drugiej ręki. - Vince nagle uśmiechnął się; nigdy nie potrafił długo się martwić. - Ale dzieciaki są teraz w parku, kantując przy softballu, więc twoja fajka chyba im nie zaszkodzi.

W.S. podał mu paczkę papierosów.

- Kantują, co? Miło wiedzieć, że wychowujesz je według najlepszych zasad.

- Po prostu przekazuję im to, czego mnie nauczyłeś. -Vince zaciągnął się głęboko. - Ale dobre! Dlaczego wszystko, co szkodzi człowiekowi, tak świetnie smakuje?

W.S. pomyślał o Maddie.

- To dlatego, że Bóg ma kiepskie poczucie humoru.

- Cieszę się, że wróciłeś. - Vince oddał mu paczkę. - Niewielu ludzi we Frog Point żartuje na temat Boga. Oczywiście, jeśli teraz trafi cię grom z jasnego nieba, dostaniesz tylko to, na co zasłużyłeś.

- Jeśli coś kiedyś mnie trafi, to z pewnością tylko tu. Przekroczyłem granice miasta i Bóg zaraz narysował mi na czole tarczę strzelniczą.

- Jasne, jesteś niewinny i tak dalej. - Vince wyprostował się. - Dobra, wracam do roboty. W końcu tylko ja powstrzymuję we Frog Point falę przestępczości. Jeśli doczekasz ósmej wieczorem, wpadnij do Bowl-a-Ramy. Postawię ci piwo.

W.S. już miał powiedzieć, co sądzi o Bowl-a-Ramie, pomarańczowym plastiku i butach do kręgli, ale zdążył się powstrzymać. W końcu lubił Vince'a. Miło byłoby znowu napić się z nim i pogadać.

No i wiedział on o Frog Point prawie tyle co Henry.

- Będę - obiecał.

- Świetnie. Przynies papierosy. - Vince zatrzymał się przy radiowozie. - Postaraj się w nic nie wpakować, proszę. Nie chciałbym cię aresztować.

- Tylko spróbuj!

Vince roześmiał się, wsiadł i odjechał. No i proszę, jak fajnie wrócić do domu. Ludzie zmieniają się, dorastają, żenią, mają dzieci, stają się szanowanymi obywatelami, tylko on ciągle wystawiony jest na ostrzał. Najstarszy nieletni przestępca w Ohio. Co za zaszczyt! Może powinien podpalić dom pani Banister? Przez czystą złośliwość, nic więcej. Potem poszedłby do Maddie, przypomnieć jej dawne czasy. "Zapomnij o Brencie - powiedziałyby. - Pamiętasz, co było na tylnym siedzeniu?"

Tyle że dla niej nie było to miłe wspomnienie. Dla niego zresztą też. Następnego dnia podszedł do niej w szatni, chciał porozmawiać, ale ona odwróciła się plecami.

W.S. skrzywił się, rozpamiętując to upokorzenie, bolesne nawet po dwudziestu latach. Był głupi, głupi, głupi. Kto to śpiewał o krzywdach doznanych w latach szkolnych, pozostających żywymi aż do śmierci? Jak to w ogóle możliwe, że zadzwonił do drzwi, zobaczył ją na progu - wściekłą, o dwadzieścia lat starszą, o kilka kilogramów cięższą, i znów poczuł ten jakże znajomy ból? Znowu poczuł się mały i głupi i znowu jej pragnął, bardzo jej pragnął. To duma - odpowiedział sam sobie. Duma, która każe mu myśleć: „Hej, nie wyszło, zgoda, byłem dzieckiem. Daj mi jeszcze jedną szansę, dziś jestem lepszy, o wiele lepszy, naprawdę”. Ale przecież był pewien, że gdyby zdarzył się cud, że gdyby dostał drugą szansę i tak wszystko by spieprzył tylko dlatego, że Maddie to Maddie.

Cud jednak nie miał się zdarzyć, jemu zresztą wcale nie zależało na cudzie. W końcu przeszłość jest przeszłością wszędzie z wyjątkiem Frog Point, gdzie to, co zdarzyło się dwadzieścia lat temu, nadal jest ekscytującą nowością, gdzie Brent Faraday nadal jest „chłopcem, który odniesie sukces”, Maddie Martindale nadal jest „miłą dziewczyną”, a on sam to wciąż „ten Sturgis, który jest ciężarem dla wuja i ciotki”. Niech to wszyscy diabli!

W.S. wyprostował się, zaciągnął się dymem i spojrzał na niedopałek.

Wychylił się z samochodu, by wyrzucić go na ulicę, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Pewnie wsadziliby go za kratki za śmiecenie.

I dobrze. Pstryknął papierosem... i zamarł, bo niedopałek wyładował na suchym liściu. Oczami wyobraźni W.S. zobaczył natychmiast, jak liść płonie, jak zajmują się od niego inne, jak płomień wzbija się w niebo, rozlewa przez ulicę, ogarniając domy i samochody, jak wybuchają butle gazowe, jak poczerńnięte drewniane ściany walą się na płonące trawniki... A potem wiatr rozwiewa gęste kłęby dymu, ukazując jego przerażonym oczom winowajcy Henry'ego, przyglądającego mu się, jak zawsze, z lekkim obrzydzeniem. Niedopałek zgasł. W.S. ruszył, postanawiając, że wyjedzie z Frog Point jak najszybciej, a przynajmniej nim zwariuje nieodwracalnie.

- Już nigdy nie spojrzę na te twoje krzaczkę tak jak kiedyś -poskarżyła się Maddie, siedząca w kuchni Trevy i pijąca podgrzaną w mikrofalówce herbatę z cytryną. Kuchnia była wspaniała i cudownie bałaganiarska, pełna

miedzianych garnków, dziecięcych rysunków przyczepionych magnesikami do lodówki oraz jaskrawych pojemników ozdobionych napisami „Nowość!” i „Ekstrachrupkie!”

Howie przebudował ją, wszędzie była surowa cegła, lśniące drewno i mosiądz, ale mimo wszystko była to kuchnia Trevy, więc poszczególne elementy mieszały się, a bałaganem tym rządziła Treva, stojąca teraz nad miską pełną sera, wznoszącą się dumnie na drewnianym kłocu. Głowa pani tego królestwa okryta była krótkimi blond lokami, znakomicie pasującymi do tego nieładu. Sprawiała wrażenie dmuchawca przywianego ta przez podmuch wiatru.

- Jestem pewna, że i one nigdy nie spojrzą na ciebie tak jak kiedyś. - Treva powiedziała te słowa wysokim, napiętym głosem. Wyciągnęła z miski łyżkę oblepioną półpłynnym serem, wzięła z talerza grubą rurkę makaronu i spróbowała ją napęlić. Ręce jej drżały, pchnęła za mocno, makaron rozpadł się, a ser pacnął z powrotem do miski, opryskując jej skąpy podkoszulek na cienkich ramiączkach, ozdobiony czerwonymi paskami.

- Cholera! - Próbowała zetrzeć grudki sera ścierką. - Cho--le-ra!

- Co ty właściwie robisz z tym makaronem? - Maddie grała na czas, jakby zależało jej na tym, żeby uniknąć tematu, który ją gnębił. - Gotujesz...? To do ciebie niepodobne.

- Muszę. - Treva rzuciła ścierkę i wzięła kolejny kawałek makaronu. - Wiesz, czasami po prostu musisz gotować.

- Ja nie muszę. I ty też nie. Co się dzieje?

- Co się dzieje? - Przyjaciółka pogroziła jej rurką makaronu. - Rozwódzisz się i mnie pytasz, co się dzieje?

- Rozważam możliwość rozwodu. Powinnam to przemyśleć.

- Nawet nie próbuj. - Treva podniosła łyżkę i wróciła do pracy. Uspokajała się, mówiąc, ręce prawie jej już nie drżały. -Rozwiedź się z tym sukinsynem. Zawsze go nienawidziłam.

Maddie drgnęła, zaskoczona.

- Hej, to naprawdę ty? Byłaś przecież moją pierwszą druhną. Czekałaś szesnaście lat, żeby powiedzieć mi, co myślisz

o Brennie?

- Wtedy go kochałaś. To nie był dobry czas na prawdę. -Treva przerwała swe zajęcie, sięgnęła do lodówki, wyjęła kawałek żółtego sera i wręczyła go przyjaciółce. - Skoro skończyłaś rzygać, możesz mi pomóc. Tarka jest w drugiej szufladzie, za tobą.

- Coś tu jest nie tak... - orzekła Maddie.

Treva upuściła łyżkę. Oparła się na drewnianym kłocu.

- Owszem być może zwariowałam. Mam strasznie dużo na głowie. Ale cóż - nienawidzę go. No dobrze, koniec tej gry na zwłokę. Co on tym razem zmalował?

Maddie wyjęła tarkę i miskę. Zabrała się do tarcia sera, przy czym

przynajmniej nie musiała patrzeć przyjaciółce w oczy.

- Znalazłam czarne koronkowe majteczki dziwnego fasonu pod siedzeniem jego samochodu. Trochę to mną wstrząsnęło.

- No tak... Mną także trochę by wstrząsnęło. Koronkowe majteczki, co? - Treva przygryzła wargę. - Beth...?

- Nie wiem. - Maddie zaciekle tarła ser. - Nie było na nich naszywki z nazwiskiem. Ale to chyba nawet mnie nie obchodzi. To znaczy... Beth przecież niczego mi nie obiecywała, w odróżnieniu od mojego męża. Gdybym była dobrym człowiekiem, powinnam żałować tej biduli.

- Ach, daj spokój! - Treva nadal pracowała nad nadziewaniem makaronu. - Wiem, że jesteś dobrą dziewczynką, ale to już chyba przesada.

- W porządku, nie lubię jej. Spała z moim mężem i nadal najchętniej bym na nią pluła przy każdym spotkaniu. Ale przecież i dla niej było to straszne. Myślała, że dobrze robi, przychodząc i mówiąc mi o wszystkim, a tymczasem ta szczerość zemściła się głównie na niej. - Przerwała tarcie sera.

Przypomniała sobie bladą, nieruchomą twarz Beth, gdy Brent oznajmił jej, że wszystko skończone. - Moim zdaniem naprawdę go kochała.

Treva prychnęła pogardliwie, a Maddie wróciła do tarcia sera. To dobre zajęcie - nic lepiej nie znieczula. Trzeba uważać na palce, trzeba obracać ser, a w dodatku otrzymuje się ser tarty. Nieczęsto bywa tak, by po środkach znieczulających pozostawał użyteczny produkt uboczny. Od tej pory zawsze będzie w trudnych chwilach tarła ser!

- Przydałby ci się jeden z tych plastikowych pojemników, które mają tarkę w wieczku - powiedziała. - Robi je Rubbermaid. A może Tupperware?

- Mam tyle rubbermaidów i tupperware'ów, że muszę kupować nowe, żeby mieć w co schować stare. Prawdopodobnie umrę na zatrucie tlenkiem fluoru. Daj zresztą temu spokój i oświeć mnie: naprawdę masz zamiar rozwieść się z tym draniem?

Maddie drgnęła.

- Może po prostu go zabiję? Tylko że pewnie i to bym spartoliła. A gdyby tak wynająć kogoś? Chłopiec roznoszący gazety też go nienawidzi. To stwarza pewne możliwości.

- A ty go naprawdę nienawidzisz? - naciskała Treva. Czy nienawidzi Brenta? Wściekała się na niego za wpędzenie

rodziny w bagno, ale nie znaczyło to przecież, że go nienawidzi.

Nie była pewna, czy mąż obchodzi ją aż tak, by można było mówić o nienawiści. Niechęć to przecież coś zupełnie innego.

- Jeśli mnie zdradził, owszem, nienawidzę - powiedziała w końcu. - Jeśli mnie nie zdradził, to po prostu go nie lubię. To przez tę jego zdradę chciałabym go widzieć w samochodzie zgniecionym przez ciężarówkę na autostradzie.

- Niezły pomysł. Gdybyśmy potrafiły odróżnić przewód hamulcowy od węża ogrodowego, mogłybyśmy go przeciąć.

- Na wszelki wypadek możemy przeciąć oba. - Maddie ucieszyła się ze

zmiany tematu. - Tyle że przy okazji zrujnowałybyśmy życie Glorii. Ją obchodzą wyłącznie trawniki.

- Słyszałam, że Gloria się rozwodzi. Zadzwoń do matki i dowiedz się czemu. Jeśli ja wiem o rozwodzie, twoja matka ma pewnie fotokopie pozwu. Maddie skrzywiła się.

- Ze mną też tak będzie, prawda? Nie kończące się rozmowy telefoniczne, ludzie nadzwyczaj sympatyczni, głaszczący Em po główce, nauczyciele tłumaczący, że rozumieją, dlaczego gorzej się uczy, dzieci wypytujące ją na przerwie, jak się czuje i o co właściwie chodzi... Treva spojrzała na nią z pogardą.

- Próbujesz mnie poinformować, że zostaniesz z tym śmieciem ze względu na dziecko? Daj spokój!

- A ty zabrałaś Mel Howiemu?

Treva zamarła z łyżką w dłoni. Kostki palców miała bielsze od sera.

- Zrobiłabym wszystko, by chronić dzieci, ale za nic nie zostałabym z kimś takim jak Brent.

- A mama? Wiem, wiem, powiesz, że to drobiazg.

- Chyba kpisz! Drzę na samą myśl o tym, że musiałabym kiedyś wyjaśniać coś twojej matce, ale jeśli sądzisz, że uda ci się utrzymać cokolwiek w tajemnicy przed nią, to jesteś w błędzie. Ta kobieta to prawdziwa agencja wywiadowcza.

- Teściowa za mną nie przepada. Będzie mnie oczerniać, gdzie się da... a nawet gdzie się nie da.

- To dlatego, że jesteś od niej młodsza. Twoja wina.

- Pozostaje jeszcze cała reszta miasta. - Maddie wróciła do tarcia sera. Było to zajęcie znacznie miłsze niż myślenie o przyszłości. - Frog Point będzie miało się nad kim po-znęcać.

- Nad tobą? Nie ma mowy. - Pogarda nie pasowała do pogodnej twarzy Trevy. - Nikt nie ośmielił się powiedzieć niczego złego o Maddie Martindale, „ozdobie naszego miasta”. Nawet taka jędza jak Helena Faraday! Maddie zeszywniała. W głosie przyjaciółki nigdy dotąd nie słyszała takiego jadu.

- Co...?

- Przepraszam. Ale... gdybyś nie była moją najlepszą przyjaciółką, trudno byłoby mi cię znieść. Szczerze mówiąc, te twoje rewelacje to dla mnie duża ulga.

Maddie gapiła się na nią z otwartymi ustami. Nie miała zielonego pojęcia, co powinna powiedzieć; nic nie przychodziło jej do głowy. Co się stało Trevie? Trevie zawsze pogodnej, która śmiała się, żartowała i gotowa była pomóc w każdej sytuacji, nie żądając w zamian niczego. Trevie, która nigdy nie atakowała tak zajadle i w dodatku bez ostrzeżenia.

- No... cóż - powiedziała w końcu. - Cieszę się, że moje nieszczęście okazało się dla kogoś korzystne.

Treva opuściła łyżkę, obeszła kloc i usiadła naprzeciw przyjaciółki.

- Przepraszam. Naprawdę bardzo cię przepraszam. Zapomnij, że to powiedziałam. Wszystko będzie dobrze.

Maddie spojrzała na nią tępo.

- No bo przecież nie zrobiłaś nic złego, prawda? Cholera, wręcz przeciwnie, jesteś doskonałą żoną i matką, a poza rym co kogo obchodzi twoje życie? Jezu, Maddie, nie możesz żyć, myśląc tylko o tym, jak sprawić przyjemność całemu miastu. Chociaż, prawdę mówiąc, do tej pory żyłaś chyba właśnie jedynie po to. Nieskazitelną w myśli, mowie i czy-nie.

- Co do myślim to nie wiem. - Maddie jeszcze nie opa-nowała szoku, spowodowanego słowami Trevy. - Czasami wyobrażam sobie, że stoję w centrum, przed bankiem, i krzyczę: „Pieprzyć was! Pieprzyć! Pieprzyć!” tylko po to, żeby zobaczyć, co zrobią ludzie. Albo biegnę nago główną ulicą. Naprawdę o tym myślę, choć wiem, że nigdy się na to nie zdobęde.

- Dużo zapłacałabym, żeby zobaczyć coś takiego. To znaczy nie zobaczyć ciebie, ale wiele bym dała, by móc przyjrzeć się wówczas twarzom ludzi.

- To tylko marzenia. - Maddie odłożyła tarkę. Była śmiertelnie poważna. - Po co robić coś głupiego, bezsensownego i żenującego? Pomyśl o mojej rodzinie. Wiesz, naprawdę łatwiej postępować właściwie.

— Nie wszystkim. - Treva zerwała się z krzesła, aż zaskrzypiała podłoga. - Niektórym łatwiej postępować niewłaściwie... choć płacą za to do końca życia.

Maddie patrzyła na nią, otrząsnąwszy się z szoku.

- Chodzi ci o Trzeciego? Przecież dziś już nikt nie pamięta, że dwadzieścia lat temu musiałaś wyjść za mąż.

- Przed maturą? - Treva wróciła do pracy. - O tym nikt nigdy nie zapomni, nawet gdybym wynalazła lekarstwo na raka. Już to słyszę: „Wiesz, kto odkrył lekarstwo na raka? Ta Treva Hanes, która musiała wyjść za mąż przed maturą”. W tym mieście nikt niczego nie zapomina. - Odsunęła na bok miskę z makaronem, zaczęła porządkować kuchenny blat. - Ale na ciebie nic nie mają. Ty zawsze postępowałaś właściwie. Wyszłaś za mąż za ukochanego ze szkoły i nigdy nawet nie spojrzałaś na innego mężczyznę. Ludzie wzniosą ci kiedyś świątynię.

- Słuchaj, o co ci chodzi? Zachowujesz się bardzo dziwnie. Oczywiście, bardzo chciałabym ci pomóc, ale to moje życie się wali, i to ja potrzebuję twojej pomocy.

- Fakt. - Treva przygryzła wargę. - Jasne. Przepraszam. Miałam parszywy tydzień, a teraz jeszcze i to. Po prostu mam dość. Mam dość wszystkiego.

- Masz także gotową kolację. - Maddie wskazała miskę makaronu i to, co pozostało ze sporego kawałka parmezanu.

- Nie, zetrzyj go do końca.

- Jeszcze ci nie dość? Treva otworzyła lodówkę i teatralnym gestem wskazała jej

wnętrze. Maddie wyciągnęła szyję i ujrzała pięć wielkich mich makaronu nadziewanego serem. Patrzyła na nie równie zdziwiona co przerażona.

- Słuchaj, musimy porozmawiać - wykrztusiła w końcu. - Co się z tobą dzieje?

- To ty masz mówić, nie ja. Ja mam tylko mnóstwo makaronu, ale ty - cudze

koronkowe majtki. - Treva z rozmachem zatrzasnęła lodówkę. - Co masz

zamiar zrobić? Cokolwiek to będzie, pomogę ci.

Maddie już otworzyła usta, by zadać kolejne pytanie... i zamknęła je bez

słowa. Treva patrzyła na nią nieruchomym, kamiennym spojrzeniem;

zwyciężała dzięki niemu w wielu sporach, w które obfitowało jej życie.

Cokolwiek działo się z nią w tej chwili, nie miało być przedmiotem rozmowy i koniec. Poddała się więc i wróciła do swoich problemów.

- Porozmawiam z Brentem, kiedy wróci do domu. Przypuszczam, że będzie to ostra rozmowa. Ale tak naprawdę nie wiem, co zrobić. Nie mam dowodu.

Wyrzuciłam te cholerne majtki!

Treva spojrzała w niebo.

- Przecież nie potrzebujesz dowodu. Chodzi o rozwód, a nie o trupa w szafie.

Trap. Takie krótkie, miłe słowo... w odróżnieniu od słowa „rozwód”.

- Cierpliwości. Dzień się jeszcze nie skończył.

- Poprosiłaś o pieska? - spytała Mel.

- Nie. - Em westchnęła. - To nie jest dobra chwila.

- No to słuchaj. Dowiedziałam się czegoś wspaniałego o Jasonie Norrisie.

Siedziały w domku na drzewie, odziedziczonym przez Mel po starszym bracie. Em oparła się o jedną ze starych niebieskich poduszek kanapy, które wyzwoliły z niewoli dużego pokoju. Nie była pewna, czy powinna zwierzyć się z całego swojego strachu i z wszystkich obaw nawet najlepszej przyjaciółce. Mel wyglądała dokładnie tak jak jej mama - chuda, jasnowłosa,

piegowata, ładna - ale umysł wyćwiczony miała na Nintendo i filmach sensacyjnych, jakie tylko dało się wypożyczyć. Nikt w całym mieście nie rozumiałby kłopotów Em lepiej niż Mel, tyle że Em nie była pewna, czy w ogóle chce o nich rozmawiać. Ujęte w słowa staną się prawdziwe.

- Dierdre White powiedziała mi, że Richelle Tandy oszalała na jego punkcie, ale Jason w ogóle się nią nie interesuje.

Em zaś nie interesowała się Jasonem, przynajmniej w tej chwili.

- Powiedział mi, że wszystkie dziewczynki mają wszy. Mel szalenie się tym zaciekała.

- Słuchaj, przecież to wspaniale! On z tobą rozmawia! Mama twierdzi, że chłopcy nie porozumiewają się werbalnie, jeśli więc wysiła się na coś poza chrząknięciem to już dobry znak!

Em potrząsnęła głową.

- Próbował ganiać mnie wokół jeziora z żabą w ręku. Zupełnie jakbym bała się żab. Jest głupi.

- A moim zdaniem jest całkiem fajny. - Mel przyjrzała się uważnie

przyjaciółce. - Nic ci się nie stało? W zeszłym tygodniu również uważałaś, że Jason jest fajny.

Em zrezygnowała z zachowania kłopotów dla siebie.

- Coś jest nie tak u mnie w domu - oznajmiła.

- Rodzice się pokłócili? - Mel wzruszyła ramionami. -Przecież to nic wielkiego.

Moi kłócą się bez przerwy.

- Naprawdę? - Em zapomniała na chwilę o swoich kłopotach. Spróbowała wyobrazić sobie wujka Howiego podnoszącego głos. Nie, nic z tego. Trudno jej było nawet wyobrazić sobie wujka spierającego się z ciocią Trewą, ba, kogokolwiek spierającego się z ciocią Trewą,

Mel poszperała w starej walizce, służącej im za kufer skarbów, i znalazła torebkę kruchych ciasteczek. Wzięła jedno, poczęstowała przyjaciółkę.

- Jasne. W zeszłym tygodniu chodziło o trawnik. Oczywiście, nie wiedzieli, że słuchałam.

- Trawniki?

Em zajrzała do torebki. Żadnych robali. Ciasteczka były wprawdzie stare i miękkie, ale w domku na drzewie, i bez robali, smakowały wysmienicie.

Przez okno wpadł powiew ciepłego wiatru, wiał też przez szczeliny między deskami, które przybijał Trzeci, gdy dopiero zaczynał przygodę z ciesiołką. I to było strasznie fajne. Każdy potrafi tak przybić deski, żeby się ze sobą stykały, Trzeci zaś przybił je w taki sposób, że domek stał się klimatyzowany. Mel przełknęła ciasteczko.

- Tak, o trawniki. - Wzięła kolejne ciasteczko i zabrała się do zlizywania lukru.

- Tata wrócił do domu i powiedział: „Jezu, Trewa, przecież w lecie nie uczysz. Spodziewasz się, że będę ciął tę cholerną trawę po całym dniu ciężkiej pracy?”. -

Mówiła grubym głosem, kręcąc głową. - A mama na to: „Daj spokój. Nie mam zamiaru paść na atak serca przy koszeniu trawy. Chcesz mieć skoszoną trawę, to ją sobie koś!”. - Tym razem głos Mel był gniewny, piskliwy.

- Byli wściekli? - zainteresowała się Em.

- Eee tam. - Mel opadła na poduszkę i wpakowała sobie ciasteczko do ust, przez co mówiła dość niewyraźnie. - Kiedy są zmęczeni, to sobie dogadują, potem któreś mówi coś głupiego, a potem robią t o.

- Aha... — Em zdziwiła się. Mel skinęła głową.

- To było tak, że mama powiedziała: „Dobrze, w porządku, przytnę trawę, ale jeśli się spoczę, to masz przechlapane, bo dzisiaj mam zamiar tylko raz rozgrzać się i spociec”. A tata na to: „Tak? No to może ja przytnę tę trawę później. Dlaczego nie mieliśmy o tym porozmawiać”. Mama na to: „No, nie wiem, ta trawa jest przecież bardzo wysoka”. Wtedy tata złapał ją i powiedział: „Zapraszam do gabinetu na rozmowę”. Mama roześmiała się, poszli do pokoju i zrobili to. — Zjadła kolejne ciasteczko. - Próbowałam podsłuchiwać pod drzwiami, ale Trzeci mnie złapał. Em uśmiechnęła się. Na chwilę zapomniała o kłopotach.

- I co powiedział?

- Że jeśli będę podsłuchiwała, to przestanę rosnać i że będzie to tylko moja wina, jeśli będę karlicą. A potem zabrał mnie na lody.

- Kocham go - westchnęła Em.

- Może być także twoim bratem. Ale teraz powiedz, o co kłócą się twoi rodzice.

Em odłożyła nie dojedzone ciasteczko.

- Oni się nie kłócą. Oni wcale ze sobą nie rozmawiają. -Zamyśliła się na chwilę. - Wydaje mi się, że nawet tego nie robią.

Mel potrząsnęła głową.

- Tego nie możesz wiedzieć. Przecież mogą być naprawdę sprytni i czekać, aż zaśniesz. Twoi rodzice są dorośli. Moi są niedojrzali. - Dumnie uniosła głowę i stała się nagle tak podobna do cioci Trevy, że Em po prostu musiała się uśmiechnąć. Potem, jako osoba bardzo praktyczna, Mel wróciła do najważniejszej sprawy. - Więc jeśli się nie kłócą, to w czym kłopot?

- Właściwie oni nic nie robią. - Nie potrafiła wytłumaczyć, co ją martwi. - Tata gra w kręgle, kręci się po podwórku, chodzi do pracy. Mama krząta się w domu, przygotowuje się do powrotu do szkoły, rozmawia z babcią i twoją mamą, odwiedza moją zwariowaną prababcie w domu opieki, ale... ale oni nic nie robią razem! - Poprawiła okulary i obrzuciła przyjaciółkę wyzywającym spojrzeniem. - Wiem, że nie brzmi to wcale tak źle, ale wygląda fatalnie! Dzieje się coś złego. A dziś mama naprawdę się zdenerwowała. Nie wiem, co się stało, ale jest bardzo nieszczęśliwa.

- Naprawdę? - zdziwiła się Mel. - To oni... no... na przykład... nie przytulają się, nie żartują, nie udają, że się biją, a potem śmieją i... w ogóle?

Em próbowała wyobrazić sobie rodziców postępujących w ten sposób.

Brzmiało to za pięknie, żeby było prawdziwe -mieć rodziców, którzy się śmieją? Nie potrafiła wyobrazić sobie czegoś takiego. Mama śmiała się do mej i do cioci Trevy, ale chyba nigdy do taty. Tata w ogóle się nie śmiał.

- Nie - odparła. - Nigdy.

Mel spoważniała.

- No to może się rozwiodą?

- Nie! - Em odepchnęła od siebie paczkę ciasteczek. Nagle rozboleł ją brzuch. - Nie, nie, nie! Przecież się nie kłócą, nigdy się nie kłócili! Tylko nie rozwód!

- Mogłabyś zamieszkać z nami. Mama i tata naprawdę cię kochają. Mogłabyś zostać moją siostrą.

- Oni się n i e rozwodzą!

Mel siedziała nieruchomo, zapatrzona w przestrzeń. Rozmyślała. Em obserwowała ją w napięciu, powtarzając sobie, że przecież to ona ma zawsze dobre pomysły, więc teraz też coś wykombinuje i znów wszystko będzie dobrze.

- Możesz ich szpiegować - powiedziała w końcu Mel. - Nie!

Mel miała dużo dobrych pomysłów, ale czasami jej dobre pomysły okazywały się nie najlepsza i dlatego to Em podejmowała zazwyczaj ostateczne decyzje. Mel porzuciła swój pomysł i rozmyślała dalej.

- Mam! Dzisiaj prześpisz się u nas. Twoi rodzice będą mieli trochę czasu dla siebie. Moja mama twierdzi, że trochę wolnego czasu nieraz ratowało jej małżeństwo. Wysłała mnie do dziadków i kiedyś, gdy nie wiedziała, że podsłuchuję, powiedziała: "Dziękuję ci, Irmo. Właśnie ratujesz małżeństwo swojego syna".

- Przecież już u was spałam. Często u was śpię.

- Ale czy wtedy też wydawało ci się, że coś jest nie tak? Em rozmyślała intensywnie. Źle zaczęło się dziać w zeszłym tygodniu. Rodzice nigdy nie śmiali się i nie rozmawiali ze sobą, ale zaczęło jej to przeszkadzać dopiero w zeszłym tygodniu, kiedy w domu zapanował chłód i napięcie. Lecz tak naprawdę przestraszyła się dopiero dziś, kiedy zobaczyła twarz mamy wysiadającej z samochodu ojca.

- Nic. Wtedy było dobrze - powiedział Mel wstała.

- No to bomba. Idziemy ich zapytać.

Spotkanie z Trevą nie było chyba najlepszym pomysłem -myślała Maddie. Treva przygotowała właśnie kolejny garnek makaronu nadziewanego serem. Utartego parmezanu miały tyle, że wystarczyłoby do zasypania całego Frog Point. Teraz uparła się, by przeszukać rzeczy Brenta - może uda się zdobyć jakieś dowody.

- Nie. Nie będziemy przeszukiwały jego rzeczy. Wykluczone!

- A właśnie, że tak! - Treva okazała się entuzjastką własnego pomysłu. - Kiedy znajdziemy jakieś listy i tak dalej, dowiemy się przynajmniej, o co chodzi.

- Listy? - Maddie spojrzała na nią, bezbrzeżnie zdumiona. - Brent nie podniesie słuchawki telefonu, jeśli nie musi, a ty mi mówisz o listach miłosnych?

- Jak nie listy, to coś innego. Będzie w domu? Jaki dziś dzień? Aha, czwartek.

- Nie. Gra w kręgle z ojcem.

Treva ucieszyła się, co skłoniło Maddie do podjęcia dodatkowych środków ostrożności. Czyżby przyjaciółka uznała tę katastrofę za okazję do dobrej zabawy?

- Wspaniale! Przeszukamy jego rzeczy dziś wieczorem. I mam jeszcze jeden pomysł.

Maddie przestraszyła się nie na żarty.

- Powinnaś go zdradzić, by wyrównać rachunki. Mam nawet odpowiedniego kandydata. Pamiętasz tego chłopaka, który łąził za tobą, gdy byłyśmy w ostatniej klasie liceum? Bez przerwy z kimś się bił. Był przystojny w jakiś taki... nerwowy sposób. Pamiętasz go?

- Nie. - Maddie spojrzała na nią ze złością, ale Treva nie pofatygowała się zauważyć jej spojrzenia.

- Przecież musisz! Miał śliczne oczy i taki wielki stary samochód z tylnym

siedzeniem wielkości sypialni. - Przerwała dla zwiększenia efektu. - W.S. Sturgis - dodała.

Maddie oparła głowę na rękach. Bardzo starała się wyglądać na obojętną.

- Przez mgłę. Pamiętam go jak przez mgłę.

- Widziałam go dziś z Sheilą Bankhead przed komisariatem. Wygląda znacznie lepiej. Już nie jest taki niewyraźny. Oczywiście, nadal sprawia wrażenie dość nerwowego, ale u trzy-dziesięcioletka to nawet interesujące.

- Siedmio...

- Co?

- Ma trzydzieści siedem lat. Jest rok młodszy od nas. Co jednak W.S. ma wspólnego z moim rozwodem? - Tym razem jakoś łatwiej jej było wypowiedzieć to okropne słowo.

- Przecież mówię! Odpłać Brentowi, zdradź go. Ze Sturgisem.

- Mam się kochać z W.S.?! - Maddie zaczęła się nieopanowanie śmiać.

Treva czekała cierpliwie i wreszcie udało się jej wtrącić:

- A czemu nie?

Maddie spojrzała jej prosto w oczy.

- Ponieważ nigdy nie popełniam dwukrotnie tego samego błędu.

- Kochałaś się z W.S. Strugisem !? Trzasnęły kuchenne drzwi. Mel zawołała:

- Mamo? Czy...

- Wyjdź! — Treva nawet nie odwróciła głowy. Odczekała, aż drzwi trzasną znowu i dopiero wówczas pochyliła się patrząc przyjaciółce wprost w oczy.

— Kochałaś się z W.S.. i nic mi nie powiedziałaś?

- Jakoś się nie złożyło. Nikt zresztą się nie dowiedział. — Maddie potarła czoło. Próbowwała nie myśleć o tamtej nocy. Na tylnym siedzeniu wielkiego samochodu śmiała się, żartowała, było jej ciepło i przytulnie. A mimo to noc z W.S. była błędem wówczas i byłaby błędem dziś.

Treva nie mogła się uspokoić.

- Nieprawdopodobne! Byłam pewna, że nie zdołałabyś ukryć przede mną sekretu przez dwadzieścia minut, a ty nie wspomniałaś o tym przez dwadzieścia lat. Twoja matka również się nie dowiedziała?

- Dzięki Bogu. nie. Nikomu nie powiedziałam. Masz pojęcie, co by się działo, gdyby ludzie się dowiedzieli?

- Aha... - mruknęła Treva. - On również utrzymał to w tajemnicy. Musiało go to sporo kosztować.

- Jakoś o tym nie pomyślałam... - zdziwiła się Maddie. -Rzeczywiście, zachował się bardzo przyzwoicie. - Próbowwała przypomnieć sobie, co ją wówczas najbardziej zajmowało. -Przez kilka tygodni bałam się wręcz przeraźliwie, ale nikt nic nie powiedział, miałam okres, i w ogóle mnóstwo się działo. Kończyłam szkołę, zaraz potem pobraliście się z Ho-wiem, krążyło mnóstwo plotek, zdawaliśmy maturę; wszystko działo się naraz. Skończyłam szkołę, w rok później W.S. zdał maturę i wyjechał, i właściwie to o wszystkim

zapomniałam, aż do jego dzisiejszego przyjazdu. Powiedział, że chce rozmawiać z Brentem.

- Z Brentem ? O czym?

Maddie spojrzała na nią niezbyt przytomnie.

- Wiesz, nawet nie spytałam. Nic mnie to nie obchodzi. - Odetchnęła głęboko i zadała pytanie, na które odpowiedzi bardzo »sę obawiała:

- Treva, powiedz szczerze, czy wszyscy już o tym wiedzą? Czy dowiem się jako ostatnia? Nie mogę już...

Do kuchni zajrzała Em. Maddie zmusiła się do uśmiechu.

- Co, kochanie?

- Nie, nic takiego. - Dziewczynka podeszła do stołu. Z bliska widać było, że buzię ma napiętą. - Ciociu Trevo, czy mogę zostać u was na noc? Chcę porównać nasze listy rzeczy potrzebnych do szkoły, może będziemy mogli czymś się podzielić, to oszczędzimy wam wydatków.

- Jesteś taka oszczędna - odparła Treva, nie odrywając wzroku od Maddie. - Oczywiście, że możesz zostać.

- Świetnie. - Mała praktycznie uciekła z kuchni; nim drzwi się zamknęły, słyhać było, jak krzyczy: - Mel...!

- Nie będzie ci przeszkadzać? Może macie już jakieś plany?

Nie chciałabym psuć wam wieczoru.

- Daj spokój! Musisz mieć przecież warunki do nawrzesz-czenia na Brenta. Jeśli nie będę mogła, Trzeci się dziewczynkami zaopiekuje. To najmniejszy z twoich kłopotów.

- Em to największy z moich kłopotów. - Maddie zgarbiła się. - Straszliwie boję się, co będzie, kiedy ona dowie się o tym, o czym wiedzą wszyscy.

- Ja tam nie wiem, co wiedzą wszyscy, ale wiem, co wiem. Pytałaś, więc ci odpowiem: nie, nie wiedziałam, póki mi nie powiedziałaś. - Treva wzięła ją za rękę. - Spróbuj na chwilę zapomnieć o córce. Czego chcesz? Co byś zrobiła, gdyby nie ona?

- Pewnie bym rzuciła Brenta. Tylko że jest jeszcze moja matka, która musiałaby stawić czoło pierwszemu rozwodowi w rodzinie Martindale'ów. I rodzice Brenta, którzy za nic nie daliby mi spokoju. On zresztą z pewnością nie zgodzi się na rozwód; ostatnim razem zrobił koszmarną awanturę...

Treva mocniej ścisnęła jej dłonie.

- Czy możesz zapomnieć o tych wszystkich ludziach, choćby na sekundę? Czego chcesz ty?

- Nie mam pojęcia. - Maddie poczuła się nagle winna jakiejś strasznej zbrodni. Nie myśleć o innych? - Chyba bardzo chciałabym nie zależeć od nikogo.

Chyba nawet bym to pokochała. Chciałabym robić, co mi się spodoba, nie przejmować się sąsiadami... To byłoby wprost cudowne. Mówiłam ci, że czasami zdarza mi się marzyć o tym, żeby stanąć nago przed bankiem? No więc mam jeszcze jedno marzenie: mieszkać samotnie na tropikalnej wyspie, mieć mnóstwo czekolady, karmelowej i z orzechami, i kompletne wydania

wszystkich pisarzy. I żadnych sąsiadów!

- Ze mną bywało podobnie, z tym że nie marzyłam o książkach, ale o Harrisonie Fordzie. Ale pewnego dnia spytałam samą siebie: a po co mi on? Gdyby go nie było, nie musiałabym robić tych wszystkich pieprzonych przysiadów!

- Mnie najbardziej podoba się samotność. Nie musiałabym nikogo uszczęśliwiać i zamartwiać się, że nie zawsze mi się to udaje. Chciałabym być sama, na wieki wieków!

- Na wieki wieków? - Treva uniosła brew. - Dwa tygodnie może i tak, ale zaraz stęskniłabym się za rodziną. Nawet za Howiem.

- Dla mnie musiałyby to być na wieki wieków. Tylko że to nieprawda, bo umarłabym bez Em. A poza tym to przecież tylko marzenia. Mieszkam w tym mieście, matka zasłużyła sobie chyba na to, żebym się kiedyś o nią troszczyła, Em z pewnością wymaga mojej opieki, Brentowi obiecałam, że będę z nim na dobre i złe, więc lepiej zapomnijmy o tropikalnej wyspie. - Potrząsnęła głową.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, czego bym chciała. Pomyślmy lepiej, co mogłabym dostać.

- Przede wszystkim mogłabyś dostać rozwód. Mogłabyś rzucić męża.

- A jeśli mnie nie zdradził? Jeśli te majteczki to jakieś głupie nieporozumienie? Przecież istnieje taka możliwość.

Treva wzniosła oczy do nieba.

- Doskonale. Ale porozmawiaj z nim. Tyle przynajmniej możesz zrobić. Porozmawiać z Brentem. Powiedzieć mu: „Brent, chcę od ciebie odejść”. Albo: „Brent, zabieram Em i odchodzę”. Pięć lat życia wymazane kilkoma słowami. Taka rozmowa odbyła się już raz i było to okropne przeżycie. Poczula, że łzy napływają jej do oczu, zacisnęła zęby. Nie będzie płakać! Nie ma zamiaru siedzieć w kuchni swej najlepszej przyjaciółki i robić z siebie żalostnej idiotki. Wstała, musiała wyjść, nim rozpłacze się w głoś.

- Masz rację. Wiem, że masz rację. Porozmawiam z nim. Ale teraz muszę już iść.

- Słusznie. Jasne. Skoro musisz...? Ale czy jesteś pewna, że dobrze się czujesz?

- Czuję się po prostu wspaniale - powiedziała Maddie i poszła poszukać córki.

Upał był tak ogromny, że idąc przez Linden Street, Maddie miała wrażenie, iż gorące powietrze przygnia ją do ziemi. Przebyła Linden Street chyba z milion razy. Mieszkała z matką

w wielkim, żółtym domostwie, stojącym dwie przecznice od domu Trevy, a Treva zawsze mieszkała tu, gdzie teraz - rodzice oddali swój dom jej i Howiemu, a sami przeprowadzili się do mieszkania w osiedlu nad rzeką. Jak daleko Maddie sięgała pamięcią, Linden Street oznaczała dla niej krótki bieg do Trevy na rozmowę, na plotki; dziś był to po prostu odrobinę dłuższy spacer. Ulica oznaczała także Brenta, który woził ją do szkoły i ze szkoły, na prywatki i z prywatek, Brenta, który kupił jej dom właśnie tu, żeby była

blisko Trevy, Brenta, który przecież potrafił być słodki, a teraz zapewne ją zdradzał.

Treva spytała: „Nienawidzisz go?”. Oczywiście, można kogoś kochać i nienawidzić jednocześnie. Już kiedyś kochała Brenta i nienawidziła - zaraz po sprawie z Beth, teraz jednak czuła tylko wściekłość, strach i gniew tak silny, że mogłaby zabić. Po miłości, która mogła przecież zwyciężyć wściekłość i strach, i gniew, nie pozostało nic. Ale małżeństwo...? Ku swemu przerażeniu Maddie odkryła nagle, że nie potrafi powstrzymać łez. Em nie może zobaczyć jej płaczącej!

- Ścigamy się do samochodu! - krzyknęła i pobiegła przed siebie. Opadła zdyszana na siedzenie starej hondy civic... Nie płakała.

Em zatrzasnęła drzwiczki od strony pasażera w chwilę potem.

- Oszukiwałaś! - powiedziała. - Pierwsza zaczęłaś biec. Dokąd jedziemy? Nie mogłybyśmy wziąć samochodu taty? Jest lepszy.

Nigdy w życiu nie wsiądę do tego samochodu, pomyślała Maddie, a głośno odrzekła:

- Ten nam wystarczy. Pojedziemy zobaczyć się z tatą, dobrze?

Em zeszywniała.

- Dobrze.

Maddie wyjechała tyłem z podjazdu. Em kulila się, nie chcąc, by ktoś ją zobaczył w tym starym gracie.

Honda była trofeum jedynej małżeńskiej wojny, którą Maddie udało się wygrać. Przypomniała sobie o tym i mocniej zacisnęła ręce na kierownicy.

Brent nalegał, żeby się pozbyła tego samochodu, kupiła nowy; kiedyś przysłał nawet pomoc drogową do odholowania civica, ale ona w ostatniej chwili rzuciła się na maskę i pomoc drogową odjechała z niczym.

- Kocham ten samochód - powiedziała Brentowi. - Kupiłam go za własne pieniądze, zawsze zapala i doskonale go rozumiem. Żeby tak poznać samochód, trzeba się go uczyć latami. Chcę, by mnie w nim pogrzebali.

Brent przestał się jej wówczas czepiać, ale patrzył na nią jak na wariatkę.

Może dlatego ją zdradza? Wstydzi się żony jeżdżącej starym samochodem, a w dodatku jeszcze stukniętej.

Bo zdradza ją z pewnością. W rozmowie z Trevą mogła argumentować tak i siak, ale te majtki! Treva miała rację, wznosząc oczy do nieba.

Włączyła radio nastawione na stację nadającą muzykę country i ruszyła w drogę, przy końcu której czekał ją mąż, ale

i koniec małżeństwa. Słuchała „Mavericks” i próbowała nie myśleć o

rozpadającym się życiu. Ludzie uśmiechali się do niej i machali dłońmi, ona machała do nich. Czuła się lubiana przez mieszkańców Frog Point. Była miła.

Taka właśnie była: miła. To bardzo ważne być miłą. Była być może tylko miłą osobą, niczym więcej, ale to zawsze coś. Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl: może boi się rozwodu, ponieważ miłe dziewczyny się nie rozwodzą?

Jeśli tak, to zachowuje się strasznie głupio.

Postanowiła pomyśleć o przyjemniejszych rzeczach. O tej porze roku, późnym latem, stare Frog Point wyglądało przepięknie z ulicami ocienionymi rosnącymi wiązami i wiekowymi, zielonymi dębami, których gałęzie stykały się ponad ulicą. Miała wrażenie, że drzewa chronią ją przed złem. Korzenie wysadziły szare płyty chodnikowe, tworząc wzgórki, porośnięte w zacienionych miejscach gęstym mchem.

Kiedy Maddie była małą dziewczynką, wraz z Treva udawała, że te wzgórki to prawdziwe góry. Obydwie opowiadały o nich fantastyczne historie, zjeżdżały po nich na rolkach, grały w klasy. Em i Mel powtarzały te zabawy matek, bezpieczne, wolne od zagrożeń czyhających na małe dziewczynki w wielkich miastach.

Mimo wszystkich wad - a imię ich legion - Frog Point było jej domem. Otulało ją przez trzydzieści osiem lat, grzało i... obserwowało każdy jej ruch. Gdyby nie Brent, potrafiłaby z tym żyć. Będzie zresztą musiała z tym żyć, choćby nawet u boku Brenta. Jest przecież nieodłączną częścią Frog Point.

Piosenka „Mavericks” skończyła się. Patsy Cline śpiewała teraz Walking After Midnight. Miała problem ze swoim chłopcem, co było bardzo pocieszające, bo skoro nawet dziewczyna z taką klasą ma kłopoty z mężczyznami, to może Maddie nie jest jednak kompletną idiotką?

Maddie we wstecznym lusterku ujrzała nagle starego, brązowego datsuna, który ostro zahamował, w ostatniej chwili unikając uderzenia w bagażnik hondy. Był starszy nawet od

samochodu Maddie, wyglądał tak staro, że mógł należeć do pokolenia wozów, które W.S. Sturgis rozbijał w dniach niechlubnej młodości.

Dlaczego przypomniał się jej raptem młody W.S. — bezczelny, pełen niewyczerpanej energii? Poczuliła nagły żal, że nie można cofnąć czasu do tej chwili, w której popełniła pierwszą poważną pomyłkę życiową, i wybrać właśnie W.S., ale to oznaczałoby, że nie urodziłaby się Em, a Em to przecież dla Maddie najważniejsza osoba na świecie. Przegnała więc wspomnienie W.S. i skupiła się na prowadzeniu samochodu drogą wiodącą wprost do męża.

Znow zapisały opony. Datsun kolejny raz podjechał za blisko, zahamował w ostatniej chwili, omal nie wpadając na zablokowane koła w tył hondy.

- Co ty wyrabiasz! - rzuciła gniewnie w stronę widocznego we wstecznym lusterku datsuna, który naraz gwałtownie skręcił w jedną z bocznych uliczek, najwyraźniej zdegustowany tym, że zwykła honda tak się przed nim wlecze. No cóż, nikt nie spieszy się na spotkanie nieszczęścia, zwłaszcza jeśli na siedzeniu pasażera siedzi dziecko. Maddie westchnęła ciężko. Em będzie cierpieć, będzie bardzo cierpieć, i to wydawało się jej najgorsze w całej tej historii. Tego nigdy Brentowi nie wybaczy. Skrzywdził córeczkę, która tak bardzo go kochała.

Ale nie mogła przecież wybaczyć również tego, co zrobił j e j... Jadąc powoli w miłym cieniu drzew, przestała walczyć z gniewem, pozwoliła, by na dobre

ją ogarnął. Brent znów zrobił z niej idiotkę! Jeśli go rzuci, wyciągną się ku niej opiekuńcze ramiona miasta i przygarną ją z niewątpliwą sympatią, choć również z niewątpliwym wyrzutem, a ona będzie musiała w nie paść, całkowicie obnażona.

Treva ma rację - trzeba znaleźć jakiś sposób na wyrównanie rachunków. Znów wspomniała W.S., lecz tym razem w postaci, w jakiej pojawił się na ganku jej domu - wysoki, szeroki w ramionach, uśmiechnięty, spokojny i zrównoważony, a w dodatku zaskakująco przystojny.

Nie! Wszystko, byle nie to! Miała dość kłopotów; nie powinna dokładać do nich jeszcze i zdrady. Zdrada jest złem, jasne, ale Maddie znacznie większą wagę przykładała do faktu, że zdrada to znakomita pożywka do plotek. A przecież myśl o zemście była taka pociągająca... Dziwne, bo ponętna okazała się raptem także myśl o osłupieniu miasta na wieść o tym, że Maddie to niemiała dziewczynka. To tylko myśl, oczywiście, bo wcielenie jej w życie... o, to już zupełnie co innego.

W radio Patsy zastąpiła Reba McEntire. Maddie skrzyła za róg... i zatrzymała się dobre trzy metry przed znakiem „Stop”. Na drodze siedział bowiem mały łaciaty kundel, drapiący się w ucho i kompletnie lekceważący samochód.

- Nie spiesz się - powiedziała.

Em roześmiała się wesoło, ale nieoczekiwanie spoważniała. Spojrzała na matkę zza okularów wielkimi oczami, wcielenie niewinności.

- Założę się, że ten piesek nie ma domu. Może powinniśmy się nim zaopiekować?

Maddie znad kierownicy przyjrzała się psu. Dostrzegła na jego szyi znaczek, podzwaniający w rytm ruchów łapki.

- To czyjś pies. Zapewne właśnie wraca do domu.

- Dobrze. Więc może moglibyśmy kupić innego pieska, zapewnić mu dom To byłby dobry uczynek.

Maddie opadła na oparcie siedzenia. Mały aniołek wystawia rachunek, pomyślała. Nareszcie.

- W porządku. O to ci chodzi? Em zrezygnowała z podchodów.

- Chcę mieć pieska. Bardzo chcę. Byłam grzeczna. I zbliżają się moje urodziny.

- Urodziny masz w styczniu. Em jęknęła.

- Wiedziałam, że to powiesz! Mamo, posłuchaj, potrzebujemy psa. Naprawdę.

- To z powodu "Frasiera", prawda? Em, tylko w telewizji wszystko wygląda tak łatwo. Psem trzeba się opiekować i...

- Przecież wiem. - W głosie Em zabrzmiała satysfakcja tak głęboka, iż Maddie zorientowała się, że córka zapędziła ją w kozi róg. Tymczasem Em odwróciła się i sięgnęła na tylne siedzenie. Leżała tam kupka książek ze szkolnej biblioteki. -Starannie się przygotowałam.

Owszem, starannie: Jak troszczyć się o szczeniaka, Opieka nad psem, Nie ma złych psów i jeszcze kilka pozycji.

- Przeczytałam wszystkie, nawet te trudne. Potrafię opiekować się psem.

Proszę.

W pierwszym odruchu Maddie postanowiła powiedzieć „nie”. Już i tak miała za dużo kłopotów. Ale Em patrzyła na nią tak błagalnie. Nie do pogardzenia była też myśl, że Brent wściekłby się, gdyby zastał w domu psa, a to poważny argument przemawiający za wyrażeniem zgody na prośbę córki. No a poza tym pies mógłby przecież choć częściowo odwrócić uwagę małej od zbliżającego się rozwodu. Miałyby coś własnego w walącym się wokół niej świecie.

Em patrzyła na matkę tak, jakby całe jej życie zależało od tego, co powie w tej chwili.

- W porządku. Wracając od taty, pojedziemy do schroniska.

- Hura! - Dziewczynka podskoczyła na siedzeniu.

- Pamiętaj, ty będziesz musiała się nim zajmować...

- No jasne! Już wiem jak. To będzie mój piesek. Mamo, kocham cię! -

Podniecona Em kręciła się na fotelu, uśmiechała radośnie, była wprost szczęśliwa...

Kundelek na jezdni przestał się drapać i ziewnął przeraźliwie. Em roześmiała się i świat na chwilę znów stał się dla Maddie dobrym, a nawet radosnym miejscem.

Może nie powinnam jechać do firmy Brenta... - pomyślała Maddie. Może lepiej byłoby pojechać teraz po psa? A może po prostu zostać tu, w samochodzie, pośrodku ulicy? Jeśli nigdy nie dojadę do najbliższego skrzyżowania, może wszystko pozostanie dobrze na zawsze...?

Zerknęła w lusterko i dostrzegła pędzącego brązowego datsuna. Próbowała ostrzec Em, krzyknęła, ale krzyk pochłonięty został przez pisk szorujących po asfalcie zablokowanych opon i przeraźliwy zgrzyt gniecionej blachy. Poczowała uderzenie, ostre szarpnięcie, głowa poleciała jej do przodu, radio umilkło, siedzenie przesunęło się w szynach. Nastąpiło kolejne szarpnięcie i piekielnie silne uderzenie głową w zagłówek...

3

- Em...? - wyszeptała, gdy świat wokół znieruchomiał. Em, mała, spokojna, bezpiecznie przypięta pasem, spojrzała

na nią wielkimi oczami, powiększonymi jeszcze przez szkła okularów.

- Nic mi się nie stało. O, jak rany!

- Jesteś pewna? Szyja cię nie boli? - Ją kark bolał, jeszcze jak!
- Wszystko w porządku. Nieźle w nas walnął, co? Maddie pchnęła drzwi, które wypadły z odkształconej ramy.

Usłyszała brzęk spadających na asfalt fragmentów metalu.

Wysiadła, wyprostowała się. Świat znów rozpoczął szaleńczy taniec, Spokojnie, powoli... Barwy wydawały się jej znacznie jaskrawsze niż zwykle, ale kształty były jakies zamazane. Zrobiła kilka sztywnych, niezdarnych kroków, pod jej stopami trzeszczało szkło. Radio datsuna ryknęło przekleństwem. Maddie też miała ochotę kłąć, ale bała się krzyczeć; wiedziała, jak to zaboli.

Kierowca datsuna siedział skulony, trzymając się za głowę i jęcząc. Pochyliła się, by sprawdzić, czy nie jest ranny. Był to blady chudy blondyn, w którym rozpoznała ucznia liceum, choć nie pamiętała jego nazwiska. W każdym razie nie był jej uczniem.

- Nic ci się nie stało? - spytała. - Uderzyłeś się w głowę? Miałeś zapięte pasy?
- Mój samochód! - jęknął chłopak. - Ale was walnąłem. Mój samochód!
- Przynajmniej radio nadal gra. - Ty cholerny głupku! - dodała w myśli. Miała ochotę wrzeszczeć, ale opanowała się jakoś, w końcu i on padł przecież ofiarą wypadku, nie ma sensu gnębić chłopaka, choć jest głupkiem bez odrobiny wyobraźni. W.S. przynajmniej pakował się tylko na barierki albo wpadał do rowów, nie zagrażając ludziom.

Chłopak cały czas jęczał; nie śmiał spojrzeć jej w oczy. Postanowiła obejrzeć hondę.

Samochód był w żalonym stanie. Tylne drzwi wgniecione zostały w siedzenie, ze świateł pozostały jedynie okruchy. Niewiele wiedziała o samochodach, lecz nie miała wątpliwości, że tego nie naprawi nikt.

Powinna jednak nawrzeszczeć na tego szczeniaka. Podjeżdżał trzy razy niebezpiecznie blisko. Za trzecim trafił.

- O rany! - powiedziała z podziwem Emili, która też wysiadła i stanęła obok matki.

Mój samochód! - pomyślała Maddie.

- Czy teraz wreszcie kupimy nowy? - dopytywała się Em.

- Czy pani ubezpieczenie pokryje straty? - chciał wiedzieć chłopak z datsuna. Maddie odwróciła się i spojrzała na niego z wściekłością. Chętnie zamordowałabym cię tu i teraz! - pomyślała. Sztywno, powoli, mszyła w stronę wiszących na zawiasach przednich drzwi hondy. Chłopak poszedł za nią. W tym momencie nadjechał policyjny radiowóz.

Przysiadła bezwładnie, opierając głowę na kierownicy. Policjant - były uczeń, który pięć lat temu oblał u niej w ostatniej klasie zajęcia ze sztuk plastycznych - poprosił o prawo jazdy. Musiała znaleźć je Em. Policjant był grzeczny, choć zadawał za dużo pytań. Pogubiwszy się w nich, spojrzała na niego bezradnie, więc spytał, czy dobrze się czuje.

- Tak chciałam, żeby pogrzebali mnie w tym samochodzie - szepnęła.

Policjant wezwał karetkę. Podejrzanie wstrząśnienia mózgu.

W izbie przyjęć znalazł ją Brent - wysoki, potężny, ciemnowłosy, w pełni panujący nad sytuacją. Chciała powiedzieć: "Jechałam do ciebie", ale on oczywiście odezwał się pierwszy.

- Ja wszystko załatwię - oznajmił.

Odwrócił się i głębokim, dźwięcznym głosem zaczął wydawać polecenia młodemu lekarzowi i jeszcze młodszej pielęgniarce. „Nienawidzę cię”, pragnęła powiedzieć Maddie, ale nie był to chyba odpowiedni czas i miejsce na takie wyznania, zwłaszcza że obok stała Em.

Izbę przyjęć wypełniała woń środków dezynfekcyjnych i alkoholu. Maddie czuła w ustach metaliczny posmak podanych jej lekarstw. Było jej zimno, leżała na kozetce, która wydawała się strasznie wysoka. Bardzo chciała wrócić do domu, ale Brent ciągle rozmawiał z lekarzem.

Przyglądała się mężowi. Czy to możliwe, by pragnęła go jakaś kobieta?

Przytył trochę, ale nadal był przystojnym, rosnącym mężczyzną. Kosmyk ciemnych włosów nieustannie opadał mu na oko. I ten uroczy wicherek na czubku głowy! Dołki w policzkach. Uśmiech dowodzący niezachwianej pewności siebie. Sukinsyn!

Podszedł do niej wyprostowany, energicznym krokiem. Pielęgniarka potrafiła to docenić. Stanął przy kozetce. Maddie skuliła się i przesunęła do ściany; nie pragnęła jego bliskości.

Mówił coś. Skupiła się na jego słowach, jakby powracała z bardzo daleka.

- Nie martw się, to nie była twoja wina - powiedział, obejmując Em, która patrzyła na niego z miłością.

- Wiem.

- Chłopak nie był ubezpieczony, ale nasze ubezpieczenie pokryje koszty strat.

- Wiem.

- Dzięki Bogu, Em nic się nie stało. - Mocniej przytulił córkę.

- Wiem.

- Nie masz nawet wstrząśnienia mózgu, po prostu naciągnięte mięśnie karku. Potrzebny ci tylko tylenol.

- Wiem.

Westchnął. Widziała, że przestaje jej współczuć i zaczyna się złościć.

- Możemy wrócić do domu.

- Wiem.

Pielęgniarka jego obdarzyła promiennym uśmiechem, a Maddie środkami przeciwbólowymi. Przed szpitalem czekał cadillac. Brent usadził Em na tylnym siedzeniu i dopiero wówczas spojrzął na żonę, która w oszołomieniu próbowała zrozumieć, jakim cudem ten przeklęty samochód, w którym Brent zdradził ją tak boleśnie, przywędrował z podjazdu przed domem pod szpital.

- Sprzątałam ten samochód - powiedziała. - Przed domem.

- Howie podwiózł mnie, żebym mógł go zabrać. Twój samochód jest u Lea.

Już go obejrzał. Powiedział, że nic się nie da zrobić. Musimy kupić ci nowy.

Wrak hondy spoczywał w chwastach za stacją obsługi. Powinno ją to zmartwić, ale była zbyt oszołomiona, by myśleć jasno.

- Wiem.

Wsiadła do cadillaca. Próbowwała przypomnieć sobie, jak toczy się normalne życie. To, które skończyło się wczoraj.

Brent usiadł za kierownicą. Poklepał żonę po kolanie. Odsunęła się.

- Spokojnie, Maddie. Wszystko w porządku.

Skinęła głową. Zabolało, jakby ktoś wbił jej nóż w kark.

- Wiem.

Brent syknął przez zaciśnięte zęby:

- Czy mogłabyś powiedzieć coś poza „wiem”?

Na przykład: „Jestem ci głęboko wdzięczna za słowa otuchy”? Albo: „Czy moglibyśmy uczcić minutą milczenia pamięć mojego samochodu, który został brutalnie zamordowany przez nastoletniego szaleńca”? Albo: „Czy zdradzasz mnie, a jeśli tak, to z kim, ty śmierdzący sukinsynu”?

- Maddie... Jest z nami Em.

- Dziękuję, że po nas przyjechałeś.

Brent westchnął. Ruszyli i po tysiącu lat zatrzymali się przed domem. Maddie patrzyła przed siebie półprzytomnie, wiedząc, że będzie musiała coś powiedzieć. I to wkrótce.

- Maddie, jesteśmy na miejscu. - Brent rozpiął jej pas. -Mad...? - Położył jej na ramieniu rękę, ciężką jak z ołowiu.

Racja. Byli na miejscu. Właściwie powinna współczuć Bren-towi, przecież musiało mu być cholernie ciężko rozmawiać z nią życzliwie. Zdawała sobie z tego sprawę. Patrzyła, jak wysiada i obchodzi samochód, by otworzyć jej drzwi. Zachowywał się wciąż bardzo uprzejmie.

- Wysiadaj, Maddie. Nic ci nie jest, lekarz tak powiedział. Znowu miał rację.

Wysiadła. Buty przylepiły jej się do

miękkiego asfaltu. Oderwała je z wysiłkiem, przy czym własne stopy wydały się jej bardzo odległe. Za to mąż był stanowczo zbyt blisko.

- Mamo...?

Głos Em odbił się echem w jej głowie. Skupiła całą uwagę na swej twarzy i udało się jej nawet uśmiechnąć. W powietrzu

unosila się przyjemny, czysty zapach rozgrzanego drewna i pokostu.

Skoncentrowała się na tym zapachu, tylko po to, by nie wrzeszczeć.

- Nic mi nie jest, kochanie. Idziemy.

- Emily, jesteś pewna, że nic ci się nie stało? - Brent przyklęknął przy córeczce i spojrzał jej prosto w oczy.

Wyglądał tak słodko, kiedy klęczał, przytulając dziecko, taki czysty, szczery, i ten jego uroczy wicher na czubku głowy! Sukinsyn!

- Czuję się dobrze, naprawdę. - Em skinęła głową, nie spuszczać wzroku z matki.

- To świetnie. - Pocałował ją w policzek, wstał i patrzył, jak mała idzie przez

podwórko. Dopiero teraz spojrzął na żonę.

- Wejdz do domu - powiedział. - Wrócę późno. Zamówcie pizzę, odpocznij, nie przejmuj się. I nie czekaj na mnie.

Kiedy Maddie mijała go, próbował poklepać ją po ramieniu wielką, ciężką dłonią. Nie dotykaj mnie! - pomyślała i nagle ogarnął ją gniew, jasny i wyraźny po mętnych rozważaniach, które zajmowały do tej pory jej myśli. Przystanęła i odczekała, aż Em odejdzie trochę dalej, wejdzie na ganek.

- Chodź, Maddie. - Położył jej dłoń na ramieniu, chciał odprowadzić ją do domu. Otrząsnęła się tak gwałtownie, że aż cofnął się o krok.

Spojrzała mu w oczy.

- Co się dzieje, Brent? - szepnęła. Musiała zaciskać zęby, żeby nie krzyknąć.

Przycisnęła do piersi zwinięte w pięści dłonie. - Co ty wyprawiasz? Co ty, do cholery, wyprawiasz!

- O co ci chodzi? - spojrzął na nią, zdumiony.

Maddie przysunęła się do niego tak blisko, że ich stopy niemal się stykały.

- Do jasnej cholery! - syknęła. - Pod siedzeniem cadillaca znalazłam damskie majtki! Z kim mnie zdradzasz? Z Beth? - Potrząsnęła głową, nie zwracając uwagi na nieznośny, ostry ból. Ręce trzymała przyciśnięte do ciała, nie może przecież uderzyć go, ale musi jakoś uświadomić i jemu, i sobie, co właściwie się zdarzyło. - Tym razem nie ujdzie ci to na sucho. Tym razem nie mam zamiaru przebaczać. Nic z tego. Jeśli mnie zdradzasz, odejdę od ciebie, przysięgam, że odejdę!

Brent zerknął na Em, która przystanęła na ganku i przyglądała się im uważnie.

- Nic się nie stało - powiedział zbyt głośno. - Po prostu boli cię głowa. Miałaś wypadek. - Ściszył głos do szeptu. - Denerwujesz Emily. Przestań.

- Znalazłam majtki. Czarne fikuśne majteczki z koronki. Masz mi to wyjaśnić. W tej chwili.

- Mamo...?

- Chwileczkę, kochanie - odkrzyknął Brent. - Przecież wiesz, że nigdy bym cię nie zdradził - cicho zwrócił się do żony. - Obiecałem. Jak długo jeszcze każesz mi płacić za Beth?

Maddie cofnęła się o krok. Straciła nieco pewności siebie.

- Skąd w takim razie te majtki w samochodzie?

- Nie wiem. - W zdenerwowaniu nieostroźnie podniósł głos. - Może to jakiś dowcip?

- Mało zabawny.

- Z całą pewnością. - Odszedł od niej, wskoczył na ganek, stanął przy Em. - Mama źle się czuje - powiedział, a kiedy zobaczył, że Maddie idzie za nim, zwrócił się do niej: - Zaczekaj, nie teraz. - Wziął córkę za rękę. - Mama musi się zdrzemnąć. Chodź, odwiozę cię do cici Trevy, to mamusia trochę sobie odpocznie.

- Mamo...? - Emily wyglądała tak, jakby miała się zaraz rozpłakać.

Maddie wzięła głęboki oddech. Nigdy w życiu nie chciała tak na kogoś wrzeszczeć jak teraz na Brenta, ale musiała się przecież powstrzymać ze względu na córkę. Nie, przy niej nie podniesie głosu.

- Tata ma rację. Zostań u Mel. Na całą noc. Mnie nic nie będzie.

Em przełknęła łzy.

- Jesteś pewna? Przecież mogłabym się tobą zaopiekować: Maddie również miała ochotę się rozpłakać.

- Dziękuję ci, skarbie, ale po prostu wezmę lekarstwa i położę się spać. Daję słowo. Jedź z tatą.

Dziewczynka skinęła główką.

- Dobrze, ale nie zostanę na noc. Wrócę do domu, żeby ci pomóc, kiedy się obudzisz.

Maddie przytuliła ją mocno, doskonale czując, jak sztywne jest ciało jej córki.

- Przecież nic mi nie jest. Możesz spokojnie zostać u Mel.

- Nie! - Głos małej załamał się. Matka przytuliła ją mocniej.

- Dobrze już, dobrze. - Kołysała nią jak wówczas, gdy Em była malutka. -

Dobrze, kochanie. Tata przywiezie cię do domu, kiedy będzie wracał z kręgli. Wszystko w porządku.

Patrzyła, jak mała idzie do samochodu. Trzymała ojca za rękę, ale co chwila odwracała się, żeby popatrzeć na matkę. Brent, prawdziwy sukinsyn, nie wahał się użyć córki do osło-

nięcia swej ucieczki. Bardzo chciała krzyknąć: „Wracaj i wytłumacz się!”, ale tylko pomachała im dłonią. Gdy samochód wyjechał na ulicę, wróciła do domu.

Przede wszystkim łyknęła środek przeciwbólowy. Buteleczkę ustawiła na parapecie okna. Słońce nadało jej świetlisty bursztynowy kolor. Śliczny widok! Usiadła, czekając, aż rozjaśni się jej w głowie. Póbowwała nie myśleć o Em, o czarnych koronkach, rozwodzie, rozbitym samochodzie, i w ogóle o niczym trudnym i przykrym.

Dobrze, że nie doznała wstrząśnienia mózgu, lecz czego w takim razie doznała? Rozejrzała się dookoła. No cóż, kuchnię w każdym razie miała obrzydliwą. Wyłożyli ją szarym linoleum, bo Brent dostał je ze zniżką, ale to ona pomalowała ściany na żółto. Tak, panie i panowie, to był jej wybór. Ściany były tak żółte, że czuła się jak zamknięta wewnątrz kostki masła. Czarna koronka ożywiała przynajmniej ten mdławy kolorek. Wstała ostrożnie i powoli przeszła do holu. Był biały, nudny, ale przynajmniej nie gryzący w oczy, trochę jak Brent. Do dzisiaj. Dzisiaj pchał się wprost w oczy i stał się nie do zniesienia. Weszła po schodach, kurczowo przytrzymując się poręczy, a wysiłek sprawił, że zakręciło się jej w głowie. Oparła ciężko o ścianę, odpoczęła i jakoś udało się jej dotrzeć do sypialni. Brzoskwiniowej. Dlaczego kiedyś wydawało się jej, że brzoskwiniowa sypialnia będzie śliczna i przytulna? Szczególnie obrzydliwe były miękkie poduszki na łóżku, ale jak się tak

bliżej przyjrzeć, cały ten pokój był obrzydliwy. Nienawidziła sypialni. Szczerze mówiąc, nienawidziła całego tego domu. Pora się stąd wynosić. Może tak właśnie zrobi, wyniesie się stąd, nic nie mówiąc Brentowi? Ale jeśli ona nic mu nie powie, zrobi to ktoś inny. W końcu mieszkają we Frog Point. We Frog Point zaś niczego nie da się ukryć.

Opadła na łóżko. Zamknęła oczy. Poczowała ulgę. Kiedy zamkniesz oczy, nie grozi ci przynajmniej, że wypadną z oczodołów. Pozostał tylko ból, bolało ją wszystko; wcisnęła się w materac, próbując przytłumić ból. Chodzi po prostu o to, że go nienawidzę, pomyślała. Powinno więc być mi obojętne, czy mnie zdradza, czy nie. Na razie nie mogę pogodzić się z myślą, że będę zmuszona obnażyć swoje nieszczęście przed całym miastem i nie wiem, jak wytrzymam cierpienie Em, kiedy dowie się o wszystkim. Pomyślę jednak o tym jutro. Jutro będzie nowy dzień.

Tego samego wieczoru, około siódmej, W.S. stał oparty o tylne drzwi farmerskiego domu swego wuja i słuchał świerszczy szykujących się do koncertu. Do zmroku miały jeszcze dobrą godzinę, ale niektóre zaczynały swój występ wcześniej. Ich cykanie harmonizowało z szumem rzeki, płynącej kilkaset metrów od domu, i ze śpiewem ptaków, które pragnęły do końca wykorzystać ten piękny sierpniowy dzień. W taki dzień mężczyzna marzy, by wyciągnąć się na hamaku, z zimnym piwem i ciepłą dziewczyną, ale dziewczyna, o której W.S. akurat próbował nie myśleć, była mężatką i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. To tyle w sprawie marzeń. W hamaku zresztą nie sposób chyba się kochać, chociaż gdyby tą ciepłą dziewczyną była Maddie, chętnie by zaryzykował. Ta myśl prowadziła do następnej, następna do kolejnej i tak dalej, i tak dalej, choć żadna z nich nie powinna mu przyjść do głowy i żadna nie była niewinna, więc aż podskoczył, kiedy za jego plecami rozległ się znenacka głos ciotki:

- Umyłeś ręce, W.S.?

Odwrócił się. Anna stawiała właśnie kolację na kuchennym stole, przykrytym ceratą w czerwono-białą kratkę: talerze z grubej porcelany, miski z parującą szynką, ziemniakami i diabeł jeden wie, z czym jeszcze. Poczował smakowity zapach i ślinka napłynęła mu do ust na myśl o soczystej, dobrze przyprawionej szynce domowej roboty i o śmietanie z serem, w której pływały ziemniaki.

- Umarłem i zaraz pójdę do nieba - powiedział.

- Pod warunkiem, że masz czyste ręce.

Głos miała, jak zawsze, szorstki, ale uśmiechała się ciepło, i w ogóle wyglądała tak jak przed dwudziestoma siedmioma laty, kiedy Henry po raz pierwszy przyprowadził W.S. do tego domu. Matka powiedziała mu wówczas, po raz ostatni, że ma go za ostatniego drania i że tym razem umieści go w domu dla młodocianych przestępców, ponieważ jest młodocianym przestępcą. Uciekł zatem z domu,

przespał się w parku, udając, że wszyscy dziesięciolatkowie śpią w parkach. Samochód Henry'ego podjechał, kiedy szedł do domku piknikowego.

- Wsiadaj - powiedział Henry i W.S. wsiadł, choć najpierw chciał powiedzieć: „Nie. Potrafię sam się o siebie troszczyć”. Nawet jednak przed dwudziestu siedmiu laty nikt przy zdrowych zmysłach nie miał ochoty spierać się z Henrym. No więc wsiadł do samochodu, a Henry zabrał go do Anny. Anna oznajmiła: „Zostaniesz z nami”, a on odparł głośno: „Nie. Potrafię sam się o siebie troszczyć”, bo wiedział, co się dzieje, kiedy ktoś zrobi ci przysługę: musisz za nią płacić do końca życia; matka na przykład kazała mu płacić za to, że go urodziła. Nie miał zamiaru dopuścić do podobnej sytuacji.

Anna odpowiedziała: „Oczywiście, doskonale zdajemy sobie z tego sprawę, W.S., ale kto się zatroszczy o nas? Przecież nie stajemy się coraz młodszy. Ktoś zdrowy i silny bardzo przyda się w gospodarstwie”.

Wspominając dziś te słowa, W.S. uśmiechnął się szeroko. Henry miał wówczas czterdzieści parę lat i był tak silny, że pewnie mógłby nosić krowę na barkach, Anna zaś w ogóle nie miała pojęcia, co to słabość. Ich słowa miały jednak sens dla zbuntowanego dziesięciolatka, który bardzo pragnął być potrzebny. Ponieważ roztoczenie opieki nad kimś nie wydało mu się równoznaczne z zaciąganiem zobowiązań, powiedział: „W porządku, zostanę, tylko wiedzcie, że robię to dla was”. Wówczas Anna zabrała go na górę, do pokoju, w którym stało wielkie łóżko ze świeżutką pościelą, i obiecała, że na śniadanie usmaży mu naleśniki.

Dwadzieścia lat zajęło W.S. uświadomienie sobie, że zobowiązania zaciągane wobec opiekunów to pestka w porównaniu ze zobowiązaniami zaciąganimi wobec ludzi, których otacza się opieką. Ludziom bowiem, którzy wyświadczyli przysługę, można się odwdziaczyć i obie strony są kwita.

Ludzie, którym

wyświadczą się przysługę, pozostają jednak zawsze naszymi podopiecznymi.

A to oznacza, że choć W.S. mógł dożyć szczęśliwie późnej starości, zapomniawszy o istnieniu Frog Point, musiał tu wrócić, by zobaczyć Annę. Przyglądał się jej teraz z miłością płynącą z głębi serca, zdumiony tym, że wciąż jest ona tą samą energiczną kobietą, która przed przeszło ćwierćwieczem uratowała mu życie. Fartuch miała nowy, w jakieś modne paski zamiast wzoru z kwiatów, który tak doskonale pamiętał, ale włosy, choć już nie blond, lecz siwe, nadal dzieliła pośrodku głowy i upinała w kok na karku, zawsze ciasny i gładki, a jej oczy w ogóle się nie zmieniły.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście, szanowna pani, nie zapomniałem umyć rąk. Zostałem dobrze wychowany. - Poszedł do swojego miejsca przy stole, obejmując po drodze swą opiekunkę.

Anna pociągnęła nosem.

- Wiem, że jesteś już dorosły, ale nie przestałeś przecież być moim chłopcem.

- Jasne. - Usiadł i posłusznie wyciągnął ręce dłońmi do góry. - Widzisz? Czyste.

Anna postawiła przed nim dymiącą miskę zielonej fasoli.

- Masz zjeść wszystko. Bez dyskusji. Spojrzał na stół. Domowa szynka, biskwity, masło, domowy dżem, zielona fasola z boczkiem, ziemniaki w sosie serowym, domowe marynowane warzywa, sałatka z ręcznie krojonej białej kapusty z czerwoną papryką: jedzenie z dzieciństwa, jeden z prawdziwych cudów świata.

- Oczywiście, proszę pani - odpowiedział serdecznie. Trzasnęły siatkowe drzwi prowadzące z ganku. W kuchni

pojawił się Henry, nie aż tak wysoki, jaki wydawał się małemu chłopcu, ale nadal rosły i szeroki w ramionach. Włosy mu posiwiały, nie były już ciemne, lecz wciąż stanowiły gęstą czuprynę. Umył ręce w zlewie, powiedział:

- Pachnie bardzo smakowicie. Anna odparła:

- Dziękuję, Henry.

W.S. Sturgis pomyślał: słyszałem, jak mówią to przed każdym posiłkiem, który z nimi jadłem. Nie po raz pierwszy odczuł wdzięczność do matki za to, że wyrzuciła go z domu. Był to jej jedyny dobry uczynek wobec syna. Henry zajął miejsce u szczytu stołu, W.S. splótł dłonie, Anna usiadła i skłoniła głowę.

- Dziękujemy ci Boże za twe dary, które będziemy spożywać.

- Amen - powiedział Henry.

- Amen - dodali oboje, po czym pan domu sięgnął po szynkę, a Anna przysunęła mu biskwity i dżem. W.S. nałożył sobie na talerz górę ziemniaków.

- Tylko nie zjedz wszystkich, chłopcze - ostrzegł wuj. W.S. spojrzał na wielgachną miche.

- No, nie wiem. Jestem strasznie głodny.

- Zgłodniałeś, zadając pytania całemu miastu, co?

Anna z wyrzutem spojrzała na męża, wpatrującego się w W.S. spod gęstych, siwych brwi.

- Henry, chłopiec je kolację.

W.S. uśmiechnął się do wuja. Przesunął miskę ziemniaków po śliskiej białej ceracie.

- Po prostu szukam Brenta Faradaya. Nikt ci tego nie powiedział?

- Owszem, ze dwadzieścia osób - warknął Henry. - Jakies porachunki?

- Nie. - Na talerzu W.S. wylądował kawałek szynki wielkości mniej więcej Florydy. - Ostatnia przysługa dla Sheili.

Anna zamarła z widelcem zawieszonym nad talerzem.

- Sheili...?

Niepotrzebnie się wygadał. Zapomniał, że Sheila nie należy do osób, które

ciotka darzy szczególną sympatią.

- Nic się nie stało. Po prostu zadzwoniła z prośbą, żebym sprawdził kilka rzeczy. Wychodzi za Stana Sawyera. Nie macie się o co martwić.

- Wcale się nie martwię. - Anna odłożyła widelec.

- To przecież drobiazg. Robię jej przysługę, nic więcej. Powiedziała, że jeśli jej pomogę, zrezygnuje z alimentów. Chodzi tylko o pieniądze. - Poklepał ciotkę po dłoni. - Wszystko w najlepszym porządku.

Anna prychnęła, ale zaczęła znów jeść. Henry tymczasem ponowił atak.

- A co Sheila ma wspólnego z Brentem Faradayem? W.S. jęknął w duchu i spojrzał na wuja. Nie ma sensu

bawić się w chowanego. Prędzej czy później i tak wycisnie go jak cytrynę.

- Stan robi z Brentem jakieś interesy. Sheila uznała, że rozwód z księgowym nie przeszkadza w zaangażowaniu go w sprawy finansowe nowego narzeczonego. Zajrzę w księgi Brenta, zajmie mi to najwyżej z godzinę, i w poniedziałek wracam do Columbus. Jak mówiłem, to drobiazg. - Przyjrzał się wujostwu. Nie miał wątpliwości, że nie kupili jego wyjaśnień. Pora na zmianę tematu, inaczej Brent zepsuje im całą kolację.

- Pani Bankier wezwała gliniarza- Oskarżyła mnie, że gapię się na jej dom. Świat zszedł na psy, bo gliniarzem okazał się Vince Baker. Anna pociągnęła nosem.

- Thelma Bani ster ma pusto w głowie - orzekła i obrzuciła siostrzeńca uważnym spojrzeniem. - Wcale się nie dziwię, że Sheila kazała ci sprawdzić Brenta Faradaya. Nigdy nie była głupia... przynajmniej jeśli chodzi o pieniądze.

W.S. zdumiał się niepomierne. Kiedy mówiła o Brencie, jej głos ociekał jadem.

- Brent Faraday... - powtórzył z namysłem Henry i dołożył sobie ziemniaków. - Interesujące.

W.S. wypuścił widelec ze zdrętwiałych palców.

- Kpicie sobie ze mnie? A może miasto zrozumiało wreszcie, jaki on jest naprawdę?

- No, niecałe miasto - powiedział wuj. Ciotka dodała:

- Zawsze był taki strasznie hałaśliwy.

Nareszcie jakaś dobra wiadomość. Poprawiająca apetyt.

- Niech mnie cholera... przepraszam, Anno... Niech mnie! Powiedźcie mi, co on zmalował?

- A może to ty powiesz nam? - zaproponował Henry z pełnymi ustami. - To przecież ty go szukasz. Słyszałem, że rozmawiałaś nawet z jego żoną.

- Przystanąłem przed domem Faradayów. Nie zastałem go. - W.S. nie miał się przecież czego wstydzić, może z wyjątkiem słodkich marzeń o hamaku, ale spojrzenie Henry'ego sprawiło, że poczuł się niepewnie. - Nie wszedłem nawet do środka. Po prostu spytałem: „Zastałem Brenta?”. Tylko tyle.

- Byłeś w niej strasznie zakochany - rozczuliła się Anna. - Pamiętam, jak kiedyś

wróciłeś ze szkoły i opowiedziałeś mi o niej. Miałeś wtedy dziesięć lat, no, może jedenaście. To taka miła dziewczyna.

- Przysięgam, że spędziłem w jej towarzystwie najwyżej pięć minut.

Rozmawialiśmy na frontowym ganku. To wszystko. - W.S. usilnie próbował wydać się tak niewinnym, jak w istocie był, ale wuj nadal wpatrywał się w niego gniewnie. -Przysięgam! - powtórzył więc.

- Mówimy o mężatce.

- Henry, nic nie zrobiłem. Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Szukałem zresztą Brenta, nie jej.

- Dlaczego?

No, nie! Henry jest mistrzem świata w nieoczekiwanych zmianach tematu.

- Wygląda to tak: Brent chce sprzedać Stanowi ćwierć udziałów w firmie.

Połowę swej połowy; obaj będą mieli po dwadzieścia pięć procent, a Howie większość. Sheili nie za bardzo się to wszystko podoba.

- Howie Basset to miły chłopiec - orzekła Anna. - Z pewnością nie zrobiłby nic nieuczciwego.

W.S. westchnął ciężko. W oczach ciotki Maddie pozostała miłą dziewczyną, Howie miłym chłopcem, a fakt, że oboje dobiegają czterdziestki i od czasu, gdy przestali być dziewczyną i chłopcem, mogli sto razy zejść na złą drogę, nie miał dla niej najmniejszego znaczenia. Doprawdy, przecież ludzie się zmieniają. Na przykład on sam się zmienił. Stał się człowiekiem odpowiedzialnym. Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku nie rozbił samochodu. Od ukończenia liceum nie wdał się w żadną bójkę. Oczywiście, Howie to naprawdę miły chłopiec, ciotka tak bardzo się nie myli, ale mimo wszystko...

Henry sięgnął po biskwity.

- Więc dlaczego szukasz Brenta Faradaya?

- Chcę zajrzeć w księgi jego firmy, na co on musi wyrazić zgodę. W zasadzie nie może mi odmówić wglądu w księgi, ponieważ jestem księgowym zatrudnionym przez Sheilę, ale...

Henry zjadł trochę fasoli.

- Ciekaw jestem, co Stan sądzi o tym, że Sheila martwi się o jego pieniądze, nim jeszcze położyła na nich łapę? - spytał.

- Z pewnością nie chodzi tylko o pieniądze - zauważyła Anna. - W.S. nic nie jesz. Henry, zaczekaj, aż chłopak skończy kolację.

W.S. posłusznie zabrał się do jedzenia.

- A o co jeszcze może chodzić? - spytał, ale ciotka palcem wskazała mu talerz. Zdążył zjeść kilka plastrów szynki, nim odpowiedziała:

- No, przecież z pewnością nie chce wyjść na głupca przed całym miastem.

Henry prychnął. W.S. uśmiechnął się.

- Nie przepadasz za Stanem, co? - spytał, ale wyprostowany palec ciotki znów zwrócił jego uwagę na szynkę.

Ta kobieta musi być strasznie głupia, jeśli sądzi, że Stan to lepsza partia niż ty.

W.S. ze zdumienia połknął wielki kawałek szynki bez gryzienia, omal się nie dławiając.

- Ja...?

Wuj spojrział na niego niezbyt przyjaźnie, lecz powiedział: © Doskonale sobie radzisz. Jesteśmy z ciebie dumni. Gardło zacisnęło mu się na te słowa i przez jedną straszną

chwilę był pewien, że zaraz się rozklei. Oczywiście, gdyby się rozkleił, wyszłoby głupio, nie mógł sobie na to pozwolić.

- Och... dziękuję - wykrztusił w końcu. Anna położyła mu na talerzu dwa biskwity.

- Musisz jeść - przypomniała.

W.S. skinął głową, w której nadal czuł lekki zamęt z powodu oświadczenia wuja.

- Głodujesz w tym mieście - dodała ciotka, nakładając na jego talerz masło. - Wychudłeś, po prostu wychudłeś.

Posmarował biskwit masłem, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi.

- Podtuczylabym cię, gdybyś przyjeżdżał częściej. A wiesz, we Frog Point jest tylko jeden księgowy.

W.S. zakrztusił się.

- Daj chłopcu spokój, Anno - rzekł Henry.

- Pomyślałam, że warto o tym wspomnieć. - Teraz przyszła kolej na fasolę. - Miło byłoby mieć go znowu w domu. Weź trochę.

W.S. odkaslnął, zabrał się do fasoli i zmienił temat:

- Nie udało mi się znaleźć Brenta. Czyżbym przeoczył go wyjeżdżającego z miasta?

- Nie. - Henry wziął z miski jeszcze jeden kawałek szynki. - Spędził popołudnie w szpitalu.

Niemożliwe! To byłoby za dobre.

- Ktoś miał go dość?

- Nie. Jego żona miała wypadek.

W.S. spoważniał nagle, a Anna westchnęła cicho.

- Coś się stało tej miłej Maddie? Mam nadzieję, że nic poważnego?

- Uderzyła się w głowę, dość mocno. - Henry'emu nie zepsuło to apetytu. - Jej córka wyszła z tego bez szwanku, na szczęście. Ten mały głupek Webster wyjechał z za rogu i uderzył w bagażnik samochodu Maddie, który stał na środku ulicy. Ona twierdzi, że zatrzymała się z powodu psa.

- No właśnie, cała Maddie - westchnęła Anna. - Nikogo nigdy nie skrzywdziła. Zrobię jej ciasteczka.

- Lubi z czekoladą - powiedział W.S., nieoczekiwanie dla samego siebie. - Mogę je zanieść.

Henry spojrział na niego ostro.

- A ja myślałem, że naprawdę szukasz Brenta.

- Chcę po prostu utrzymać dobrosąsiedzkie stosunki. - W.S. najchętniej

kopnąłby się mocno. - Ktoś powinien sprawdzić, czy Maddie rzeczywiście nic się nie stało. Henry, masz zamiar jeść te ziemniaki, czy tylko pilnujesz, żeby nikt nie zrobił im krzywdy?

- No, nie! - Anna wstała i przysunęła miskę siostrzeńcowi. - Widzisz, że chłopak nie ma jeszcze dość!

- Tego się właśnie obawiam.

W.S. udał, że go ignoruje. Nałożył sobie ziemniaków. Miał zamiar pojechać jeszcze raz do miasta poszukać Brenta, ale nie powie o tym Henry'emu, bo Henry ma brudne myśli.

- Tylko uważaj, prowadząc w mieście po nocy - powiedział Henry.

- Tak, oczywiście - westchnął W.S.

- Będziemy mieli psa! - oznajmiła Em, kiedy obie z Mel ulokowały się na kanapie, z preclami i hot dogami. Trzeci uznał, że to doskonały posiłek dla dzieci. Mel skinęła głową z aprobatą.

- Poprosiłaś ich? Bomba!

- Taty nie, zapomniałam. Ale mama się zgodziła. - Przypomniała sobie mamę machającą z ganku, kiedy odjeżdżała z tatą, i jej radość nieco przybladła. - Przed wypadkiem -dodała i własny głos wydał się jej dziwny.

- Twojej mamie nic się nie stało - pocieszyła ją Mel. -Tak powiedział twój tata. Mów o psie.

- Pojedziemy do schroniska. - Em powtarzała w myśli: „piesek, piesek, piesek". Być może dzięki pieskowi nie będzie się tak martwić. - W ten sposób uratujemy jakieś zwierzę. To będzie dobry uczynek.

- Świetny pomysł - przytaknęła Mel. - Mogę pojechać z wami?

- Jasne. - Mel, ciocia Treva, mama... one wszystkie mogły przecież pojechać.

Pomyślała o mamie, o jej takich dziwnych, nieprzytomnych oczach, o tym, jak stała obok taty i drżała na całym ciele, o tym, jak na siebie patrzyli, jakby się nienawidzili. „Piesek, piesek, piesek". - Pojedziemy, kiedy mama poczuje się lepiej. - Bo mama z pewnością poczuje się lepiej. Wszyscy tak mówili. - Mama poczuje się lepiej. Od tych lekarstw jest trochę nieprzytomna, ale to minie.

- Może tak jest nawet lepiej? - Mel popadła w entuzjastyczny nastrój. Jej entuzjastyczne nastroje bywały trudne do zniesienia, ale przemawiało za nią to, że przynajmniej się starała być miła. - No bo teraz, kiedy źle się czuje, twój tata przypomni sobie, jak bardzo ją kocha, będzie o nią dbał i wszystko dobrze się skończy.

Em wolała patrzeć na precel niż na przyjaciółkę.

- Tata pojechał zagrać w kręgle.

- Och!

„Piesek, piesek, piesek, piesek"...

4

Kiedy Maddie obudziła się o dziewiątej wieczorem, ból nieco osłabł. Dokuczala jej właściwie już tylko głowa, dzięki czemu wiedziała przynajmniej, że w ogóle ma głowę. Chwiejnie, trzymając się kurczowo poręczy, zeszła po schodach, ale telefon zadzwonił, nim, mrużąc oczy, zdołała odczytać przepis zażywania tylenolu. Złapała słuchawkę, zanim dzwonek rozległ się po raz drugi, bo obawiała się, że ten dźwięk rozsadzi jej mózg.

- Maddie, tu mama. Dobrze się czujesz?

- Tak, mam. - Nie wrzeszcz, błagam!

- Anna Henley zadzwoniła, żeby spytać, jak się czujesz, i tak dowiedziałam się o wypadku. - Nie było wątpliwości, że nie jest zadowolona z tego stanu rzeczy. - Na pewno dobrze się czujesz?

- Tak, mam. - Głowa lada chwila spadnie z jej sztywnej

- Powiedziała, że zraniła się w głowę. I że to nie była twoja wina, że wszystko przez tego młodego Webstera, no ale nie muszę ci przecież mówić, jacy są Websterowie, młodzi i starzy. Dzięki Bogu, że to nie twoja wina. Nie mogę uwierzyć, że do mnie nie zadzwoniłaś. Dobrze się czujesz? Chcesz, żebym przyjechała?

Maddie skrzywiła się. Potok słów matki był jak ostrzał artyleryjski.

- Nie. Nic mi nie jest. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

- Wydobrzejesz na tyle, żeby w niedzielę odwiedzić babcię? Wiesz, jaka ona jest. Oczywiście, zrozumieć, jeśli nie będziesz mogła pojechać.

- Będę mogła pojechać. - Pod warunkiem, że ta rozmowa skończy się przed niedzielą.

- Jakoś tak dziwnie mówisz. Przecież mogę zaraz u ciebie

- Nie. Chociaż może poproszę cię o pomoc. O pożyczenie mi samochodu. Pod koniec tygodnia.

- Oczywiście. Jeśli chcesz, zaraz ci go podstawię. Jest jeszcze jasno. Podjadę i...

- Nie. - Maddie przycisnęła rękę do czoła. Jeżeli matka teraz przyjedzie, będzie musiała ją zabić. Czas na zmianę tematu. - Czy to prawda, że Gloria Meyer się rozwodzi?

- To szczerą prawdą. - Akcent na „szczerą” nie pozostawiał wątpliwości, że historia będzie smakowita. Rzecz jasna historia Maddie, kiedy wreszcie wszystko wyjdzie na jaw, będzie o wiele smakowitsza. Może Brent wcale mnie nie zdradza? -pomyślała. Może nie kłamał, może to rzeczywiście tylko idiotyczny żart?

- Jej mąż twierdzi, że ona nie chce z nim sypiać. Potrafisz to sobie wyobrazić?

Maddie przywołała przed oczy postać Barry'ego Meyera. Treva nazwała go kiedyś karłowatym prosiaczkiem.

- Potrafię. Poza tym nigdy nie kosi trawnika.

- No właśnie, ona powiedziała dokładnie to samo. Nie spełnia obowiązków małżeńskich. Moim zdaniem jest po prostu bezwartościowy. - Głos matki opadł do szeptu. - Słyszałam także, że Gloria się z kimś widuje.

- Tak...? - Gloria i Brent w łóżku? Gloria w czarnych koronkowych majteczkach? - To pewnie mechanik naprawiający kosiarki.

- Nie wiem kto, ale bardzo mnie to zdziwiło.

- Mnie też. Oczywiście wierzę, że Gloria nie śpi z mężem, ponieważ nie wierzę, by spała z kimkolwiek. - Usiadła na stołku przy telefonie. Zapatrzyła się na sekundową wskazówkę zegarka. Jeśli wytrzyma jeszcze dwie minuty, będzie jasne, że nic jej nie jest, co pozwoli jej zakończyć tę rozmowę bez narażania matki na zdenerwowanie. Głowa prawdopodobnie nie odpadnie jej przez czas próby.

- Ludzie zawsze mnie zaskakują. Myślisz, że kogoś znasz,

- Co takiego? Rozwód? - Zaraz zwymiotuję, pomyślała.

- Nie. Mówię, że Gloria zdradza męża.

- Świetnie, więc siadaj do telefonu i dowiedz się wreszcie z kim. - Maddie bardzo pragnęła, by tym kimś nie okazał się jej mąż. - Aż trudno mi uwierzyć, że marnujesz czas na rozmowę ze mną.

- Na litość boską, Maddie, skąd niby miałabym dowiedzieć się czegoś takiego?!

- A jak dowiedziałaś się, że nie śpi z Barrym?

- Powiedział bratu, który powiedział żonie, która powiedziała wszystko córce Esther.

Maddie zamknęła oczy.

- Aha. Co słyszeć u Esther?

- Wszystko w porządku. Jesteś pewna, że nic ci się nie stało w tę twoją biedną głowę?

To tyle, jeśli chodzi o zmianę tematu w rozmowie z mamą.

- Proszę, powiedz mi raczej o Glorii.

- Właściwie niewiele zostało do opowiadania, ale gdybyś mnie spytała, od razu powiedziałabym ci, że była taka od początku.

Pamiętasz, co się działo, kiedy nie zaprosili jej w pierwszej klasie do National Honor Society? Zemdlała, wyobraź sobie, wprost na sali gimnastycznej.

- Jakoś mi to umknęło. - Maddie próbowała przypomnieć sobie Glorię ze szkolnych czasów, bledszą nawet niż dziś, przemykającą pod ścianami.

Policzki różowiły się jej lekko wyłącznie na widok Brenta, znakomitego rutbolisty, szkolnego herosa. Powinna jej wówczas go zostawić. - Jest trzy lata młodsza ode mnie. Przyszła do pierwszej klasy, kiedy ja szykowałam się do college'u.

- No to wierz mi, że zrobiła prawdziwe przedstawienie. Wstrzymała oddech i

posiniała. Inna rzecz, że zawsze była sinawa. Ta kobieta źle się odżywia. Ale należy do tych, które w końcu zawsze dostaną, czego chcą. Te blade, chude blondynki delikatne niczym dmuchawce... Ich trzeba się strzec przede wszystkim.

- Zapamiętam. - Maddie postanowiła wykorzystać tę mądrość w przyszłości.

- Pomyśl tylko o Candace z banku.

Maddie posłusznie pomyślała o Candace z banku, promieniującej zdrowiem fizycznym i psychicznym, inteligentnej, sensownej, praktycznej blondynce jakby wprost z reklamy najlepszej w stanie siłowni, o Candace, która prawdopodobnie położyłaby na rękę połowę swych klientów.

- Nigdy nie wydawała mi się delikatna jak dmuchawiec...

- No nie, to ta jej niemiecka krew, ale przecież niby tylko uśmiecha się, uśmiecha, i proszę, jest dyrektorem banku.

- Dobrze, mam, poddaję się. Nic nie rozumiem.

- To pomyśl, skąd ona się tam wzięła. Przecież nie dzięki rodzinnym pieniądзом. - Mama prychnęła w telefon. - Na litość boską, mówimy o Lowerych! Więc jak to się stało, że rzadzi bankiem? Harold Whitehead nie ma nic do powiedzenia. Do niczego się nie nadaje. Siedzają go w fotelu, bo dobrze w nim wygląda, i podpierają, żeby nie spadł. A ona podejmuje wszystkie decyzje.

Maddie przypomniała sobie posłusznie Candace z czasów szkoły średniej, jej garderobę, w której jedno nie pasowało do drugiego, uczącą się zawzięcie, by dostać stypendium, zawsze spokojną, zawsze panującą nad sytuacją. Nie pozwoliła, by miasto pisało scenariusz jej życia, nie dała mu się pokonać. Może należałoby wziąć z niej przykład?

- Mam, przecież ona pracowała jak wściekła, by osiągnąć tę pozycję.

- Wiem. Ale wcale tego po niej nie widać, prawda? Jest taka chłodna, opanowana.

- Myślałam, że ją lubisz.

- Bo lubię. To bardzo miła osoba. Po prostu zdumiewa mnie, że ktoś z Lowerych kieruje bankiem.

- Nic z tego nie rozumiem. Pora kończyć tę rozmowę. Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz miała jakieś naprawdę dobre informacje o Glorii.

- Wzięła sobie Wilbura Cartera na adwokata. Nie do wiary! Ta kobieta musi być głupsza od buta. Każdy dureń wie, że dobrego adwokata do spraw rozwodowych szuka się w Limie.

No tak: trzeba zajrzeć do książki telefonicznej Limy. Rozwód będzie wystarczająco smakowitym kąskiem dla miasta; po co Maddie ma jeszcze wyjść na głupszą od buta?

- Wracam do łóżka - oznajmiła. - Dbaj o siebie i proszę, nie martw się o mnie.

- I tak będę się martwić. Nie odchodzę od telefonu, jeśli będziesz czegoś potrzebować, dzwoń natychmiast.

- Dziękuję, mamó. Kocham cię.

- Ja też cię kocham, Maddie. A teraz odpoczywaj. Powinna być miłsza dla i tej kobiety, pomyślała Maddie, odwieszając słuchawkę. Wróciła do kuchni, napełniła szklanę wodą, wzięła dwie tabletki przeciwbólowe, następnie przeszła na ganek i usiadła w jednym z wielkich wiklinowych foteli. Próbowała oddychać świeżym letnim powietrzem, ale czuła wyłącznie zapach smoły z rozgrzanego asfaltu podjazdu. Powinna zasadzić kapryfolium. Mnóstwo kapryfolium. Próbowała przypomnieć sobie, jak pachnie, wyobrażając jednocześnie oplatające ganek pnące o jasnych kwiatach. Usiłowała zapomnieć o matce, Em i Brennie, jedynym mężczyźnie, z którym kochała się od czasów szkoły średniej. Szkoła średnia. Co za cudowne wspomnienie. Howie przyznający się do zalania toalet, by Brent mógł wybijać w pierwszym meczu ligi. To w szkole średniej Brent zdobył przyłożenie i zaraz potem pocałował Margaret Erlennmeyer. Już wówczas powinna zrozumieć, na co się zanosi, ale nie, postawiła na zemstę, co skończyło się na tylnym siedzeniu chevroleta W.S.; szukała zemsty, a co właściwie znalazła? Seks nie był bynajmniej wspaniały, ale za to dobrze się bawiła. Najlepiej pamiętała to, że się śmiali. Dobry, stary W.S. Być może Treva ma rację? Może znów przespać się z W.S., zemścić się na Brennie jeszcze raz?

Oczami wyobraźni zobaczyła jego twarz, tę prawdziwą, którą widziała dziś po południu, a nie twarz z dawnych dobrych czasów, zamazaną jak zdjęcie w szkolnym albumie. Była to

twarz mężczyzny rozważnego, pewnego siebie, a przede wszystkim znającego swe miejsce w świecie, solidnego. W.S. Sturgis jako solidny obywatel? Ale dowcip! Dobrze, dobrze, niezależnie od tego, jak jest solidny, ona nie prześpi się z nim po raz drugi, Pewnie nie jest dziś aż tak zdesperowany jak w wieku lat siedemnastu, no i trzeba też wziąć pod uwagę, że zdrada nie leży w jej stylu. Jej styl to bycie dobrą, miłą. Zdrada to kiepski pomysł. Miejmy nadzieję, że W.S. wkrótce opuści miasto. I bez niego miała dość kłopotów.

Środek przeciwbólowy zadziałał. Nie czuła nic i była to miła odmiana po całodziennym paskudnym samopoczuciu. Może teraz będzie w stanie zastanowić się nad przyjemniejszą stroną życia? Tylko gdzie, do diabła, podziela się ta przyjemniejsza strona?!

No, przynajmniej Brent jest sporo wart dla firmy budowlanej. Dobry sprzedawca, i dobry ojciec. Zgoda, najprawdopodobniej znów ją zdradził, sukinyśn jeden, ale jak może go rzucić? Jak może pozbawić Em ojca, zrobić z niego tatusia na jeden wieczór w tygodniu i w co drugi weekend? Przecież on z takim zapałem gra w kręgle! Wyobraziła sobie Em w maleńkich butach do gry w kręgle, szukającą ojca wśród tłumu brzuchatych panów w podkoszulkach reklamujących to lub owo. Niezbyt to przyjemny widok. Tyle że Brent może nie w kręgle gra z takim zapałem. Może Treva ma rację?

Może i dziś Brent wcale nie gra w kręgle? Rozmyślała nad tym przez chwilę, ale myśli plątały się jej beznadziejnie i uciekały we wszystkich możliwych kierunkach, więc w końcu wróciła do domu. Zadzwoiła do Trevy i poprosiła ją o samochód; nie chciała znów rozmawiać z matką, nie dwa razy w ciągu jednego popołudnia!

Telefon odebrał Trzeci.

- Ja opiekuję się potworami - powiedział. - Mama wyszła.

- Nie szkodzi, to nie takie ważne - odparła Maddie, po czym mimo wszystko zadzwoniła do matki.

- Chciałabym pożyczyć samochód - powiedziała bez wstępu. - Nie na długo.

— Udawała, że ogłuchła i czekała, aż matka przestanie zadawać pytania.

A potem wyszła na ulicę, machając wesoło do pani Crosby.

Dziesięć minut później zaparkowała szarą hondę accord matki przy kręgielni i przeszła przez parking. Okrążyła go dwukrotnie, ponieważ wciąż była nieco oszołomiona po środkach przeciwbólowych, ale nie znalazła cadillaca Brenta.

Mały żółty sunbird Trevy stał przy samym wejściu, co wytraciło ją z równowagi, dostrzegła też złocistego Saturna Howiego, stojącego w rogu. od tyłu, tuż obok lśniącego czerwonego kabrioletu, podejrzenie przypominającego mustanga W.S., ale samochodu Brenta nie było. Doskonale. Brent łgał. Też mi niespodzianka.

- Maddie!

Obejrzała się, zmrużyła oczy. Poprzez unoszący się nad parkingiem pył dostrzegła pana Scotta, właściciela kręgielni, stojącego przed głównym wejściem.

- Zobaczyłem samochód twojej matki - powiedział. - Potrzeba ci czegoś?

Dobrze się czujesz? Słyszałem o wypadku. Mogę ci w czymś pomóc?

- Nic mi nie jest, panie Scott - skłamała. - Dziękuję, że pan spytał, ale czuję się dobrze.

Uciekła do samochodu, bojąc się, że zaraz wszyscy, którzy ją ujrzą, zaczną wypytywać, jak się czuje. We Frog Point nie sposób było zejść do podziemia. Podziemia nie było, a miasto miało tysiąc oczu.

W.S. siedział z Vince'em w kręgielni przy barze, wyłożonym pomarańczowym plastikiem, obserwując ostami akt dramatu, który uznałby może za interesujący, gdyby nie to, że unieszczęśliwiał on dwie sympatyczne jego zdaniem osoby. W kącie siedział Howie Basset, niewysoki, doskonały zapoło-wy ze szkolnej reprezentacji baseballu, którego wspominał z prawdziwym szacunkiem, a dwa stołki dalej jego żona, Treva Hanes, śliczna szkolna cheerleaderka, którą doskonale pamiętał jako najlepszą przyjaciółkę Maddie. Oboje byli tak przeraźliwie smutni, że jutro z rana całe miasto z pewnością zacznie rozmowę o kolejnym rozwodzie.

- Cholernie mi się to nie podoba - przemówił Vince, siedzący z nosem w szklance piwa. - Howie to fajny facet

- Kolejny punkt dla Brenta Faradaya - zaryzykował W.S.

- Co za dupek! - Vince pokiwał głową.

Przez cały dzień W.S. systematycznie przeczesywał miasto, szukając Brenta we wszystkich mniej lub bardziej oczywistych miejscach, a znalazł go przez głupie szczęście, grającego w kręgle z ojcem, Normanem Faradayem, byłym honorowym burmistrzem Frog Point, na torze, przy którym grał Vince. Kiedy Brent go zobaczył, zdziwił się wyraźnie; W.S. pomachał do niego, usiadł wygodnie i patrzył, jak Vince bez większego sukcesu próbuje zbić pojedyncze kręgle. Nie było sensu wypytywać o nic Brenta w obecności jego ojca, który pewnie sam próbowałby odpowiedzieć na wszystkie pytania, a stary sukinsyn z pewnością nie wyniesie się stąd przed końcem gry.

Trzy kobiety, które W.S. znał z liceum, podchodziły i proponowały mu szklaneczkę „za powrót do miasta”; kiedy odprawił trzecią, Vince spojrzał na niego spod oka i powiedział:

- Wiesz, przyjacielu, zaczynam być zazdrosny.

- Nie była w moim typie. - W.S. cały czas popatrywał na Brenta kątem oka.

- Twój typ znamy wszyscy, ale ona jest zamężna.

W.S. zignorował go. Bardziej zależało mu na obserwowaniu Brenta i jego taty. W ciągu pół godziny Norman zgromadził wokół siebie spory tłumek. Nie fatygując się, by zniżyć głos, opowiadał wszystkim, jakim to wyjątkowym chłopakiem jest jego syn i jaki idealny byłby z niego burmistrz Frog Point. Brent ścisnął ludziom ręce, ale ilekroć usłyszał o burmistrzu, energicznie potrząsał przecząco głową. Kilka razy powiedział wprost: „Nie, nie jestem zainteresowany kandydowaniem, dziękuję”. Norman wydawał się głuchnąć na czas tego prostego twierdzenia, po prostu władczym gestem wzywał kolejną osobę, by przedstawić jej walory syna jako kolejnego burmistrza Frog Point WS. byłby pewnie współczuł Brentowi, gdyby nie to, że go tak bardzo nie lubił.

Brent wraz z ojcem przeszedł w końcu do baru. W.S. złapał Vince'a za rękaw i pociągnął go za sobą. Zamówili po piwie i przyglądali się dyskutującym Faradayom. Brent rozgrzewał się i coraz częściej kręcił głową, Norman był coraz bardziej władczy, a sprzeciwy syna spływały po nim jak woda po gęsi.

- Akurat tego nam potrzeba, kolejnego Faradaya na burmistrza - burknął Vince. - Cholerne dupki, ojciec i syn.

- Mam wrażenie, że Brentowi wcale nie podoba się ten pomysł.

- Ale podoba się Normanowi. Idę o zakład, że podoba się też Helenie. Jeśli zaś podoba się obojgu, Brent zrobi to, co im się podoba. Nie ma szans. Będzie burmistrzem. Co za cholerny dupek!

Norman odszedł nagle. W.S. uniósł się ze stołka, by podejść do Brenta, ale natychmiast usiadł z powrotem, bo do Brenta podszedł Howie, porzucając towarzystwo żony.

- Nieźle się zapowiada - ucieszył się Vince. - Słyszałem różne rzeczy.

- Jak wszyscy mieszkańcy miasteczka Frog Point, żywisz się plotkami. - W.S.

miał ochotę udać obojętność, ale ciekawość wzięła górę. W końcu miał się czegoś dowiedzieć. A dowiedzieć się to przecież nie to samo, co słuchać plotek, prawda? - Co słyszałeś? - spytał zatem.

- Są jakieś kłopoty w firmie budowlanej. Coś dziwnego dzieje się z pieniędzmi. Przynajmniej tak mówią. A jeśli to prawda, dam głowę, że to nie Howie kombinuje.

- Nie, z całą pewnością nie on. - W.S. grywał w baseball z Howiem, który zawsze grał twardo, ale nigdy nie oszukiwał. Teraz, wypytyując Brenta, Howie był naprawdę wściekły. W.S. obserwował męża Maddie, który najpierw próbował zakrzyczeć rozmówcę, potem coś mu tłumaczył, a potem już tylko usiłował uciec. Howie cały czas mówił cicho, ale był tak spięty, że skupił na sobie uwagę co najmniej kilku osób.

Nagle na scenie pojawiła się Treva. Szturchnęła Brenta w ramię i syknęła mu w ucho:

- Właśnie ciebie szukałam.

Kolejne głowy odwróciły się w ich kierunku, gdyż Treva zbladła jak płótno, kiedy Brent poruszył się i zobaczyła siedzącego za nim własnego męża.

- Znalazłaś mnie, ale pewnie wolałabyś porozmawiać z Ho-wiem - powiedział Faraday. Rzucił na bar kilka banknotów i wstał. - Bawcie się dobrze.

Treva opadła na stołek. Między nią a Howiem pozostał jeden wolny.

- O, cholera - podsumował sytuację Vince.

W.S. przez kilka chwil przyglądał się małżonkom z sympatią zaprawioną zgrozą, po czym udał się za Brentem.

Nie znalazł go. Parking otaczał kręgielnię ze wszystkich stron. Obszedł go, ale najwyraźniej zaczął poszukiwania od złej strony. Brent musiał wywiać, gdy tylko znalazł się na dworze, a biorąc pod uwagę, że na ogonie miał Normana, Howiego i Treve, nietrudno było zrozumieć, dlaczego tak się spieszył.

Tylko jedno trudno było pojąć. Dlaczego W.S. nie zdołał znaleźć Brenta Faradaya, mimo że szukał go przez cały dzień w małym miasteczku? Było zupełnie tak, jakby Brent wiedział, że jest poszukiwany i przez kogo, i umyślnie unikał spotkani.- A to źle wróżyło inwestycji narzeczonego Sheili.

W.S. wrócił do baru i znów przysiadł się do Vince'a.

- Znalazłeś go? — spytał Vince.

- Kogo?

- Brenta. - Vince nawet nie próbował udawać, że bawią go gierki przyjaciela. - Faceta, którego ścigałeś ostatnio po całym mieście. No więc znalazłeś go, czy nie?

- Nie. Powiedz mi, co właściwie dzieje się w tej firmie budowlanej.

- Henry wie, o co pytasz, prawda? - Piegi na twarzy Vince'a stały się naraz wyraźniejsze. - Nie chodzi tylko o to, że chcesz podenerwować tego dupka. Bo jeśli Henry nie wie, pomogę ci, ale będę musiał uważać. Henry'emu by się to nie spodobało.

- Wie.

W.S. przyglądał się Trevie, która uwiesiła się na ramieniu męża i o coś go błagała. Wyglądała tak żałośnie, że była w stanie złamać serce każdemu mężczyźnie. No, chyba że kantowała Howiego wraz z Brentem Faradayem, w którym to przypadku piekielne ognie byłyby niedostateczną dla niej karą.

- Co zmalował Brent? - spytał.

- Dottie Wylie twierdzi, że firma oszukała ją przy budowie domu w zeszłym roku.

W.S. nagle naprawdę zainteresował się słowami Vince'a.

- Co...? Dom się rozpadł?

- Nie. - Vince spojrział na niego spod zmarszczonych brwi. - Howie buduje dobre domy. Takie jak mój. Dottie twierdzi, że zapłaciła za dużo, a przecież pieniędzmi w tej firmie zajmuje się Brent. On wycenia budowy, sprzedaje gotowe domy, załatwia papierkową robotę, Howie buduje... -Vince przez chwilę szukał odpowiedniego słowa... - Brent handluje. Nie kupiłbym od niego nawet używanego samochodu. Dom Howiego - jasne, od reki, ale nie używany samochód od Brenta.

W.S. próbował dopasować jakoś te informacje do sprawy Sheili. Firma nie była całkiem oszukańcza, ponieważ domy budował Howie; domy były w porządku właśnie dlatego, że za budowę odpowiadał Howie. Ale wszelkie kwestie finansowe należały do Brenta, a ukochany Sheili miał właśnie przekazać dwieście osiemdziesiąt tysięcy dolarów facetowi, któremu Vince nie ufał za grosz. Jeśli zaś Vince mu nie ufał, coś musiało być nie tak.

Przypominając sobie rozmowę z Henrym i Anną przy kolacji, W.S. uznał, że jak na jeden wieczór dowiedział się aż za wiele. Jedyne, co mu pozostało, to zadzwonić do Sheili i poradzić jej, by powstrzymała Stana przed dokonaniem inwestycji.

Z telefonem miał jednak zamiar poczekać. Powinien przed-tem porozmawiać z Howiem. Sheila chciała tego uniknąć, argumentowała, że transakcję zawierają Stan i Brent, ale przecież Howie powinien wiedzieć, co jest grane; w końcu była to także jego firma. Howie był całkiem rozsądnym facetem, z pewnością sprawdzi, co się dzieje. Brenta da się jakoś powstrzymać, a może nawet wykazać, że jest sukinsynem, którym niewątpliwie jest rzeczywiście. Tylko że w tym momencie Howie nie wyglądał wcale na rozsądnego faceta. Przypominał raczej rozwścieczonego muła.

- Powinienem porozmawiać z Howiem - powiedział W.S.

- Na twoim miejscu poczekałbym z tym do jutra - odparł Vince.

Treva powiedziała coś do męża. Twarz miała napiętą. W.S. po prostu nie był w stanie nie współczuć obojgu. A kiedy Treva wstała i wyszła z baru, poczuł się jeszcze gorzej, bo przecież byli to bardzo sympatyczni ludzie. Nie powinni sprawiać wrażenia takiego, jakie sprawiali. Kolejny dług, który będzie musiał spłacić Brent Faraday, dodany do długów wcześniejszych. Bo to przez niego Maddie wyglądała na nieszczęśliwą.

W.S. pomyślał jeszcze, że Brent będzie musiał zapłacić przede wszystkim za Maddie.

Maddie krążyła po mieście jeszcze przez godzinę, odwiedzając wszystkie parkingi, które zdołała sobie przypomnieć, podjechała nawet do jedyne go we Frog Point motelu. Szukała cadillaca Brenta, przez cały czas czując się jak typowa głupia, zdradzona żona. W końcu zatrzymała się gdzieś na poboczu i nakazała sobie: myśl! Gdzie pojechałaby, gdyby chciała być sam na sam z kimś, kto nie byłby Brentem? Przede wszystkim tam, gdzie nie rzucałaby się w oczy nikomu z Frog Point. Głupio zrobiła, sprawdzając bary, Brent z pewnością nie podjechałby do żadnego baru. Postępował bardzo ostrożnie, skoro nikt w miasteczku nie zorientował się, że zdradza żonę. Musiał znaleźć sobie jakieś miejsce, którego odwiedzanie nie przyszkodziłoby do głowy żadnemu z mieszkańców miasteczka.

W grę wchodził więc wyłącznie Point. Niemal zapomniała, że dawno, dawno temu jeździli tam wszyscy, którzy nabrali ochoty na pozbycie się cnoty, ponieważ od dawna nikt tam nie bywał. Howie i Brent kupili ten teren dla firmy, zagrodzili drogę u stóp wzgórza, a przed miesiącem zatrudnili nawet strażnika. Oznaczało to, że Point jako miejsce, w którym odbywały się orgie pod gołym niebem, przeszło już do historii.

Było to oczywiste dla wszystkich oprócz, rzecz jasna, Brenta. Bailey, strażnik na nocnej zmianie, pędził amatorów pieszczot, ale gdyby rozpoznał samochód szefa, z pewnością by go przepuścił. Nie rozpozna jednak accorda matki Maddie, zatrzyma go i spróbuje wytłumaczyć jej, że nie ma po co jechać pod górę. Następnego ranka całe miasto wiedziało by zaś, że Maddie w pogoni za mężem próbowała wjechać na Point.

Musi więc dotrzeć na górę inną drogą.

Opuściwszy granice miasta, zatrzymała się sto metrów za skrzyżowaniem z drogą prowadzącą na tereny firmy. Zjechała z gruntowej, wyboistej ścieżki. Zaparkowała pod starymi wiązami o obwisłych grubych gałęziach, rosnącymi wzdłuż rowu. Las między drogą i Point był gęsty, dziki, ale do pokonania. Kiedy była mała, chodziła tu na grzyby z dziadkami. To właśnie tu stworzyła prawie cały licealny zielnik. Teraz być może złapie tu męża z kochanką. Na tę myśl dostała dreszczy, choć upał wręcz przygniatał do ziemi. Muszę wiedzieć - pomyślała. Muszę mieć pewność, nim zniszczę świat Em.

Kłopot z gęstym lasem był taki, że musiała przeciskać się przez krzaki; odgięte sprężyste gałązki odskakiwały, ciężłe ręce, wplątywały się we włosy. Ale gęsty las miał też swoją dobrą stronę: zawsze dało się o coś oprzeć. Ziemia była wilgotna, pokryta warstwą zgniłych liści, które przyklepiały się do butów Maddie; ślizgała się coraz częściej. Świerszcze cykały zawzięcie, upał podniecał je do bicia rekordów szybkości cykania. W miarę, jak wspinała się na Point, czuła na twarzy coraz silniejsze powiewy wiatru, kołyszającego leśnymi roślinami; słodki zapach kapryfolium przeniósł ją w czasie o dwadzieścia lat. Pamiętała ten zapach, świerszcze i wiatr, pamiętała księżyc, a

przede wszystkim pamiętała W.S. na tylnym siedzeniu jego chevroleta, przytulającego ją i zmuszającego do śmiechu, walczącego z jej biustonoszem. Dotarła na Point, zatrzymała się na granicy lasu i spojrzała na otwarty, wysypany żwirem parking.

Stał tam samochód Brenta.

Maddie oparła się o drzewo; energia opuściła ją wraz z wątpliwościami. To tyle, jeśli chodzi o teorię idiotycznego żartu. Księżyc wschodził, rzucając poświatę na przednie siedzenie; widziała głowę Brenta. Z jej ruchów mogła wnioskować, że Brent spiera się o coś. Wychyliła się, chciała zobaczyć jak najwięcej. Głowa kogoś towarzyszącego jej mężowi znieruchomiła, jakby ten ktoś zobaczył coś za szybą samochodu.

Brent otworzył lewe drzwi. Otworzyły się także drzwi od strony pasażera, lecz Maddie dostrzegła tylko głowę z jasnymi włosami, gdy para przeszła na tylne siedzenie. Beth miała rude włosy, a więc Brent znalazł sobie kogoś nowego. Ktokolwiek to był, nie widział jej, bo gdyby widział, z pewnością powiedziałby o tym Brentowi. Teraz widać już było nieregularną plamę dwóch głów, które powoli znikły z jej pola widzenia. Mąż i jego kochanka leżeli na tylnym siedzeniu.

Co za sukinsyn!

Co by się stało, gdyby po prostu podeszła teraz do samochodu i otworzyła drzwi? Po prostu podeszła, otworzyła drzwi i powiedziała coś nieuprzejmego, na przykład: „Czy nadal utrzymujesz, że te czarne koronkowe majteczki to tylko marny żart?”. Treva z pewnością postąpiłaby właśnie tak, ale Treva nigdy nie będzie miała okazji tak postąpić, ponieważ poślubiła Howiego, męża doskonałego. To Maddie wyciągnęła pusty los, Brenta, niech go wszyscy diabli! Wyobraziła sobie wyraz twarzy męża, gdyby otworzyła te drzwi, wyobraziła sobie wyraz twarzy nie znanej jej kobiety. Gdyby zdobyła się na zrobienie tych kilku kroków, przekonałaby się przynajmniej, do kogo należały te obrzydliwe majtki. Nie znalazła się przecież w sytuacji wymagającej szczególnej subtelności.

Zrób to! - nakazała sobie i postąpiła krok w kierunku samochodu. Nagle dostrzegła ruch na skraju lasu po przeciwnej stronie. Cofnęła się, utkwiała wzrok w ścianie drzew. Może to jeleni? W każdym razie coś dużego. Pochyliła się lekko i czekała, aż znów dostrzegła poruszenie. Owszem, coś dużego, może yeti, może seryjny morderca, o którym myślała, nim otworzyła drzwi W.S. Oczywiście, we Frog Point yeti być nie mogło, podobnie jak seryjnych morderców, ale równie niemożliwe we Frog Point wydawało się przecież to wszystko, co spotkało ją dzisiaj, a już zwłaszcza to, co działo się w tej chwili. Czekwała dobrą minutę, aż uznała, że czyjaś obecność po prostu się jej przywidziała, i już miała znowu się poruszyć, kiedy z zarośli wyszedł jakiś człowiek. Wolnym krokiem, ostrożnie, zbliżał się do samochodu, już z daleka zaglądając do środka. Bailey, strażnik z nocnej zmiany. Maddie znów oparła się o drzewo, swego

przyjaciela, zbyt zmęczona, by śmiać się lub płakać. Oczywiście, dlaczego Bailey miałby nie przyjść, nie nacieszyć oczu, pewnie strasznie się nudził. Gdyby powstał w lesie jeszcze przez chwilę, widziałby, jak Maddie otwiera samochód, a potem dostaje ataku szału, którego nikt nie byłby w stanie przegapić. I nikt by go nie przegapił dzięki ożywionej działalności Bailey'a. W porządku, poczeka, aż ci dwoje wyjdą.

Cienie na tylnym siedzeniu poruszały się, Maddie zamknęła oczy. Mąż i nieznana kobieta kochali się; Bailey miał na co popatrzeć, lecz ona musiała czekać. Tego już było za wiele. Odwróciła się i opadła na ziemię, opierając się plecami o drzewo. Chciała przyjrzeć się rywalce, chciała, by Bailey wreszcie sobie poszedł, chciała wrócić do domu. Siedziała na zgniłych, wilgotnych liściach, podczas gdy jej mąż kochał się z inną kobietą. Od tej myśli zrobiło się jej niedobrze. Jakie w gruncie rzeczy ma znaczenie, kim jest ta kobieta? Dowie się tego, kiedy rzuci Brenta. A rzuci go z pewnością. I tylko to jest naprawdę ważne. Rzuci go bez żadnych wątpliwości.

Niech to diabli! Maddie wstała. Jak na jeden dzień przeżyła dość, nie musi w dodatku do tego wszystkiego dostarczyć jeszcze rozrywki Bailey'owi. Brent prędzej czy później wróci do domu. Jeśli Maddie dostanie ataku furii wówczas, nie robi z siebie widowiska w miejscu publicznym. Najważniejsze ze wszystkiego jest to, że teraz wie. Już nie musi się martwić, że Brent robi z niej idiotkę, tłumacząc się tak przekonująco. Teraz po prostu wie!

Rozpoczęła drogę powrotną do samochodu. W dół szło się jej łatwiej, chociaż ślizgała się na zgniłych liściach. Kiedy wreszcie dotarła do auta, przede wszystkim zdjęła buty i położyła je na gazecie, którą matka wozila na wycieraczkę pod tylnym siedzeniem; kładła na niej parasolki i w ogóle wszystko, co mogłyby pobrudzić wykładzinę. Ona również nie powinna brudzić niczego, co należy do matki.

Usiadła za kierownicą. Głowa bolała ją bardzo, środek przeciwbólowy przestawał działać. Do diabła! - pomyślała. - Do diabła! Wrzuciła bieg i ruszyła w kierunku miasteczka.

Wróciła do domu o wpół do dwunastej. W.S. zdążył tymczasem zdrzemnąć się w samochodzie, zaparkowanym po przeciwnej stronie ulicy.

Nie spodobał mu się jej dom - wprawdzie pomalowany był na ładny niebieski kolor, miał białe okiennice i szeroki ganek, lecz tracił na urodzie już tylko przez to, że mieszkał tu Brent. Mieszkańcy ulicy byli tak typowo frogpointowi, że niemal wszyscy zdążyli już przyjrzeć się W.S. przez zasunięte firanki. Nim Maddie wróciła, był gotów gryźć. W tej chwili obserwował ją wysiadającą z samochodu i ochota do gryzienia sąsiadów przeszła mu jak ręką odjął. Światło latarni sprawiło, że podjazd był nieco mroczny, przez co W.S. nie widział twarzy Maddie. Zauważył jednak, że bezwładnie opiera się o maskę samochodu.

Omów do niej nie podbiegł. Jeśli na świecie istniał ktoś, kto nie powinien być

krzywdzony, nie powinien być samotny, to tym kimś była właśnie Maddie. Nagle przed oczami zobaczył scenę z podstawówki, którą wcześniej przypomniała mu Anna. Widział czysto i wyraźnie, jakby zdarzyło się to zaledwie wczoraj.

Działo się to w ostatnim tygodniu lekcji, w piątej klasie. Nad boiskiem Szkoły Podstawowej imienia Harolda G. Troopa unosił się kurz. W.S. czuł jego smak i smak krwi. Właśnie obił na kwaśne jabłko Pete'a Murphy'ego, który nazwał go świnia, i teraz zwiewał najdalej jak się dało, pewien, że pani Widding-ton dopadnie go w końcu, ale nadal żywiąc nadzieję, że zapomni o wszystkim przed dużą przerwą. Skręcił za róg, chciał schować się wśród mrocznych, stalowych schodów przeciwpożarowych, i nagle stanął twarzą w twarz z Maddie Martindale, jedną z tych głupich dziewczyn z szóstej klasy, które uważały się za ósmy cud świata. Już miał i przed nią uciec, ale zatrzymał się wbrew samemu sobie.

Siedziała na szóstym chyba stopniu drabinki przeciwpożarowej i wyglądała jak żywcem wyjęta z katalogu Searsa. Brązowe, gęste włosy związane miała wielką czerwoną kokardą w lśniący koński ogon. Ubrana była w prostą czerwoną sukienkę z szerokim białym kołnierzem, tak czystym, że wprost lśnił w słońcu. W.S. pamięta, jak wycierał krew z warg grzbietem jednej dłoni, a drugą ściągał porwaną koszulę, próbując od razu strzepnąć z niej kurz. Ręce miał tak brudne po bójce, że tylko pogorszył sprawę, więc speszony spojrzał na jej dłonie, na paznokcie błyszczące i czerwone jak sukienka. To wtedy zorientował się, że coś jest nie tak, bo zdrapywała lakier z paznokcia prawego kciuka; był łaciaty i wcale nie taki piękny jak jej ręce.

- Co ci się stało? - spytał, wycierając dłonie o dzinsy, wstydząc się, że jest taki brudny i wściekły na siebie.

Spojrzała na niego suchymi, zaczerwienionymi oczami.

- Tata umarł.

Poruszyło to nawet W.S., twardego faceta, którego nic nie ruszało.

Oczywiście, i jego tata umarł, dawno temu, tak dawno, że nawet go nie pamiętał.

- Kiedy? - spytał.

- We wtorek.

W.S. policzył wstecz. Dziś był poniedziałek. Sześć dni.

- Kiepska sprawa - powiedział i nagle przyszło mu do głowy, że to trochę za mało. - Przykro mi.

Skinęła głową i wróciła do zdrapywania lakieru z kciuka. W.S. poczuł, że powinien bardziej się postarać. Była taka czysta, taka niewinna, ktoś powinien zrobić coś, żeby poczuła się lepiej. Wsadził ręce w kieszenie, ale znalazł tylko kawałek gumy do żucia, Juicy Fruit, a nawet jej żółte opakowanie było brudne.

Podniósł wzrok i zobaczył, że dziewczynka przygląda mu się uważnie.

- Masz - powiedział i podał jej gumę.

Przyjęła ją, ale w jej czystych rękach wydała mu się tak brudna, że omal nie odebrał jej tego daru serca i nie uciekł.

Nim zdążył jednak zrobić cokolwiek, dziewczynka uważnie rozpakowała gumę, odzierając ją najpierw z żółtego papierka, a potem z folii. Przełamała listek i podała mu połowę.

Wziął, być może dzięki gumie przełknął kulę w gardle, a kiedy Maddie zrobiła mu miejsce, przysiadł obok niej na drabince, uważając, by brudna koszula nie dotknęła rękawa jej nieskazitelnej sukienki. Siedzieli na słońcu, grzejąc się i żując gumę w milczeniu.

Była to zapewne najpiękniejsza chwila w jego dziesięcioletnim życiu.

Na scenie pojawiła się nagle pani Widdington.

- W.S. Sturgis! - krzyknęła i przerwała, widząc nicponia w towarzystwie dziewczynki. - Dzień dobry, Madeline. - Do niej zwróciła się cichym, miłym głosem. - Jak się czujesz?

- Dobrze, dziękuję.

- Cieszę się. Naprawdę bardzo się cieszę. - Stara Widdy przez chwilę wyglądała po prostu głupio, jakby nie wiedziała, co powiedzieć. Ale to szybko minęło. - Chodź ze mną, młody człowieku - zwróciła się do W.S., tak jakby miała zamiar za chwilę go zamordować.

W.S. rozważał przez chwilę możliwość ucieczki, ale szybko z niej zrezygnował. Przecież Maddie na niego patrzyła. Wstał, nadal uważając, by się o nią nie otrzeć, i zszedł po drabince wprost w ramiona groźnego przeznaczenia.

Widdy złapała go za kołnierz i pociągnęła za sobą, ale po kilku krokach zatrzymała się. Zaciskając dłoń na jego czerwonym uchu, spojrzała na dziewczynkę.

- Może potrzebujesz czegoś, Madeline? - spytała cicho, uprzejmie. - Może czegoś chcesz?

Obejrzał się przez ramię na tyle, na ile pozwalał mu uchwyt Widdy, i dostrzegł, że Maddie skinęła głową.

- Owszem. Chcę, żeby ten chłopiec został ze mną. Widdy była wyraźnie zaskoczona, ale niemal natychmiast oprzytomniała i powiedziała, że bardzo jej przykro, ale to wykluczone, ponieważ W.S. jest niedobrym chłopcem, i zaprowadziła go do dyrektora. Oberwał po łapach, co miało

nauczyć go, że to nieładnie się bić. Co tam lanie! Najważniejsze, że Maddie powiedziała: „Chcę, żeby ten chłopiec został ze mną”.

Potem został zawieszony na tydzień, potem szkoła się skończyła, a następnego roku Maddie była już w gimnazjum, a choć i on trafił w końcu do gimnazjum, mijali się, bo ona chodziła na mądre zajęcia, a on na te głupie.

Cały też czas miał problemy z zachowaniem. Nie widywał jej więc ale nie musiał: ilekroć zamknął oczy, pojawiała się przed nimi, siedząca na drabince i mówiąca: „Chcę, żeby ten chłopiec został ze mną”.

Teraz jednak nic nie mówiła. Patrzył, jak powoli ostrożnie idzie od samochodu na ganek. Bardzo pragnął jej pomóc. Nie powinna być sama, ale wiedział także że nie powinna być tylko z nim. Ludziom nie zamykałyby się usta; już ich pewnie obserwują. Henry obdarłby go za to żywcem ze skóry. Zastanawiał się właśnie, czy nie pojechać po Annę, kiedy Maddie oparta się o barierkę ganka, jakby nie miała sił zrobić następnego kroku. Wysiadł więc z samochodu.

- Maddie! - zawołał.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Czekałem na Brenta. Nic ci nie jest?

- Och! - Jej głos brzmiał niepewnie, bezdźwięcznie. - Myślałam, że mnie śledzisz. Po prostu miałam ciężki dzień.

- Zaraz się skończy - spróbował żartować. - Za pół godziny północ. - Maddie zachwiała się. Podtrzymał ją za łokieć i dopiero teraz zauważył, że jest bosa. Sprawiała wrażenie tak małej i bezradnej, że serce mu stopniało. - Nic ci nie jest? - powtórzył. Miał zamiar pomóc jej wejść na ganek, ale oparła się na nim całym ciałem, więc otoczył ją ramieniem i poczuł, że serce zaczyna mu bić jeszcze szybciej. Kiepska sprawa. - Maddie, mam wezwać lekarza? Potrząsnęła głową, a ponieważ przytuliła mu ją do piersi, jej gęste włosy otarły się o jego brodę. Były tak miękkie, że przestał myśleć i po prostu przytulił ją mocno. Bardzo pragnął zapewnić jej bezpieczeństwo, ale nie tylko. Po prostu bardzo jej pragnął.

- Szalenie mi przykro, Mad. Nie wiem, o co chodzi, ale wiem, że znalazłaś się w paskudnej sytuacji i cholernie mi się to nie podoba. Co mogę dla ciebie zrobić?

- No... - Odetchnęła głęboko, zadrżała. - Przede wszystkim nie bądź dla mnie miły, bo popłaczę ci się w koszulę.

- Nic nie szkodzi - odparł W.S., który nie znosił widoku płaczących kobiet. Ale płacząca Maddie to przecież coś zupełnie innego. Mogłaby wytrzeć sobie nos jego koszulą, gdyby chciała i gdyby dzięki temu mógł nie wypuszczać jej z objęć. - Płacz, jeśli ci to pomoże.

Wtuliła się w niego, on mocniej przygarnął ją do piersi i stali tak przez chwilę w milczeniu.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że stoimy pośrodku podwórka? - spytała nagle niemal zupełnie zwykłym głosem. Cała ulica nas widzi. - Uniosła głowę, na jej wargach pojawił się cień uśmiechu, a jego serce wykonało salto mortale. - Co z twoją reputacją?

- Niech ją diabli! - odparł, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej żartobliwie. - Mimo że miasto zawsze ceniło mnie tak, jak na to zasługiwałem.

- Ja również ceniłam cię tak, jak na to zasługiwałeś - stwierdziła poważnie i W.S. na chwilę zapomniał oddychać.

Maddie wykorzystała tę okazję, by się od niego odsunąć. Poczuł się w tym

momencie tak nic nie znaczący jak jeszcze nigdy.

- Dziękuję ci. Bardzo potrzebowałam kogoś w tej chwili

- Nie jesteś już sama. - Przez głowę przemknęła mu myśl, by ją po prostu porwać, zabrać do Anny, zadbać, by nigdy już nie czuła się taka nieszczęśliwa. Ale Brent... Poza tym miała dziecko, córeczkę... Dla nich obojga było już za późno. - Dbaj o siebie, Mad. A jeśli będziesz czegoś potrzebowała, po prostu na mnie krzyknij.

Poszedł dróżką do swego samochodu. Usłyszał jeszcze ciche „dziękuję ci”, a kiedy wsiadał, Maddie była już w domu. Siedział, obserwując, jak w okolicznych domach gasną światła. Próbował myśleć o sprawach jak najbardziej obojętnych, nie pomogły mu one jednak opanować tęsknoty i duszy, i ciała. Lepiej będzie, jeśli wyniesie się stąd jak najdalej.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Jutro znajdzie Brenta; sukinsyn, nie może przecież ukrywać się przed nim w nieskończoność. A potem wyjedzie, niezależnie od tego, ilu księgowych funkcjonuje we Frog Point.

Piątkowy ranek nadszedł zbyt wcześnie. Maddie przewróciła się na drugi bok i natychmiast tego pożałowała. Głowa pulsowała jej bólem, samą myśl o otwarciu oczu uznała za nonsensowną, ale mimo to otworzyła je. Promienie słońca radośnie stepowały po jej mózgu i dopiero po dobrej chwili zdołała zerknąć na drugą stronę małżeńskiego łóża. Ktoś musiał w nim spać, co oznaczało, że Brent zdążył przyjechać, kiedy spała, i wyjechać, nim się obudziła po podwójnej dawce środków przeciwbólowych. Słyszała dobiegającą z pokoju Em muzykę, co świadczyło o tym, że Brent przywiózł córkę w nocy. Dotrzymał słowa i szybko uciekł. Nie miał sobie równych w uciekaniu.

No cóż, przynajmniej jedno jest pewne: nigdy nie ma Brenta, gdy jest potrzebny. Nie wszyscy mężczyźni zdolni są do tak konsekwentnego postępowania. Maddie czytała gdzieś, że maltretowane żony i dzieci potrafią znieść wszystko, pod warunkiem, że maltretowanie stanie się rutyną, okazuje się nieznosne dopiero wówczas, gdy występuje sporadycznie. Brent okazał się wytrawnym rutyniarzem. Gdyby z nim została, miałyby wprowadzić pewność, że będzie ją zdradzać, ale z drugiej strony wiedziałyby również, że jej nie rzuci. Wiele kobiet godziło się na taki układ.

Miała przed sobą jasną przyszłość pełną gniewu, którego nie wolno wykrzyzczyć, bólu, który trzeba znosić, choć nie sposób go znieść, nieuniknionej samotności i równie nieuniknionego braku uczucia.

Zamknawszy oczy, przypomniała sobie W.S., który objął ją mocno i powiedział, że cholernie mu się nie podoba sytuacja, w jakiej ona się znalazła. Był dla niej praktycznie obcym człowiekiem, a jednak okazał ciepło, którego Brent nie był w stanie jej dać przez ostatnie pięć lat.

Gdyby z nim została, nie zaznałyby ciepła aż do śmierci.

Niech to wszyscy diabli wezmą! - westchnęła i podniosła się z łóżka, gotowa do walki.

5

Stała w jasnej od słońca kuchni. Wzięła właśnie poranną porcję środków przeciwbólowych. Wszystko ją bolało, ale nie tylko od zderzenia z datsunem. Żyła w napięciu od... spojrzała na zegar, policzyła w myśli... dwudziestu dwóch godzin, czyli od chwili znalezienia tych przeklętych majtek. Przez dwadzieścia dwie godziny szykowała się na nadejście nieuniknionego. No cóż, nieuniknione nadeszło, po jakiego więc diabła stać to teraz i martwić się, że może nadejść?

Potrzebowała prawnika, specjalisty od rozwodów, przy czym było oczywiste, że nie wchodzi w rachubę nikt z Frog Point. Nie dopuści do tego, by mówiono o niej „głupia jak but”. Trzeba znaleźć odpowiedniego adwokata w Limie. Znała ludzi rozwiedzionych, ale nie miała pojęcia, jak do tego doszli. Poza tym nie był jej potrzebny byle adwokacina, lecz prawdziwy rekin, który zapewni jej prawo opieki nad Em i dopilnuje, by nie wyszła na idiotkę. Kto z jej znajomych dobrze wyszedł na rozwodzie? Prosta odpowiedź: nikt. Nikomu rozwód nie wychodzi na dobre oprócz prawników. Pomyślała o Em, zamknęła oczy i nakazała sobie: myśl!

Jej matka powiedziała kiedyś, że Sheila Bankhead odebrała W.S. przy rozwodzie ostatni grosz. Kiedy W.S. pojawił się na jej progu, nie sprawiał bynajmniej wrażenia nędzarza, wręcz przeciwnie, na pierwszy rzut oka widać było, iż odniósł w życiu sukces, ale rozwiódł się ładnych parę lat temu. Miał czas na odbicie się od dna.

Wyciągnęła książkę telefoniczną Frog Point z półki pod stolikiem. Przerzuciła strony na "B" przy czym zauważyła, że kartki drżą. Uspokójcie się! - nakazała swym trzęsącym się rękoma. Znalazła numer Sheili i zadzwoniła. Oddychała głęboko, póki w słuchawce nie usłyszała:

- Halo...?

- Sheila? Mówi Maddie Faraday. - Cisza. A więc jeszcze raz: - Sheila...?

- Bardzo przepraszam. - Głos w słuchawce wydał się jej niepewny, ostrożny. - Maddie Faraday...?

Maddie poczuła się strasznie głupio.

- Chodziłyśmy razem do liceum. Jestem...

- Wiem, kim jesteś. Tylko... tylko kompletnie mnie zaskoczyłaś.
Maddie przysunęła sobie krzesło i usiadła. Stanie wyczerpywało energię, której potrzebowała na tę rozmowę.

- Wiem, nie przyjaźniłyśmy się. Nie zawracałabym ci głowy, ale potrzebuję rady...

- Ty potrzebujesz mojej rady? - Głos Sheili zdradzał zdumienie.
Maddie dała sobie spokój z konwenansami, ponieważ najwyraźniej tylko komplikowały tę szczególną sprawę, i przeszła do rzeczy:

- Potrzebny mi dobry adwokat, specjalista od rozwodów. Znasz takiego?

- Rozwodzisz się? - Gdyby Sheila znajdowała się teraz w kuchni Maddie, od tego pytania popękałyby szklanki.

- Nie, nie ja. Sąsiadka.

- Ach tak, Gloria Meyer. Słyszałam, że zatrudniła Wilbura Cartera.

- Mama jest zdania, że to kiepski pomysł. - Maddie udało się wreszcie powiedzieć prawdę i była z tego bardzo zadowolona.

- Mądrze mówi. Powiedz Glorii, żeby wzięła sobie Jane Henries. Przy moim rozwodzie była po prostu wspaniała. W.S. nie zdążył się nawet zorientować, co mu spada na łeb. Mieszka w Limie. Zaczekaj. Zdaje się, że mam jeszcze jej numer telefonu.

Minęło zaledwie dwadzieścia minut i Maddie miała już prawnika.

- Maddie Faraday? - spytała Jane. - Twój mąż jest właścicielem firmy budowlanej we Frog Point?

- Udziałowcem...

- Mam rodzinę w waszej okolicy. Siostrzeniec chodził na twoje lekcje o sztuce. Chcesz się rozwieść?

- Tak. - Maddie nie bardzo pojmowała, jaki związek ma jej rozwód z lekcjami, ale zabrnęła zbyt daleko, by się teraz wycofać. - Może mi pani pomóc, pani Henries?

- Ależ oczywiście. - W słuchawce rozległ się wesoły śmiech. - Mów mi „Jane”. Dzisiaj przez cały dzień będę zajęta, ale możesz przyjechać w poniedziałek...

- W porządku.

- ...a tymczasem spróbuj znaleźć wszelkie dokumenty finansowe męża, żebyśmy wiedziały, o co gramy...

- Chcę tylko opieki...

- i niczego nie przegapiły. Rozumiem, że mówimy o rozkładzie pożycia?

- O tak. O rozkładzie. Mam ochotę go zamordować. Jane Henries znów się roześmiała.

- W tym nie mogę ci pomóc, ale znajdź te papiery, to go puścimy z torbami. Bywa, że to dla nich gorsze od śmierci.

- Nie chcę go rujnować...

- Chcesz, chcesz, tylko sama jeszcze o tym nie wiesz. Masz dziecko, które lada chwila pójdzie na studia. A on tymczasem założy nową rodzinę i co wówczas stanie się z twoją córką?

- On nigdy nie...

- Wręcz przeciwnie; zawsze tak. Zdobądź mi te dokumenty, dobrze?

Brent nie wykreśliłby przecież Em ze swego życia. Za nic w świecie. Za nic...?

- Dobrze. Zrobię wszystko, czego żądasz,

- Świetnie. Oby tak dalej.

Kiedy w piętnaście minut później Em zeszła do kuchni,

Maddie nalewała mleko do kubka z Flintstonami, obserwując uważnie jego poziom. Zatrzymała się dobre trzy centymetry od krawędzi, dzięki czemu mała miała dostać zarówno wystarczającą porcję potasu, jak i szansę, że nie obleje się od stóp do głów. Maddie mogła już skoncentrować się na czymś innym niż dokumenty finansowe, prawnicy i rozwody i myśli o tym, jakim cudem zapewni córce wykształcenie, jeśli Brent zafunduje sobie kupę dzieciaków z damą od koronkowych majtek. Skupiła uwagę na córce.

Em usiadła na krześle i spojrzała na matkę przez okulary. Było to czujne spojrzenie.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Doskonale - odparła Maddie najpogodniej, jak potrafiła. Śniadanie nie było odpowiednią porą na powiadamianie ośmiolatki, że będzie się chowała bez taty. - Nic mi nie jest.

- Głowa cię nie boli?

- Nie - skłamała. - Środki przeciwbólowe sprawiają cuda.

Em odetchnęła z ulgą.

- To świetnie. Jestem głodna.

Maddie postawiła przed nią kubek mleka.

- Jak minął wieczór? - spytała.

- Oglądałyśmy filmy. - Em przysunęła się bliżej stołu. - Naszym zdaniem pani Meyer jest wampirem.

Uniosła brew. Gloria jako wampir?

- Nie ma mowy. Jak zrobić ci jajka?

- Na półtwardo, z serem.

Ale kuchenka mikrofalowa nie dała się włączyć.

- Em, mikrofalówka jest zepsuta. Zapomniałam. Jeszcze dzisiaj kupimy nową. Co pani zamawia?

- Jajecznicę. - Oczy małej zwęziły się. - Chodzi nie tylko o zęby Glorii. Także o paznokcie. I oczy. Ma oczy jak kulki lodu. No i jest taka blada, bo prawie nie wychodzi z domu w dzień. W nocy to co innego.

Maddie wyjęła z szafki niebieską miskę, a z lodówki dwa jajka. Niebieskie i białe ślicznie komponowały się z żółtym

blatem. Fatalnie wyglądałyby chyba na czarnym tle. Wbiła jajka do miski i roztrzepała widelcem, myśląc o Glorii. Ze wszystkich możliwych ludzi na całym świecie Mel i Em wybrały najbardziej nieodpowiednią kandydatkę na wampira, ale też Gloria powoli wyrastała na górę lodową upalnego Frog Point. Dziewięćdziesiąt procent ukryte pod powierzchnią.

Należało od razu wykluczyć wysysanie krwi. Z tego, co usłyszała wczoraj, wynikało, że szanse na to, by Gloria kiedykolwiek wyssała cokolwiek, równają się zeru.

- Coś się wam poplątało - powiedziała do córki. Dodała odrobinę mleka do jajek i znów ubijała masę widelcem.

Em sięgnęła po kubek z mlekiem.

- Założę się, że w jej domu nie ma luster, a poza tym wychodzi w nocy, i nawet wiem, na kogo poluje. Na tatę.

- Co...? - Maddie zapomniała o jajecznicy. Mała skinęła głową, nie spuszczać oczu z matki.

- Jej zależy na tacie. Czai się w nocy i czeka, aż tata wyjdzie na podwórko.

Wtedy go woła. Tata się czasami za-trzymuje, ale nie wygląda na szczęśliwego. Wie, że ona jest wampirem. - Em wsadziła palec w mleko i zamieszała je, tworząc niebieskawobiały wir. Nie spuszczała wzroku z matki.

- Nie bój się, mamó. Wiem, jak sobie z tym poradzić. Czosnek, świecona woda, kół w serce.

Maddie podgrzała patelnię i wylała na nią jajka. Poczekała, aż masa nieco się przyrumieni i dopiero wówczas powiedziała:

— Obawiam się, że mamy wyłącznie przyprawę czosnkową w proszku.

Em zastanawiała się przez chwilę.

— Nie szkodzi - orzekła w końcu. - Mogę rozpuścić ją w święconej wodzie.

- Nie mamy święconej wody.

Jajecznicą była gotowa. Wyłożyła ją na talerz; niebieski wzór doskonale komponował się z jasną żółcią. Jeśli kochanką Brenta jest Gloria, zniszczy jej trawnik.

- Jaki to film oglądaliście wczoraj?

- Zagubionych chłopców. Pani Meyer wybuchnie, kiedy spryskam ją święconą wodą.

Maddie postawiła talerz przed córką.

- Polewanie sąsiadki wodą nie wydaje mi się najlepszym pomysłem.

Zapomniałam przygotować ci grzankę. Tak to jest, kiedy odwraca się czyjaś uwagę od tego, co naprawdę ważne.

- Ja to zrobię. - Em wstała, wyjęła dwie kromki chleba z torby i włożyła je do opiekacza.

Przecież to nie mogła być Gloria! Gloria w czarnych koronkowych majtkach? Absurd! Grzanki wyskoczyły z opiekacza; pachniały tak smakowicie, że i ona poczuła głód. Wsunęła dwie kromki dla siebie.

Em ozdobiła swoje grzanki piramidkami masła i dżemu. Co najmniej trzy tysiące kalorii na kromkę, ale spali je, raz wbiegając po schodach. Maddie posmarowała swą grzankę cieniutką warstwą dżemu. Będzie samotna, ale nie gruba. Czas rozpocząć dietę. Dieta rozwódki: bez tłuszczu, bez soli, bez pieniędzy, bez seksu. Niech to diabli!

Em cały czas coś chodziło po głowie.

- Naprawdę dobrze się czujesz?
- Oczywiście. Nie ma powodu do zmartwień.
- To mogę spędzić tę noc u Mel, prawda? - Dziewczynka wbiła zęby w grzanekę. - Miałam zostać u niej wczoraj, ale wróciłam do domu, żebyś nie była sama rano. Naprawdę dobrze wyglądasz. Jeśli nic ci nie jest, zostanę u Mel dziś. - Zamilkła na chwilę, zaniepokojona. - A jeśli chcesz, mogę zostać z tobą.
- Och! - Maddie przełknęła z wysiłkiem. - Czy mówiłam ci już kiedyś, że jesteś kochanym dzieckiem?
- Dziękuję. To mogę spać u Mel?
- Pytałaś ciocię Trewę? - Maddie ostrożnie ugryzła grzanekę. Głowa nie odpadła jej z bólu. Na razie nieźle.
Em potrząsnęła głową.
- Nie. Mel zapyta. Mogę?
- Zadzwoń i upewnij się.
Mała poderwała się na równe nogi.
- Po śniadaniu - przypomniała matka.
Em błyskawicznie nałożyła sobie jajecznicę na grzanekę z masłem i dżemem. Oryginalne zestawienie.
- Zjem przy telefonie. Dziękuję! - Pobiegnęła do dużego pokoju, pozostawiając za sobą ślad masła na podłodze.
Maddie wytarła masło. Bardzo pocieszające wydało się jej, że grzanka pozostała w żołądku mimo nieostrożności, jaką wykazała, schylając się. Świetnie, pomyślała. Przeżyję. Nadal było źle, ale już odrobinę lepiej.
- Ciocia Treva chce z tobą rozmawiać - rozległ się głos z dużego pokoju. Podniosła słuchawkę telefonu w kuchni.
- Jak się czujesz? - spytała ostrożnie Treva.
- Em, masz w tej chwili odłożyć słuchawkę!
- Słyszałam trzask - uspokoiła ją przyjaciółka. - Jak się czujesz? Rozmawiałaś z nim?
- Nie.
- Do diabła! Maddie...
- Spokojnie! Wrócił do domu, kiedy spałam, i nie było go, kiedy się obudziłam. Zadzwoiłam za to do prawnika. W poniedziałek wnoszę o rozwód. Zrobiłam to, Trevo! Postaram się załatwić sprawę tak dyskretnie, jak tylko będzie to możliwe, ale wynajęłam prawnika. Nie ma odwrotu.
- Tak! - westchnęła z lubością Treva. - Tak, tak, tak! No, nareszcie jakaś dobra wiadomość!
- Bo ja wiem...? - Maddie oparła się o ścianę. - Rozwód zapowiada się na koszmar. Kazała mi znaleźć wszystkie dokumenty finansowe Brenta.
- Kto „kazała”?
- Adwokat, Jane Henries z Limy.
- Och, ona jest świetna! - Głos Trevy brzmiał histeryczną wręcz radością. -

Słyszałam, że puszcza mężów w samych skarpetach. Zdobędziesz te dokumenty?

- Już je mam. Ja płacę podatki, więc mam w szafce wszystko, co trzeba. Przynajmniej to załatwiło się bez problemu.

- Co z biurem? Moim zdaniem powinniśmy przeszukać jego biuro. Maddie omal nie upuściła słuchawki.

- Na głowę upadłaś?! Chcę rozwodu, nie skandalu. Przecież powiedziałam, że załatwię sprawę tak dyskretnie, jak to tylko możliwe. Jeśli przeszukam biuro Brenta, będzie o tym wiedzieć całe miasto.

- To zwykły łobuz. — W głosie Trevy było tyle zawziętości, że jej wypowiedź brzmiała jak syk węża. - Zasługuje na to, żeby zedrzyć z niego nawet gatki! Może warto sprawdzić, czy nie trzyma w pracy czegoś na czarną godzinę? Ja w każdym razie z pewnością bym to zrobiła, a założę się, że Jane Henries także. Jedziemy do firmy. Często się tam pętamy, nikt więc nie zwróci na nas uwagi. Podjadę po ciebie za piętnaście minut. Trzeci może zająć się dziewczynkami.

- Trevo, naprawdę nie sądzę, by Brent ukrywał coś w biurze. Dlaczego miałby...

- A gdzie indziej mógłby cokolwiek ukryć? Jeśli nie chcesz zrobić tego dla siebie, zrób dla mnie. Miałam kiepski tydzień i chętnie wylałabym całą gorycz na kogoś, jeśli to możliwe, najchętniej, oczywiście, na Brenta. A tak w ogóle... masz coś ważniejszego do roboty?

Treva, jak zwykle, miała rację. Jeśli nie pojedą przeszukać biura, Maddie będzie jak głupia siedziała w domu, czekając, aż mąż wróci z pracy. Przystając zaś na propozycję przyjaciółki, będzie mogła zacząć coś, co przyczyni się może do ułatwienia rozwodu. Jasne, jest pewna, że niczego nie znajdą, ale przecież swego czasu była pewna, że Brent nie ma kochanki, prawda?

- No dobra, przyjeżdżaj - zdecydowała.

Telefon zadzwonił ponownie, kiedy tylko odłożyła słuchawkę i przyłożyła czoło do chłodnej ściany, próbując pozbierać myśli. Tak naprawdę to najbardziej chciała dostać lekkiego załamania nerwowego, ale jak tu sobie na nie pozwolić, skoro bez przerwy dzwoni telefon? Z ociąganiem podniosła słuchawkę.

- Halo...?

- Maddie, kochanie! — usłyszała głos matki. Skrzywiła się. Skąd mama już wie o rozwodzie?

- Mamo, przecież nic się nie stało.

- Owszem, stało. Natychmiast pozamykaj drzwi.

Co...? Nie chodzi o rozwód? W takim razie o co? Może o W.S., który wczoraj tulił ją pośrodku trawnika? Wołała nawet o tym nie myśleć, ale przecież gdyby mama wiedziała...

- Dlaczego?

- Po Frog Point włóczy się przestępca. Co za ulga!
- Mamo, skąd ty masz takie wiadomości?
- Candace powiedziała mi, że widziała go wczoraj w nocy.
- A co ty znowu robiłaś w banku?
- Realizowałam czek. Naprawdę, Maddie, zrozum, że nie jesteś bezpieczna. Zwłaszcza że Brent wraca do domu tak późno. Skąd ona to wszystko wie?
- Mamo, tylko wczoraj wrócił późno.
- Bandycie wystarczy jedna noc, żeby zamordować cię w łóżku, a ty w dodatku jesteś kontuzjowana. Jak tam głowa?
- W porządku, dziękuję. - Cała mama, nic, tylko rusza i rusza głową, żeby wymyślić, co może zdarzyć się najgorszego. Gdyby знаła prawdę!
- Zamykaj drzwi, bardzo cię proszę - powtórzyła matka. Maddie poddała się, jak zawsze.
- Obiecuję. Muszę już iść. Wychodzimy z Trewą na miasto.
- Zaczekaj chwilę, Co się właściwie dzieje z Trewą i Ho-
- Nic. Są zwykłym szczęśliwym małżeństwem.
- Nie sądzę. Wczoraj wieczorem pokłócili się w kregielni.
- W kregielni? - Istotnie, ich samochody stały na parkingu. - Co oni tam robili?
- Esther powiedziała, że Lori Winslow powiedziała, że Mike Winslow, który tam był, powiedział, że Howie najpierw rozmawiał z Brentem, a potem pojawiła się Treva i zaczęła się kłótnia. - Mama była wyraźnie zachwycona. - Treva nie wspomniała ci o tym?
- Nie. I nie mam zamiaru o nic pytać, więc ty nie pytaj mnie. W małżeństwach zdarzają się nieporozumienia, Mama natychmiast zmieniała temat
- A dlaczego Howie miał pretensje do Brenta? Coś złego dzieje się w firmie? „Wszędzie, tylko nie w firmie” - zamierzała powiedzieć Maddie, ale w końcu odrzekła:
- Nie. Przecież wiesz, jak ludzie lubią gadać, a drobiazgi raptem wydają się ważniejsze niż w rzeczywistości.
- Esther powiedziała, że Lori powiedziała, że Mike powiedział, że Treva i Howie wyglądali naprawdę rozpaczliwie.
- Esther chyba strasznie się nudzi. A ja muszę już lecieć. Wychodzisz z Trewą? Czy to rozsądnie? Jak twoja głowa? Dobrze się czujesz?
- Dobrze - zapewniła Maddie. - Aha, nadal mam twój samochód. Zaraz podjadę i oddam ci go.
- Jeśli chcesz, zatrzymaj go sobie, mnie nie jest właściwie potrzebny. Spaceruję wychodząc mi na zdrowie.
- Nie potrzebuję samochodu. - Maddie, choć zła, poczuła się także winna. Mama potrafiła być taka miła, jeśli nie plotkowała. Zasługiwała na lepszą

córkę niż ona, ukrywająca przed nią przygotowania do rozwodu, kpiąca z niej w myśli. -Treva będzie mnie wozić - dodała.

- Świetnie, kochanie. Bawcie się dobrze. Powtórzysz mi, co powiedziała twoja przyjaciółka, prawda? I uważaj na głowę.

„Jak właściwie mam uważać na głowę?” - chciała zapytać, ale dała sobie spokój. Nie należy ryzykować, bo skończy się na tym, że wskutek nalegań matki przyjdzie jej chodzić po Frog Point w kasku motocyklowym.

- Będę uważać - obiecała i poszła przygotować Em do wyjścia.

W.S. jechał Main Street, wypatrując Brenta Faradaya, zdecydowany, po pierwsze, znaleźć go, a po drugie, zapomnieć o jego żonie. Przez Maddie odcierpiał noc pełną niepokojów oraz marzeń, przez co był teraz nie całkiem przytomny, w kiepskim humorze, no i wolałby już stąd wyjechać.

Brent bynajmniej nie ułatwiał mu życia. Mimo że minęła dziewiąta, nie siedział grzecznie w firmie. Co z niego za biznesmen?!

— Rozmiał się pan z nim o kilka minut, panie Sturgis — zaświergotała jasnowłosa sekretarka. - Wyszedł do banku, do First National na Main Street, w śródmieściu - dodała, jakby Frog Point było wystarczająco duże na to, by pozwolić sobie na śródmieście. Chciał powiedzieć dziewczynie, że jedna ulica i trzy skrzyżowania ze światłami to żadne śródmieście, ale powstrzymał się, w końcu nie ona winna była temu, że miał kiepski humor.

Wsiadł do samochodu i pojechał do "śródmieścia". Tu szczęście chyba sobie o nim przypomniało, bo kiedy mijał First National dostrzegł wychodzącego z banku Brenta z szarą brezentową torbą w ręku. Zwolnił, ale miejsca parkingowe po obu stronach były zajęte i jakiś samochód z tyłu już zaczął go poganiać trąbieniem. - Hej, Brent! - krzyknął.

Brent Faraday obejrzał się, spojrzał na niego, sprawiając wrażenie przyłapanego na gorącym uczynku, pomachał dłonią i... poszedł przed siebie. W.S. już otworzył usta, by ponownie go zawołać, ale samochód za nim zatrąbił znowu, tym razem dłużej i bardziej niecierpliwie. Dziś wieczorem Henry będzie miał za co go skarcić! Do diabła, musi przecież tylko zawrócić i pojechać za Brentem. Skręcił na najbliższym skrzyżowaniu, zawrócił przez Drive-In Burger Kinga, ściągając na siebie nie-przychylne spojrzenie dziewczyny w okienku, i wjechał na Main Street na żółtym świetle, co wywołało trąbienia i gniewne reakcje innych kierowców. Zupełnie jak za dawnych czasów, pomyślał. Już nie mógł się doczekać kolacji, podczas której Henry obędzie go zapewne ze skóry za nieostrożną jazdę.

Jechał znów Main Street, ale nigdzie nie widział Brenta, który znikł, jakby go nigdy nie było. Dwa razy okrążył „śródmieście”, obserwował parking centrum handlowego i boczne uliczki, ale bez skutku. Różni ludzie unikali w przeszłości jego towarzystwa, ale nikt aż tak konsekwentnie i z takim zapamiętaniem jak Brent Faraday. Facet musi mieć coś potężnego na

sumieniu.

Dobra, dobra, znajdzie go, choć raczej później niż wcześniej, i z pewnością dowie się o wszystkim. We Frog Point sekretów nie dało się długo zachować.

W godzinę po przeszukaniu biura Benka Maddie i Treva siedziały przy kuchennym stole i gapiły się na dwie znalezione tam, i rzeczywiście interesujące, rzeczy.

Jedną z nich była paczuszka prezerwatyw.

- Myślałam, że jesteś na pigułkach...? - zdziwiła się Treva, wyciągając je z dolnej szuflady biurka Brenta.

- Jestem. Boże, przecież to niemożliwe, żeby on mnie zdradzał!

- Mam nadzieję, że się przekręci! - syknęła Treva i powróciła do poszukiwań, ale kolejny sukces odniosła Maddie, która wyszarpała metalową kasetkę o wymiarach mniej więcej trzydzieści pięć na dwadzieścia pięć centymetrów, opatrzoną napisem „prywatne”, zdradzającym rękę Brenta.

- Chcę zajrzeć do niej - oznajmiła Treva, ale w tym momencie pojawiła się na scenie sekretarka Brenta, Kristie, i poprosiła, by opuściły gabinet.

- Nie powinniście grzebać w biurku pana Faradaya - protestowała cienkim, drżącym głosem.

- Naprawdę to on jest właścicielem tylko ćwierci biurka - warknęła Treva. -

Tak się bowiem składa, że obie, pani Faraday i ja, mamy po dwadzieścia pięć procent udziałów w firmie, więc biurko jest w połowie nasze, my zaś jesteśmy w połowie twoimi szefowymi i pozwalamy ci wyjść.

- Coś ty...? - zdumiała się Maddie, ale Kristie już wyszła, urażona i nieszczęśliwa.

Wkrótce potem zakończyły poszukiwania. Zabrały ze sobą kasetkę, żeby otworzyć w domu, i kondomy, żeby jak orzekła Treva - pohamować Brenta w jego zapędach.

Kasetka stała teraz pośrodku stołu w kuchni Maddie, kpiąc sobie z ich ciekawości. Zamka nie dało się otworzyć, wieczka nie dało się podważyć, Maddie gotowa była nawet rozjechać ją samochodem, ale w końcu uznała, że byłoby to postępowanie dziecinne, a poza rym nie dysponowała przecież samochodem. Życie stawało się coraz ciekawsze.

- Boże, co on tam trzyma?! - denerwowała się Treva. - Spis swych zasad moralnych?

- Kiedy wróci do domu, przejrzę jego klucze - zdecydowała Maddie.

- Świetny pomysł. „Kochanie, kiedy włamałam się do twojego biurka, znalazłam w nim metalową kasetkę. Czy mógłbyś mi dać klucz do niej?”

Maddie przyjrzała się jej podejrzliwie.

- Nie wiem, czy to w ogóle da się otworzyć. Wepchnęłaś w zamek śrubokręt, pamiętasz?

- Byłam wściekła.

- Nie należy kierować się uczuciami. Treva zerknęła na zegarek.

- O, do diabła, obiecałam Trzeciemu, że będę w domu pół godziny temu. - Wstała energicznie, wymierzyła w przyjaciółkę palec. - Chcesz, żebym ją schowała u siebie?

- Nie. Jeszcze trochę nad nią popracuję. Jesteś pewna, że Em może zostać u was na noc?

- Oczywiście. Z Brentem powinnaś porozmawiać w cztery oczy. Tylko nie kładź się spać, nim dostaniesz go w swoje ręce. - Jeszcze raz spojrzała na kasetkę. - Nie rozwal jej przypadkiem, kiedy mnie nie będzie. Jeśli masz ochotę coś rozwalić, to niech to będzie raczej łeb Brenta.

- Z dziką rozkoszą. - Maddie westchnęła głęboko. - Wiesz, on wczoraj bez wahania zasłonił się naszym dzieckiem. Chciałam z nim porozmawiać, ale stanął obok Em i powiedział: „Nie denerwuj Em”. A ona stała, taka biedna i śmiertelnie przerażona.

- Mam nadzieję, że się przekreśli. Naprawdę. - Przyjaciółka przytuliła ją mocno. — Zasłużyłaś na lepszy los. Wiedz, że podjęłaś dobrą decyzję. Zeczniejsz wszystko od nowa i zobaczysz, że będzie lepiej.

- Na pewno - powiedziała Maddie, ale kiedy została sama, opadła bezsilnie na stołek i pomyślała: Jakim cudem lepiej? Jakim cudem samotność może być lepsza od marnego nawet życia małżeńskiego? Jakim cudem Em będzie lepiej z ojcem na przychodne?

Tak bardzo chciała płakać, krzyczeć, zachować się nieeleganc-ko! Pomyślała też, że dobrze byłoby rzucić się teraz na kogoś, wyładować gniew i strach. To z kolei przypomniało jej wysokiego W.S., tulącego ją w ramionach. Jaka była wówczas szczęśliwa, mogła się na kogoś oprzeć, mieć kogoś, kto mówi tylko to, czego chce się słuchać! Niech Bóg go błogosławi. Jak miło było oprzeć policzek na czyjeś mocnej piersi. Gdyby teraz W.S. się tutaj znalazł, rzuciłaby się na niego, przewróciła na podłogę i wyładowała gniew i strach w dzikim, nieskrępowanym akcie miłosnym.

Choć z drugiej strony seksu w tej chwili wcale nie potrzebowała. Żeby oderwać się od gorączkowych rojeń, szturchnęła palcem kasetkę. Musi być jakiś sposób na otwarcie tej cholery! Otwieracz do puszek? Siekiera? Nie sądziła, by w środku znajdowało się coś ważnego, ale lepiej było dla niej myśleć o zawartości kasetki niż o Brencie, W.S. czy seksie.

Musi to otworzyć! Zamek z dziurką od klucza wystawał na jakieś pół centymetra. Z pewnością da się odłamać.

W szufladzie na narzędzia znalazła młotek i dłuto. Spróbuj tylko się stawiać! — myślała. Przyłożyła dłuto do zanika i zaczęła walić w nie młotkiem. W końcu zamek odpadł.

Kasetka jednak pozostała zamknięta.

- Do cholery! - krzyknęła i walnęła młotkiem w pokrywkę. Wieczko odskoczyło.

- No, teraz już lepiej - skomentowała.

Usiadła, przysunęła kasetkę do siebie i wyjęła z niej stos papierów, głównie

dokumentów firmy, kopii umów, faktur, ale na samym spodzie znalazła listy. Listy miłosne.

Było ich dwadzieścia dziewięć, z czego dwadzieścia siedem od Beth, która z zapałem planowała wspólną przyszłość z Bren-tem. Nie datowała korespondencji, więc nie sposób było dowiedzieć się, kiedy snuła te plany. Maddie przeczytała jej wynurzenia, zdumiona ogromem miłości i zaufania dziewczyny. Brent powinien być chyba z nią zostać.

Może zresztą przebywał z nią właśnie w tej chwili...?

Odłożyła te listy i zajrzała do dwóch ostatnich, nie podpisanych. Jeden, na białym papierze ze wzorem z czerwonych stokrotek w rogu, pokryty chwiejnym, wydłużonym pismem, zawierał sugestię, by Brent przybył do autorki listu, do garażu. Z całą pewnością nie pochodził od Glorii, ponieważ żadne z licznych wymienionych w nim żądań nie miało nic wspólnego z trawnikami. Drugi ktoś napisał na zwykłym papierze w linie, takim, jakiego mogłoby użyć dziecko. Kartka była złożona i zaadresowana po prostu: „Brent”; charakter pisma mógłby wskazywać na przykład na Kristie - litery były stawiane niepewnie, niewprawną ręką. Teraz wystarczyłaby tylko próbka pisma Kristie i już mogłaby dobrać się do tej dziewczyny. „Znalazłam twoje majtki!” - powiedziałyby jej. Fuj, jakież to prostackie! - skarciła się. Gdzie się podział ból? Przecież podboje męża powinny skłonić Maddie nie do kpin, lecz raczej do ataku furii! Dobry znak, pomyślała. Nic już do niego nie czuję. To szczur, zwykły szczur.

Ta myśl pocieszyła ją, lecz tylko do chwili, gdy rozłożyła list i przeczytała go. Nie był długi:

Musimy spotkać się w naszym miejscu. Wiem, że kochasz Maddie, ale jestem w ciąży i nie wiem, co robić.

Rzuciła list na stół, jakby ją oparzył.

- Ty sukinsynu! - powiedziała głośna

Wpędził Kristie w ciążę! No, w każdym razie wpędził kogoś w ciążę. To po co mu kondomy? Em będzie miała przyrodniego braciszka albo siostrzyczkę. Miłe, co? Czy on w ogóle, do cholery, myśli?!

Coś z tym trzeba zrobić. Koniecznie. W najgorszych snach nie wyobrażała sobie tak przykrew sytuacji. Przecież to ona będzie musiała wytłumaczyć wszystko Em. Może jej na przykład powiedzieć: „Bardzo lubisz Kristie, prawda? Tata również bardzo ją lubi”.

Schowała do kasetki wszystkie listy oprócz tego ostatniego i przymknęła pocięte wieczko. Przyjrzała się jeszcze raz pismu. Z nikim się jej nie kojarzyło, papier również nic nie sugerował. Czy Kristie pisałyby na liniowanym papierze...?

Schowała list do torebki, później postara się zdobyć próbkę pisma sekretarki Brenta. Oparła o stół głowę, która znów zaczęła ją boleć. Jest chora, nie powinna czytać takich wynurzeń. Nie powinna w ogóle przeżywać niczego podobnego. Nie zniesie tego. Może powinna coś zrobić, lecz najpierw trzeba

uporać się z bólem głowy.

Zażyła trzy tabletki przeciwbólowe, z nadzieją, że przytłumią również natarczywe myśli. Poszła na górę, schowała kasetkę i kondomy pod łóżkiem, żeby Em na nie nie natrafiła, kiedy rano wróci do domu, po czym wpełzła pod kołdrę i zasnęła twardym snem.

- Jak twoja mama? - spytała Mel.

Siedziały przed telewizorem, z talerzami makaronu nadziewanego serem i miską pieczywa czosnkowego. Ace Venture widziały już ze cztery razy, więc teraz tylko udawały, że oglądają.

- Mówi, że już lepiej. - Em spróbowała makaronu. Okazał się bardzo dobry. - Już nie wygląda tak strasznie jak wczoraj, kiedy miała taką twarz, jakby lada chwila miała się rozpłakać. - Jadła powoli, zastanawiając się, co jeszcze powinna powiedzieć. - Wczoraj mama i tata pokłócili się, tak naprawdę.

- Żartujesz...? - Mel spojrzała na nią rozszerzonymi oczami.

- Nie. Klócili się cicho, ale ja to widziałam. Byli tak na siebie wściekli, że aż się przestraszyłam. - Em odwróciła głowę. Z trudem powstrzymywała szloch. - Wyglądali, jakby się nienawidzili. A potem tata przywiózł mnie tu i zostawił mamę samą. Okropne!

- Dlaczego mi od razu nie powiedziałaś o kłótni? - Zawsze energiczna i nie do zniesienia optymistyczna Mel była teraz jakoś dziwnie zdenerwowana.

- Po prostu nie mogłam o tym mówić. To straszne, kiedy mama i tata się kłóca. Wiem, wiem, twierdzisz, że twoi robią to bez przerwy, ale mnie się zdaje, że tylko na żarty. A moi rodzice klócili się naprawdę. Nie chcę nawet o tym myśleć. Dzisiaj mama była jakaś taka spokojna, a taty nie widziałam w ogóle. Dzieje się coś okropnego, Mel.

Przyjaciółka wyglądała tak, jakby nie była pewna, czy powinna powiedzieć to, co zamierzała. Zastanowiło to Em, bo normalnie Mel nie obchodziło, co mówi i komu.

- Jest coś jeszcze - powiedziała w końcu Mel.

- Co? - szepnęła Em przez zaciśnięte gardło. Mel poruszyła się niespokojnie.

- Moja mama jest wściekła na twojego tatę - wyznała. - Słyszałam, jak rozmawiali dziś rano przez telefon. Bardzo na niego krzyczała.

- Skąd wiesz, że to był on?

- Ponieważ powtarzała jego imię. Słuchaj, to też było straszne. Powiedziała, że zabije go, jeśli komuś powie.

- O czym?

- Nie wiem. - Mel zaczęła jeść makaron, usilnie próbując wyglądać tak, jakby rozgrywki dorosłych jej nie obchodziły, ale nie udało się jej zmylić najlepszej przyjaciółki. - Jest jeszcze gorzej - dodała po namyśle. - Kiedy skończyła, przyszedł tata i spytał, z kim rozmawiała. Powiedziała, że z babcią. Skłamała! Potem oni też zaczęli się kłócić, tak naprawdę. Szeptali tak ostro, wiesz, potem mama walnęła pięścią w stół, a tata wyszedł i trzasnął drzwiami. ~ Zamilkła, z trudem powstrzymując łzy, - Wtedy mama się rozpłakała, a

przecież ona nigdy nie płacze. To było straszne. Nie będę o tym mówić. Nie chcę, żeby to się kiedyś powtórzyło.

Em miała przed oczami obraz zapamiętany z podwórka kiedy mama tak dziwnie wyglądała. Stała, przyciskając dłonie do piersi.

- Dzieje się coś bardzo, bardzo złego - powiedziała. Mel wpatrzyła się w ekran telewizora.

- Może pani Meyer ugryzła twojego tatę i zmieniła go w wampira, on ugryzł moją mamę, a ona nie chce, żeby ktokolwiek się dowiedział?

- Nie wygłupiaj się. Mówimy o prawdziwym świecie. Mel nie spuszczała oka z telewizora.

- Nie chcę, żeby taki był prawdziwy świat. Chcę, żeby tego w ogóle nie było.

- Ja też. Ale będzie...

Obraz rozplątał się w białych plamkach zakłóceń.

- Nie do wiary! - rozzłościła się Mel. - Przecież to świństwo! Mamo! -

krzyknęła napiętym, piskliwym głosem. - Mamo! Cholera! Mamo, kablówka się spieprzyła!

- Uważaj, co mówisz - powiedziała Treva, wchodząc do pokoju.

- Nie do wiary! - Obserwowała matkę, majstrującą przy dekodерze. -

Wszystko się spieprzyło. Co się dzieje?

- Chyba przerwa w nadawaniu. - Treva wyprostowała się. - Zadzwoń do nich jutro i powiem, że zmarnowali ci życie. A tymczasem możecie coś sobie poczytać.

- Żartujesz czy co?

- Warto poćwiczyć. Szkoła zaczyna się w następny wtorek.

- Nawet mi o tym nie przypominaj. Możemy włączyć wideo?

- Jasne. - Treva wzruszyła ramionami. - Niech wam zamula umysł, skoro tego chcecie.

Mel poczekała, aż mama wyjdzie z pokoju, i spojrzała na Em.

- Nie wierzę własnym uszom - westchnęła. - Możemy oglądać, co tylko chcemy! Dzieje się coś naprawdę złego. U mamy trwa to już od tygodnia.

Pozwoliła nam oglądać Zagubionych chłopców, a na pudełku jest oznaczenie: „Tylko pod opieką rodziców”. Coś tu nie gra.

- Masz rację - przytaknęła po namyśle Em. - Z tatą też coś stało się mniej więcej przed tygodniem. Chodzi o nich oboje. Co zrobimy?

- Będziemy ich śledzić. Oni nic nam przecież nic powiedzą. Wszystkiego musimy się dowiedzieć same.

Em uznała, że przyjaciółka ma rację. Jeszcze wczoraj śledzenie kogoś wydawałoby się jej głupie, ale wówczas sytuacja nie była aż taka zła.

- No tak. Trzeba zrobić coś, żeby wszystko odkręcić. Tylko nie wiem co.

Nigdy jeszcze nikogo nie śledziłam. Jak to zrobimy?

- Zaczniemy od podsłuchiwania wszystkich rozmów telefonicznych - zarządziła Mel. - Przecież to oczywiste.

6

Dzwonek obudził Maddie parę minut po siódmej wieczorem.

Kręciło się jej w głowie i nie była całkiem przytomna. Dla-czego Brent dzwoni? Przecież ma klucze. Chwiejnie zeszła na dół i otworzyła drzwi.

- Obudziłem cię - stwierdził W.S., opierający się niedbale o framugę. W jego ciemnych oczach dostrzegła wyraz uznania, ale na pewno tylko się jej zdawało - przecież była potargana, zaspana, a na sobie miała dzinsy z uciętymi nogawkami oraz koszulę w różową kratę, starszą niż sam Bóg. - Przepraszam -dodał W.S.

Maddie przymknęła oczy. W.S. w jej wyobraźni był wystarczająco zły, tym bardziej zatem nie miała zamiaru pogodzić się z faktem, że pojawił się jeszcze i w rzeczywistości. Marzyła przecież o tym, że wciągnie go do domu, przewróci na podłogę i będą się kochać, a on, jakby przyciągnięty tymi myślami, pojawił się na jej progu w całej swej cielesnej okazałości, nie da się ukryć, że atrakcyjnej pod spranymi dzinsami i cienką bawełnianą koszulą. Jakie to żenujące...

Otworzyła oczy i zdobyła się na niebotyczny wysiłek -uprzejmość.

- Nic nie szkodzi. Masz jakąś sprawę?

- Anna dowiedziała się o wypadku. Przesyła ci ciasteczka. Z czekoladą.

Wzięła talerz owinięty folią z jego wyciągniętej ręki, uważając, by nie spojrzeć mu w oczy. To mogłoby się źle skończyć.

Patrzyła więc przed siebie, na szeroką męską pierś i miękką od częstego prania koszulę. W ostatniej chwili powstrzymała się, by jej nie dotknąć.

Mężczyźni często mylnie interpretują takie niewinne gesty. Była zaś niemal pewna, że ten mężczyzna odczytałby jej gest jednoznacznie. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej: „Pozbądź się go”.

- Dziękuję. Powiedz Annie, że jestem jej bardzo wdzięczna.

- Jasne. Czy widziałaś dziś może Brenta?

- Nie. - Maddie uśmiechnęła się w przestrzeń. Próbowwała zamknąć drzwi, ale on stał w progu i najwyraźniej nie miał zamiaru się cofnąć. - Słuchaj, W.S., było mi bardzo miło cię zobaczyć, ale teraz mam raczej ochotę na czekoladę.

- Dzięki. Jak też cieszę się, że cię widzę.

Serce zaczęło jej bić odrobinę mocniej. Najwyższy czas się go pozbyć! Znów spróbowała zamknąć drzwi, ale on wciąż tkwił w progu. W porządku, koniec z uprzejmością.

- Przykro mi, ale przyszedłeś w nieodpowiedniej chwili. Może wpadniesz

kiedy indziej.

- Jasne. Kiedy?

Zapomniała, jak potrafi być uparty. Właśnie temu jego uporowi zawdzięczała noc na tylnym siedzeniu samochodu przed dwudziestu laty, nie pamiętała jednak, że uporowi temu towarzyszy także bezczelność.

- We wrześniu? - We wrześniu powinno już być trochę spokojniej.

- Nie mogę czekać tak długo - odparł, potrząsając głową. - W poniedziałek muszę wrócić do pracy.

- To następnym razem, kiedy będziesz w mieście. - Maddie uśmiechnęła się promiennie. W.S. wyprostował się. Z jego twarzy zniknął uśmiech.

- Maddie, na dworze okropnie gorąco, a ja jestem zmęczony. Chodzi mi tylko o parę minut rozmowy.

To samo powtarzał jej przed dwudziestu laty. Nie ma mowy!

- W.S., mój mąż zaraz będzie w domu...

- Świetnie. Przecież to z nim chcę porozmawiać. Mogę wejść?

Spojrzała mu wreszcie w oczy i zrozumiała, że nie odejdzie, póki nie spotka się z Brentem. Westchnęła z rezygnacją i wpuściła go do domu.

Gościa wypadało poczęstować drinkiem, więc Maddie wzięła karton soku pomarańczowego oraz butelkę wódki Brenta, po czym zaprowadziła W.S. na podwórko od tyłu, by sąsiedzi przekonali się na własne oczy, że nie dzieją się tu żadne zbrodnie. Wszyscy wokół wiedzą o jego obecności, bo zaparkował tuż przed domem swój z daleka rzucający się w oczy kabriolet, wyglądający jak czerwona latarnia.

- Zatrzaśnij drzwi - powiedziała przez ramię. - Są stare i nie zawsze się domykają.

Obejrzała się i zobaczyła, że W.S. przygląda się uważnie framudze.

- Wystarczy je trochę spiłować i już nie będą się zacinały. Zabrałoby to jakieś pięć minut - powiedział.

Prosiła Brenta, żeby zrobił coś z tymi drzwiami, lecz on był zbyt zajęty.

Buduje cholerne domy, ale nie potrafi naprawić drzwi we własnym. Maddie nadal czuła ból głowy, który nasilił się po przypiływie gniewu. Gdyby dwadzieścia lat temu pozostała przy W.S., jej kuchenne drzwi nigdy by się nie zacinały.

- Dziękuję - powiedziała. - Zrobimy to.

Usiedli przy obłupanym stoliku piknikowym, ukryli między sobą butelkę, pili wódkę ze słodko-kwaśnym sokiem i roz-

niali w blasku zachodzącego słońca: silny, opalony i nieprzyzwoicie wręcz zdrowy. Maddie popijała drinka, co uznała za jedyny sposób na to, by uniknąć konieczności bawienia nieoczekiwanego gościa,

- Jak leci? - spytał W.S. i Maddie omal się nie roześmiała. - Nadal przyjaźnisz się z Trevą?

- Pewnie. Jesteśmy jak siostry.

- I obie macie dzieci... - Potrząsnął głową w udanym zdumieniu. - Trudno w to uwierzyć. Wyjeżdżam z miasta na dwadzieścia lat, a wy zaraz robicie jakieś głupstwa.

- Musiałyśmy jakoś wypełnić sobie czas do twojego powrotu.

- Powiedz coś o swoim życiu.

Nie mam swojego życia, pomyślała Maddie. Żyję wyłącznie dla wygody innych.

- Jak widzisz, zostałam we Frog Point - powiedziała. - Mama dzwoni codziennie. Co niedziela odwiedzam babcię w domu opieki, dając jej szansę pokrzyczenia na mnie. Uczę w szkole podstaw sztuki, a moja najlepsza przyjaciółka podstaw biznesu. Mam świetną, córeczką która bardzo chce dostać psa. Zepsuła mi się mikrofalówka, a samochód diabli wzięli w wypadku. Kolejny łyk screwdivera. - To mniej więcej wszyst-ko. Nudne, wiem.

- Hej, przecież ja wróciłem. To jest interesujące.

- Owszem. Dzięki, że wpadłeś. Gdyby nie ty, dzwoniłabym do sklepów, dowiadując się o cenę kuchenek. - I ćwiczyłabym mowę rozwodową, dodała w myśli - Jestem twoją dłużniczką.

- Doskonale. Nie zapomnij o tym. Powiedz coś o Trevie.

- Treva... - Ma swoje problemy, z których nie chce mi się zwierzyć, pomyślała.

- No cóż, wychowuje dwoje dzieci, ośmioletnią Melanie i dwudziestoletniego Trzeciego - powiedziała.

- Nazwali syna „Trzeci”?

- Nie. Nazwali go Howie Junior. - Maddie naląła soku do szklanki i pod stołem dołąła do niego wódki. Alkohol bardzo przyjemnie rozluźniał jej mięśnie. Do diabła z tylenolem! -Howiemu wcale na tym nie zależało, ale Treva uparła się i dopięła swego. Tylko że matka Howiego...
Pamiętasz Irmę Basset?

- Sekretarkę w szkole? - W.S. uśmiechnął się szeroko. -Jasne. Tkwiała przy mnie w najgorszych chwilach mojego życia. Nie było z nią żartów.

- No więc Irma powiedziała, że dziecka nie można nazywać Juniorem, ponieważ Juniorem jest jego ojciec. Powinno więc mieć na imię Howie Trzeci. Treva nie miała zamiaru się poddać, ale w końcu zrozumiała, że jedynym sposobem na to, by mały został juniorem, jest śmierć jego dziadka, po której mąż zostałby seniorem.

- Coś takiego możliwe jest tylko we Frog Point! Założę się, że dyskusja trwała dobre dwa tygodnie i brało w niej udział całe miasto.

- No jasne. Nazywali w końcu chłopca Howiem Trzecim, potem skróciło się to do Trzeciego, i tak już zostało. Ma teraz dwadzieścia lat. Ja jestem w średnim wieku. - Lepsze to niż śmierć.

Alkohol pomógł Maddie. Poczwała wreszcie spokój po długotrwałym napięciu. Natomiast W.S. podskakiwał na każdy odgłos z zewnątrz, a od czasu do czasu, przed zadaniem jakiegoś banalnego pytania, spoglądał na zegarek. O co chodzi? - zastanawiała się Maddie i zaraz sama sobie odpowiedziała: a co

mnie to obchodzi? Brent wróci lada chwila. Potem ona rzuci Brenta. Jej dotychczasowe życie skończyło się. Teraz powinna się zastanawiać przede wszystkim nad tym, jak wyjść z tego obronną ręką i uchronić przed cierpieniem Em i matkę. W.S. był po prostu bardzo atrakcyjnym wątkiem pobocznym w tym Götterdämmerung.

Po godzinie i trzech szklaneczkach wódki z sokiem W.S. przestał spoglądać na zegarek. I on odprężył się wreszcie. Frog Point otulił ciepły, opalizujący zmierzch, tak charakterystyczny dla sierpniowych wieczorów. Świerszcze nadal

bardzo się starały bezbłędnie grać swój koncert, ale miały pewne kłopoty z utrzymaniem tempa - prawdopodobnie przez wyczerpanie upałem. Maddie wyobraziła sobie, jak z zapałem trą nóżką o nóżkę. Muszą mieć najcieńsze nóżki w świecie owadów. Jej szklanka była pusta.

- Może wlejemy wódkę do kartonu? Tak będzie prościej - powiedziała, a następnie zrealizowała swą propozycję.

- Czyżbyś od czasu naszego ostatniego spotkania popadła w alkoholizm? - zainteresował się W.S.

- Nie. - Wzniosła toast kartonem. - Prawdę mówiąc, dopiero dziś zaczęłam pić.

- Może chciałabyś mi coś powiedzieć? Masz kłopoty? Finansowe?- Spojrzała na niego ostro, więc natychmiast się wycofał: - Przecież tylko pytam.

- Nie ma nic, o czym chciałabym ci powiedzieć. Prawdę mówiąc, wszystko skończy się we wrześniu, ale ciebie już tu

nie będzie. - Napila się wprost z kartonu. - Jeśli ci nie smakuje, wracaj do domu.

- Dlaczego? Oczywiście, że smakuje. Daj trochę.

- Podała mu karton, pociągnął spory łyk i rozkaszał się.

- Wiem, wiem. Zdaje się, że zabrakło soku. Em pije go jak smok.

- Musi być zdrowym dzieckiem. - Wylał resztę wódki na trawnik.

- Co ty wyprawiasz?!

- Co za niezdarą ze mnie, przepraszam. Powiedz, o co chodzi z tym wrześniem.

- Wylałeś wódkę!

W.S. przyjrzał się mokrej, aromatycznej trawie.

- Uznałem, że lepiej będzie, gdy trochę zwolnimy tempo.

- Chodź. - Maddie wstała. Bez większych problemów, tyle że musiała oprzeć się o stół. - W domu mam wino.

Poszedł za nią posłusznie.

- A może dla odmiany napilibyśmy się coca-coli, przy której opowiedziałabyś mi, co ma się zdarzyć we wrześniu? Jeśli zapowiada się na coś ciekawego, postaram się przyjechać, by to obejrzeć.

Zmierzała w kierunku domu mniej więcej prosto. Jestem chyba pijana, pomyślała. Ale przecież nie głupia. Ten facet czegoś chce. Oparła się o drzwi,

W.S. stał o schodek niżej.

- Co się stało? - spytał.

- Rozmyślałam.

- To fatalnie. - Weszli do domu. W.S. zatrzasnął wypaczone drzwi. - Nasz romans skończył się właśnie dlatego, że zaczęłaś myśleć.

Maddie skierowała się prosto do szafki, w której stało wino. Rodzice dawali im je w prezencie na każdą okazję, choć i ona, i Brent praktycznie nie pili wina.

- Daj spokój! Dwie godziny na tylnym siedzeniu chev-roleta z sześćdziesiątego siódmego roku trudno uznać za romans.

- Mylisz się. - W.S. stał oparty o lodówkę. - Dwie godziny na tylnym siedzeniu chevroleta z dziewięćdzie-

s i a t e g o siódmego to nie romans. W chevym z sześćdziesiątego siódmego można byłoby chować dzieci. Boże, co za wspaniały samochód! Ciekawe, co się z nim stało. Butelka wina znalazła się w dłoni Maddie.

- Przebiłeś nim barierkę na drodze 33...

- Pamiętam - stwierdził godnie. - Ciekaw jestem, co się stało potem. Ktoś przecież mógł coś z nim jeszcze zrobić.

Maddie prychnęła i wręczyła mu butelkę.

- Jasne! Na przykład przerobić na popielniczki. Jego kawałki znajdowano przez całe lata. - Przyszła pora na poszukiwanie korkociągu. - Muszę przyznać, że urosłeś do rangi bohatera miasteczka. Gdy tylko ktoś znalazł jakiś kawałek blachy, mówił: „To z pewnością z chevy'ego W.S. Dobry stary W.S.” Jest korkociąg. Teraz niech mężczyzna otworzy butelkę.

Mężczyzna zabrał się do tej czynności.

- Miło mi to słyszeć - powiedział.

- A potem chichotał kpiąco - uzupełniła swą wypowiedź.

W.S. uśmiechnął się.

- Twarda z ciebie dziewczyna, Maddie Martindale. Masz szczęście, że lubię twarde dziewczyny.

Maddie oparła się o kuchenny blat i przyjrzała się uważnie swemu gościowi. To przecież niemożliwe, żeby pamiętał o niej przez te wszystkie lata. A już na pewno nie liczy na to, że ona znów się z nim prześpi. To przecież niemożliwe. Zapewne.

W.S. wyglądał doskonale - wysoki, szeroki w ramionach, a ona zawsze lubiła mężczyzn wysokich i szerokich w ramionach. Nie był wprawdzie aż tak wysoki ani tak szeroki w ramionach jak Brent, ale to nawet lepiej, bo Brent wyglądał jak karykatura gangstera motocyklowego, a W.S. po prostu dojrzałe. Obiecywał swym wyglądem dobrą zabawę. W końcu Maddie może przecież, choćby raz, zrobić coś dla siebie. Olać Brenta!

- W porządku - oznajmiła. - Jedziemy.

W.S. otworzył wino. Stał z butelką w jednej ręce, a z korkociągiem w drugiej i gapił się na nią.

- Dokąd?

- Na Point. Zrobimy to jak wtedy. - Świetny pomysł! Już wiedziała, jak poprawić sobie samopoczucie. Zemsta - oto najlepsze lekarstwo na kłopoty. Pojedzie z W.S. na Point, gdzie zobaczy ich Bailey i wszystkim rozpowie. Dzięki temu Maddie przestanie być miłą, głupiutką, kantowaną żoną. Będzie tak, jakby na głównej ulicy krzyknęła: „Pieprzę was!”, tylko że przyjemniej. Uśmiechnęła się szelmowsko.

W.S. nie sprawiał jednak wrażenia olśnionego propozycją, tylko przerażonego. Odstawił butelkę.

- Maddie. kochanie, za dużo wypiałś.

- A więc mnie nie chcesz? - Już się nie uśmiechała.

- Nie, skąd! - Przesesał palcami gęste ciemne włosy. Z tak głupią miną nie widziała go jeszcze nigdy. - Tylko... jesteś mężatką, dziś to niewiele znaczy, wiem, ale mimo wszystko...

- Jedziesz ze mną czy nie?

- Na Point..? - Najwyraźniej nie bardzo wiedział, jak postąpić. Ciekawe, bo ona wiedziała doskonale. Chwyciła butelkę wina.

- No pewnie. Wskresimy naszą młodość. - Uśmiechnęła się do niego kusząco, ale wypadło to chyba mało przekonująco, bo zabrał jej butelkę i odstawił na blat.

- To chyba nie najlepszy pomysł, kochanie. Byłem wtedy znacznie młodszy, ty nie miałaś męża, a i samochody robili znacznie większe. Sama zresztą tego nie chcesz.

- W porządku. - Spojrzała na niego nieprzyjaźnie. - Możesz już iść.

- Chwileczkę, chwileczkę. Usiądźmy i przedyskutujmy to sobie.

- O niewierności małżeńskiej się nie dyskutuje. Albo jest się niewiernym, albo nie, po prostu coś trzeba zrobić! -Patrzyła na niego jeszcze bardziej nieprzyjaźnie.

- Zaskoczyłaś mnie. Nie sądzę, by to gorące uczucie rzuciło cię w moje ramiona. Wiesz, jakoś nie mogę dotrzymać ci kroku. Nieprzyjemne uczucie. Powiesz mi, co się dzieje?

Maddie spojrzała na niego, po raz pierwszy naprawdę spojrzała na niego, opartego o ścianę, stojącego w swobodnej pozie, z rękami założonymi na piersiach. Dostrzegła wyrazistą twarz o zdecydowanych rysach, świadczącą o mocnym charakterze, błysk w ciemnych oczach. Po raz pierwszy od czterdziestu ośmiu godzin zapomniała o Brencie i o swoim gniewie.

- Zmieniłeś się - powiedziała. - Jesteś...

- Starszy? Oczywiście, o dwadzieścia lat. - Wskazał gestem butelkę. - Masz kieliszki?

Poszukała w szafce po omacku. Ważniejsze było to, co chciała powiedzieć.

- Nie chodzi mi o wiek. Wyglądasz dobrze, nawet bardzo dobrze. Jesteś taki... taki energiczny. Pewny siebie.

- Jakby to ująć... No cóż, nie jestem już najgorszym uczniem w liceum. I dzięki

Bogu. - Spojrzał na naczynia, które trzymała w ręku. - Wolisz Pebbles czy Bam-Bama?

- Ojej, przepraszam. To Em. Wyjął jej szklanki z ręki.

- Jeśli nie potrafisz zdecydować, pozwól, że wezmę Bam-Bama. My, chłopcy, powinniśmy trzymać się razem. - Napełnił szklanki do połowy i podał jej jedną z nich. - Za Em - powiedział.

To był dobry toast. Wypiła spory łyk wina, odwróciła się i przeszła do holu, zabierając szklaneczkę. Zamierzała obejrzeć się w lustrze przy drzwiach.

- Nawet nie pamiętam, jak wtedy wyglądałam - rozżaliła się.

W.S. stanął za nią. Był zaledwie kilkanaście centymetrów wyższy, więc przyłożył głowę do jej głowy. Brent zawsze nad nią górował, a kiedy robili sobie zdjęcia, opierał głowę na jej głowie; strasznie tego nie lubiła, nie znosiła, gdy podbródek męża przygniatał jej czaszkę.

- Wyglądałaś jak teraz, tylko byłaś jakaś taka... taka jak nie z tego świata, zbyt gładka.

Skrzywiła się do lustra.

- Chodzi ci o to, że wówczas nie miałam zmarszczek?

- Nie. Sprawiałaś takie wrażenie, jakbyś nie żyła naprawdę, jakbyś nie miała duszy. Byłaś ładna, atrakcyjna, nawet seksowna na swój chłodny, arystokratyczny sposób, ale wydawałaś się zaledwie zalążkiem kobiety. Teraz jesteś kobietą w rozkwicie.

Maddie napiła się wina, rozważając jego słowa. O czym myślała, kiedy była w liceum? Na czym jej zależało, tak naprawdę zależało? Ze strachem i zdziwieniem stwierdziła naraz, że nie myślała i nie marzyła o niczym, że pamięta tylko o tym, co robili i czego chcieli inni. Pamiętała, czego chciał Brent. Ale przecież nie ograniczało się to tylko do liceum: takie było jej całe życie. Gdyby ktoś spytał jej teraz, kim jest, powiedziałaaby: „córka Marthy Martindale" albo „żoną Brenta Faradaya", albo „matką Emily Faraday". Gdzie się podziała Maddie, dlaczego o niej samej nie potrafiła nic powiedzieć? Nawet jej praca polegała na zajmowaniu się innymi. Całe jej życie to spełnianie oczekiwań innych i zaspokajanie ich potrzeb.

- To straszne - powiedziała.

- Ale pamiętam taką jedną noc, w której naprawdę byłaś, i to tylko dla mnie - szepnął jej do ucha W.S.

- Obawiam się - westchnęła - że widziałeś wówczas wyłącznie własne odbicie. Masz jednak rację. Do tej pory właściwie nie istniałam.

- A co takiego zdarzyło się ostatnio?

- Przeżyłam bardzo pouczający tydzień. - Dopiła wino. W.S. stał tuż za nią i było to bardzo miłe. - Napijesz się jeszcze?

- Nie wiem - odparł z zastanowieniem. - Czy alkohol nadal działa na ciebie w ten sam sposób?

- To znaczy...?

- O ile pamiętam, w stadium pierwszym byłaś strasznie napięta, a w drugim

wymiotowałaś.

- Okropny jesteś. - Zamknęła oczy. - Pamiętam. Byłeś taki kochany...

- Dziękuję. Potem następowało stadium trzecie.

- To znaczy...

Próbował wyglądać niewinnie, ale na to nie nabrałby się nawet ślepiec.

- W stadium trzecim kochałaś się ze mną.

- Co to, to nie! - Widziała w lustrze, że ją obserwuje. -Raz mnie już dziś odtrąciłeś, nie narażę się na następne upokorzenie.

- Nie odtrąciłem cię. Stwierdziłem tylko, zgodnie z prawdą, że jestem za stary na szybki numer na tylnym siedzeniu kabrioletu stojącego na Point.

- Gdybyś mnie rzeczywiście pragnął, nie miałbyś oporów. W.S. spojrział na nią i uśmiechnął się. Poczwała pierwsze

tchnienie podniecenia. Podał jej swą szklanekę.

- Kiedy złożysz mi poważną propozycję, oczywiście, odpowiem „tak”. A tymczasem owszem, dziękuję, chętnie napiję się wina.

Telefon zadzwonił piętnaście minut później, kiedy śmiali się i plotkowali o szkolnych czasach, a zwłaszcza o pewnym

wydarzeniu, które obydwójce dobrze zapamiętali. Do diabła! -pomyślała

Maddie. Przecież nie chcę z nikim rozmawiać. Tak mi dobrze... Nim

podniosła słuchawkę, zdążyła jeszcze pomyśleć, że od wielu lat tak dobrze się nie bawiła.

- Maddie... - usłyszała w słuchawce ostry głos Brenta. Przepęlniona poczuciem winy, zerknęła na W.S., ale szybko się opanowała. Do diabła, czego niby ma się wstydzić? Była to dość przygnębiająca myśl, powinna przecież przeżyć coś, czego mogłaby się wstydzić. Dlaczego Brent ma mieć przywilej bycia jedyną świnią w rodzinie?

- Maddie, jesteś tam?! - Był chyba jeszcze bardziej zdenerwowany, choć jej nie wydawało się to możliwe. W tle słyszała łomot kul toczących się drewnianymi torami, uderzających w kręgle. Przynajmniej raz Brent był tam, gdzie powinien być, gówniarz jeden.

- Czego chcesz?

- Słuchaj, wróć późno. Coś stanęło mi na przeszkodzie. A pewnie. Tu też coś się stanie.

- Maddie, muszę pogadać z Howiem, jak tylko tu skończymy. Ale chcę, żebyś była w domu, kiedy wrócę.

- W porządku, nie ma sprawy. - Znów spojrziała na W.S. i zdecydowała się. To był jej wieczór. Trochę to głupio znęcać się nad biednym, starym W.S., ale...

kto jak kto, lecz on z pewnością sobie poradzi. - Nie spiesz się - powiedziała do Brenta. - Ja idę do łóżka. - Zacisnęła wargi, żeby nie roześmiać się głośno.

- Maddie, śmiejesz się?

- A twoim zdaniem mam się z czego śmiać?

- Słuchaj, zanim tu przyjechałem, byłem w biurze.

- Aha. - Wypiła łyk wina.

- Chcę, żebyś oddała mi tę kasetkę. Pewnie, że chcesz.

- Porozmawiamy o tym później.

Coś jeszcze mówił, ale jej już nie chciało się słuchać.

- Muszę lecieć - oznajmiła i odwiesiła słuchawkę w połowie tyrady męża.

Pomachała dłonią do swego gościa. - Zaraz wrócę - krzyknęła.

Pobiegła na górę, do sypialni. Spojrzała w lustro. W porządku. Sytuacja dojrzała do tego, żeby potraktować ją poważnie. Prześpię się z nim, postanowiła. Ale nie tutaj. I nie w jedynym motelu w mieście, bo wpisanie się tam do księgi gości było równoznaczne z opublikowaniem nazwisk na pierwszej stronie „Frog Point Inquirer”, co byłoby zbyt pospolite. Pozostawał wyłącznie Point, miejsce, gdzie Brent przeżywał swe przyjemności. W.S. nie chciał tam jechać, a w takim razie jej zadanie - jeśli zechce je podjąć - sprowadza się do tego, by go tam wywieźć, a następnie sprowokować. A może najpierw sprowokować, a później wywieźć?

W tym momencie zorientowała się wreszcie, że jest pijana, ale nie przejęła się, tylko zabrała do roboty. Alkohol nie znaczył nic, ważny był tylko dlatego, że bez jego pomocy nie byłaby chyba w stanie podjąć tej decyzji. A więc dobrze, że się upiła. No i jutro rano będzie mogła powiedzieć sobie: to dlatego, że byłam pijana. Nie moja wina. Wszystko dlatego, że byłam pijana. Z tego punktu widzenia pijaństwo nie jest pozbawione zalet. Uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze.

Najpierw ubranie. Zdjęła koszulę i wystrzępione džinsy. Włożyła bladozieloną sukienkę bez rękawów, zapinaną z przodu na dziesiątki małych guziczków, które dawały się łatwo odpiąć. Bardzo satysfakcjonujące - łatwo wchodzi, łatwo schodzi. Przez cienką bawełnę widziała zarys biustonosza. Z pewnym wysiłkiem dosięgła zapięcia, zsunęła tę część garderoby i wyciągnęła pod pachą. Następnie przyjrzała się nogom. Mam dobre nogi, pomyślała, ale precz z białymi bawełnianymi majtkami! To nie na tę okazję. Ściągnąwszy biustonosz, poczuła przyjemną swobodę ruchów, a chłodny materiał sukienki był miły w dotyku. To wcale niezłe ciało, pomyślała. Nie idealne, ale też nie ma się z czego śmiać, W.S., stary przyjacielu.

- Maddie...?

Wołał z dołu schodów. Za długo to trwa! Zdjęła białe majteczki i rzuciła je na podłogę. Nie zdradza się męża w białych bawełnianych majteczkach. Poprawiła spódnicę, świeże powietrze na nagim ciele nieco ją zaskoczyło. Jakim cudem ta dziwka Brenta nie zauważyła, że zostawia bieliznę w samochodzie?

- Maddie, nic ci się nie stało?

- Zaraz schodzę! - Zdążyła jeszcze wsunąć do kieszeni sukienki jeden z kondomów męża. Jeśli go wykorzystają, będzie w tym jakaś sprawiedliwość. W.S. już na nią czekał. Maddie próbowała lekko sfrunąć ze schodów, ale potknęła się na ostatnim stopniu i padła mu w ramiona. Złapał ją i zarty się skończyły. Był tak silny, w jego objęciach czuła się tak bezpiecznie, jej piersi

tak rozkosznie przyłgnęły do jego ciała, a W.S. też musiało się to spodobać, bo przez chwilę sprawiał wrażenie nieco wytrąconego z równowagi. Ona jednak zwątpiła nagle, czy dobrze robi.

- Nic ci nie jest? - spytał, a ona odetchnęła głęboko i podjęła ostateczną decyzję:

- Tak. Jedziemy.

- Dokąd?

- Na Point - oznajmiła stanowczo, tym bardziej stanowczo, że wcale nie była pewna, że dobrze robi.

- Och, Maddie! - W.S. puścił ją i cofnął się o krok. - Daj spokój...

Zacisnęła zęby. Nie przypuszczała, że będzie tak trudno.

- Mówię poważnie. Chcę tam pojechać.

Na twarzy W.S. znów pojawił się wyraz zagubienia.

- Do jasnej...! - Walnął pięścią w balustradę schodów. - To bez sensu. Nie mam prezerwatyw.

Wręczyła mu kondom z pudełka Brenta. W.S. wyglądał tak, jakby zdzieliła go pałką w głowę.

- Więc ty poważnie...?

- Najpoważniej w świecie. - Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

Bardzo starała się wyglądać zwyczajnie i jak najbardziej niewinnie. - Jeśli chcesz, możemy po prostu

porozmawiać. Ale tak czy inaczej powinniśmy tam pojechać... Wspomnieć stare, dobre czasy.

- Oczywiście. Stare, dobre czasy. - Schował prezerwatywę do kieszeni. -

Dobrze, pojedźmy na Point. Porozmawiać. Ale najpierw musimy zmienić

samochód. Nie mam zamiaru wysłuchiwać kazania Henry'ego, który z pewnością dowie się, że ktoś widział tam mój kabriolet.

- Masz trzydzieści siedem lat. Co cię obchodzi ludzkie gadanie?

- Mówimy o Henrym, a on mnie obchodzi. Zamierzali pożyczyć samochód Trevy, ale stanęło na cadil-

lacu Brenta, który pojechał do kręgielni wozem Howiego. Maddie bardzo się to spodobało - teraz Bailey będzie pewny, że to Brem przyjechał na Point, co da jej szansę i na przeżycie frajdy ze zrobienia czegoś niewłaściwego, i na ocalenie reputacji-

- Będzie wspaniale - obiecała W.S., który nie zdradzał szczególnego entuzjazmu. Ale co ją to obchodziło? Już nigdy nie będzie ofiarą.

Piętnaście minut później W.S., którego przez całą drogę instynkt ostrzegał niemal głośno, wjechał samochodem Bren-ta Faradaya na Point, wyłączył silnik i zaciągnął ręczny hamulec.

- Wspaniale! - ucieszyła się Maddie Faraday i wysiadła.

- A ty dokąd?

- Na tylne siedzenie. - Rzeczywiście, usiadła z tyłu, zatrzęsnęła za sobą drzwi.

- No, to bomba.

W.S. od początku nie miał najmniejszych wątpliwości, że powinien trzymać się z dala od Frog Point, ale przyjechał do miasta, tłumacząc sobie, że czterdzieści osiem godzin to za mało, by stało się coś złego. Spełni drobną w gruncie rzeczy prośbę Sheili, zrujnuje Brenta Faradaya, potrząśnie prawicą Henry'ego, ucałuje Annę i odjedzie w siną dal. Nic złego nie mogło się stać. I proszę - siedzi teraz w ciemnym samochodzie obok jedynej kobiety, która zawsze umiała zrobić mu wodę z mózgu, a w dodatku ta kobieta chce się z nim kochać! Mówiąc szczerze, on też. chciał się z nią kochać, ale przecież nic z tego nie będzie, bo i być nie może. Ma swoją dumę, a cokolwiek skłoniło Maddie to tego szalonego kroku, to z pewnością nie przemożne uczucie. Po prostu wściekła się na Brenta i miała zamiar się na nim odegrać.

Nie podobało się to W.S. Grał już raz w takim filmie, i nie da się zrobić po raz drugi. Na razie nie protestował, bo Maddie była nieco pijana, ale wciąż miał nadzieję dowiedzieć się, co właściwie jest grane. I tylko o to mu chodziło.

- Wiesz, dwadzieścia lat temu byłeś nieco ruchliwszy. Chodźże!

- No nie! - W.S. rozsiadł się wygodniej na przednim siedzeniu. - Nie słyszę żab.

- Człowieku, nikt nie widział żaby we Frog Point od czterdziestu lat. Rusz się.

W.S. oparł głowę na kierownicy, a potem odwrócił się i spojrzał na Maddie. Patrzyła na niego ze wściekłą determinacją, oczy miała wielkie, rozszerzone, dłonie złożone na piersi; wyglądała tak, jakby siłą woli chciała przenieść go na miejsce obok siebie. Pod napiętym materiałem jej sukni widział okrągłe, jędrne piersi. Przypomniawszy sobie wczorajszy wieczór, kiedy w jego objęciach była tak ciepła, tak miękka. A pół godziny temu spadła mu w ramiona, schodząc ze schodów, i kiedy ją złapał, pożądanie omal nie pozbawiło go przytomności.

Podawała mu kondom, a on go od niej wziął, choć nadal nie miał zamiaru przesiąść się na tylne siedzenie.

- Zapomniałaś włożyć biustonosz - zauważył.

- To symbol. Nie włożyłam też majtek. - Poklepała siedzenie samochodu. - Chodź.

Naprawdę, naprawdę nie powinien do niej przechodzić, zwłaszcza że wiedział, iż kieruje nią coś innego niż uczucie. Tylko że motywy jej postępowania obchodziły go coraz mniej, za to serce biło mu coraz mocniej, krew odpływała z mózgu... Cóż, Point to Point, dzieje się to, co się dzieje, ale on musi przecież wiedzieć, o co chodzi, nim popełni jakieś monstrualne głupstwo.

- Maddie, dlaczego mi to robisz?

- Nie wierzę własnym uszom! - syknęła Maddie, patrząc na niego wściekle. - Ofiaruję ci moje ciało, a ty chcesz wiedzieć dlaczego?

To jakiś koszmar! To się nie może dziać naprawdę! W.S. jęknął, uderzył głową w kierownicę, a potem roześmiał się.

Maddie nie miała pojęcia, z czego się W.S. śmieje, postanowiła sobie jednak, że będzie cierpliwa. Kiedy nadejdzie właściwa chwila, W.S. przeniesie się na tylne siedzenie. Nie mógł zmienić się tak bardzo w zaledwie dwadzieścia lat.

- Dobrze - zdecydował w końcu W.S. - Ale pamiętaj, tym razem to twój pomysł. Ty mnie uwiodłaś.

Sprawdził ręczny hamulec, zamknął przednie drzwi od strony pasażera, wysiadł, zamknął drzwiczki od strony kierowcy. Kiedy siadł na tylnym siedzeniu, Maddie roześmiała się.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał z odrobiną gniewu, sadowiac się obok niej.

- Ty! Ręczny hamulec. Blokowanie drzwi. Jesteś nadzwyczaj ostrożny.

- No, jakby to powiedzieć... Zwalenie się w urwisko w środku stosunku nie jest moim pomysłem na najlepszy orgazm.

Maddie prychnęła lekceważąco.

- Dwadzieścia lat temu nawet byś o tym nie pomyślał.

- Dwadzieścia lat temu nie miałem ręcznego hamulca. - Wyjrzał za okno. -

Chryste, ale tu ciemno!

Maddie powoli traciła cierpliwość.

- Ciemno, owszem. Przyjechaliśmy tu, a nie na Main Street właśnie z powodu ciemności. Masz zamiar zrobić coś w najbliższej przyszłości?

- Chcesz? To masz. - Złapał ją tak mocno, że aż podskoczyła.

przycisnął jej usta swoimi, gniotąc je bezlitośnie, zmusił ją, by położyła się na siedzeniu. Czowała nacisk tapicerki na ramieniu; W.S. był ciężki, wiała się pod nim.

- Zaczekaj chwilę. - Spróbowała odepchnąć go łokciem, ale był ciężki, strasznie ciężki, ramionami przyciskał ją tak, że nie mogła się nawet ruszyć. - Chwileczkę, dobrze?

- Nie tego chciałaś? Nie namiętnego seksu w wielkim samochodzie?

W jego głosie usłyszała coś, co ją sparaliżowało. W.S. zawisł nad nią, wsparty na rękach. Nie widziała jego twarzy, ale wiedziała, że cokolwiek nim kierowało, nie była to namiętność.

- Śmiejesz się ze mnie - powiedziała głosem, w którym brzmiała furia.

- Oczywiście, że się śmieję! - Ale nie wyglądało na to, żeby był szczególnie rozbawiony. - Zasłużyłaś sobie. W jakiej ty sztuce grasz, co?

Odepchnęła go mocno.

- Puść mnie!

Pomógł jej usiąść. Czekał spokojnie, aż poprawiła sukienkę. Upokorzyło ją to, że okazała się tak przerażająco głupia. Dlaczego uznała, że W.S. marzy o niej? Idiotka!

- Pokłóciliśmy się ze starym przyjacielem Brentem, co? Maddie nie widziała go w ciemności, ale nie wątpiła, że mówi z obrzydzeniem.

- Nie, nie pokłóciliśmy! - Szarpnęła sukienkę, która jakoś nie chciała się ułożyć.

- Tak tylko pytam. Pamiętam, że właśnie waszej kłótni zawdzięczam szczęście, które spotkało mnie przed laty. - Nasz stary przyjaciel Brent zaczął się podwalać...

- Nie nazywaj go naszym starym przyjacielem!

- ...do Margaret, tak chyba miała na imię, i to wkurzyło cię tak, że zdecydowałaś się na tę eskapadę ze mną.

Maddie skuliła się na siedzeniu. Najgorsze było to, że on miał rację. Nie zaciągnęła go tu, ponieważ czuła do niego nieprzeparty pociąg, lecz dlatego tylko, że szukała zemsty.

Dwadzieścia lat! A ona nadal uprawia te same gierki. Idiotka, słodka idiotka.

- Masz rację - westchnęła. - Nie wykazałam się szczególną przebiegłością. Nic dziwnego, że mąż musiał szukać innych kobiet

- Powiesz mi, o co chodzi?

No właśnie, o niczym innym nie marzyła.

- Nie. Jak na jedną noc wystarczająco się wygłupiłam.

- Oj, nie myśl, że nie jestem ci wdzięczny. - W.S. poklepał ją po kolanie. - Zapasy z tobą... to wskrzesza wspomnienia. -Roześmiał się. - O rany, jaki byłem zaskoczony tamtej nocy, kiedy zdecydowałaś się pójść na całość.

- Taaak. - Maddie oparła głowę na zagłótku. Była zbyt przygnębiona, by cokolwiek ukrywać. - Ja też się zdziwiłam. Przecież nie miałam tego w planach.

Inna rzecz, że z moich planów i tak nic nigdy nie wychodzi.

- Do dziś nie udało mi się dojść, dlaczego wybrałaś właśnie mnie. Z całą pewnością nie dlatego, że miałem opinię kochanka doskonałego. Pożądanie i strach, pół na pół; z pewnością nieszczególnie to wyszło.

Spojrzała mu w oczy.

- Byłeś zabawny - powiedziała. W.S. jęknął.

- Dziękuję ci z całego serca.

- Nie, nie tak. Byłeś zabawny, bo umiałeś żartować. Sprawileś, że się śmiałam, że dobrze się bawiłam.

- Naprawdę? - Mimo że minęło dwadzieścia lat, w tej chwili W.S. sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Naprawdę. Byłeś fajny, sympatyczny. - Umilkła na chwilę. - Nie próbowałeś grać supermana. Byłeś naprawdę uroczy i taki szczęśliwy, że jestem z tobą.

- „Szczęśliwy” to mało powiedziane. Ja byłem w raju! Maddie musiała się roześmiać, choć nadal nie było jej do śmiechu. W.S. delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

- Przytul się i opowiedz mi wszystko.

- Co?

Potrząsnął głową.

- Wiem już, że dziś nie będę cię miał, ale to przecież nie znaczy, że nie

możemy się poprzytulać. Przysuń się.

WS. objął ją mocnymi, ciepłymi ramionami. Odetchnęła głęboko, poczuła zapach kapryfolium.

- Dobrze mi tu - powiedziała. - Może jednak, kiedy przyjechaliśmy tu po raz pierwszy, to rzeczywiście były dobre stare czasy?

- Nie dla mnie, o ile pamiętam. Kroczyłem przez życie od katastrofy do katastrofy.

- Ja też byłem dla ciebie katastrofą? W.S. delikatnie pogłaskał ją po włosach.

- Największą ze wszystkich. Rzuciłaś mnie, łamiąc mi serce.

Przytuliła policzek do miękkiego materiału koszuli W.S.

- Naprawdę myślałaś, że zostawię dla ciebie Brenta?

- Nie - odparł, ale dopiero po chwili milczenia, jakby musiał się zastanowić. - Kiedy jednak okazało się, że go nie zostawisz, straciłem ochotę do życia.

- Przepraszam. Strasznie mi przykro - powiedziała Maddie, prostując się. -

Wiesz, myślałam... myślałam, że chodzi ci tylko o to, że dostałaś, co chciałaś, i masz dość. Nawet mi się nie śniło...

- Daj spokój. - Przyciągnął ją do siebie. - Minęło dwadzieścia długich lat.

Dobry, stary W.S. Potrafi przytulić. Maddie czuła się tak dobrze, tak spokojnie.

- Owszem, ale to był mój pierwszy raz - powiedziała. -A to się liczy.

- Mój też.

Wyprostowała się gwałtownie, uderzając go czubkiem głowy w brodę.

- Twój też?!

W.S. trzymał się za szczękę, jęczał i gapił się na nią, przestraszony.

- Oczywiście. Kobieto, opanuj się. Masz łeb jak skała.

- No tak, to wiele wyjaśnia. - Maddie nie przejęła się jego kontuzją.

- Na przykład co? Spojrzała mu prosto w oczy.

- Na przykład to, dlaczego, kiedy skończyliśmy, spytałaś: „Czy dla ciebie było to tak złe jak dla mnie?”.

- Z pewnością nie powiedziałem nic takiego.

- Ależ powiedziałaś, powiedziałaś. - Roześmiała się. -Myślałam, że żartujesz, choć, rzeczywiście, nie było najlepiej.

W.S. potrząsnął głową.

- Nie ma czegoś takiego jak zły seks.

- Pierwszy raz był naprawdę zły. Wydawałam się sobie niezdarna, nieczysta i było mi okropnie niewygodnie.

- Dziękuję ci bardzo - westchnął W.S.

- Drugi okazał się o wiele lepszy - pocieszyła go.

- To już musiało być z Brentem. My nie mieliśmy drugiego razu. Po tej nocy nawet się do mnie nie odezwałaś. -W.S. przygarbił się. - Następnego dnia podszedłem do ciebie w szatni, a ty się po prostu odwróciłaś. Boże, co za policzek!

- Nie chodzi o Brenta. Tamtej nocy kochaliśmy się dwa razy.

- Naprawdę? No tak, masz rację!

- Nie pamiętasz...? — Maddie rozgniewała się nie na żarty.

- Kochanie, ja pamiętam tylko pożądanie i strach. To, co wzięłaś za żarty, było prawdopodobnie moim najlepszym pomysłem na grę wstępna. No wiesz: „Kiepsko było, skarbie, więc zrobmy to drugi raz, może będzie lepiej” - powiedział piskliwym głosem.

- Wcale tak nie mówiłaś - roześmiała się Maddie.

- W duszy tak. - W.S. przygarnął ją mocniej. - Boże, jak ja się bałem!

- Mnie?

- Ciebie, samochodu, tylnego siedzenia, tego, że nie potrafię się kochać i tego, że nie będę w stanie kochać się po raz drugi.

Przez wiele lat kiedy byłem z kobietą, myślałem: to już koniec. To się nigdy nie powtórzy. Nigdy nie znajdę kobiety, która zechce to dla mnie zrobić. Nie mam po co żyć...

- Przestań - chichotała Maddie. - Bo się popłaczę.

- Prawdę mówiąc, nawet teraz...

- Co teraz? - Przesunęła się, by móc na niego spojrzeć; ich nosy niemal się zetknęły. - Jesteś żonaty?

- Nie. — W.S. spojrzał na nią zaskoczony. - Rozwiedziony. Od dziesięciu lat Chyba nie chciał rozmawiać na ten temat, lecz ją to zainteresowało.

- Dlaczego się rozwiodłeś?

- Lubiała pieniądze. Nie zanosilo się na to, żebym się kiedykolwiek dorobił, kłóciliśmy się, a w końcu po prostu znienawidziliśmy.

- Wyszła za ciebie dla pieniędzy? - Maddie rozzłościła się nie na żarty.

- Nie w tym rzecz. Chodziło jej, oczywiście, o coś więcej, lecz nasze małżeństwo od początku skazane było na zagładę.

- A co się stało wcześniej? W.S. zmarszczył brwi.

- To znaczy kiedy?

- Zniknąłeś z mojego życia. Chcę wiedzieć, co się z tobą działo. Wiem wszystko o wszystkich mieszkańcach Frog Point. To bardzo interesujące spotkać nagle na drodze tajemniczego znajomego, o którym niewiele wiadomo.

Wzruszył ramionami.

- Nie jestem tajemniczy. Na Sheilę wpadłem dwanaście lat temu, kiedy przyjechałem z wizytą do domu; kilka lat po szkole pracowała jako sekretarka. Spojrzeliśmy na siebie, zrozumieliśmy, czego oboje chcemy, a potem okazało się, że nie przyjrzelśmy się sobie dość uważnie.

- Chciała pieniędzy. Czy je zobaczyła?

- Zobaczyła faceta starszego od siebie, który wyjechał z Frog Point, mieszka w dużym mieście i chodzi do pracy w garniturze. Wzięliśmy ślub, a ona szybko zrozumiała, że to tylko ja; zatęskniła za Frog Point, ja nie chciałem się przenieść, nie mieliśmy tyle pieniędzy, żeby mogła żyć tak, jak to sobie wymarzyła, więc nic już nas

nie łączyło. - Westchnął. — Popelniliśmy błąd. Nie byliśmy źli, tylko głupi. Maddie nie chciała zadać kolejnego pytania. Nie chciała, ale musiała.

- A co ty zobaczyłeś?

- Ja?

- Co zobaczyłeś w Sheili. W.S. znieruchomiał. Rozmyślał.

- Ładną, słodką dziewczynę, która chciała dzielić ze mną życie.

- To wszystko?

- Owszem. Powiedziałbym, że całkiem sporo.

- Musiałeś tęsknić za nią, kiedy odeszła. - Maddie przygryzła wargę. - Czy rozwód naprawdę jest taki okropny?

- To piekło. - W jego głosie nie słyszała jednak bólu. - Człowiek oddycha z ulgą, kiedy jest już po wszystkim. Powrót do normalności trwa jakieś dwa lata, jeśli jesteście sobie obojętni. Jeśli się kochaliście, to w moim przekonaniu cierpienie nigdy się nie kończy.

Maddie milczała tak długo, że W.S. pochylił się nad nią, by sprawdzić, czy przypadkiem nie zasnęła.

- Jesteś tam?

- Zamyśliłam się.

- Masz zamiar rozwieść się z naszym starym przyjacielem Brentem?

Odetchnęła głęboko.

- Prawdę mówiąc, do tej chwili miałam zamiar zabić naszego starego przyjaciela Brenta, teraz nie jestem już aż tak na niego wściekła.

- A dlaczego byłaś?

- Zdradza mnie.

Śmiech W.S. zabrzmiał jak parsknięcie.

- Też mi niespodzianka! No, przynajmniej wyjaśniło się jedno.

- To znaczy...?

- Już wiem, dlaczego przyjechałaś tu ze mną i dlaczego próbowałaś wyreżyserować powtórkę „Dnia, w którym utraciliśmy dziewictwo”. To po prostu część druga: „Zemsta”. A ludzie mówią, że historia się nie powtarza!

- Bo się nie powtarza. W.S. odsunął się od niej.

- Nie przejmuję się moimi uczuciami, nawet teraz, gdy prawda wyszła na jaw - pozaliła się.

- Mam nadzieję, że żartujesz.

- Nie bardzo mi do żartów.

- Ja naprawdę sędzę, że się mylisz. Maddie milczała, szukając właściwych słów.

- Bo wiesz, wtedy rzeczywiście przyjechałam tu, by się odegrać na Brencie, ale nie dlatego zostałam. Zostałam, bo było mi wspaniale. Pod każdym względem... wyjąwszy seks - powiedziała w końcu.

- Kochanie, dziękuję, że tak miło mnie pocieszasz. Próbowała dostrzec w ciemności jego twarz.

- Przecież chciałeś, żebym była szczerą. Seks był do niczego, ale

rozmawialiśmy, żartowałeś, śmialiśmy się. Czulałam się wspaniale. I bardzo cię lubiłam.

- Więc dlaczego wyszłaś za Brenta?

Zadał to pytanie kpiąco, ale Maddie odpowiedziała mu bardzo poważnie:

- Nie wiem. Długo się nad tym zastanawiałam. Wszyscy wiedzieli, że zostanę jego żoną, a skoro wszyscy o tym wiedzieli, to przecież nie miałam innego wyjścia, prawda? Nie rozważałam nawet innej możliwości. Nim przyjechałam tu z tobą, wybraliśmy srebra. Miałam komplet: łyżeczek. Małżeństwo wydawało się choćby już przez to nieodwracalne. Wiedziałam, kim będę: żoną Brenta Faradaya. Wiem, że brzmi to głupio, ale po prostu nie rozważałam żadnej innej możliwości. Ślub musiał być, mężem musiał być on, i tylko on.

- Rozumiem. Przecież wówczas wszyscy myśleliśmy w podobny sposób.

- Ja myślałam tak aż do wczoraj. Dlatego tak się na niego wściekałam.

- Już się nie wściekasz?

- Zmieniłeś mój sposób patrzenia na świat - powiedziała, patrząc mu w oczy.

- Nie powinnaś do tego dopuścić. Lepiej nadal się na niego wściekaj.

- Mówię poważnie. Teraz jest mi dobrze. Tak dobrze nie było mi od bardzo dawna, od lat. Jeśli Brent ma ochotę przelecieć jakąś łatwą panienkę, jest świnia i tyle, ale jeśli znalazł u kogoś to, co ja u ciebie, takie... ciepło, to chyba go rozumiem. - Przysunęła się do W.S., poczuła, że ją obejmuje i przytula. Ogarnął ją spokój. Było to wspaniałe doznanie, niemal fizyczne. - Jak mi dobrze - powiedziała. - Jesteś wspaniały!

Potarła policzkiem o pierś W.S., ukrytą pod bawełnianą koszulą. Czula zapach słońca, mydła i... mężczyzny. Miła kompozycja: on, słońce i nic więcej.

- Ciotka ci pierze? - spytała. - Założę się, że ta koszula suszyła się na dworze. Pachnie cudownie.

Roześmiał się. Spojrzała mu w oczy, czarne jak noc, obramowane nieprawdopodobnymi rzęsami. Usta miał pełne i tak słodkie, że chciało się je gryźć; był ciepły, silny, pewny siebie i pragnęła go tak bardzo, że z trudem oddychała.

W.S. już się nie śmiał, patrzył na nią. Nagle pochylił się i pocałował ją w usta, a na ten pocałunek odpowiedziało całe jej ciało.

- Maddie... - szepnął.

Ujęła go za głowę, całowali się, głaskała go po plecach. Smakował winem i czymś jeszcze, po prostu sobą. Miał mocne, muskularne ramiona. Kiedy położył jej dłoń nad piersią, zadrżała z rozkoszy. Aż do tej chwili nie zaznała tak miłego odczucia. Przyciągała go, czuła każde miejsce, w którym ocierał się o jej ciało, a kiedy ją przytulał, traciła wprost głowę. Wargi musnęły jej szyję, Maddie westchnęła, oddychała jego oddechem, chciała go więcej, więcej, jeszcze więcej, i kiedy wreszcie dotarł niżej, do piersi, twardej, nabrzmiącej i jakże wrażliwej, jęknęła. Ugryzła go w ramię. Tuliła się do niego tak, że mocniej już nie mogła.

- Jeśli masz zamiar powiedzieć „nie” to lepiej powiedz to teraz - szepnął po długiej chwili.

Zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć.

- Pragnę cię. Kochaj mnie...

7

W.S. patrzył na nią czarnymi oczami, lśniącymi w blasku księżyca. Oddychała ciężko, czując, jak jego silna dłoń odpina kolejne guziczki sukienki. Powoli przesunął palcami po jej brzuchu. Patrzyła przez chwilę w jego twarz, dziką z podniecenia. Teraz całował jej szyję, czuła dotyk sztywnych włosów na policzku. Zadrżała, kiedy przesunął wilgotnym językiem po szyi i ramionach, po udach; pieścił ją,

twardy, gorący, pachnący słońcem - jej własny W.S.; paznokciami drapała jego plecy, palcami sięgnęła do paska dżinsów.

- Czekaj - szepnął. - Odepnę go.

Wiła się pod nim, żyła, wreszcie żyła, tak bardzo go pragnęła, nie potrafiła czekać, aż odepnie pasek, musiała otrzeć się o niego raz, drugi, trzeci. Nagle poczuła jego dłonie na nagiej skórze ramion i pleców. Szarpnął ją, jęknęła, ale on tylko zsunął z niej sukienkę. Materiał miękkiej koszuli ocierał się o jej nagie ciało, było wspaniale, ale nie... on też powinien być nagi! Nie mogła rozpiąć tej koszuli, brakowało jej ciepłości. Uderzyła go głową w pierś, pocałował ją, uniósł się lekko i wtedy po prostu zdarła z niego koszulę, guziki prysnęły na wszystkie strony, napięte sutki dotknęły ciepłego ciała, nie mogła myśleć, nie miała zamiaru myśleć! Jęknęła, pocałowała go tak mocno, że rozcięła mu zębami wargę. Na ustach pozostał smak krwi.

- Maddie, kochanie, czekaj, czekaj...

Wsunął między jej nogi rękę, silną, stanowczą, tak cudowną na wilgotnych gorących udach. Krzyknęła. Popchnął ją na siedzenie, objęła go nogami, znalazł wargami jej piersi, ssał sutki. To wówczas straciła świadomość tego, co się dzieje, drapała go do krwi, ale on jeszcze zwlekał, szukał prezerwatywy. Jednym ruchem rozwarł jej uda, wygięła się z rozkoszy i nieopanowanego pożądania, poczuła, że w nią wchodzi. Ich ciała poruszały się w zgodnym rytmie, nie wiedziała nawet, że go całuje, czuła, jak się o nią ociera, i było to takie wspaniałe, takie uspokajające. Czuła go wszędzie, każdym skrawkiem ciała, krew tętniła jej w skroniach, w piersiach, poddała

się wreszcie, szczytowała, był tak głęboko, tak głęboko... i jeszcze głębiej... Krzyczała, aż wreszcie znieruchomiała. Orgazm był wspaniały, ale prawie go nie pamiętała, bo miłość przed orgazmem go przysłoniła.

Leżała nieruchomo, z odrzuconą głową, oddychając ciężko.

Wreszcie spojrzała na partnera. Księżyc świecił jasno na bezchmurnym niebie, czarne oczy W.S. odbijały jego blask, wydawały się padać na jej rozgrzane ciało, a ona czuła się inna, odmieniona. Zrobiła coś złego, coś strasznego, ale wreszcie zrobiła coś tylko dla siebie. Nigdy nie będzie już taka jak przedtem. Co za cudowne uczucie!

- Chodź tu - szepnął W.S. Uniósł ją, a ona usiadła na nim. Osunął się nieco, przycisnął jej ramiona, przytulił ją i poczuła, że znów - taki twardy! - jest w jej ciele. Wbiła palce w mięśnie jego barków.

- Jak...? - szepnęła, czując, że rozpływa się w rozkoszy.

- Z trudem. - Głos W.S. był cichy, ochrypliwy. - Skończyłaś tak strasznie szybko. Złapał ją za włosy, pociągnął; chciał widzieć jej twarz. - Ale tym razem będzie inaczej. Patrz na mnie. Chcę, żebyś wiedziała, z kim jesteś!

- Wiem.- Przesunęła palcem po jego wargach, był w niej tak głęboko, tak głęboko. - Nigdy nie czułam niczego podobnego.

- Skarbie, nikt nigdy nie czuł czegoś podobnego. -

Całował ją pieścił jej piersi, poruszał się w niej głęboko, a w jej ciele rodziło się, coś nowego, wspaniałego i nieznanego. Krzyknęła.

- Patrz na mnie!

Szarpnął ją za włosy, oczy mu błyszczały, zacisnął zęby i zadrżał. Maddie znów mogła myśleć, a pomyślała: Czuje to tak, bo mnie pragnie, to przeze mnie traci kontrolę nad sobą, jest we mnie, dla mnie, fiożę jedyny... Ona też straciła kontrolę nad sobą, zatraciła się w kolejnym orgazmie, nie wiedziała już, czy to on ją tuli, czy ona jego.

Wracała do rzeczywistości powoli. Leżała na jego szerokiej, wilgotnej piersi. Maddie Faraday nie byłaby w stanie zrobić czegoś takiego -pomyślała. To byłam ja, nowa ja, tylko ja.

Chcę jeszcze!

W.S. wysunął się z niej. Siedzieli obok siebie, zmęczeni i drżący, rozgorączkowani, a potem spokojni i wreszcie usłyszała szept:

- Musimy zapamiętać, jak to zrobiliśmy.

Maddie roześmiała się

- Mówię poważnie. Bywało mi dobrze, ale to, co przeżyliśmy dziś, to prawdziwa rozkosz. Jeśli to przez ten samochód, to kupię sobie identyczny.

- Nie przez samochód. Dzięki tobie. I mnie.

W.S. przytulił ją mocno.

- Czy jutro, tak jak wtedy, również nie będziesz chciała ze mną rozmawiać?

Czy jeśli podejdziesz do ciebie na ulicy, odwrócisz się?

- Nie. - W głowie kręciło się jej od jego ostrego, słonecznego zapachu i dlatego, że był tu i że czuła się wolna, wreszcie wolna. - Nie sądzę, bym

kiedys była zdolna odmówić ci czegokolwiek. Nie po tym... - Pocałowała go, wpił się w jej usta z takim zapamiętaniem, że znowu miała ochotę, bo przecież pragnął jej i był taki wspaniały.

Jestem w stanie dokonać wszystkiego, pomyślała.

Rozdzielili się, opuścił ją delikatnie na siedzenie samochodu, czuli wzajemną bliskość. Udało im się jakoś pozbierać ubrania. Odpoczywali, spokojni i rozluźnieni, Maddie była pewna, że już nigdy nie zdoła się poruszyć, czuła zapach kapryfolium, miłości, słońca na koszuli W.S. Oblizwała wargi, słone od jego potu. Rozkoszowała się tym smakiem, rozkoszowała się bliskością jego masywnego ciała, nadal drżała z rozkoszy, która okazała się wszechogarniająca. Obserwowała go w świetle księżyca: błyszcząca skóra, cień gęstych rzęs na policzkach, lekki uśmiech na pełnych wargach.

Przesunęła po nich palcem, a on pocałował ten palec, nie otwierając oczu.

- Dziwnie się uśmiechasz - powiedziała rozmarzona. - Tak tajemniczo.

- Mam to zmienić? - spytał sennym głosem.

- Nie. - Pieściła dłonią jego wargi. - Twój uśmiech jest bardzo seksowny.

- No to nie zmienię go - obiecał. Oczy nadal miał zamknięte.

- Szczerze mówiąc, wszystko w tobie jest bardzo seksowne.

- Dziękuję.

Maddie przytuliła się do niego.

- Sądzisz, że ja też jestem seksowna? Otworzył jedno oko.

- Moim zdaniem należałoby ogłosić cię skarbem narodowym i chronić prawnie. Czy ty zawsze robisz się po tym taka rozmowna?

- Nie. - Szczerzy uśmiech rozjaśnił twarz Maddie. - Jeszcze nigdy nie byłam po tym tak szczęśliwa.

W.S. zamknął oczy.

- W takim razie niech będzie, mów. Obiecuję, że cię wysłucham. - Pocałował ją delikatnie w szyję. Zadrżała. - Masz aksamitną skórę.

Leżała bezwładnie, czując go obok siebie, słuchając cykania świerszczy, wdychając zapach kapryfolium i W.S. Przesunęła dłonią po jego barku i ramieniu. Mięśnie miał twarde, wspaniałe. Wszystko w nim było wspaniałe. Nagle chwycił ją skurcz uda i uprzytomniła sobie, że wspaniały czy nawet najwspanialszy W.S. jest także ciężki. Próbowwała znaleźć jakąś wygodniejszą pozycję, ale okazało się to niewykonalne. Jeśli nie uda się jej wyprostować nogi, okuleje na całe życie.

- W.S. - szepnęła, a on entuzjastycznie przytulił ją jeszcze mocniej. Ból z uda promieniował aż na biodro. - W.S.!

Co za szczęście. Obudził się!

- Co, co...?

- Przygniatasz mnie. Nogę mam przekrzywioną...

- Och, przepraszam. Zaraz...

- Ooo...!

- Przepraszam.

Pomógł jej usiąść, ale Maddie natychmiast zsunęła się z jego kolan. Krew napłynęła do zdrętwiałej nogi, powodując nieznośny ból. Kolano wyprostowało się z oporami, trzaskając groźnie.

- Boże, złapałam reumatyzm!

- Dzięki Bogu, lubię zreumatyzowane kobiety.

Mówił jak człowiek krańcowo wyczerpany. No cóż, miał prawo do zmęczenia.

- Zabierz mnie do domu - zlitowała się nad nim. - Musisz się przespać.

- Nie możemy przespać się razem?

Objął ją mocno i Maddie nie zamierzała mu się wyrywać. Nie była w stanie.

- Niestety, nawet Brent zaczęłyby się czegoś domyślać, gdyby złapał cię w moim łóżku.

- A tak, dobry, stary Brent. - W.S. zawahał się. - Masz jakieś plany, o których powinienem wiedzieć?

- Owszem. Rozwodzę się. W poniedziałek wnoszę sprawę. Tylko że jeszcze mu o tym nie powiedziałam.

Westchnął, delikatnie dotknął jej piersi.

- Zdjęłaś mi kamień z serca. Powiedz mu od razu, to będziemy mogli spać ze sobą bez problemu.

- Nie!

- Kochanie... przecież żartowałem.

- Pozostaniesz moją tajemnicą aż do rozwodu.

- Dlaczego? Maddie zadrżała.

- Mam córeczkę. Nie chcę, żeby jemu przyznano opiekę nad nią.

W.S, z podziwem potrząsnął głową.

- Maddie, matka nie traci prawa do opieki nad dzieckiem tylko dlatego, że ma kochankę. Zwłaszcza jeśli ojciec ma kochanek na kopy!

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie mam zamiaru ryzykować, gdy w grę wchodzi moje dziecko.

- Myślę, że potrafię cię zrozumieć. - Ziewnął. - No tak, rzeczywiście, wykończyłaś mnie. Kiedy się znowu zobaczymy?

Maddie musiała pomyśleć o Brennie i poczuła się odrobinę mniej szczęśliwa.

- We wtorek wieczorem. We wtorki i czwartki on gra w kręgle, a potem zawsze gdzieś się bawi.

W.S, który właśnie się przeciągał, zamarł.

- Cztery dni!

- Pomyśl o nich jako o grze wstępnej.

- Ha, ha! - Pochylił się i pocałował ją mocno, przez chwilę pieścił jej piersi.

Poczuła znów przypływ podniecenia. - Czuję się tak, jakbyś należała do mnie

- powiedział. - Nie jest dobrze.

Maddie odpowiedziała mu pocałunkiem. Zamknął oczy, ścisnął ją tak, że aż zabolalo. Wspaniałe, wręcz oszałamiające uczucie wiedzieć, że ktoś pragnie

cię aż tak.

- Dlaczego? Moim zdaniem jest wspaniałe!

- Dlatego, że masz męża. Być może zabiję go.

Nagle podskoczyli oboje, bo ktoś załomotał w okno. Maddie otuliła się sukienką, na ile to tylko było możliwe, i usunęła w najciemniejszy kąt samochodu. W.S. zasłonił ją. Otworzył okno.

- Ludzie, nigdy nie słyszeliście o łózkach?

Zaświeciła latarka i Maddie schowała się w kąt siedzenia. Bailey! Któżby inny? Zobaczył samochód, podszedł, żeby sobie popatrzeć i zobaczył prawdziwe przedstawienie: żona szefa i facet o najgorszej w mieście opinii. Zamknęła oczy, próbowała nie myśleć, jakich to właśnie narobiła sobie kłopotów. No cóż, tego przecież chciała. Zemsty. Doskonale, właśnie żegna się z rolą chluby Frog Point.

Mama ją zabije i będzie miała rację.

W.S. zasłonił sobą światło latarki.

- Człowieku, kim ty, do diabła, jesteś?!

- No, niech mnie... W.S. Sturgis! Jak się masz, W.S.?

- Kto to?

- To ja, Bailey. - Uniesiona latarka oświetliła pyzată twarz i grubą szyję, wyrastającą z munduru strażnika. - Nie pamiętasz mnie?

- To ty? Zostałeś gliniarzem? - Głos W.S. zabrzmiał znacznie łagodniej. - I niech mi ktoś powie, że świat nie schodzi na psy!

Bailey uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nic się nie zmieniłeś. Przynajmniej z mojego punktu widzenia. Ha, ha! Dwadzieścia lat czekałem, żeby znów cię przywazać i grającego na tylnym siedzeniu samochodu. Dobry wieczór pani. Maddie spróbowała wtopić się w tapicerkę.

- Bailey, stary przyjacielu... - Głos W.S. zabrzmiał groźbą.

- Tak...?

- Wyłącz tę pieprzoną latarkę.

- Och, oczywiście. - Polecenie zostało spełnione. - W.S., przepraszam, ale naprawdę powinieneś się stąd wynieść. Teraz to prywatna własność.

- Oczywiście, już mnie nie ma. - W.S. doprowadził koszulę do pozorów porządku i wysiadł, nadal osłaniając Maddie. - Miło było znów cię zobaczyć. - Złapał strażnika za ramię i siłą odsunął go od samochodu. - A teraz wynoś się.

- Zjadę na dół, przyjacielu, ale tam na was zaczekam.

- Doskonale, świetnie, do zobaczenia. Wracaj do samochodu. - W.S. niemal przeniósł Bailey'a do jego pojazdu. Strażnik ledwie dotykał ziemi czubkami palców.

- Hej, daj spokój, jesteś z nią? Chyba wiem z kim. Od dobrego miesiąca miasto nie miało o czym gadać.

- Gliniarze nie gadają, stary. Nawet najemni strażnicy. Przyjechałem sam. -

W.S. wepchnął Bailey'a do jego samochodu. - Nikomu nie wspomnisz o tym ani słowem, rozumiesz?

- Pewnie, że tak. Przyjechałeś sam i sam siedziałeś na tylnym siedzeniu samochodu Brenta Faradaya. Na Point Wymyśl inną bajeczkę. Przecież ktoś tam z tobą jest!

W.S. pochylił się tak, że patrzył Bailey'owi prosto w oczy.

- Słuchaj, masz trzymać gębę na kłódkę albo spiorę cię na kwaśne jabłko. Bailey roześmiał się, ale włączył silnik.

- Nie tkniesz mnie nawet paluszkami, W.S. No i kto jak kto, ale ty powinienes wiedzieć, że w naszym mieście nic nie da się utrzymać w tajemnicy.

- Wiem, ale mogę przynajmniej spróbować - syknął W.S.,

siadając za kierownicą cadillaca. - Schylił głowę - polecił Maddie, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Maddie patrzyła na oddalające się czerwone światła samochodu Bailey'a.

Jutro ludzie będą mieli o czym mówić.

- Czuję się jak kurwa. W.S. odetchnął głęboko.

- Kochanie, błagam...

- Wszystko popsuł.

- Nie pozwól mu na to.

Ruszyli. Maddie myślała o tym, co powiedział W.S. Ma oto za sobą najpiękniejszy wieczór życia. Jutro pewnie będzie żałować tego, co zrobiła, jutro z pewnością będzie żałować tysiąca rzeczy, ale na razie wciąż jest z nim, z W.S., i nic innego jej nie obchodzi.

- Masz rację - powiedziała i przeszła na przednie siedzenie.

- Jak to się stało, że nie mam ani jednego guzika przy koszuli? Coś ty zrobiła, poodgryzałaś je, kiedy zajmowałem się czymś innym?

- Następnym razem zajmuj się tym, czym powinienes się zajmować - zbeształa go i wsunęła mu język w ucho.

Samochód wpadł w poślizg, ale W.S. opanował go, nim zjechali z drogi.

- Przestań. Daj spokój przynajmniej wtedy, kiedy prowadzę. W moim samochodzie wszystko byłoby prostsze, bo dźwignia biegów trzymałaby cię po twojej stronie.

- Wolałam tego starego chevroleta. Przynajmniej mogłam się do ciebie przytulić.

- W nowym też możesz, tyle że z dźwignią biegów między kolanami.

Wyobrażam sobie, jak interesująco prezentowałyby się wrzucanie czwórki.

- Sprawiasz, że czuję się tak, jakbym znowu miała osiemnaście lat — roześmiała się Maddie.

W.S. poklepał ją po kolanie.

- Bardzo pięknie sforsowałaś oparcie. Ani śladu reumatyzmu!

- Powinienes zobaczyć, jak przechodzę na tylne siedzenie... W.S. spojrzął na nią. W padającym z deski rozdzielczej

świecie jego twarz wydawała się spokojna, nieprawdopodobnie pewna siebie.

- Co się odwlecze...

Maddie wtuliła się w siedzenie. Nie przyszło jej nawet do głowy pomyśleć o jutrze.

W.S. Strugis prowadził cadillaca swego najgorszego wroga przez ciemność, niezbyt jeszcze przytomny, ale z całą pew-nością usatysfksjonowany. Nie wiedział, czy właśnie spełniły się jego najskrytsze marzenia, czy też może los drwi sobie z niego, jak zwykle. W końcu ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, był związek z zamężną kobietą z Frog Point! Skoro jednak kobietą tą była Maddie, skoro Maddie i tak występowała o rozwód i skoro W.S. nie był ciągle w stanie jasno myśleć, uznał, że ma prawo i obowiązek czuć się tak szczęśliwym jak nigdy. Po prostu jak nigdy.

Odzyskał Maddie.

Maddie wysiadła przed domem Trevy.

- Hej! - krzyknął zdziwiony, a ona pocałowała go przez otwartą szybę raz, drugi i trzeci, śmiejąc się cicho. Maddie, nareszcie prawdziwa Maddie - okrążyła buzia, pełne wargi, błyszczące oczy, śmieje się, całuje go, więc co tam, do diabła, nie obchodzi mnie nic oprócz niej! Wysiadł z samochodu, chciał ją przytulić, ale się odsunęła.

- Muszę pędzić do domu - powiedziała. - Wrócę piechotą. Nie jadę z tobą, bo ktoś mógłby nas zobaczyć.

Zagrzmiało. Wiatr powiał ulicą, towarzysząc pożegnaniu kochanków.

- Jutro... - powiedział W.S. - Jutro zadzwonię. Chcę spotkać się z tobą już jutro.

- Spróbuję. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi na tym zależy -odparła.

Odwróciła się i lekko pobiegła alejką, a on położył kluczyki cadillaca na półce pod przednią szybą i poszedł do mustanga. Dwie godziny na tylnym siedzeniu, i oto czuł się jak nowo narodzony!

Rozpętała się burza. Jechał przez zacinający deszcz, wyobrażając sobie mnóstwo rzeczy. Maddie przenosi się do Columbus (czy byłaby w stanie opuścić Frog Point?), jej dziecko (przecież nie wiem nic o dzieciach), twarz Anny, kiedy wszystko jej powie (będzie szczęśliwa, zwłaszcza z powodu dziecka), twarz Henry'ego, kiedy wszystko mu powie (kamienna), twarz Maddie, kiedy zaproponuje jej przeprowadzkę do Columbus (nie ma mowy!), twarz Anny, kiedy Anna uświadomi sobie, że Maddie jest mężatką (co za pech), zbiorową twarz Frog Point, kiedy miasto dowie się, kogo poślubia Maddie (zdumienie). Wir myśli doprowadził go do wspomnienia o działce przy domu Henry'ego (warto byłoby coś tu wybudować, powiedział Henry po jego ślubie z Sheila), marzenia o tym, by codziennie widywać jego i Annę, i niejasnego już, ale przecież nadal podniecającego wrażenia ciepła, słodczy i miękkiej skóry przy jego skórze, cichych jęków, oczu wpatrzonych w jego oczy, a potem przymkniętych w rozkoszy, i obecności, tak potrzebnej, tak

niezbędnej...

Musi to wszystko jakoś uporządkować.

Małeńka część jego racjonalniejszego „ja” próbowała dać mu do zrozumienia, że dwie godziny na tylnym siedzeniu samochodu to przecież nie fundament, na którym da się budować przyszłość, ale zagłuszona została przez świadomość, że tym razem oboje zrobili to, co konieczne do szczęścia. Na oczach miasta Frog Point!

Maddie wślizgnęła się do domu przez kuchenne drzwi, mokra od deszczu, wciąż wspominająca piękne chwile, lecz już trzeźwiejsza. Wróciła do domu. Wspaniały seks nie miał, niestety, mocy likwidowania problemów, zwłaszcza jej problemów. Wspaniały seks...

- Gdzieś ty się podziewała, do cholery?!

Brent! Brent krył się gdzieś w ciemności, próbowała go wypatrzeć, a wtedy włączył światło i oślepił ją.

- Brent...? - Głos jej drżał. Musi zyskać na czasie! Czy aby na pewno dobrze zapięta sukienka? Nie mam biustonosza! - myślała w popłochu.

- Pytam, gdzie się, do cholery, podziewałaś?! - Mówił szybko, słowa zlewały się, brzmiały jak przekleństwo. Brent pocił się i trząsał, oddychał ciężka, zmarszczone brwi prze-cinała mu czoło równą linią, podpierał głowę ręką, wyglądał jak ranny byk.

- Brent, nic mi się nie stało. - Podeszła do niego, starając się go uspokoić. — Wzięłam samochód jeździłam w kółko. Nie martw się, nic mi nie jest. Złapał ją za ramię.

- Nie o ciebie się martwię... - Nie skończył, potrząsnął nią. - Kiedy mówię, że masz być w domu. to masz być w domu! Bez dyskusji! Rozumiesz?

- Nie, nie rozumiem. - Maddie nie myślała jasno, czuła się wprawdzie winna, a jednocześnie ogarniał ją gniew. - Co ty wyprawiasz! - Wyrwała mu się. - To do ciebie niepodobne. Dlaczego jesteś taki wściekły? Przecież nic się nie stało!

- Stało się, bo mnie nie posłuchałaś. Kazałem ci być w domu. - Pochylił się, przez co Maddie znalazła się w pułapce, oparta o zlew. Brent roztaczał przykry zapach potu i piwa. Stał tak blisko, że pory na jego twarzy wyglądały jak księżycowe kratery. - Jestem twoim mężem!

Potrząsnęła głową. Już nie. Już cię nie potrzebuję. Nareszcie jestem wolna!

- Przecież to bzdura - powiedziała i spróbowała go odepchnąć.

Brent zgarbił się, spojrzał na nią spode łba.

- Chcę wiedzieć, gdzie byłaś!

- A czy ja cię pytam, gdzie ty byłeś? - Maddie próbowała się cofnąć. -

Przecież nie muszę. - Odetchnęła głęboko. -A zresztą wiem!

To go powstrzymało od dociekania przyczyn nieobecności żony.

- Co wiesz?

- Wiem wszystko o tych twoich obrzydliwych małych sekretach. Otworzyłam tę cholerną kasetkę. Wiem wszystko.

Odwróciła się. Patrzyła na zachlapanie deszczem okno, bo nie chciała patrzeć na niego, nie była w stanie znieść widoku Brenta, który jednak odbijał się w szybie - stał zgarbiony, z opuszczonymi bezwładnie rękami, wielki kloc drewna. Kark ją bolał. Sięgnęła po środki przeciwbólowe. Przełknie je bez popicia. Chce zachować w ustach smak W.S.

- Za kogo się masz?! - krzyknęła, wytrząsając pigułki na rękę. - Myślisz, że uda ci się wszystkich oszukać, bo jesteś wielkim Brentem Faradayem? To ja cię oświecę: nie masz szans. Jeśli sądzisz, że kupię te twoje bzdury, jesteś jeszcze głupszy niż my...

Odwracała się, żeby spojrzeć mu w oczy, kiedy Brent ją uderzył grzbietem dłoni w twarz. Cofnęła się, straciła równowagę, osunęła się po ścianie, gubiąc kapsułki tylenolu. Dzięki Bogu, że nie ma tu Em, zdążyła pomyśleć. Biedne dziecko.

Instynkt samozachowawczy kazał jej wstać, uciekać przed nim jak najdalej. Wybiegła do holu.

- Nie dotykaj mnie! - krzyknęła, a kiedy zorientowała się, że Brent jej nie goni, wpadła do dużego pokoju, oparła się

o kanapę. Drżała, oddychała ciężko, W dłoni ścisnęła buteleczkę tylenolu.

Głowa bolała ją tak bardzo, że słowo „ból” wydawało się po prostu nic nie mówiące. A więc tak czuje się ofiara przemocy w rodzinie? Pobita żona.

Kolejny smakowiły kąsek dla sąsiadów. Dotknęła skroni, opuściła dłoń i zobaczyła na niej krew. To ten jego sygnet! Trzeba będzie wytłumaczyć to jakoś Em, matce, miastu.

Kolana się pod nią ugięły. Opadła na kanapę.

No i wszyscy dowiedzą się o W.S., bo Bailey przecież nie utrzyma języka za zębami. Do jasnej cholery, czyś ty, dziewczyno, zgłupiała? Spuściłaś całe swe życie do szamba w zamian za dwie godziny seksualnej ekstazy? Może to i odpowiednia cena, gdyby chodziło tylko o nią, ale do szamba powędrowała też i mama, i Em. Maddie okazała się samolubną suką i nic już nie da się naprawić. Tym razem udało się załatwić wszystko bez pudła.

Nie jest już w stanie niczego udawać. Nie jest już w stanie naprawiać tego, co się popsuło. Nigdy już nie będzie „miłą dziewczyną”. Nie da się i koniec.

Spróbowała odzyskać jasność widzenia. Na stole stała butelka wina, której nie zdążyła dopić z W.S., prawie pusta. Maddie poczuła się straszliwie zmęczona, głowa jej pękała, a samopoczucie pogarszała świadomość, że nigdy już nie zazna szczęścia.

Trzy tylenole wystarczyły, by dziś po południu zapomniała o bożym świecie. Większość pigułek wałała się teraz po podłodze w kuchni, ale w buteleczce pozostało jeszcze siedem. Wysypała je na dłoń. Szansa na ucieczkę od przykrych myśli znajdowała się w zasięgu ręki. Wrzuciła tabletki do butelki z resztką wina i zakręciła nią, by się szybciej rozpuściły.

- Maddie...

Brent stał w drzwiach, zgarbiony. Nadal miał na sobie klubową koszulkę kręglarską. Boże, jak on kretyńsko wygląda!

Nie, nie przez tę koszulkę, W.S. wyglądałby w niej świetnie. Kretyńsko wygląda po prostu Brent.

Popatrzyła na butelkę wina i z trzaskiem odstawiła ją na stół. Przeniknęła ją świadomość, że całemu złu w jej życiu winien jest Brent. Ona po prostu musi przestać pić - przed chwilą omal nie popełniła samobójstwa, a w każdym razie mała nie naraziła się na poważne zatrucie. Musi także przestać litować się nad sobą.

- O co chodzi? - spytała, dotykając obolałej głowy. - Miałeś kiepski dzień? Brent zamknął oczy. - Przykro mi. Przykro mi że cię uderzyłem. Kocham cię, przecież o tym wiesz. Bardzo mi przykro.

- Wiem, że ci przykro. Wiem. - Nigdy dotąd jej nie uderzył. a i teraz nie miało to w gruncie rzeczy żadnego znaczenia. Po prostu łatwiej jej będzie odejść. Nawet cieszyłaby się, że tak się stało, gdyby tylko głowa nie bolała jej tak okropnie i gdyby nie musiała zapłacić za te uderzenie później. Będzie przecież musiała tłumaczyć się ludziom, przy czym wszyscy będą pewni, że dostała za W.S. To na nią spadnie obowiązek wyjaśniania wszystkiego, a Brent będzie nadal przeć przez życie na swój beztroski i bezmyślny sposób. Sukinsyn!

- Przeszukałaś moje rzeczy w biurze - powiedział dramatycznie. - Przeszukałaś biurko!

- Ach, rzeczywiście! - Ciekawe, wydało się jej, że zdarzyło się to dawno temu. Wczoraj. Przed wiekiem... - Miałam powód.

- Oddaj kasetkę.

- Później.

- Masz ją oddać teraz. I chcę wiedzieć, gdzie byłaś. Z kim się widziałaś? Czuli się zmęczona, straszliwie zmęczona, nie mogła się skupić, nie miała ochoty na kłótnię.

- Porozmawiamy jutro.

- Nie. Teraz!

- Doskonale. - Wstała, spojrzała na niego wściekle. -

Zacznij ty. Gdzie ty, do cholery, znikasz? I nie mów mi, że grasz w kręgle, ty cholerny sukinsynu! Nie do wiary, jak łżesz! Nigdy już nie uwierzę w nic, co powiesz.

Brent prostował się powoli, jakby ktoś pompował w niego powietrze.

- Zamknij się! Nie rozmawiamy o mnie! Gdzie...

- Właśnie że rozmawiamy o tobie. Bo to ty jesteś prawdziwym mężczyzną, prawda?

- Zamknij się!

- Dobry, stary Brent Faraday! Może mieć każdą dziewczynę, której zapragnie, zawsze odnosi sukcesy, co? - Obeszła stolik do kawy i ruszyła w kierunku

schodów. Ta rozmowa przyprawiała ją o mdłości - Słuchaj, nie mam zamiaru tolerować dłużej tych twoich wyskoków. Odchodzę.

- Nie, nie odchodzisz. - Brent zadrżał. - Nigdzie nie odejdiesz.

- Wiem, kim jesteś...

- Cisza!

- ...i podzjęłam się z tobą tą wiedzą: nikim, więc nie mam zamiaru...

Mówiąc te słowa, minęła go, a on jeszcze raz krzyknął: - Cisza! - I znów ją uderzył, tym razem zaciśniętą pięścią, w policzek, kilka centymetrów niżej niż za pierwszym razem.

Maddie usłyszała trzask, odbijający się w głowie echem.

Zatoczyła się, cofnęła, wyprostowała.

- Dość tego! - syknęła i odepchnęła męża tak mocno, że się przewrócił.

Podnosił się powoli, a ona zaczęła uciekać w stronę schodów, przewracając za sobą krzesła, żeby choć na moment opóźnić pogoń. Usłyszała, jak przewraca się i pęka drewniany stolik w holu, jak Brent wpada nań, ale nie odwracała głowy. Zatrzasnęła drzwi sypialni w chwili, gdy on rzucił się na nie całym ciężarem ciała. Zablokowała je masywną toaletką i ciężko dysząc, krzyknęła przerywanym głosem tłumionym przez łzy:

- Wynos się! Wynos się z tego domu! Dzwonię na policję! Jesteś pijany! Może szalony? Nie wiem, co ci się stało, ale... wiem, co wyprawiałeś.... Wiem, jakim jesteś człowiekiem, więc wynos się zaraz. To już koniec!

Słyszała, jak napiera na drzwi, jak mamrocze „Maddie”, a potem wydawało się jej nawet, że płacze, ale to nie mogła być prawda, bo przecież Brent nigdy nie płakał.

- Przepraszam. Przepraszam - mówił. - Nie chciałem cię uderzyć. Po prostu tak wyszło. Gdzie byłeś? Powiedz mi, błagam. Muszę się zorientować, co wiesz. Muszę wiedzieć, komu co mówić.

- Byłam z W.S. Sturgisem. Spędziłam z nim cały wieczór. W poniedziałek wnoszę o rozwód. Wiem o wszystkim, o tej twojej blondynce też, wiem o wszystkim, ale najgorsze jest to, że mnie uderzyłeś. Uderzyłeś mnie dwa razy! Odejdź. Nie jesteś już moim mężem.

- Coś ty mu powiedziała? - Drzwi do sypialni drgnęły pod ciężarem jego ciała, ale ona oparła się o toaletkę i zamek wytrzymał. - Jezu, Maddie, coś ty mu powiedziała?

Cisza. Potem usłyszała, jak Brent schodzi po schodach, przy każdym kroku waląc w poręcz, jakby miał do czynienia z workiem bokserskim. Już po wszystkim! - pomyślała. Ta część życia właśnie się skończyła. Minęła. Cieszę się, że mnie uderzył. Cieszę się, że upadł tak nisko. Teraz już mu nie przebaczę, choćby nie wiem co. Nie przebaczę mu ani ze względu na Em, ani ze względu na mamę, ani ze względu na kogokolwiek.

W przerwach między grzmotami burzy słyszała, że Brent chodzi po domu, a potem z kimś rozmawia. Usiadła na łóżku, podniosła słuchawkę, ale

usłyszała tylko bełkotliwy, pijacki głos Brenta, mówiącego: „Nadal nie wierzę w żadnego cholernego bandytę, ale dostarczę ci to. I nic więcej. Skończone”. Kobięcy głos odpowiedział: „Doskonale” i Brent rzucił słuchawkę na widełki. Usłyszała, jak aparat spada na podłogę. Siedziała na łóżku, podtrzymując dłońmi obolałą głowę, Brent jeszcze z kwadrans chodził po domu, potem zabrzączały klucze, trzasnęły frontowe drzwi. Położyła się.

Płakała. Z bólu, wyczerpania, ze strachu i niepewności. Opłakiwała swe rozbite małżeństwo. Płakała, bo mąż ją pobił. Mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Musi zająć się tyloma sprawami: Em, dzieckiem Kristie, mamą, szczeniakiem, rozwodem, Trewą, samochodem, zepsutą mikrofalówką... Myśli wirowały jej w obolałej głowie. Huk wyładowań rozlegał się coraz częściej, a Maddie była pewna, że lada chwila zwariuje. Bardzo pragnęła, by pojawił się przy niej W.S., by ją przytulił, naprawił to, co popsute.

Burza skończyła się około czwartej i dopiero wówczas udało się Maddie zasnąć. Pograżała się już w nieświadomości, kiedy nagle zdała sobie sprawę, że przecież to nie bicie zakończyło jej małżeństwo, choć wystarczyłoby do położenia mu kresu. Dlaczego Brent ją uderzył? Nie dlatego przecież, że go zdradziła, prawie nie zwrócił na to uwagi. Bał się, że ona go szpieguje, że wie wszystko o jego małych, brudnych sprawkach i że całe miasto dowie się od niej, jaki z niego marny człowiek. „Muszę wiedzieć, co wiesz” - powiedział, i to wówczas poczuła bijący od niego kwaśny zapach strachu, strachu przed utratą pozycji wielkiego Brenta Faradaya, którym był przez całe życie.

Najważniejsze, że ja się nie boję, pomyślała. Najważniejsze, że jestem gotowa być sobą. Pomyślała jeszcze o matce, o mieście, o Baileyu, który wszystko przecież wygada. Jest źle, jest bardzo źle, pomyślała, ale to była ostatnia myśl przed zapadnięciem w sen jak w głęboką studnię.

Ktoś wołał ją po imieniu. Usiadła. Za szybko. Skroń i szczęka zabołały ją tak, że czuła się oślepiąca przez ten ból. Dlaczego? - pomyślała. Co takiego wczoraj zrobiłam?

Nagle przypomniała sobie wszystko.

Ktoś znów ją zawołał. Treva. Treva była na dole, z dziewczynkami. Maddie odsunęła toaletkę, wyszła z sypialni patrząc na nią szeroko otwartymi oczami w zdumionym milczeniu.

- Co się stało? - spytała niezbyt przytomnie.

- Próbowaliśmy dodzwonić się do ciebie - odparła grzecznie Em, bez wątpienia nie na żarty przestraszona. - Cały czas było zajęte. - Zerknęła na podłogę. - Już wiem dlaczego.

Maddie spojrzała w dół. Dwa krzesła i stolik z holu leżały przewrócone; noga jednego z krzeseł pękła, najpewniej złamana przez ścigającego ją Brenta.

Telefon spadł na podłogę, ze słuchawki dobiegał monotony, przerywany sygnał. Em ominęła matkę i odłożyła słuchawkę na widełki. Dzwonek rozległ się natychmiast Em podniosła słuchawkę, powiedziała:

- Halo? - Słuchała chwilę. - Proszę poczekać. To do ciebie, mamó.

- Em, skarbie... - Maddie rozpaczliwie szukała jakiegoś wyjaśnienia, które pozwoliłoby zapobiec narastającemu przerażeniu córeczki. - Słuchaj... Wczoraj wieczorem trochę za dużo wypiałam i idąc do łóżka, przewracałam meble. To wtedy musiałam się uderzyć. - Głowa pulsowała jej bólem. Muszę wspaniale wyglądać! - pomyślała. - Przepraszam cię. Wiesz, że nie piję, ale na kablówce był dobry film, otworzyłam butelkę wina...

- Pora na śniadanie, dziewczęta - przerwała jej Treva. -Zróbcie sobie coś słodkiego, tak słodkiego, żeby zęby wam od tego powypadały.

Em wręczyła matce słuchawkę i poszła do kuchni. Mel przyglądała się Maddie nieco dłużej, ze strachem, lecz i z jakimś zafascynowaniem, po czym podążyła za przyjaciółką.

- Naucz się lepiej kłamać - powiedziała Treva. - Kablówka wysiadła. Musieliśmy oglądać wideo.

- Mój Boże... - Maddie spojrzała w lustro i z trudem powstrzymała krzyk. - O mój Boże! - jęknęła. Siniak sięgał od policzka przez oko do brwi, na dwóch długich rysach - powstałych od pierścienia Brenta - zastygła krew. - Em... - szepnęła. - Em to widziała...

- Ja, do jasnej cholery, też! - Treva przyjrzała się jej twarzy z bliska. - I chce mi się rzygać. Co się stało?

- Brent mnie pobił.

Treva oparła się o ścianę, blada jak płótno, z uchylonymi ze zdumienia ostami. Maddie tymczasem przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Tak...?

- Co się tam o ciebie dzieje? Brent wyszedł? - Głos W.S. był rześki, wesoły i seksowny. - Od dziesiątej próbuję się do ciebie dodzwonić. Rozmawiałaś z Trevą, prawda?

- Nie. — Maddie nie potrafiła oderwać spojrzenia od swej twarzy w lustrze. Rozpłakała się nagle i przestraszyła tego.

- Zaraz u ciebie będę. Czekaaj. Nie płacz. Już jadę.

8

- Nie! - zaprotestowała Maddie. Tylko tego jej potrzeba, wizyty kochanka! Jakby jeszcze za mało było do wyjaśniania

Em, matce, sąsiadom... - Nic się nie stało. Wszystko w porządku. Jest u mnie Treva. I dzieci.

- Posłuchaj. Jestem u wujostwa. Mogę przyjechać, kiedy tylko zechcesz. Będę

czekał przy telefonie. Wystarczy, że zadzwonisz, a zaraz się u ciebie zjawię. Co się stało? O, do diabła, jadę...

- Nie. Odezwę się później.

Odwiesiła słuchawkę, choć W.S. coś jeszcze mówił. Był dla niej ważny, ale nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo. Nie miała za to wątpliwości, jak ważna jest dla niej Em.

- Co z Em? - spytała bezradnie.

Treva nadal gapiła się na nią z otwartymi ustami.

- Ile razy cię uderzył?

- Dwa. Zabarykadowałam się w sypialni. - Maddie znów spojrzała w lustro i skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Dobry Boże... Pędź na górę i doprowadź się do porządku. Ja dopilnuję, żeby dzieci się czymś zajęły. Nie oszczędzaj na makijażu. I będziesz musiała włożyć okulary przeciwsłoneczne.

Makijaż i ciemne okulary? Za późno. Em już ją widziała.

- Co powiedziec Em?

- Nie mam zielonego pojęcia. - Treva westchnęła ciężka -Może prawdę? "Hej, kochanie, wczoraj w nocy tatuś pobił mamusię".

- Przecież nie mogę. Jest jej ojcem.

- Oczywiście. Jej ojcem, który pobił jej matkę.

- A gdyby chodziło o Howiego? Powiedziałaabyś Mel?

- Nie wiem. Howie w życiu by czegoś takiego nie zrobił. Oczy Trevy błyszczały. Jeszcze nigdy nie była tak bliska płaczu. - Doprowadź chociaż siebie do porządku. Chryste, jakby tu huragan przeszedł!

Pół godziny później, ubrana w starą koszulę i dżinsy, z twarzą pokrytą grubą warstwą makijażu, z oczami przysłoniętymi ciemnymi okularami, Maddie stanęła twarzą w twarz z córką. Konfrontacja odbyła się w kuchni.

- Dużo wina wypiałś wczoraj? - zapytała mała.

- Owszem. Głupio zrobiłam.

- Ale dlaczego piłaś z dwóch szklanek? - Mel nie miała zamiaru ukrywać, jak bardzo jest tym zainteresowana.

- Z drugiej pił tata Em - skłamała w momencie natchnienia. - Wypił ze mną szklankę wina.

- Mel idziemy do domu - wtrąciła się Treva. - Zadzwoni później - poprosiła przyjaciółkę. Niemal wywlokła małą z domu i zgrabnie zapakowała do samochodu, nim mała zdążyła zadać kolejne pytanie.

- Chodź tu, kochanie - poprosiła Maddie, wyciągając ramiona do córki.

Em obeszła stół i pozwoliła wziąć się na kolana. Rozpłakała się. Maddie kołysała ją jak niemowlę.

- Porozmawiaj ze mną, dobrze? - poprosiła.

- Bałam się - chlipnęła Em. - Wszystko było takie straszne, kłóciliście się, a potem zobaczyłam twoją twarz i przestraszyłam się.

- Wiem, wiem, wygląda strasznie. Sama się przelęknęłam twojego widoku, ale

przecież nie po raz pierwszy coś mi się stało. Pamiętasz, jak kiedyś poszłam na siłownię, próbowałam podnieść za duży ciężar i pękła mi żyłka w oku? Em przestała płakać. Pociągnęła nosem.

- Tak, ale nie miałaś wtedy takich siniaków.

- Bo nie upuściłam sobie hantli na twarz. - Dzięki niech będą Bogu za chwilę natchnienia.

- Upuściłaś sobie hantle na twarz?

- Owszem. Tata trzyma je w piwnicy. Wypiłam za dużo wina i po prostu mi się wyslizgnęły z ręki. Głupio to wyszło, wiem.

Em nie sprawiała wrażenia przekonanej, ale przynajmniej już nie płakała.

- Strasznie mi przykro. - Maddie postanowiła ozdobić jakoś suche kłamstwa. - Nie wiedziałam nawet, że jest tak źle, póki nie spojrzałam w lustro, kiedy przyszłyście.

Em zsunęła się z jej kolan, zobojętniała nagle.

- Powinnaś wezwać lekarza - powiedziała, wycierając mokre policzki grzbietem dłoni. - Mogłaś stracić przytomność. Albo nawet doznać wstrząsu mózgu.

- Może potem. - Osiągnęła przynajmniej tyle, że opóźniła kryzys. Em przypomni sobie kiedyś o porzucanych meblach i o awarii kablówki, ale wkrótce dowie się przecież o prawdziwym przeboju - rozwodzie rodziców, a wówczas porzucane meble będą najmniejszym z jej zmartwień.

Telefon zadzwonił, nim zdążyła posprzątać i odezwać się do Trevy.

- Maddie, skarbie, mówi mama.

Maddie opadła na kuchenny stół. Musi zapomnieć, że została pobita.

- Cześć, mammo.

- Dzwoniłam wcześniej, ale cały czas było zajęte.

- Odłożyłam słuchawkę. Chciałam się spokojnie wyspać.

- Bardzo mądrze. Co słychać u tego przemiłego Sturgisa?

- Co...? - Przecież mama nie mogła niczego się jeszcze dowiedzieć! No, chyba że Bailey...

- W Reveo spotkałam Glorię Meyer. Powiedziała, że wczoraj siedziałaś z nim w ogródku przez ładnych kilka godzin. Piliście wódkę z sokiem pomarańczowym.

Maddie przymknęła oczy. Gloria Sokole Oko dostrzegła wszystko. Musiała obserwować przez lornetkę.

- W.S. twierdzi, że u niego wszystko dobrze. Miło, że pytasz.

- Czym on się zajmuje zawodowo?

- Nie wiem. Czemu cię to interesuje?

- Przez ciekawość. Po co on do ciebie przyszedł?

- Chciał zobaczyć się z Brentem. - Całkiem o tym zapomniała w zamieszaniu!

Czego W.S. chce od Brenta? A może wymyślił to, żeby mieć pretekst do spotkania z nią? Jeśli tak, to osiągnął olśniewający sukces.

- Chce zbudować dom we Frog Point? Westchnęła.

- Nie wiem, mamó, ale nie sędzę. Myślę, że przyjechał z wizytą. Powiedział, że zostanie przez tydzień. Mieszka u wuja Henry'ego. Jest rozwiedziony. Nie ma dzieci. Stale mieszka w Columbus. Jeździ mustangiem, kabrioletem. To wszystko, co wiem.

- Maddie, jesteś niemila. Ja chciałam wiedzieć, jak on zarabia na życie.

- Dowiem się.

- To nie takie ważne, skarbie. Wiesz, nadal nie złapano tego bandyty.

- Jestem pewna, że Henry już się tym zajął. Nie martw się.

- Coś właśnie przyszło mi do głowy! Gloria Meyer się rozwodzi, może ich sobie przedstawić?

Nic z tego nie będzie. On lubi seks.

- Świetny pomysł.

- Gloria bardzo się zdenerwowała.

- Dlaczego? - spytała posłusznie Maddie.

- Ktoś powiedział Wilburowi Carterowi, że ona chce wziąć adwokata z Limy, co byłoby zresztą mądrym posunięciem. Wilbur się zdenerwował, no bo przecież jest kuzynem jej matki.

w Columbus. Jeździ mustangiem, kabrioletem. To wszystko, co wiem.

- Maddie, jesteś niemila. Ja chciałam wiedzieć, jak on zarabia na życie.

- Dowiem się.

- To nie takie ważne, skarbie. Wiesz, nadal nie złapano tego bandyty.

- Jestem pewna, że Henry już się tym zajął. Nie martw się.

- Coś właśnie przyszło mi do głowy! Gloria Meyer się rozwodzi, może ich sobie przedstawić?

Nic z tego nie będzie. On lubi seks.

- Świetny pomysł.

- Gloria bardzo się zdenerwowała.

- Dlaczego? - spytała posłusznie Maddie.

- Ktoś powiedział Wilburowi Carterowi, że ona chce wziąć adwokata z Limy, co byłoby zresztą mądrym posunięciem. Wilbur się zdenerwował, no bo przecież jest kuzynem jej matki.

O, do diabła!

- Skąd o tym wiesz?

- Wilbur spotkał Glorię na Main Street, przed bankiem, akurat kiedy Margaret Erlenmeyer wychodziła z Reveo. Spytał ją o to, więc Margaret przystanęła i udawała, że ogląda wystawę, Gloria zaprzeczyła, a więc to jednak Wilbur będzie przeprowadzał jej rozwód.

- Interesujące. - Maddie zrobiła wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby nie sprawiać wrażenia zainteresowanej. - Ciekawe, skąd wzięła się ta plotka.

- Nie mam pojęcia, ale słyszałam też, jakoby Gloria miała zamiar zwrócić się do Jane Henries. Ona jest bardzo dobra, wiesz?

- Coś słyszałam.

- Gloria została jednak przy Wilburze. - Z głosu matki łatwo było odczytać, co myśli: „głupia jak but”. - Cała Gloria! Kurzy rozumek. Rozmawiałaś z Trevą?

- Tak. Wszystko w porządku.

- Niech i tak będzie, kochanie. Tylko że ta historia z kręgielni wygląda na prawdziwą. Jak tam Emily?

- Doskonale. Posłuchaj, mamó, muszę kończyć.

- Tak, kochanie. Przyjadę po nią jutro rano, oczywiście, jeśli nadal planujesz odwiedzić babcię.

Maddie oparła się o ścianę. W dodatku czekały ją jeszcze odwiedziny u babci. Co za męka!

- Pojadę do mej. Czy pamiętasz jakąś niedzielę, kiedy nie odwiedziłam babci?

- Nie, ale stale się boję, że kiedyś postanowisz już jej nie widywać.

Ta niedziela doskonale nadawałaby się na podjęcie takiego postanowienia.

- Zawsze będę ją odwiedzać.

- Jesteś dobrą córką, Maddie. Do zobaczenia jutro. Uważaj na siebie. No i zamykaj drzwi.

- Kocham cię, mamó.

- Ja też cię kocham. Odpocznij trochę.

Maddie sprawdziła makijaż - okropny, ale nie tak okropny jak to, co skrywał, i poszła na górę, by zobaczyć, co u Em. Mała leżała na jej łóżku. W rękę trzymała książkę, lecz stojący obok aparat był przekrzywiony, jakby właśnie go odepchnęła.

- Babcia dzwoniła.

- To bardzo miło z jej strony - stwierdziła dziewczynka uprzedzająco grzecznie.

Czyżby podsłuchiwała? Maddie próbowała przypomnieć sobie, czy powiedziała coś, o czym córka nie powinna wiedzieć. Chyba nie. Dobrze, że rozmawiała z matką. Gdyby to była Treva...

Dostrzegła, że Emily patrzy na nią, a potem ukradkiem zerka na telefon. Co właściwie powinna zrobić? Spytać dziecko, czy podsłuchuje jej rozmowy? Em przesunęła się na łóżku i lekko uniosła książkę. Nie miała ochoty na pogawędkę, w porządku. Maddie stchórzyła.

- Posprzątam na dole, zadzwonię do cici Trevy, a potem zjemy lunch.

- Dobrze, mamó - odparła obojętnie Em.

Maddie krzątała się, aż głowa znowu ją rozboleła. Potem zadzwoniła do Trevy. Czekala, czy usłyszy na linii charakterystyczny trzask podnoszonej słuchawki. Kiedy przyjaciółka się odezwała, spytała:

- Możesz rozmawiać?

- W głowie ci się poprzestawiało? Siedzę i czekam, a ty jeszcze pytasz...

Trzask.

- Nie sądzisz, że ktoś może nas podsłuchiwać?

- A któż miałby to robić?

- Wydaje mi się, że Emily.

- Chce się dowiedzieć, co, do jasnej cholery, dzieje się w jej domu? Trudno się dziwić. Myślisz, że nas słyszy?

Maddie podeszła do schodów.

- Em!

Em niemal od razu pojawiła się w drzwiach sypialni.

- Wołasz mnie?

- Idź poczytać na dworze. Złap trochę słońca, pooddychaj świeżym powietrzem.

Mała nie sprawiała wrażenia uszczęśliwionej, lecz posłusznie wróciła po książkę i zeszła na dół. Maddie pobiegła do telefonu w sypialni, skąd widziała córkę przez okno.

- W porządku, jest w ogródku, widzę ją. Czy Mel bardzo się zdenerwowała?

- Nie tak jak ja. Co się naprawdę stało? - Sporo wypiałam.

- Z Brentem?

Przed oczami Maddie pojawiła się twarz W.S. Jaka szkoda, że nie ma go teraz przy niej, mogłaby oprzeć się na jego ramieniu, śmiać się czy po prostu wygadać.

- Nie. Nie z Brentem.

- Dlatego cię uderzył? Słodka zoneczka okazuje się utajoną alkoholiczką? Złapał cię z butelką w waszym gniazdku miłosnym?

- Złapał mnie przy kuchennym wejściu. Powiedziałam mu, że wiem o jego kochance i wówczas mnie uderzył.

Cisza. Przeciągająca się cisza. W końcu: - Nie wiem, czy można to nazwać przeprosinami. Maddie skrzywiła się. Natychmiast poczuła ostry ból zranionego policzka.

- Trevo, sądzę, że nie uderzył mnie, bo się dowiedziałam o jego wybrykach.

Wiesz, on nie był wściekły, tylko przerażony. Albo raczej i przerażony, i wściekły. Wszystko było dość dziwne. Nienormalne.

- Z tym się zgadzam. Nie powinien cię bić. Czy to coś nowego, czy zdradzasz wreszcie prawdę, skrzętnie dotąd skrywaną nawet przede mną?

- Nie, nie! Nigdy przedtem mnie nie uderzył. Wrzeszczał, owszem, bywał nieprzyjemny, znikał i nie dzwonił, ale nigdy nie podniósł na mnie ręki. Ani na Em. Nawet klapsa jej nie dał. - Ktoś zadzwonił do drzwi. Em wbiegła do domu, by otworzyć. - Słuchaj, ktoś przyszedł.

- Poczekaj chwilę. Gdzieś ty wczoraj pojechała tym cadil-lakiem?

- Mamo, jakiś pan do ciebie!

- Poczekaj. - Maddie wyszła na schody.

- Ktoś do ciebie przyszedł - poinformowała Em.

Na progu stanął W.S., spojrzał na nią z uśmiechem, lecz zaraz twarz zastygła mu w wyrazie przerażenia i gniewu.

- O, kurwa, co ci się stało?!

A więc jednak martwi się o nią! Dlatego jest szczęśliwa, że się zjawił.

- Zaraz przyjdę. - Znikła w sypialni, chwyciła słuchawkę. - Później do ciebie

zadzwoń - rzekła do przyjaciółki. - Mam towarzystwo. - Odłożyła słuchawkę, choć Treva wołała: „Chwileczkę, chwileczkę!”.

Kiedy schodziła po schodach, usłyszała, jak W.S. kaja się:

- Przepraszam za brzydkie słowo, mała. Po prostu przestraszyłem się, kiedy zobaczyłem twarz twojej mamy.

- Tak jak ja - powiedziała Em. - Ale pan jest ode mnie lepszy. Ja się tylko popłakałam.

Sporo czasu zabrało Maddie wyproszenie Em w taki sposób, by mała nie poczuła się wyproszone. Było to zadanie tym trudniejsze, że z W.S. połączyła ją natychmiast nie wzajemnej niechęci do nowego kształtu i koloru twarzy Maddie. Dziewczynka w końcu poszła jednak do swego pokoju, a Maddie i jej gość mogli wreszcie przestać się uśmiechać.

- Fajny dzieciak - powiedział W.S.

- Bardzo ją lubię - wyznała Maddie, starając się, by zabrzmiało to lekko.

- Powiedziała, że upuściłaś sobie hantle na twarz. Maddie usiadła na schodach. Wyczerpała już cały swój zasób niefrasobliwości.

- W uszach ośmiolatki brzmi to pewnie nawet prawdopodobnie.

W.S. zacisnął zęby.

- Co się stało naprawdę?

- Wypadek.

- Gówno prawda. - Usiadł obok niej. - On cię uderzył, Maddie przytuliła się do niego. Pozwoliła się objąć, ale nie chciała puścić jego dłoni.

- No tak - przyznała. - Lubię, kiedy mnie przytulasz - szepnęła. - Em jest na górze, a mnie naprawdę nic się nie stało. Uderzył mnie tylko raz.

- O ten raz za dużo. - W.S. nie skrywał gniewu, lecz bardzo delikatnie ujął ją pod brodę. - Spójrz na mnie.

- Nic mi nie jest.

Pochylił się tak blisko, jakby chciał ją pocałować.

- Spójrz na mnie, do cholery. Chcę zobaczyć twoje oczy.

- Przecież nic się nie stało, mówiłam. Treva już mnie obejrzała. Nie bój się, nie mam wstrząśnienia mózgu.

- Bóle głowy...?

- No pewnie!

- Zawroty?

- Nie.

- Mdłości?

- Nie. Nie mam nawet kaca. - Spróbowała uśmiechnąć się, by go uspokoić. -

Czuję się doskonale.

W.S. przytulił ją mocno. Westchnął.

- Ja nie. Czuję się parszywie, bo oberwałeś przeze mnie. Maddie zerknęła na schody, upewniając się, że Em tam nie widać.

- Nie chodziło o ciebie. Dostał szału, kiedy uznał, że go szpiegowałam.

- Dlatego cię uderzył? Maddie odsunęła się.

- Nie moglibyśmy zmienić tematu? To już druga powtórka wydarzeń. Mdl mi od tego.

- Druga? A tak, Treva! - Przerwał na chwilę. - No i co? Co takiego znalazłaś na Brenta?

- Że ma kochankę. Wiem, wiem, żadna niespodzianka. No więc mówię ci, że dla mnie to była niespodzianka.

- I to wszystko?

- A co, jeszcze ci mało?

- Mnie by wystarczyło. - W.S. znów ją przytulił. Czowała się przy nim wspaniale.

- Boże, wyglądasz strasznie - orzekł. - Niech mnie cholera, powinienem był cię odwiedzić do domu!

- Nie, nie - powiedziała Maddie i nagle rozplakała się. Przestań! - nakazała sobie zaraz. Tylko płaczesz i płaczesz.

W.S. znów próbował wziąć ją w objęcia. Zesztywniała.

- Nie. Em jest na górze.

- Słusznie. - Pomógł jej podnieść się na nogi. Pociągnął ją w głąb korytarza, gdzie nikt z góry nie mógł ich zobaczyć i ujął jej twarz w dłonie. - Martwię się o ciebie - powiedział i pocałował ją tak delikatnie, że pocałunek był jak muśnięcie. - Chcę ci zapewnić bezpieczeństwo. - Pocałował ją jeszcze raz, mocniej i bardziej stanowczo.

Maddie tuliła się do niego, chłonęła jego smak. Czowała się bezpieczna w jego ramionach. Nie powinna tego robić, ale zaryzykowała, w imię jego ciepła, w imię poczucia bezpieczeństwa. Mogłaby do końca życia trwać tak z jego ustami na swych wargach.

Kiedy W.S. oderwał się od niej, oboje sprawiali wrażenie tak samo oszołomionych.

- Muszę już iść, albo wszyscy zaczną gadać tylko o nas. Nie martw się, wrócę. Pamiętaj o zamykaniu drzwi.

- O co ci chodzi? - Maddie odprowadziła go do wyjścia, wspominając pocałunek i marząc o następnym. - Ty też o tym bandycie...?

- Nie ma żadnego bandyty. - W.S. odwrócił się już na progu. - Henry to sprawdził. Nikt nikogo podejrzanego nie widział. Nie martw się więc jakimś urojonym bandytą, kiedy siedzisz po uszy w prawdziwych kłopotach.

- To znaczy?

W.S. zerknął w górę schodów i pochylił się ku niej.

- Moim zdaniem pomysł wpuszczenia do domu Brenta nie byłby najlepszy -

szepnął.

- Przecież jest ojcem Em! - zdumiała się Maddie. - Jak mogę nie wpuścić go do domu?

- Wyobraź sobie, że bije twą córkę. To powinno ci wystarczyć.

- Przecież on nigdy by jej nie uderzył!

- Skąd wiesz? Przecież uderzył ciebie. - Znow spjrzał w górę. - Nie sadze, by mała mogła nas obserwować, ale lepiej nie ryzykujmy. - Położył palec na jej wargach. - Uważaj, że pocałowałem cię na dobranoc. Nie martw się wróć. Zamknij za mną drzwi.

- Dokąd idziesz? - spytała, kiedy schodził po stopniach z ganku.

- Znaleźć twojego męża.

Kiedy odszedł Maddie poczuła się opuszczona. Starannie zamknęła drzwi na zatrask.

Em podskakiwała na łóżka, czekając, aż Mel podniesie słuchawkę. No, przynajmniej miała nadzieję, że będzie to Mel. Powinny mieć osobne telefony. Miały po osiem lat, były prawie dorosłe. Richelle Tandy miała własny numer...

- Halo...? - odezwała się Mel.

- Słuchałaś, kiedy moja mama zadzwoniła do twojej?

- Nie. Byłam na dworze. Nie wiedziałam nawet, że rozmawiały. A ty słuchałaś?

- Mama mnie przyłapała - wyznała Em. - Kazała mi iść do ogrodu. Ale mam coś ciekawego! Był tu pewien facet. Nigdy przedtem go nie widziałam, to znajomy mamy.

- Co robi?

Em wyciągnęła szyję. Widziała schody, nie będąc widziana z dołu.

- Siedzą na stopniu i rozmawiają. Szkoda, że cię tu nie było! Kiedy zobaczył twarz mamy, powiedział: „O kurwa”!

- Będzie się smażył w piekle.

- Mama mówi, że upuściła sobie hantle na twarz. - Em próbowała powiedzieć to poważnie, lecz nie wierzyła mamie, więc przyszło jej to z trudem. - Moim zdaniem to kłamstwo.

- Może - powiedziała Mel. - Słuchaj, a nie przyszło ci do głowy, że mama i tata kłócą się właśnie o tego mężczyznę? Może twój tata jest o niego zazdrosny?

- Chyba nie. To mama była wściekła na tatę, a nie od-wrotnie. A poza tym widziałam tego faceta po raz pierwszy w życiu.

- Mama może go znać od lat, a ty wcale nie musiałaś o tym wiedzieć.

- W tym m i e ś c i e? - Em zdała sobie nagie sprawę, że przemawia słowami mamy. - Daj spokój, Mel. Przestań fantazjować.

- Jesteś pewna, że go nie znasz?

- Całkiem pewna.

- Jak wygląda?

Em znów zerknęła na schody.

- Jest wysoki, ale nie aż tak jak tata. Ma bardzo ciemne włosy, dzinsy i bawełnianą koszulę.
- Przecież to może być każdy. - rozczarowała się Mel. - Mógł płatać się po mieście od zawsze, nikt nie zwróciłby na niego uwagi.
- Zwraca na siebie uwagę. A co się dzieje u ciebie?
- Mama strasznie się złości z powodu siniaków twojej mamy. Teraz gotuje. Myślę, że znów nakrzyczy na twojego tatę.
- Taty nie ma. Nie wiem, dokąd poszedł. Mama rozmawiała z babcią, ale nie powiedziała jej o tej historii z hantlami.
- Śmierdzi... - orzekła Mel. - Coś tu strasznie śmierdzi.
- Idę posłuchać, o czym oni mówią. Zadzwoń do ciebie później, to coś wymyślimy.
- Założę się, że chodzi o tego faceta. Założę się, że przez niego te wszystkie kłopoty.

W.S. wbiegł po schodach prowadzących do biura wuja, skinął głową tęgiej, starej Esther Wingate, która obsługiwała

centralkę telefoniczną i wszedł do środka, nie pofatygowawszy się zapukać.

- Co, do diabła?! — Henry, zły jak osa, podniósł głowę
- Chce złożyć doniesienie o przestępstwie. Przemoc w rodzinie. Esther, siedząca na półpiętrze, czujnie nadstawiła ucha.
- Zamknij te cholerne drzwi! - W.S. posłusznie wykonał polecenie. - A teraz uświadom mi, proszę, o co ci, do cholery.
- Wczoraj wieczorem Brent Faraday pobił żonę. Aresztuj go. Henry patrzył na W.S. nieruchomym wzrokiem.
- Czy ona wnosi oskarżenie?
- Nie musi. To przemoc w rodzinie. J a wnoszę oskarżenie.
- Nie, nie wnosisz. Siadaj. W.S. usiadł ciężko.
- Henry, jej twarz wygląda przerażająco. Brent uderzył ją co najmniej dwukrotnie, bo ma policzek w dwóch miejscach rozorany jego sygnetem. - Przypomniał sobie ten widok i musiał odetchnąć głęboko, by móc mówić dalej. - Skrzywdził ją. Chcę, żeby to odpokutował. Aresztuj go.
- Lepiej, żebyś uzgodnił to z Maddie. Chyba nie byłaby ci wdzięczna.
- Co do cholery...
- Zamknij się i słuchaj! - ryknął Henry. - Ona musi żyć w tym mieście! Tu ludzie sami zajmują się swoimi sprawami. Jeśli Maddie się nie wygłupi, nikt nie musi wiedzieć, co się stało.
- Chyba kpisz sobie ze mnie! Kurwa mać, chyba sobie ze mnie kpisz! Znowu dasz się temu draniowi wykręcić sianem. Znowu...
- Tego nie powiedziałem. Nie bój się, pogadam z Brentem Faradayem. On tego więcej nie zrobił. Nigdy przedtem nie tknął żony; jeśli o to ci chodzi,

możesz być spokojny. Kto jak kto, ale ja wiedziałbym z pewnością. I już nigdy jej nie uderzy.

- Już ja tego dopilnuję! - W.S. poderwał się z krzesła.

- Siadaj!

W.S. posłusznie usiadł.

- A w ogóle to kim dla ciebie jest ta kobieta? - zainteresował się Henry. -

Muszę przyznać, że zaczynam się niepokoić.

- Henry, wściekłym się niezależnie od tego, kto został pobity.

- Ale nie aż tak. Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że jeszcze przed chwilą zamierzałeś znaleźć Brenta Faradaya i mocno mu przyłożyć.

- Owszem, coś takiego przyszło mi do głowy.

- No to lepiej zmień plany, bo jeśli pojawi się u mnie choćby z zadartą skórą przy paznokciu, pójdiesz siedzieć.

- Aha. Wszystko jasne: on bije żonę, ja idę siedzieć, tak?

- On jest zwykłym dupkiem, a ty coś tam masz w głowie. Pamiętaj, że aresztowanie Brenta zapewne nie zachwyciłoby Maddie. Ludzie mogliby pomyśleć, że między wami jest coś, czego tak naprawdę wcale nie ma, no i zaczęłoby się gadanie. Pozwól, że ja to załatwię.

- Henry...

- A teraz wynoś się i zajmij czymś pożytecznym. Nic mnie nie obchodzi czym, byłeś nikogo nie bił i nie zawracał głowy mężatkom. Możesz na przykład sprawić komuś przyjemność. To byłaby naprawdę miła odmiana.

- Dziękuję ci z całego serca.

- I jeszcze jedno...

W.S., który zdążył już podejść do drzwi, zatrzymał się.

- Nie zawracaj głowy zwłaszcza tej mężatce. Ma sąsiadów. Wcale nie potrzebuje, żebyś się koło niej kręcił.

- Jeszcze raz dziękuję. - W.S. niezbyt przekonująco udawał obrażonego. Henry i ten jego radar w głowie! - Wcale się koło niej nie kręcę.

Wyszedł z biura obrażony, przepelniony poczuciem winy i marzący o czynie. Cóż jednak mógł zrobić? Henry ma rację -nie da się przecież wrócić do Maddie bez narażania jej na plotki. Wuj już bez wątpienia dopilnuje, by Brent Faraday nigdy więcej nie podniósł ręki na żonę. Bardzo chciał ją zobaczyć, ale ci ludzie... Jeśli szybko czegoś nie zrobi, skończy się na tym, że znajdzie Brenta i zdrowo mu przyłoży, a to kiepski pomysł...

Wracał do samochodu pogrążony w myślach. Musi pomóc Maddie albo oszaleje... Jeśli już nie oszalał.

Maddie wynosiła z holu resztki rozbitych mebli, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

Muszę kazać go odłączyć - pomyślała. Ludzie na całym świecie żyją, a ja tylko rozmawiam przez telefon.

Dzwoniła Candace z banku.

- Strasznie mi przykro, Maddie, ale masz debet na rachunku.

Maddie upuściła nogę od krzesła.

Słodki głos Candace brzmiał z przesadną sympatią.

- Mogłabym odesłać czek, ale pomyślałam, że jeśli szybko uzupełnisz brak, zaoszczędzisz na opłacie za zwrot.

Och tak! I zaoszczędzę na "hip hip hurra" miasta, które z pewnością dowie się, że wypisuję czek bez pokrycia. Maddie przycisnęła tekę do czoła. Musi coś szybko wymyślić. Przecież nie powinien powstać debet. W zeszłym tygodniu otrzymała wyciąg i wszystko uregulowała. Coś tu nie gra, ale przecież nie będzie się kłócić z bankiem! Nawet się ucieszyła, że ma kłopot, który da się szybko rozwiązać.

- Przelej pieniądze z konta oszczędnościowego, dobrze? Mogę to chyba zlecić przez telefon?

- Konto oszczędnościowe też jest puste. Ciężko usiadła na schodach.

- Jak to puste?

- Macie na nim pięć dolarów i sześćdziesiąt pięć centów. - Candace powiedziała to tak, jakby chciała Maddie przeprosić. Bardzo uprzejmie z jej strony, przecież nie ona popełniła błąd.

- Sprawdzę, o co chodzi. Dzięki za telefon. Zaczekaj jeszcze minutkę. - Potarła skronie palcami, głowa pulsowała bólem. Gdzie znikły pieniądze z obu kont? Brent musiał je podjąć dziś rano. Ale dlaczego? Jak załatać tę dziurę? Pensej dostanie dopiero w przyszłym tygodniu. - Muszę pomyśleć... - powiedziała. Trzeba z tym coś zrobić. Może poprosić mamę, lecz mama będzie chciała wiedzieć, co się stało. Treva...

- Może macie coś w depozycie? - podpowiedziała Candace. - Na pokrycie czeków wystarczy wam na razie jakieś dwieście czterdzieści dolarów.

Owszem, w depozycie trzymali zaświadczenia z konta długoterminowego. Prawdopodobnie przyjdzie zapłacić karę za likwidację lokaty przed terminem, ale w tej chwili nie miało to znaczenia.

- Zaraz u was będę. Dziękuję raz jeszcze - zakończyła rozmowę.

Podeszła do małego biurka na cienkich nóżkach, które dostała w prezencie od dziadka. Trzymała w nim klucz do skrytki. Mała środkowa szufladka zamknięta była krzywo i Maddie znów poczuła złość do Brenta. Niech go szlag trafi!

Przecież wie, że szuflady trzeba zamykać ostrożnie, bo inaczej się wypaczą.

Przecież wie...

Za chwilę rozplacze się lub zacznie krzyczeć, a nie powinna pozwolić sobie ani na jedno, ani na drugie. Nie chodziło przecież o szuflady; chodziło o zachowanie Brenta - wiedział, co powinien zrobić, ale miał to w nosie.

W prawej szufladce nie znalazła klucza, choć zawsze go tam trzymała. Brent go zabrał! Co zrobił z pieniędzmi? Zaczynało to wyglądać bardzo nieciekawie, ale postanowiła przeszukać całe biurko z nadzieją, że nie stało się to, czego najbardziej się obawiała.

Na szczęście klucz znalazł się w środkowej szufladzie, na samym dnie. Dzięki Bogu! - pomyślała. Zawołała Em. poinformowała ją, że jadą do banku. Dopiero kiedy wyszła przed dom, zorientowała się, że nie mają czym pojechać. Brent zabrał cadillaca wczoraj w nocy, a civica odnotowano do tej kostnicy samochodów, warsztatu Lea, gdzie czekał na pochówek. Do centrum było niespełna dwa kilometry, mogły zrobić sobie spacer, ale od tej pory nie wszystko miało być tak łatwe. Poczła się uwięziona. Ktoś wykończył jej samochód, a teraz zamyka ją w pułapce. Na ganku pojawiła się pani Crosby.

- Dzień dobry pani - powitała ją Maddie i nagle przypomniała sobie o policzku. Na szczęście pani Crosby była ślepa jak kret.

- Idziecie na spacer? - spytała. Em westchnęła cicho:

- O rany!

- Tylko do centrum - odrzyknęła Maddie i w tym momencie usłyszała, że w domu dzwoni telefon. Do diabła! Em przewróciła oczami, ale przewidująco usiadła na schodku. Maddie weszła do środka i podniosła słuchawkę.

- Pani Faraday?

- Tak, to ja.

- Mówi John Albrech, w sprawie pani hondy. Fajnie. Świat zawałił się jej na głowę, do kompletu brakowało tylko agenta ubezpieczeniowego.

- Załatwienie tej sprawy może zabrać nam trochę czasu... Tego już nie wytrzymała.

- Nie, nie może. Sprawę mojego samochodu proszę załatwić natychmiast. Płaciłam składki regularnie od dwunastu lat i nigdy się nie spóźniłam. Macie załatwić wszystko do poniedziałku. Czy to jasne?

- Chyba nie rozumie pani, pani Faraday...

- Ależ rozumiem, doskonale rozumiem. Albo reperujecie mi wóz u Lea, albo wysyłacie czek na sumę ubezpieczenia. W poniedziałek.

- Och, naprawa jest wykluczona...

- Czek satysfakcjonuje mnie. Muszę mieć samochód - albo stary na chodzie, albo nowy, też na chodzie. - Nagle zdała sobie sprawę, że histerycznie krzyczy.

- Pani Faraday, proszę się uspokoić. Samochód można wypożyczyć...

- Nie mam zamiaru!

- Dziękuję pani bardzo, zadzwonię w poniedziałek. Maddie wyszła z domu. Wzięła Em za rączkę.

- Idziemy na spacer - zapowiedziała.

Em przyjęła to z filozoficznym spokojem, za co Maddie była jej wdzięczna. W tej chwili wcale nie miała ochoty propagować zdrowotnych walorów spaceru. Głowa ją bolała; z wysiłkiem próbowała stawiać równo stopy na chodniku. No i musiała także dobrze nad wszystkim się zastanowić. Trzeba jakoś przygotować Em do faktu, że jej świat niebawem się rozpadnie. Em chyba

zresztą zdawała sobie z tego sprawę. Ciekawe, co sądzi o W.S.? U Trevy też nie wszystko, zdaje się, jak należy, trzeba dowiedzieć się, w czym rzecz, i pomóc. A co z dzieckiem Kristie, jeśli to istotnie ona spodziewa się dziecka? A co z czekami bez pokrycia? Gdzie znikł ten cholerny Brent?! Co też porabia W.S.? Przypomniała sobie nagle, że miał w szkole kłopoty ze względu na częste bójkę. Może dorwał już gdzieś Brenta i właśnie go leje? Pod tym względem wcale nie musiał się zmienić, skoro nie zmieniły się na przykład jego upodobania seksualne.

Maddie prowadziła jednostajne życie w małym miasteczku, za małym, by znieść ogień ostrzału artyleryjskiego. Może powinna zaprosić wszystkich ludzi, którzy sprawiali jej kłopoty, usadzić ich w dużym pokoju przy kawie i ciasteczkach i kazać im się zamknąć - do jasnej cholery! - póki nie uspokoi się, nie odzyska kontroli nad swą psychiką i swoimi poczynaniami?

Spacer do centrum zajął dwadzieścia minut - pobiły rekord, bo szły w milczeniu, każda zatopiona we własnych, niewesołych myślach. Spotkały po drodze paru znajomych, którzy ukradkiem przyglądali się jej twarzy, z czego wynikało niezbitie, że obfity makijaż niezbyt dobrze spełnia swą rolę.

„Wpadłam na zamknięte drzwi” - mówiła za każdym razem, udając wesołość, i nikt się jakoś nie dziwił. Widocznie uznali

ją za kobietę zdolną do wpadania ni stąd, ni zowąd na zamknięte drzwi.

W banku było chłodno i mroczno. Musiała zdjąć okulary, by trafić do okienka informacji.

- Muszę się dostać do swojej skrytki - oznajmiła, kładąc przed dziewczyną w okienku prawo jazdy. - Co mam zrobić?

Dziewczyna, która wyglądała na niespełna dwudziestkę, uważnie się jej przyjrzała; najwyraźniej umierała z chęci spytania: "Co się pani stało?", ale nie zrobiła tego.

- Proszę zaczekać, pani Faraday - powiedziała współczująco i poklepała Maddie po dłoni. - Ktoś zaraz się panią zajmie.

A to kto, do wszystkich diabłów?! - pomyślała Maddie. Nie była w nastroju do przyjmowania odruchów litości. Przy okienko stała plakietka z nazwiskiem „June Webster”. Może to ta dziewczyna stanowi obiekt pozamałżeńskich zainteresowań Brenta? Sądząc na oko, kosztowała drogo. Harold Whitehead wyszedł z gabinetu. Szedł w kierunku biurka Candace. Po drodze skinął Maddie głową. W jej twarzy nie dostrzegł niczego niecodziennego. Nawet się nie skrzywił. Cały Harald. Kiedy zniknął w swym gabinecie. Candace uśmiechnęła się do Maddie i oczy nagle się jej rozszerzyły. Podeszła do niej chłodna i uprzejma jak zawsze.

- Nic ci nie jest? - spytała.

- Wpadłam na drzwi. - Maddie uśmiechnęła się automa-tycznie.

Candace nie wydawała się przekonana, ale poniechała temat.

- I co postanowiłaś w sprawie czeków?

- Zajrzę do skrytki. - Pokazała klucz. - Zechcesz wydrukować mi wyciąg,

żebym mogła sprawdzić, co się stało i kiedy?

- Oczywiście. — Candace wyciągnęła rękę do Em. - Mamy stemple, którymi możesz się pobawić, kiedy mama będzie na dole. Chcesz spróbować?

- Dziękuję - powiedziała grzecznie Em i ujęła podaną dłoń, choć bez zbytniego entuzjazmu. Najwyraźniej kończyła jej się tolerancja na dorosłych.

- Pani Faraday? - Bankowa laleczka już na nią czekała. - To pan Webster. On pani pomoże.

Kolejny Webster! Wyglądali na rodzeństwo - bladzi, jasnowłosi, nieporuszeni, ale pan Webster był zdecydowanie starszy, być może nawet przekroczył dwudziestkę? Zachowywał się niesłychanie godnie. Spojrzał na twarz klientki, zmarszczył brwi, sprawnie załatwił formalności i odprowadził Maddie do pokoiku, w którym mogła przejrzeć zawartość skrytki.

- Teraz zostawię panią samą - zapowiedział i Maddie poczuła się jak żona mafiosa.

- Świetny pomysł. Tym sposobem nie pociągnę pana za sobą, jeśli wszystko wyjdzie na jaw. Pan Webster spojrział na nią obojętnie.

- Słucham...?

- Żartowałam.

Odszedł. Było tu tak cicho i spokojnie, że pomyślała nawet, czy nie dałoby się spędzić w podziemiach banku reszty życia. Bez żadnych telefonów!

Otworzyła kasetkę i oniemiała na widok pliku studolarowych banknotów.

- O mój Boże! - jęknęła i pan Webster natychmiast pojawił się obok niej.

- Nic pani nie jest? - spytał godnie. Spojrzał na kasetkę, lecz na jego obliczu nie drgnął żaden mięsień.

- Nic. - Maddie machnęła ręką - Niech pan sobie idzie. Pan Webster spojrział na nią niepewnie i odszedł. Sprawdziła pobieżnie zawartość kasetki. Biżuteria babci

leżała pod pieniędzmi, podobnie jak obligacje akademickie Em i świadectwa lokat, ale zdecydowanie najwięcej miejsca zajmowała gotówka.

Uporządkowane i obanderolowane banknoty ułożone były w paczuszkach o wartości dziesięciu tysięcy dolarów. Naliczyła dwadzieścia osiem paczuszek, czyli że w kasetce znajdowało się dwieście osiemdziesiąt tysięcy dolarów! Żadnych centów. Takiej sumy nie widziała nigdy w życiu, nie miała też wątpliwości, że w żaden sposób nie mogli jej zarobić ~ uczciwie, rzecz jasna.

Myśl! - nakazała sobie, ale myślenie przychodziło jej z trudem, bo rozpraszał ją widok kupy pieniędzy.

No tak, Brent z pewnością zajmował się czymś jeszcze poza zdradzaniem żony. Chyba nie kazał sobie płacić za usługi pozamążęskie? Ale jeśli nawet, to nie wyjaśniało to obecności aż dwustu osiemdziesięciu tysięcy dolarów - tyle nikt by mu za seks nie zapłacił. Brent nie był aż tak dobry...

Stało się coś zdecydowanie złego i musi komuś o tym powiedzieć. Henry'emu

Henleyowi? Przecież nie wiedziała, skąd wzięły się te pieniądze. A jeśli jakimś cudem pochodzą z legalnego źródła? Może Brent zarobił je uczciwie, a ona napuści na niego policję? Frog Point by ją za to pokochało. Nie, nie! Najpierw musi rozmówić się z mężem. „Przepraszam cię bardzo. Najpierw znalazłam te czarne koronkowe majteczki, a teraz górę forsy, więc trochę się zdenerwowałam. Proszę, wyjaśnij mi, kochanie, czy jesteś tylko niewierną świnią, czy także złodziejem? Adwokat, który przeprowadza rozwód, musi to wiedzieć”.

Wszystko się skomplikowało. Już miała zamknąć kasetkę, lecz uznała, że w wypadku takiego zamieszania lepiej sprawdzić, czy nie ma tam jeszcze czegoś... zaskakującego. Wyjęła obligacje Emily, wyjęła pudełka z biżuterią babci, pieniądze i... owszem! Na samym spodzie znalazła dużą żółtą kopertę. Wcale nie chcę jej otwierać! - pomyślała, ale co jeszcze mogło ją zaskoczyć? Mąż ją zdradzał i bił, wszystko wskazywało na to, że w dodatku jest złodziejem... Koperta zresztą to tylko koperta. Opanuj się! - powiedziała sobie. Wyjęła jej zawartość: dwa bilety lotnicze i dwa paszporty.

Bilety były na pojutrze, na poniedziałek szesnastego sierpnia. Lot do Rio, Brent wyjeżdża z kimś do Ameryki Południowej. Dwa dni temu takie odkrycie wstrząsnęłoby nią, dziś pomyślała tylko, że łatwiej dostanie rozwód, jeśli męża nie będzie

w kraju. Z tego punktu widzenia była to nawet dobra nowina. Będzie przysyłał im widokówki, Em zacznie zbierać znaczki...

I nagle uświadomiła sobie, że ma oto szansę dowiedzieć się, kim jest tajemnicza blondynka, towarzyszka wyprawy męża na Point. Jako pierwszy otworzyła paszport B renty i od razu go odłożyła. Zajrzała do drugiego i nagle zrobiło się jej zimno jak w grobie. Zachwiała się. Mam kontuzję głowy, nie wolno mi się denerwować, tylko spokojnie...

Dobra nowina polegała na tym, że Brent nie zabierał ze sobą żadnej blond panienki.

Złą nowiną było to, że miał zamiar zabrać Em.

9

Zakręciło się jej w głowie. Oddychaj głęboko! - poleciła sobie, lecz na całym świecie nie było przecież tyle tlenu, by udało się jej szybko chwycić oddech. Brent ma zamiar wywieźć Em do Brazylii! Załatwił jej paszport, a teraz chce wywieźć dziecko z kraju.

Wrzuciła do kasetki wszystko oprócz paszportu córki. Zatrzasnęła wieczko. Jak ścigana uciekła z podziemi, przemykając obok godnego pana Webstera. Wbiegła po schodach do głównej sali.

Em nie było.

Brent ją porwał! Maddie wpadła w panikę, wciąż brakowało jej tchu.

Przyszedł do banku, zobaczył córkę...

- Mamo...? - Em wyszła zza kontuaru, za którym stało biurko Candace. Palce miała wysmarowane tuszem. - Wiesz, ciocia ma bardzo fajne stemple.

Maddie najchętniej złapałaby córkę i uciekła biegiem, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

- Musimy już pędzić. Dziękuję ci, Candace.

Wzięła córeczkę za rączkę, taką małą i ciepłą. Nagle padła na kolana i przytuliła dziecko do piersi.

- Kocham cię - wyszeptła.

- Ja też cię kocham, mamo. - Głos Em nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

„Jak ty się zachowujesz?” - musiała pomyśleć.

Maddie wstała. Candace patrzyła na nią dziwnie, ale nic jej to nie obchodziło.

- Idziemy na lunch - oznajmiła. - Do Burger Kinga. - Brent nie zdoła zabrać córki z restauracji. Restauracja to miejsce publiczne. Prędzej czy później będą musiały wrócić do domu, ale im później to nastąpi, tym lepiej. Bo „później” oznaczało, że będzie miała czas pomyśleć.

Przeszły przez ulicę. Maddie podała paszport Em, a strzępy kartek wrzuciła do dwóch koszy na śmieci. Okładki nie dało się podrzeć, więc wylądowała w wielkim pojemniku na odpadki za barem. Maddie była niemal pewna, że podarty paszport jest nieważny, a jeśli nawet nie ma racji, to Brentowi może nie będzie się chciało grzebać w śmietnikach?

Nic jej nie powiedział! Wyrobił paszport córce i zamierzał wywieźć ją za granicę. Bez wiedzy matki! Akurat mu na to pozwoli!

Zatrzymała zdjęcie Em, schowała je w torebce. Brent nie wywiezie dziecka!

Przez ten cały czas Em nie odezwała się ani słowem.

- Wiem, że dziwnie się zachowuję - powiedziała Maddie, kiedy usiadły przy stoliku. - Chyba powinnam położyć się do łóżka.

Mała skinęła głową. Cheeseburgera i frytki zjadła w milczeniu, obserwując każdy ruch matki. Milczenie to bardzo odpowiadało Maddie, która mogła spokojnie powtarzać sobie, że Brent nie zabierze Em, a więc trzeba się uspokoić i zachowywać się normalnie, a przynajmniej udawać, że nic się nie stało. Przecież wystarczy zabrać Em do domu, zamknąć drzwi na łańcuch, by Brent nie mógł dostać się do środka, i poczekać do poniedziałku. Jeśli do poniedziałku zdoła zachować Em - i resztkę zdrowego rozsądku - Brent będzie

musiał wyjechać do Rio sam, a ona dostanie rozwód in absentia.

Rozwód już nie wydawał się jej wydarzeniem tak tragicznym jak wczoraj.

Wróciły do domu. Maddie zarygnowała i zapięła na łańcuch drzwi zarówno frontowe, jak i kuchenne. Przeszukała wszystkie pomieszczenia, by upewnić się, że Brent nie ukrył się w jakimś zakamarku i nie czeka, by wyskoczyć jak Freddie Krueger. W końcu usiadła na schodach, z głową złożoną na kolanach. To nie w porządku, nie powinna mieć kłopotów z głową, kiedy tyle się dzieje. Wszystko zresztą ją bolało. Ktoś powinien usiąść obok, wziąć ją za rękę, powiedzieć: „Biedna mała”. W.S. nadałby się doskonale do tej roli.

- Mamo...?

Maddie uśmiechnęła się najszczerzej jak potrafiła.

- To znów ta głowa, skarbie. Idź, obejrzyj sobie coś głupiego w telewizji.

Wiem, że nie rozwiniesz się od tego intelektualnie, lecz do muzeum zaprowadzę cię innego dnia.

Em przyjrzała się jej uważnie i nie zaprotestowała. Wyszła. Maddie usiadła w dużym pokoju. Zagapiła się na dwie puste szklanki, na butelkę wina. Słyszała, jak córka dzwoni z telefonu w holu. Pewnie chce porozmawiać z Mel. Czy powie jej: „Moja mama zwariowała. Tata uczy mnie hiszpańskiego”?

Co za bzdury! Wystarczy zamknąć drzwi i zachować spokój, a zmartwienia miną. Położyła się na kanapie, nie spuszczać wzroku ze stolika. Powinna posprzątać! Puste butelki na stoliku od kawy wyglądają tak nieporządnie. Em rozmawiała z kimś cicho, bardzo grzecznie. A więc nie z Mel. Z kim zatem?

- Em? Z kim rozmawiasz? - Dzwonię do taty, do pracy.

Maddie zerwała się z kanapy. To był błąd. Głowa omal nie rozpadła się jej na kawałki.

- Po co?!

- Powinnaś chyba pojechać do szpitala. Jesteś chora.

- Co na to tata? - Próbowała zadać pytanie spokojnie, lecz jej głos zabrzmiał piskliwie. Objaw paniki.

- Nie wiem. Wujek Howie mówi, że nie ma taty w pracy.

- Och? - Maddie przypomniała sobie, że człowiek musi oddychać. Jeśli spotka ją jeszcze jeden szok, umrze na atak serca aa kanapie we własnym domu.

- Mam zadzwonić do cioci Trevy?

- Nie, nie! Po co? - Położyła się. Co za cudowne uczucie. Postanowiła resztę życia spędzić na leżąc.

- A fen W.S.? Może on by cię zawiózł?

Woził mnie zeszłej nocy, pomyślała i przez chwilę miała ochotę odpowiedzieć "tak". Była to jednak krótka chwila, bo uczucie paniki wróciło niemal natychmiast.

- Nie ma potrzeby. Muszę tylko trochę odpocząć.

Do poniedziałku. Będziemy odpoczywać do poniedziałku.

- W porządku, mamo. Krzyknij na mnie, gdybyś się źle poczuła.

Em poszła na górę, a Maddie odprężyła się odrobinę. Wyglądało na to, że nie wszystko jeszcze stracone. Zamknęły się w domu, na zamki i łańcuchy. Brent

nie dostanie się do środka. Wyobraziła sobie nagle Brenta zrywającego łańcuchy. Mogłaby wprawdzie zablokować drzwi meblami, ale Em i tak jest już zdenerwowana. Lepiej udawać, że nie dzieje się nic niezwykłego. Więc żadnych mebli. Może... Zadzwoił telefon. Em odebrała go i krzyknęła:

- Mamo!

Maddie musiała wstać. To nie Brent. Dziecko z pewnością chciałoby porozmawiać z ojcem.

Brent nie zabierze Emily! Tylko to się liczy. Podniosła słuchawkę.

- Tak...?

- Maddie? - Głos był dziwny, ochryply, niepewny. Nie znała go. - Mówi Bailey.

- Bailey...? - Stróż z Point! Nic dziwnego, że go nie poznała. Nie był kimś, z kim ucinaby sobie pogawędki.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że nie mówiłem nikomu o tym, co widziałem wczoraj wieczorem - chrypiał Bailey.

- Dziękuję bardzo.

- W.S. i ja znamy się od dawna. Nie zrobię nic, co mogłoby mu zaszkodzić.

- Jestem pewna, że będzie ci bardzo wdzięczny, kiedy się o tym dowie.

- Myślałem, że może ty też będziesz wdzięczna... - Ochryply głos zabrzmiał niczym jęk, na tyle, na ile w ogóle jest to możliwe w przypadku takiego głosu.

- Rozumiesz, o czym mówię?

- Nie mam zielonego pojęcia. - Może wreszcie powie, o co chodzi? Najwyższy czas. - Czego chcesz?

- Co powiesz na sto dolarów?

- Co...? - Była tak zaskoczona, że omal nie upuściła słuchawki. - Szantażujesz mnie?

- Skąd, nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego! - Bailey wpadł w panikę. -

Przecież szantaż jest nielegalny. Myślałem po prostu, że zechcesz okazać mi wdzięczność.

- A jeśli nie zechcę?

- No... to przecież bardzo smakowita historia. Szkoda byłoby zatrzymać ją dla siebie.

Miała ochotę powiedzieć: „Bailey, ty cholerny idioto, przecież to właśnie jest szantaż”, ale on i tak by nie zrozumiał. Poza tym nic jej to nie obchodziło.

- Wiesz, kiedyś może bym się tym przejęła...

- Posłuchaj, Maddie...

- ...w tym tygodniu jednak nic mnie już nie ruszy. - Nie zapłaci przecież temu nędznemu szantażyście, choć musi go jakoś powstrzymać przed gadaniem. A to oznacza konieczność zawiadomienia Henry'ego, co z kolei oznacza, że Baileya trzeba zrobić.

- Kiedy i jak chciałbyś odebrać ode mnie tę setkę?

- Mogę do ciebie podjechać.

Jak na szantażystę, Bailey był wzruszająco wręcz niezdamny.

- Wiesz, w tej chwili naprawdę nie mam czasu. Odezwę się do ciebie później.
- Tylko nie czekaj za długo. To naprawdę świetna historia.
- Odezwę się - powtórzyła i odwiesiła słuchawkę. Los walił w nią jak w worek treningowy.

Już miała zadzwonić do Henry'ego, kiedy przypomniała sobie, że W.S. nie chce, by wuj wiedział o jego wyprawie na Point.

- Cholera! - powiedziała głośno i cofnęła rękę wyciągniętą po słuchawkę. Najpierw musi pogadać z W.S.

Wróciła do pokoju, położyła się na kanapie, próbując sobie przypomnieć, o czym rozmyślała, nim Em nie skróciła jej o dziesięć lat życia telefonem do ojca i nim nie objawił się Bailey. Aha! O tym, że jest złą panią domu. Powinna posprzątać.

Spojrzała na butelkę, marszcząc brwi. Dlaczego jest pusta? Przecież powinno być w niej trochę wina! Wina i środków przeciwbólowych w ilości zdolnej zabić konia. A jeśli nie zabić, to przynajmniej na lata pozbawić przytomności. Co się stało z tym winem?

Proste. Maddie usiadła, potarła głowę. Ktoś je wypił. Treva nie znosi wina. W.S. nie wchodził do dużego pokoju. Em była za mała i za mądra, by sięgnąć po alkohol.

Tylko jedna osoba mogła to wypić.

O mój Boże! - pomyślała Maddie. Zabiłam męża.

- Mama miała strasznie dziwny telefon - poinformowała przyjaciółkę Em. Dzwoniła z sypialni. - Jakiś facet ją szantażuje.
- Ale fajnie! - ucieszyła się Mel. - Zupełnie jak w filmie.
- To wcale nie jest fajnie - powiedziała ostro, za ostro, lecz i Mel przesadziła. - Chodzi o moją mamę. Ten facet chce sto dolarów.
- Tylko? Na filmach zawsze żądają milionów.
- Powiedział, że chodzi o ostatni wieczór. Założę się, że ma to coś wspólnego z twarzą mamy.
- Jejej! - Mel umilkła z wrażenia. - I co, dostanie tę setkę?
- Mama powiedziała, że do niego zadzwoni. I słuchaj, bo to ciekawe. Ten, co dzwonił, zna W.S. Tego, co był dziś u nas.
- Mówił coś o moich rodzicach?
- Nie. Tylko o mamie i o tym, co zdarzyło się wczoraj wieczorem. Och, żeby tata już wrócił! On potrafiłby to wszystko załatwić,
- A gdzie on jest?
- Nie wiem. - Em przełknęła z wysiłkiem. - Ja nic nie wiem. I co teraz zrobimy?
- Nie dowiemy się niczego o facecie od telefonu, bo nie mamy pojęcia, kim on jest. Zostaje nam tylko ten W.S. Będziesz go musiała przycisnąć.
- Obudź się, dobrze?!
- Dorośli lubią rozmawiać z dziećmi. Kiedy z nimi rozmawiamy, myślą zaraz,

że mają z nami coś wspólnego.

- Przecież nie mają - zaprotestowała Em.

- No jasne, ale nie musisz zaraz informować o tym tego co chcesz wiedzieć, po prostu, żeby cieszyć się, że jesteście kumplami.

Ma przypodobać się obcemu facetowi?

- Chce mi się rzygać - oznajmiła.

- Nic ci się nie podoba, to może sama wymyślisz coś lepszego?

Em zastanawiała się nad tym przez kilka długich chwil, lecz nie udało się jej niczego wymyślić.

- Masz rację - powiedziała w końcu. - Choć to obrzydliwe.

Story w dużym pokoju zostały dokładnie zaciągnięte, dzięki czemu stał się cichy i mroczny. Maddie leżała na kanapie z wilgotnym okładem na oczach. Próbowwała myśleć racjonalnie.

A może Brent żyje?

Jakim jednak cudem? Zatrwała przecież wino. Wino to nigdzie się nie rozlało, a tylko Brent mógł je wypić.

Wypił i zniknął bez wieści.

Jaki jest najgorszy scenariusz możliwych wydarzeń? Załóżmy, że wypił to przekłete wino, wsiadł do samochodu i wpadł w przepaść.

Jaką przepaść? We Frog Point nie ma żadnych przepaści!

Jest wprawdzie Point, lecz to raczej półka nad rowem. Nad głębokim rowem.

Dobra, niech będzie, że nad przepaścią.

Jęknęła. No cóż, jeśli zjechał w przepaść, nie porwie Emily. Jedno zmartwienie mniej.

Znajdą jego ciało nafaszerowane środkami przeciwbólowymi. Zamkną

Maddie w więzieniu. Mama będzie musiała zaopiekować się Em. Boże, tylko nie to! Przecież wychowają na podobieństwo córki. Czyste szaleństwo! Dzieci Trevy są całkiem, całkiem. Może Treva zaadoptuje Em?

Maddie wstała, przeszła do holu i podniosła słuchawkę telefonu. Usłyszała, jak jej córka mówi: „To obrzydliwe”.

- Mel, zawołaj mamę - poprosiła.

Em spytała:

- To ty, mamusiu?

Mel odłożyła słuchawkę. Maddie czekała chwilę, zanim usłyszała głos Trevy:

- Halo...?

- Przyjedź do mnie. Natychmiast.

- Co się stało? Źle się czujesz?

- Nie. Przyjeżdżaj, ale już. Jesteś mi potrzebna.

Maddie wyprosiła Em z sypialni, bo znów musiała się położyć. Kazała jej otworzyć cioci Trevie, „ale tylko jej, pamiętaj!” Po dziesięciu minutach Treva zapukała do drzwi. Weszła i zdziwiła się:

- Dlaczego tu tak ciemno?

- Nie rozsuwaj zasłon. Głowa mi pęka.

Przyjaciółka przeszła ostrożnie przez mroczny pokój i usiadła na krawędzi łóżka.

- Co się stało?

- Zabiłam Brenta.

- Co...?!

Ból głowy znowu się nasilił. Nieprawdopodobnie!

- Wino znikło. Wsypałam do niego środki przeciwbólowe. Byłam strasznie zdenerwowana. A ono znikło.

- Wypił je?

- Skoro nie ja, to z pewnością on. Nie ma innej możliwości. - Maddie zdjęła okład z oczu i spojrzała na przyjaciółkę. - Słuchaj, Brent zniknął. Nie ma go w pracy, nie ma w domu. Na pewno nie żyje. I to ja go zabiłam.

- Przesadzasz - powiedziała niepewnie Treva. - Nie mogłaś go zabić w ten sposób. Bez paniki, dobrze?

Maddie zakryła oczy moką szmatką.

- Masz rację, bez paniki. Czy zaopiekujesz się Em, kiedy mnie zamkną w więzieniu?

- Nie idzie się do więzienia za przypadkowe otrucie.

- Kto uwierzy, że to był przypadek? Zdradzał mnie, wie o tym całe miasto. - Przypomniała sobie wczorajszy wieczór i jęknęła. - Jakby tego było mało, pojechałam wczoraj na Point jego samochodem, ale z innym mężczyzną. Ciec przyłapał nas, kiedy byliśmy na tylnym siedzeniu, i teraz mnie szantażuje. Jeśli nie zdobędę pieniędzy, wszystkim o tym rozpowie.

- Co...?

- Brent wybrał sobie akurat wczorajszy wieczór, żeby mnie pobić. - Poza tym chciał uciec do Ameryki Południowej z Emily i mnóstwem bardzo podejrzanych pieniędzy, pomyślała, ale nie powiedziała tego. Musi coś zrobić z tymi pieniędzmi! Dobrze, ale nie teraz przecież! Znow uniosła okład, by spojrzeć na Trevę. - Lepsze motywy trudno sobie chyba nawet wyobrazić. Policja będzie się o nie potykać, gdzie tylko postawi nogę.

- Zapomnij o motywach. Wróćmy do Point. Z kim przyłapała cię tam policja?

- Nie policja, tylko strażnik, Bailey. Kochałam się z W.S.

- Na tylnym siedzeniu cadillaca Brenta? - Treva niemal krzyczała.

- Myślisz, że to strasznie tandetne, prawda?

- Nie! - Treva roześmiała się beztrudnie. - Wręcz przeciwnie, moim zdaniem to rewelacja. Jaka szkoda, że mnie tam nie było.

- Ja również żałuję. - Maddie uspokoiła się trochę. Skoro przyjaciółka tak się ubawiła, to może nie jest całkiem źle? - Mielibyśmy o jeden motyw mniej.

- No i jak było?

Usiadła na łóżku, podparta na zagłówku.

- Przed chwilą opowiedziałam ci, że zabiłam męża i jestem szantażowana, że policja może aresztować mnie w każdej chwili, a ty się pytasz, jak było?!

- Nie zabiłaś Brenta. - Treva lekceważąco machnęła ręką. - Kilka kapsułek tylenolu w odrobinie wina to jeszcze nie trucizna. Po prostu nadwerżyłaś sobie głowę w wypadku, potem zostałaś pobita - za co, mam nadzieję, Brent Faraday będzie się smażył w piekle - i nie jesteś w stanie myśleć logicznie, bo i kto na twoim miejscu byłby w stanie myśleć? Połóż się po prostu.

- Masz rację. - Maddie zsunęła się z zagłówek. - Kiepsko się czuję. Treva usiadła na łóżku, krzyżując nogi.

- Zanim więc umrzesz, zaspokój moją ciekawość. Jak było?

- Prawdziwy z ciebie cmentarny upiór!

- Nie. Cmentarnym upiorem człowiek staje się wyłącznie przez obcowanie cielesne z nieboszczykiem. Było aż tak źle?

Maddie uśmiechnęła się. Nic nie mogła na to poradzić.

- No i co? Nie wyszło? Wręcz przeciwnie? Mów!

- Wyszło wspaniale! - Uśmiechnęła się szerzej. - Musiał dobrze trenować. Coś takiego, mówię ci, przeżyłam pierwszy raz w życiu. Mamy zamiar zamieszkać na tylnym siedzeniu cadillaca.

Treva śmiała się do łez.

- Cudowne! Po prostu wspaniale. Nie mogę się doczekać, kiedy opowiem o wszystkim Howiemu.

- Nie! - Maddie poderwała się, jęknęła, położyła z powrotem. - Nie ma mowy! Nic nie powiesz Howiemu.

- Daj spokój! I tak dowie się wszystkiego, kiedy przeprowadzicie się do samochodu.

- Nie powiesz nikomu!

- Dlaczego?

- Bo jestem mężatką.

- O, do diabła, rzeczywiście. Zapomniałam.

- Rozwodzę się i dopóki to wszystko się nie zakończy, muszę być bardzo ostrożna.

- Coś mi się przypomniało. Ta kasetka, którą znalazłyśmy w biurze... Ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych.

- Brent! - Maddie wyskoczyła z łóżka. - Przyszedł mi zabrać Em!

- I oznajmia ci to, dzwoniąc do drzwi własnego domu?

- Mamo! - krzyknęła Emily. - Przyszedł W.S.! Musisz zobaczyć, co przyniósł. Odetchnęła z ulgą. Skoro to nie Brent, wszystko w porządku.

Szczeniak miał króciutkie, chwiejne, ale grube łapy, białe, czarne i brązowe łaty oraz wąski pyszczek. Em i Mel zakochały się w nim od pierwszego wejrzenia. - Poznajcie Phoebe. - Prezentacji dokonał, oczywiście, Treva chichotała niepowstrzymanie, Maddie stała, przytrzymując się ściany.

- Phoebe?

- Em właśnie ją ochrzciła. Ja głosowałem na Hildę. Czy ona nic wygląda kropka w kropkę jak Hilda?

- Och, oczywiście! - Treva śmiała się tak, że ledwie mogła mówić.

- Jest piękna! - Em z radości odchodziła od zmysłów.

- Piękna! - powtórzyła Mel.

Piękna to Phoebe z pewnością nie była. Wyglądała dość dziwnie, jakby jej zadaniem było wyłącznie pobudzanie ludzi do śmiechu. Za długa na beagle'a, za krótka na jamnika i za gruba na jedno i drugie, miała łaty w dwóch kolorach: brązowe, jak u beagle'a, na karku i czarne na białym tle, jak u dalmatyńczyka, na bokach.

- Naciągany beagle! - prychnęła Treva.

- To pies obronny - przekonywał W.S. - Z nią będziecie bezpieczne.

Pies obronny zachwiał się na krótkich łapach, ułożył się obok Em i oparł łeb na jej kolanach. W.S. wzruszył ramionami.

- Będzie agresywna tylko wtedy, gdy ktoś was zaatakuje.

- Przecież ona waży najwyżej trzy kilo - zdumiała się Maddie. - Jeśli zaatakuje nas cokolwiek większego od wiewiórki, nie poradzi sobie.

- Na razie tak, ale urośnie.

- Co takiego?!

- Przecież to szczeniak.

Maddie, której przyszłość malowała się w barwach raczej ciemnych, szybko domalowała do niej wielkiego zmutowanego beagle'a. Nie. tego już za wiele!

- W.S., dziękujemy ci bardzo za to, że pożyczyłeś nam psa...

- Niczego wam nie pożyczyłem. - W.S. uśmiechnął się szeroko. - To prezent.

- Kocham cię! - Em rzuciła się w ramiona gościa, po czym uściskała szczeniaka.

Treva usiadła na schodach, bo nie mogła ustać ze śmiechu. Maddie nie miała wyboru. Poddała się.

- Jaka będzie duża?

- O, bardzo duża. To mieszaniec beagle'a, jamnika, dalma-tyńczyka i setera. -

W.S. spojrział na szczeniaka. - Nie wszystko zapamiętałem - przyznał. - Ale to bardzo amerykański pies.

- Jak duże rosną takie psy?

- Nie wiem. Żadnego nie widziałem.

Maddie parsknęła śmiechem. Usiadła obok Trevy. Na szczęście to nowe nieszczęście nie dotyczyło pieniędzy, zdrad małżeńskich, szantaży, porwań i rozwodów. Tego właśnie potrzebowała - horroru dla małych dzieci.

- Skąd ona się wzięła? W schronisku przeprowadzano eksperymenty genetyczne?

- Nie. Przyjaciel Henry'ego ma mieszańca beagle'a, który spotkał nieprawdopodobnie agresywnego mieszańca jamnika. Przypomina to trochę nasze wczorajsze spotkanie, nie uważasz?

Treva nie była już w stanie się śmiać. Prychała tylko przez nos. Maddie ignorowała ją.

- Bardzo śmieszne - rzekła wyniośle.

W.S. spojrział jej prosto w oczy. Był śmiertelnie poważny.

- Potrzebujesz tego psa, Maddie - powiedział, wskazując Em niemal niedostrzegalnym ruchem głowy.

Dopiero teraz Maddie naprawdę spojrzała na córkę: nareszcie spokojną, uśmiechniętą i nieprawdopodobnie szczęśliwą.

- Święta racja - przyznała. - Potrzebuję tego psa.

- Nie myśl, że zapomniałem o tobie, kwiatuszku. W bagażniku mam kuchenkę mikrofalową. Zaraz jedziemy wypożyczyć ci samochód. Świadczę usługi w pełnym zakresie.

- Coś takiego obilo mi się już o uszy - prychnęła Treva.

Maddie kazała się jej zamknąć, ale W.S. tylko roześmiał się bez troski.

- Idziemy - zdecydowała przyjaciółka i mimo protestów Mel pociągnęła ją w kierunku drzwi. - Ciocia ma gościa.

- Nie jestem żadnym gościem - zaprotestował W.S., lecz nic nie zwojował.

Em zabrała Phoebe do ogródka, zachwycając się jej każdym chwiejnym krokiem. W.S. przyniósł mikrofalówkę.

- Przecież to coś wspaiałego! - Maddie nie odrywała wzroku od córki, bawiącej się z psem w ogródku. - Nie musiałeś przecież...

- Owszem, musiałem. - W.S. zerknął na bawiącą się dziewczynkę, po czym pochylił się i pocałował Maddie, równie delikatnie i seksownie jak zawsze. Maddie, której natychmiast zakręciło się w głowie, oparła się o niego na chwilę.

- To rzeczywiście potrafisz - orzekła.

- I nie tylko to. Mam nawet pewien pomysł...

- Pewnie, że masz, ale moja córka bawi się w ogródku, więc nic z tego.

Spojrzała na Em, chciała zawołać ją do domu, ale nie powinna przecież dawać jej do zrozumienia, że coś jest nie tak. „Wróć do domu, kochanie, tatuś może cię porwać”.

W.S. przybrał minę urażonej niewinności, ale nie wypadło to zbyt przekonująco.

- Nie o tym akurat mówiłem, choć nie da się ukryć, że o tym myślałem. Po prostu sadzę, że powinniście przeprowadzić się na farmę. Na kilka dni.

- Do Anny?

- Wiele ostatnio przeszłaś. Szukałem Brenta wszędzie, gdzie się dało i nie znalazłem go, ale to przecież nie znaczy, że dziś wieczór nie wróci do domu. Nie mogę pogodzić się z myślą, że jesteś sama gdzieś, gdzie nie mogę cię chronić. Przenieś się do nas. będziesz bezpieczna.

Bezpieczna! Istotnie, jeśli przeniosą się na farmę, Brent ich nie znajdzie. A zresztą niech nawet znajduje; gdyby chciał Em zabrać, musiałby najpierw przebić się przez W.S. i Henry'ego.

A to przeszkody nie do pokonania. Tak, to doskonałe rozwiązanie. Tylko że wszyscy mieszkańcy Frog Point będą gadać o tym jutro rano pod kościołem.

Ma wybór: może zostać w domu i ludzie nie będą mieli o czym gadać albo nad ludzką gadaninę przedłożyć bezpieczeństwo dziecka.

- Wiem, że boisz się, co ludzie sobie pomyślą - powiedział W.S. współczująco.

- Lecz...

- Przeniesiemy się do was z największą przyjemnością - zdecydowała Maddie.

- Idę spakować trochę rzeczy. Ty porozmawiaj z Em. I nie spuszcza jej z oka.

- Przecież...

- Zrób mi tę przyjemność - poprosiła.

Nie wiedział, o co chodzi, ale nie spierając się, wyszedł do ogródka.

Em siedziała na schodkach tylnego ganku, tuląc do siebie Phoebe, i myślała o tym wspaniałym podarunku; nie chciała zresztą myśleć o niczym innym.

Psiak był świetny, kręcił się i unosił łebek, by polizać dziewczynkę po buzi.

Kiedy na ganku pojawił się W.S., ocierała właśnie z policzka psią ślinę.

- Nic ci nie jest, mała? - spytał, drapiąc Phoebe za uchem.

- Oczywiście, że nic jej nie jest - zaperzyła się Em. - Taka śliczna...

- Chodziło mi o ciebie.

Jego głos brzmiał poważnie, choć trudno poznać, czy to nie poza, gdyż W.S.

był człowiekiem, którego przecież nie znała. Spojrzała na niego spod oka.

Miał miłą twarz, która świadczyła o tym, że najbardziej ze wszystkiego W.S.

lubi się śmiać, choć nie śmiał się w tej chwili. Gdyby wszystko, co zdarzyło się ostatnio, nie było tak ponure, mogłaby go nawet polubić, zwłaszcza za ten wymarzony prezent. Niestety, zamiast po prostu polubić tego człowieka, musiała go przycisnąć.

- Kocham ją - powiedziała. - Dziękuję panu bardzo. Phoebe zaczęła się wyrywać, więc Em puściła ją i patrzyła,

jak szczenię chwiejnie przebiega przez ogródek, by wysiusiać się na chodniku.

- Cieszę się, choć czeka nas trochę roboty - stwierdził W.S. Em roześmiała się, mimo że wcale nie było jej do śmiechu.

Śmiała się nie tyle ze słów W.S., ale ze sposobu, w jaki je wypowiedział: tak jakoś wesoło, jak jej nauczyciel z pierwszej klasy, i nie pozostawiając wątpliwości, że żartuje.

- Trawa jest za wysoka - mówił dalej. - Łaskocze ją po pupie, a trudno zrobić siusiu w takich warunkach. Prawda?

- Prawda - przyznała Em, nie spuszczając wzroku z Phoebe, obwąchującej krawędź podjazdu. - Chodź tu! - krzyknęła, przestraszona, że szczeniak wybiegnie na ulicę, że hamulce zapiszczą nagle przeraźliwie, tak jak dwa dni temu, że ukochane zwierzątko zginie pod kołami samochodu na środku jezdni...

Phoebe wróciła posłusznie. Przeciskała się pomiędzy ludźmi, ale dziewczynka złapała ją i przytuliła, taką miękką, ciepłą, sprężystą.

- Musimy ogrodzić część podwórka. - W.S. przesunął się, robiąc szczeniakowi miejsce na schodach. - Tylko ten kawałek między podjazdem a domem. Zrobimy furtkę, żeby można było przejść do samochodu. Przyszyję trawę, a wówczas skończy się problem łaskotek.

Em spoważniała.

- Tata strzyże trawę - powiedziała i znów przyjrzała się spod oka gościowi. Chciała go lubić, ale nie wiedziała, jakie właściwie miejsce zajmuje w jej życiu; może w ogóle nie powinno go tu być? No i sprawa szantażysty ciągle pozostawała niejasna. Musi tego gościa przycisnąć, bo Mel ją zabije. Zacisnęła zęby. „Czy jest pan zakochany w mojej mamie?” - nie wydawało się jej najszcześniejszym początkiem, ale przecież można zapytać o to samo, tyle że odrobinę inaczej.

- Zna pan mojego tatę?

Widziała, że się zastanawia, pomyślała: "Teraz skłamię" ale on powiedział:

- Chodziłem z nim do liceum. Z mamą też, ale potem wyprowadziłem się z miasta. Od dawna nie rozmawiałem z twoim tatą.

Em rozważyła w myśli tę odpowiedź. W.S. miał dobre oczy, patrzył na nią miło; prawdopodobnie nie kłamie. No i rozmawia z nią tak jak z mamą, jakby była dorosła, tylko że w stosunku do niej jest poważniejszy niż w stosunku do mamy.

- Mówi pan prawdę? - spytała, nadal podejrzliwa, wypuszczając Phoebe, która robiła wszystko, by się wyrwać z ramion opiekunki.

- Naturalnie! Chyba go uraziła.

- Przepraszam, ale czasami ludzie mówią mi różne rzeczy tylko po to, żebym przestała pytać.

- Ja nie mam zamiaru kłamać, nawet gdybym musiał mówić przykrą prawdę. Z kłamstwami jest tak, że w końcu zawsze wpędzają cię w kłopoty. Zapominasz, co powiedziałaś, ktoś cię na tym przyłapuje i czujesz się głupio. Lepiej powiedzieć prawdę i mieć spokój.

Mówił dziwnie szorstko, jakby wspominał coś, co przydarzyło się jemu samemu. Em uśmiechnęła się, zapominając na chwilę o kłopotach i o tym, że ma go przycisnąć.

- Pana ktoś złapał na kłamstwie?

- Wujek. Przysiągłbym, że potrafi czytać w myślach.

- Mnie by się to nie podobało. - Pewnie, w końcu miała co ukrywać. Na przykład to, że nie wierzy mamie.

- Mnie też się nie podobało, lecz nauczyłem się z tym żyć. Hej, Phoebe, wracaj! - Szczeniak posłusznie podbiegł. -Wiesz, powinniśmy mieć łańcuch, żeby nie wybiegała z ogródka.

Em skinęła głową.

- A także miskę, jedzenie, obrozę i smycz, - Wstała. -Przyniosę kartkę papieru, zrobimy listę potrzebnych rzeczy.

- Mam psie jedzenie - oznajmił W.S. - Nie musisz nic zapisywać. Siadaj,

nauczę cię pewnej sztuczki.

Usiadła. Sztuczki to fajna rzecz.

- To się nazywa obraz w pamięci. - Phoebe wróciła na kolana dziewczynki. - Wuj mi pokazał, jak to się robi. Zaczynamy. Ile rzeczy musimy zapamiętać? Em policzyła w pamięci.

- Cztery, nie, pięć. Potrzebujemy jeszcze psich herbatnicz-ków.

- Doskonale. A teraz zamknij oczy. Wyobraź sobie Phoebe w obroży, z przypiętą do obroży smyczą i... co tam jeszcze było?

- Łańcuch. - Em siedziała spokojnie z zamkniętymi oczami. - Przyczepiony do smyczy.

- Świetnie, mała. Umiesz myśleć. Co jeszcze?

- Phoebe je psie herbatniczki z miski. - Em kompletowała obrazek.

- Zapamiętaj ten widok - mówił W.S. sympatycznym, spokojnym głosem, bez krzyku, bez nacisku. - Zapamiętasz?

Em przyglądała się wyobrażonej Phoebe, jedzącej z czerwonej miski. Obroża była czerwona, smycz jasnożółta, przypięta do ciężkiego srebrnego łańcucha...

- Łańcuch jest za długi - powiedziała głośno i nagle poczuła się głupio, no bo przecież tylko sobie to wyobraziła.

- Skróć go - powiedział W.S. i nic nie świadczyło o tym, że uważa Em za głupią. - Wyobraziłaś sobie długi łańcuch, bo nie podoba ci się w ogóle pomysł trzymania psa na łańcuchu. Ale to tylko na razie, bo kiedy zrobimy ogrodzenie, łańcuch nie będzie potrzebny. Po prostu tylko na jakiś czas ma zapewnić jej bezpieczeństwo.

Em skróciła łańcuch do rozsądnej długości, choć zdawała sobie sprawę, że powinna zapytać, dlaczego W.S. myśli, że to on będzie stawiał ogrodzenie, a nie tata. Na dłoni czuła jednak wilgotny psi nos, w pamięci miała obraz wszystkiego, co powinna kupić, mogła też pokazać Mel nową sztuczkę, by nie wspomnieć już o wszystkich informacjach, które uzyskała, zadając jedno dobre pytanie. Nie musi więcej pytać. Przyciskanie wcale jej nie odpowiadało, choć okazało się, że jest w tym całkiem dobra.

- Świetnie - powiedziała. - Zapomniałam, ale potrzebujemy jeszcze piłeczki i frisbee.

- Gdzie je widzisz?

- Białe frisbee leży pod miską, a fioletowa piłka... na głowie Phoebe. -

Roześmiała się. - To razem siedem rzeczy, prawda?

Prawda. I założę się, że żadnej nie zapomnisz. Niczego nie zapomnę, pomyślała Em. Poklepała szczeniaka po łbie i znów oczami wyobraźni ujrzała obrazek. Wolała myśleć o nim niż o twarzy mamy, o szantażyście i o tym, dlaczego to W.S. ma zrobić ogrodzenie, a nie tata.

- Co sądzisz o tym, żebyśmy zabrali Phoebe na farmę mojego wujka? - spytał W.S. i Em zeszywniała nagle, bo po raz pierwszy w rozmowie z nim coś zabrzmiało fałszywie. -Dobrze. - Poprawił się natychmiast i dalej mówił normalnym

tonem. - Wygląda to tak: uważam, że ktoś powinien przez jakiś czas opiekować się mamą, a nie znam nikogo, kto by tak wspaniale opiekował się ludźmi jak ciocia Anna. Na farmie Phoebe miałyby mnóstwo miejsca do zabawy. I moglibyśmy wybrać się na ryby. Taki krótki wypad. Co o tym myślisz?

Jestem pewna, że zdecydowaliście już z mamą o wyjeździe -pomyślała Em. — Nic was nie obchodzi, czy mi się to podoba, czy nie.

Głośno powiedziała:

- Niech będzie.

Maddie patrzyła, jak W.S. sadza Em na przednim siedzeniu. Jej pozostało tylne, na którym przez całą drogę będzie walczyć z wianem. Prowadząc, W.S. rozmawiał z małą, opowiadając jej o farmie, o wędkowania i o tym, jak szczęśliwa będzie tam Phoebe. Głos miał tak miękki i serdeczny, że od nowa się w nim zakochała.

Em odezwała się po raz pierwszy, kiedy mijali opuszczoną farmę Drake'ów, leżącą mniej więcej w połowie drogi.

- Daleko jeszcze? - spytała.

- To jest jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od waszego domu. Z ulicy, przy której mieszkasz, skręćcie w drogę trzydzieści jeden, potem w prawo, w Gankową, i jeszcze raz w prawo, w Hikorową. Trzydzieści jeden osób siedzi na gankach i zajada orzeszki hikorowe.

- Co...? - zdziwiła się Maddie, ale ujrawszy, że Em uśmiecha się, zrezygnowała z próby zrozumienia ich żartów. Jej córka była wreszcie bezpieczna! I szczęśliwa!

- Jedźcie się tam dwadzieścia pięć minut - dokończył W.S. -Przy ostrożnym prowadzeniu - zastrzegł.

Im dalej od Brenta, tym pewniej czuła się Maddie... Po raz pierwszy od czasu znalezienia paszportu ogarnął ją spokój.

- Skoro ty prowadzisz, prawdopodobnie dojedziemy w dziesięć minut - powiedziała.

- No wiesz! Przecież się zmieniłem! Jestem odpowiedzialnym obywatelem i czeka mnie wielka przyszłość.

Roześmiała się, a on włączył magnetofon, wsunął kasetę i krzyknął:

- Pamiętasz to?

Bruce Springsteen śpiewał Born to Run. To nie moja piosenka, pomyślała Maddie. Szkoda, że Bruce nie nagrał nigdy czegoś takiego: „Urodziłam się, by być ostrożną i dobrą dziewczynką”. To nieźle podsumowałoby całe moje życie.

- Lubię country! - odkrzyknęła. - Masz Patsy Cline? Szalona to też niezły opis życia.

W.S. potrząsnął głową. W dziesięć minut później skręcił na podjazd, u którego końca widniał mały dom o wiejskim charakterze, a za nim trawnik,

sięgający brzegu rzeki porośniętego starymi drzewami. Z wodą stykał się pamiętający lepsze czasy pomost. Wszystko jak w opisie W.S. Maddie nie pamiętała już, kiedy była tu po raz ostatni, ale nagle odniosła wrażenie, że od tej chwili minęło tylko kilka dni.

Ciotka Anna powitała gości na progu.

- Dzień dobry, Maddie, kochanie - powiedziała, całkiem zręcznie unikając patrzenia na jej twarz.

- Dzień dobry, Anno. Dziękuję, że zgodziłaś się nas przyjąć.

- Em, nigdzie się nie ruszaj - krzyknął z garażu W.S. - Idę poszukać wędek.

- Nie ma za co dziękować - uśmiechnęła się Anna. - A ty musisz być Emily - zwróciła się do dziewczynki. - Kiedy widziałam cię po raz ostatni, jeszcze raczkowałaś.

- Dzień dobry pani - powiedziała grzecznie Em, pochyliła się i pogłaskała psa.

- To Phoebe. Prezent od W.S.

- Naprawdę? - zdziwiła się Anna. - Miło, że pomyślał o tym. - Spojrzała na Maddie, która odpowiedziała uśmiechem.

- Bardzo miło - przyznała z przekonaniem i Anna wyraźnie się uspokoiła.

- Znalazłem wędkę - oznajmił W.S., który właśnie wyszedł z domu. - Na kolację będziemy mieli rybę.

- Będziemy albo i nie. Na wszelki wypadek przygotuję pieczeń wieprzową.

- Świetnie. Najgorsza ta odpowiedzialność. - Skinął głową, wskazując rzekę, Em podeszła do niego, a za nią pobiegła Phoebe.

- Tylko pilnuj, żeby mała nie wpadła do wody! - krzyknęła Anna.

W.S. spojrział w niebo.

- Em, idziemy. Tu traktują nas jak dzieci!

Anna i Maddie patrzyły, jak ta trójka idzie w stronę pomostu: W.S. skracający kroki, by nie zmuszać do biegu dziewczynki, i szczeniak, kołyszający się na komicznie krótkich łapkach.

- Masz wspaniałe dziecko, Maddie - powiedziała Anna, gdy wchodziły do domu.

- Kocham ją - odparła Maddie po prostu. - A teraz rozpieścisz mi ją prawdziwym jedzeniem. Będą ziemniaki puree?

W godzinę później ziemniaki były już obrane, a Anna i Maddie zdążyły wymienić wszystkie znane sobie plotki. Maddie nie mówiła o sobie, jako że dzieje jej ostatnich dni jakimś cudem nie stały się znane publicznie.

- Gloria Meyer! - Anna potrząsnęła głową. - Powinna wiedzieć, że zawiera małżeństwo bez szans na przetrwanie.

- Czasami nie sposób niczego przewidzieć. - Maddie lojalnie wzięła sąsiadkę w obronę. - Bywa, że na początku jest dobrze, a potem wszystko zaczyna się psuć.

Anna zaczęła płukać ziemniaki.

- Rozwodzę się - oznajmiła Maddie, czując się strasznie głupio. Będzie musiała wysłuchać kazania.

Gospodyni wytarła ręce ścierką i postawiła garnek na kuchence.

- Czasami to jedyne wyjście. Nie ma się czego wstydzić -skwitowała tę wieść.

- Twoja mała spali się na tym słońcu. -Wyszła na ganek. - Emily! Chodź, będziemy robić ciasteczka. A ty, W.S., skoś trawnik przed przyjściem wuja!

- Nie wiem, dlaczego ci o tym mówię - powiedziała Maddie, kiedy Anna wróciła do kuchni.

- Bo mi ufasz - odparła Anna. - Dziękuję.

Kręciło się jej w głowie od tego, czego obie nie dopowiedziały.

- Masz rację.

Kolejną godzinę Anna i Em piekły ciasteczka, zmordowana Phoebe spała w kącie, a Maddie przyglądała się im. Anna chce mieć wnuki, pomyślała nagle.

A ponieważ W.S. najwyraźniej nie spieszył się w tej sprawie, z radością przyjęłaby Em. Zapragnęła powiedzieć jej: „Słuchaj, nie myśl nawet o siostrzeńcu i o nas”, ale przecież byłoby to okrutne. Niech się nacieszy dzieckiem, póki Em tu jest.

Wyjrzała za okno. W.S.. rozebrany do pasa, kosił trawę starą ręczną kosiarką. Zdyszany, spocony, szeroki w ramionach, bardzo silny, wyglądał naprawdę wspaniale. Mógłby poświęcić trochę czasu i mnie, rozżaliła się Maddie.

Nawet o tym nie myśl! - upomniała się zaraz. Przecież tuż obok stoi Anna.

Zamiast gapić się przez okno, zaczęła pomagać w przygotowywaniu kolacji. Henry wrócił do domu pół godziny później.

- Cieszę się, że was widzę - powiedział krótko i zabrał Em na ganek uczyć ją gry w warcaby.

Nieco później W.S. przerwał koszenie. Usiedli w piątkę przy wielkim okrągłym stole i raczyli się kruchym mięsem w ciemnym sosie, ziemniakami w śmietanie, wczesnym groszkiem zielonym, biskwitami polanymi masłem.

Em pałaszowała, jakby siadła do pierwszego posiłku w życiu; Maddie po prostu musiała się uśmiechnąć, choć jej życie legło w gruzach. Mała nigdy jeszcze nie jadła takich potraw. Cholesterol zapcha jej żyły i pewnie umrze na atak serca w wieku dziewięciu lat, ale w tej chwili poznawała smak raj.

W końcu wszyscy się nasycili. Henry i W.S. pograżyli się w zażartej dyskusji, dotyczącej zalet i wad nowoczesnych kosiarek spalinowych, Anna i Emily mówiły o piekących się ciasteczkach.

Henry wymierzył w W.S. widelec:

- Ta ręczna kosiarka jest dziś równie dobra jak w dniu, kiedy ją kupiłem! - oświadczył. Anna pochylała się nad Em.

- Wystarczy zagnieść ciasto w kulkę i obtoczyć je w cynamonie - wyjaśniła.

W.S. potrząsnął głową.

- Do diabła, Henry! Straciłem dobre pięć kilo, koszując zaledwie kawałek trawnika nad rzeką. Pewnego dnia dostaniesz ataku serca przy tej harówce.

- Palcami? - dopytywała się Em.

- Miastowy! - prychnął Henry.

- Owszem, palcami. - Anna skinęła głową. - A potem uklepujesz je na blasze.

- Koszenie mogę skończyć później. - W.S. wzruszył ramionami. -
Skończyłbym wcześniej, ale nie chciałem spóźnić się na kolację. I na ciasteczka Emily.

- Kiedy przyjadę następnym razem, zrobię ciasteczka cytrynowe - szepnęła mu do ucha dziewczynka.

- Już na nie czekam.

Henry chrząknął, zwracając na siebie jego uwagę.

- Nie skarżyłeś się jakoś na kosiarkę, kiedy byłeś chłopcem. Anna wstała.

- Czy ktoś chce spróbować czekoladowych ciasteczek Em? - spytała.

- Tylko dlatego, że byłem grzecznym chłopcem - stwierdził dumnie W.S. w odpowiedzi na uwagę wuja.

Anna i Henry powitali tę rewelację wymownym milczeniem. Najwyższa pora na zmianę tematu.

- Ja proszę o ciasteczka - dodał W.S.

- Już przynoszę! - Dziewczynka poderwała się z krzesła.

- Dlaczego się tak na mnie gapicie? Przestępcą przecież nie zostałem.

- Bo byłeś wprost nieznośny - przypomniał Henry.

- Pora, żebym dokończył koszenie trawnika. - W.S. zdążył już zjeść kilka ciasteczek. - Dziękuję ci, Em.

- Naprawdę był taki nieznośny? - spytała Maddie, kiedy zmywały z Anną naczynia.

Em i Henry rozgrywali ostatnią partię warcabów.

- Oczywiście! Dlatego to my wychowywaliśmy go. Susan, moja siostra, chciała go odesłać do domu poprawczego, ale w końcu trafił do nas. Przez pewien czas myślałam, że Henry wyzionie przez niego ducha. No, ale wszystko skończyło się dobrze. To był wspaniały chłopak! - Anna z zapałem wycierała półmisek. - Po prostu potrzebował kogoś, kto by go pokochał i natarł mu uszu, gdy robił coś złego. Szybko się uczył.

Od tej strony jeszcze go nie znała. W.S. jako dziecko, w wieku Em na przykład.

- Co robił złego?

- Bez przerwy wdawał się w bójkę. I naprawdę starał się zrobić przeciwnikowi krzywdę. - Anna zapatrzyła się w przestrzeń, wyraźnie zdziwiona. - Nigdy tego nie mogłam pojąć, bo w domu był zawsze bardzo łagodny i doskonale opiekował się zwierzętami. Szkoda, że go wtedy nie znałaś. Myśleliśmy nawet, że zostanie weterynarzem. Był też bardzo opiekuńczy wobec małych dzieci. A potem wychodził z domu i łamał komuś szczękę, przy czym zawsze miał powód - tłumaczył, że ktoś komuś dokuczał albo zrobił coś złego, a jemu krew uderzała wówczas do głowy i po prostu musiał się bić.

- Ale przeszły mu te napady złości?

- Tak, choć trwało to znacznie dłużej niż w wypadku innych chłopców. - Anna zamysliła się na chwilę. - Pamiętam, jak kiedyś Henry wysłał go do miasta po pojemniki na śmieci. Przywiózł dwa, tam wyładował, ale jakoś się szepiły.

Stałam i patrzyłam, jak narasta w nim wściekłość, aż wreszcie wyciągnął z samochodu kij baseballowy i zaczął w nie walić. Rozbił je na strzępy.

- I co wówczas zrobiłaś? - Maddie przeszył nagle dreszcz. Co będzie, jeśli W.S. zawezmie się na Brenta? Przyjechał do niej pogodny, nawet wesoły, ale zobaczył jej twarz i pojechał szukać winowajcy. Powiedział wprawdzie, że go nie znalazł, ale...

- Po prostu patrzyłam - mówiła tymczasem Anna. - Wsiadł w samochód, wrócił do miasta i przywiózł następne dwa pojemniki, za które zapłacił z własnych pieniędzy. Te się na szczęście nie szczepiły. I tak to się skończyło.

- Święty Boże! Anna uśmiechnęła się.

- Muszę przyznać, że w końcu trochę złagodniał. Z pewnością zdążyłaś go już poznać w nowym wcieleniu. Miły, uprzejmy... Czasami jednak myślę, że wciąż siedzi w nim zbuntowany chłopak. Na przykład zawsze był uparty i to mu zostało. Zawsze zdobywa to, czego pragnie naprawdę. Pod tym względem również się nie zmienił.

A może jednak? - pomyślała Maddie.

Em weszła do kuchni, oglądając się na kolebiącego się za nią szczeniaka.

Kosiarka umilkła już jakiś czas temu; na dworze robiło się ciemno. Anna podała Maddie kilka puszek piwa.

- Zanieś je chłopcu - poprosiła. - Ja i Em pooglądamy telewizję na dobranoc. -

Uśmiechnęła się do małej. - Będiesz spała w dawnym pokoju W.S., wiesz?

- Phoebe też? - zatroskała się dziewczynka.

- Phoebe też - odparła z uśmiechem Anna.

Em posłusznie usiadła przed telewizorem, ze szklanką mleka, ciasteczkami i własnym psem.

- Nie zechce od was wyjechać - zauważyła Maddie.

- Nas to na pewno nie zmartwi.

Anna po raz pierwszy w swym długim życiu poszła obejrzyć Simpsonów, a Maddie z piwem w dłoniach udała się na poszukiwanie W.S.

10

Musiła dotrzeć nad brzeg rzeki, omijając rosnące gęsto drzewa, nim znalazła W.S., leżącego na hamaku.

- Nabrałem Henry'ego - wyznał, kiedy zobaczył ją, przechodzącą pod gałęzią.

- Ta cholerna kosiarka zabije mnie, nie jęgo.

- Napij się. - Maddie podała mu piwo. - To podtrzyma w tobie życie.
Jednym haustem wypił pół puszki.

- Chodź, usiądź przy mnie. - Jego niski głos przeszył ją dreszczem.
Dwadzieścia cztery godziny temu byli w samochodzie na Point. Zadrżała,
wspominając, co w nim robili. Ale teraz od Em dzieliło ich zaledwie sto
metrów.

- Lepiej nie - powiedziała i rozejrzała się dookoła, a potem podniosła wzrok
na rozgwieżdżone niebo. - Jak tu pięknie - westchnęła.

- Wyobrażałem sobie, że kochamy się w hamaku. Usiądź, proszę. Ktoś
powinien zaopiekować się mną czule i serdecznie.
Maddie usiadła na ziemi, na tyle daleko, by nawet przypadkiem nie mogła go
dotknąć, choć właśnie tego pragnęła najbardziej.

- Anna powiedziała mi, że kiedy miałeś dziesięć lat, kradłeś.

- Jeśli masz zamiar rozliczać mnie z postępów wczesnej młodości, to możesz
sobie iść.

Wyglądało to na dobry pomysł, w odróżnieniu oś siedzenia obok niego, w
otaczającej ciemności. Wstała, ale on złapał ją za nogawkę szortów.

- Żartowałem. Nie odchodź. Usiądź i napij się piwa. Mogę odstąpić ci puszkę.
Jeszcze raz pociągnął ją za szorty. Poczula jego ciepłe palce na nagiej skórze
uda. Cudowne uczucie, ale zachwycać się nim to nie najlepszy pomysł, więc
wyrwała mu się i usiadła nieco dalej. Ciało drżało wciąż od tego jednego
dotknięcia. Musi skierować myśli w inną stronę, bo jeśli tak dalej pójdzie,
zaraz straci głowę i po prostu się na niego rzuci.

- Chyba miło było tu dorastać? - wyraziła przypuszczenie. W.S. wyciągnął się
swobodnie na hamaku.

- W gruncie rzeczy tak. Anna jednak miała ze mną krzyż pański, Kiedy
robiłem coś głupiego, była taka smutna, że po prostu nie mogłem tego znieść.

- Moja mama wolała wzbudzać we mnie poczucie winy. Robi to zresztą do
dziś. Mówi: „Sąsiedzi pomyślą, że źle cię wychowałam”. Czasami mam
wrażenie, że całe życie poświęciłam na udowadnianie sąsiadom, że mama
wychowała mnie dobrze.

- To przecież prawda. Jesteś niemal doskonała.

Nie, nie jestem! Przecież istnieje także druga Maddie, przez trzydzieści osiem
lat udająca, że wszystko jest w największym porządku. I jak tu nie złościć się
na W.S., który sfiksował na punkcie fałszywej Maddie Martindale? Nie umie
chyba spojrzeć realnie, skoro nadal uważa ją za „dobrą dziewczynkę”... i to po
tym, co oboje wyprawiali na tylnym siedzeniu cadillaca jej męża.
To jej o czymś przypomniało.

- Nie mogę być doskonała, bo jestem szantażowana. - W.S., zdumiony, usiadł
na hamaku. - Bailey chce, żebym zapłaciła mu sto dolarów za trzymanie gęby
na kłódkę.

- Idiota! Już ja się nim zajmę. Nie zdenerwował cię, mam nadzieję?

- Żartujesz? Biorąc pod uwagę, z czym walczę, mogłam się tylko roześmiać,

choć byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś się tym zajął.

- Szanowna pani, cała przyjemność po mojej stronie. Specjalizuję się w ratowaniu uciśnionej niewinności. Chcesz piwa?

- Próbujesz mnie upić?

- Nie. Przez tę cholerną kosiarkę jestem tak wykończony, że nie stać mnie na podstępne działanie. Chryste, czuję się tak, jakbym skosił ze sto hektarów. Chodź i pomasuj mnie.

- Poradzisz sobie bez masażu. Jesteś przecież prawdziwym mężczyzną. - Trzeba koniecznie znaleźć jakiś bezpieczny temat! - Od czego to właściwie skrót „W.S.”?

- Od niczego.

- Jak to? Matka nazwała cię samymi inicjałami?

- Nie. Dała mi na imię Wilson, co było imieniem popularnym w rodzinie. Pewnie zaraz zaczniesz się śmiać?

- Wilson Sturgis. - Zachichotała i rzeczywiście musiała się roześmiać. - Stąd te inicjały?

- Gdzie tam! To od wątróbki siekanej. Maddie gapiała się na niego.

- Miałem wtedy siedem, może osiem lat. Właśnie wróciłem do domu. Mama rozmawiała z pewną wiekową sąsiadką, opowiadała jej o mojej siostrze: Denise to, Denise tamto, Denise umie wszystko, Denise jest zbyt wspaniała, by to opisać sławami. Zdenerwowałem się i spytałem: „A ja to co? Jestem wątróbka siekana?”. Denise zaczęła mnie od tej pory nazywać Wątróbką Siekaną, a po paru tygodniach skróciła to na W.S., i tak już zostało.

- Nie przeszkadza ci to?

- Skąd, wszystko lepsze niż Wilson! No i podobało mi się, że sam sobie nadałem imię, rozumiesz? Jakbym udowodnił sobie, że mogę być, kim chcę, niezależnie od tego, co mama o tym myśli.

Brzmiało to niegłupio - nadać sobie imię, być tym, kim chce się być.

Maddie położyła się na trawie, chciała pomyśleć, ale spojrzała w niebo pełne gwiazd.

- Tu naprawdę jest pięknie - powiedziała.

- Możesz mi wierzyć, że pewnego dnia będziemy się kochać na tym hamaku. To skutecznie zburzyło spokój, który z takim trudem udało jej się osiągnąć. Wstała i zrobiła krok wstecz. Miała na W.S. nieprzepartą ochotę!

- Przestań! Uważam, że jesteś wspaniała; nigdy nie domyślisz się nawet, jak bardzo jestem ci wdzięczna za to, co zrobiłeś dla Em... Rzeczywiście, pragnę cię, lecz... - Umilkła w poszukiwaniu słów.

- ...nie teraz - dokończył za nią W.S., siadając w hamaku. - Wiem, od Henry'ego i Anny dzieli nas tylko trawnik, a ty nie masz jeszcze rozwodu. Mogę czekać, nie bój się. A to, co zrobiłem dla Em, zrobiłem dlatego, że bardzo ją lubię, a nie dla ciebie, więc nie masz powodów do wdzięczności. Em i ja doskonale radzimy sobie bez twojej pomocy.

Maddie stała nieruchomo, zdumiona jego słowami. Powiedział „Em i ja”,

jakby znał Emily od lat, jakby była dla niego kimś więcej niż tylko córką kobiety, z którą on sypia. Czyżby uważał ją za samodzielną osobę, za kogoś, o kogo ma zamiar troszczyć się niezależnie od tego, co łączy jego i Maddie? Bardzo nie pasowało to do W.S. takiego, jakiego znała. Z wrażenia zabrakło jej tchu, a ponadto musiała walczyć z pokusą rzućcia mu się w ramiona, powierzenia mu siebie, córki i wszystkiego, co do niej należy.

- Muszę iść. Anna i Henry zaczną się zastanawiać, co robimy - oznajmiła nagle. - Odeszła, z każdym krokiem silniej pragnąc wrócić do niego, a kiedy z ganku obejrzała się i w świetle księżycy dostrzegła zarys jego sylwetki, pomyślała, że nie zdoła zamknąć za sobą drzwi oddzielających ją od ukochanego.

W.S., który spał na kanapie, obudził się rano i zjadł z Henrym śniadanie: naleśniki, truskawki, smażone ziemniaki z cebulą, masło lśniące w promieniach słońca, syrop tak gęsty, że z trudem dało się go wylać z dzbanka.

_ Mam obudzić Em i Maddie? - spytał.

Henry uprzedził Annę w odpowiedzi.

- Niech śpią, a ja - chciałbym się od ciebie dowiedzieć, czy przypadkiem nie musisz wracać do miasta?

- Henry! - oburzyła się Anna, stawiająca właśnie przed siostrzeńcem dzbanek pianistego mleka. - Może zostać z nami, jak długo chce. - Poklepała wychowanka po ręce. - Im dłużej, tym lepiej. Przecież to jego dom.

- Przydałby mu się urlop z dala od domu. Niech wypocznie porządnie, a tu może wrócić później.

- O czymś takim właśnie myślałem. To znaczy o powrocie do domu. Czy oferta dotycząca tej ziemi koło was jest nadal aktualna?

- Och, W.S.! - ucieszyła się Anna. Henry skrzywił się.

- Wróć do miasta i przemyśl to sobie - zaproponował. - Najpierw musisz choć trochę ochłonać.

- Dostaniesz tę ziemię, kiedy tylko będziesz chciał - obiecała Anna. -

Wystarczy, że powiesz słowo.

- Pomyślałem, że mógłbym pogadać z Howiem Bassetem w sprawie budowy domu. Pomyśl, Henry, nie chciałbyś przypadkiem mieć mnie za sąsiada?

Moglibyśmy razem wyprawiać się na ryby, kiedy przejdiesz na emeryturę.

Anna uśmiechnęła się, skinęła głową i niewątpliwie kopnęła męża w kostkę pod stołem, bo W.S. dostrzegł na twarzy wuja grymas bólu.

Henry chyba nie bardzo wiedział, jak powinien zareagować.

- W.S., ostrzegam cię - powiedział, ale wcale nie zabrzmiało to jak groźba.

Anna znów przejęła inicjatywę.

- Idź do Howiego jeszcze dziś. Przywieź go tu. Musi szybko zacząć budowę, żeby zdążyć przed Bożym Narodzeniem. Bo przecież zdąży wybudować dom przed Bożym Narodzeniem, prawda, Henry?

Henry rzucił W.S. mordercze spojrzenie i podniósł widelec.

- Zawsze byłeś narwany, W.S., i właśnie to cię wpędzało w kłopoty. Okazuje się, że pod tym względem nic się nie zmieniłeś. Radzę ci, zwolnij i trzymaj się z dala od kłopotów -dokończył ogólnikowo, zerkając na żonę. Anna podsunęła W.S. ziemniaki.
- Jeszcze dziś zobacz się z Howiem - powtórzyła. - Jest niedziela, więc będzie miał czas.

- Tak jest, szanowna pani.

Nałożył ziemniaków na talerz, unikając wzroku wuja. Będzie musiał postępować ostrożnie, ale Anna ma, oczywiście, rację. Jeśli chce zamieszkać z Maddie i Em w swoim domu w jakiejś przewidywalnej przyszłości, z Howiem powinien zobaczyć się jeszcze dziś.

Zaraz po tym, jak spotka się z Brentem.

- Ostrzegam cię, W.S. - powtórzył znad naleśników Henry.

- Słyszę. - W.S. pograżył się w myślach. Wyobrażał sobie siebie w roli męża i ojca.

Maddie zadzwoniła do matki z telefonu na górze jeszcze przed śniadaniem.

- Mamo, tu Maddie. Nie przyjeżdżaj dziś zaopiekować się Emili. Jest na farmie z Anną Henley.

- A cóż ona tam robi?

- Towarzyszy swej matce. - Maddie przygotowała sobie historyjkę, którą próbowała teraz sprzedać głosem wesołym, a przede wszystkim szczerym. - Wiesz, w domu zrobiło się straszne zamieszanie, więc postanowiłyśmy trochę odetchnąć.

- Gdzie jest Brent? - spytała ostro matka.

- Nie wiem.

- Maddie, co się dzieje? Maddie wzięła głęboki oddech.

- Odchodzę od niego, mamo - oznajmiła. - Jutro wnoszę o rozwód.

Cisza. A więc nie zaskoczyła mamy. Gdyby matka nie była na tę wieść przygotowana, powiedziałaaby coś od razu, cokolwiek, na przykład: „Nie możesz!”. Milczenie oznaczało, że opracowuje strategię. Pragnęła powiedzieć: "Oszczędź sobie, mamo. Nie uda ci się doprowadzić do tego, żebym zmieniła zdanie". Rzecz w tym jednak, że nakłonienie córki do zmiany zdania udawało się matce prawie zawsze. Oczywiście, było to w czasach starej Maddie - „dobrej dziewczynki”, a dziś świat pozna nową Maddie, uganiającą się za mężczyznami, trucicielkę męża.

- Spokojnie, dziecko. - A więc mama wybrała już strategię. - Wiem, że on nie zawsze był idealny, ale nie podejmuj pochopnych decyzji.

Nie masz pojęcia, jak bardzo nie był idealny.

- To nie jest żadna pochopna decyzja. Przemyślałam wszystko i doskonale wiem, co robię. Wynajęłam nawet prawnika.

- Boże, nie! Tylko nie Wilbura Cartera!

- Jane Henries z Limy.

- Świetnie, świetnie. Byle nie Wilbur. - Mama zdała sobie nagle sprawę z tego, co mówi, i natychmiast przeszła do ataku: - Chociaż jestem zdania, że naprawdę powinnaś jeszcze to przemyśleć. Rozwód? Maddie! Wasze pokolenie uważa wprawdzie, że to drobiazg...

- Moje pokolenie wcale tak nie uważa!

- ...ale rozwód jest rzeczą straszną. Pomyśl o Emily!

Ja właśnie myślę o Emily. Znienawidziłaby Rio od pierwszego wejrzenia.

- Mamo, wiem, co robię!

- W każdym razie nie ma powodu do pośpiechu, prawda? Nie musisz chyba rozwieść się już jutro?

Co racja, to racja, nie musi. Skoro Brent wyjeżdża do Brazylii, może się z nim rozwodzić przez lata całe.

- Nie, mamo, nie muszę. Nie będę się spieszyć.

- Tylko o to proszę.

Na razie mogę ci to obiecać - pomyślała Maddie.

- Jeśli zmienisz zdanie na temat Em, pamiętaj, że zawsze jestem gotowa ci pomóc. - Matka samym tonem głosu zdołała bezbłędnie dać odczuć, że zawsze jest tam, gdzie powinna, niosąc pomoc tym, którzy jej potrzebują. W odróżnieniu od córki, o której nie sposób to powiedzieć. - Jesteś pewna, że czujesz się na tyle dobrze, by odwiedzić babcię?

- Czuję się tak jak zawsze, kiedy odwiedzam babcię. Och, jeszcze jedno. Em ma psa!

- Co...?

- W.S. Sturgis dał jej w prezencie szczeniaka. Nie sposób ich od siebie oderwać.

- Maddie, czy ty pokazujesz się z tym mężczyzną? Maddie zamknęła oczy i postanowiła zaryzykować.

- Mamo, a czy słyszałaś, że pokazuję się z tym mężczyzną?

- No, nie... - odpowiedziała z ociąganiem matka. Co za ulga! Bailey trzyma zatem głowę na kłódkę.

- Nie sądzisz, że gdybym się z nim pokazywała, dowiedziałabyś się o tym już dawno?

- Gloria twierdzi, że siedzieliście w ogrodzie przez ładnych kilka godzin. I piliście!

- Gloria wynajęła Wilbura Cartera. Cóż to za autorytet?

- No tak, przypuszczam, że masz rację. Mówiłaś, że jak ten Sturgis zarabia na życie...?

- Nie mówiłam nic takiego, bo sama nie wiem. Muszę kończyć.

- Zadzwoń do mnie, kiedy wrócisz od babci. Na tym skończyła się rozmowa. Em siedziała przy stole naprzeciwko Maddie. Opuściła rękę, bardziej po to, by przekonać się, że Phoebe jest z nią, niż by ją pogłaskać, ale ponieważ szczeniak domagał się głaskania niemal bez przerwy, więc wykorzystała

okazję.

- Kocham Phoebe - oznajmiła.

- Wiem. Ja też bardzo ją lubię.

Em zabrała się do naleśników, ale nie spuszczała wzroku z matki.

- W.S. też lubię, wiesz?

Mama drgnęła nerwowo. Kiepsko... Na ogół była tak spokojna, że aż nudna.

- To dobry człowiek - powiedziała. - Chcesz syropu?

- A ty go lubisz?

- Jest moim starym przyjacielem. Chodziliśmy razem do liceum.

Mama podała jej syrop. Postawiła go obok talerza. Nie bardzo interesowało ją jedzenie, choć u Anny było zupełnie inne niż w domu.

- Tata też?

- Owszem. Tata, ciocia Treva, wujek Howie i mnóstwo innych osób. Byliśmy wszyscy przyjaciółmi, tak jak ty i Mel. -Mama włożyła do ust wielki kawałek naleśnika, który przygotowała sobie wcześniej. Z następnymi pytaniami trzeba będzie poczekać, aż go przełknie. A przecież zawsze kroić jedzenie na małe kawałki, bo tak jest zdrowiej. Wyraźnie chciała więc zyskać na czasie. Z tym liceum to ciekawa sprawa, warto popytać o to kiedyś. Jak to będzie, kiedy dorosną wszyscy - ona, Mel, przyjaciele, i niektórzy z nich wyjadą, a potem wrócą? Ciekawe, do kogo podobny będzie Jason Norris, kiedy już wróci do Frog Point Pewnie do Douga z ER. Przyjedzie spotkać się z nią, jak W.S. z mamą.

Mama rozprawiała się wreszcie z naleśnikiem. Em zmarszczyła brwi.

- Byliście z W.S.... no... jak chłopak i dziewczyna?

- Nie. - Tym razem w stronę Em powędrowały truskawki... i podzieliły los syropu. — Moim jedynym chłopakiem był tata. Nudne, prawda?

- Może... - Zawahała się, nie chciała zadawać tego pytania, ale przecież musiała. - Gdzie w ogóle jest tata?

Mama nagle bardzo się ożywiła.

- Cóż... Myślę, że pojechał załatwić coś dla firmy.

Em poczuła, że robi się jej zimno. Była prawie pewna, że usłyszała kłamstwo. Jakoś źle to zabrzmiało. „Załatwić coś dla firmy” - mama tak dziwnie to powiedziała.

- Em, potrzebujesz czegoś? - W kuchni pojawiła się Anna, co oznaczało koniec rozmowy na temat taty.

- Nie, dziękuję. Śniadanie było pyszne. - Bo i było, tylko ona nie miała jakoś apetytu. Nie chciała jeść, tylko dowiedzieć się wreszcie, co się dzieje.

- Jest niedziela. Jadę do prababci. - Mama ożywiła się jeszcze bardziej. -

Zostaniesz z Anną. Phoebe na pewno ucieszy się, że może sobie swobodnie pobiegać.

- W porządku.

- Anna wspomniała o cieście z truskawkami. - Mama nie dawała za wygraną.

- Świetny pomysł, prawda?

- Chyba tak.

- Będziemy się doskonale bawić - stwierdziła stanowczo Anna.

- Tylko poczekaj, aż zobaczysz naszyjnik, który kupiłam dla prababci - nie ustępowała mama. Tak bardzo jej na tym zależało, że Em po prostu musiała się poddać.

- Mogę zobaczyć?

Maddie wyjęła naszyjnik z torebki. Był rzeczywiście ohydny - czerwona szklana kula na niby złotym łańcuszku.

- Na pewno bardzo się jej spodoba. Nie włożysz nic innego?

- Nic, co podoba się mnie.

Mama wreszcie trochę się pocieszyła. Zauważywszy, że Anna przygląda się im dziwnie, pospieszyła z wyjaśnieniami:

- Moja babcia jest prawdziwą specjalistką w zabieraniu ludziom tego, co się jej podoba. Więc odwracamy jej uwagę rzeczami, które nie podobają się nam.

Prawda, Em?

Mówi tak, jakby bardzo zależało jej na mojej opinii, a przecież wcale jej na tym nie zależy, pomyślała dziewczynka. I tylko skinęła głową.

Mama ucałowała ją.

- Baw się dobrze z Anną i Phoebe - powiedziała. - I pomóż przy zmywaniu.

- Nie mów prababci o Phoebe! - krzyknęła Em. - Bo zmusi mnie, żebym ją oddała!

Anna zaproponowała, by Maddie wzięła stare kombi, uciszając opory swego gościa machnięciem ręki i słowami: „Weź je, ja przecież nigdzie się nie wybieram”. Zdumiewające znacznie lepiej człowiek czuje się, kiedy znów ma samochód. Nie to, by wielkość Frog Point czyniła posiadanie samochodu koniecznym, chodziło raczej o - dość iluzoryczną - świadomość, że w razie potrzeby zawsze można uciec. Oczywiście, Maddie nigdzie uciec nie mogła, ale miło od czasu do czasu ulec złudzeniom.

A już z całą pewnością nigdy nie uda się jej uciec od babki.

Babcia Lucille tonęła w oceanie zielonego szyfonu pod śliwkową kołdrą, w pokoju o bladeśliwkowych ścianach, wyglądając jak karykatura skandalistki, którą kiedyś była. Przycięte na pazia nienaturalnie czarne, błyszczące niczym pasta do butów, włosy otaczały chudą, bladą twarz, w której czas ulitował się tylko nad oczami: czarnymi, małymi, sprytnymi, o spojrzeniu twardym jak stal. W tym pokoju Maddie dowiadywała się raz za razem, a okazji było z tysiąc, że nie

odziedziczyła bo babce żadnych, jakże pożądaných, cech charakteru: pięknej twarzy, dzielnego ducha, odwagi mówienia prawdy w oczy. Ten brak genetycznego pokrewieństwa niezbyt ją martwił, jako że babcia bardzo dawno temu stała się bolesnym wrzodem na tyłku rodziny. „Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jaka była w czasach, kiedy ja dorastałam” -powtarzała

mama, gdy Maddie była dziewczynką. „Upokarzała mnie! Ja nigdy tak nie postąpię wobec ciebie”.

Patrząc teraz na babcię. Maddie wzniosła do nieba ciche podziękowanie za mamę i postanowiła twardo, że ona też nie dopuści do tego, by stać się przyczyną skandalu. Nie zrobi tego Emily.

Cechy genetyczne mają jednak to do siebie, że mogą ujawniać się w co drugim pokoleniu, prawda? Maddie już ma na koncie W.S. i Point. Jeśli dalej pójdzie tą drogą, nieodwołalnie wkroczy na ścieżkę życiową babci. Musi więc ściągnąć wodze! Zrobi to, tylko niech skończy się ta wizyta. Ignorując zwyczajowe uwagi - „wyglądasz na swoje lata”, „tyjesz” i tak dalej - przeszła przez pokój i rozsunęła śliw-

kowe zasłony ze sztucznego lnu, zasłaniające drzwi na mały balkon.

- Za dużo światła - poskarżyła się natychmiast babcia. - To mi źle robi na skórę. Tobie też, ale ty to beznadziejny przypadek.

Maddie zasłoniła drzwi do połowy. Kompromis. Gdyby zasłoniła je całkowicie, usłyszałyby, że w pokoju jest za ciemno.

- Jak się czujesz, babciu? - zaświergotała, siadając przy łóżku.

- Mam dziewięćdziesiąt lat, więc jak myślisz, jak mogę się czuć? - warknęła babcia.

Maddie miała już na końcu języka uwagę: „skończyłaś osiemdziesiąt trzy lata”, ale zrezygnowała z wygłoszenia jej. Kłótnia z babcią miała mniej więcej tyle sensu co prowadzenie konwencjonalnej wojny z Chinami.

- Mam nadzieję, że dobrze. Wyglądasz wspaniale.

- Tylko dlatego, że nie łączę po dworze i nie wysiaduję na słońcu jak ludzie, których dobrze znam, jak ta Janet Biedeme-er z sąsiedniego pokoju! - Babcia usiadła na łóżku. - Koszmar, po prostu koszmar. Wygląda jak walizka z krokodylej skóry. Gdyby jej dorobić rączkę, przyjęliby ją na bagaż! A przysięgam, jest dwadzieścia lat młodsza ode mnie! Jeśli kła... - Przerwała, spojrzęła na wnuczkę. - Co ci się, do diabła, stało?!

A jednak zauważyła. Maddie stłumiła westchnienie.

- Wpadłam na drzwi. To nic poważnego.

- Ha! - Staruszka opadła na poduszki, zachwycona. - Pobił cię, prawda?

Zawsze mi na takiego wyglądał.

- Nie, babciu. - Maddie udawała szczerą najbardziej przekonująco, jak potrafiła. - Brent mnie nie bije. Potknęłam się i uderzyłam o otwarte drzwi.

- Jasne. Stąd te cięcia na policzku od jego sygnetu. - Maddie drgnęła. —

Świetnie, teraz wiem, że mnie wysłuchasz. Jeśli potrzebujesz pomocy, trafiłaś pod właściwy adres. Ja też obrywałam. No więc powinnaś postąpić tak...

- Dziadek nigdy cię nie uderzył! - Maddie rozżłościła się tak, że zapomniała o dyplomacji. - Nie wierzę ci. Powinnaś się wstydić...

- Przecież nie mówię o dziadku! - przerwała gniewnie staruszka. - Nie tknął mnie nigdy. - Skrzywiła się, jakby irytował ją ten fakt. - Chodzi o mojego pierwszego męża.

- Co...? Myślałam, że dziadek był twoim jedynym mężem.

- Nie. - Babcia z radością zanurzyła się w przeszłość. - Pierwszym był ten dureń Buck Fletcher.

Maddie z trudem zachowała powagę.

- Wysłaś za kogoś imieniem Buck?

- To i tak o wiele lepsze niż Brent. Świat szedł na psy, kto słyszał o takim imieniu!

Nie daj się wciągnąć w kłótnię! Rozmawiaj jakby nigdy nic.

- Nie potrafię uwierzyć, że byłaś dwukrotnie zamężna, a nikt mi o tym nie wspomniał.

Stara kobieta wzruszyła ramionami.

- Zmarł na długo przed twoim urodzeniem i nie opłakiwałam go, możesz mi wierzyć. - Zaśmiała się i wznowiła atak. - W ogóle nie umiesz używać makijażu, moje dziecko.

- Dziękuję, babciu. - Temat Bucka, tajemniczego pierwszego męża, obiecywał sporo rozrywki, ale jak się okazuje, ograniczał się do bicia żony, o czym w tej chwili Maddie nie chciała rozmawiać. - Przyniosłam ci czekoladki. - Pochyliła się, podając pudełko. Czerwony wisiołek błysnął zachęcająco.

- To miłe. - Była to odpowiedź automatyczna, staruszka już otwierała złote pudełko. - Esther Price. Dobrze. - Jednym ruchem zerwała wstążkę. - Bardzo małe to pudełko...

- W przyszłym tygodniu przywiozę nowe. Zawsze przywożę.

- Dobra z ciebie dziewczynka. - Na pierwszy ogień poszedł żółt z mlecznej czekolady. Kolejny odrażający zwyczaj: zawsze najpierw brała żółtvia i pluła orzechami, gdzie popadnie. Pierwszy przeleciał przez pokój, nim Maddie zdołała się odezwać. - Pyszne. Ładny wisiołek.

- Ten...? - Ujęła w dłoń czerwoną szklaną kulę. - Biżuteria rodzinna Faradayów. - Jak tu udać, że za żadną cenę nie chcę się z nim rozstać? - Mój ukochany naszyjnik. Nigdy...

- Niedługo już będę z wami. - Babcia z dramatycznym westchnieniem opadła na poduszki, nie wypuszczając pudełka czekoladek z jednej dłoni, a nadgryzionego żółtvia z drugiej. - Jestem stara.

„Bez żartów” - chciała powiedzieć Maddie, lecz zacisnęła wargi i przybrała współczujący wyraz twarzy.

- Wcale nie wyglądasz staro - skłamała. - Trzymasz się nawet lepiej niż ja. - No, biorąc pod uwagę podbite oko, to stwierdzenie mogło mieć nawet pozór prawdopodobieństwa.

- Mogę umrzeć w każdej chwili, w każdej chwili... - Nie dojezdzony żółt wrócił do pudełka, szponiasta dłoń staruszki powędrowała do piersi.

- Tylko nie to, proszę! Co mogę dla ciebie zrobić?

- Ten naszyjnik świetnie pasowałby do mojej nocnej koszuli. - Staruszka poklepała fałdy zielonego szyfonu.

Czerwone szkło wyglądałoby upiornie w tym morzu bladej zieleni, w czym

zresztą niczym nie różniło się od babci.

- No, nie wiem... Należał do marki Brenta.

- Tej kobiety! - Babcia zupełnie zapomniała, że lada chwila grozi jej śmierć. - Helena Faraday ani razu w życiu dobrze się nie ubrała! - Prychnęła, lecz przypomniawszy sobie rolę staruszki stojącej nad grobem, natychmiast osłabła. - Z pewnością nie miałyby do ciebie żalu, gdybyś pożyczyła naszyjnik umierającej babci. W końcu... - zawahała się - ...kiedy odejdę, ty wszystko po mnie odziedziczysz.

- Cóż, jeśli ma ci to przedłużyć życie... - Jak na jedną wizytę, dość już konkurencji zrobiła Sarze Behrhardt.

Podala babci naszyjnik, a ona zwinnym gestem zawiesiła go na swej szyi i powróciła do masakrowania żółwia.

- Już wyglądasz lepiej, babciu... - Poderwała się z krzesła.

- Siadaj! - Głos staruszki, o dziwo, był mocny, a ton władczy. - Nie opowiedziałam ci przecież jeszcze, co u nas słychać.

Maddie usiadła, zrezygnowana, patrząc tęsknie na czekoladki. Jeśli ma słuchać o skandalach w domu opieki, powinna mieć jakąś pociechę, ale gdyby spróbowała się poczęstować, czcigodna staruszka pewnie złamałaby jej rękę.

- Mickey Norton znów się obnaża. - Nadgryzionego żółwia zastąpiła inna czekoladka. - Abigail Rock, ona mieszka dwa pokoje dalej, strasznie się zdenerwowała, choć Mickey próbuje się powstrzymać. A ten Ed Keating z ostatniego pokoju w ogóle już nie wstaje z łóżka. To straszne, co wiek robi z mężczyznami.

- No, nie wiem - Maddie pomyślała o W.S. - Na niektórych dobrze wpływa.

- Na przykład na twojego męża, co?

- Naprawdę muszę już lecieć...

- Siadaj!

Teraz przyszła kolej na wszystkie skandale, które starej damie udało się pozbiierać przez tydzień. Na szczęście, mówiła jednym ciągiem, bez wytchnienia, więc zakończyła opowieść w pół godziny.

- A teraz ty! - westchnęła. - Tylko spójrz na siebie, całą w siniakach. Przecież wszyscy tu wiedzą, że jesteś moją wnuczką. Co za skaza na nazwisku! - Zmartwiła się na chwilę, ale zaraz sięgnęła po kolejną czekoladkę.

- Twoje nazwisko nie ma tu nic do rzeczy — zaprotestowała Maddie. - Chodzi o Brema. Pokalał rodzinę Faradayów albo Martindale'ów. Trzeba byłoby cofnąć się o trzy pokolenia, żeby wplątać w to i Barclayów.

- A myślisz, że ludzie się nie cofną? - prychnęła babka. Prawda! Dla mieszkańców Frog Point trzy pokolenia to mniej niż dzień.

- Masz racje. Przykro mi z powodu tego podbitego oka. Nie powinnam tu przyjeżdżać. Z następną wizytą zaczekam, aż się zagoi.

- Ha! Myślisz, że nie zwrócą uwagi na to, że nie przyjechałaś? Masz tu być za

tydzień, jak zwykle. Tylko naucz się skuteczniej używać makijażu. Co za skandal!

Maddie wstała.

- Siadaj!

- Naprawdę, muszę już iść. Przyjadę za tydzień, obiecuję. -Przesuwała się ku drzwiom powoli, chyłkiem, by staruszka nie zauważyła, że po prostu ucieka. - Do widzenia.

- Za tydzień nie będzie mnie już wśród żywych. - Los dwóch pierwszych podzieliła trzecia czekoladka, z orzechem na wierzchu.

- Wspaniale wyglądasz z tym wisiorkiem. - Maddie zamknęła za sobą drzwi. Kiedy puszczała klamkę usłyszała, że odbija się od nich orzech.

Gdy podjechała pod dom, zobaczyła, że tylne drzwi są otwarte.

Z kluczem w ręku zatrzymała się na ganku, wpatrując siewnie z tępym niedowierzaniem. Owszem, otwierały się same, jeśli się ich nie zatrzasnęło, ale przecież ona sama zamknęła je na klucz!

Brent...

Popchnęła drzwi dłonią, a kiedy otworzyły się na całą szerokość, weszła do środka. Powoli i ostrożnie.

Wszystko wyglądało normalnie. Może jednak zapomniała zatrzasnąć kuchenne drzwi? Ale przecież pamięta, że pchnęła je mocno i z pewnością przekręciła klucz w zamku!

- Brent! - zawołała. Jej głos drżał lekko.

Położyła torebkę na kuchennym blacie i przeszła do dużego pokoju. On też wyglądał zupełnie normalnie... z jednym wyjątkiem. Biureczko. Wszystkie szuflady wsunięte były odrobinę krzywo, niestarannie. Przeszukała je dokładnie.

Klucz od depozytu bankowego zniknął.

Brent przyszedł właśnie po ten klucz. I po Em. Wróci w nocy zabrać ją...

Trzeba mu w tym przeszkodzić.

Z telefonu w holu zadzwoniła na komisariat

- Nie jestem pewna, ale ktoś chyba włamał się do mojego domu - oznajmiła dyżurnemu.

Policja przyjechała niebawem, obsypała biureczko białym proszkiem, lecz znalazła tylko odciski palców Maddie.

Funkcjonariusze zaczęli zadawać pytania, na które Maddie nie potrafiła odpowiedzieć („nie mam pojęcia, jak włamywacz może wykorzystać klucz do naszego depozytu bankowego"). Policjanci zachowywali się raczej sceptycznie, dopóki nie powiedziała: „Czy moglibyście obserwować dom dziś w nocy? Boję się". W jej głosie rozpoznali chyba prawdziwy strach, bo obiecali, że przed domem stanie radiowóz.

Jeśli uda się jej utrzymać męża z dala od domu przez tę noc, będzie mogła zabrać się do sklejenia swego życia.

A najlepiej byłoby, gdyby Em zgodziła się pozostać na farmie.

Może to chyba zrobić dla matki?

Kiedy policjanci odjechali, ponownie sprawdziła dom, szukając śladów wizyty Brenta, co nie było proste, bo na ślady jego obecności natykała się na każdym kroku - w końcu tak długo mieszkali pod jednym dachem.

Magazyny, buty, w których chodził do pracy, jakieś drobiazgi... Ma wynieść się z jej życia całkowicie i na zawsze, nie później niż dziś! Najwyższy czas! Wyciągnęła z garażu kilka kartonowych pudeł i zaczęła pakować jego rzeczy.

Trzy godziny później dotarła do szafy w sypialni. Otworzyła ostatnie dwa pudła i zaczęła wkładać do nich ubrania, nie facygując się ich składać.

Zauważyła pewne braki w garderobie - znikła ulubiona bawełniana koszula Brenta, dzinsy, letni garnitur, buty do gry w kręgle. Zaczął wyprowadzkę, pomyślała, ściągając rzeczy z wieszaków. Zdążył zabrać to, co mu było najpotrzebniejsze. Skończywszy pakowanie ostatniego pudła, wyniosła je do garażu, gdzie dołączyło do reszty majątku osobistego jej męża. Pozostało jeszcze usunąć wszystkie te sportowe śmieci, schowane na dnie szafy.

Kij baseballowy odłożyła na bok; jeśli Brent zdecyduje się wrócić; przyda się jak znalazł, by wbić mu rozum do głowy. Sukinsyn zdążył się spakować!

Wiedziała, że zamierza ją porzucić, ale fakt, że robi to ukradkiem, doprowadził ją do białej gorączki. Wyszarpnęła z szafy jego torbę golfową, torba przewróciła się, rozsypały się kije. Co za pechowy dzień!

Postawiwszy torbę, próbowała wsunąć kije do środka, ale z jakiegoś powodu nie chciały się zmieścić. Musiała wyjąć wszystkie, po czym odwróciła torbę, by sprawdzić, co utkwilo na dnie. Potrzęsnęła nią i na podłogę wypadła paczuszka.

Maddie usiadła na łóżku i przez dłuższą chwilę po prostu się na nią gapiała.

Bóg jeden wie, co w niej jest. Pornografia? Kokaina? Nie zdziwiłaby się nawet, gdyby były to prochy. Po tym, co przeszła, nic nie było już w stanie jej zaskoczyć.

W paczce jednak były pieniądze - cztery pliki studolaro-wych banknotów, razem czterdzieści tysięcy dolarów. Zupełnie jak banknoty z „Monopolu”, tyle że prawdziwe.

- Coś ty zrobił, człowieku? - powiedziała głośno, myśląc jednocześnie:

Przygotowywał się do ucieczki.

Z osłupienia wyrwał ją hałas - ktoś walił w drzwi wejściowe. Pieniądze ukryła pod materacem, opaski wrzuciła do śmieci i zbiegła na dół.

- Co zajęło ci tyle czasu? - spytał od progu W.S. - Bałem się, że umarłaś. -

Zabrzmiało to jak żart, ale nie do końca.

- Myślałam.

- Przestrzegałem cię przed tym. - Wszedł, ujął palcami jej brodę i podniósł głowę do światła. - Trochę lepiej to wygląda. Odrobinę.

- Kim ty właściwie jesteś? Z zawodu?

- Księgowym. Em nadal przebywa na farmie, prawda?

- Tak... - Maddie nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Pocałował ją i nie mogła już mówić. Czowała ciepło jego warg, czowała obejmujące ją silne ramiona. Oparła się na nim, pragnąc przedłużyć pocałunek, czowała się naprawdę dobrze, a już prawie zapomniała, jak to jest. Choć z przekonaniem wygłaszała mowy o konieczności czekania, jeśli chcą uniknąć skandalu, bardzo go pożądała. Ciężko być rozsądnym komuś, kto marzy o tym, by przyjąć tryb życia lekkomyślnej babki.

Przsunęła dłonie z jej ramion na plecy i niżej. Cofnęła się w samą porę, by nie wpaść w naprawdę poważne kłopoty.

- Przestań! Ktoś może nas podejrzeć przez okno. W.S. wciągnął ją do dużego pokoju.

- Potrzebujemy paru chwil samotności. Henry powiedział mi, że zgłosiłaś włamanie.

Maddie próbowała przypomnieć sobie, co działo się przed pocałunkiem.

- Jesteś księgowym? Ty...?

- Czy to coś złego być księgowym?

- Skądże! Tylko ty mi na takiego nie wyglądasz. - Zastanawiała się przez chwilę. - W ogóle nie wyglądasz na kogoś, kto ma porządną stałą pracę.

- Dziękuję ci bardzo za komplement. A co do włamywacza...

- Dlaczego tak interesuje cię włamywacz?

W.S. spojrzał na nią na pół z rozpaczą, na pół z gniewem.

- Jakiś bandyta włamuje się do domu kobiety, którą kocham, a ona się dziwi, że mnie to interesuje?!

Maddie pominęła tę „kobietę, którą kocham”. Nie to było w tej chwili najpilniejsze.

- Być może nie był to wcale bandyta. To znaczy taki zwykły bandyta.

Zamknęłam drzwi na klucz. Ktoś, kto je otworzył, albo był zawodowym włamywaczem, albo... miał klucze.

W.S. wstał. Niewątpliwie go to zainteresowało.

- A kto ma klucze?

- Moja mama, Treva i Brent.

- Obstawiam tego ostatniego.

- Ja też. - Maddie skinęła głową.

- Czego szukał?

- Wczoraj byłam w banku. Zajrzałam do naszej skrytki.

- Mów dalej. - W.S. wydawał się spięty, zainteresowany bardziej, niż wynikałoby to z sytuacji.

- Znalazłam w niej dwa bilety lotnicze do Rio i dwa paszporty.

- Ho, ho! Planuje ucieczkę, co?

- To chyba jasne. Rezerwacje zrobił na poniedziałek. Jeden paszport jego, a drugi... Em. W.S. skrzywił się i syknął.

- To musiał być dla ciebie niezły szok.

- Zabrałam paszport Em i podałam na strzepy. Być może Brent wrócił, by go

poszukać. I klucz do skrytki gdzieś znikł. -Pomyślała o ubraniach spakowanych w pudła. - A z nim, mam nadzieję, i Brent.

- Miejmy taką nadzieję. - W.S. pochylił się i pocałował ją tak zmysłowo, że aż zadrżała.

- Lubie, kiedy to robisz - szepnęła.

- Doskonale. Będę to robił zawsze. - Znów ją całował, mocniej, dłużej. Maddie doznała przyływu pożądania.

W tym momencie trzasnęły drzwi samochodu.

- Co za miasto! - jęknął W.S. Odchylił się, spojrzął przez okno. - Nie, to nie twoja mama, tylko jakaś wypełzła blondynka. Sąsiadka.

Maddie żałowała, że wypuścił ją z objęć, lecz jednocześnie poczuła ulgę.

- Gloria. Moim zdaniem z nią też Brent sypiał.

- Jezu, dlaczego?!

- Zawsze mówisz to, co chcę usłyszeć. W.S. ruszył w kierunku wyjścia.

- Zostań tu - polecił. - Drzwi zamknij na łańcuch. - Pogadam z Henrym, niech wie, że powinien pilnować waszej skrytki bankowej.

- Hej! - krzyknęła za nim. - Nie spieprzcie tego. Chcę, żeby Brent na zawsze wyniósł się z mojego życia!

- No, to jest nas dwoje. - W.S. odwrócił się w progu. -Mnóstwo ludzi wolałoby jednak, żeby nigdzie się teraz nie wynosił, tylko został i wyjaśnił kilka spraw. Jeśli potrafi to zrobić, wszystkim zainteresowanym będzie się wygodniej żyło.

- W.S., dzieje się coś, o czym nie wiem, prawda?

- Nie mnie pytaj. Ja tu jestem obcy. - Pocałował ją na pożegnanie, mocno i długo, ale kiedy się od niej oderwał, zerknął nerwowo przez ramię. I znikł, nim zdążyła zadać pytanie.

Śledziła wzrokiem oddalający się samochód. Co się odwlecze, to nie uciecze, przyjacielu, pomyślała. Jestem kobietą, znam sposoby skłonienia mężczyzn do mówienia. Nawet ciebie. Tylko że muszę przestać zachowywać się jak nastolatka zakochana w gwiazdorzce filmowym.

Wróciła do sypialni i jeszcze raz przeliczyła ukryte pod materacem pieniądze. Czterdzieści tysięcy dolarów. Dlaczego Brent nie zabrał ich wczoraj w nocy? Przecież będzie musiał po nie wrócić. Zapomniał czy co?

A jeśli to nie on zabrał klucz?

Nie, to bez sensu. Kto oprócz niego mógł zrobić użytek z klucza do skrytki? Wynoś się! - pomyślała. Wynoś się z mojego życia. I nagle przypomniała sobie o środkach przeciwbólowych rozpuszczonych w winie. Być może sama wyniosła go ze swojego życia. Na marach. O, cholera!

Schowała pieniądze pod materacem. Złapała torebkę. Od apteki dzieliło ją zaledwie półtora kilometra. Zdaży przed zamknięciem.

Pokazała aptekarzowi z Reveo butelkę po tylenolu.

- Czy to lekarstwo jest niebezpieczne? Mam na myśli przedawkowanie.

Powiedzmy, że ktoś zażyje siedem pastylek.

Aptekarz wygłosił referat o niebezpieczeństwie kryjącym się w nieprzestrzeganiu zaleceń lekarza i w niewłaściwym dozowaniu leków, po czym stwierdził, że siedem pastylek nie mogło wywołać nieodwracalnych skutków.

- Mogły jednak spowodować błędną ocenę rzeczywistości i nadmierną senność - powiedział. Spojrzał na nią surowo. - Nie wolno przekraczać zaleconych, dawek. To bardzo niebezpieczne.

- Całkowicie się z panem zgadzam - odparła Maddie i ucieszyła się szczerze, bo teraz wiedziała przynajmniej, że nie jest morderczynią.

Gdyby ktoś ją pytał, stwierdziłaby, że Brent stale błędnie oceniał rzeczywistość, a spać musi każdy. Kupiła nowy tylenol, który farmaceuta sprzedał niechętnie, podejrzliwie się jej przyglądając, i wróciła do domu, by dokończyć zbożne dzieło wyrzucania rzeczy Brenta na bruk. Jeśli kiedyś się spotkają, powie mu: „Przespaałeś własną wyprowadzkę, kochanie”.

Resztę jego rzeczy, łącznie z torbą golfową oraz pieniędzmi, także zaniosiła do garażu. Jeśli uzna, że coś z tego przyda mu się w Rio, niech sobie zabierze, a co tam!

Właśnie zamykała garaż, kiedy przed domem zatrzymał się samochód, najnowszy model forda. Kobiety, która z niego wysiadła, Maddie nie widziała nigdy przedtem; była ładna, miała bystre oczy i rude włosy, a więc to nie najnowsza zdobycz Brenta, ale z pewnością zwiastowała kolejne nieszczęście. Jakaś wcześniejsza kochanka? Ktoś, kogo Brent oszukał? Żona W.S., do której ten nie chciał się przyznać? To ostatnie wydało się jej najgorsze, aż skrzywiła się na tę myśl,

zachowała jednak spokój i pozornie beznamiętnie przyglądała się nadchodzącej kobiecie.

- Kończy pani wyprzedaż? - spytała przybyła. Maddie spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Przepraszam, nie zrozumiałam.

- Jest niedziela. Ludzie na ogół kończą wyprzedaże w niedzielę. Wtedy jest taniej. - Cofnęła się o krok, rozejrzała dookoła. - Przepraszam panią bardzo, ale chyba się pomyliłam.

- Wyprzedaż... - powtórzyła Maddie w zadumie i gwałtownym szarpnięciem uniosła drzwi garażu. - Jasne! Ale mam tylko męskie ubrania. I trochę akcesoriów sportowych. - W ostatniej chwili przypomniała sobie o czterdziestu tysiącach dolarów. - Z wyjątkiem torby golfowej.

Kobieta spojrzała na nią z zainteresowaniem.

- Jaki rozmiar ubrań?

Niewykлучzone, że nie było to zupełnie w porządku - sprzedawać rzeczy męża komuś zupełnie obcemu, ale przecież ten mąż powinien chyba pomyśleć o żonie, kiedy czyścił konto

bieżące i oszczędnościowe. Musiała z czegoś żyć, a Brent zostawił ją bez grosza przy duszy.

- Przeważnie ekstralarge. Ile jest pani skłonna wydać?

W dziesięć minut później klientka odjechała ze sporą częścią rzeczy osobistych Brenta. Maddie wróciła do sypialni. W pustej szafie rozwiesiła swoją garderobę, do opróżnionych szuflad wrzuciła bieliznę. Skończywszy, uznała, że od tej chwili jest to jej sypialnia.

Być może powinna czuć się winna, ale nie czuła się tak. Czuła się za to wolna. Rozejrzała się dookoła. Nienawidzę tego domu! - pomyślała. Wyprowadzę się. Jest obrzydliwy. A już szczególnie obrzydliwe były śliwkowe zagłówki na łóżku. Brent je wybrał. Precz z nimi!

Znalazła śrubokręt, odkręciła śruby, zdjęła zagłówki i wyniosła je do garażu.

- Czy to wasze łóżko? - spytała Gloria, która w zdumieniu przyglądała się jej z ganku.

- Wiosenne porządki - odparła beztrąsko Maddie. Popatrzyła na sąsiadkę, pomyślała: wampir? i wróciła do domu, gotowa do walki z wszelkimi zagrożeniami, które miałyby się dziś ujawnić.

Brenta nie było w firmie, gdy W.S. do niej przyjechał, ale mimo niedzieli w biurze zastał Howiego.

- Pracujemy siedem dni w tygodniu, co? - przywitał go, kiedy Howie - dokładnie taki jak w szkole: spokojny, solidny, przyzwoity, tyle że łysy - otworzył drzwi i zaprosił go do środka.

- Marzyłem o spotkaniu z tobą - powiedział.

- Szukam Brenta...

- Zszedł do podziemia - przerwał mu Howie. - Możesz dać sobie z nim spokój. Chciałbym, żebyś zajrzał w nasze księgi.

- Chyba żartujesz? - zdziwił się W.S., idąc za nim do biura. - Ganiam za Brentem od trzech dni właśnie po to, żeby uzyskać od niego pozwolenie na wgląd w wasze księgi.

Komputer był włączony, a biurko zaścieniały stosy wydruków.

- Za cholerę by ci na to nie pozwolił - rzekł Howie, wskazując gościowi fotel. Sam usiadł za biurkiem. - Oszukiwał. Wiem, że oszukiwał, tyle że nie umiem znaleźć na to dowodów.

- A więc Sheila ma rację - skonstatował W.S., przysuwając się bliżej biurka. - Co do mężczyzn nie wypowiadam się, lecz jeśli chodzi o pieniądze, instynkt nigdy jej nie zawodzi. Co masz?

- Burdel - westchnął Howie. - Brent zajmował się transakcjami i prowadzeniem ksiąg, a ja planami i budową. Wszystko szło jak w zegarku do zeszłego roku, kiedy okazało się, że sprzedajemy więcej, ale zarabiamy mniej.

- Aha...

Howie skinął głową.

- Potem skarżyła się na nas Dottie Wylie. Sprzedaje właśnie dom, który zbudowaliśmy dla niej w zeszłym roku. Myślałem, że Brent obniżył cenę,

choć to do niego niepodobne, zawsze je śrubował. Ten dom był wart dwieście tysięcy, a poszedł za sto osiemdziesiąt. W.S., spojrzął na niego. Oczy mu się zwęziły.

- To dlaczego Dottie się skarży?

- Opowiadała wszystkim, którzy chcieli słuchać, że na tym straci. Żądała dwustu dziesięciu tysięcy. Poszedłem porozmawiać z nią i pokazała mi papiery. - Howie zgarbił się, opuścił głowę. - Ma rację. Zapłaciła dwieście dwadzieścia.

- Czyli z jednego domu nasz stary przyjaciel Brent zgarnął czterdzieści tysięcy. Jezu, facet musiał kantować wszystkich dookoła!

- I teraz, dzięki Dottie, wie o tym całe miasto, — Howie potarł czoło bezradnym gestem.

- Ale jeśli tak to wygląda, po co Stan kupuje udziały firmy? - zdziwił się W.S.

- Jakiej firmy?

- Waszej. Kupił połowę połowy Brenta za dwieście osiemdziesiąt tysięcy. Sheila dostała szału na wieść o tym. Howie wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Przecież Brent nie ma połowy firmy, tylko ćwiartkę. Jak ja. Druga połowa należy po równo do Trevy i Maddie.

- Sprzedał swoją ćwiartkę? Howie spojrzął mu prosto w oczy.

- Uciekł. Sprzedał, tyle że nie miał prawa tego zrobić. Z umowy wynika, że ofertę sprzedaży musi złożyć najpierw nam. Cała ta transakcja jest nielegalna.

- Potrzęsnał z niedowierzaniem głową. - A co na to Maddie?

- Hmm... Nie jestem pewien, czy w ogóle o tym wie. Jej zdaniem Brent rzucił ją dla innej kobiety, ale od razu widać, że musi tu być coś więcej. Ona wciąż nie puszcza farby. -W.S. siedział zgarbiony w fotelu; rozmowa na ten temat nie sprawiała mu przyjemności. - Nie chce, żebyśmy ustawili kogoś przed bankiem, gdzie ma skrytkę, nie chce, żebyśmy zatrzymali Brenta w mieście.

- O to akurat trudno mieć do niej pretensje - zauważył Howie. - Gdybym to ja ożenił się z Brentem, pewnie też marzyłbym teraz wyłącznie o tym, żeby uciekł jak najdalej. Dwa dni temu opowiadał mi, jak to nienawidzi Frog Point, nie chce być tym Faradayem, nie chce kandydować na burmistrza. Wygląda na to, że znalazł wreszcie sposób na rozwiązanie wszystkich swoich problemów naraz.

W.S. miał ochotę uśmiechnąć się, lecz powstrzymał się siłą woli. Wszystko wskazuje na to, że Em jest już bezpieczna, Maddie wolna i obie tylko na niego czekają.

- Dobry, stary Brent. Nie do wiary, że ten głupi baran zrobił wreszcie coś, co naprawdę mi się podoba.

- A mnie nie. - Howie wymierzył palec w ekran komputera zapełniony cyframi. - Podobno jesteś księgowym. A właśnie księgowego potrzeba mi teraz najbardziej.

- Co za zbieg okoliczności! - ucieszył się W.S. - Mnie z kolei najbardziej teraz

potrzeba domu.

Howiemu opadła szczęka.

- Tu? We Frog Point?

- Owszem, choć mnie samego to dziwi. Pozwól mi zawiadomić Sheilę, że ktoś wykiwał tego jej Stana na przeszło ćwierć miliona, a potem spokojnie sobie porozmawiamy.

* * *

Em zadzwoniła z farmy w pół godziny po tym, jak Maddie doprowadziła do porządku dom.

- Phoebe i ja chcemy wracać - oznajmiła głosem, w którym pobrzmiwała histeria. - Chcę zobaczyć tatę!

- Nie wiem, czy tata wróci na noc do domu. Może lepiej zaczekać...

- Chcę wrócić do domu! - krzyknęła Em. Maddie musiała się poddać,

- Przyjadę po ciebie za godzinę. Poczekaj.

Em chce wrócić do domu, więc wróci do domu. Musi jednak być bezpieczna.

W.S. zapewniłby jej bezpieczeństwo, ale nie

może zostać tu na noc. Jak więc sobie poradzić? Czy wystarczy policyjny radiowóz przed domem? Głowa znów ją rozboleła.

Rozważała wszelkie możliwości rozwiązania problemu, kiedy zadzwoniła Treva.

- Maddie? Ktoś się do ciebie włamał wczorajszej nocy?

- Skąd...?

- Howie rozmawiał z W.S. Nic ci nie jest?

- Nie, nic. - Maddie spojrzała na siebie w lustrze. Nie da się ukryć, coś jej jest.

Twarz wyglądała strasznie, siniak żółkł na brzegach. - Nic mi nie jest - zapewniła przyjaciółkę.

- Howie mówi, że W.S. bardzo się o ciebie martwi. On uważa, że ten facet myśli o tobie poważnie.

- Zapomnij o nim na chwilę. Mam problem. Obawiam się, że Brent będzie usiłował zabrać mi Em.

- Co to znaczy? Boże! Chce ją porwać?

- Wygląda to bardzo niedobrze. Muszę znaleźć jej bezpieczne schronienie na jeszcze jedną noc. Wczoraj pojechałyśmy na farmę Henleyów, ale ona nie chce tam zostać. Nie widziała Brenta od przedwczoraj i jest przerażona. - Głos Maddie zdradzał zdenerwowanie.

- Ja zresztą też, ale z innych przyczyn.

- Przyjedziemy do ciebie. Wszyscy - zaproponowała Treva. — W takim tłumie nic jej nie zrobi

- Przecież nie zastaniecie na noc!

- Zastanowimy się, co robić. Jedziesz po nią, prawda? Spotkamy się, kiedy wrócisz do domu. Dzieciom powiemy, że zapraszamy je na pizzę. Kupią to z

pewnością.

Maddie oparła się o ścianę. Właśnie zyskiwała kolejne kilka godzin spokoju.

- Jestem twoją dłużniczkę, Trevo - powiedziała słabym głosem.

- Nic z tych rzeczy! - odparła stanowczo przyjaciółka. - Nie bredź! Słuchaj, właściwie to zadzwoniłam, żeby spytać, czy nie potrzebujesz przypadkiem pomocy przy tej kasetce z biurka Brenta.

Listy... Dziecko Kristie...

- Nic mnie to nie obchodzi - stwierdziła Maddie, starając się, by jej głos zabrzmiał zupełnie obojętnie, bo inaczej Treva mogłaby nabrać podejrzeń. - Chyba to prostu wyrzucę.

- Poczekaj! Może tam być coś, co przyda się firmie. Przyjadę, zabiorę kasetkę i spróbuję ją otworzyć.

Maddie zmarszczyła brwi.

- Prościej będzie, jeśli dam ci ją wieczorem. Nie jest to chyba najważniejsze, Trevo.

- Oczywiście. Nie przejmuj się. To na pewno nic ważnego.

- Jasne. - Maddie odwiesiła słuchawkę. Co też przyjaciółka spodziewa się znaleźć w tej kasetce?

Bo przecież... przecież i ona ma klucze do tego domu. I wie o włamywaczu... Dlaczego W.S. miałby spotykać się dziś akurat z Howiem? Jeśli zaś nie spotkał się z nim, to skąd Treva dowiedziała się o włamaniu? A może to ona jest włamywaczką? Nie zapytała nawet, czy coś zginęło...

Nie! Maddie potrząsnęła głową. To po prostu idiotyzm! Treva jest jej najlepszą przyjaciółką. W.S. chroni ją jak najlepiej potrafi. Zaraz zacznie rzucać podejrzenia na przykład na mamę. Zapomnij o wszystkim i zajmij się kolacją! - nakazała sobie. Zamówiła trzy duże pizze, dwie deluxe i jedną wegetariańską. Na ósmą.

Wyszła na podwórko. Nim wsiadła do samochodu, zamknęła garaż z nadzieją, że pani Crosby nie zauważyła jej poczynań, polegających na wyniesieniu pudeł do garażu, gdzie cała ulica może je sobie dokładnie obejrzeć.

Zaczynało się zmierzchać. Do krawężnika podjechała pół-ciężarówka.

Rozpoznała wysiadającego z niej kierowcę. Stan Sawyer. Nie Brent, i bardzo dobrze. Nie liczyło się nic poza tym, że nie był to Brent.

- Maddie...?

- Cześć, Stan. - Próbowała przywitać go tak serdecznie, jak tylko potrafiła, ale ton jej głosu zdradził chyba, że najbardziej ze wszystkiego chciała spytać: „A co ty, do cholery, tu robisz?”, bo Stan zatrzymał się i niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- Czy... czy Brent jest może w domu?

- Nie. Poprosić go, żeby zadzwonił do ciebie, gdy wróci?

- Miałem się z nim spotkać wczoraj rano, ale nie przyszedł. Muszę z nim porozmawiać jak najszybciej. Natychmiast.

Stan zrobił krok w jej kierunku i Maddie nagle poczuła się niepewnie, co było bardzo niemądre. W końcu znajdowali się we Frog Point. Stan nic nie mógł jej zrobić. Jego przybycie obserwowano z pewnością ze wszystkich okolicznych domów.

- Jesteś pewna, że go nie ma? - dociekał.

Howie zaraz tu będzie. Pewnie wie to samo co Brent. Albo i więcej.

- Nie. - Stan znów się zbliżył. - Moim zdaniem Brent wszystkich kantuje.

Jestem przekonany, że zwiął.

No to jesteśmy tego samego zdania, pomyślała Maddie. Ale z tobą to ja na ten temat nie będę rozmawiać.

- Nic o tym nie wiem - powiedziała i odwróciła się.

- Słuchaj, co do ciebie mówię! - Stan złapał ją za ramię. -

Brent zwiął z moją forszą.

Próbowała mu się wyrwać, ale szarpnął ją tak, że ramię podjechało jej aż pod brodę.

- Jeśli on jest w kłopotach, to ty też! - syknął Stan.

W tym momencie oślepiły ich światła wjeżdżającego na podjazd samochodu.

- Módl się, żeby to był Brent - warknął Stan. Samochód zatrzymał się, światła przygasły, zza kierownicy

wyskoczył W.S.

- Puść ją - powiedział, podchodząc z zaciśniętymi pięściami.

11

- W.S., ty nie masz z tym nic wspólnego - oświadczył Stan. - To sprawa między mną a Faradayami.

- Puść ją.

Maddie próbowała wyrwać się, ale Stan trzymał mocno. W.S. był wściekły i sprawiał wrażenie naprawdę groźnego. Nigdy go takim nie widziała.

- Poczekaj, proszę...

Stan na nic nie zwracał uwagi.

- Wszystko przez ciebie! - krzyknął do W.S. - Po co wróciłeś? Spadaj i daj mi skończyć sprawę. - Puścił Maddie, która zatoczyła się lekko i zrobiła krok wstecz. - Gdybyś wiedział, że Sheila...

W.S. zamachnął się. Maddie skrzywiła się, słysząc, jak pięść uderza w ciało.

Stan klapnął tyłkiem na asfalt, klnąc na czym świat stoi.

- Nie waż się jej dotykać. Nigdy! - powiedział W.S. Pani Crosby wyszła na

ganek swego domu.

- Maddie! - krzyknęła. - Co się dzieje?

- Co ty wyprawiasz! - Maddie próbowała uspokoić W.S. - Na głowę upadłeś?

- Maddieeee! - krzyczała pani Crosby.

- Nic się nie stało, proszę pani. Stan się potknął. Wszystko w porządku.

Pani Crosby pozostała jednak na posterunku. W.S. potrząsał obolałą ręką.

- Wejź do domu - powiedział, nawet na nią nie patrząc, a potem zwrócił się do Stana: - Należało ci się to od dawna. Idziemy.

- Nie! - Maddie wkroczyła pomiędzy nich. - Nie ma mowy. Ludzie, co się z wami dzieje! Przecież nie macie po szesnaście lat! Przestańcie!

- Maddie, wracaj...

- Nie! - krzyknęła. - Koniec bójk.

W.S. stał przez chwilę nieruchomo, a potem wyraźnie się rozluźnił. Objął ją i przytulił mocno.

Maddie pomyślała, że pani Crosby ta scena przedstawienia z pewnością najbardziej się spodoba, ale aż dziw, jak mało ją to obeszło. Najważniejsza była bliskość człowieka, do którego czuła pełne zaufanie.

W.S. westchnął.

- W porządku. Masz rację. To głupota. - Spojrzał na Stana, który próbował wstać, ale bez powodzenia. - Przepraszam. Zostaw jednak Maddie w spokoju. Nie ma pojęcia, co się dzieje.

- Niech cię cholera! - Stan obmacywał szczękę. Nie doznał chyba poważnego uszczerbku na zdrowiu, bo nagle roześmiał się serdecznie. - Ty i Maddie! No, no... Brent wie?

W.S. spojrzał na niego groźnie. Maddie zacisnęła dłoni na jego ramieniu na wypadek, gdyby znów przyszło mu do głowy bicie ludzi.

- Policzyłeś zęby? - spytał tylko. Stan śmiał się nadal.

- Nieźle... - pochwalił. Zdołał wreszcie wstać i teraz otrzepywał dzinsy.

Spojrzał na W.S. - Wiesz, stary, nie muszę cię nawet lać. Brent robi to za mnie. On cię zabije. Zabije was oboje.

- Nic nie rozumiesz... - Maddie próbowała ratować sytuację, ale W.S. do tego nie dopuścił.

- A to by ci się spodobało, prawda? - W jego głosie nie było jednak gniewu.

Maddie przyjrzała się im obu. Cały gniew, cała złość gdzieś wyparowały, jakby czarodziej machnął magiczną różdżką. Gdyby nie było to tak przerażające, można by się nieźle ubawić.

Stan potrząsnął głową.

- Boże - westchnął. - Szykuje się nieźła zabawa. Niech no tylko powiem

Sheili... - Poszedł do swego samochodu, śmiejąc się w głos.

- Powinienem przyłożyć mu mocniej - powiedział W.S. - W dawnych, dobrych czasach nie wstałby o własnych siłach po moim ciosie.

O mój Boże! Więc teraz, kiedy mówimy o dawnych czasach, koniecznie muszą być dobre? Maddie spojrzała na niego i cofnęła się, choć wiedziała, że zniknie

to uczucie ciepła, które było dla niej tak ważne.

- O co wam, do diabła, poszło?!

- Nie mam pojęcia - rzekł W.S. - Prawdopodobnie ma to coś wspólnego z tym, że on żeni się z moją byłą żoną. -Przytulił Maddie i poprowadził w stronę domu. - Pewnie Sbeila zapomniała powiedzieć mu, że jestem fajnym facetem.

- Maddie! - krzyknęła pani Crosby.

- Dobranoc pani - odkrzyknęła Maddie i spojrzała w oczy W.S., padając w jego ramiona. - Chodzi o Brenta, prawda? Co Stan miał na myśli, mówiąc, że to wszystko przez ciebie? A o co chodziło tobie, kiedy powiedziałaś, że ja o niczym nie wiem?

- O co mi chodziło...? - W.S. wydał się jej nagle najbardziej nieprzytomnym człowiekiem na świecie. - Nie wiem. Wiem tylko, że coś złego dzieje się w firmie, i wcale mnie to nie cieszy. Mnóstwo ludzi chce się spotkać z twoim mężem, i będą mu zapewne zadawać trudne pytania.

- Co miał na myśli Stan, gdy powiedział, że to wszystko przez ciebie?

- Nie mam pojęcia. Czy znajdzie się tu coś do jedzenia? Po dobrej zabawie zawsze czuję głód.

Szli ścieżką prowadzącą do kuchennych drzwi, nie rezygnując z rozmowy.

- Musimy poczekać na rozwiązanie tej tajemnicy, prawda?

- Nic nie wiem. - W.S. szarmancko otworzył przed nią kuchenne drzwi.

To W.S. pojechał na farmę po Em i Phoebe. Treva i jej rodzina pojawili się zaraz po zajściu na podjeździe, a tuż za nimi przez kuchenne drzwi wtargnęła mama Maddie, zniecierpliwiona daremnym czekaniem na telefon. Zapłaciła za pizzę i wreszcie wszyscy zgromadzili się w dużym pokoju.

Dorośli chronili Em jak skarbu.

- Gdzie kasetka? - szepnęła Treva, kiedy udało się jej złapać Maddie na osobności.

- Mam ją, i nawet otworzyłam - odparła Maddie, równie konspiracyjnie. - Nie uwierzysz, co w niej znalazłam!

- Żartujesz... - Treva rozlała colę i zaczęła ją ścierać serwetką. - Jakaś bomba?

- Listy miłosne. Kilkanaście. Te od Beth są naprawdę smutne.

Treva przyjrzała się uważnie przyjaciółce.

- Bardzo dobrze to zniosłaś - powiedziała.

- Wprawdzie nadal pogardzam Beth za to, że spała z moim mężem, ale przecież ja nie kochałam go tak jak ona. - Maddie z rozkoszą wgryzła się w kawałek pizzy.

- Co jeszcze znalazłaś? - spytała Treva, ale nie doczekała się odpowiedzi, bo Phoebe porwała chyba z czterdziesty kawałek pizzy, powodując zamieszanie, które skończyło się wyprowadzeniem jej na dwór.

- Zaczekaj! - krzyknęła Maddie na Em wychodzącą za suką. Obok niej pojawił się nagle Trzeci.

- Nie przejmuj się, ciociu Maddie, wszystko w porządku - powiedział,

wychodząc w ślad za dziewczynkami.

Maddie usiadła przy oknie, przez które widziała dzieci. Trzeci nie odstępował Em na krok. I nie spuszczał z oka podjazdu.

- To dobry chłopak - powiedziała Treva. - Przy nim Em jest bezpieczna.

- To dobry chłopak - przytaknęła Maddie. - Dziękuję.

- Maddie, co tu się dzieje? - spytała mama.

Zanim Maddie zdążyła wymyślić jakieś wyjaśnienie, z pomocą pośpieszyła Treva:

- Nie wiemy, ale założę się, że pani jest we wszystkim zorientowana. Są jakieś nowiny? Czy Gloria naprawdę się rozwodzi?

Rozwód Glorii dostarczył tematu do rozmowy na dziesięć minut; przez ten czas Maddie nie spuszczała wzroku z W.S. Siedział na podłodze, oparty o kanapę, długie nogi wyciągnął przed siebie. Poczowała, że robi się jej ciepło od samego patrzenia na niego. Sekretna strzała przeszła całe jej ciało, ale cóż z tego? Dziś nie mogła go mieć, nie pod tym dachem, pod którym będzie spała Emily. Nikt jednak nie odbierze jej przyjemności obserwowania go i słuchania jego niskiego głosu i śmiechu. Mogłabym słuchać go wiecznie, pomyślała i przepełniona poczuciem winy wróciła do tematów, które interesowały gości. Rozmawiano teraz o córce pani Crosby, wypróbowującej właśnie dietę opartą na płynach, o Margaret Erlenmeyer, która znowu była w ciąży, o Haroldzie Whiteheadzie, który zaprosił na kolację Candace Lowery, chociaż jego żona odeszła zaledwie dwa miesiące temu.

- Powiedziała mi, że to interesy! - prychnęła mama Maddie. - Śmiem wątpić. Wracające z ogródka dzieci narobiły zamieszania. Mel głośno domagała się deseru. Pani Martindale wstała i oznajmiła, że ze względu na późną porę musi już iść. Maddie posłusznie odprowadziła ją do drzwi. Po drodze obejrzała się na W.S., a on zareagował uśmiechem zapierającym dech w piersi.

- Jak tam babcia? - spytała jeszcze mama. Stały na ganku, gdzie nikt nie mógł ich usłyszeć. - Myślisz, że jest szczęśliwa?

Ta kobieta nigdy nie była szczęśliwa i bardzo się jej to podoba, pomyślała Maddie, lecz nie była w stanie podzielić się z matką tą uwagą.

- Żyje we własnym świecie - powiedziała. - Mickey Ja-kiś tam się obnaża, a ktoś w sąsiednim pokoju ma pomarszczoną skórę. - Mówiąc to, nie spuszczała wzroku z twarzy matki. - Nie wiedziałam, że babcia miała męża, zanim poślubiła dziadka...

Mama odwróciła się do niej plecami. Przeszła na najdalszy kraniec ganku.

- To było bardzo, bardzo dawno temu. Nie warto o tym mówić. Ten Sturgis doprawdy zachował się bardzo miło, kupił Em takiego ślicznego, łagodnego psa...

Kontratak, pomyślała Maddie. Brawo. mamó.

- Postarał się, prawda. Uważaj w drodze do domu.

- To bardzo przyjemne, prawda? Mieć takich oddanych przypaciół. - Mama

nie miała zamiaru zejść z ganku.

- Mam szczęście do przyjaciół. Nie zapomnij włączyć świateł.

- Maddie, to przecież oczywiste. Włączę światła. Jest już zupełnie ciemno. -

Mama spojrzała surowo. - Madeline, czy z tym mężczyzną łączy cię coś, o czym powinnam wiedzieć?

Maddie przypomniała sobie wszystko, co łączyło ją z tym mężczyzną. Za mało było tego, za mało, i nagle nie potrafiła już zapanować ani nad ogarniającym ją napięciem, ani nad pożądaniem.

- Nie, mamo.

- Świetnie. - Mama, schodząca po schodach, obejrzała się jeszcze przez ramię.

- Mam nadzieję, że nie zrobisz nic głupiego tylko dlatego, że wydaje ci się, iż rozwodzisz się z Bren-tem. A właściwie to gdzie on się podziewa? Em się o niego martwi.

- Nie mam pojęcia, ale sądzę, że jest z kobietą, z którą mnie zdradza.

- Nic mi o tym nie mówiłaś. - Matka stała na schodach, nieporuszona.

- Doprawdy dziwne, że o tym me wiesz. Powiedz szczerze, nikt ci nic nie mówił?

- Takie tam plotki. - Mama sprawiała wrażenie pokonanej. - Wygląda na to, że skończyliście ze sobą, prawda?

- Tak, mamo. - Maddie współczuła mamie bardziej niż samej sobie. Ją czeka wolność, swoboda, W.S. - choć na to trzeba poczekać, upomniała hormony. Em będzie bezpieczna, ale mama... mama musi poradzić sobie z rozwodem w rodzinie.

- Córeczko, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zawsze możesz zwrócić się do mnie.

Maddie przygryzła wargę. Ilekroć odnosiła wrażenie, że zaczyna kierować swymi sprawami, tylekroć mama podejmowała kroki, które miały uświadomić córce, jak bardzo matka ją kocha... i jak bardzo ona kochać powinna matkę.

- Dziękuję ci. Zadzwoń.

- Żałuję, że do tego doszło. - Głos mamy załamał się i Maddie podeszła, by ją pocieszyć.

- Teraz będzie nam lepiej - powiedziała, obejmując ją. - Nie byłam szczęśliwa od bardzo, bardzo dawna, ale nie byłam też nieszczęśliwa, więc nie miałam powodu, by zostawić Bren-ta. Teraz próbuję być szczęśliwa.

- Tylko na tym mi zależy. Chcę, żebyś była szczęśliwa. - Mama wyprostowała się, gotowa do walki. - Miasto będzie miało o czym mówić, bez żadnych wątpliwości.

- Nasza chwila znów nadeszła. Nie daliśmy mu takiej szansy od dnia, gdy babcia poślubiła Bucka.

Mama spojrzała na nią z ukosa.

- Nie słuchaj tej kobiety. Wymyśla byle co, żeby tylko wydać się interesującą.

- Babcia nie musi niczego wymyślać, by wydać się interesującą. Jest jak

aktorka w teatrze jednego aktora, oczekująca, by ktoś jej wysłuchał.

- O Boże, jakbym nie wiedziała!

- Wracaj do domu, mamó. Jutro wszystko już będzie w porządku. Wniosę o rozwód, miasto poplotkuje, a potem dojdzie do wniosku, że skoro Brent mnie zdradzał, to ma, na co zasłużył. Przez kilka tygodni ludzie będą się nad nami litować; przecież jesteśmy takie miłe... Aż w końcu ktoś zrobi coś głupiego, co odwróci uwagę od nas.

- Oczywiście. - Mama poklepała ją po ramieniu. - Kocham cię. Pilnuj Em, proszę. Dla niej to będzie bardzo przykre przeżycie.

- Wiem. - Maddie dotarła już do granic wytrzymałości. - Wiem. Pilnuję jej, jak potrafię najlepiej.

- No to doskonale. - Mama nie zamierzała bynajmniej skończyć rozmowy. Przystanęła przy samochodzie. - Madeline, nie powinnaś tak demonstracyjnie spotykać się z tym Stur-gisem. Nie za dobrze to wygląda.

Z tym Sturgisem... Płonące oczy i zdecydowane ręce na tylnym siedzeniu samochodu, w holu, w kuchni, pod koszulką, pod spódniczką, wszędzie... Nie wolno o tym myśleć!

- Wiem, mamó. - Musi trzymać się z dala od W.S. Bogu dzięki, że on zamierza wrócić do Columbus.

Na samą myśl o tym jej ciało zdrząło buntowniczo. Przecież tak bardzo chciała mieć go blisko siebie, tak bardzo pragnęła, by tulił ją i ogrzewał swym ciepłem, jak wówczas, na tylnym siedzeniu cadillaca. Maddie objęła się ramionami. Pragnęła mieć w tych ramionach jego- nagiego, przyciskającego ją swym ciężarem... Obiecała sobie przecież, że nie będzie myślała o nagim W.S., ale własna wyobraźnia zdradziła ją... I skąd ta gęsia skórka? Nie powinna myśleć o takich rzeczach, nie w trakcie rozmowy z mamą, ale zrobiła to i nie była w stanie skupić uwagi na niczym innym...

Może zacznij jeździć po zakupy? Trzy, cztery razy w tygodniu. Mieszkanie, w mieszkaniu wielkie łóżko, na łóżku nagi W.S., na niej i w niej...

Mama nadal mówiła.

- Zaczekaj trochę. Co najmniej rok.

Co...? Rok?! Nie jest pewna, czy będzie w stanie wytrzymać najbliższe piętnaście minut, a matka każe jej czekać rok?!

- Wiesz, jacy są ludzie - westchnęła mama.

- Tak, mamó.

Gdy tylko matka odjechała, Maddie uciekła do domu. Za rok z pewnością zakupy będzie robić w Columbus.

Weszła do dużego pokoju. Goście siedzieli na podłodze, pijąc piwo i rozmawiając o Baileyu. W.S. wciąż opierał się plecami o kanapę, rękawy koszuli podwinięte miał do łokci, ramiona opalone, muskularne, silne. Nogi w dżinsach wyciągnął swobodnie i skrzyżował w kostkach. Jakie wspaniałe uda! -pomyślała. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam? Podniecają mnie uda! Pora się leczyć...

W.S. spojrział na nią, uśmiechnął się, lecz musiał poznać, o czym myśli, bo nagle oczy mu zapłonęły.

Ciekawe, kiedy znowu go będę miała... Biorąc pod uwagę obecność Em oraz Brenta gdzieś w pobliżu, trzeba było się liczyć z oczekiwaniem trwającym zapewne całe dni, a nawet tygodnie. Usiadła naprzeciw W.S., także z wyciągniętymi nogami, a on odłożył puszkę piwa, przy czym grzbietem dłoni potarł jej łydke. Zadrżała.

W.S. patrzył na nią, lekko rozchyliwszy wargi. Oczy mu płonęły. Odwróciła wzrok, próbowała skoncentrować się na tym, co mówił Howie. Jeśli oboje nie opanują się, za chwilę będą tarzać się po dywanie na oczach wszystkich obecnych.

Myśl ta tak bardzo się jej spodobała, że Maddie westchnęła i zamknęła oczy. W.S. przesunął się odrobinę; jego nogi w szorstkich dżinsach dotykały teraz jej łydek. Powinna przytulić się do niego, całować go...

Uspokój się! - nakazała sobie. Skupiła się na słowach Ho-wiego i Trevy.

- Kiedy wyrzucili go z banku, przyjmował zakłady na parkingu za zajazdem - mówił Howie. - To dlatego Henry nie mógł go już rekomendować jako strażnika współpracującego z policją.

- Nigdy nie zrozumiem, jak ktoś może zachowywać się aż tak głupio! -Trevia potrząsnęła głową.

- Bailey po prostu nie ma głowy do wyrafinowanych zasad prawnych - tłumaczył Howie. - To sympatyczny, ale głupi jak but chłopak z naszej ulicy. Uznał, że hazard nikomu nie szkodzi, więc dlaczego nie zarobić na nim paru groszy?

W.S. musnął kostkę Maddie małym palcem. Ona ponownie zamknęła oczy. Jakim cudem zwykłe dotknięcie może się stać aż tak bardzo podniecające? Jeszcze kilka chwil i dozna orgazmu. Gdyby jej dotknął mocniej... byłoby już po orgazmie.

- I po tej aferze firma wynajęła go jako strażnika? - Treva wzruszyła ramionami, - Wygląda na to, że Bailey nie jest jedynym sympatycznym i głupim jak but chłopakiem z naszej

- To Brent postanowił go zatrudnić, nie ja - wyjaśnił Howie. Wypowiedział te słowa spokojnie, ale Treva zeszywniała nagle. Wystarczyło wymienić imię Brenta i już była nieswoja.

- Ale dlaczego? - dopytywała się Maddie. Howie odsunął pudełko z pizzą.

- Przyszedł do mnie tak jakiś przed miesiącem i powiedział, że dzieciaki nadal jeżdżą na Point, mimo że zagrodziliśmy drogę i postawiliśmy znaki zakazu, i że jeśli komuś coś się stanie, nie unikniemy procesu. Wzięliśmy więc Baileya. -Napił się piwa, a Treva i Maddie wymieniły spojrzenia. -Słuchajcie, to przecież wcale nie był taki zły pomysł. Przynajmniej pilnował terenu w nocy.

- Czy to nie o nim przypadkiem mówiłeś, że nie ma głowy do

wyrafinowanych zasad prawnych? - spytała Treva.

Howie potrząsnął głową.

- Bailey nie oszuka firmy. Jest lojalny.

- Jest. - W.S. odstawił piwo, korzystając z tej okazji, by pogłaskać nogi Maddie. Nie przestawał mówić, zachowywał przytomność umysłu. Goście nie powinni zatem niczego zauważyć. - Obrywał w szkole, bo nigdy nie wydał nikogo, kogo uznał za przyjaciela. Właściwie... właściwie w szkole zawsze obrywał, choćby nie było powodu. Już taki był, że znakomicie nadawał się na ofiarę.

- Mówisz to na podstawie własnego doświadczenia? - spytała Maddie, przyciskając stopy do jego biodra. „Kochaj mnie”.

Howie roześmiał się.

- Niech mnie, ale co najmniej połowę bójek w szkole W.S. stoczył z tymi, którzy wyrządzili krzywdę Baileyowi. On go uważa niemal za Boga!

- Bo zawsze chodziło o tych, którym i tak chciałem przyłożyć. - W.S. uśmiechnął się do Maddie tym swoim szatańskim uśmiechem. „Kiedy tylko zechcesz”.

- Na przykład Brent. - Howie spojrzał mu prosto w oczy. Maddie drgnęła. - Jesteś jedynym znanym mi facetem, któremu Brent zszedł z drogi. A chodziło właśnie o Bailey’a.

- Brent pobił Bailey’a? - zdumiała się Maddie. - W.S. pobił Brenta?

- Tylko raz, i nawet właściwie go nie pobił. Po prostu poprzesuwał go tu i tam. W.S. powiedział, żeby odczepił się od Bailey’a, i Brent go posłuchał.

Maddie spojrzała na ukochanego.

- Załatwiłeś to tak po prostu? - dopytywała się. W.S. potrząsnął głową.

- O ile dobrze pamiętam, miałem wtedy w ręku kij do baseballu. To wcale nie było trudne.

- Chodziłeś do szkoły uzbrojony? - zdziwiła się Maddie.

- Nie. Właśnie graliśmy w baseball. W jednej drużynie z Brentem.

Powiedziałbym, że dzieliliśmy doświadczenia.

- A tak! - roześmiał się Howie. - Dzieliliście!

- Niektóre doświadczenia. - W.S. opuścił dłoń na łydkę Maddie.

Wyżej, pomyślała, robiąc, co mogła, by sprawiać wrażenie zainteresowanej rozmową.

- Coś o tym słyszałem! - prychnął Howie, a Treva kopnęła go w kostkę.

W.S. roześmiał się. Maddie spojrzała na swą przyjaciółkę, myśląc: On tu pasuje. Jest tak, jakby nigdy nie wyjechał. Podnieciło to ją jeszcze bardziej.

Pomyśl o czymś innym! - nakazała sobie.

Myślała więc o tym, jacy byli przed laty, w czasach liceum: Howie zawsze poważny, poprawiający okulary na nosie; Treva rozdokazywana, w stroju dziewczyny dopingującej szkolną drużynę, z włosami związanymi w kucyki, flirtująca ze wszystkimi; Brent w bluzie ozdobionej jego własnymi inicjałami, spokojny i pewny siebie; W.S. z koszulką wyrzuconą na spodenki, jeszcze

spokojniejszy i jeszcze bardziej pewny siebie. Byli i inni: Margaret Erlenmeyer i jej zdumiewająco bogata kolekcja spódniczek; Candace, niezmiennie przytomna i przygotowana do lekcji; Stan, zawsze o krok w tyle, walczący jak lew, by nadrobić zaległości; Gloria, drobna, blada, żalonna pierwszoklasistka zapatrzona w nich wszystkich, a zwłaszcza w Brenta. Najwięcej jednak znaczyli dla Maddie ludzie, którzy siedzieli w tej chwili w jej pokoju. Oni i Brent. Przyglądała się im i nagle doszła do wniosku, że w gruncie rzeczy łączy ich niewiele. Ot, mają zbliżone poczucie humoru i może jeszcze pewne poczucie wspólnoty. A to wiele.

W.S. przesunął palcami po jej łydce i Maddie przestała myśleć.

Do pokoju wpadły dzieci oraz Phoebe, co oznaczało, rzecz jasna, piekło na ziemi. Em podeszła do matki.

- Gdzie tata? - spytała.

Maddie podkurczyła nogi, powodowana jakimś poczuciem winy.

- Nie wiem, kochanie - wyznała. - Pewnie ciągle załatwia swoje sprawy.

- Wróci na noc do domu? - spytała wyraźnie przestraszona dziewczynka.

- Pewnie tak. Myślę, że późno w nocy, jak zawsze.

- Hej, Em! - zawołał Trzeci, - Idziemy z Mel do nas, na lody. Chcesz się przyłączyć?

Maddie odruchowo chciała tego zabronić, ale córka spytała z nadzieją w głosie:

- Mamo, mogę?

A jej przyszło do głowy, że mała będzie się dobrze bawić. I Brent jej nie znajdzie.

- Idź - pozwoliła.

- Phoebe też. Phoebe nigdy nie widziała naszego domu -prosiła Mel.

- I dlatego nie macie na wykładzinach ani śladu po psich wymiotach.

Treva spojrzała najpierw na Maddie, a potem na W.S.

- Moim zdaniem Phoebe powinna się u nas przespać -powiedziała z udawaną wesołością. - Em może jej towarzyszyć, jeśli tylko chce.

- Naprawdę? - westchnęła Maddie.

Howie spojrzał na żonę, jakby uznał, że jej odbiło.

- Naprawdę - przytaknęła Treva. - Daj mi jej pidżamę. Em spojrzała niepewnie na matkę, ale Mei szarpała ją za

rękaw, Phoebe podskakiwała z radości, więc dziewczynka musiała się w końcu poddać. Odchodząc, spojrzała przez ramię na matkę smutnym, pytającym spojrzeniem.

To nie był dobry pomysł. Powinna zatrzymać małą przy sobie, ale przecież w ten sposób pozostaną z W.S. sami... nadzy, spoceni, a on wchodził w nią tak głęboko, poruszał się tak...

Em. Co z Em?!

Musi zatrzymać Em przy sobie. Nie wolno jej przecież przedkładać seksu z W.S. nad własne dziecko!

- Trevo...

- Em lepiej będzie u nas, przecież dopiero było tu włamanie i w ogóle...
Howie i Trzeci obronią ją bez problemu.

- No... tak - przyznał niepewnie Howie.

- Co...? - zdziwił się W.S. Treva skinęła głową.

- A ty... wy... potrzebujecie trochę wolnego. I przecież ktoś powinien z Maddie zostać; włamywacz mógłby wrócić.

„Nie najzręczniejszemu ci to wyszło, Trevo” - miała ochotę powiedzieć Maddie, ale świadomość tego, że może zostać sam na sam z W.S., zamknęła jej usta.

- Lubię cię - powiedział W.S do Trevy. - Zawsze cię lubiłem.

- Maddie...?

Jestem złą matką, no cóż, trudno. Ale przecież z drugiej strony Em nic nie zagrozi u Trevy i Howiego. A ona pragnie W.S. tak bardzo, że całe jej ciało drży w oczekiwaniu.

- Doskonały pomysł - powiedziała głośno. - Moim zdaniem lepiej będzie dla Em, jeśli zostanie u was na noc.

Odprowadziła gości na podjazd, pomachała im, kiedy odjeżdżali. W.S. tymczasem obszedł dom, sprawdzając, czy okna i drzwi są pozamykane.

- Jak się czujesz? - spytał, podchodząc do Maddie. - Tych kilka ostatnich dni musiało być dla ciebie straszne.

Wyglądał wspaniale - silny i pewny siebie, miał szerokie ramiona, płonące oczy, duże dłonie. Im bliżej podchodził, tym szybciej oddychała. Kiedy jesteś przy mnie, czuję się rewelacyjnie, pomyślała.

- Całkiem nieźle - odparła. - Urządziłam dzisiaj małą wyprzedaż ubrań Brenta.

- Dopilnuję, by nigdy cię nie wkurzyć - roześmiał się W.S. - Jesteś bezlitosna. - Otoczył ją ramieniem.

Maddie zapomniała oddychać, przytuliła się do niego, stłumiła jęk, bo wreszcie, wreszcie był blisko. Będzie wolna, nareszcie wolna! Ileż jest pytań, na które jej nie odpowiedział, ale W.S. tak bardzo się jej podobał, tak pięknie się poruszał, był dla niej upragnionym oparciem. Zadawanie mu pytań nie wyglądało w tej chwili na najlepszy pomysł. Pytania mogły zresztą poczekać.

- Podejrzewam, że nadeszła chwila, w której z radością wyrzucisz mnie ze swego życia - szepnęła w jej włosy.

„Weź mnie tu, na podłodze”...

Powinna go wyrzucić... Jego samochód stoi na podjeździe, wszyscy będą więc wiedzieć, że oni się to kochają, ale przecież tak bardzo go potrzebuje...

- Znowu myślisz - powiedział W.S. - A tak cię przed tym ostrzegąłem. -

Pochylił się, całował ją mocno, powoli, czuła język poruszający w jej ustach, silne dłonie na nagich plecach, poruszające się w pieszczotach palce. Była tak podniecona, że z trudem powstrzymywała krzyk.

- Ktoś musi cię chronić, kochanie - szepnęła W.S. - Powiniennem zostać na całą noc.

Przytulił ją mocno, pocałował w szyję. Maddie nie była w stanie powiedzieć słowa, wtulała się tylko w niego. Zamknęła oczy, wyobraziła sobie, że są nadzy, że W.S. jest już w niej, gorący i twardy. Nic powinna, nie powinna tak myśleć, nie teraz... Po cóż zresztą w ogóle myśleć? Treva opiekuje się Ern, a więc Maddie może pozwolić sobie na to, żeby nie myśleć. A jutro i tak całe Frog Point będzie już wiedziało o rozwodzie.

„My jesteśmy te dobre” - powiedziała matce, ale dziś wcale nie miała zamiaru być dobra. Chciała być taka jak na tylnym siedzeniu samochodu stojącego na Point: silna, wyzywająca, tryumfująca i wreszcie zaspokojona. Nowa Maddie nigdy nie będzie dobra. Dostanie to, czego chce, choćby tylko na jedną noc.

- Możesz zostać - powiedziała, czując palce W.S. wpijające się w jej ciało.

Westchnęła. - Musisz jednak udać, że odjeżdżasz, zostawić samochód gdzieś dalej i cichutko wrócić przez kuchenne wejście.

- Chyba kpisz!

Miała ochotę wrzasnąć: „Ile mam jeszcze czekać?” Zachowała jednak spokój, choć nie przyszło jej to łatwo.

- Chcesz, żeby Henry się dowiedział? - spytała tylko. W.S. skrzywił się.

- W porządku. - Puścił ją, cofnął się, a Maddie omal go nie przytrzymała. -

Kiedy wrócę, lepiej bądź naga.

- Nie musisz mi tego mówić.

Wyszedł, a ona pobiegła na górę, do gościnnej sypialni. Rozebrała się. To mądry kompromis, pomyślała. Zadrzała w zimnej pościeli. Czekam na niego naga, ale nie w sypialni, którą dzieliłam z Brentem.

Pospiesz się! - pomyślała. Rozluźniła się, oczekując pieszczot.

W.S. znalazł ją od razu, ponieważ zamknęła drzwi do pozostałych sypialni i zostawiła zapalone światło w dużym pokoju. Kiedy wszedł do niej, pomyślał, że to ładny pokój, choć dostrzegł tylko niebieskie ściany i białe zasłony na oknach. Tak naprawdę patrzył wyłącznie na Maddie - na miękkie ciało w białej pościeli, zarysowane pod nią biodra i piersi, nagie ramiona, jasne i jakże delikatne w słabym świetle, na twarz piękną mimo siniaka, ciemne oczy, rozchylone, namiętne usta. Rozebrał się szybko i podszedł do łóżka.

- Strasznie długo na ciebie czekałam. - Maddie przesunęła się, robiąc mu miejsce. Jej głos, jednocześnie wesoły i lekko schrypnięty, odebrał mu zdolność myślenia.

Usiadł na łóżku, materac ugiął się pod jego ciężarem. Maddie przysunęła się.

- To ty chciałaś, żebym odstawił wóz aż do Columbus - odparł, nie całkiem pewnym głosem.

Nagi wślizgnął się do łóżka, przytulił ją i wstrzymał oddech. Była piękna, miękka i ciepła, mocno tuliła się do niego, jej ciało drżało w oczekiwaniu.

Spokojnie, powiedział sobie. Przesunął policzkiem po ramieniu Maddie.

Poczuł zapach kwiatów i - co go zdziwiło - kuchni Anny.

- Pachniesz ciasteczkami - szepnął napiętym z pożądania głosem.

Maddie westchnęła i odparła cicho:

- To wanilia.

Pocałował ją, nim zdążyła zamknąć usta, pieścił językiem jej język, wcisnął ją w białe, miękkie poduszki. Leżał na niej, czuł jej palce przesuwające się wzdłuż kręgosłupa. Nie całowali się już, Maddie wodziła językiem po jego ramieniu, ugryzła go lekko. Zadrżał i znieruchomiał. Tak bardzo pragnął wziąć ją, zabrać ich oboje w podróż do krańca rozkoszy, ale nie byłoby to w porządku wobec Maddie. Nic tutaj.

Było tu coś takiego, co wywołało w W.S. opór przed skalaniem tego domostwa, choć przecież był to zwykły dom zwykłej rodziny mieszkającej w prowincjonalnym miasteczku. W.S. cieszył się atmosferą rodzinnego ciepła; spotkał się tu z ludźmi, którzy byli mu bliscy. W tej chwili miejsce, w którym się znajdował, wydało mu się przynależne do innej epoki.

Maddie przytuliła się do niego. Mimo że bardzo jej pragnął, czuł się obezwładniony, chociaż wsuwał się na nią, poznawał najtajniejsze zakątki jej ciała. Nie na darmo całą siłę woli skupił na walce ze swymi zwierzęcymi instynktami. Gdy obawiał się, że przegrywa, powtarzał w myśli statystyki baseballu.

Czuł się onieśmielony atmosferą, jaka go otaczała. Znajdował się w sypialni spokojnych, cywilizowanych ludzi. Obiecał sobie, że w takim właśnie pokoju będzie sypiać z Maddie, gdy wreszcie sprawy ułożą się po ich myśli, co przecież musi kiedyś nastąpić. Do końca życia będzie kochać się z nią w łóżku, w czystej, chłodnej pościeli, będzie czuł jej miękkie, gorące ciało przy swoim ciele i nie będzie musiał się spieszyć. Zaspokoi ją powoli, z radością, w poczuciu, że tak powinno być.

Maddie wiała się pod nim. Nagły przyptyw pożądania sparaliżował W.S., który nie dotykał jej już; stłumił ochotę, by przesunąć po jej ciele dłońmi, wejść w nią mocno, brutalnie, tak jak uczynił to wówczas, w samochodzie. Człowieku, zapomnij o tym! - pomyślał. Nie są teraz przecież na tylnym siedzeniu samochodu! Znajdują się we Frog Point, w przyzwoitym domu przyzwoitej rodziny. Ludzie inaczej się tu kochają. Kochają się miłością akceptowaną przez zwykłych ludzi, uświęconą małżeństwem, w jakiś sposób trzeźwą, kontrolowaną. Nigdy bardzo mu się ona nie podobała, ale jeśli musi się z nią pogodzić, by zawsze już mieć Maddie przy sobie, trudno, niech i tak będzie.

Maddie wciąż rozmyślała, choć podobno nie wychodziło jej to najlepiej. Miała oto wszystko, czego pragnęła. Byli sami, bezpieczni, łóżko z całą pewnością przewyższało rozmiarami tylne siedzenie cadillaca, nie musiała martwić się o Em, a obok leżał W.S. - duży, silny, wspaniały, rozpalony, patrzący na nią czarnymi oczami tak pełnymi pożądania, że omal nie doznała orgazmu na samą myśl o tym, co za chwilę nastąpi.

A potem coś się stało, a raczej nie stało. Nie chodziło o to, że nie podobała się

jej gra wstępna. Przecież marzyła o W.S. całe dni, a raczej całe noce. Marzyła o jego ciemnych, płonących oczach i długich rzęsach, jakich nie powinien mieć żaden mężczyzna, a które jemu dodawały tylko męskiego uroku, o ustach, które można tylko całować, i o jego rękach.

Boże, te jego mocne ręce, błędzące po całym jej ciele... Bardzo przedłużoną grę wstępną przeżyła więc, jeśli można tak powiedzieć, pod nieobecność kochanka. Nadeszła teraz pora na coś więcej...

Przytuliła się do niego, ale W.S. zawahał się. Znieruchomiła więc, by dać mu szansę. Nie w tym rzecz, że rodzaj - powolny i pełen wyrachowania - pieścizot, jakimi ją obdarzał, nie podobał się jej. Była przecież rozgrzana i gotowa. Chodziło raczej o to, że wszystko, co W.S. robił, było wspaniałe, dlaczego więc waha się przed kolejnym krokiem? Uniosła się, przylgnęła do niego, spróbowała skłonić go do działania. Poczula w końcu jego dłonie na biodrach, ale kiedy była już gotowa do miłości takiej, jaka raz już uczyniła ją wolną, W.S. odsunął się.

- Co...? Co? - spytała.

On pocałował ją delikatnie i szepnął:

- Ciii...

No cóż... Delikatne pocałunki to wspaniałe przeżycie, ale

W.S. tak przecież całuje się dziewczynę podnieconą do granic możliwości, gotową na wszystko. Niech go diabli! Przytulał ją delikatnie, za delikatnie! Dlaczego...?

Dobrze, zastanówmy się nad tym, powiedziała sobie. Trudno jednak było jej myśleć, gdy czuła jego usta na ramieniu. Powiedzmy sobie, że mogło być lepiej, ale przecież i tak było nie najgorzej. Jeszcze parę chwil i W.S. przesunie się niżej, tam gdzie będzie naprawdę przyjemnie...

Każdy mężczyzna zdolny uczynić z nią to, co udało się W.S. na Point, z pewnością byłby w stanie dokonać czegoś znacznie wspanialszego w łóżku. Problem tkwił wyraźnie w nastawieniu W.S. Niechże on da sobie spokój z tymi delikatnymi, powściągliwymi pieścizotami! Ona chce poczuć go w sobie! I to zaraz!

Tyle że głupio jej powiedzieć to wprost. Szesnaście lat pożycia z Brentem nauczyło ją, że nie należy krytykować zachowania mężczyzny in media res, bo nie prowadzi to do niczego dobrego. Nie mogła go więc po prostu złapać za uszy, wrzasnąć: „Czy byłbyś uprzejmy wypieprzyć mnie porządnie?”.

Było to niemożliwe, bez względu na fakt, że nie potrafiłaby zdobyć się na posłużenie się takim językiem.

Jasne, że dobrze by się czuła, gdyby mogła wreszcie wykrzyknąć, czego chce naprawdę, głośno i wyraźnie. Ale jaki byłby skutek? W.S. przecież nadal tkwi w przekonaniu, że jego Maddie to „Maddie - chluba miasta”. Tym tylko można tłumaczyć fakt, że okazuje jej uwielbienie zamiast po prostu dostarczyć jej rozkoszy. Ostatnie, czego Maddie potrzebowała, to W.S. niezdolnego do akcji.

On tymczasem założył prezerwatywę, co Maddie niezmiernie uradowało; była więc szansa na jakiś ciąg dalszy! Czując jego gorące usta na szyi, poddała się niewysłowionej przyjemności. Drżała. Tak jest lepiej, znacznie lepiej. Zbyt ostro go potraktowała... Głaskał ją teraz po plecach. Przygryzła wargi. I wyłączyła myślenie.

Otarła się o niego, dotyk ust na karku poczuła w piersiach, podbrzuszu, udach i jeszcze głębiej. Wbiła paznokcie w jego kark...

W.S. jęknął i odsunął się. Opadło całe napięcie, a jej chciało się już tylko krzyczeć.

Niech go diabli!

No dobrze. W.S. nie lubi agresywnych kobiet, drapiących mu plecy.

Znów całował jej szyję, jakież to rozkoszne, jakie cudowne... Tyle że to, co cudowne, już jej nie podniecało, bo wpadła w jakąś otchłań. Jego usta przesunęły się ku jej piersi. Przepelniona nową nadzieją, wygięła się ku niemu, czekając na rozkosz tak oszałamiającą, że bliską bólowi, ale on nadal był nazbyt delikatny. Jęknęła z doznanego zawodu, W.S. musiał jednak uznać, że docenia tę delikatność, bo jeszcze bardziej zwolnił tempo.

Maddie poddała się. Jeśli tak ma być, niech będzie. Nudny seks to nic nowego - w końcu była żoną Brenta. Wyobraź sobie... - pomyślała i wyobraziła sobie najseksowniejszego mężczyznę świata, ale raptem zamiast Dennisa Quaida czy George'a Clooneya oczami wyobraźni zobaczyła W.S., kochającego ją na tylnym siedzeniu samochodu, z palcami wplątanymi w jej włosy, podrywającego jej głowę i patrzącego w oczy, wchodzącego w nią coraz głębiej i głębiej. Ona wiła się na nim, czuła jego wargi na swoich, szorstkie dłonie na piersiach, te same dłonie ściskające jej biodra, a ona kołysze się na nim, kołysze...

Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą W.S., wspaniałego jak zawsze, ale... próbującego chyba myśleć o czymś innym, by nie stracić kontroli nad sobą. Ty głupi dupku! - krzyknęła na niego w myśli.

W.S. przestał pieścić jej pierś, spytał:

- Maddie...?

Maddie oparła się na łokciu, zbliżyła twarz do jego twarzy, aż zetknęły się niemal ich nosy, i powiedziała:

- Słuchaj, doceniam twe tkliwe spojrzenia, ale czy nie mógłbyś wreszcie przelecieć mnie tak, żeby żyć mi się zachciało?

- Co?! - W.S. zdumiał się, lecz błyskawicznie opanował zdumienie. -

Porozmawiamy o tym później!

(przepraszam wcielo mi kawałek :-/)

- Nie...? - zaniepokoił się i przerwał, ale Maddie szepnęła:

- Tak, och tak?

Wygięła się, ogryzła go w bark a potem było już tylko jego mocne ciało, wypełniające cały świat, sięgające w najgłębsze głębie jej ciała; ramiona, które ryła paznokciami, usta, które zgniatały jej wargi. Maddie czuła rozkosz tak

wielką, że niemal płakała z wdzięczności. Czuła palce ukochanego mężczyzny we włosach, czuła jego wargi na piersiach, dłonie na biodrach. Wysunęła się na jego spotkanie, chciała mieć go w sobie całego...

Każde jego poruszenie wywoływało dreszcz, pulsowanie gorącej krwi. Rytm ten stał się nagle wszystkim, nie było od niego wyzwolenia i wcale tego wyzwolenia nie chciała. Jeśli W.S. przerwie, ona umrze.

- Nie przerywaj - szepnęła.

Kiedy jednak spojrzała na niego, kiedy zobaczyła jego twarz i czarne, ślepe z pożądania oczy, uświadomiła sobie, że on nie może przerwać, że zatracił się w miłości, że jest szalony z żądz. Wciągnęła go w siebie jeszcze mocniej, zacisnęła zęby, by powstrzymać krzyk niewyobrażalnej rozkoszy, a on przytulił ją z całej siły, wszedł głębiej, jeszcze głębiej... Wszystkie jej sny, marzenia, fantazje zlały się w jedno marzenie, jedną fantazję i skumulowały się w jednym wybuchu; Maddie wiała się pod ukochanym mężczyzną przyciskającym ją ciężarem ciała do wilgotnych prześcieradeł, obojętnym na własną rozkosz, by dać jak najwięcej rozkoszy jej.

- Jezu... - westchnął W.S., kiedy odzyskał oddech i przytomność umysłu na tyle, by w ogóle móc się odezwać. - Nie wiedziałem, że we Frog Point można przeżyć coś takiego.

- Bo nie można - odparła Maddie. - Dziękuję ci.

Objął ją kurczowo, znów jej pragnął, chciał wziąć jeszcze raz. Jęknęła, więc rozluźnił swe objęcia.

- Bolało? - spytał.

- Tyle, ile trzeba. Dokładnie tyle, ile trzeba.

Chciał jej, pragnął, tracił rozum z tego pragnienia, ale przy zdrowych zmysłach utrzymała go świadomość, że Maddie jest jego, że już nie odejdzie. Gdy tylko Brent się znajdzie, przeprowadzą rozwód i będzie mógł się z nią ożenić, zostaną ze sobą na zawsze.

- Kocham cię - szepnął, a ponieważ wszystko stało się tak szybko, za szybko, by się nasycić, zaczął znowu.

Maddie przytuliła się do niego. Podziwiała jego, podziwiała siebie, podziwiała sposób, w jaki się kochali. Nigdy nie czuła się tak wolna. Po co w ogóle wyszłam za mąż? - pomyślała. Gdy tylko Brent wyjedzie do Ameryki Południowej, natychmiast wniesie o rozwód, a potem będzie wolna już zawsze. Myśl ta tak pochłonęła jej uwagę, że nie od razu dotarło do niej, że W.S. poruszył się, że całuje jej piersi i brzuch. Przed chwilą nasycona, teraz znów rozgorzała pożądaniem. Złapała go za włosy, powstrzymała.

- Nie - szepnęła. - Jeszcze jeden taki orgazm i umrę. Podniósł głowę. Wargi, którymi spełniał najskrytsze jej marzenia, miał czerwone, obrzękłe.

- To obejdz się bez orgazmu - poradził.

Pieścił jej brzuch i uda, a potem poczuła na sobie jego ciężar. Zdażyła jeszcze pomyśleć, że W.S. Sturgisowi nie jest w stanie oprzeć się żadna naga kobieta, po czym zapadła w bezdenną otchłań zmysłów.

Em była bardzo nieszczęśliwa. W normalnej sytuacji cieszyłaby się towarzystwem Phoebe i przyjaciółki, tym, że jedzą lody i będą spać razem w wielkim łóżku. Cieszyłaby się tym zawsze, ale nie dziś. Dziś chciała zobaczyć tatę. Nie widziała go od dwóch dni i bardzo już za nim tęskniła.

Wystarczyłoby, gdyby mogła go ujrzeć choć na chwilę, przekonać się, że wszystko jest w porządku.

- Ten W.S. jest naprawdę fajny - powiedziała Mel. - Jak Jason Norris. No, trochę.

Phoebe piszczała, więc wsadziły ją na łóżko i ukryły pod kołdrą na wypadek, gdyby komuś przyszło do głowy sprawdzić, co się dzieje w ich pokoju.

- Dał ci psa - przypomniała.

- Aha. - Em kurczowo przytuliła szczeniaka.

- Nie lubisz go?

- Jest w porządku.

- Mówisz tak, jakbyś wcale nie była tego pewna.

- Mel, słuchaj... - Em poddała się. Nie mogła już dłużej udawać beztroski. - To, co dzieje się u nas w domu...

- Wiem. - Mel skinęła głową. - Twarz twojej mamy wygląda okropnie. -

Wychyliła się z łóżka, omal z niego nie wypadając. Przez chwilę macała po podłodze i wreszcie usiadła, czerwona na buzi, trzymając w ręku pudełko babeczek. - Podprowadziłam je z kuchni - wyznała. - Tylko nie karm Phoebe, bo zwymiotuje do łóżka.

Em obawiała się, że po pizzy i lodach to ona raczej zanieczyści łóżko przyjaciółki, ale nie wypadało odmówić poczęstunku.

- Gdzie jest twój tata? - spytała Mel, kiedy wylizały już śmietanę z babeczek.

Em rzeczywiście poczuła mdłości.

- Wyjechał. W interesach.

- Mama ci tak powiedziała?

- Mhm.

- Aha.

Ona też w to nie wierzy, pomyślała Em i pod wpływem tej myśli powiedziała:

- Oni się nie rozwodzą. W.S. to po prostu ktoś, kogo wszyscy znają ze szkoły. Nawet twoi rodzice. Jedyńm chłopcem mojej mamy jest tatuś.

- Tak samo jak mój tata jest jedynym chłopcem mojej mamy - przytaknęła Mel. Potrząsnęła głową; rodzice potrafią być tacy nudni... i ugryzła wielki kawałek ciastka. - Ciekawe, kto był dziewczyną W.S.?

Z jakiegoś powodu ta myśl nie wydała się Em przyjemna.

- Może nie miał dziewczyny?
- Musiał mieć. Jest fajny, lubi żartować. Założę się, że nadal ma dziewczynę. -
Spojrzała spod oka na przyjaciółkę. - Często uśmiecha się do twojej mamy.
- Są starymi przyjaciółmi. Do twojej mamy też często się uśmiecha. I do taty.
- Pewnie. Wiesz, gdyby to był film...
- To nie jest film! - zaprotestowała gwałtownie Em. - U ludzi takich jak my
nigdy nie dzieje się tak jak w filmie.
- No tak - przyznała Mel. - Jesteśmy po prostu nudni. Hej, uważaj, Phoebe
zjada twoją babkę!
- Phoebe! - Em odebrała szczeniakowi ciasteczko, a właściwie okruchy i
roześmiała się na widok białego kremu na czarnym psim nosie.
Wstała i wyrzuciła resztki do kosza, odrobinę pocieszona. U ludzi takich jak
ona i mama nic się przecież nigdy nie zdarza. Tacie też się nic nie przydarzy.
Nigdy. Serce ścisnęło się jej na myśl o tacie. Ale oni wszyscy są i tak nudni, po
prostu nudni. Wszyscy z wyjątkiem W.S. Wskoczyła do łóżka.
- Mel, wiesz, że W.S. nauczył mnie wspaniałej sztuczki? Nazywa się „obraz
myślowy”. Zapamiętujesz...
Mel słuchała z uwagą. Em szybko zapomniała o troskach, opowiadając
przyjaciółce o nowej metodzie zapamiętywania.

Telefon zadzwonił wczesnym rankiem. Maddie budziła się powoli, czując
błogość, której źródło nie było dla niej całkiem jasne, niepewna, gdzie
właściwie jest, bo przecież nie w małżeńskiej sypialni. W.S., też niezbyt
przytomny, podniósł słuchawkę, nim zdążyła go powstrzymać.
- Słucham? - powiedział niewyraźnie i ziewnął.
- A to kto?! - krzyknął ktoś tak głośno, że Maddie drgnęła.
- Oddaj słuchawkę! - syknęła, ale W.S. nie słyszał jej. Pochylił się do telefonu,
ukazując oczom Maddie wspaniale umięśnione plecy, przez co nie odzyskała
przytomności umysłu tak szybko, jak powinna.
- Henry, to ty? - upewnił się W.S.
- Co ty, do cholery, tam robisz?!
- Przyszedłem z wizytą - odparł W.S., niezbyt, trzeba przyznać, przekonująco.
- Przecież jest siódma rano!
- Wiem, wiem, Henry. - Usiadł prosto i potarł dłonią oczy. Musi się obudzić,
musi zacząć myśleć! - Czego chcesz?
- Maddie Faraday, ty kretynie! Coś ty narobił!
Maddie opadła na poduszki, próbując powstrzymać atak śmiechu. Kiepsko się
złożyło, Henry nie powinien wiedzieć o tej nocy, W.S. też nie będzie
zadowolony. Czują się jednak wspaniale, była szczęśliwa, zaspokojona, a on
nagi wyglądał tak ponętnie. Pal diabli reputację! A może nie wszystko stracone?
Henry był chyba jedynym mieszkańcem Frog Point, który potrafił
trzymać gębę na kłódkę. Nie sposób nawet wyobrazić go sobie plotkującego...
- Sprawdzę, czy jest - obiecał W.S. Zakrył dłonią słuchawkę. - To wuj -

powiedział. - Może dobrze byłoby, żebyśmy... no, wiesz...

- Udawali, że ze sobą nie śpimy? - Maddie uśmiechnęła się szeroko. - Nie da się. Znam Henry'ego, założę się, że widzi nas oczyma wyobraźni.

- Spróbuj choć udawać, że nie jesteś naga! - zirytował się W.S. - Zawsze rano jesteś taka wesolutka?

- Tylko po takim seksie. - Przyciągnęła jego głowę, pocałowała go mocno, lecz powoli i rzetelnie, przesunęła dłonią po jego ramieniu. Pamiętała każdy centymetr jego ciała...

W.S. odsunął się i zdjął dłoń ze słuchawki.

- Henry...? Zadzwoń później, dobrze? Pojawiło się coś... Henry nie krzyczał już, więc Maddie nie słyszała, co mówi, ale musiało to być coś ważnego, ponieważ W.S. usiadł nagle, wyprostowany, i odsunął się od niej. Słuchał przez chwilę, a potem powiedział cicho:

- Zaraz będziemy.

- O co chodzi? - zdumiała się Maddie, kiedy odłożył słuchawkę. - Gdzie będziemy i dlaczego zaraz?

- Znaleźli Brenta - wyjaśnił i wstał z łóżka. Oznajmił nowinę głosem tak ponurym, że Maddie się zaniepokoiła. Znaleźli Brenta?

- Nie wiedziałam, że zaginał. - Bardzo chciała, by słowa brzmiały wesolutko, ale nagle poczuła się dziwnie, jakby czymś przytłoczona. Brent nie wyjechał do Rio. I nie wyjedzie. Koniec świata...

- Nie zaginał. - W.S. dopiął dzinsy i usiadł na łóżku. Ujął jej dłoń. - Stało się coś gorszego. Brent zginał. Ktoś zastrzelił go na Point.

- Co... co ty bredzisz?

- Nie bredzę. Ktoś zastrzelił Brenta.

Maddie powtórzyła te słowa w myśli, ale nie miały żadnego sensu. Ktoś zastrzelił Brenta. Brent nie żyje. Ktoś zastrzelił Brenta. Spojrzała bezradnie na W.S.

- Kto?

- Nie wiem. - W.S. systematycznie zapinał koszulę. - Ale mam szczerą nadzieję, że Henry wie. Bo właśnie oboje dostarczyliśmy mu wspaniałego motywu.

12

Upłynęło trochę czasu, nim Maddie zrozumiała znaczenie komunikatu. Brent me żyje. Nie wyjedzie do Ameryki Południowej. Nie żyje. Nie będzie

rozvodu, bo jej mąż zginął. Nie porwie Em, bo został zastrzelony. Stało się coś strasznego, ale nie pojęła w pełni znaczenia tego faktu. Czuła się tak, jakby to wszystko dotyczyło kogoś innego. Brent nie może nie żyć.

Nieszczęścia zawsze przydarzają się komuś innemu, nie nam.

Brent nie żyje.

Co za wstrząs dla Em! Musi z nią porozmawiać.

- Maddie...? - odezwał się W.S. i Maddie wyszła z łóżka. Potrząsnęła głową.

- Em. Muszę powiedzieć Em...

- Zaczekaj. Najpierw porozmawiamy z Henrym. Em musi poczekać. - W.S. skrzywił się boleśnie, wymawiając imię dziewczynki. - Zadzwoń i powiedz, że przyjedziesz po nią później.

Maddie zastanowiła się przez chwilę nad losem dziecka dowiadującego się o śmierci ojca. Tym dzieckiem była jej córka.

- Masz rację - powiedziała. - Ale ja nie wierzę, nie potrafię uwierzyć. - Zebrała ubranie z krzesła, na które rzuciła je wieczorem. - Henry jest pewien, że to Brent?

- On nie popełnia pomyłek. Brent nie żyje. Nie usłyszysz od niego: „O, przepraszam, coś mi się pomyliło”. Jeśli Henry jest czegoś pewien, to nie ma mowy o pomyłce.

- Nie wierzę - powtórzyła Maddie, lecz poszła się ubrać.

Brenta pokazali jej na monitorze telewizji przemysłowej; dziurka pod uchem wydała się jej mała, schludna. Drugą stronę głowy denata przykryto, pewnie nie była tak schludna. Maddie czytała gdzieś, że rany wylotowe bywają paskudne, więc nie prosiła, by go odkryli. Nie było to zresztą potrzebne; rozpoznała Brenta - napuchniętego, bladego, ale przecież nie miała żadnych wątpliwości.

- Czy coś jest nie tak z kolorami? - spytała.

- Nie, wszystko w porządku - odparł W.S. Pożałowała, że zadała to pytanie. To mój mąż! - pomyślała i kolana się pod nią ugięły. Przytulał ją, kochał, oszukiwał, zdradzał, a teraz nie żyje.

- Maddie...? - odezwał się Henry. Wzięła głęboki oddech.

- To on - oświadczyła.

Odwróciła się i odeszła, pewna, że za chwilę straci przytomność. W.S. i Henry wyszli za nią na korytarz. Oparła się o ścianę.

- Nic ci nie jest? - W.S. ujął ją pod ramię. - Usiądź, dobrze?

- Nic mi nie jest - skłamała Maddie. - Skończmy z tym, muszę powiedzieć Em. Henry gestem wskazał im schody. Weszli na piętro, do jego biura.

- Kto go zabił? - spytał W.S., gdy tylko znaleźli się w gabinecie.

- Nie wiemy. - Henry nalał im kawy z ekspresu stojącego na szafce na akta.

Usiadł za biurkiem. - Może ty masz jakieś podejrzenia, Maddie?

Co za pomysł! Nie potrafiła nawet zrozumieć w pełni tego, co się wydarzyło, a on już zaczyna śledztwo.

- No cóż, sypiał z inną kobietą. Może zdenerwowało to kogoś oprócz mnie? - wyraziła przypuszczenie.

- Nie byłaś aż tak zdenerwowana - wtrącił się W.S.

- Co do niego czułaś? - indagował Henry.

- Henry... - znów nie wytrzymał W.S., ale Maddie odpowiedziała szczerze:

- Nie czułam do niego nic. Miałam zamiar wnieść dziś o rozwód. Umówiłam się w tym celu z Jane Henries z Limy.

W.S. syknął przez zaciśnięte zęby:

- Maddie, może nie powinnaś zeznawać pod nieobecność adwokata...

- Dlaczego? - spojrzała na niego, zdziwiona. - Nie podejrzewasz chyba, że ja to zrobiłam, tym bardziej że całą noc spędziłam z tobą!

Henry spojrzał z gniewem na W.S., który zapatrzył się nagle w sufit.

- Nie interesuje nas ta noc - oznajmił Henry.

Maddie spojrzała na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Jak to...?

- Nie będziemy wiedzieli na pewno, póki nie wpłynie raport koronera, ale uważamy, że Brent zginął w piątek w nocy lub w sobotę nad ranem.

- W piątek?

Przeszło dwa dni temu. Nie żył od tak dawna? Poszły z Em do banku, jadły hamburgera, a on nie żył? Na Point? Niemożliwe. Sprzedawała jego ubrania, a on nie żył, jedli pizzę, a on nie żył? Ona i W.S...?

Maddie ukryła twarz w dłoniach. Tego już było za wiele. Zza grubej mgły dotarł do niej głos Henry'ego:

- Co robiłaś w piątek w nocy, Maddie?

Piątek? Co robiła w piątek w nocy? Nagle odezwał się w niej instynkt samozachowawczy. Panie święty! Figlowała z W.S., królowa wszechświata; mąż ją pobił; zamknęła się w pokoju. Jest źle, fatalnie wręcz!

- W piątek Brent żył - powiedziała. - Był w domu aż do pierwszej w nocy.

Wtedy widziałam go po raz ostatni. -Potem wyszedł z domu i został zastrzelony. Tak po prostu. O Boże!

W.S. wstał.

- Henry, pozwól mi zabrać ją do domu. Jest w szoku. Możesz ją wypytać później.

- Jesteś w szoku, Maddie? - spytał Henry.

- Dziwnie się czuję, ale nie wiem, czy to szok - odparła. -Głowa mnie boli.

- Wyglądasz tak, jakby ktoś cię uderzył. - Henry pochylił się lekko w krzesło.

- Henry! Nie spodziewałem się tego po tobie!

W.S. osiągnął swój cel - gniew wuja skupił się na nim.

- A ja nie spodziewałem się, że kiedy zadzwonię do kobiety, której mąż został zamordowany, zastanę w jej łóżku ciebie!

W.S. nagle się uspokoił.

- Mogę ci to wyjaśnić.

Maddie spojrzała na niego z zainteresowaniem. Ciekawe. Ja chyba nie

potrafiłabym tego wyjaśnić - pomyślała.

- Nie mogę się doczekać.

- Cóż... - W.S. przybrał pozę niezłomnego obrońcy cnoty. -Ktoś się do niej włamał i w ogóle było niebezpiecznie, więc uznałem, że Maddie nie powinna być w domu sama.

Henry przyglądał mu się spokojnie.

- Muszę przyznać, synu, że postąpiłeś, jak przystało na dobrego sąsiada. Ale co robiłeś w jej łóżku?

- Można powiedzieć chyba, że spędziliśmy razem weekend. Szukałem Brenta w piątek wieczorem. W domu go nie było, więc zaczęliśmy rozmawiać.

- Aha, rozumiem. Rozmawiać...

- No, przecież wiesz, jak to bywa. Maddie myślała o rozwodzie.

Dyskutowaliśmy na ten temat.

- W.S., jeśli myślisz, że... - Henry opuścił głowę jak szarżujący byk.

- W piątek wieczorem pojechaliśmy na Point i kochaliśmy się, Henry - wtrąciła się Maddie. - W.S. odwiózł mnie do domu około pierwszej w nocy. Brent na mnie czekał, wściekł się, uderzył mnie, powiedziałam mu, że chcę rozwodu i zamknęłam się w sypialni. Potem wyszedł. Wcześniej dzwoniłam do Jane Henries, prosiłam, by została moim adwokatem, a ona kazała mi przyjechać dzisiaj. - Maddie umilkła, nadal nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co zaszło. - Chyba nie jest mi już potrzebna...

- Nie bądź tego pewna - ostrzegł poważnie W.S. i wstał. -Wychodzimy.

- A propos piątku - zwrócił się do niego Henry. - Kiedy odwiozłeś Maddie, widziałeś może Brenta Faradaya?

- Nie. Niestety.

- Dlaczego "niestety"?

- Bo to wówczas ją uderzył. Niech cię diabli. Henry...

- Siadaj. W.S. — Henry spojrzał na Maddie, ignorując już wychowanka, który posłusznie wykonał jego polecenie. - Brent wyszedł z domu. tak? Dokąd pojechał?

- Nie wiem. — Maddie zgarbiła się. Opowiedziała wszystko, co zapamiętała z tamtego wieczoru. - Powiedział tylko: „W porządku” — zakończyła. — Mówił tak, jakby był wściekły, ale przecież wiedział, że wszystko skończone, więc potrafię to zrozumieć. Niewiele można wywnioskować z dwóch słów...

- Nic nie wzbudziło twoich podejrzeń? Wszystko odbywało się mniej więcej normalnie?

- No, w naszej skrytce w banku znalazłam w sobotę dwieście osiemdziesiąt tysięcy dolarów, a w niedzielę w worku golfowym jeszcze czterdzieści tysięcy. Nie wydało mi się to normalne.

W.S. gapił się na nią, zdumiony.

- Nic mi nie powiedziałaś!

- Nikomu nie powiedziałam. Pomyślałam, że Brent potrzebuje tych pieniędzy na start w Rio.

Minęło kilkanaście minut Henry siedział za biurkiem, ściskając głowę rękami.

- Pieniądze w skrytce pochodziły od Stana - mówił. - Ale te czterdzieści tysięcy w torbie golfowej...?

- Nie wiem - zapewniła Maddie.

- Zostawiłaś skrytkę tak, jak była?

- Zabrałam tylko paszport Em. Myślałam, że to on przyszedł w sobotę po klucz do skrytki, bo ktoś, kto wszedł do domu, musiał mieć klucze do drzwi i przeszukał biurko. -Przerwała; zrozumiała, że stało się coś dziwnego. - Ale przecież w sobotę wieczorem Brent już nie żył. To znaczy, że ten ktoś, kto go zabił, wszedł do mojego domu i czegoś szukał, prawda?

- Niekoniecznie... - powiedział Henry, ale W.S. przerwał mu.

- Jeszcze dziś zmienimy zamki - oznajmił. Henry potrząsnął głową.

- Ten włamywacz wcale nie musiał mieć klucza - wyjaśnił. - Specjaliści od włamań poinformowali mnie, że takie zamki jak twój da się otworzyć kartą kredytową. Masz rację, W.S. Lepiej je zmienić. - Uśmiechnął się do Maddie. - Zrób to dla własnego bezpieczeństwa.

- Dobrze. - Maddie poczuła się niepewnie. Henry nieczęsto się uśmiechał.

- A tak przy okazji... Nie masz broni, prawda? - spytał, nadal uśmiechnięty.

- Chyba przesadziłeś! - nie wytrzymał W.S.

- Nie rejestrowaliście niczego, ty ani Brent, ale zrozumiemy, jeśli okaże się, że coś mieliście.

- Nigdy nie miałam broni - oświadczyła Maddie. W.S. znów wstał.

- Wychodzimy - powtórzył.

- Chłopcze. - Henry spojrzał na niego spokojnie. - Zdaje się, że nie rozumiesz powagi sytuacji. Mam przed sobą dwójkę podejrzanych, z doskonałym motywem i bez alibi.

- Henry... - W.S. z trudem zachowywał cierpliwość. - Dlaczego mielibyśmy go zabijać, skoro wystarczyłby nam rozwód?

- Rozwódce przypada mniej niż wdowie.

- Maddie jest właścicielką ćwierci udziału w firmie. - Maddie spojrzała na niego zdumiona. Skąd o tym wie? - A ja, na wypadek, gdybyś o tym nie wiedział, jestem całkiem zamożnym człowiekiem. Rozwód nas satysfakcjonował.

Henry westchnął ciężko.

- Módlcie się, żeby na jaw nie wyszły jakieś nowe obciążające was okoliczności.

- A skąd miałyby się wziąć?

- Mam jeszcze kilka pytań...

- Poczekają. - W.S. złapał Maddie za ramię i poderwał ją na równe nogi. — Nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa. Na wszystkie pozostałe pytania ona odpowie w obecności adwokata.

- Po czyjej jesteś stronie, chłopcze? - Henry spojrzał na niego spod zmarszczonych brwi.

- Po stronie Maddie. Zawsze i niezależnie od wszystkiego. Będzie teraz musiała powiedzieć córce, że jej ojciec nie żyje, a ja powinienem znaleźć dla niej nie tylko nowe zamki do drzwi, ale i prawnika. Nie jest ci do niczego potrzebna. Cholera, nie podejrzewasz chyba, że stąd zwieje?

- Oboje zostajecie w miasteczku. Nawet nie myślcie o wyjeździe. Maddie omal się nie roześmiała. Miałyby opuścić Frog Point?

- Dokąd niby mogłabym wyjechać? - spytała.

- O mnie nie musisz się obawiać. - W.S. spoważniał nagle, zachowywał się wyjątkowo godnie. - Nie pozostawię Maddie na łasce twojej i twych głupich podejrzeń. Zakładam, że nadal mogę korzystać z gościnnej sypialni?

- Owszem. I lepiej będzie dla wszystkich, jeśli spędzisz w niej dzisiejszą noc. Trochę za wcześnie na pocieszenie wdowy, nie uważasz?

A więc od dziś jestem wdową... - pomyślała Maddie. W.S. ciągnął ją w kierunku drzwi.

- Zawiadomimy cię, kiedy znajdziemy prawnika - rzucił przez ramię wujowi i wyprowadził Maddie na schody.

Odwiózł ją do domu, cały czas zerkając na nią spod oka. Sprawiała wrażenie oszołomionej, co nietrudno było zrozumieć, zważywszy na okoliczności, i nieszczęśliwej, co też nie dziwiło, bo przecież musiała zawiadomić Em o śmierci ojca.

- Bardzo mi przykro, kochanie - powiedział, wyciągając do niej rękę. - Jasne, że chciałem, by Brent wyniósł się z naszego życia, ale przecież nie w ten sposób.

- Em strasznie to przeżyje. - Maddie ujęła jego dłoń i natychmiast poczuła się dobrze, lepiej, niż powinna się czuć w tej sytuacji. - Biedne dziecko.

- Pomogę ci. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Maddie cofnęła rękę.

- Najlepsze, co możesz zrobić, to zniknąć - oznajmiła. - Nie chcę, żebyś kręcił się w pobliżu, bo postawi mnie to w bardzo niezręcznej sytuacji.

W.S. zamarł. Zmroziła go. Jestem gotów zrobić wszystko oprócz tego, pomyślał. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, podjechali pod dom, wprost w objęcia matki Maddie.

- Dzwoniła Esther, więc natychmiast przyjechałam. Obsługiwała centralkę. Nie mogłam się doczekać, kiedy zadzwonisz. Co by się stało, gdyby Em wróciła do domu? Jakże to straszne!

Nagle dostrzegła W.S. i jej twarz stężała.

Co ja takiego zrobiłem? - pomyślał W.S. i nagle prawda uderzyła go z całą siłą. Spałem z córką tej kobiety, kochaliśmy się równie grzesznie co wspaniale i Esther z pewnością nie pominęła tego faktu w swej relacji. Pani Martindale wygląda tak, jakby interesowało ją przede wszystkim to, co grzeszne.

- Pamiętasz W.S.? - spytała Maddie, dbając, by zabrzmiało to niewinnie.

- Oczywiście. Spodziewam się, że właśnie odjeżdża.

- Miło mi widzieć panią w dobrym zdrowiu. - W.S. cofnął się o krok. - Pojadę

po zamki - powiedział. - Ile jest w tym domu drzwi wejściowych?

Maddie spojrzała na niego, na matkę i znów na niego.

- Dwoje. Frontowe i kuchenne.

Mama już nie była taka zimna i nieprzystępna.

- O co chodzi z tymi zamkami? - spytała.

- Włamywacz ma klucze - wyjaśniła Maddie. - Sądzymy, że może nim być zabójca Brenta. Jest w stanie wejść tu w każdej chwili, a my będziemy zupełnie bezradne.

Mama zbladła, zachwiała się i oparła o framugę.

- Wielkie nieba! O czym ty mówisz, Madeline?

W.S. ujął starszą panią pod ramię i zaprowadził do stojącego na ganku fotela.

- Wszystko będzie dobrze, pani Martindale - powiedział łagodnie, bardzo starając się ją pocieszyć. - Zarazjadę kupić nowe zamki, solidne, których złodziej nie zdoła otworzyć. Założę je jeszcze przed południem. Naprawdę nie ma powodu do lęku. Maddie, przynieś mamie szklankę wody.

Matka zaprotestowała, machając ręką.

- Nie, nie, nic mi nie jest. Potrzebujecie pieniędzy na te zamki. Z pewnością są drogie. Gdzie moja torebka?

- Ależ skąd! - oburzył się W.S. - To moja sprawa i ja ją załatwię. Sklepy będą zamknięte jeszcze przez mniej więcej godzinę. Pojadę tymczasem po narzędzia Henry'ego i gdy tylko zdobędę zaniki, natychmiast je zainstaluję.

- To świetnie. Wielkie nieba! - Poklepała powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą W.S. się znajdował. Całkiem zapomniała, że powinna demonstrować dezaprobatę wobec tego człowieka. - Niech pan na siebie uważa. Wielkie nieba...!

Maddie odprowadziła W.S. do samochodu, uważając, by go nie dotknąć.

- O co chodzi? - szepnął. - Twoja mama omal nie dostała ataku serca.

Maddie oparła się o samochód.

- Słuchaj, ona wie o tej nocy. Esther z pewnością wszystko jej opowiedziała. Zauważyłeś, jaka była zimna, kiedy pojawiłeś się na horyzoncie?

- Owszem, ale...

- No cóż, w każdym razie teraz uważa cię za bohatera ratującego mi życie.

Lubi cię. - Uśmiechnęła się do niego, co wypadło dość żałośnie, lecz zawsze był to uśmiech. W.S. poczuł, że robi mu się gorąco, jak zawsze, kiedy miał ją przy sobie. Wskoczył do samochodu, nim zdążył zrobić coś głupiego, na przykład rzucić ją na trawę i posiąść na oczach jej matki.

- Chwal mnie więc. Mów, że jestem wspaniały. Będziemy się przecież często widywać - powiedział.

Maddie potrząsnęła głową. Nie miała ochoty na żarty.

- Przywieź te zamki. Muszę zadzwonić do Trevy. I pojechać po Em.

Em, biedne dziecko. W.S. w całym swym dotychczasowym życiu nie poświęcał wiele uwagi dzieciom, ale tę małą bardzo polubił. Nie mógł przytulić Maddie, więc tylko skinął głową.

- Powodzenia - powiedział i odjechał.

Musi kupić zamki, owszem, ale musi także porozmawiać z Henrym, nim zdąży on popełnić jakieś głupstwo w rodzaju aresztowania przyszłej żony siostrzeńca swej żony.

- Stało się coś strasznego - szepnęła Mel, przyglądając się matce przez balustradę schodów, ale Em nie uznała tego za ważną nowinę. Ciocia Treva była blada jak śnieg; oparła się o ścianę, oddychała ciężko. Wyglądała tak, jakby lada chwila miała się rozpłakać.

- Jesteś pewna? - spytała i nagle roześmiała się, ale był to straszny śmiech. Mel wstała.

- Mamo...?

Treva przestała się śmiać, wyprostowała się, spojrzała na dziewczynki i znów jej twarz przybrała okropny wyraz.

- Muszę kończyć. One tu są. Pospiesz się - powiedziała do słuchawki, odłożyła ją i podeszła do schodów.

Mel zbiegła na dół, objęła matkę, pytała ją o coś, ale Em pozostała na górze. Telefon oznaczał, że kłopoty, jakiegokolwiek by były, nie zdarzyły się w domu Mel, ale tego się przecież spodziewała. Od początku wiedziała, że chodzi o coś, co stało się w jej domu. Poczwała, że gardło się jej zaciska. Przełknęła z wysiłkiem.

- Czy coś się stało mamie? - spytała. Ciocia Treva drgnęła.

- Nie, nie, mamie nic się nie stało - powiedziała szybko. - To ona dzwoniła.

- Ale co się stało? - dopytywała się Mel. - Nikt nam nic nie mówi. - O co chodzi?

- Czy coś się stało tacie? - chciała wiedzieć Em. Ciocia Treva spojrzała na nią z rozpaczą w oczach.

- Kochanie, mama będzie tu za kilka minut. Zaraz...

- Co się stało tacie? - Em zrobiło się zimno ze strachu, nawet Phoebe, która podeszła i usiadła obok, nie potrafiła jej pocieszyć. - Coś mu się stało, prawda?

Ciocia Treva zbliżyła się i ujęła jej rękę ponad balustradą schodów.

- Zaraz przyjedzie mama, kochanie.

Nigdy przedtem nie mówiła do niej „kochanie”!

- Coś się stało tacie?

- Nie żyje? - spytała Mel.

Ciotka cofnęła rękę, Em poczuła ogarniającą ją grozę. Czwała ciężar na piersi, nie mogła oddychać...

- Idź na górę. Natychmiast! - krzyknęła Treva do córki.

- Tata żyje, prawda? Tylko coś mu się stało?

- Mama...

- Tata żyje!

Jej ciocia - przyszywana, ale przecież kochana - pokręciła głową, tak jakoś dziwnie, i dziewczynka pomyślała: Tata nie żyje... tata umarł... nie mam taty.

- Nie! - krzyknęła.
- Bardzo mi przykro, kochanie, mama zaraz przyjedzie - powiedziała ciocia.
Weszła po schodach, objęła ją i przytuliła mocno.
Em siedziała na stopniu, ciocia przytulała ją z jednej strony, Phoebe tuliła się do niej z drugiej, i tak doczekała przyjazdu mamy.
- Tata żyje - powiedziała, kiedy zobaczyła matkę. Maddie podeszła do niej i wtedy Em rozplakała się, bo jej słowa nic nie mogły zmienić. Tata nie żył. Nie żył.

Udało im się jakoś dojechać do domu. Maddie przez całą drogę trzymała córkę za rękę, próbowała pocieszyć ją jakoś, mówiła coś, a Em płakała. Phoebe zlizywała jej łzy z policzków.

- Niech Bóg błogosławi W.S. za to, że dał jej tego psa - szepnęła do matki, kiedy dojechały do domu i mogła wreszcie się do niej przytulić. - Phoebe pomoże jej najlepiej.

Matka skinęła głową. Wyglądała żałośnie.

- Co zrobić, żeby tak nie płakała?

- Musi się wypłakać - odparła Maddie, świadoma tego, że sama nie przelała jeszcze łez.

Czy to źle, że nie opłakuje Brenta? Przecież nie był taki najgorszy. Bywał nawet miły, i kiedy wpadał w dobry humor, czasami świetnie się bawili. Kochał Em. I ją pewnie też, na swój sposób. Kiedy zażądała rozwodu, po historii z Beth, obiecał jej, że to się więcej nie powtórzy. „Nie potrafię bez ciebie żyć, Maddie” - mówił. Walczył jak lew, żeby utrzymać małżeństwo, prosił, błagał i męczył ją, aż wreszcie zdecydowała się z nim zostać. Nie pragnęła jego śmierci, ale chyba nie umiałaby po nim płakać. Co innego Em... Przyłożyła policzek do główki córeczki, tuliła ją, aż Em ucichła.

- Kocham cię, moja mała, kocham cię, kocham, kocham... - powtarzała.

Em westchnęła i przywarła do niej.

Matka Maddie weszła to pokoju, dźwigając tacę.

- Przyniosłam ci kakao, Emily - powiedziała. - I ciasteczka. I psie herbatniczki dla Phoebe. Wygląda na bardzo głodną.

Em nie uniosła głowy.

Zadzwoił telefon. Matka poszła go odebrać, a Maddie tymczasem patrzyła, jak Phoebe usiłuje się wspiąć po nodze dziewczynki na jej kolana. Uniosła ją wreszcie za pupę, a Em objęła szczeniaka, chroniąc go przed upadkiem.

Phoebe wierciła się, węszyła, obserwująca ją dziewczynka uspokaja się powoli, oddycha równiej i w końcu przestaje szlochać.

Dzięki niech będą Bogu! - pomyślała Maddie. Gdyby W.S. niczym innym się nie zasłużył i tak była mu winna dozgonną wdzięczność. Za pieska.

Matka weszła do pokoju. Wyglądała staro i bezradnie.

- Dzwoni Leo, z warsztatu. Powiedziałam mu, że to niedobry moment, ale on chce z tobą zaraz rozmawiać.

- O czym? - Ostrożnie zdjęła z kolan córkę i psa, posadziła oboje na kanapie i podeszła do telefonu. Matka natychmiast zajęła miejsce obok wnuczki.

Leo nie bawił się w długie wstępy.

- Musi pani opróżnić samochód. Za godzinę przyjedzie facet z ubezpieczeń, żeby go odholować. Ma tam pani coś, co chciałaby pani zabrać?

Civic! Zapomniała o nim na śmierć. Kiedy zdarzył się ten wypadek? Chyba z tysiąc lat temu... Cztery dni czy tysiąc lat...

- Facet z ubezpieczeń chce to załatwić dzisiaj, więc zaraz tu będzie - mówił Leo. - Jeśli chce pani coś zabrać, proszę przyjechać natychmiast.

- Chwileczkę, niech pomyślę. - Maddie stanęła w drzwiach do dużego pokoju.

- Em, zostawiłaś coś w samochodzie? W hondzie?

Mała skinęła głową.

- Lalki Barbie. I książki o psach, te z biblioteki.

- W porządku. Zaraz je przywiozę.

- Mamy nie będzie tylko przez chwilę - powiedziała babcia, ale Em i tak się rozplakała.

- Zaraz przyjadę - powiedziała Maddie do słuchawki. - Niech nie zabierają samochodu, póki się nie pojawię. - Rzuciła słuchawkę. Z półki w szafie zdjęła dużą skórzaną torbę, z podłogi podniosła płócienną torbę na lalki.

- Uważaj, kochanie - poprosiła jej matka, kołyszając w ramionach zapłakaną wnuczkę.

- Kocham cię, Emmy. - Maddie pocałowała córkę, odgarnęła jej włosy z czoła.

- Zaraz wracam i znów będziemy razem.

- Jedź już. Pospiesz się - ponagliła babcia.

Honda stała na tyłach warsztatu. Skryta w chaszczach, sprawiała wrażenie opuszczonej i martwej. Kiedy Maddie ją zobaczyła, omal się nie rozplakała, co ją przestraszyło. Jak może

plakać po samochodzie, gdy śmierć męża nie wywołała jej łez? Musi być złym człowiekiem. A może płacze po samochodzie z powodu śmierci męża?

- Bardzo mi cię żal, bardzo - powiedziała głośno.

Poczuła się głupio, bo kto przemawia do samochodu? Podniosła zgniecione drzwi bagażnika i przede wszystkim zobaczyła kilka lalek Barbie, gapiących się na nią, z namalowanymi na buziach uśmiechami. Bagażnik wyglądał jak szpital dla chorych na anoreksję zaatakowany przez tornado. Schowała lalki do płóciennej torby i uniosła wykładzinę, by sprawdzić, czy któraś nie wpadła głębiej.

Barbie nie znalazła, lecz w oczy natychmiast rzuciły się jej paczki banknotów. Było ich zatrzęsienie.

- O, cholera! - jęknęła. Zatrzasnęła drzwiczki i przysiadła na naderwanym zderzaku.

Jeśli przyjrzeć się temu z dystansem, pomyślała, cała ta sprawa wygląda nawet zabawnie. Pieniądzy było tyle, że z trudem uznała je za prawdziwe.

Przypominało to już raczej grę w „Monopol”. Bogacę się tak szybko, że za chwilę będą mogła pozwolić sobie na Boardwalk i Park Place. Bardzo śmieszne. Brent nie żyje.

Złożyła głowę na kolanach i spróbowała coś wymyślić. Musi zabrać te pieniądze do Henry'ego. Zawiezie mu je i powie, gdzie je znalazła.

„I módlcie się oboje, żeby nie pojawiły się jakieś nowe obciążające was dowody” - powiedział Henry. Ale to nie będzie się chyba liczyć za dowód. To forsa Brenta. Musiał ją tu schować. Wiedział, że samochód postoi jakiś czas w warsztacie. Doskonałe miejsce na ukrycie pieniędzy!

Marnie to wszystko wygląda.

- W porządku, pani Faraday?

Maddie podniosła głowę. Leo stał przed nią w poplamionym smarami kombinezonie, pełen sympatii, lecz z wyrazem niecierpliwości na twarzy.

- Tak, Leo, wszystko w porządku.

- Skończyła pani? - Kiwnięciem głowy wskazał rozbity samochód.

- Prawie. - Uśmiechnęła się najpogodniej, jak potrafiła, lecz zaraz przypomniała sobie, że jest wdową i przybrała stosowną minę. - Zaraz skończę. Potrzebuję jeszcze tylko chwilki czasu.

Patrzyła, jak odchodzi w kierunku warsztatu, a kiedy znikł jej z oczu, otworzyła bagażnik, wyjęła lalki z płóciennej torby, wypchała ją pieniędzmi, przy okazji licząc paczki. Dwieście trzydzieści, po tysiąc dolarów każda. Na razie trzeba się po prostu wynieść stąd jak najszybciej. Zamknęła torbę i pośpiesznie uporządkowała zabierane przedmioty, starając się o niczym nie myśleć. Barbie do skórzanej torby. Sprawdzić pod siedzeniami, schować książki, zmieszczą się obok lalek. W ostatniej chwili przypomniała sobie o półeczce przed siedzeniem pasażera. Apteczka, mapy, guma do żucia, okulary przeciwsłoneczne, pistolet...

- O, cholera!

Rzeczywiście, trzymała w dłoni pistolet, na którym znalazły się właśnie odciski jej palców. Wytarła broń rąbkiem podkoszulka i schowała do torby z pieniędzmi. To już nie robota Brenta! Nie schowałby broni w skrytce samochodowej. Najprawdopodobniej zastrzelono go z tego pistoletu.

Musi znaleźć kilka spokojnych godzin na przemyślenie wszystkiego, zanim powie cokolwiek komukolwiek. Musi pomyśleć, bo co do jednego nie ma wątpliwości: wygląda to źle. Henry z pewnością zakwalifikuje broń i pieniądze jako dowód przeciwko niej. Może pójść do więzienia. Nie da się zamknąć w więzieniu, bo ma córkę, która może stracić zmysły, gdy rozejdzie się wieść, że matka zamordowała jej tatusia. Bogu niech będą dzięki za lalki Barbie i książki! Gdyby nie one, pistolet i pieniądze znalazłby ktoś inny, kto zadzwoniłby od razu na policję, i Em nie miałyby już żadnej szansy.

Maddie po raz ostatni zatrzasnęła drzwiczki swej starej hondy. Myślała o córce, o jej zapłakanej buzi, o samochodzie i o kimś, kto na nią poluje. Oparła głowę o dach samochodu

i rozplakała się wreszcie. Płakała nad Brentem i nad sobą, ale przede wszystkim nad losem dziecka, które straciło ojca, a może stracić i matkę, jeśli matka nie okłamie całego miasta.

Kiedy Maddie wjechała na podjazd starym kombi Anny, W.S. zakładał zamek do drzwi kuchennych. Zatrzymała się i pomachała do niego, cały czas zastanawiając się intensywnie. Torby, ta z pieniędzmi oraz bronią i ta z lalkami, leżały na tylnym siedzeniu, ale nie mogły tam przecież pozostać; jeśli Anna znajdzie broń, dostanie ataku serca albo pistolet wystrzeli, kiedy samochód podskoczy na wyboju i zabije jakiegoś przypadkowego przechodnia. Mniej więcej tyle zdążyła sobie wyobrazić, potem musiała już wysiąść i udawać, że wszystko w porządku.

Jesteś wdową, powiedziała sobie. Pamiętaj o tym. Jako wdowa, wyglądała mniej więcej w porządku, bo przecież popłakała się przed chwilą.

Em i Phoebe obserwowały pracującego uważnie W.S.; dziewczynka posłusznie podawała mu narzędzia, od czasu do czasu ocierając łzy z policzków grzbietem brudnej rączki.

- Prawie skończone - oznajmił W.S., uśmiechając się pogodnie. - Szybko to idzie, bo Emily bardzo mi pomaga.

Dziewczynka skinęła głową i zamknęła oczy, lecz spod powiek i tak pocięły łzy, które musiała wytrzeć. W.S. udał, że nic nie dostrzega, pracował z zapałem. Maddie pocałowała córkę w czubek głowy.

- Kocham cię - powiedziała. Em pociągnęła nosem.

- Jest świetnym pomocnikiem. Zawsze wie, czego potrzebuję. - W.S. spojrzał na Maddie. - Nic ci nie jest? - spytał.

Pomyślała: Nic poza tym, że moje dziecko cierpi, a mnie ktoś chce zrobić w morderstwo.

Powinna powiedzieć o pieniądzach. Jemu albo komuś innemu. „Słuchajcie, znalazłam blisko ćwierć miliona dolarów

w bagażniku samochodu, który właśnie idzie do kasacji. Nie, nie mam pojęcia, co to za pieniądze i skąd się wzięły. A dlaczego pytacie?”

Musi to wszystko przemyśleć.

Skinęła W.S. głową.

- W porządku - powiedziała, ale myśli miała zajęte znaleziskiem.

W domu nie było odpowiedniego miejsca, by ukryć takie mnóstwo pieniędzy. Ktokolwiek umieścił je w civicu, wpadł na dobry pomysł.

Weszła do kuchni, w której królowała matka, zajęta gotowaniem. Wyjrzała przez okno. Za kombi stał sobie jakby nigdy nic czerwony kabriolet W.S.

Nie wydał się jej wymarzoną kryjówką, ale lepsza taka niż żadna.

- Załatwiłaś swoje sprawy?

- Prawie - odparła Maddie, całując matkę w policzek. - Co gotujesz?

- Zupełnie. Ludzie będą cię odwiedzać. Esther i Irma już przyniosły zapiekanki.

Ach, był tu także ten miły Vince, przyszedł po jakieś pieniądze. Nic o tym nie

wiem, więc powiedział, że wpadnie później.

- Pieniądze...? - Maddie omal się nie przewróciła. Jakim cudem Henry już się dowiedział? Och! Chodzi oczywiście o te czterdzieści tysięcy dolarów w torbie golfowej. - A tak, rozumiem. To sprawy Brenta.

- Dlatego został... został zabity? Przez pieniądze?

- Naprawdę nie wiem, mamó. Spróbuj o tym nie myśleć.

Odwróciła się i wyszła na podjazd. Kombi zasłaniało mustanga, z ganku nie było go widać. Maddie otworzyła bagażnik kabrioletu. Usunęła na bok znajdujące się tam przedmioty: podnośnik, kable do akumulatora, koc, latarkę, podniosła dywanik i odsłoniła koło zapasowe. Wyjęła je i wrzuciła do bagażnika samochodu mamy. Zastąpiła je pieniędzmi wysypanymi z torby; przy okazji wypadł także pistolet, musiała schować go z powrotem. Nakryła paczki banknotów dywanikiem, rozłożyła na nim wszystko mniej więcej tak, jak leżało poprzednio, a torbę z bronią zabrała do domu.

Ręce jej drżały. Cała operacja nie zajęła więcej niż pięć minut, a jednak miała wrażenie, że trwała pięć lat.

- Jak się czujesz? - spytał W.S., kiedy przechodziła obok niego.

- Kiepsko. Miałam ciężki dzień.

Zadzwonił telefon. Henry wzywał W.S., który powiedział krótko:

- Tak jest, już jadę - po czym pożegnał się z mamą i Em, a Maddie pocałował przyjacielsko. - Przepraszam, muszę lecieć. Wrócę później i założę zamek do drzwi frontowych.

- Zaczekaj - zawołała Maddie. - Zabierz tę torbę z pieniędzmi. Vince nie będzie musiał po nią wracać.

- Czterdzieści tysięcy w torbie golfowej... - W.S. pokręcił głową. - Na przyszłość radzę opracować lepszą lokatę. - Pocałował ją raz jeszcze, tym razem odrobinę mocniej, wyszedł kuchennym wyjściem i ruszył w stronę samochodu. Po drodze zagadał do Em.

I tak pożegnaliśmy się z pieniędzmi, pomyślała Maddie. Sprawiedliwie: łatwo przyszło, łatwo poszło.

Odwróciła się i dostrzegła, że matka przygląda się jej uważnie.

- O co chodzi? - spytała.

Mama próbowała udawać groźną, ale była zbyt zdenerwowana, by zrobić to przekonująco.

- Maddie, od jak dawna zadajesz się z tym mężczyzną? Maddie westchnęła ciężko.

- W piątek pocałowałam go po raz pierwszy od dwudziestu lat. Jeśli trzy dni można uznać za zadawanie się od dawna, proszę bardzo.

- To po prostu okropne.

- Przykro mi, mamó. - Musi sprawdzić, co z Em. Najwyższy czas. -

Powinniśmy poczekać do rozwodu.

- Czy Brent pobił cię przez niego?

- Mamó! - Musi udawać urażoną. - Przecież wiesz, że wpadłam na drzwi.

Mama wróciła do gotowania.

- Nie jestem taka głupia, na jaką wyglądam. Przecież całe miasto wie, że nie wpadłaś na drzwi.

No tak. Będzie musiała poradzić sobie jakoś z matką, ale teraz trzeba zająć się Em.

Wyszła przed dom w samą porę, by zobaczyć, jak Phoebe zeskakuje z kolan jej córki i biegnie przez podwórko. Dziewczynka ruszyła za nią, smutna, przygarbiona. Maddie usiadła przy starym stole piknikowym. Przyglądała się im. Rozmyślała.

Trzy dni temu siedziała przy tym samym stole z W.S. Brent jeszcze żył, ale jej świat rozpadł się już wówczas. Nie było to jednak aż tak bolesne jak teraz, gdyż teraz mała miała złamane serce. Maddie uświadomiła sobie nagle, że gdyby Em w podobny sposób miała przeżywać rozwód, to nigdy by do niego nie doszło. Nie potrafiłaby tak skrzywdzić dziecka.

- Chodź, kochanie. Przywiozłam książki i lalki. Są teraz w twoim pokoju – powiedziała.

- Dziękuję, mamu. - Em rozszlochała się rozpaczliwie.

- Płacz - powiedziała Maddie, biorąc ją na kolana. - Płacz. A ja będę cię przytulać.

- W nocy... tak strasznie się bałam. Wiedziałam, że stało się coś złego. Chcę do taty!

Maddie czuła się winna, tak bardzo winna. Jej dziecko cierpiało męki strachu, a ona śmiała się, leżąc w objęciach obcego mężczyzny. Za wszystkie przyjemności trzeba zapłacić, pomyślała. Powinna wiedzieć, że we Frog Point najkrótsza nawet chwila szczęścia to grzech. Nie byłoby tak źle, gdyby koszty tej przyjemności płaciła tylko ona, ale to przecież Em cierpiała w samotności, bała się i nie znalazła przy sobie matki, która mogłaby ją pocieszyć.

- Nie chcę więcej nocować u Mel - oznajmiła dziewczynka.

- Nie będziesz.

- I nie chcę jeździć na farmę.

- To nie pojedziemy.

- Chcę być tu. Z tobą.

- Już nigdy nie zostawię cię samej. Zawsze będę przy tobie, przysięgam. Tak mi przykro, malutka. Obiecuję, że już zawsze będę przy tobie.

W.S. stawał się właśnie przeszłością. Nic nie można na to poradzić.

Najważniejsza była Em. która wkrótce usłyszy wiele. Niech przynajmniej nie dotrą do niej plotki. Oni oboje są dorośli, poradzą sobie jakoś, Em jednak nie poradzi sobie bez matki.

W.S. to przeszłość.

- Córeczko... - szepnęła Maddie i rozplakała się.

13

- Założyłem nowy zamek do drzwi kuchennych - powiedział W.S., po raz kolejny pokonując schody prowadzące do biura Henry'ego. - A ty bądź uprzejmy złapać jak najszybciej tego sukinsyna; wolę, by moje wysiłki okazały się niepotrzebne.

- Siadaj! - warknął Henry.

No tak, teraz wuj wygarnie, co ma do powiedzenia, i nie będzie to nic miłego.

- Ona tego nie zrobiła! Z całą pewnością nie zrobiła! -zawołał.

- Brent został zastrzelony na Point, we własnym samochodzie. Odciski palców Maddie są wszędzie. - Henry uniósł dłoń, tłumiąc w zarodku próbę protestu W.S. - To, oczywiście, zrozumiałe, bo to przecież także jej samochód. Znaleźliśmy również odciski palców ofiary i trochę innych, zamazanych, które najpewniej na nic się nie przydadzą. Na kierownicy oraz drzwiach przednich i tylnych mamy też kilka wyraźnych śladów, nieznaney jeszcze osoby, którą teoretycznie możemy uznać za kolejnego podejrzanego.

- To mogą być moje odciski - powiedział W.S. - W piątek wieczorem oboje pojechaliśmy na Point samochodem Brenta. Nie znaleźliście przypadkiem guzików na tylnym siedzeniu?

- A tak, owszem, znaleźliśmy.

- Też moje. W tym mieście nie sposób kupić przyzwoitej koszuli. Od tych, które są w sklepach, guziki same odpadają.

Henry nie sprawiał bynajmniej wrażenia rozbawionego.

- Przestań się wygłupiać - powiedział krótko. - Jeśli to twoje odciski, to samochodu używały trzy osoby.

- Trzy osoby beztrioskie i jedna planująca morderstwo.

- I gdzie niby miała się podziać ta jedna? Bailey przysięga, że nikt nie przeszedł ani nie przejechał przez teren firmy po tym, jak Brent wjechał na Point.

- I ty mu wierzysz? - W.S. potrząsnął głową. - Przecież Bailey'a da się kupić za pięć dolców. A propos: próbował szantażować Maddie za ten wypad ze mną. Może zechcesz wspomnieć o tym, kiedy następnym razem będziesz z nim rozmawiał?

- To dureń. - Henry zbył Bailey'a pogardliwym machnięciem ręki. - Na błotnistej drodze nie ma żadnych odcisków stóp, a ta droga chłonie wodę jak gąbka. Kiedy cadillac wjeżdżał na górę, padało, mamy odciski opon. Ale wiemy też, że nikt nie zszedł tą drogą na dół.

- No więc zszedł żwirowym poboczem.

- Bailey nie widział żadnej czwartej osoby - powtórzył Henry.

- Albo przez las. Żaden problem, zwykły spacer.

- Owszem, w lesie są ślady. Małe, kobiece. Będziemy musieli obejrzeć tenisówki Maddie.

- Doskonale! - zirytował się W.S. - Sprawdźcie, ale ja wiem, że ona jest niewinna. Jej tenisówki z pewnością okażą się równie czyste co sumienie. Wtedy zaczniecie wreszcie szukać prawdziwego...

Henry walnął w biurko z trzaskiem, który nawet Esther mógł rozerwać bębenki w uszach.

- W.S., słuchaj, co się do ciebie mówi, do jasnej cholery! Chodzi o faceta, który zdradzał żonę, bił ją i zgromadził kupę forsy, którą schował w skrytce bankowej. Facet ginie, a kiedy dzwonię zawiadomić o tym wdowę, okazuje się, że figluje ona w łóżku z innym mężczyzną. I teraz powiedz mi, kto według ciebie zamordował Brenta?

- Zapominasz, o kim mowa. O Maddie.

- Zastanów się! Ta kobieta tak zawróciła ci w głowie, że nie umiesz myśleć rozsądnie.

- Ale wiem, że nie zabiła tego swojego cholernego mężul-ka. - W.S. czuł się zbulwersowany słowami wuja, tym bardziej że brzmiały aż nadto dorzecznie.

- Jeśli jesteś pewny winy Maddie, dlaczego jej nie aresztujesz? - spytał.

- Ponieważ nie mam broni, z której zastrzelono ofiarę. I nie mam żadnego dowodu, że Maddie zeszła lasem z tego wzgórza. Nie wiem też, dlaczego taki facet jak Brent Faraday dał wsadzić sobie lufę w ucho. nie próbując nawet stawiać opora. Jest w ogóle cała kupa rzeczy, o których nie mam pojęcia, ale i tak Maddie na razie najlepiej pasuje do roli zabójczyni.

- A co z kochanką Brenta? - W.S. gotów już był chwycić się brzytwy. - Ją też miał zamiar zostawić. A co ze współnikiem oszustwa? Zamierzał porzucić go na pastwę losu. Henry, do diabła, przecież zaledwie zacząłeś śledztwo. Szukaj prawdziwego winnego. A Maddie zostaw w spokoju. Wstał. Henry spojrzał na niego krzywo.

- Nie proszę o radę. A Maddie to ty zostaw w spokoju. Jest niebezpieczna. W.S. westchnął ciężko.

- Nie martw się. Nie zastrzeli mnie. Nie zastrzeliła swego męża i mnie też to nie grozi.

- O tym nie mówię, choć warto, oczywiście, pamiętać, że jej mąż zginął nagłą śmiercią. Chodzi mi o to, że głupiejesz przy niej. Zapnij spodnie i zacznij wreszcie myśleć, dobrze?

W.S. pochylił się. Mówił głośno i wyraźnie. Chciał, by wuj pojął, że nie w głowie mu żarty.

- Mam zamiar się z nią ożenić. Będziemy mieszkali we trójkę tuż obok was. Maddie i Em wejdą do rodziny. Przestań więc zajmować się nią, a zacznij szukać prawdziwego zabójcy Brenta.

Henry spojrzał na niego, nie maskując obrzydzenia.

- Nie nauczyłeś się o kobietach niczego od czasu, kiedy skończyłeś dziesięć lat
- Chrzanisz! - W.S. zdenerwował się nie na żarty, bo wcale nie był pewien, czy wuj się myli.

W godzinę później Maddie zaniósła zmęczoną córkę na górę i siedziała przy jej łóżku, póki mała nie zasnęła. Treva zadzwoniła do niej i zaproponowała, że przyjdzie, ale Maddie odłożyła spotkanie na później. Em powinna się wyspać, ona powinna posiedzieć w samotności, uporządkować sprawy, choćby w myślach.

Najważniejsze jest bezpieczeństwo dziecka, zdecydowała. Tak więc ona sama musi być poza podejrzeniami. Koniec z W.S., no i oczywiście nie może się dać aresztować.

To ostatnie mogło jednak okazać się trudne, jako że ktoś najwyraźniej usiłował zrobić ją w zabójstwo Brenta. Ktoś podłożył do jej samochodu pieniądze i broń. Co spodziewał się przez to osiągnąć? Wszystko co odziedziczyła po Brencie, stałoby się po prostu własnością Em, a zatem nie chodzi o pieniądze. Straci córkę... Może w tym rzecz? Przez chwilę rozważała myśl o Helenie Faraday, obciążającej ją winą za śmierć syna. by móc wychowywać wnuczkę, ale było to po prostu niedorzeczne. Przede wszystkim Helena musiałaby wiedzieć o pieniądzach, a trudno uwierzyć, że Brent poinformował rodziców o ich istnieniu. Poza tym Helena musiałaby stoczyć walkę o Em z drugą babcią, a w tej walce nikt nie dałby jej nawet cienia szansy. Owszem, żadna była pieniędzy i władzy, ale Martha Martindale walczyłaby o rodzinę jak lwica. Wykluczmy więc Helenę. Sprawcą musiał być ktoś spoza rodziny, ale doskonale poinformowany, ktoś, kto wiedział na przykład, że Maddie miała wypadek, a jej samochód trafił na złomowisko u Lea. No tak, lecz o tym wiedziało całe miasto.

Jedynym rozsądnym powodem, dla którego ktoś chciał obciążyć winą Maddie, wydawała się chęć odwrócenia podejrzeń od siebie.

Pocieszające, że nie było w tym nic osobistego.

Maddie ukryła twarz w dłoniach. Za mało wiem, powiedziała sobie. Nie miała pojęcia, skąd wzięły się pieniądze, do kogo należał pistolet; nie wiedziała w ogóle nic. Czy znaczy to, że powinna wtajemniczyć we wszystko Henry'ego? „Nie mów mu nic!” - przykazał W.S. kiedy wrócił z zamkami. -

„Wpadł na skrajnie idiotyczny pomysł, jakobyś to ty zabiła Brenta.

Weźmiemy prawnika i pamiętaj: nie rozmawiaj z Henrym!”

Fajnie. Orzeł czy reszka? Nie mówić nic to nie takie trudne, znacznie trudniej wiedzieć, że się wie.

Co będzie najlepsze dla Em? - zadała sobie pytanie. Em nie może jej stracić, jeśli więc jest choć najmniejsza obawa, że straci ją przez pieniądze, pieniądze muszą zaczekać. Pomyśli o nich później.

Na razie należy się zastanowić nad tą cholerną bronią. Musi ją gdzieś schować.

Maddie, upewniwszy się, że matka odpoczywa w dużym pokoju, zabrała

torbę z pistoletem do kuchni. Otworzyła lodówkę. Na najniższej półce ujrzała dwa naczynia z zapiekankami.

Wybrała te wyglądającą gorzej, ale tylko dlatego, że naczynie było głębsze. W jednej z szuflad znalazła zamykaną torebkę plastikową; przełożyła do niej pistolet, ujmując go przez papierowy ręcznik. Następnie łyżką rozgarnęła zapiekanke, makaronową z frytkami.

Przyjrzała się daniu z niedowierzaniem. Czyżby ktoś sądził, że przyniesie to ulgę pogrążonej w bólu rodzinie? Nie pomylił się aż tak bardzo, nikt przy zdrowych zmysłach nie tknie nawet tego obrzydlistwa. Ale właśnie dlatego jest to doskonała kryjówka! Wsadziła torebkę z pistoletem w potrawę, przykryła warstwą kruchego makaronu i przypalonych frytek, przyklepała i schowała z powrotem do lodówki. Wyjęta część zapiekanki powędrowała w miejsce dla niej najodpowiedniejsze: do śmieci.

Tę zapiekanke może później oddać Trevie, wraz z kilkoma innymi specjałami, żeby je dla niej zamroziła. Niska temperatura nie zaszkodzi broni, a broń wyniesiona poza dom nie zaszkodzi jej. Załatwiła najważniejszą sprawę. Poczowała ulgę, poszła na górę i położyła się obok śpiącej Em.

O szóstej, po kilkunastu telefonach i jeszcze dwóch zapiekankach - telefonami i zapiekankami zajęła się mama - Maddie usłyszała trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Przyjechali Basse-towie. W komplecie - Treva, Howie, Mel i Trzeci. Treva przywiozła kilka bagietek, wręczyła je matce Maddie, która wyszła z kuchni, powiedziała „dzień dobry” i natychmiast znikła.

Em siedziała na kanapie, tuląc do siebie Phoebe. Była oszołomiona, bezradna - dziecko, które płakało za długo i chętnie rozplakałoby się znowu, ale brakowało mu na to energii. Mel spojrzała na przyjaciółkę wielkimi oczami, podeszła, usiadła obok i objęła ją.

— Kocham cię, Em — powiedziała.

Em położyła jej głowę na ramieniu.

- Cześć, mała - powiedział. - Dobrze się czujesz?

- Nie - odrzekła cicho dziewczynka, potrząsając głową. - Mój tata nie żyje.

- Wiem. Bardzo mi przykro.

Skinęła głową i przytuliła Phoebe tak mocno, że szczeniak aż pisnął.

- Chyba powinna wyjść na dwór - wyraził przypuszczenie Trzeci. - Chodźmy do ogródka.

We trójkę ruszyli do wyjścia. Ucieszony psiak plątał się im pod nogami.

Maddie już miała krzyknąć „nie!”, kiedy przypomniała sobie, że nie musi już martwić się o to, że mąż porwie jej córkę. Brent nie żyje.

- Jak się czujesz? - Treva pociągnęła ją na kanapę. - Dobrze?

- Nie. - Usiadła wygodnie, brakowało jej energii, by zrobić cokolwiek innego.

A tyle przecież miała do zrobienia. - To takie okropne.

- Przyniosę wam drinka. - Howie wycofał się do holu.

- On cię bardzo lubi - powiedziała Treva. - Tylko nie znosi takich spotkań.

- A kto znosi? Żałuję, że Brent nie żyje. Rozwód byłby lepszy.

- Ciii...! - Treva złapała ją za rękę. - Oszalałaś? Przecież właśnie zamordowano ci męża. Ani słowem nie wspominaj o rozwodzie!

Maddie skinęła głową.

- Nie powinnam, wiem. Można by pomyśleć, że człowiek będzie się przejmował wyłącznie tym strasznym morderstwem, ale tak naprawdę pamięta się tylko o szczegółach... Tyle jest rzeczy do zrobienia... - Spojrzała na przyjaciółkę. - Nie masz pojęcia, jak strasznie skomplikowało mi się życie. Do pokoju wrócił Howie z tacą i trzema szklaneczkami.

- Jest tylko whisky - oznajmił.

- Doskonale. Nalej Maddie. Do pełna - zarządziła Treva. Zadzwoił dzwonek przy drzwiach. Howie poszedł otworzyć, nie ukrywając ulgi. Okazało się, że to Gloria. Z zapiekanką. Weszła do pokoju, chuda, blada, w najlepszej niebieskiej sukience Laury Ashley, przyciskając naczynie z zapiekanką do piersi. Oczy miała zaczerwienione.

- Maddie... właśnie się dowiedziałam... Jeśli mogłabym jakoś ci pomóc... - Nie udawało się jej dokończyć żadnego zdania.

- Dziękuję ci z całego serca, Glorio. Bardzo się cieszę, że przyszałaś. O, i zapiekanka? Naprawdę... - Zaprowadziła Glorię z jej podarunkiem do kuchni, gdzie jedno i drugie zrzuciła na głowę mamie.

- Przez kilka następnych dni będę te słowa powtarzać z tysiąc razy - powiedziała, wracając do pokoju. - Powinnam wydrukować je na ozdobnych bilecikach i wręczać kolejnym osobom.

- Co się dzieje z tą kobietą? - spytała Treva.

- Myślę, że miała swoje plany co do Brenta.

Czy morderczynią może być Gloria? Gloria w koronkowych majteczkach bez kroku? Gloria strzelająca w łeb swemu kochankowi?

Dzwonek zadzwonił znowu.

- Zapiekanki dobrze się zamrażają - zauważyła Treva.

- Świetny pomysł - odparła Maddie. - Dam ci kilka, dobrze?

Trzy zapiekanki i dwa ciasta, później pojawili się Helena i Norman Faradayowie i zaczęło się prawdziwe piekło.

Norman był zdruzgotany; jego oczy w czerwonych obwódkach wydawały się jeszcze bardziej wylupiaście niż zwykle. Maddie nigdy nie uważała go za przystojnego, ale zawsze promieniował energią i pewnością siebie; był tak władczy, że nikt nie zauważał braków urody. Tymczasem dziś wszedł do pokoju krótkim, niepewnym krokiem. Energia i pewność siebie znikły bez śladu. Kiedy skończyły się jego marzenia o osiągnięciu nieśmiertelności przez syna, Norman okazał się małym sześćdziesięcioletnim grubaskiem w opadających spodniach, słabym i zagubionym w rzeczywistości. Maddie było

go strasznie żal.

- Przykro mi, Norman - powiedziała.

- Źle traktowałaś mojego chłopca - odparł, ale w jego drżącym głosie nie było złości.

Za to Helena była wściekła za ich oboje. Nie, ona nie potrafiła się garbić; zawsze dumnie wyprostowana, teraz wyprostowała się jeszcze bardziej, zacięta w dumie mimo cierpienia, a może właśnie przez nie. Spojrzała w oczy synowej z taką nienawiścią, że Maddie cofnęła się o krok. Przypomniała sobie, co stało się rano. Dzięki Esther wszyscy wiedzieli już, że noc spędziła z W.S. Przez moment pożałowała rodziców Brenta. Gdyby ktoś skrzywdził Em, byłaby chyba równie bezlitosna.

Oczywiście, to Brent pierwszy dopuścił się zdrady, ale on nie żył. więc o czym tu mówić? Maddie zaś pozostanie w oczach teściowej cudzołożnicą, za co nienawidzić jej będzie aż do śmierci i do śmierci będzie jej to okazywać.

- Dzień dobry, Heleno - powiedziała mimo to.

- Nie mam ci nic do powiedzenia - odparła Helena i odeszła, by przysiąc się do Em.

- Teraz napiję się whisky - poinformowała Maddie Ho-wiego.

Helena wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby. Pochylona nad wnuczką, nie spuszczała z synowej gniewnego spojrzenia.

Em nie potrafiła skupić na niczym myśli. Za każdym razem, kiedy próbowała czymś się zająć, przypominała sobie, że tata nie żyje, i było to straszne, nieznośne, najgorsze ze wszystkiego. Tej świadomości nie była w stanie znieść, więc po prostu przestała w ogóle myśleć. Mel i Trzeci poszli na lody, prosili, żeby wybrała się z nimi, a kiedy odmówiła, obiecali, że jej przyniosą. Teraz siedziała na kanapie bierna, ociężała. Ludzie wchodzili i wychodzili, przynosili coś do jedzenia, rozmawiali cicho i przyglądali się jej ze współczuciem. Chciała wyjść z Phoebe do ogródka, chciała usiąść na kolanach mamy, przytulić się do niej, chciała przytulić się do taty, ale tata nie żył, więc musi tu zostać.

Babcia Helena zamieniła kilka słów z mamą, podeszła do niej i usiadła. Em pożałowała, że nie wyszła jednak do ogródka.

- Nie wolno ci nigdy zapomnieć ojca - powiedziała babcia Helena.

O co jej chodzi? Jakim cudem mogłaby zapomnieć tatę?

- Musisz pamiętać go jako człowieka bardzo ważnego i bardzo dobrego. -

Babcia wzięła ją za rękę. Zawsze pachniała perfumami, ale nie kwiatami, tylko tak sztucznie, i teraz, kiedy się pochyliła, Em zemdliło od tego zapachu.

- W tym mieście twój tata był bardzo ważny. Nie wolno ci zapomnieć, że jesteś jego córką. Nie zawieź go.

Em skinęła głową, bo to wydało się jej łatwiejsze niż wyjaśnianie, że nie obchodzi jej, jaki tata był ważny, że chciałaby, aby po prostu żył. Próbowała przesunąć się trochę, ale babcia mocniej ścisnęła jej rękę.

- Pamiętaj, że jesteś córką Brenta Faradaya. Nie wolno ci o tym zapomnieć.

- Jak mogłabym zapomnieć tatę?

- Nie chodzi tylko o tatę. - Babcia znów pochyliła się ku niej i Em udało się trochę odsunąć. - Był Faradayem. Ty też jesteś Faraday.

- I mama. - Em usilnie starała się pojąć, o co właściwie chodzi.

- O nie! - Babcia nie podniosła głosu, ale te dwa słowa zabrzmiały ostro, jak wykrzywane. - Twoja mama jest Mar-tindale, a to inna, zupełnie inna sprawa. Em widziała, że babcia przez cały pokój patrzy na matkę, i widziała, jakim spojrzeniem ją obdarza.

Ona nie lubi mamy, pomyślała. Wyrwała się z objęć Heleny i wstała.

- Nie zapomnę taty - powiedziała. - A teraz przepraszam. Babcia Helena chciała dodać coś jeszcze, ale dziewczynka odwróciła się i odeszła. Jeszcze nigdy się tak nie zachowała, nie wypada ni stąd, ni zowąd odchodzić od dorosłych, kiedy mówią do kogoś, to nieuprzejme, lecz musiała odejść.

Ruszyła korytarzem, ignorując wołającą ją babcię, a potem także mamę. Pnoebe siedziała przy kuchennych drzwiach. Zobaczyła ją i zamerdała ogonem.

— Chodź! — powiedziała do psa. Otworzyła drzwi. Phoebe wybiegła na trawnik, a ona usiadła na schodach ganku.

Jak babcia Helena może w ogóle podejrzewać ją o to, że zapomni kiedyś o tacie? Babcia nie była najmilszą ze znanych jej osób, lecz nigdy przedtem nie zachowała się tak głupio. Nie zapomnę ojca. Nigdy! - obiecała sobie.

Tylko że już teraz trudno jej było przypomnieć sobie rysy jego twarzy i jego głos i to, jak dokładnie wyglądał, kiedy wracał z pracy. Zaciśnęła powieki.

Tak, był duży, miał ciemnobrązowe włosy i zawsze się do niej uśmiechał, boją kochał. Próbowwała przypomnieć sobie, jak uczył ją jeździć na rowerku, ale musiał przerwać, nim opanowała tę sztukę, i to mama dokończyła naukę. Nie było go też, kiedy zaprosiła przyjaciółki i na przedstawieniu szkolnym, w którym grała na dzwoneczkach, ale przychodził na niektóre mecze softballu i widział, jak raz wybiła piłkę daleko za boisko.

Tak, pamięta! Przypomniała sobie, że wbiegł na boisko, by ją uścisnąć. Nie powinien, mecz się jeszcze nie skończył, ale tak dobrze było mieć go w tym momencie przy sobie, uśmiechał się i był z niej naprawdę dumny. Tę właśnie chwilę miała zamiar zachować na zawsze w pamięci, a zwłaszcza serdeczny uśmiech ojca. Próbowwała przypomnieć sobie, co jeszcze było w nim takiego specjalnego. Przytulał ją, lubił lody z orzechami hikorowymi i mówił na nią „Emily”, a nie po prostu „Em”, jak inni. Pamiętała też, że odchyłał głowę, kiedy się śmiał, składała to wszystko w jeden obraz: tata w czapeczce Małej Ligi na głowie, ta czapeczka pomoże jej zapamiętać, kiedy to było, przytulający ją jedną ręką, w drugiej trzymający lody, śmieje się z odchyłoną

do tyłu głową. Tak, to dobry obraz, więc zamknęła oczy i zapamiętała go tak, jak uczył ją W.S. Nie zapomni

Mama zawołała ją, otworzyła więc oczy, powiedziała:

- Nic mi nie jest - i wróciła do domu, wołając Phoebe. Usiadła obok babci Helen.

- Nigdy nie zapomnę taty - obiecała. Babcia mocno ścisnęła jej rękę.

- Jesteś dobrą dziewczynką. Prawdziwy z ciebie Faraday - pochwaliła wnuczkę i znów spojrzała nieprzyjawnie na mamę.

Kilka zapiekaneł później wrócił W.S. Howie wprowadził go do dużego pokoju, zapełnionego przez współczujących przyjaciół i... Faradayów.

- Maddie, pamiętasz W.S. Sturgisa? - spytał w żalostnej próbie stawienia tamy plotkom.

W.S. jednak nie miał zamiaru skorzystać z tej pomocy. Ominął go bez słowa, złapał Maddie za ramię, powiedział:

- Przepraszamy bardzo. - I wyciągnął ją z pokoju. Zamknął drzwi.

- Co ty wyprawiasz?! - rozżłościła się Maddie. - Wiesz, kto tam jest?

- Henry dostał pozwolenie na otworenie waszej skrytki bankowej - przerwał jej. - Pieniądze znikły. Wiesz coś o tym?

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Pewnie Brent je zabrał... - Nie dokończyła zdania. Pieniądze widziała w sobotę po południu, a Brent już wówczas nie żył. Nie zabrał zatem tych pieniędzy.

- W ciągu ostatnich dwóch tygodni obydwójce zagłądaliście do depozytów, lecz ty jako ostatnia. Bank to rejestruje. Muszę ci powiedzieć, że czuję się dość głupio, bo nie tak dawno zaklinałem się przed Henrym na wszystkie świętości, że mówiłaś prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Co się stało z tą forszą?

Może trafiła do bagażnika mojego samochodu? - pomyślała Maddie. Suma wprawdzie była nieco inna, ale... I nagle zdała sobie sprawę z tego, co właściwie oznaczały słowa W.S.

- Mówiłam prawdę! - wykrzyknęła - Nie wzięłam tych pieniędzy. Zostawiłam je na miejscu, bilety i paszport Brenta też. Zabrałam tylko paszport Em. Daję słowo!

W.S. patrzył na nią niepewnie, jakby bardzo chciał jej uwierzyć, ale przychodziło mu to z trudem.

- Jezu, zaczynam się bać. Maddie, jeśli coś wiesz, to najwyższa pora to powiedzieć. Nie chcę cię stracić przez jakiś głupi błąd Henry'ego, który myśli w tej chwili, że połujesz na mnie.

- Co...? - zainteresowała się Maddie.

W tej chwili w pokoju pojawiła się Treva.

- Cokolwiek robicie, skończcie i wracajcie - powiedziała szeptem. — Zaczyna to wyglądać cholernie śmiesznie, ale Fa-radayowie jakoś nie sprawiają

wrażenia rozbawionych.

Maddie przecisnęła się obok W.S. i wróciła do dużego pokoju, gdzie usiadła na kanapie koło mamy i Em. Gloria siedziała obok Heleny Faraday; obie powitały ją gniewnymi spojrzeniami. Tylko tego jej teraz potrzeba - sojuszu Glorii i teściowej.

Wzięła Em za rękę i ścisnęła ją mocno. Tymi dwiema nie musi się przejmować. Ktoś ukradł klucz do skrytki depozytowej i zabrał pieniądze. Nie wiedziała nawet, że coś takiego jest możliwe. Najwyraźniej jednak jest. Nikt jej teraz nie uwierzy, zwłaszcza jeśli raptem oznajmi, że ma dwieście trzydzieści tysięcy w gotówce. Ludzie uznaliby, że pięćdziesiąt tysięcy po prostu ukradła, a Henry natychmiast by ją aresztował.

Powinna była oddać te pieniądze Henry'emu. Em zwinęła się na kanapie i położyła głowę na kolanach matki.

Nie może oddać tych pieniędzy Henry'emu.

- Trzeba byłoby założyć ten drugi zamek - powiedziała Martha Martindale, kiedy do pokoju wszedł W.S.

- Oczywiście - zgodził się i skinął na Em. - Chodź, pomożesz mi. - Wyciągnął do niej rękę.

Em ujęła ją, siorbnęła nosem i posłusznie poszła za nim.

- Mieliśmy włamanie - oznajmiła mama, na co wszyscy postarali się przybrać jeszcze bardziej współczujący wyraz twarzy, z wyjątkiem Faradayów, którzy promieniowali nie ukrywaną złością.

Było to bardzo długie popołudnie. W.S. wyszedł w którymś momencie, pojawił się natomiast Vince z policji z informacją, że chce obejrzeć tenisówki Maddie. Zostawiła je w samochodzie mamy; powiedział, że je zabierze, i poszedł ich poszukać. Nawet gdyby ją to obchodziło, nie mogła mu przecież odmówić, ale nic jej to nie obchodziło; po prostu chciała zostać tylko z Em, bezpieczną i na odmianę nie płaczącą.

O dziewiątej wieczorem mama uprzejmie podziękowała znajomym za wizytę, pomogła jej położyć Em do łóżka, w towarzystwie Phoebe, oczywiście, po czym wyszła. Maddie również chciałaby się położyć. Jutro odbierze kolejną porcję zapiekane

i wyrazów współczucia, a pojutrze pójdzie na pogrzeb. Przyszłość zapowiadała się zbyt ponuro, by o niej myśleć, włożyła więc starą flanelową koszulę nocną, tak starą i spraną, że miększą od jej skóry, i wpełzła do łóżka. Stare ubrania, pomyślała, czując, jak rąbek koszuli ociera się jej o uda. Prawie tak dobre jak czekolada. Szkoda, że nie ma obok pluszowego misia. Oczami wyobraźni zobaczyła W.S. Nie, nie! Em jest ważniejsza.

Tylko że tak miło byłoby przytulić się do niego, opowiedzieć o wszystkim, a potem kochać się, kochać się z nim aż do utraty świadomości. Odepchnęła od siebie tę myśl, nim przerodziła się ona w pragnienie. Nie będzie miłości z W.S.! Nie ma więc o czym marzyć. Zasnęła, nakazując sobie, żeby nie marzyć o W.S. obok niej i w niej.

Dużo, dużo później obudził ją jakiś dźwięk. Poszła sprawdzić, co u Em; okazało się, że śpi mocno po ostatnim ataku płaczu, a obok niej leży Phoebe, poszczekująca przez sen. Poczowała ulgę, a wraz z nią głód. Przez cały dzień nic nie jadła, a w lodówce miała z setkę zapiekane oraz co najmniej dwa ciasta. Zegar wskazywał drugą w nocy, ale jej żołądkowi nic to nie mówiło. Zeszła do dużego pokoju. Zobaczyła jakiś ruch w ciemności. Ktoś tu jest! Otworzyła usta, ale nie zdążyła wydać z siebie żadnego dźwięku, bo ktoś, zakrywając jej dłonią usta, przycisnął ją do siebie.

- Cicho! - szepnął jej do ucha głos W.S. - Obudzisz Em. Maddie ugryzła go. Z całej siły.

Zaklął szeptem i puścił ją.

- Co do diabła... - jęknął. - Jezu, boli! Byłaś chociaż szczepiona?

- Co ty tu robisz?! - Maddie również szeptała. - Włamałeś się do mojego domu?

- Wcale nie. Mam klucze. Nie pamiętasz, że to ja zakładałem zamki?

Wyrwała mu klucze, które trzymał w dłoni.

- Szukasz pieniędzy, co? Aż trudno w to uwierzyć! Przecież ci powiedziałam, że zostawiłam wszystko w banku!

W.S. syknął przez zęby, złapał ją za rękę i pociągnął w kierunku kuchni.

Poszła za nim, częściowo dlatego, że nie chciała się szarpać, by nie obudzić Em, a częściowo dlatego, że

wprawdzie zachował się podstępnie, ale dobrze było wiedzieć, że nie zostawił jej samej.

W kuchni, oświetlonej słabym światłem nad zlewem, mogli rozmawiać normalnym głosem.

- Maddie, jeśli Henry znajdzie tę forszę, nie żyjesz. Niech to wszyscy diabli, przecież próbuję cię uratować! Powiedz mi, gdzie ta forsa jest, a ja wymyślę jakiś sposób, by dostarczyć ją policji, nie płacząc w tobie.

- Posłuchaj mnie uważnie. Pieniądze zostawiłam w skrytce! Klnę się na życie matki, że ich nie wzięłam!

W.S. sprawiał wrażenie, jakby mu ulżyło, ale nie do końca. Objął ją w talii i przytulił - oczywiście, nie powinni pozwalać sobie na takie gesty, lecz jak to dobrze grać się w ciepłe jego ciało! Pochylił się i spojrzał jej w oczy.

- To znaczy, że jeśli Henry przeszuka twój dom, nie znajdzie niczego, tak?

Byle nie przeszukał twojego samochodu! - pomyślała Maddie. Próbowwała uwolnić się z jego objęć, ale bez skutku.

- Pytam, bo zostawiłaś ślady na drodze z Point. Pasują do tenisówek, które zabrał dziś Vince. Nie powiedziałaś mi, że byłaś na górze.

- Byłam, ale w czwartek! - Znow spróbowała się odsunąć, choć bez wielkiego przekonania; nie zależało jej w końcu na zrobieniu sceny. I znow jej się nie udało. - Weszłam na górę, zobaczyłam Brenta w samochodzie z jakąś blondynką, odeszłam, przyjechałam do domu i spotkałam ciebie. Byłam boso, pamiętasz?

- Słusznie. - Uścisk W.S. zelżał nieco. - Byłaś boso. To mogę poświadczyć z czystym sumieniem. Mogę Henry'emu także powiedzieć, że jeśli zrobi u ciebie rewizję, to nic nie znajdzie, prawda?

- Nie znajdzie dwustu osiemdziesięciu tysięcy dolarów. Zostawiłam je w banku.

- A co znajdzie? - W.S. znów przyciągnął ją do siebie.

- Kurz. - Maddie nie wiedziała już, o czym może mówić, a co powinna zachować w tajemnicy. - Byłam zbyt zajęta, by przyzwoicie posprzątać, no wiesz, szantaże, morderstwa i w ogóle. Co mi o czymś przypomina. Rozmawiałeś z Baile-yem? Bo jeśli zacznie gadać, będziemy mogli pożegnać się z tą nędzną resztką reputacji, którą jakimś cudem zachowaliśmy. Czy...?

- Nie. Powiedziałem Henry'emu, żeby się tym zajął. Jutro...

- Jutro będzie za późno. Znajdź go zaraz.

- Jest środek nocy. - Przytulił ją czule i tym razem Maddie odwzajemniła uścisk. - Maddie, musimy porozmawiać o pieniądzach. - Pocałował ją w czubek głowy.

Odsuń się, ale już! - upomniała się w myśli.

- Nic nie wiem o żadnych pieniądzach. Doskonale za to wiem, że na górze śpi moje dziecko, więc powinieneś mnie puścić. Nie chcę, żeby nas tu nakryła, choćby przez przypadek. Musisz odejść.

- Usłyszemy szczenie Phoebe, nim Em zdąży wejść na schody. Powiedz mi wszystko, co wiesz o pieniądzach, wówczas znajdę jakiś sposób, żeby ci pomóc. - Przesunął dłońmi po jej plecach i Maddie zadrżała, a kiedy jego ręce zabłądziły niżej, całkiem zapomniała, że miała go odprawić. - Boże, co za przyjemność... - szepnął. - Opowiedz mi o tych cholernych pieniądzach, to wreszcie będziemy mogli się kochać!

- Nie wolno nam się kochać. - Palce W.S. pieściły jej nagie ciało. - Nie! -

Odepchnęła go. - Na górze śpi Em. Nie ma mowy, do cholery! Nie chcę wyjaśniać jej, co robisz w kuchni, nie mówiąc już o wyjaśnianiu, co robisz we mnie! Wyjdź.

- Świetny pomysł. - W.S. otworzył kuchenne drzwi. Nim zdążyła wytłumaczyć sama sobie, że sprawa jej to ulgę, szarpnięciem wyciągnął ją za sobą, na ciemny ganek.

- Co...?

- Nawet Frog Point nie zobaczy nas w tych egipskich ciemnościach. Potknęła się, a on przytulił ją mocno. -Chodź!

- Nie...

Nagle poczuła jego usta na swoich i zarzuciła mu ręce na szyję. Pocałowała go, bo ten pocałunek nie tylko napełniał ją rozkoszą, ale sprawił, że poczuła się bezpieczna. On stał na ziemi, ona na stopniu; usta mieli na jednej wysokości, co dodało nowego, ekscytującego smaku pocałunkowi, ale byli przecież w ogródku, robili głupstwo i trzeba z tym wreszcie skończyć!

- Dziękuję - powiedziała zdyszana, odsuwając się od niego. - Sprawiles mi wielką przyjemność.

Zdjął ją ze schodka, postawił obok siebie, nie przestając jej obejmować.

- Nie uciekaj. Muszę cię uratować, choćby nawet wbrew twej woli. Po prostu muszę. Myślałem, że przyjadę do Frog Point, załatwię Brenta i spokojnie wyjadę, ale nie mogę cię zostawić. Bo cię kocham.

Maddie wyrwała się z jego objęć.

- Jak to „załatwię Brenta”? Czy o tym mówił Stan?

- Właśnie dlatego przyszedłem do ciebie w piątek. - W.S. znów ją przytulił. - Brent sprzedał Stanowi swą część firmy... -W kilku słowach wyjaśnił prośbę Sheili.

Maddie patrzyła w ciemność nieruchomym spojrzeniem. A więc nie przyjechał, by ją zobaczyć. Zabrała na Point Bogu ducha winnego, a właściwie niewinnego faceta, któremu chodziło tylko o informacje o oszustwie popełnionym przez jej męża...

- Nie wierzę - powiedziała w końcu. - Chcesz mi powiedzieć, że cię uwiodłam?

W.S. spojrzał na nią jak na wariatkę. - Oszalałaś? Czyżbym uciekał przed tobą, zanim wylądowaliśmy na tylnym siedzeniu samochodu? Naprawdę nie zauważyłaś, że przed chwilą siłą wyciągnąłem cię z domu? Że muszę cię pieścić? Opamiętaj się, kobieto!

- Ty wcale nie przyjechałeś do mnie. - Maddie poczuła się nagle bardzo, bardzo głupio. - Wszystko zaczęło się od pieniędzy, a ty nic mi o tym nie powiedziałeś. Kochaliśmy się, a ty mi o tym nie powiedziałeś.

- A co to ma za znaczenie, po co przyjechałem? Liczy się tylko to, co stało się. Pobierzemy się i...

- Co...? Co zrobimy?

- Pobierzemy się. - W.S. pocałował ją w czoło. — Już nawet rozmawiałem na ten temat z Anną. Powiedziała, że powinnaś poczekać rok, no więc weźmiemy ślub od dziś za rok i będzie wspaniale. Na razie nie muszę się spieszyć z budową domu...

- Jakiego domu? - Jezu Chryste, co tu się dzieje?! -O czym ty mówisz...

- Howie zbuduje nam dom, na tej działce nad rzeką, obok Henry'ego i Anny. To miała być niespodzianka, ale...

- To jest niespodzianka. Nie chcę wychodzić za mąż. Raz wyszłam i wcale mi się to nie podobało.

- Bo nie wyszłaś za mnie. Ze mną będzie zupełnie inaczej. My się...

- W.S., nie mów o nas „my”. - Maddie powiedziała to tak stanowczo, jak tylko potrafiła; chciała, by wysłuchał jej uważnie i zrozumiał. - Wszystko, co zrobię od dziś, będzie zrobione wyłącznie z myślą o Em. Nie mogę żyć z tobą. Nie mogę nawet żyć blisko ciebie. Odejdź.

- Nie. - Pocałował ją w policzek, potem w kącik ust, potem w wargi i Maddie przytuliła się do niego mocno, jak zawsze, choć powtarzała sobie, że to po raz

ostatni, ale jego pocałunki oszałamiały ją, zapadała w aksamitną ciemność i stawało się nieważne, co myślała przed chwilą. W końcu jednak odsunęła się od niego, i tym razem puścił ją bez oporu.

- Nie. Nigdy więcej. Musisz odejść. Nie wierzę, że wszystko tak sobie zaplanowałaś...

- A co ty myślała? - W.S. tracił panowanie nad sobą. - Że śpię z tobą tylko ze względu na seks?

- Tak. - Nagle przypomniała sobie, jaki potrafi być czuły, jak się o nią martwi.

- Nie. Nie wiem. Z całą pewnością jednak nie podejrzewałam, że po dwóch upojnych nocach zechcesz budować mi jakiś cholerny dom. O czym ty właściwie myślisz?

- O nas. Myślę o nas. - Głos mu zadrżał. - Od tej nocy, kiedy jeszcze chodziliśmy do szkoły, myślałem tylko o nas.

Historia powtórzyła się, prawda. Ale gdy patrzę w przyszłość ty odwracasz się do mnie plecami? Maddie przyglądała mu się zdumiona.

- Nie widziałam cię przez dwadzieścia lat. Po dwudziestu latach przyjechałeś na weekend i myślisz, że wszystko jest tak samo? Ileż ty o mnie wiesz: szkoła sprzed lat i dwie wspólnie spędzone noce. Na tej podstawie chcesz podjąć decyzję na resztę życia?

Milczał tak długo, że Maddie się zaniepokoiła.

- Kochałem cię przez całe życie - powiedział w końcu, a ona drgnęła, słysząc cierpienie w jego głosie. - Zawsze. Sheila doszła do wniosku, że ożeniłem się z nią, bo myślałem, że jest do ciebie podobna. Mówiła, że wystąpiła o rozwód także dlatego, że nie chciała być tobą dla własnego męża. Myślałem wówczas, że szuka wymówek, ale teraz nie jestem już tego pewien.

Maddie zadrżała.

- Nie chcę tego słuchać - oznajmiła. - Za dużo zważyło mi się na głowę. Nie dokładaj nowych kłopotów. Nie każ mi walczyć i z tobą.

- Kocham cię.

- Nie. Nie mnie. Kochasz kogoś, kogo, jak ci się zdaje, znałeś w liceum. To nie ja. To chyba nigdy nie byłam ja, ale dziś mam tę pewność.

- Wiem, kim jesteś - powiedział spokojnie, lecz stanowczo. - Bardzo dobrze wiem, kim jesteś.

- A więc wiesz więcej ode mnie - westchnęła Maddie. - Bo ja w tej chwili wiem tylko, że muszę zająć się dzieckiem, które ma złamane serce, i że nie mogę trafić do więzienia, ponieważ Em tego nie przeżyje. Za każdym razem, kiedy przekraczasz próg mojego domu, uświadamiasz Frog Point, że miałam doskonały powód, by zabić męża. Odejdź stąd i bardzo cię proszę, nie wracaj.

- W porządku. Jeśli chcesz, bym przez pewien czas trzymał się od ciebie z daleka, to oczywiście, zrobię to. Ale wrócę. - Objął ją i Maddie znów

zapomniała o stanowczych postano-

wieniach poprawy. - Nie rób mi tego po raz drugi - szepnął. - Nie odwracaj się ode mnie. Muszę wiedzieć, że jesteś moja. - Pocałował ją mocno, z rozpaczą;

musiała odwzajemnić ten pocałunek. A potem po prostu tulił się do niej, jakby sama jej obecność była jedyną jego szansą na życie.

„Gdybym podszedł do ciebie w szatni, czy znowu byś się odwróciła?” - spytał tamtej nocy w samochodzie. Jakże chciała powiedzieć mu, że go kocha, ale Em była najważniejsza.

- W\ S,, nie jestem już licealistką. Nie jestem już nawet kobietą, którą byłam wczoraj. Muszę zająć się córką, a plotki... Nie rozumiesz?

- Przez pewien czas - powtórzył. - Będę trzymał się od ciebie z daleka... przez pewien czas. Zrobię to dla Em.

Maddie wiedziała, że powinna obstawać przy swoim, tłumaczyć mu. lecz nie miała na to siły. Zamknęła za nim drzwi, zapięła łańcuch i weszła do łóżka, w którym spała jej córeczka oraz pies. Em poruszyła się, spytała sennie.

- Mamusia?

Odpowiedziała:

- To ja, kochanie. Zawsze będziemy razem. - trzymała ją za rękę, aż zasnęły obie.

- Jak się masz? - spytała Treva, kiedy podjechała rano po przyjaciółkę, by pomóc jej w załatwianiu formalności pogrzebowych. - Tylko powiedz prawdę.

- Jestem zmęczona - odparła Maddie. W nocy pożegnałam się na zawsze z drugą z dwóch dobrych rzeczy, które przydarzyły mi się w życiu, by móc zająć się tą pierwszą. - Wokół mnie pełno jest ludzi, w stosunku do których muszę zachowywać się rozważnie. Tylko przed tobą nie muszę niczego udawać. Cieszę się, jesteś moją przyjaciółką, Trevo.

- Robię, co mogę, kochanie - westchnęła Treva. - Co oznacza, że muszę ci przekazywać także złe wiadomości.

Maddie spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Żartujesz, prawda? Nie wyobrażam sobie, by mogło być gorzej, niż jest.

- Stałaś się bohaterką najwspanialszych plotek od chwili powstania naszego miasta. Chcesz wiedzieć coś na ten temat czy nie?

- Trudno. Mów.

14

Treva wzięła głęboki oddech.

- No to proszę. Przeważająca większość mieszkańców Frog Point jest święcie przekonana, że zabiłaś męża, nie ma natomiast zgody co do tego, czy

powinnaś za to zapłacić, czy nie. Sporo osób uważa, że skoro Brent cię zdradzał i bił, to powinno ci to ująć płazem, bo przecież aż do tej pory byłaś taką miłą dziewczyną...

- Przyjemnie to słyszeć. - Maddie oparła głowę na zagłówek i przymknęła oczy.

- Istnieje jednak niewielka, lecz bardzo wpływowa grupa, dowodzona przez Helenę Faraday i Glorię Meyer, twierdząca, że powinnaś usmażyć się na krześle elektrycznym. Te damy zebrały trochę zwolenników od czasu kiedy, dzięki Esther, stało się wiadome, że gdy dostałaś informację, iż jesteś wdową, spałaś z W.S. Poza tym Leona Crosby zadała sobie wiele trudu, by prześledzić trasy przebyte przez czerwonego mustanga i miejsca jego postojów. Czy W.S. nie mógł sobie kupić jakiegoś normalnego samochodu?

- Nie mógł. Nie on.

- Mamy jeszcze grupki pozostające na marginesie tej wojny. Na przykład wieść niesie, że Stan i W.S. pobili się o ciebie przed domem. Czy to prawda, czy też Kellie Crosby znów nadużyła syropu na kaszel?

- W.S. uderzył Stana, a ona na to patrzyła. Reszta to skutki syropu.

- Niektórzy z tego właśnie powodu uważają, że Brenta zabił W.S. Tylko że zastrzelono go, a nie pobito na śmierć, a to znów wskazuje na ciebie.

- Boże świąty! Biedna mama.

- Mama trzyma się całkiem, całkiem. Udało się jej na przykład złośliwymi komentarzami podważyć wiarygodność Esther, a ponieważ do tej pory były wielkimi przyjaciółkami, ludzie jej wierzą. Faradayom też się dostało. Helena nie będzie miała łatwego życia.

- To możesz mi darować!

- Czy naprawdę odwoziłyście ją kiedyś do szpitala, bo nadużyła wody kołonskiej, zastosowanej doustnie?

- Mamo! - Maddie złapała się za głowę. - Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wyjechać, a przecież Henry się na to nie zgodzi.

- Słyszałam także, że Henry chce cię koniecznie aresztować ze względu na W.S., ale to przecież do niego niepodobne.

- Wiesz, co mnie doprowadza do furii? Nikt nie plotkuje na temat Brenta! Zdradzał mnie, oszukiwał i kradł, ale o tym cisza. Jak to możliwe?

- Nie, nie, o nim też sporo się mówi. Okradał firmę, sprzedawał narkotyki i za te pieniądze chciał sobie kupić głosy, które pozwoliłyby mu zostać burmistrzem, oszukiwał przy grze w kręgle... Nie, Brent też ma niezłą lokatę, gdy chodzi o plotki. Ale rzeczywiście, o jego zdradach raczej się nie mówi. Albo przed śmiercią nauczył się wreszcie dyskrecji, albo miał niewidzialną kochankę. No i jak się teraz czujesz?

- Fatalnie, Żałoba to chyba najgorsza rzecz pod słońcem. Od rana ludzie przynosili mi jedzenie. Jeśli zobaczę jeszcze jedną zapiekankę, dostanę torsji.

- Moja leży na tylnym siedzeniu. - Treva włączyła wreszcie silnik. Ruszyły. Maddie skupiła się na jedynym aspekcie swego położenia, który nie miał

wymowy tragicznej.

- W mieście musiało już zabraknąć frytek. Dlaczego zapiekanki nie można udekorować na przykład grzankami?

- Znowu czytasz te faszystowskie książki kucharskie dla bogaczy, rozpowszechniane przez demokratów w im tylko wiadomych celach?

- A w ogóle dlaczego zapiekanka musi być udekorowana? Dlaczego jedzenie trzeba przed spożyciem pociąć na kawałki?

- Zdaje się, że trochę za daleko wybiegasz.

W porządku. - Maddie westchnęła z rezygnacją. - Co jest w tej twojej Makaron nadziewany serem, zgadłam?

- Przecież żartowałam. Zrobiłam ci ciastka czekoladowe.

- Bóg cię zesłała na moją przyjaciółkę... bo Ona wiedziała, że będę cię potrzebować,

Sześć ciasteczek później wjechały na podjazd domu pogrzebowego, Maddie przyjrzała się pięknemu, staremu budynkowi w wiktoriańskim stylu.

- Dlaczego najładniejsze domy w mieście to domy pogrzebowe? - rzuciła w przestrzeń pytanie.

- Bo we Frog Point nikomu nie pozwolono by otworzyć burdelu. - Treva przyjrzała się jej z powątpiewaniem. - Sądysz, że jesteś na to gotowa?

- Nie i nie będę! - odparła Maddie, wysiadając z samochodu.

Skóra małego człowieczka sprawiała wrażenie jednocześnie tłustej i wyschniętej i przypominała stary pergamin.

- Żywe trupy są wśród nas. - Treva wzdrygnęła się.

- Zamknij się!

Pracownik domu pogrzebowego spojrział na nie z mieszaniną znudzenia i współczucia, po czym zaprowadził je do wielkiej sali pełnej trumien.

- Oto nasz towar - powiedział. - Wszystkie piękne, wszystkie najwyższej jakości. Jestem pewien, że spodobają się pani a także pani, hmm, mężowi.

Maddie spojrzała na niego osłupiała. No tak, oczywiście, Brent z pewnością będzie zachwycony!

- Mogłybyśmy zostać na chwilę same? - spytała Treva.

- Naturalnie. - Mężczyzna wycofał się i rozplynął w mroku za drzwiami.

Maddie bezradnie wpatrywała się w trumny. Tyle ich było, a wszystkie przypominały kiepskie kopie stolików do kawy -

za dużo drewna, za dużo mosiądzu. Zadrzała, pomyślała „nie przy Em” i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że Em przy niej nie ma.

Musi pozbierać się jakoś, kupić trumnę i wrócić do córki.

- Jak myślisz? - spytała Trewę.

- Kup plastikową torbę - odparła natychmiast Treva. - Tylko na to zasługuje.

Brent w plastikowej torbie... Ta myśl wyzwoliła histeryczną reakcję Maddie, która zaczęła śmiać się i płakać.

- Przepraszam cię, wybacz. - Treva usiadła na najbliższej trumnie. Wyjęła z

torebki chusteczkę. - Masz. Myślałam, że go nie kochałaś.

- Nie kochałam. - Maddie była wdzięczna losowi, że pozwolił jej wreszcie zapłakać po mężu. - Ale przecież ten sukinsyn nie żyje!

Treva objęła ją serdecznie.

- Kochanie, on przecież spał z innymi kobietami, pobił cię i miał zamiar od ciebie uciec. Opanuj się, proszę. Był zwykłą świnią! Kupić torbę to jeszcze dla niego za dobre.

Powinniśmy zwinąć z parku jedną z tych, w które pakują zeschnięte liście.

Maddie rozejrzała się dookoła i znów poczuła się kompletnie zagubiona.

- Nie poradzę sobie, nie poradzę! Nie potrafię załatwić formalności pogrzebowych.

- Podejrzewam, że zdążylibyśmy z Howiem przewieźć ciało, a ty jeszcze byś wybierała trumnę - powiedziała Treva. - Moim zdaniem lepiej skończyć z tym jak najszybciej.

- Pani Faraday?

Podskoczyły obie. Mały mężczyzna podszedł do nich bezszelestnie.

- Czy dokonała pani wyboru? A może mógłbym... w czymś pomóc? - Przyjrzał się im z dezaprobatą, zrozumiała, jeśli wziąć pod uwagę, że siedziały na trumnie.

Wstały. Maddie patrzyła bezradnie to na niego, to na przyjaciółkę.

- Nie wiem...

- Ale ja wiem. - Treva podjęła męską decyzję. - Co ma pan najtańszego?

Odwiedziły jeszcze kwiaciarnię, kościół, drukarnię i znów dom pogrzebowy.

Kiedy Maddie znalazła się wreszcie w domu, mama głosem zdradzającym panikę poinformowała ją, że ma pojechać na komisariat.

Pojechała. Czekał tam na nią Henry, a także W.S, i bardzo sympatycznie wyglądająca pani w średnim wieku, która przedstawiła się jako Jane Henries.

- Będę pani pomagać, póki W.S. nie ściągnie z Columbus kogoś twardszego - oznajmiła pogodnie. - Ja bowiem specjalizuję się w sprawach rozwodowych.

Maddie omal nie rzuciła się jej w ramiona. Oto pierwsza osoba najwyraźniej wierząca, że wszystko może jeszcze dobrze się skończyć. Nie od razu dostrzegła zmarszczki w kącikach ust Jane Henries i błysk w jej oczach, nie od razu zdała

sobie sprawę, że dla niej wszystko kończy się dobrze...

- Maddie... - powiedział Henry, kiedy zebrani już zajęli miejsca. - Chcę, byś wiedziała, że wszyscy jesteśmy po twojej stronie. My tu, we Frog Point, wiemy, jak dobrym jesteś człowiekiem i gdyby nawet doszło do procesu, okażemy ci zrozumienie.

- Najlepszym sposobem okazania zrozumienia byłoby niedopuszczenie do procesu - zauważyła Jane.

Henry nawet nie spojrział w jej stronę.

- Jeśli masz coś do powiedzenia, wysłucham cię uważnie. I zrozumiem.
- Nie ma panu nic do powiedzenia - wtrąciła prawniczka. -Czy możemy już iść?
- No cóż, ja muszę jej coś powiedzieć. A ponieważ reprezentuje ją pani, lepiej będzie, jeśli i pani tego wysłucha, prawda?
- Jane uśmiechnęła się do niego promiennie. Maddie natychmiast poweselała. W.S. miał rację. Potrzebowała prawnika.
- Przede wszystkim masz motyw. - Henry wyliczał kolejne punkty na palcach.
- Przyznałaś, że wiesz, iż mąż cię zdradzał. Howie Basset zeznał, że Brent okradał firmę, której jesteś współwłaścicielką. No i wiemy od ciebie, że zamierzał wywieźć za granicę waszą córkę.
- Z tego, co wiem o Brencie Faradayu, połowa miasta miała motyw - wtrąciła się Jane, nie kierując tych słów do nikogo.
- Poza tym przyznałaś przy Jonie Websterze z banku, że jesteś winna - kontynuował Henry.
- Nie! - Szok pomógł Maddie odzyskać głos.
- John Webster twierdzi, że poradziłaś mu, by wyszedł, ponieważ nie chcesz go wpłatać.
- Co?!
- Powiedział, że użyłaś słów: „Nie chcę pociągnąć pana za sobą”.
- Przecież to był żart!
- Nie należy żartować z bankierami i policjantami - zauważyła Jane. - Nie mają za grosz poczucia humoru. To nic nie znaczy, szeryfie, i pan doskonale o tym wie.
- Ukrywasz dowody - wyliczał dalej Henry i Maddie pomyślała: „Znalazł pieniądze”. Próbowała wyglądać jak najbardziej niewinnie, lecz nie wiedziała, czy się jej to udaje. -Zabrałaś z biura męża metalową kasetkę i nic mi o tym nie powiedziałaś. Dlaczego?
- O, cholera! Zupełnie zapomniałam. Jane wspomniała, że powinnam zgromadzić wszystkie dane dotyczące naszych finansów, więc zabrałyśmy z Trevą kasetkę, bo nie dała się otworzyć na miejscu.
- Owszem, poradziłam, żeby Maddie zebrała jak najwięcej dowodów. Działała za radą swego adwokata.
- Będę potrzebował tej kasetki.
- Maddie zgarbiła się w krześle. Skinęła głową.
- Poza tym zachowywałaś się podejrzanie - dodał szeryf. -Pomyślała o W.S., skrzywiła się. - Dlaczego nie zgłosiłaś zaginięcia męża? Przecież zniknął w piątek wieczorem, a ciało znaleźliśmy dopiero w poniedziałek rano. No i mamy jeszcze panią Ivory Blanchard.
- A to kto?
- Sprzedałaś jej ubrania Brenta. Można by sądzić, że wiedziałaś, iż nie wróci
- Miałam nadzieję, że nie wróci - powiedziała Maddie. Jane Henries poruszyła

się niespokojnie. - Znalazłam bilety na samolot do Rio. Myślałam, że uciekł. Henry, przecież to wszystko nie ma za grosz sensu! Twierdzisz, że zastrzeliłam męża, który i tak mnie rzucił? Dlaczego? Jak? Musiałabym zawieźć go na Point i zastrzelić, a on nie stawiałby oporu. Aż tak to się nie kochaliśmy.

- Co prowadzi nas do sposobu zabójstwa. Brent siedział i nie protestował, ponieważ według koronera ktoś podał mu dużą dawkę popularnego środka przeciwbólowego. Doktor Walton zapisał ten lek tobie. Farmaceuta z Reveo twierdzi, że pytałaś go, jaki byłby skutek zażycia siedmiu pastylek. Według koronera Brentowi podano właśnie taką dawkę.

- Z farmaceutą rozmawiałam już po tym, kiedy Brent wziął ten środek. A wziął go przez przypadek. Wiem, że głupio to brzmi, ale mówię prawdę.

- Szeryfie... - wtrąciła Jane, lecz Henry uciszył ją gestem.

- Miałaś motyw, środki i okazję, Maddie. Nie masz natomiast alibi. - Westchnął. Głos miał bardzo smutny. - Maddie, możesz przyznać się w zamian za ewentualność obniżenia kary. Jeśli dojdzie do procesu, odbędzie się on w naszym mieście, a tu wszyscy cię lubią i wiedzą, jaki był Brent. Miasto stoi po twojej stronie.

Jane poderwała się z krzesła. Spojrzała na Maddie.

- Wystarczy! Takiej kupy bzdur jeszcze nigdy nie słyszałam. Szeryf nie ma narzędzia zbrodni, bo nie znalazł broni. Nie ma zabójcy, bo nie potrafi udowodnić, że byłaś na miejscu przestępstwa w czasie odpowiadającym jego popełnieniu. Nie ma też motywu, bo nic z tego, co powiedział, nie jest przekonujące. Reasumując, nie ma praktycznie nic.

- Nie zabiłam Brenta - oświadczyła Maddie.

- Podejrzana oznajmiła ponadto, że jest niewinna. Panowie, miło się z wami rozmawiało.

- Może nie warto szukać żadnego twardziela w Columbus -wyraził nadzieję W.S., kiedy szli już przez parking. - Jesteś bardzo dobra.

- Nie, nie jestem. - Jane spojrzała Maddie prosto w oczy. -Zaangażuj specjalistę od spraw kryminalnych, i to jak najszybciej. Szeryf ma kilka przyzwoitych dowodów pośrednich i jeśli znajdzie dowód rzeczowy, to leżysz. Cwany gość z tego szeryfa.

Dowód rzeczowy... Maddie pomyślała o pistolecie, ukrytym w lodówce Trevy.

- Jestem niewinna - powiedziała, ale zabrzmiało to bardzo nieprzekonująco, nawet w jej uszach.

Następnego dnia po południu Em była zmęczona, oszołomiona i obolała. Babcia Helena kupiła jej czarną aksamitną sukienkę, za ciepłą na tę porę roku, twierdząc, że będzie odpowiednia, ze względu na klimatyzację. Otaczał ją tłum ludzi, a w domu pogrzebowym wszystko było za ciężkie -i zasłony, i dywan, i meble, i zamknięta skrzynia („trumna” -szepnęła Mel, nim matka

zdołała ją odciągnąć), o której za nic nie chciała myśleć. Wszystko było tu za ciężkie z wyjątkiem składanych krzesłek, zupełnie nie pasujących do pokoju, wszystko było jakby przytłumione. Oczy ją bolały, stała nieruchomo jak lalka, czekała tylko, żeby skończył się ten koszmar.

Czuła się tak, jakby ktoś ją pobił, bolało ją całe ciało, płakała w nocy tak rozpaczliwie, że czuła się wysuszona, ale te łzy bólu nie spłukały. Zasnęła w końcu, ale kiedy się obudziła, nadal wszystko ją bolało. Nie odzyskała jeszcze pełnej świadomości, lecz i na granicy snu wiedziała, że czeka ją coś strasznego, jak czyhający na skraju łóżka potwór, jak cień, który nie zniknie nigdy.

A teraz była na pogrzebie, na pogrzebie taty, który leżał w zamkniętej trumnie; nie mogła go nawet zobaczyć, nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Ludzie poklepywali ją po ramieniu, powtarzali „biedne dziecko”. Chciała tylko usiąść i rozpłakać się, chociaż wiedziała, że płacz nie przyniesie jej ulgi. Płakała od trzech dni, była coraz bardziej zmęczona, lecz nic nie zmieniło się na lepsze. Płakała, bo przecież nie mogła zrobić nic innego. Nic już nigdy nie mogło zmienić się na lepsze... Była tak zmęczona, że nie mogła już tego wytrzymać, ale wytrzymać musiała, bo to był pogrzeb ojca i ludzie ją obserwowali.

Poruszyła się. Babcia Helena podeszła do niej, pochyliła się i szepnęła:
- Bądź dzielna. - Jej perfumy pachniały tak mocno, że Em z trudem udało się opanować mdłości. - Bądź dzielnym małym żołnierzykiem. Dla taty - dodała babcia.

Em miała ochotę przewrócić oczami, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Druga babcia, babcia Martha, ostrzegła, że ludzie będą ją obserwować, więc powinna zachować się jak dama. Nie miała ochoty być damą, lecz dama to przecież o wiele lepsze niż „dzielny mały żołnierzyk”. Kiedy tata jeszcze żył, nigdy nie kazał jej być „dzielnym małym żołnierzykiem”. Nie potrafiła w ogóle wyobrazić sobie, że mógłby ją o coś takiego poprosić, a poza tym nie żył, więc nic go to nie obchodziło. Prawda?

Zacisnęła zęby, mocno, bardzo mocno. Tak bardzo pragnęła być po prostu Emily Faraday, mieć tatę i mamę, choćby się kłócili, albo też choćby w ogóle ze sobą nie rozmawiali.

Nie mogła być zwykłą Emily Faraday, ale nie miała też zamiaru być „dzielnym małym żołnierzykiem”. Kiedy babcia Helena wyprostowała się, odsunęła się od niej i schowała się za rząd ludzi, nim babcia zdążyła ją znów złapać. Wszystko lepsze niż te jej uwagi.

Przy końcu korytarza dostrzegła światło. Okazało się, że jest tam tylne wyjście. Nie przypuszczała, że domy pogrzebowe mają tylne ganki, ale widocznie inni ludzie też czasami chcieli wychodzić z pogrzebów. Usiadła na schodku. Tęskniła za

Phoehe, próbowała nie myśleć o tym, co się właśnie dzieje. Tęskniła też za Mel, która została w tym okropnym pokoju, ściśnięta między mama i tatą,

Mel ciągle mającą tatę. Mel patrzącą na nią zaczerwienionymi oczami - płakała razem z przyjaciółką, chociaż nigdy dotąd Em nie widziała płaczącej Mel. Głowa ją rozboleła przede wszystkim od tego, że starała się nie myśleć o tacie, nie myśleć o tym, co teraz będzie z mamą i i nią.

Tarła oczy, kiedy dołączył do niej W.S. Miał na sobie garnitur, a mimo to przysiadł obok niej na schodku, nie sprawdzając nawet, czy jest czysty.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Jest - odpowiedziała. - Mój tata nie żyje.

- No tak. To było głupie pytanie.

Em skinęła głową. To był już po prostu taki dzień, dzień, kiedy ludzie mówią głupie rzeczy, bo nie umieją wymyślić niczego mądrego. Westchnęła i wybaczyła babci Helenie „dzielnego małego żołnierzyka”.

- Chodziło mi o to, czy mogę ci jakoś pomóc - wyjaśnił W.S. — Wiem, nie mogę ci zwrócić taty, ale może jestem w stanie zrobić coś. żebyś się lepiej poczuła?

- Nie.

- Przepraszam. Kolejne głupie pytanie. Bo wiesz, chciałem powiedzieć... chodzi mi o to... - Umiłkł.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że czoło ma zmarszczone, lecz nie wyglądał na zagniewanego.

- Nie wiem, jak to wyrazić - westchnął. - Chcę po prostu, abyś wiedziała, że jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebowała, nie wahaj się, mów. Przez kilka tygodni będę wracał tylko na weekendy, ale potem przenoszę się do miasta i już nie wyjadę.

Em westchnęła głęboko. Chciała powiedzieć: "Nie będziesz moim tatą, nikt nie będzie moim tatą oprócz taty", ale W.S. przecież starał się być miły i nie powinna sprawiać mu przykrości. A poza tym była zbyt zmęczona, by się odezwać.

- Słuchaj, wiem, że nie jestem twoim ojcem. I wiem że nigdy nim nie będę. To musi być straszne - wiedzieć, że on nie wróci. Nie chcę zająć jego miejsca, nie chcę cię przekonywać, że wszystko będzie dobrze.

Em skinęła głową, czując, że zbiera się jej na łzy.

- Ale chcę być blisko. - W.S. pochylił się, spojrzał jej w oczy. - Zawsze. Tak, byś zawsze mogła na mnie liczyć. Jeśli na nic ci się nie przydam, to trudno. Jeśli jednak będę ci potrzebny, znajdziesz mnie. Rozumiesz?

Znów skinęła głową, walcząc ze łzami.

- A teraz, jeśli chcesz płakać, tak naprawdę płakać, to widzisz, jestem tu i nikomu o tym nie powiem.

Przytuliła się do niego, pociągnęła nosem. Myślała, że na tym się skończy, że uroni kilka łez, ale popłakała się ciężkim szlochem. Wcisnęła W.S. twarz w marynarkę i wypłakiwała w nią gniew, strach, żal i zadowolenie, że można aż tak płakać. Nie mogła przestać, a on kołysał nią i nie mówił nic.

Maddie widziała, jak Em wychodzi z pokoju, widziała jej buzię ściągniętą przez ból tak, że wydawała się stara. Widziała też, że W.S. idzie za jej córką. Chciała wybiec za nimi, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Tylko tego brakowało, by we trójkę wyszli z pogrzebu. Wszyscy i tak się na nią gapili od chwili, gdy żałobnicy zaczęli wchodzić do sali. Podchodzili do Normana i Heleny, składali kondolencje cichymi, smutnymi głosami, nie spuszczać wzroku z Heleny, która próbowała zamordować synową spojrzeniem. Maddie pozostawała obojętna na jej usiłowania. Niech się gapi, to nie ona jest ważna, lecz Emily. Niech W.S. spróbuje ją pocieszyć, da mu chwilę czasu, ale pogrzeb pogrzebem, a ona za parę minut wyjdzie sprawdzić, czy z małą wszystko w porządku.

- Ta kobieta...! - syknęła przez zęby jej matka po dłuższej chwili. - Robi z siebie widowisko.

- Jak to Helena - odszepnęła spokojnie Maddie. - Dla niej głównym celem jest wskazanie winnego.

Mama i na nią spojrzała nieprzyjaźnie; nie warto było w ogóle się odzywać. Maddie naraziła się matce, bo pozwoliła na złożenie u stóp trumny wiązanki irysów i stokrotek, pięknej, lecz opatrzonej bilecikiem z literą „B”. Kiedy mama spojrzała pytająco, wyjaśniła:

- To z pewnością od Beth. Połóżcie ją.

- Oszalałaś?! Trzeba ją gdzieś schować.

- Nie. Nie chodzi przecież o nas, lecz o Brenta. Beth chyba kochała go bardziej niż ktokolwiek inny. Pozwólmy jej złożyć te kwiaty.

Mama przestała protestować, lecz teraz ta śliczna wiązanka wręcz biła w oczy wśród chryzantem i lilii. Jej blask zaćmiewało wyłącznie spojrzenie Heleny Faraday.

Kristie także przyniosła kwiaty z bilecikiem napisanym schludnym, drobnym pismem, w niczym nie przypominającym listu informującego o ciąży. A więc to nie ona była matką nie narodzonego dziecka Brenta. Poczucie winy sprawiło, że Maddie okazała jej wyjątkową uprzejmość. Dziewczyna powiedziała:

- Tak mi przykro. - Rozpłakała się nagle i odeszła, by zasiąść samotnie w ostatnim rzędzie.

- Nie wiedziałam, że była z Brentem tak blisko - zdziwiła się mama.

- Wygląda na to, że Brent był blisko z mnóstwem... ludzi - odparła Maddie, czym ściągnęła na siebie kolejne nieprzyjazne spojrzenie. - Mamo, wiem, że to okropne, ale musimy po prostu przeżyć i pogrzeb, i wizyty po pogrzebie. Potem odpoczniemy. Kiedyś to się skończy.

- A gdzie Emily?

- Wyszła. W.S. poszedł za nią.

- Doprawdy, Madeline! - Matka natychmiast ruszyła w stronę drzwi, ale Maddie przytrzymała ją za rękę.

- Dajmy im chwilę czasu - powiedziała.

Matka znów spojrzała na nią, zła. Kiedy W.S. i Em wrócili pół godziny później, kiedy Maddie zobaczyła bladą i zapłakaną, ale spokojniejszą już twarz córki, z której znikł wreszcie wyraz przerażenia, spojrzała na W.S. z nieklamana

wdzięcznością. On dodał jej odwagi miłym, pewnym uśmiechem. Zapragnęła podejść do tego mężczyzny, już zrobiła krok w jego kierunku, lecz matka powstrzymała ją. Twarz Heleny stężała w wyrazie nienawiści do synowej, tej dziwki, ośmielającej się flirtować nawet na pogrzebie!

Odejdź, W.S., pomyślała Maddie. Miała wrażenie, że otaczają ją wrogowie, doprowadzał ją do szaleństwa nawet widok ludzi, którzy całym sercem byli po jej stronie. Odwróciła się, podeszła do Treva, z nadzieją, że u jej boku zazna rozkoszy choćby krótkiej chwili normalności.

- Ładny pogrzeb - powiedziała Treva. - Tylko ten upiór w czarnych jedwabkach wygląda okropnie.

- Helena straciła syna. Pomyśl, co ty byś czuła, gdyby to był Trzeci.

- Nie pomyślę! Nawet o tym nie wspominaj. Tego bym nie zniosła. -

Odnalazła wzrokiem syna i uśmiechnęła się do niego promiennie.

Trzeci dostrzegłszy uśmiech, podszedł do nich.

- Jak się czujesz, ciociu Maddie? - spytał cicho. Maddie spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Masz taki dziwny głos - zauważyła.

- Mama kazała mi mówić jak najciszej, więc od rana szepczę. Czuję się przez to dziwnie.

- Nie zwracaj na siebie uwagi! - syknęła Treva. - Siadaj. Jesteś taki wysoki.

Maddie ze zdziwieniem spojrzała na chłopaka. Zachowywał się bez zarzutu, nie zasłużył na szorstkie traktowanie. Trzeci wzmszył ramionami i usiadł.

Matka położyła mu dłoń na kolanie.

- Teraz wychodzimy - przypomniała.

Skinął głową, pochylił się, oparł łokcie na kolanach i zapatrzył się na ludzi.

- Mel jest z Em - zauważył i pochylił się jeszcze bardziej. - Em nieźle wygląda, już nie płacze.

Maddie spojrzała na dziewczynki, a potem na Trzeciego. Widziała jego pochyloną głowę, a na niej wicher, który sprawiał, że wyglądał on tak chłopięco.

- Mógłbyś... - zaczęła, ale nie była w stanie dokończyć zdania.

Wicher, wzrost, głos, kształt brody - wszystko to złożyło się nagle w jeden obraz, doskonale jej znany i przez to przerażający; nic dziwnego, że Treva tak się denerwowała.

- Ciociu Maddie...?

Pokój zawirował jej przed oczami, przestała oddychać, spojrzała na syna swego męża i pomyślała: To Treva napisała list o ciąży. Nie Kristie. Treva! Dwadzieścia lat temu. Jej charakter pisma zmienił się przez te lata, ale ten wicher...

- Ciociu Maddie...?

- Mógłbyś wziąć je na dwór - dokończyła zdanie łamiącym się głosem. - Na dworze jest o wiele chłodniej.

Trzeci spojrział na nią i podszedł do siostry. Do sióstr! Em ma starszego brata. Treva okłamywała ją przez dwadzieścia lat. Spała z Brentem, będąc uczennicą - najlepszą przyjaciółką! A potem okłamała ją, Howiego, Trzeciego... Okłamała wszystkich.

Maddie patrzyła na tłum, próbując to wszystko zrozumieć. Jakim cudem nie zauważyła nic przez dwadzieścia lat?! Trzeci dorastał przecież na jej oczach. No tak, być może w tym właśnie rzecz. Dorastał na jej oczach, a więc przyzwyczaiła się do jego twarzy, był w końcu bardzo podobny do matki; podobieństwo do ojca dopiero teraz zaczęło się ujawniać. Dopiero dwa, trzy lata temu zaczął tak szybko rosnać. I dopiero dziś zobaczyła go w garniturze. I dopiero dziś zauważyła ten jego wichełek, bo przyciął włosy, z pewnością ze względu na pogrzeb. Na pogrzeb ojca.

Dopiero dziś Maddie poznała prawdę.

Szkoda, że ją poznałam, pomyślała. Szkoda, że Treva nie kłamie lepiej, może jej kłamstwa przetrwałyby próbę czasu?

- Maddie, dobrze się czujesz? - spytała Treva.

- Nie. - Maddie wstała, nie patrząc na nią, i podeszła do matki, rozmawiającej z Mary Alice Winterborn.

Treva... Mówiła jej wszystko, przez całe życie miała ją za najlepszą przyjaciółkę, a teraz jakby tej przyjaciółki nigdy nie było. Było za to kłamstwo, od zarania znajomości jedno wielkie kłamstwo.

- Dobrze się czujesz, Madeline? - spytała Mary Alice.

- Nie. Właśnie straciłam kogoś, kogo bardzo kochałam. Być może już nigdy nie będę się dobrze czuła.

Spojrzała jej w oczy i dostrzegła, że niedowierzanie w jednej chwili zmienia się we współczucie.

- Tak mi przykro.

- Mnie również.

Stała nieruchomo, w milczeniu, póki Mary Alice nie opuściła jej, by podejść do Heleny Faraday.

- Tak już lepiej - szepnęła matka. - Tak należy zachowywać się na pogrzebie.

Maddie patrzyła na kwiaty, myśląc: kiedy już będę spokojna, kiedy to wszystko się skończy, porozmawiam z Trevą. Nic miała pojęcia, co jej powie, ale musiała coś powiedzieć. Między nimi nigdy już jednak nie będzie tak, jak było. Nigdy już nie będą takie, jak były. Treva spała z Brentem, urodziła mu syna i przez dwadzieścia lat nic jej nie powiedziała. Były przyjaciółkami na śmierć i życie, ale zarazem nie były nimi.

Ich przyjaźń była kłamstwem, tak jak jej małżeństwo było kłamstwem, jak kłamstwem było wszystko, co mówiła mamie, żeby ją uspokoić, jak kłamstwem okazał się powód, dla którego W.S. wrócił do Frog Point.

Wszystko w jej życiu było kłamstwem.

Żyła szczęśliwie, wierząc w kłamstwa, a teraz poznała prawdę; kłamstwa przestały się liczyć i nic jej już nie zostało. Oprócz Em.

Kurczowo uchwyciła się tej myśli. Em była jedyną pewnością, nie wolno tego zapomnieć. Będzie wychowywać Em, wróci do szkoły, będzie żyła, jak żyła jej matka - cicho i spokojnie, oddana dziecku i tylko dziecku. Okropna perspektywa, ale lepsze to niż ciągłe kłamstwa i jeśli nie zostanie skazana za morderstwo, nie może liczyć na nic innego. Niepotrzebna jej Treva, niepotrzebny W.S., Em wystarczy za wszystkich.

W takim życiu nie będzie nawet miejsca na zdradę. I usłyszy tylko te kłamstwa, które opowiadać będzie sama sobie.

Przez kolejne dwa tygodnie Madzię z fanatycznym zacięciem porządkowała życie i otaczała opieką Em. Em wracała do szkoły, Em tresowała psa, Em nadal płakała przed zaśnięciem, Em była środkiem świata. Maddie przerywała nawet rozmowy z matką, nie chciała słuchać plotek, plotki to przecież nic tylko kłamstwa. Liczyła się wyłącznie Em. Mama najpierw reagowała chłodem, potem zaczęła przeproszać, potem martwić się, Maddie zaś dobijała ją swą obojętnością, bo obchodziła ją tylko Em.

Na przykład zakupy do szkoły były tak ważne jak jeszcze nigdy dotąd. Pamiętała piekło, przez jakie sama przeszła, kiedy mama kazała jej nosić półbuciki zamiast adidasów, które nosiły inne dzieci. Na jednej szali śmieszności stała wówczas ona w lśniących czarnych półbutach, na drugiej dzieci takie jak Candace czy Stan, noszące zniszczone skórzane sandały albo rozdeptane tenisówki, a pośrodku znajdowała się Treva, która miała kilka par adidasów udekorowanych wykonanymi flamastrem rysunkami i poprzylepianymi gdzie się dało amuletami. Treva biegła po korytarzach, Maddie wlokła się za nią w bucikach grzecznej dziewczynki. Em nie będzie wlokła się za nikim, Maddie przerywała więc rozmowy z matką, by planować zakupy dla córki.

Nazajutrz po pogrzebie przyjechał Henry. Zaparkował policyjny radiowóz przed domem, na oczach gapiącej się z ganku Leony Crosby.

- Przywiozłem ci osobiste rzeczy Brenta - oznajmił, kiedy Maddie otworzyła drzwi.

- Nie chcę ich widzieć! Henry westchnął ciężko.

- Jest tu trochę cennych drobiazgów i sporo pieniędzy - powiedział. - I list. Powinnaś przeczytać ten list.

Weszli do środka. Rzeczy było rzeczywiście sporo: zegarek, obrączka, sygnet, portfel... Nic dziwnego, że ryle tego miał przy sobie, przecież zamierzał uciec. Były też jakieś ubrania w szarej sportowej torbie. W torbie, powiedział Henry, znaleźli też list, zaadresowany do niej, z naklejonym znaczkiem.

- Wygląda na to, że zamierzał wysłać go do ciebie przed wyjazdem.

Chciałbym, żebyś przeczytała.

Koperta była otwarta.

- Aha, więc czytacie moją korespondencję... - powiedziała Maddie i wyjęła pojedynczą kartkę papieru z nagłówkiem: „Firma budowlana Basset i Faraday”.

Kochana Maddie,

proszę, przeczytaj do końca, a dowiesz się, że wcale Cię nie porzuciłem. Po prostu muszę wyjechać z Frog Point. Jeśli zostanę, oszaleję. Zabieram Em i oboje będziemy czekać na ciebie w Brazylii. Zaufaj mi, wiem, co robię.

Ludzie będą mówili, że kradłem pieniądze, ale nie kradłem. Zostawiam Howiemu firmę, to uczciwy krok. Sprzedałem Stanowi moją ćwiartkę udziałów, Ty oddaj Howiemu swoją

i wszystko będzie w porządku.

Inni ludzie będą twierdzili, że cię nie kocham, ale to też nieprawda. Z Glorią to było tylko raz, ale ona nie chce mi dać spokoju. Nie wierz jej, jeśli będzie twierdzić, że łączyło nas coś więcej.

Kiedy przyjedziesz na południe, wszystko znowu będzie wspaniale. Em bardzo się tu spodoba, wiesz, jak ona lubi nowości, i Tobie też.

Sprzedaj dom, powinien pójść szybko. Z tych pieniędzy kup sobie bilet lotniczy, a resztę zabierz ze sobą.

Potrzeba nam tylko jednego: opuścić Frog Point. Wreszcie wyjeżdżamy. Obiecuję, będzie wspaniale.

Twój Brent.

- Em nienawidzi nowości - Maddie skończyła lekturę. Pokręciła głową. - Co mu przyszło do głowy?

- Wiesz, co miał na myśli, pisząc o Glorii? - spytał Henry.

- Myślę, że spał z nią, ale nie mam dowodów. Jego list jest bez sensu. O co mu chodziło z tymi kradzieżami?

Henry przestąpił z nogi na nogę.

- O ile wiemy, podbijał ceny niektórych sprzedawanych przez firmę domów, a nadwyżkę brał dla siebie. W.S. i Howie właśnie nad tym pracują. Dottie Wylie kosztowało to podobno czterdzieści tysięcy dolarów.

- Pieniądze w torbie golfowej?

- Trudno powiedzieć. - Henry ruszył w stronę wyjścia. - Wygląda na to, że działał sam.

- Niemożliwe! - zaprotestowała Maddie. - Nie potrafił nawet zbilansować konta. Ja obliczałam podatki. Nie ma cudów, sam nie dałby rady.

- Chciwość motywuje ludzi do nauki.

Henry pożegnał się i wyszedł, a Maddie pomyślała: nawet chciwość nie nauczyłaby Brenta matematyki. Ktoś mu pomagał. Ale Em zeszła na dół, zapytała, dlaczego przyjeżdżała policja i Maddie wróciła do pełnoetatowego

chronienia córki przed światem.

Treva dzwoniła kilkakrotnie - za pierwszym razem z informacją, że Martha Martindale odbyła ważną rozmowę z Heleną Faraday przed bankiem, pośrodku miasta.

- Helena opowiada wszystkim, że zabiłaś Brenta - przekazała z obrzydzeniem wiadomość. - Jest naprawdę niezmordowana.

- Przecież nikt nie bierze jej poważnie - odparła Maddie, pragnąca skrócić tę rozmowę.

- Twoja matka owszem. - W głosie Trevy brzmiała nie ukrywana satysfakcja. - Przyparła ją do muru, to znaczy do ściany banku, i powiedziała: „Słyszałam coś naprawdę obrzydliwego, Heleno. Podobno rozpuszczasz plotki na temat Maddie. Ja w to nie wierzę, bo wiem, że nigdy nie zrobiłabyś czegoś tak niechrześcijańskiego”.

- Przed bankiem? Na Main Street?

- To było piękne! Helena załamała się, a potem, według mojej teściowej, twoja matka dodała, że mogłaby niejedno opowiedzieć o Brencie. Irma twierdzi, że pani Martha nigdy jeszcze nie była tak bliska utraty panowania nad sobą.

- Oczywiście, mama musiała wpaść w szal akurat na Main Street. Jakbym potrzebowała dodatkowych kłopotów! Co ludzie sobie teraz pomyślą!

- Ja uważam, że zachowała się wspaniale. Irma też jest tego zdania. Maddie, czy ty się dobrze czujesz?

- Nie. - Twoja przyjaźń to kłamstwo, pomyślała. - Muszę iść do Em. Wciąż nie doszła do siebie.

- W porządku. - Treva sprawiała wrażenie zdziwionej. - Słuchaj, jeśli chcesz pozbyć się jeszcze jakichś zapiekaneek, to wiedz, że w zamrażarce mam mnóstwo miejsca. Tego, co już mi dałaś, nawet nie widać. Chcesz, żebym przyjechała?

- Nie. - Sześć zapiekaneek i pistolet to wystarczająco dużo, pomyślała. Ostatnia rzecz, o jakiej marzyła, to spotkanie z Tre-vą. - Dziękuję za telefon.

Odłożyła słuchawkę, nim Treva zdążyła się pożegnać. Po kilku podobnych rozmowach Treva przestała dzwonić, co Maddie powitała z ulgą. Zaraz po pogrzebie podarła list ze wzmianką o ciąży, chciała o nim zapomnieć, ale nie da się przecież zapomnieć zdrady. Porozmawia z nią, oczywiście, lecz jeszcze nie teraz. Może uda się poruszyć ten temat, kiedy będzie w stanie spojrzeć jej w oczy, nie popłakać się i nie krzyknąć: „Jak mogłaś?”, nie powiedzieć mnóstwa różnych głupstw, które nikomu by niczego nie dały.

W odróżnieniu od Trevy W.S. nie był w stanie zrozumieć aluzji.

15

W.S. zadzwonił do Maddie w sobotę po pogrzebie. Uparty, jak zawsze.

- Kiedyś w końcu będziesz musiała ze mną porozmawiać powiedział bez wstępów. - Nie odkładaj słuchawki. Będę dzwonił aż do skutku.

- Przecież tłumaczyłam ci, dlaczego nie mogę się z tobą zobaczyć. - Maddie, zmęczona koniecznością ciągłej obrony przed światem, gotowa była krzyknąć.

- Mama bije się na pięści na głównej ulicy w obronie mojej reputacji; jedyne, co mogę zrobić, to zapewnić jej tę reputację do obrony.

- Słyszałem o tym. Powiedziałem jej nawet, że następnym razem zgłoszę się na sekundanta.

- Kiedy jej to powiedziałeś?

- Poszliśmy razem na lunch. To miła kobieta. Bardzo się o ciebie martwi.

Mówi, że nie chcesz z nikim rozmawiać.

- Szkoła zaczyna się w poniedziałek. Muszę się przygotować. Jestem zajęta.

- Treva również, ale ona jakoś znajduje czas na rozmowy. Twierdzi jednak, że ty nie chcesz z nią rozmawiać. Co się z tobą dzieje?

- A cóż się może ze mną dziać?! - warknęła Maddie. - Szeryf jest pewien, że zabiłam męża. Chodzi po mieście.

zadając pytania, dzięki czemu opinia publiczna kieruje się przeciwko mnie.

Moje dziecko snuje się półprzytomne, próbując pogodzić się z faktem, że ojciec nie żyje. Wszyscy wokół marzą tylko o tym, żebym rzuciła wszystko, co robię, i zajęła się plotkami. Nie mogę plotkować. Sama jestem tematem plotek, i dlatego właśnie odwieszam słuchawkę. Do widzenia.

- Chwileczkę...

Odwiesiła słuchawkę. Telefon zadzwonił po chwili i okazało się, że to znowu on.

- Rozumiem. - Nie dał jej nawet dojść do słowa. - Nie chcesz ze mną rozmawiać, w porządku, ale może zechce Em? Poproś ją do telefonu.

- Nie.

- No to będę dzwonił, dopóki ona nie odbierze. Daj mi ją więc.

Em stała w drzwiach, blada, jakby nieobecna. Maddie przykryła dłonią słuchawkę.

- To W.S. Do ciebie, ale nie musisz z nim rozmawiać, jeśli nie chcesz.

- Porozmawiam. - Mała wzięła słuchawkę, wyszła na korytarz i usiadła na schodach.

Maddie usłyszała jeszcze, jak mówi „to ja”, a potem to mówiła coś cicho, to słuchała, co trwało dobre pół godziny.

Od tej pory W.S. telefonował codziennie. Początkowo Maddie przerywała rozmowy, ale gdy Em ożywiła się i pilnowała, by podnieść słuchawkę wcześniej niż matka, dała spokój. Niech rozmawiają. Wszystko, co pomagało

Em, było mile widziane, nawet telefony W.S.

W niedzielę pojawiła się mama, spokojna i milcząca. Została z Em, a Maddie pojechała z wizytą do babci.

- Słyszałam! - powiedziała babcia, gdy tylko wnuczka stanęła w progu pokoju. - Zamknij te cholerne drzwi.

Maddie zamknęła drzwi. Przysiadła obok staruszki.

- Za ciemno tu - usłyszała.

Wstała i posłusznie rozsunęła zasłony do połowy. Wróciła na krzesło.

- Dobrze. A teraz powiedz mi, jak to zrobiłaś.

- Co zrobiłam?

- Jak zabiłaś tego drania, naturalnie! Mówią, że użyłaś w tym celu pigułek. To tak jak ja. Przyniosłaś czekoladki?

Maddie zamarła z ręką w torebce, w której miała czekoladki. „To tak jak ja?” Odruchowo wyjęła bombonierkę, podała staruszce.

- Ja go nie zabiłam! - zaprotestowała.

- Rozmawiasz z babką, nie z policją, Madeline. - Swoim zwyczajem babcia rozszarpywała pudełko szponiastą dłonią. - Nie bądź głupia. Mówią także, że go zastrześliłaś. To jak było naprawdę?

Żółw, jak zwykle, poszedł na pierwszy ogień.

- Nie zabiłam go. Jak Mickey?

- Nadal lata goły. - Kolej na płucie orzechami. - Nie zmieniaj tematu. Jak to było?

- Nie zabiłam go. Nikt mi nie wierzy, ale ja go naprawdę nie zabiłam!

Staruszka spojrzała na nią z niemal namacalną pogardą.

- A ja zabiłam swego męża.

- Babciu, wiem, że lubisz szokować otoczenie, lecz to nie jest najlepszy sposób...

- Słuchaj mnie, głupia. Wszyscy tu wiedzą, co zrobiłam Buckowi. Miasto też wie, tak samo, jak wiedzą o tobie. -Przez pokój przeleciał kolejny orzech.

Koniec walki. Jeśli nie powołają ławy przysięgłych spośród pensjonariuszy domu starców, opowieści tu krążące nie będą miały żadnego znaczenia.

- Doskonale. Zabiłaś swojego pierwszego męża. Gratulacje.

- Och, nie bądź taka przemądrzała. - Nadgryziony żółw powędrował na bok, przyszła pora na mleczną czekoladkę. -Ja byłam mądra. Chyba zresztą nie zabiłam go umyślnie. - Babcia zamilkła, przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń. - Właściwie sama już nie wiem.

- Babciu...

- Bił mnie, tak jak ten twój Brent ciebie. - Staruszka ożywiła pamięć wielką porcją czekolady. - Psuł mi urodę, złamał nos; lekarz zrobił naprawdę dobrą robotę i złożył go wspaniale, ale kiedy spytał, co się stało, a ja powiedziałam, że Buck mnie uderzył, dał mi środki uspokajające.

- Tobie...?

- Jasne. Żebym go więcej nie denerwowała. - Stara kobieta uśmiechnęła się

okrutnie. - Ale on denerwował mnie znacznie bardziej, więc zaczęłam ten lek rozpuszczać w jego piwie. Dwa piwka po pracy i gasł jak świeca. Miałam spokój przez bardzo długi czas.

Maddie skinęła głową. Nie chciała przerywać tak fascynującej opowieści.

Babcia pogrzebała dłonią w bombonierce i wyciągnęła kolejną ofiarę.

- Pewnego dnia twój dziadek zadzwonił do mnie z warsztatu i powiedział, że Buck wyleciał z roboty za bójkę i że wraca do domu rozjuszony do szaleństwa.

- Dziadek?! Znałaś już dziadka?

- Nie przerywaj! W pierwszym piwie rozpuściłam więc nie jedną pastylkę, lecz dwie, ale i tak oberwałam, bo uderzył mnie, gdy tylko otworzyłam drzwi, a piwo wypił potem. Do następnego też wpuściłam dwie pastylki, nie chciałam, żeby znowu złamał mi nos. Wypił, zasnął, słuchając radia, i już się nie obudził. Skąd mogłam wiedzieć, że ten sukinsyn ma słabe serce?

Wspaniała nowina. Dziedziczna choroba - zabijanie mężów. Miło wiedzieć.

- Niezła bajeczka - powiedziała głośno, ale nie udało się jej przekonać do koncepcji bajeczki samej siebie.

- To czysta prawda. Pisali nawet o tym w gazecie. - Staruszka uśmiechnęła się do miłych wspomnień z młodości. - Wszyscy wiedzieli, co się stało, ale szeryf oświadczył reporterom, że to był atak serca, i tak właśnie napisali.

- Ale dlaczego? Nie rozumiem...?

- Bo miasto troszczy się o ludzi, którzy troszczą się sami o siebie. - Tak przytomnej, tak normalnej babci Maddie nie pamiętała nawet z dzieciństwa. - Buck mnie bił, lecz to przecież nie powód, by wszczynać zamieszanie, które tylko ludzi denerwuje. Bił mnie za mocno, w związku z tym załatwiłam sprawę po swojemu, bez żadnego zamieszania, więc miasto spłaciło dług. Tobą też się zaopiekuje, możesz być pewna. Reuben Henley zaopiekował się mną, jego syn zaopiekuje się moją wnuczką. Ochroni cię.

- Nie chcę, żeby mnie chronił. Chcę, żeby złapał prawdziwego mordercę. Chcę, żeby ludzie poznali prawdę.

Babcia potrząsnęła głową.

- Prawda to układ, który zawrzesz z miastem. A ty zawsze spełniałaś obowiązki wobec miasta, Maddie, to ci muszę przyznać. Nie masz wyobraźni, nie masz klasy, ale byłaś dobrą żoną, dobrą matką, dobrą córką i dobrą nauczycielką. Ludzie to pamiętają.

Maddie zamarła. Babcia miała rację; we Frog Point można zostać uznaną za winną bez orzeczenia kary.

- Dość - powiedziała ostro. - Nie pozwolę, by Emily dorastała w przekonaniu, że zabiłam jej ojca. Nie zrobię też tego matce.

Babcia usiadła w łóżku bez najmniejszego wysiłku. Wymierzyła w nią palec.

- Milcz i słuchaj! To nie ma najmniejszego znaczenia! Nic się nie liczy oprócz tego, co potrzebne, by przeżyć. Zapamiętaj moje słowa, Madeline: rodzisz się

samotna i umierasz samotna. Między urodzinami i śmiercią wchodzisz w układy. Dotrzymaj układu z miastem, a matce i Em nic się nigdy nie stanie. Babcia opadła na poduszki i wróciła do zęczenia się nad żółtciem. Maddie miała dość tej rozmowy. Wstała.

- Muszę iść. Przykro mi, ale dziś nie mogę zostać dłużej. Wracam do Em.

- Siadaj. Chcę usłyszeć coś o tym mężczyźnie, z którym spędziłaś noc.

- Nie mogę. - Próbowała niepostrzeżenie przesunąć się w stronę drzwi. - Muszę wracać do dziecka.

- Robisz się taka sama jak twoja matka - stwierdziła babcia, tak przejęta, że zapomniała o czekoladce. - Chowasz się w domu z dzieckiem, mimo że w pobliżu jest interesujący mężczyzna. Co za bandę nędznych słabeuszy przywołałam na ten świat! Ja nie tchórzyłam. Miałam kochanków, i niech ich wszystkich diabli! A ty...? A twoja matka...? Tchórze. Nic tylko tchórze.

- Jaki mężczyzna? Przy mamie nie było żadnego mężczyzny.

- Był, był taki jeden, z kręgielni. - Babcia pociągnęła nosem. - Całkiem miły i z pewnością lepszy niż inni, ale nie dla twojej matki, o nie! Spędziła całe życie, próbując mnie przeżyć, i oświadczyła, że nie zrobi takiej krzywdy swojemu dziecku. - Na twarzy starej kobiety na moment tylko pojawił się wyraz przejmującego bólu, lecz po chwili była to już, jak zwykle, tylko smutnie pomarszczona twarz. - Zachowywała się tak, jakbym za mało dla niej zrobiła, jakby powinna się mnie

wstydzić. Tymczasem wstydzić się trzeba tylko jednego: strachu przed życiem. A twoja matka najbardziej tego właśnie się boi: żyć. Kto chciałby zająć jej miejsce, powiedz mi?

- To nie jest wcale takie złe - odparła Maddie, czerpiąc tę wiedzę z głębokich doświadczeń ubiegłego tygodnia. - Masz spokój, nikt ci nie kłamie, nie jesteś tematem plotek...

Babcia prychnęła z bezbrzeżną pogardą.

- Oczywiście! Nikt cię nie kocha, nie masz się z kim śmiać, nikt nie sprawia, że życie cię cieszy. - Spojrzała na wnuczkę spod ciężkich powiek, a w spojrzeniu tym była duma. - Miałam w życiu ośmiu mężczyzn i nie żałuję ani jednego. Miasto gadało, lecz ja miałam to w nosie.

- Zdradzałaś dziadka?

- Co do diabła! Sypiał ze mną, kiedy byłam jeszcze żoną Bucka. Myślał, że niby co zrobię, narodzę się na nowo? Przynajmniej poznałam, co to uczucie, a to więcej, niż może powiedzieć o sobie moja szanowana przez wszystkich córka. Wiązałam z tobą pewne nadzieje, ale okazałaś się równie słaba jak ona. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Nie wierzę ci.

- Nazywał się Scott. Sam Scott.

To Scott wyszedł do niej na parking tego wieczoru, kiedy szukała Brenta.

„Poznałem samochód twojej matki” - powiedział. Czyżby czekał na nią przez trzydzieści lat? Czy W.S. też będzie czekał? Co za okropna myśl! Musi

uciekać, uciekać przed babcią, która nic, tylko kłamie. Mama powiedziała przecież, że babci największą frajdę sprawia kłamstwo.

Już miała wyjść, kiedy przypomniała sobie tani naszyjnik, który kupiła specjalnie na tę wizytę.

- Chcesz...? - spytała i zahustała nim kusząco przed oczami babci.

- A po co mi taki śmieć? - Staruszka odsunęła bombonierkę i spojrzała na wnuczkę ze złością. - Za kogo mnie masz? Za idiotkę? Nie potrzebuję tych twoich śmieci. Usiądź i opowiedz mi wszystko o tym twoim mężczyźnie.

- Przykro mi, babciu, ale muszę wracać do Em, nim zaczniesz się denerwować. Nie doszła jeszcze do siebie. Do widzenia.

- Usiądź, porozmawiaj ze mną choć chwilę. Niedługo już będę z wami.

- Do widzenia, babciu. - Maddie nie zdążyła domknąć drzwi, kiedy usłyszała trzask, jakby uderzyło w nie pudełko czekoladek.

Wróciła do domu z zamiarem pytania matki o Sama Scotta, lecz jedno spojrzenie w jej oczy poinformowało ją, że nie doceni ona pytania typu: „Sypiałaś kiedyś z Samem Scottem?”. Maddie będzie musiała natomiast wysłuchać kolejnego wykładu o tym, jak to babcia potrafi kłamać. Miała aż za dużo kłopotów, żeby ściągać na siebie kolejny, więc usiadła do niedzielnego obiadu i zachowywała się tak nieskazitelnie, tak uprzejmie, że mama wreszcie poddała się i wróciła do siebie.

Przez następny tydzień zachowywała się podobnie -i w szkole, i w domu. Jej życie było monotonne, zimne, ale nie tak złe jak przedtem; była już pewna, że jakoś sobie poradzi. W każdym razie tylko takie życie była w stanie znieść.

Kontakty z ludźmi wydawały się jej zbyt bolesny, a na razie bólu miała aż nadto.

Uśmiechała się więc i udawała zadowoloną, lecz cierpiała, bo była bardzo samotna.

16

Dla W.S. te dwa tygodnie po pogrzebie Brenta nie były wcale lepsze. Najgorsze, że Maddie nie tylko nie rozmawiała z nim, ale w ogóle z nikim. Jej matka wydawała się tym zmartwiona, choć umiarkowanie; podczas wspólnego lunchu zachowywała się uprzejmie, lecz nie chciała rozmawiać o córce. Gdyby to jego dziecko traciło kontakt ze światem, poruszyłby niebo i ziemię, ale Martha Martindale lubiła spokój.

- Jestem wdzięczna, że nie próbował się pan zbliżyć do Madeline. - Po

pogrzebie i tak za wiele było gadania.

Chciał zwrócić uwagę na fakt, który najwyraźniej przeoczyła: gadania jest zdecydowanie za mało, przynajmniej ze strony Maddie, ale w oczach Marthy dostrzegł upór. Przypomniawszy sobie o jej zachowaniu przed bankiem i dał spokój. Robiła, co mogła, na swój własny sposób.

On zastosuje inny sposób.

Pojechał spotkać się z Trevą i Howiem, ale nie posunął się o wiele dalej.

- Cześć, W.S. — powiedział Howie, kiedy czerwony kabriolet przystanął pod garażem, w którym akurat pracował. -Miałem do ciebie dzwonić. Nadal chcesz ten dom?

- Oczywiście! — odparł, wysiadając. - Kredyt powinienem dostać pod koniec miesiąca. Candace załatwia to w moim imieniu. - Dlaczego miałbym nie chcieć domu?

- No... myślałem, że skoro nie jesteście już razem, ty i Maddie...

- Ale jesteśmy razem. Może w pewnym oddaleniu od siebie, ale razem. Jak tam Treva?

- W porządku - odparł Howie, lecz nie wyglądał na szczęśliwego. - Jest w domu.

- Mogę wejść na chwilę? Chciałbym ją o coś spytać. Howie skinął głową. w.s. zapukał do kuchennych drzwi i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

Treva gotowała coś w wielkim garnku, a jej jasne włosy skręciły się od gorącej pary.

- Rosół? - spytał głośno, a ona podskoczyła i upuściła łyżkę do garnka.

- W.S., na litość boską, przestraszyłeś mnie niemal na śmierć. - Zajrzała do garnka. - Teraz muszę wyłowić tę cholere.

- Pozwól, że ci pomogę.

- Nie tym! - skarciła go, kiedy zobaczyła, że bierze nóż. Wręczyła mu łyżkę wazową z długą rączką. - Spróbuj.

- I co tam u was? - spytał obojętnie, mieszając rosół łyżką i nasłuchując brzęknięcia, które oznaczałoby, że jest bliski sukcesu. - W porządku?

- Jasne. Dlaczego pytasz?

Jest! Teraz ostrożnie... No, udało się!

- Byłem ciekaw, czy rozmawiałaś z Mad.

- Niedużo. Uuuch, ale gorąca.

- Też mi niespodzianka! - Ostrożnie spróbował rosółu wprost z łyżki wazowej. - Dobrze. Nie wiedziałem, że tak świetnie gotujesz.

- Dam ci trochę, zabierzesz dla Anny. Mam tego mnóstwo.

- Wożenie jedzenia do Anny to jak przywożenie plotek do Frog Point.

Bezsensowne, a nawet obraźliwe. Dlaczego nie rozmawiałaś z Maddie?

Treva przykryła garnek.

- Bo ona nie chce ze mną rozmawiać - wyjaśniła. - Pomyślałam, że może potrzebuje trochę czasu, żeby się, wiesz, otrząsnąć, a zatem nie narzucam się jej. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Oto moja wersja wydarzeń i będę się przy

niej upierała - dodała, ale sprawiała przy tym wrażenie nieszczęśliwej, przepełnionej poczuciem winy. W.S. zastanawiał się wie, ale miał już sporo problemów z Maddie i Em, a poza tym Howiemu mogłoby się nie spodobać, że ktoś przesłuchuje jego żonę.

- Ze mną też nie chce rozmawiać - zwierzył się. - Martwię się.

- Nic jej nie będzie. Takim jak ona nigdy nic nie jest. Kiedy to usłyszał, dał Trevie spokój i skupił się na wuju.

- Przecież z pewnością nie wierzysz, Henry, że ona to zrobiła - powiedział pewnego dnia przy kolacji, po raz chyba tysięczny.

Henry, czytający gazetę, stracił wreszcie cierpliwość.

- Chcesz dostać listę dowodów jej winy? - krzyknął.

- Nie. Ale tak się jakoś składa, że wciąż jej nie aresztujesz. Musisz więc mieć wątpliwości.

- Owszem. Mam pewne wątpliwości. Pracuję nad tym, by je rozproszyć. Ale Maddie nadal doskonale pasuje do roli zabójcy.

- A te wątpliwości...? - naciskał W.S.

- Chciałbym znaleźć narzędzie zbrodni. Podejrzewam także, że parę osób w okolicy łączy jak psy. - Umilkł i pograżył się w lekturze gazety.

W.S. z trudem powstrzymał się przed wyrwaniem mu jej z rąk; nic głupszego nie mógłby chyba uczynić.

- I co robisz w tej sprawie? - spytał spokojnie.

- Nic.

- Henry!

Wuj opuścił gazetę.

- Nikt z podejrzanych nigdzie się nie wybiera. Mam wszystkich na oku. Po prostu czekam. Prędzej czy później ktoś się znecierpliwi, ktoś coś powie komuś. Jeśli to będzie Maddie, i tak nic się jej nie stanie, każdy głupi wie przecież, że została sprowokowana, proces odbędzie się tutaj, dostanie niski wyrok, a my zajmiemy się nią i jej córeczką. Tak że nie musisz się o nic martwić.

Spróbował znów podnieść gazetę do oczu, ale W.S. położył na niej rękę.

- Nie rozumiem - powiedział do wuja, któremu złość odebrała głos. -

Aresztowanie niewinnej kobiety to przecież nie w twoim stylu!

- Zabierz tę pieprzoną łapę z tej pieprzonej gazety! W.S. poddał się i cofnął rękę.

Wcale jednak nie miał zamiaru poddać się naprawdę. Dzwonił do Maddie codziennie, początkowo po to, by usłyszeć jej głos, potem po to, by porozmawiać z Em. Rozmawiali o szkole:

- Jak ci leci? - spytał pewnego dnia. Em odparła:

- W porządku - ale poznał po głosie, że chciała powiedzieć „okropnie”.

Rozmawiali o Phoebe, czasami potrafił sprawić nawet, że dziewczynka się uśmiechała, raz roześmiała się nawet głośno. Prosił ją, by opiekowała się mamą.

- Wpadniesz do nas? - spytała Em pod koniec tygodnia, a jemu gardło się zacisnęło.

- Na razie nie, skarbie - odparł. - Ale będę dzwonił codziennie.

Był cierpliwy, rozumiał, że Maddie potrzebuje czasu, który zaleczy rany. Ale nie miał jednak zamiaru czekać w nieskończoność. Prędzej czy później będzie musiała otworzyć mu drzwi, jeśli nawet nie dla siebie, to on musi przecież zobaczyć Em.

Dla Em dwa tygodnie po pogrzebie były prawdziwym piekłem. Czasami śnił się jej tata i te sny były tak rzeczywiste, iż budziła się z przekonaniem, że ojciec żyje, że pogrzeb był tylko snem. Potem wszystko sobie przypominała i wybuchiała płaczem. Czasami budziła się, wiedząc wszystko, i było to jeszcze gorsze, bo nie miała nawet chwili, by pomarzyć. Czasem budziła się i po prostu leżała nieruchomo, zastanawiając się, czy wystarczy jej energii na to, by

wstać z łóżka. Nie wiedziała, co zrobić, i nie mogła zrobić nic, nawet porozmawiać z Mel, bo Mel tak uważała, by nie sprawić jej przykrości, i była tak grzeczna, że w ogóle nie opłacało się z nią rozmawiać. Nie opłacało się także rozmawiać z mamą, bo mama kłamała. Powiedziała na przykład, że kiedy wrócą do szkoły, będzie lepiej, a okazało się, że jest o wiele gorzej. I wyglądała okropnie, ale kiedy Em pytała ją, jak się czuje, odpowiadała, że dobrze i że nic jej nie jest, a to już było wielkie kłamstwo.

Szkoła też była jednym wielkim kłamstwem. Wszyscy udawali, że wszystko jest w porządku, a przecież wiedzieli, że wcale tak nie jest. Nauczyciele okazywali Em wiele sympatii i wyglądali tak, jakby było im jej bardzo żal. Dzieci przyglądały się jej jak okazowi w zoo, więc ignorowała je, z wyjątkiem Mel, a i z Mel przecież prawie wcale nie rozmawiała. Po czwartkowej dużej przerwie przestała z nią rozmawiać w ogóle.

Otwierały kartony mleka, kiedy Mel spojrzała na nią spod oka.

- Niektórzy mówią, że twój tata został zastrzelony. Czy to prawda? - spytała. Em także słyszała te plotki. Kiedy dotarły do niej po raz pierwszy, omal nie zwymiotowała, ale teraz wstała, wyprostowała się dumnie.

- To obrzydliwe kłamstwo - powiedziała i odeszła.

- Przepraszam cię! - krzyknęła za nią Mel.

Em jednak nie wróciła, a w piątek na dużej przerwie jadła śniadanie już sama. Wszystko było lepsze od rozmów. Tego samego dnia, po południu, okazało się, że nie odrobiła matematyki.

- Wszystko w porządku, Em - zapewniła nauczycielka, a Em strasznie zachciało się krzyknąć: „Zapomniałam, po prostu zapomniałam, przecież to nie dlatego, że tata nie żyje! Nie wszystko na świecie dzieje się, bo tata nie żyje!”. Ale nie krzyknęła, bała się, bo pomyśleliby przecież, że jest z nią bardzo źle.

I może rzeczywiście tak było, bo coraz bardziej chciało się jej krzyknąć.

Kiedy wysiadła z autobusu i szła do domu, uświadomiła sobie nagle, jaki jest cichy. Nikt nie dzwoni, nikt nie rozmawia, nikt się nie śmieje. Tylko Phoebe wyszła jej na spotkanie. Zabrała ją więc na dwór. W pięć minut później przyjechała mama samochodem wypożyczonym przez W.S., wróciła z lekcji w liceum. Wsiadała z samochodu jak stara kobieta, a kiedy zobaczyła córkę, pomachała i uśmiechnęła się, tylko że był to straszny uśmiech. W szczerść takiego uśmiechu nikt nie byłby w stanie uwierzyć.

Zaczekała, aż mama wejdzie do domu, po czym zawołała Phoebe i weszła do środka. Usiadła przy kuchennym stole i splotła ręce, by nie było widać, że drżą.

- Chcę z tobą porozmawiać - powiedziała. Mama spojrzała na nią tak, jakby jej nie poznawała.

- Co takiego, skarbie?

- Chcę z tobą porozmawiać - powtórzyła silnym głosem, choć czuła się słabo, jakby lada chwila miała zemdleć. - Mel

mówi, że tata został zastrzelony, że zginął bo ktoś go zastrzelił.

Z pistoletu.

Pod mamą ugięły się nogi. Opadła na krzesło, zamknęła oczy.

- Em, mówiłam ci, że to był wypadek, mówiłam...

- Chcę znać prawdę! - Musiała bardzo mocno zacisnąć zęby, żeby nie krzyknąć. - Powiedz mi prawdę!

- Tata został zastrzelony, i to był wypadek - powiedziała mama, nie patrząc jej w oczy.

Em poczuła mdłości, bo znowu została oszukana. Kolejne kłamstwo.

- Przecież mówiłam ci, że to był wypadek - dodała mama. - Tata nie cierpiał, Em. Nic nawet nie poczuł. Nie rozmawiałam z tobą na ten temat, bo nie chciałam, żebyś zaczęła o tym myśleć. Spróbuj więc nie myśleć. To był wypadek.

Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo! Em była tak wściekła, że aż się trzęsła, i to ją przerażało. Jeśli tak złości się na mamę, to wolałaby nie mieć mamy, ale gdyby nie miała mamy, kto by się nią zajął? Ale mama kłamała, kłamała, choć wie, że

kłamstwo jest złe. Chciała krzyknąć: „Masz powiedzieć prawdę!”, ale nie wolno jej było krzyknąć, więc spytała tylko:

- Kto to zrobił?

- Nie wiadomo. - Mama była wyraźnie zmęczona, lecz tym razem mówiła chyba prawdę. - Szeryf próbuje się tego dowiedzieć. Pracuje bardzo ciężko. - Spojrzała na nią i wyglądała tak okropnie, że dziewczynce nagle zrobiło się wstyd. Nie powinna jej wypytywać. - Na razie nie wiemy, kto go zastrzelił.

- Ja chcę poznać prawdę. Chcę wiedzieć to samo co ty. Mama drgnęła, a potem pokręciła głową.

- Ja nic nie wiem - powiedziała. - Jeszcze nigdy w życiu nie wiedziałam o czymś tak mało.

- W porządku, mamo.

Em wstała. Wiedziała, że powinna przytulić się do mamy, pocieszyć ją, ale nie była w stanie zdobyć się na taki gest.

- W porządku, mamo - powtórzyła i wyszła z kuchni, zła i smutna, choć wierna Phoebe podreptała za nią.

Maddie dopiero około czwartej zorientowała się, że Em znikła. Krzyknęła z kuchni, aby zapytać, co zrobić na kolację, a gdy nie otrzymała odpowiedzi, wyszła przed dom i zobaczyła, że jej córka znikła wraz z psem i rowerem. Tylko spokojnie! - pomyślała i zaczęła zaglądać do wszystkich pokoi, co było śmieszne, bo Em nie jeździła przecież po nich na rowerze. Sprawdziła podwórko i ogródek, sprawdziła garaż, po czym zamarła, powtarzając sobie, że nie wolno wpadać w panikę, że nic się nie mogło stać...

Do kogo zadzwonić? Policji nie należy jeszcze niepokoić... a może jednak należy? Może Em pojechała do babci albo do Mel, albo...

- Maddie, czy coś się stało?

Spojrzała na Glorię, daleką, chudą i bladą za żywoplotem.

- Widziałaś Em? Przed chwilą jeszcze tu była.

- Nie. - Gloria podeszła bliżej. - Nie widziałam. A co, zginęła?

- Och! - Maddie machnęła ręką. Gloria szybko wycofała się na schody. -

Oczywiście, że nie. Po prostu poszła gdzieś, nic mi nie mówiąc, za co do końca życia będzie siedzieć w domu. To wszystko.

- A może ktoś ją porwał? W telewizji bez przerwy mówią o porwaniach.

- We Frog Point? - Maddie otworzyła drzwi, nawet nie udawała grzeczności. -

Nikt jej nie porwał! - syknęła i weszła do domu. W kuchni spróbowała opanować paraliżujący lęk.

Nikt jej nie porwał! Pewnie pojechała do Mel.

- Treva? - rzuciła do telefonu, gdy tylko ktoś u Bassetów podniósł słuchawkę.

- Co się stało? Głos ci się rwie? Co się dzieje?

- Widziałaś Em?

- O mój Boże! Meeeeel! - Jej krzyk zabrzmiał przeraźliwie nawet przez telefon.

- Widziałaś Em?

Maddie nadstawiła ucha, ale nic więcej nie usłyszała. Była to zresztą bardzo krótka rozmowa.

- Nie widziała jej, Mad. Mówi, że Em z nikim w szkole nie rozmawia i dzieci zostawiają ją samą sobie. Twierdzi, że ona próbowała ją zagadywać, ale Em tylko na nią patrzy, nie odzywając się.

- Och! - Wyobraziła sobie natychmiast Em patrzącą na porywacza, może nawet mordercę. - Słuchaj, na pewno nic się nie stało. Może pojechała do mojej mamy. Zaraz sprawdzę.

- Jeśli tobie się nie uda, my ją z pewnością znajdziemy. Mamy trzy samochody, możemy objechać całe miasto w pięć minut. Daj mi znać, gdy czegoś się dowiesz, dobrze?

- Oczywiście. - Maddie próbowała skinąć głową, ale głowa ledwie trzymała

się szyi. - Oczywiście - powtórzyła niepewnie.

Okazało się, że na matkę nie można liczyć.

- Gdzie ona jest?! O mój Boże, Maddie, Emily może być wszędzie! Uciekła z domu? Coś ty zrobiła, dziecko?

- Mamo! - Maddie opanowała się z najwyższym trudem. - Wcale mi nie pomagasz. Jeśli nie ma jej u ciebie, to pewnie zabrała Pboebe na przejażdżkę. Idę jej szukać. Ty siedź w domu, na wszelki wypadek. Może zaraz przyjedzie.

— Dzwonię do Henry'ego Henleya. Ktoś musi zacząć szukać twojej córki.

Maddie cisnęła słuchawkę na widełki. Jeśli nie do Mel i nie do babci, to dokąd Em mogła pojechać? Myśl. Myśl! Nie do szkoły, w szkole czuła się przecież nieszczęśliwa. Do Revco w śródmieściu? Do banku pobawić się stemplami? Do...

- Do diabła z myśleniem! - Porwała torebkę, wskoczyła do samochodu i pojechała do śródmieścia.

Jechała powoli, przyglądając się ulicom. W Revco Em nie było, ale Sheila, kiedy usłyszała Maddie wypytującą o nią kasjerkę, Susan, obiecała, że będzie się rozglądać i w razie czego odprowadzi małą do domu. Mniej więcej to samo przyrzekła Candace z banku.

- To straszne! Takie słodkie dziecko. Sprawdzę w innych stanowiskach, ale ona zawsze przychodziła do mnie...

W Burger King nie widział małej nikt z obsługi, nikt nie widział jej także w Dairy Queen. Kristie z firmy budowlanej również nic o niej nie wiedziała.

- Ostatni raz widziałam ją na pogrzebie - oznajmiła. - Ale będę uważać i zadzwonię, gdyby tu przyszła.

Maddie na powrót usiadła w samochodzie. Oparła głowę na kierownicy. Przecież to się nie może dzieć. Przecież zawarła układ z Bogiem, może nie w pełni świadomie, ale przecież układ. Zgodziła się na rzucanie przez Boga kłód pod nogi, ale tylko pod warunkiem, że Em będzie bezpieczna! Em miała być nietykalna. To się nie może dzieć naprawdę!

Wracała do domu inną drogą. Wpatrywała się w mijane ulice, jakby siłą woli mogła wyczarować córkę na którejś z nich. Okrążyła szkołę, ale jej wysiłki okazały się beznadziejne. Podjazd był pusty.

Wbiegła do domu. Zdażyła odebrać telefon.

- Maddie? Mówi Henry Henley. Znalazłaś ją?

Kto? A, ten facet, który chce ją oskarżyć o morderstwo! Dla jej własnego dobra, rzecz jasna.

- Nie. Byłam w śródmieściu i w firmie, ale nie znalazłam jej.

- Spokojnie. Em szukają już wszyscy moi ludzie. Im nie uciekną. Ty siedź w domu, na wypadek, gdyby zadzwoniła, dobrze?

- Jasne. - To była dobra rada, szkoda, że Maddie tak szorstko potraktowała człowieka, który próbuje znaleźć jej córkę. - Bardzo ci dziękuję, Henry, ale rozumiesz, jestem przestraszona...

- Wiem, kochanie. Mnie też się to nie podoba, ale znajdziemy ją. Nie mam

zresztą wyboru. Gdybym jej nie znalazł, Anna już nigdy nie wpuściłaby mnie do domu.

- I tak byś jej szukał. Taki po prostu jesteś.

- Wypełniam tylko moje obowiązki. A więc: nie ruszaj się z domu, czekaj na telefon. Rozumiesz?

- Oczywiście.

Telefon zadzwonił pięć minut później. Boże, znalazła się! Ale to nie była Em, tylko ktoś z tak zaawansowanym zapaleniem krtani, że był w stanie wyłącznie cicho chrypieć.

- Pani Faraday? Ma pani śliczną córeczkę.

- Co...? - Maddie nagle zaschło w ustach. - Kto mówi?

- Emily jest bardzo miła.

- Kto mówi?!

- Jeśli chce pani jeszcze kiedyś ją zobaczyć, niech pani powie Henry'emu o pistolecie i o pieniądzech. Niech pani przyzna się do zabójstwa albo nigdy więcej nie zobaczy pani córki.

17

- Gdzie ona jest? Kto mówi? Gdzie moja córka?!

- To pani go zabiła i doskonale pani o tym wie - powiedział ochryply głos. - Niech się pani przyzna policji. Natychmiast..

- Posłuchaj mnie! - Rozpacz dodała jej sił. - Jeśli coś się jej stanie, wytropię cię i zabiję, rozumiesz? Jeśli znajdę na jej ciele choćby zadrapanie, nie ujdiesz z życiem! Jeśli...

- Traci pani czas. Ma pani tylko piętnaście minut na za-wiadomienie Henry'ego. Proszę to zrobić albo już nigdy nie zobaczy pani córki.

— Czekaj...! - Ale połączenie zostało przerwane. Odłożywszy słuchawkę, stała przez chwilę, drżąc na całym

ciele, i zastanawiała się, co zrobić. Musi znaleźć numer Henry'ego. Nie, może przecież zadzwonić pod 911. Nie była w stanie trafić palcami we właściwe przyciski. Jakiś szalenić porwał Em...

Odezwała się policyjna centrala. - Dajcie mi szeryfa Henleya!

Henry odezwał się po sekundzie.

- Co się dzieje, do cholery?!

- Ja to zrobiłam, Henry. Zabiłam męża, przyjedź mnie zaaresztować.

Koniecznien z włączoną syreną, i pospiesz się!

- Maddie..?

- Pospiesz się! Jedź na sygnale, obiecaj, że przyjedziesz na sygnale i jedź już, błagam cię!

Przyjechał z włączoną syreną. Czekala na niego na ganku; na ganki swych domów wylegli wszyscy sąsiedzi, ale cóż mogło ją to obchodzić! Maddie była w stanie myśleć wyłącznie o Em, przerażonej, być może rannej, o Em i jej porywaczu. Bała się tak, że z trudem utrzymywała się na nogach.

- Co tu się, do diabła, dzieje?! - spytał od progu Henry. Wciągnęła go do środka.

- Porywacz zadzwonił.

- Chwileczkę, spokojnie. - Henry złapał ją za ramię, zaciągnął do pokoju, posadził w fotelu. - Opanuj się i opowiedz wszystko.

- Powiedział, że zabił Brenta i nie odda mi dziecka, póki się nie przyznam.

- Jesteś pewna że to był mężczyzna?

- Całkiem pewna. Mówił cicho, głos miał ochryply, ale to był mężczyzna. -

Em z obcym człowiekiem! - Powiedział, że mam piętnaście minut, by wezwać cię i przyznać się do morderstwa.

- No, jeśli nie usłyszał tego hałasu, to musi być głuchy. Zachowałeś się wspaniale. Nie poznałaś tego głosu?

- Nie, nie, oczywiście, że nie! - Jak można zadawać tak głupie pytania! -

Gdybym poznała ten głos, już jechałabym zabić faceta. Henry, ktoś ją porwał! Pewnie morderca, nikogo innego nie obchodziłoby przecież, czy przyznam się, czy nie. Morderca ma Em!

- Przestań krzyczeć. - Henry wszedł do samochodu, mówił coś przez radio na oczach całej ulicy.

Maddie modliła się, by wydał swoim ludziom właściwe instrukcje. Em zginęła, Em została porwana! Nie potrafiła tego zrozumieć. Tak bardzo chciało się jej krzyczeć, marzyła, by móc przytulić córeczkę.

- Wiem, że się boisz - powiedział Henry, wchodząc do pokoju. - Ale musisz się skupić. Czy dzwoniącym mógł być ktoś z banku?

- Z banku...? - Spojrzała na niego nieprzytomnie. - Sądysz, że Brenta zabił Harold Whitehead?

- A Webster? Ten, który zszedł z tobą do depozytów? Widziałaś, że odkłada waszą kasetkę na miejsce?

- Nie. Uciekłam, kiedy tylko znalazłam paszport. - Nagle zrozumiała. -

Webster? Sądysz, że Webster ukradł moje pieniądze? Sądysz, że to on porwał Em?

- To jego młodszy brat rozbił ci w czwartek samochód, a ja nie lubię takich zbiegów okoliczności. Czy głos w telefonie mógł należeć do Webstera?

- Henry, ten głos mógł należeć nawet do ciebie! Co

- Zrób to dla niej i nie wpadaj w panikę. Myśl. Czy to mógł być Stan Sawyer?

- O mój Boże, nie wiem! - Maddie złapała się za głowę. -Przysięgam, to był tylko schrypnięty szept, a ja nie rozpoznałabym po głosie ani Stana, ani Webstera, nawet gdyby mówili normalnie. Po prostu nie wiem.

- Howie...?

- Nie, z całą pewnością nie. Jego głos bym poznała. To nie był Howie.

- Powiedz mi dokładnie, co on właściwie mówił? - spytał szeryf, ale w tym momencie zadzwonił telefon. - Chcę posłuchać - rzekł szybko. - Był tuż obok niej, kiedy podnosiła słuchawkę, ale kiedy odwróciła ją tak, by oboje słyszeli rozmówcę, okazało się, że to mama.

- Maddie, co się dzieje? Słyszałam syreny policyjne, widzę obracające się światła. Czy to u ciebie? Czy chodzi o Em? Co się dzieje?

- Nie, to nie Em. - Maddie starała się mówić opanowanym głosem, ale nie przyszło jej to łatwo. - Nadal jej nie znaleźliśmy. Henry przyjechał nam pomóc.

- Powiedz mu, żeby zgasił te światła. Cała ulica pomyśli, że masz kłopoty.

- Mamo, nie mogę teraz rozmawiać. - Maddie odłożyła słuchawkę, nie zwracając uwagi na protesty matki. - Syreny zdały egzamin - poinformowała Henry'ego. - Myślisz, że porywacz już wie o moim przyznaniu się?

- Całe miasto wie. Teraz powiedz mi, co ten facet mówił, przytocz jak najdokładniej jego słowa.

Maddie przymknęła oczy.

- Najpierw powiedział: „Pani Faraday”, a potem coś takiego: „Ma pani bardzo miłą córeczkę” - tak mi się przynajmniej wydaje. A potem kazał mi się przyznać do morderstwa Brenta i zagroził, że jeśli tego nie zrobię, już nigdy nie zobaczę Em.

- Powiedział: „przyznać się do morderstwa”? Tak to ujął?

- Nie pamiętam! Kazał mi powiedzieć wszystko tobie. Kazał wezwać Henry'ego.

- Henry'ego...? Nie „szeryfa Henleya”?

- Henry'ego. Jestem pewna, że powiedział „Henry'ego”. Spróbuj przypomnieć sobie jego słowa. Dzięki temu możemy się czegoś dowiedzieć.

- On wiedział o pieniądzach. Kazał powiedzieć ci o pieniądzach. - I o broni... - przypomniała sobie Maddie. Nagle zrobiło się jej zimno. Ten ktoś wiedział o pistolecie w civicu. To był morderca!

Boże, morderca ma Em!

Telefon zadzwonił znowu, tuż koło jej ucha. Krzyknęła, przestraszona.

- Weź głęboki oddech, nim podniesiesz słuchawkę - poradził Henry, lecz ona nie słuchała go, myśląc tylko o Em.

Em z wysiłkiem kręciła pedałami; rower kiwał się na boki, jadąc powoli zwirową drogą. Była tak zmęczona, że już nawet nie próbowała sobie wszystkiego uporządkować w myśli. Nie miała jednak wątpliwości, że pomysł jazdy na farmę był dobry, znała drogę, bo zapamiętała ją dzięki

sztuczce W.S. - trzydziestu jeden ludzi na ganku, jedzących orzeszki hikorowe. Ale drogą trzydzieści jeden jechała już chyba od kilku godzin, a nie znalazła żadnej Gankowej! Może w ogóle jej nie było? Może ją minęła i zabłądziła? Zabłądziła na wsi, ktoś może ją porwać, przejechać, może nawet zastrzelić... Poczuli, że strach zaciska jej gardło. Phoebe miała dość roweru po pierwszych trzydziestu minutach, ona sama miała go dość po godzinie, teraz więc pomysł jazdy na farmę nie wyglądał już tak wspaniale, chociaż gdyby udało się jej tam dojechać, byłaby szczęśliwa...

Phoebe pisnęła jeszcze raz. Em poddała się, zjechała z drogi i stanęła pod drzewem. Udało się jej ustawić rower i wziąć psa na ręce na sekundę przedtem, nim zdążył skoczyć i zawisnąć na smyczy. Usiadła ciężko na ziemi, obserwując szczeniaka biegającego po okręgu z naciągniętą smyczą i wężącego pilnie.

Mogła zawrócić do domu, ale w ten sposób znów znalazłaby się w punkcie wyjścia. A tego nie chciała najbardziej ze wszystkiego. Nie potrafiła zapomnieć tygodnia w szkole, kolegów i koleżanek mówiących szeptem, kiedy podchodziła; szkoła była chyba jeszcze gorsza niż dom. Mel pragnęła tylko zadawać pytania; po raz pierwszy w życiu Em nie chciała przebywać w towarzystwie Mel, chociaż doskonale ją rozumiała.

Ona sama też pragnęła zadawać pytania, ale mama ją okłamywała, a przecież musi, po prostu musi poznać prawdę. Postanowiła, że pojedzie na farmę, do W.S. Będą łowić ryby, rozmawiać o Phoebe, może nawet poczuje się lepiej, gdy uda się jej poznać odpowiedź na jakieś pytania.

Tylko że zabłądziła i musi teraz odbłądzić, a nie odbłądzi, jeśli nie wsiądzie na rower. Perspektywa dalszej jazdy wydała jej się bardzo niemiła, ale przecież nie mogła spędzić reszty życia pod tym drzewem. W końcu zacznie się ściemniać, a wówczas znajdzie się w prawdziwych kłopotach.

- Chodź, Phoebe - zawołała. Wsadziła pieska do wyłożonego ręcznikiem koszyka. Phoebe pisnęła, próbując ułożyć się w nim wygodnie. - Wiem, wiem, mnie też się to nie podoba - powiedziała. - Ale musimy... - W tym momencie usłyszała samochód.

Odwróciła się i zobaczyła hamujący ostro czerwony kabriolet.

- Cześć - powitał ją W.S. - Mama zaraz dostanie ataku serca.

- Przykro mi - odrzekła Em, ale wcale nie było jej przykro. Gdyby mama nie zachowywała się tak głupio, to ona nie musiałaby przejechać teraz chyba z tysiąca kilometrów.

- Jasne, już ci wierzę! - W.S. wysiadł z samochodu. Starał się wyglądać groźnie, ale do tego to on się zupełnie nie nadawał. - Nie podoba mi się, że mama przez ciebie płacze.

- Wcale nie jesteś zły - powiedziała, pewnie dlatego, że była bardzo zmęczona. - Nie udawaj.

- Hej, co ci się stało?

- Zabłądziłam. - Em zsiadła z roweru, on pomógł jej go podtrzymać. -

Chciałam z tobą porozmawiać, wybrałam się więc na farmę, ale zabłądziłam i nie mogę znaleźć Porch Road. Jestem głupia.

W.S. wyjął Phoebe z koszyka, żeby mogła sobie trochę pobiegać.

- Wcale nie zabłądziłaś, po prostu zmęczyłaś się. Porch jest półtora kilometra stąd. Zaraz byś na nią trafiła.

- Naprawdę? - Em spojrzała na niego podejrzliwie.

- Ty rzeczywiście nikomu nie ufasz. - W.S. włożył rower na tylne siedzenie samochodu i otworzył drzwiczki, wpuszczając do środka ją i Phoebe.

Em poczuła, że jej kłopoty nie są już takie straszne. Nie znikły, ale przestały być straszne.

- Wsiadaj, udowodnię ci, że ulica, której szukasz, jest tuż-tuż - ponaglał W.S.

Em wsiadła do kabrioletu, zadowolona, że nie musi już jechać rowerem, i naprawdę szczęśliwa, że to W.S. ją znalazł. Phoebe natychmiast wspięła się jej na kolana i wystawiła

głowę na zewnątrz. Trzeba było trzymać ją mocno, żeby nie wyskoczyła. Była taka ciepła i miła; rzeczywiście, nagle zrobiło się jakoś fajniej.

Usadowiła się wygodnie w fotelu, oparła głowę na zagłówku. Szyja ją bolała. Szyja potrafi niezłe rozboleć, kiedy pedałuje się po żwirze z tysiąc kilometrów.

W.S. usiadł za kierownicą, poklepał dziewczynkę po kolanie, włączył silnik, zawrócił niemal w miejscu i jechał szybko przez dwie minuty, a potem przyhamował.

- Widzisz? - Wskazał tabliczkę, na której napisane było: „Gankowa”. - Kilka minut, i nie miałabyś już powodów do zmartwienia.

Rzeczywiście, nie zabłądziła. Nie jest głupia. Prawie się udało. Em westchnęła i uspokoiła się.

- Za daleko, żeby dojechać rowerem - oznajmiła.

- Słusznie. Ale tego nie mogłaś przecież wiedzieć. Kiedy jedzie się samochodem, wszystko wydaje się bliższe. Przestań się zamartwiać. Jedyne, o co możesz mieć do siebie pretensję, to fakt, że przestraszyłaś mamę. I mnie.

Em spojrzała na niego spod oka.

- Bałeś się?

- Bałem. - W.S. nie spuszczał wzroku z drogi, ale odpowiedział zwykłym głosem i pełnym słowem, a nie jakimś „taa...”, więc wiedziała, że mówi prawdę. - Udało ci się śmiertelnie wystraszyć mnie, Henry'ego, Annę, mamę i jeszcze z milion osób, więc nie rób tego więcej.

- Myślisz, że ktoś mógłby mnie zastrzelić? - Em bojowo wysunęła brodę.

W.S. zwolnił i spojrzał na nią.

- Nie. Taka myśl nie powstała mi w głowie. Bałem się raczej porwania albo wypadku.

- Och...!

- O co ci właściwie chodzi, Em?

Pytał bez nacisku, ale poważnie. Dziewczynka westchnęła i skończyła z

udawaniem bohaterki.

- Mama mnie okłamuje. - Próbował jej przerwać, ale nie umilkła. - Najpierw mówiła, że tata zginął w wypadku, a kiedy dowiedziałam się, że został zastrzelony, powiedziała, że to właśnie był wypadek. Dzieci w szkole mówią, że... że go zabito. - Skuliła się na siedzeniu, przytulając Phoebe. - W większości to głupki, ale założę się, że mają rację. - Spojrzała na W.S. Niech no tylko zarzuci im kłamstwo! - Mają...?

W.S. zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Siedział, wpatrując się przed siebie przez długą chwilę, a kiedy wreszcie się do niej odwrócił, był śmiertelnie poważny. Patrzył jej prosto w oczy.

- Tak. Mają rację. Twój tata został celowo zabity przez kogoś.

- Kto to był? - spytała, przestraszona.

- Nie wiemy.

Poderwała głowę, spojrzała na niego; tak zła nie była chyba jeszcze nigdy w życiu, ale W.S. tylko powtórzył głośniej:

- Nie wiemy, Em! - Odetchnął głęboko. - Naprawdę. Henry próbuje znaleźć tego kogoś, ale na razie nie wiadomo, kto to był.

- Czy mamę też zastrzeli? - Głos dziewczynki załamał się na tym pytaniu, najważniejszym dla niej, najbardziej przerażającym.

- Nie. Gdybym uznał, że twoja mama jest w niebezpieczeństwie, nie byłoby mnie tu, bo pilnowałbym jej. Ktokolwiek zabił twojego tatę, był zły tylko na niego, a nie na całą waszą rodzinę.

- Ale przecież ktoś włamał się do naszego domu...

- Owszem. I zabrał, co chciał zabrać. Już nie wróci. Nikt nie zrobi krzywdy mamie.

Nie zabrzmiało to zbyt pewnie i Em znów obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

- Nie kłam!

- Jeśli nie przestaniesz oskarżać mnie o kłamstwa, zaraz się pokłócimy.

Powiedziałem ci, że nigdy nie kłamię.

- To, co powiedziałaś o mamie, zabrzmiało jak kłamstwo. Jakbyś nie był pewien, co mówisz.

- Nikt nie zastrzeli twojej mamy! Gdybym uznał, że takie zagrożenie istnieje, nie spuściłbym jej z oka. Słowo harcerza.

- Nie traktuj mnie jak dziecko!

- Przecież jesteś dzieckiem! Nie udawaj dorosłej, pozwól, że się tobą zaopiekujemy.

- Ja tylko chcę wiedzieć, co się dzieje. Ludzie wokół mnie wciąż szepczą, dzieci w szkole też, mama wygląda strasznie. W ogóle wszystko jest straszne! W.S. wyprowadził samochód na drogę.

- Coś ci powiem. Miałem zamiar pokazać ci Porph Road, a potem odwieźć do mamy, ale wpadłem na lepszy pomysł. Uważam, że powinniśmy pojechać na farmę i zadzwonić do mamy, żeby po ciebie przyjechała. Może zostanie na

kolacji, to sobie porozmawiamy i będzie nam miło. Chcesz?

Em skinęła głową.

- Owszem, ale nadal chcę wiedzieć, co się dzieje.

- Wiesz co, mała? Ja też.

Maddie przymknęła oczy, odetchnęła głęboko, podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Wszystko w porządku - usłyszała ciepły głos W.S. -Odwołaj gończe psy, dziecino. Mam twoją córkę, nic jej się nie stało.

- Co...? - Pod Maddie ugięły się kolana, całe szczęście, że przypadkiem trafiła na stołek. - Masz ją? Nic jej nie jest?

Ręka trzęsła się jej tak bardzo, że nie była w stanie utrzymać słuchawki.

Henry złapał ją w ostatniej chwili.

- Kto mówi? - usłyszała jego głos. - To ty, W.S.? Co się dzieje? - Słuchał przez chwilę, podczas gdy ona siedziała z głową w dłoniach. - Powiedz to Maddie. -

Henry podał jej słuchawkę. - Em nic się nie stało - powtórzył. - Muszę wpaść w parę miejsc. Ty zostań, porozmawiaj z W.S. i spróbuj się uspokoić.

Maddie podniosła słuchawkę. Mówiła z trudem, przez łzy.

- W.S....?

- Wszystko w porządku, skarbie. Mała jest cała i zdrowa. -W jego głosie było tyle ciepła, tyle miłości, że znów poczuła się słabo. Oparła się o ścianę i odsunęła słuchawkę, by nie słyszał, że płacze. - Próbowała dojechać rowerem na farmę. Prawie się jej udało, a to nie byle osiągnięcie. Jest trochę zmęczona, to wszystko.

- Nic jej nie jest? - Nie potrafiła w to uwierzyć. Płakała ze szczęścia. - Nic się jej nie stało? Gdzie ją znalazłeś? Kto ją porwał?

- Nikt jej nie porwał. Jechała z własnej woli. Anna właśnie poi ją lemoniadą. Nie martw się.

Maddie pociągnęła nosem. Musi oddychać głęboko, powoli, bo inaczej zemdleje. Em nic się nie stało. Em nie została porwana. Wytarła łzy grzbietem dłoni. Jakiś dupek dowiedział się, że zginęła, i postanowił się zabawić, a Em tylko wybrała się do Henleyów.

- Nigdy więcej nie chcę tego przeżywać! Powiedz jej, że do końca życia będzie siedziała w domu! Nie wierzę, że mogła mi to zrobić. Po wszystkim, co przeszłam...

- Zrobiła to po wszystkim, co sama przeszła - przerwał W.S. - Musisz z nią porozmawiać, Mad. Jest przerażona, nic nie rozumie, a przecież musi wiedzieć, co się dzieje dookoła.

I jak tu nie wkurzyć się na tego faceta! Jakiś dupek omal nie doprowadził jej do zawału, a teraz inny dupek ma się za cholernego doktora Spocka.

- Dziękuję za dobre rady. Zaraz po nią przyjadę.

- Dlaczego nie miałaby zostać u nas przez jakiś czas? Może zmiana otoczenia dobrze by jej zrobiła?

- W.S...

- Anna wręcz oszalała z radości. Już z nią rozmawiałem. Jutro mają piec ciasteczka.

Maddie zacisnęła zęby, aż zgrzytnęły.

- W.S., naprawdę...

- Proszę, zrób mi tę przyjemność - powiedział takim głosem, że zabrzmiało to jak rozkaz. - Spakuj trochę rzeczy i przyjedź tu, gdzie będziesz bezpieczna i trochę odpoczniesz. Obie macie chyba dość Frog Point, prawda?

- W.S...

- Wiem, że jesteś zdenerwowana. Wiem, że bałaś się. teraz jesteś wściekła, wiem, że przeszłaś piekło i że to jeszcze nie koniec. Przyjedź do nas i pozwól, byśmy się tobą zajęli. - Ściszył głos, Maddie zorientowała się, że nie jest sam. - Przyjedź i pozwól, bym się tobą zaopiekował. Nie dostajesz dodatkowych punktów za to, że zmagasz się ze wszystkim sama.

A za to powinny być doliczone dodatkowe punkty, pomyślała. Zmęczyło ją zmaganie się z tym wszystkim. Wyjazd na farmę nie oznaczał przecież, że się poddaje. Po prostu zrobi sobie przerwę.

Zamknęła oczy, żeby znów nie zapłakać. Propozycja W.S. brzmiała bardzo ponętnie. On sam, Anna, farma, rzeka i żadnych porywaczy, bo W.S. i Henry nikogo przecież tam nie dopuszczają. Nie chodziło o to, że W.S. został nagle bohaterem, bo potknął się o zmęczone dziecko i wziął je pod opiekę. Nie mogła zapomnieć o gniewie, bo gdyby nie gniew, pobiegłaby zaraz na farmę, rzuciła mu się w ramiona i krzyknęła: „Ktoś na mnie czyha, potrzebuję obrońcy!”. Poradzi sobie sama. Sama obroni siebie i Em.

- Anna już przygotowuje pieczonego kurczaka z sosem -kusił ją W.S. - I ziemniaki puree, a ty przecież od ziemniaków puree wolisz tylko Em. I mnie. Żartował sobie. Potrafił żartować Było to takie uspokajające.

- Cholesterol...

- Em ma osiem lat. Przeżyje bez bypassów co najmniej do liceum.

Nie powinna jechać! Na farmie czekał W.S., a przecież ona tak uważała, by trzymać się z dala od niego, i w ogóle od wszystkich, przynajmniej dopóki miasteczko się nie uspokoi, bo dopiero wówczas będzie w stanie znów rozmawiać z ludźmi, przyjmować telefony. Dopiero wówczas będzie w stanie rozmawiać z tym człowiekiem.

- Maddie, pomyśl tylko. Em jest tu znacznie szczęśliwsza. I bezpieczna.

Przyjedź, proszę.

Miał rację.

- Masz rację - przyznała. - Zaraz przyjeżdżam. Odłożyła słuchawkę, opuściła głowę, spróbowała raz jeszcze

znaleźć swe miejsce w świecie. Em nic się nie stało, a jeśli Em nic się nie stało, świat może sobie iść do diabła. Tak naprawdę nic jej już nie grozi.

Owszem, grozi. Maddie nagle wyprostowała się. Ochryply głos powiedział:

„Powiedz policji o broni i pieniądzach”. Co oznaczało, że nie dzwonił do niej jakiś żartobliwie usposobiony dupek. To był morderca. Morderca, który chce ją zrobić.

Zadzwoił telefon. Maddie zagapiła się nań tępo. Kto to? To zresztą bez znaczenia. Może morderca? Albo policja, teściowa, Treva, ktoś z setki innych ludzi, z którymi nie ma ochoty rozmawiać, z jakimś problemem, o którym woli nic nie wiedzieć. Telefon dzwonił i dzwonił. Podniosła słuchawkę, powiedziała matce, że Em się znalazła, że nic się jej nie stało, że zadzwoni później i wszystko wyjaśni. Rozłączyła się, po czym zadzwoniła do Trevy. Poinformowała ją, że Em się znalazła, że nic się jej nie stało i że zadzwoni później, by wszystko wyjaśnić.

Potem spakowała do torby pidżamę małej i jakieś ubrania, cały czas powtarzając sobie w myśli, że wszystko będzie dobrze.

Nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się już na farmie.

Em siedziała na stopniach ganku. Czekwała na matkę, popijając lemoniadę. Anna obiecała, że dostanie tej lemoniady, ile tylko będzie chciała, ale kiedy piło się ją wolno, lepiej smakowała. Poza tym musiała przemyśleć mnóstwo spraw, nim mama przyjedzie.

Przyjechała w wynajętym samochodzie, zaparkowała przy trawniku, wysiadła i ruszyła w jej kierunku. Em bardzo chciała pobiec jej naprzeciw, ale się nie ruszyła. Nie dziś. Odstawiła

szklankę z lemoniadą na stopień, wstała i skrzyżowała ręczki na piersiach.

Mama zatrzymała się i spojrzała na nią dziwnie. Em uniosła głowę.

- Tak się o ciebie martwiłam! Nie wolno ci tego robić! Nigdy.

Dziewczynka milczała. Matka patrzyła na nią coraz mniej pewnie.

- Em...?

Trzasnęły drzwi, kroki zadudniły po deskach ganku. W.S.

- Em ma dość kłamstw - powiedział. - Chce wiedzieć, co się dzieje.

Mama zacisnęła zęby.

- Potrafię sama wychować własne dziecko. Ciebie do tego nie potrzebuję — oznajmiła ponad ramieniem córki, jakby tej wcale tu nie było.

- I tu się właśnie mylisz. Nie potrafisz. To dlatego Em wsiadła na rower.

Zaryzykowała dwudziestoparokilometrową wycieczkę tylko po to, by porozmawiać ze mną.

Mama patrzyła na W.S. gniewnie.

- Posłuchaj...

- No właśnie - wtrąciła się Em. - Możesz krzyczeć na niego, ile chcesz, ale on ma rację.

To mamą wstrząsnęło.

- Córeczko...

- On mi nie kłamie. Wiem, że nie mówi wszystkiego, wiem, że wie rzeczy, o których ja nie mam pojęcia, na przykład martwi się o ciebie, chociaż twierdzi, że nie ma się o co martwić, ale nie kłamie! A ty kłamiesz. Nic, tylko kłamiesz.

Nareszcie! Powiedziała to, co chciała powiedzieć. Zaczęła drzeć. To były straszne słowa, ale musiała je wygłosić.

- Kłamałaś przez cały czas - dodała.

Odwróciła się i poszła nad rzekę, powstrzymując łzy. Zdjęła buty, usiadła na nierównych deskach pomostu, zanurzyła stopy w ciepłej wodzie. Phoebe przybiegła do niej po chwili. Objęła psiaka, pilnując, by nie wpadł do wody, przytuliła go mocno i próbowała zapomnieć o tym, co przed chwilą powiedziała.

Maddie bardzo pragnęła pobiec za córką, przytulić ją, zobaczyć w niej znów dziecko, którym była jeszcze przed miesiącem, a nie przerażoną kupkę nieszczęścia, uciekającą tam, gdzie nie ma dorosłych. Patrzyła, jak Em siada na pomoście, przytula psa, i pomyślała: Muszę jakoś sobie z tym poradzić, a nie mam zielonego pojęcia jak.

- Musisz przestać jej kłamać, Maddie - poradził W.S., więc rozzłościła się na niego, bo nikogo lepszego akurat w pobliżu nie było.

- Mam powiedzieć temu dziecku, że jego ojciec został zamordowany? Mam powiedzieć, że był oszustem, że sypiał z różnymi babami, że planował porwać ją do Brazylii, a mnie zostawić? Chcesz, żebym powiedziała Em o n a s?

- Tak. - W.S. nie wyglądał na szczęśliwego, ale zdecydowanie skinął głową. - Tak, tego właśnie chcę. Ona przecież widzi, że coś jest bardzo nie tak, a prawda jest lepsza od tego wszystkiego, czego Em się boi. Ona ma tylko ciebie, Mad. Jeśli nie będzie mogła ci zaufać, zostanie sama, a jest o wiele za mała na samotność. Skoro już zaczęliśmy rozmawiać na ten temat, pozwól, że powiem ci jeszcze jedno: Em jest dość silna. Traktujesz ją jak figurkę z saskiej porcelany, wiem, przez co musiała przejść, ale ona jest twarda jak dobra stal, pod warunkiem, że postępuje się z nią uczciwie. Jeśli zaczniesz w końcu postępować z nią uczciwie, wszystko jeszcze obróci się na dobre.

Maddie cofnęła się o krok. Utrata ojca była dla Em ciosem, ma się teraz jeszcze dowiedzieć, że został zamordowany, a morderca jest na wolności? Mowy nie ma!

- Nie mogę powiedzieć córce, że jej ojciec został zamordowany. I nie powiem.

- Nie musisz. - W.S. usiadł na stopniu ganku i zgarbił się, jakby nagle postarzały. - Ja to zrobiłem.

- Co...?

Spojrzał na nią i widać było, że gotów jest na wybuch gniewu z jej strony.

- Spytała mnie. Dzieci w szkole jej powiedziały, a ona chciała wiedzieć, czy mówiły prawdę. Nie będę kłamał temu dziecku. Nigdy. Nawet gdybyś miała mnie przez to zniechęcić.

- Proszę, proszę, musisz być z siebie dumny! - Maddie była tak wściekła, że z trudem hamowała wybuch gniewu. - Rycerz bez skazy, co? Czy zdajesz sobie sprawę...

- Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jak czuje się człowiek, którego okłamują. Wiem, jak to jest, bo patrzę na ciebie, kocham cię tak mocno, że aż boli, i wiem, że kłamiesz w żywe oczy, bo mi nie ufasz. Nie mam zamiaru wyrzucić takiej krzywdy twojemu dziecku. To wykluczone.

Wszystko mu się najwyraźniej pomyliło, jak zwykle, ale ten temat może poczekać.

- Posłuchaj mnie. Radzimy sobie świetnie. Nie potrzebujemy ani ciebie, ani twojej pomocy, więc bądź uprzejmy się od nas odczepić!

W.S. drgnął.

- Ty mnie nie potrzebujesz, zgoda, ale twoja córka - wręcz przeciwnie. A ja chcę, żeby mnie potrzebowała. Jeśli nam dwojgu się nie uda, trudno, niech i tak będzie, pewnie inaczej się nie da. Nie mieszaj się jednak między mnie i Em. Nam się uda.

Maddie dopiero teraz naprawdę mu się przyjrzała uważnie. Siedział na ganku ponury, lecz zdeterminowany i właśnie oświadczył, że zostanie przy Em choćby nie wiem co. Zawsze przy niej będzie. Chce przy niej być. A ona mu ufa, do niego właśnie przyszła po wyjaśnienia.

Niech to diabli, ale przecież ja też mu ufam, pomyślała. Był godny zaufania, choć uparty; był silny i zabawny; potrafił być ogromnie miły i bardzo się jej podobał, choć przecież z drugiej strony jak nikt inny potrafił doprowadzać ją do szału. Chciał chronić Em, a wystarczyło przecież, by stała się znów dawną Maddie i mogła go mieć. Taki drobiazg.

- Nie mogę - powiedziała. - Już nigdy nie będę bezbarwnym niczym, jak w szkole, już nigdy nie będę nawet sarkastycznym niczym, jak przed miesiącem. Nie jestem tą kobietą, którą pokochałeś przed dwudziestu laty. Możesz dać więc sobie z nią spokój.

W.S. spojrział na nią, zdziwiony. Ale po chwili zrozumiał.

- Z nią...? Z nią już dawno dałem sobie spokój. Wspomnienia mam miłe, ale to tylko wspomnienia. Ty nią nie jesteś? Też mi nowina! Jesteś uparta złośnica, a gdy zaczniesz gadać, nie wiesz, kiedy przestać. W dziewięćdziesięciu przypadkach na sto nie wiem, czy przewrócić cię na podłogę, czy też uciec przed tobą z krzykiem, ale kocham cię właśnie taką. Chyba tylko Bóg wie dlaczego, bo ja nie, ale tak to już bywa. I kocham twoją małą. Musisz sama sobie z tym poradzić. -Spojrział na nią srogo, a ona omal się nie roześmiała, chociaż wcale nie było jej do śmiechu.

Koniec z kłamstwami, mówił. Maddie przypomniawszy sobie ostatnie dwa tygodnie. Unikała go. Unikała Trevy. Obie z matką udawały, że wszystko jest w najlepszym porządku. Em przestała jej ufać i dalej nie ufa ani za grosz. Zaledwie godzinę temu czuła się tak, jakby cały jej świat się zawalił; nie ma zamiaru czuć się tak nigdy więcej. Próbowwała chronić Em, odpychając wszystkich, ryzykując samotność, której nie знаła, bo przecież poprzednio, nawet jeśli była nikim, stanowiła część miasta i z tego czerpała poczucie bezpieczeństwa. Dobra, dostała, czego chciała, z dala od ludzi i od Frog Point.

Przez cały ten czas czuła się fatalnie, była bezradna i przerażona. I nie udało się jej ochronić Em.

Chyba pora coś zmienić, prawda?

- Siedź tu i nie waż się ruszyć - warknęła do W.S. - Najpierw muszę porozmawiać z Em, ale nie wolno ci odejść!

- Nie mam dokąd odejść - odrzekł W.S. - Ja ta buduję dom! Maddie poszła w stronę rzeki. Oto zaczyna się seria bardzo nieprzyjemnych rozmów, których nie chciała bynajmniej odbywać, ale które, zdaje się, odbyć musi.

Usiadła obok Em na szorstkich deskach pomostu. Zdjęła buty i zanurzyła nogi w zielonkawej wodzie. Poczowała się wspaniale, jakby ktoś zrobił jej masaż całego ciała. Westchnęła z ulgą.

Em poruszała nogami, a kiedy Phoebe wymknęła się jej, skoczyła na kolana Maddie i zaczęła lizać ją po policzkach, odwróciła buzię.

Maddie postawiła szczeniaka pomiędzy nimi i wzięła córkę za rękę. Ale ona się wyrwała.

Niech i tak będzie. Złożyła ręce na kolanach i zapatrzyła się w wodę.

- Masz rację, przyznaję. Powinam powiedzieć ci prawdę. Próbowałam ci tego oszczędzić, bo to straszliwa prawda, ale teraz rozumiem, że tego się nie da zrobić. - Pochyliła się, spojrzała w twarz dziecka. - Mam rację?

- Tak. To okropne, nie wiedzieć, co się dzieje. Nie mogłam tego znieść.

- Co chcesz wiedzieć?

Em przygryzła wargi. Przyjrzała się matce uważnie.

- W.S. powiedział, że ktoś zastrzelił tatę.

- O, cholera! - pomyślała Maddie, lecz skinęła głową.

- Tak. Umarł od razu. Nic nie poczuł, Em. Naprawdę.

- Kto to zrobił? - spytała dziewczynka po chwili milczenia.

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. Henry próbuje się dowiedzieć, ale na razie nikt tego nie wie. Ja nawet nikogo nie podejrzewam.

- Powiedz mi, jak to było. Chcę wiedzieć.

- Dobrze. - Maddie zawahała się, przełknęła ślinę. - Właściwie wiemy bardzo niewiele. W tamten piątek tata spotkał się z kimś w samochodzie. Był bardzo senny, bo wypił przedtem wino z moim lekarstwem. Więc ten ktoś poprowadził jego samochód na Point Zatrzymali się tam. Co było dalej, nie wiemy, ale tata pewnie zasnął, przez to lekarstwo, a potem ten ktoś go zastrzelił. - Maddie objęła sztywne z napięcia ciało córeczki.

Em skinęła głową, ale nie przytuliła się do matki.

- Właśnie tak mówią w szkole. Babcia powiedziała, że tata zachorował i umarł szybko, ale w szkole mówią, że został zastrzelony. - Spojrzała na matkę. - Nie wiedziałam o tabletkach przeciwbólowych. Czy to znaczy, że tata nie wiedział, że do niego strzelają, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje?

- Zapewne tak - wyraziła przypuszczenie Maddie. - Jeśli nawet nie zasnął, to

był nieprzytomny i nie wiedział, co się dzieje. Nie bolało go, Em. Nie kłamie. Nie bolało go to wcale.

Em westchnęła i oparła się o Maddie.

- To już lepiej. Trochę lepiej. Nie za dobrze, ale cieszę się, że tata się nie bał.

- Nie bał się. - Maddie pocałowała ją w czubek głowy. - Nie. Pewnie po prostu spał.

- Czy ten ktoś będzie chciał teraz zabić ciebie?

- Nie. - Matka odsunęła się i spojrzała jej w oczy. - Nie, oczywiście, że nie.

Naprawdę, nie masz powodu do takich obaw.

- Zastrzelił tatę - przypomniała Em drżącym głosem. -

Może zastrzelić także ciebie.

- Myślę, że był zły na niego. - Maddie szukała jakiegoś sposobu, by nie skłamać, ale jednocześnie nie powiedzieć całej obrzydliwej prawdy. - Są ludzie, którzy gniewali się na tatę, ale nie mieli nic przeciwko mnie.

- Tobie przecież też zdarzyły się różne złe rzeczy. Wypadek samochodowy... no i twoja buzia...

- Masz rację, Em... To był wypadek. Ktoś uderzył w nasz samochód. -

„Młodszy braciszek Webstera”, tak chyba powiedział Henry. - Wypadki samochodowe zdarzają się często.

- A twoja twarz? To też był wypadek? Maddie znów poczuła ucisk w gardle. Przełknęła.

- Nie.

- Co się stało? - Em spojrzała na matkę spod oka. - Tylko nie kłam.

- Tata wrócił do domu bardzo zły. Ja byłam zdenerwowana na niego.

Pokłóciliśmy się. - Przerwała. Em wpatrywała się w nią kamiennym wzrokiem. - Tata mnie uderzył.

- Nie! Nie! Nie on! - Em odsunęła się od niej, oszołomiona. Dobrze, wszystko będzie dobrze.

- Nie, nie tata - powtórzyła Em.

Maddie milczała. Obiecała córce, że nie będzie kłamać, lecz też nie mogła przecież obciążyć jej całą prawdą.

Siedziały wpatrzone w rzekę, obserwując ryby igrające pod powierzchnią wody. Słońce oświetlało fale, pomost rzucał na zieloną wodę ciemny cień. Phoebe biegała wzdłuż brzegu, kopała tu i tam.

- Dlaczego? - spytała wreszcie Emily.

Maddie wzięła ją za rączkę, taką delikatną i drobną. Dziecko, po prostu dziecko. Za małe, by udźwignąć prawdę... Ale jej pozostała tylko prawda.

- Tata rozgniewał się. Potem było mu bardzo przykro. -Przypomniała sobie

Brenta mówiącego zza drzwi sypialni: „Przepraszam, po prostu muszę wiedzieć, co wiesz”. Ludzie chcą prawdy. - Bardzo, bardzo przykro. Stracił panowanie nad sobą. Słuchaj... - Pochyliła się nad córką. - On mnie przedtem nigdy nie uderzył. I potem też. Nie był taki.

- Wiem. - Em pociągnęła nosem. Patrzyła przed siebie, na rzekę. - Wiem. Był

dobry.

- Był dobrym ojcem. Em skinęła głową.

- Więc nikt nie chce cię skrzywdzić?

- Nie. - Maddie nie wspomniała o rozmowie z porywaczem. - Em, strasznie mi przykro, że do tego doszło. I że się o wszystkim dowiedziałaś.

Tak jest lepiej. Lepiej wiedzieć nawet o złych rzeczach, niż nie wiedzieć o niczym. Bałam się, kiedy nic nie wiedziałam.

- Rozumiem. Mnie też się to nie podobało. Jak się teraz czujesz?

- Lepiej. Jest mi smutno, bardzo smutno, ale czuję się lepiej. - Uniosła głowę, rozejrzała się dookoła, jakby po raz pierwszy widziała i rzekę, i farmę. - I dobrze, że tu przyjechałyśmy. Lubię Frog Point, ale cieszę się, że jesteśmy tutaj.

- Ja też. Frog Point bywa męczące.

Em podniosła głowę i spojrzała na matkę.

- Gniewasz się na ciocię Trevę? Bo przecież nie chcesz z nią rozmawiać, nawet kiedy dzwoni.

Treva... Kolejne kłamstwo, któremu musi stawić czoło. Kolejna zdrada.

Maddie puściła rękę córki. Wstała. Phoebe wpadła w zachwyty, wyobrażając sobie, że czeka ją spacer. Biegała po pomoście to w jedną, to w drugą stronę.

- Nie, nie gniewam się. - Nie było to wcale kłamstwo. Maddie czuła się zawiedziona, zraniona, nawet zdradzona, ale nie gniewała się na Trevę. -

Zaczekaj. Muszę pojechać do miasta, będę u babci, powiem jej, że nic ci się nie stało. Zostań z Phoebe u Anny i W.S.

- Lubisz go? - Em zapatrzyła się w wodę, uważała, by nie spojrzeć w oczy matce.

- Owszem. - Maddie popatrzyła w niebo. Nie będzie dyskutowała o sprawach osobistych z dzieckiem. Nie ma mowy!

- To przez niego tata tak się rozgniewał?

- Nie! Mój Boże, nie. - Usiadła ciężko na pomoście, a roz-dokazywana Phoebe spróbowała wskoczyć jej na kolana. - Pośłuchaj, Em, ani ja, ani tata, nie widzieliśmy W.S. od dwudziestu lat. Wrócił do miasta na kilka dni i to wszystko, tata nie miał o co być zazdrosny, przysięgam.

Em przytuliła Phoebe. Nie spojrzała na matkę, przez cały czas wpatrywała się w wodę.

- W.S. bardzo lubi ciebie.

- No tak. - Maddie skinęła głową, głupia idiotka! - Ja też go lubię.

Córka spojrzała jej prosto w oczy.

- Wyjdiesz za niego?

- Nie. Nie wyjdę za nikogo jeszcze przez wiele lat. Być może nigdy.

Zostaniemy razem. Tak jest dobrze. - Pogłaskała wijącego się w jej objęciach szczeniaka. - Ty, ja i Phoebe.

- I babcia. I Mel.

- Oczywiście.

- I Trzeci. I ciocia Treva z wujkiem Howiem.

Trzeci! Przyrodni brat Em. Wysoki, zawsze uśmiechnięty, doskonale opiekujący się dziećmi. Dobry chłopak. Nie, dobry facet. Dwudziestoletni. Dorosły. Tyle lat minęło. Czy to, co zdarzyło się dwadzieścia lat temu, ma teraz jakiegokolwiek znaczenie? Czy wymaga aż utraty Trevy?

No właśnie. Czy chce utracić Trevę? Znała ją przez całe życie. Od najwcześniejszego dzieciństwa nie miała wspomnienia, w którym Treva nie figurowałaby choćby w tle, choćby jako osoba, której opowiada się coś później. Trzydzieści osiem lat plotek i szeptów w jakimś kąciku („to by ci się podobało”), świadomości, że choćby nie wiem co Treva będzie tam, gdzie powinna, z czekoladkami, ironicznymi komentarzami i pomocnym ramieniem, oferowanym bezinteresownie, z przyjaźni.

Maddie zamknęła oczy. Tak bardzo za nią tęsknię, pomyślała. I pomyślała jeszcze: jestem głupia.

- Mamo...?

- Co? - Maddie drgnęła, budząc się z zamyślenia. - Oczywiście, Trzeci, Treva, Howie. Nie jesteśmy same.

- I Anna. I Henry.

- Mamy mnóstwo przyjaciół. Em skinęła głową.

- I W.S.

- Tak. Nie jesteśmy same. Przyjaciele nam pomogą.

- To dobrze. - Em wtuliła buzię w miękką sierść Phoebe. - To bardzo dobrze.

W.S. obserwował je z ganku. Zamierał wręcz, gdy któraś z nich poruszała się podczas rozmowy. Cokolwiek działo się w tej chwili na starym pomoście, było dobre; przynajmniej rozmawiały. Miał je oto obie na farmie wuja, mógł się nimi opiekować i to też było dobre.

Maddie wstała i ruszyła w jego kierunku, zmęczona, ale także uśmiechnięta, i to było najlepsze ze wszystkiego.

- No i co z Em? - spytał, gdy podeszła bliżej.

- Biorąc pod uwagę, przez co przeszła, nieźle. Muszę pojechać do miasta. Zaopiekujesz się nią przez kilka godzin?

- Mogę się nią opiekować do końca życia! Maddie przymknęła oczy.

- Zacznijmy od paru godzin i sprawdźmy, co będzie dalej, dobrze?

- Świetnie. Doskonale się rozumiemy. Z Em. Jeśli chodzi o ciebie, jest, niestety, trochę gorzej.

- Później, proszę. Muszę się połapać w tym wszystkim. W.S. odprowadzał ją wzrokiem, kiedy szła do samochodu,

po raz tysięczny pożałował, że Maddie nie ufa mu aż tak, by wesprzeć się na nim. To dopiero byłoby wspaniale. Odwrócił się i wszedł do domu po wędki. Byłoby fajnie, gdyby z Em złowili kilka ryb przed kolacją.

Dojechawszy do miasta, Maddie skręciła w Linden Street, ulicę jej i Trevy od

dwudziestu lat. To była ich wspólna ulica, tak jak wspólne było ich życie; razem się śmiały, razem płakały i wspierały się, nie zadając pytań.

Pora odnowić tę przyjaźń... jeśli to tylko możliwe. Zaledwie trzy tygodnie temu stanęła na progu domu przyjaciółki, mówiąc:

„Brent mnie zdradza, muszę od niego odejść” i sądziła wówczas, że nastął koniec świata. Zdumiewające, jak trzy tygodnie są w stanie zmienić sposób patrzenia na świat. Niewierność męża nic jej w tej chwili nie obchodziła. Morderstwo, owszem, jest się czym przejmować, no i ta groźba porwania dziecka! Ale niewierność małżeńska? Śmiechu warte.

Zaparkowała, wysiadła, zapukała do kuchennych drzwi domu Bassetów.

- Boże, to ty, Maddie? - zdumiała się Treva. - Co z Em? - krzyknęła, łapiąc ją za rękaw.

Maddie spojrzała jej w oczy.

Nie skłamałam Em, pomyślała. Nie gniewam się na Treve.

- Musimy porozmawiać, Trevo - oznajmiła. - Powinnyśmy zrobić to już dawno. Chodź na spacer.

Treva zamarła, a potem obejrzała się przez ramię. Stała tak, oświetlona bijącym z kuchni ciepłym światłem, rozpraszającym mrok pogodnego wrześnieowego wieczoru. Maddie słyszała dwa spokojne męskie głosy, przerywane szczęśliwym wysokim głosikiem. Rodzinna idylla.

- Jeśli tego chcesz...

Treva wróciła na chwilę do wnętrza. Maddie słyszała, jak mówi: „Idę na spacer, z Maddie. Niech się trochę uspokoi”, po czym zapadła ciężka, nieprzyjemna cisza. Nawet Mel okazała się na tyle dyskretna, by nie zadawać pytań.

Wyszła wreszcie, niosąc dwie wiatrówki. Wręczyła Maddie zieloną.

Zamknęła drzwi.

- Robi się coraz zimniej - powiedziała, wkładając czerwoną. - Kocham wrzesień, ale wieczorami trzeba jednak uważać na temperaturę.

Maddie podwinęła rękawy wiatrówki, ale i tak niemal w niej utonęła.

Extralarge, Brent takie nosił.

Szły ulicą w milczeniu. Mijały znajome domy: pana Kempa, pani Whittaker, pani Banister. Doszły do skrzyżowania.

- To Trzeciego ta wiatrówka? - spytała Maddie.

- Pewnie. Jest strasznie duży.

- Jak Brent - uzupełniła Maddie. I obie przystanęły, jakby nie miały dokąd iść.

- Spokojnie - dodała, patrząc na przyjaciółkę. - Przyjechałam właśnie po to, żeby ci powiedzieć: spokojnie. Najpierw wpadłam w złość, to chyba jasne, ale teraz nic mnie to już nie obchodzi.

Treva zamknęła oczy i zacisnęła usta tak mocno, że prawie znikły z jej twarzy. Odniosła sukces. Nie rozplakała się.

- Brent ci powiedział.

- Nie. - Maddie przysunęła się do przyjaciółki. - Nie. Zrozumiałam dopiero na pogrzebie. Trzeci ma głos Brenta. I jego budowę. I jego wichełek nad czołem.

- To dlatego nie chciałaś ze mną rozmawiać. - Pokiwała głową i nic już nie było w stanie jej powstrzymać. - Wiedziałam, że to dlatego, ale myślałam, że znalazłaś list albo Brent cię poinformował. Maddie, serdecznie cię przepraszam. Nawet nie wiesz jak serdecznie. Nie możesz wiedzieć.

Treva rozplakała się wreszcie. Szlochała, ocierając łzy z policzków grzbietem dłoni, chlipała, łapiąc powietrze przez zaciśnięte gardło, raz za razem powtarzała: „Przepraszam cię”.

Maddie objęła ją, pocieszała i wreszcie popłakała się wraz z nią, Tak dobrze poczuła się, wyzwalając wreszcie swe uczucia.

— Nic mnie to nie obchodzi — powtórzyła, patrząc, jak jej łzy padają na krótkie, kręcone włosy Trevy. - Nic a nic. Byliśmy młodzi i głupi. Coś takiego mogło przydarzyć się W.S. i mnie. Każdemu. Przecież to nie ma już żadnego znaczenia.

- Było tak strasznie - chlipnęła Treva. - Było tak strasznie, a nie mogłam powiedzieć ani tobie, ani Howiemu. Boże, przecież niemal zmusiłam go, żeby się ze mną ożenił, bo byłam w ciąży; jak mogłam mu powiedzieć, jak mogłam powiedzieć komukolwiek... Przepraszam...

Uderzała głową o ramię Maddie przy każdym „przepraszam”, a Maddie musiała przytrzymać jej głowę, bojąc się przyjaciółka zrobi sobie krzywdę.

- Rozumiem. Nie byłam w stanie powiedzieć ci o W.S., bo wstydziłam się tego. Wiem, jak to jest. Pamiętam. Rozumiem. Ale to przecież już nieważne. - Pociągała nosem, poklepywała Trevę po ramieniu; kątem oka widziała zwalnijące samochody, których kierowcy i pasażerowie chcieli się przyjrzeć przytulonym do siebie kobietom. - Nie żartuję. Nic mnie to nie obchodzi. Przedtem myślałam, że tak, ale nie, naprawdę nie.

Treva znów otarła łzy.

- Mnie by to obchodziło. Gdyby rzecz dotyczyła ciebie i Howiego, bardzo by mnie to obchodziło.

- Wiem, ale w moim przypadku chodzi przecież o to, że Kocham cię znacznie bardziej, niż kiedykolwiek kochałam Brenta. To okropne, zdaję sobie z tego sprawę, lecz prawdziwe. Nie uświadamiałam sobie tej prawdy, aż do chwili

rozmowy

z Em, ale przecież... ciebie brakuje mi o wiele bardziej niż jego! Kocham Trzeciego, jak mogłabym życzyć sobie, żeby nigdy się nie urodził? I nie wierzę, bym była w stanie przeżyć choćby dzień, nie rozmawiając z tobą. Próbowałam przez ostatnie dwa tygodnie, lecz czułam się paskudnie. Wszystko, co zaszło dwadzieścia lat temu, zaszło dwadzieścia lat temu i dziś się nie liczy.

- O Boże! - Treva usiadła przed domem pani Banister. Płakała tak rozpaczliwie, że ledwie była w stanie mówić. -Tak mi ulżyło. Przepraszam cię, ale tak mi ulżyło. - Złapała rękaw kurtki otulającej Maddie, trzymała się go kurczowo. -Nie zrobiłam tego, żeby cię zranić. Przysięgam! Maddie usiadła obok niej.

- Przecież wiem - powiedziała łagodnie. - Wiem. Treva uspokajała się powoli. Przez chwilę szukała w torebce chusteczek, zrezygnowała, wytarła nos rękawem kurtki.

- Brent... Brent był wtedy idolem nas wszystkich, pamiętasz? Po prostu nie wierzyłam, że może się mną zainteresować. Na niego tylko się patrzyło, o nim wszystkie dziewczyny marzyły. A ja byłam taka głupia, taka głupia...

- W porządku, Trevo. Rozumiem, byłaś głupia, ale co w takim razie powiesz o mnie? W końcu to ja wyszłam za niego za męża, na litość boską! - Maddie poklepała ją po ramieniu.

Treva, która po tylu latach zaczęła mówić, nie była już w stanie przestać.

- Nie dostałam okresu, więc napisałam list... ten list. Gdzie...?

- Podarłam go i splukałam w toalecie. Nikomu już nie sprawi bólu, przysięgam.

Treva odetchnęła głęboko i znów się rozpłakała.

- Boże! Mój Boże, nie wierzę. Brent groził, że ci powie. Że powie tobie i Howiemu. Wrzeszczałam na niego, zagroziłam nawet, że go zabiję, ale on oświadczył, że powie tobie i Howiemu, jeśli nie będę trzymała gęby na kłódkę w sprawie pieniędzy. I znowu zdradziłam Howiego. Wiedziałam, że Brent okrada firmę, bo Dottie Wylie powiedziała wszystko mojej mamie, ale ukryłam to przed Howiem. Zadzwoiłam do Brenta, nawrzeszczałam na niego, ale on mi zagroził, i znowu to zrobiłam. Zdradziłam Howiego!

- Przecież już po wszystkim. Nikt nie powie Howiemu. -Zamilkła nagle, zdziwiona. - Hej, sekundkę, co Dottie Wylie ma z tym wspólnego?

Treva przełknęła łzy.

Brent policzył jej za dużo za dom. Powiedziała mamie, że nie był wart tyle, ile zapłaciła, mama powiedziała o tym mnie, a ja nie powiedziałam Howiemu, choć okazało się, że Dottie miała rację. Kilka tygodni temu, zaraz potem, jak dowiedziałyśmy się o Brencie, Howie przyszedł do domu i wspomniął, że przeglądają z W.S. księgi i że wynika z nich, że Brent tylko na domu Dottie zarobił ponad czterdzieści tysięcy, wystawiając lewe faktury, ale żadnych

faktur nie mogą znaleźć. Mówił też, że przez ostatnie dwa lata było tego znacznie więcej, że to widać z rachunków, jakie zostały w komputerze, ale że niezbędne są faktury do uzyskania pewności w tej sprawie.

- Faktury! - krzyknęła Maddie. - Było ich pełno w kasetce, którą zabrałyśmy z biura. To dlatego Brent tak się wściekł. Przez te faktury! - Części układanki zaczęły wreszcie trafiać na właściwe miejsce. - Myślałam, że rozjuszyło go, iż odkryłam jego zdradę. Oznajmiłam mu, że byłam z W.S., a on spytał tylko: „Co mu powiedziałaś?”. Nie obchodziło go, że śpię z innym mężczyzną, przestraszył się tylko tego, że ten inny mężczyzna jest księgowym! Chodziło o pieniądze, wyłącznie o pieniądze. Przeszliśmy piekło z powodu pieniędzy! Nie do wiary!

- To nie tak. Ja przeszłam piekło, bo dwadzieścia lat temu popełniłam błąd i zdradziłam dwoje ludzi, których kocham najbardziej.

- Już po wszystkim. - Maddie przytuliła przyjaciółkę; przed zaledwie godziną tak samo przytulała Em. - Właśnie to chciałam ci powiedzieć. Chcesz płakać, płacz, proszę bardzo, ale pamiętaj, że już po wszystkim. I że nic mnie to nie obchodzi. Wszystko w porządku.

Treva wyprostowała się.

- Powiesz Howiemu? Jeśli tak, zrozumiem. Na nic więcej nie zasłużyłam.

- Nic mu nie powiem. Nie słuchasz, co do ciebie mówię? Za kogo mnie uważasz?

Treva skinęła głową.

- Za najwspanialszego człowieka na świecie. A ja jestem okropna.

Wiedziała, że Brent okrada firmę i pozwoliłam, żeby mnie szantażował...

- Dziewczeta, stało się coś złego?

Maddie spojrzała ponad głową szlochającej przyjaciółki. Pani Banister stała na progu domu, przypatrując się im zmrużonymi oczami.

- Nie, nic, proszę pani - powiedziała. - To ja i Treva. Rozmawiamy o dawnych czasach.

- Świetnie. - Pani Banister pomachała im na pożegnanie. - Jeśli będziecie czegoś chciały, zadzwońcie do drzwi, dobrze?

- Dziękujemy.

Treva znów się popłakała.

- Wszyscy są dla mnie tacy mili, a ja jestem podła...

- Dość tego! - Maddie szarpnięciem poderwała ją na nogi. - Pozbieraj się, pogadamy, spacerując. Nie jesteś okropna ani podła. Nie znam nikogo lepszego od ciebie i jeśli pójde do więzienia, chcę, żebyś ty wychowywała moje dziecko, więc przestań się oskarżać.

Treva złapała ją za rękę.

- Przecież nie pójdziesz do więzienia! Jeśli nawet uznają cię za winną, orzekną, że byłaś czasowo nieporozumiała albo coś...

Ruszyły przed siebie.

- Nie bardzo mi się to podoba - wyznała Maddie. - Nie sądzę, by Em coś

zyskała, dorastając wśród ludzi przekonanych, że jej zwariowana mamusia zastrzeliła zdradzającego ją ojca oszusta. - To przypomniało jej babcię. - Zamkną mnie gdzieś, Em będzie mnie odwiedzała w niedziele i przynosiła czekoladki, żebym mogła pluć po ścianach orzechami.

- Co ty bredzisz? - zdumiała się Treva.

- Mówię o cechach dziedzicznych. Spojrzałaś kiedyś na matkę lub babcię i pomyślałaś: „Boże Świąty, kiedyś będę taka jak one”?

- Czasami mam wrażenie, że już jestem jak one. Dlatego przez dwadzieścia lat nie spuszczałam Trzeciego z oczu. Bałam się, że pewnego dnia wstanę rano z łóżka i spotkam Brenta.

- To ci nie grozi.

- Albo że Howie obudzi się któregoś ranka i powie: „Mój Boże, toż to wykapany Brent”. Bo przecież Trzeci jest podobny do twojego męża.

Minęły w milczeniu dwa domy, zanim Maddie odezwała się:

- Rozumiem, że ci ulżyło i w ogóle, ale z Howiem może rzeczywiście być problem. Powinien wiedzieć. Ja mu nie powiem, ale ty...?

- Nie mogę! - Treva kurczowo złapała rękaw kurtki przyjaciółki. - Nie mogę, nie mogę! Pomyśli, że wyszłam za niego tylko dlatego, że Brent wpędził mnie w kłopoty!

- O Howiem Bassecie wiele można by mówić, ale głupi to on nie jest. Przeżyliście razem dwadzieścia lat, a znacie praktycznie od kołyski. Nie udawaj, że masz go za durnia.

- Nie mogę - powtórzyła Treva, ale już spokojnie i jakby z większym przekonaniem.

- Tak się złożyło, że od dzisiaj jestem rzeczniczką mówienia prawdy.

Zaczęłam od ciebie. Nie masz pojęcia, jaka to ulga, kiedy wreszcie można nie kłamać.

Treva westchnęła ciężko.

- Szczerze mówiąc, chyba potrafię się tego domyślić. Przecież cieszę się, że wreszcie ci o wszystkim powiedziałam.

- Świetnie. No to teraz wyobraź sobie siebie i Howiego i zrób to.

Doszły do skrzyżowania, przystanąły pod latarnią. Zapaliła się nagle, oświetliła jasne loki Trevy, i Maddie zobaczyła w niej na chwilę dziecko, którym była, kiedy się zaprzyjaźniły, kompletnie zagubione w rzeczywistości, ale wciąż jej niezmiernie bliskie i należące do jej, Maddie, świata.

Przeżyły razem wiele lat. I wiele jeszcze przeżyją. Dlatego właśnie Maddie nigdy nie wyjedzie z Frog Point, nie, nie ze względu na Trevę, mamę czy Em, lecz ze względu na tradycję i pewność, jaką daje przeżycie trzydziestu ośmiu lat w jednym miejscu.

- Zapaliła się latarnia. Wiesz, co to znaczy?

Treva uśmiechnęła się do niej, leciutko i bez wielkiego przekonania, ale jednak się uśmiechnęła.

- Mamy być w domu za dziesięć minut albo dostaniemy zakaz wychodzenia -

powiedziała.

- Cokolwiek się zdarzy, nas nic nie zmieni. Ty się zmienisz, ja się zmienię, ale my - nie. Przysięgasz?

- Przysięgam - szepnęła Treva. - O tak, przysięgam!

- W porządku. - Maddie odetchnęła głęboko. - Jezu, co za dzień!

Po rozmowie z przyjaciółką pojechała do Heleny i Normana. Nie odwiedzała ich od dawna, po raz ostatni była tu przed pogrzebem, i kiedy pukała teraz do tylnych drzwi, serce biło jej mocno.

Otworzyła Helena. Jedno spojrzenie na jej twarz wystarczyło, by onieśmielić Maddie. Ale nie odebrało jej odwagi.

- Czego chcesz?

- Chcę, żebyś przestała o mnie plotkować. To denerwuje mamę.

- Mówię prawdę!

- Część prawdy. Nie wspominasz przecież o tym, że Brent mnie zdradzał i o tym, że mnie pobił, a kiedy mówisz, że go zabiłam, wiesz, że kłamiesz. Mama wstrzymywała się do tej pory, ale jeśli się nie uspokoisz, zaczniesz mówić, a wtedy moje dziecko będzie musiało żyć ze świadomością, że jego rodzice to świnię, i to tylko dlatego, iż cholernie głupie babcie nie potrafią trzymać za zębami swych pieprzonych jęzorów.

Nie miała zamiaru używać takich słów, ale użyła ich i nawet poczuła satysfakcję. Tak właśnie powinna mówić nowa Maddie, ktoś, kim zamierzała zostać, nim sprowadziła ją

z właściwej ścieżki śmierć Brenta. Ma plan. Musi się go trzymać.

Helena wyszła przed dom, drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Maddie omal nie cofnęła się przed nią, ale jednak stała nieporuszona. Już nigdy nie będzie się cofać!

- Chodź ze mną! - zarządziła teściowa.

Poszła za nią do garażu. Zobaczyła jego wnętrze i szepnęła:

- Boże, nie!

Garaż obwieszony był plakatami, nalepkami na samochody i transparentami o treści: Brent Faraday burmistrzem! Zemdliło ją. Biedny Brent... i biedni jego rodzice, którzy zupełnie nie znali własnego syna.

- On tego nie chciał - powiedziała przez zaciśnięte gardło. - Wiem, że mieliście dobre intencje, ale...

- Chciał! - warknęła Helena. - Ty nie chciałaś. To ty powtarzałaś, że nie życzysz sobie być żoną burmistrza. Słyszałam, kiedy spotkaliśmy się na Boże Narodzenie.

- Mnie to nie obchodziło. - Maddie, osłupiała, patrzyła na liczne odbitki twarzy nieżyjącego męża. Ile ich tu jest! - Wielka mi rzecz, żona burmistrza. Po prostu wiedziałam, że on nienawidzi samej myśli o piastowaniu urzędów, chciałam zdjąć mu ten ciężar z barków. On naprawdę nie chciał być burmistrzem!

- Byłby wspaniały - stwierdziła Helena tonem pełnym szacunku; tak mówi się

co najmniej o prezydentach.

- Posłuchaj...

- Ty nie chciałaś mu pomóc. Jeśli znalazł sobie inną kobietę, to twoja wina! Nie wspierałaś go.

- Do ciężkiej cholery, oczywiście, że wspierałam. Nic nie robiłam, tylko go wspierałam. Wbij sobie wreszcie do głowy, że Brent nie chciał być burmistrzem.

- A ja wiem, że chciał. Złożył wszystkie potrzebne dokumenty, ciężko pracował. Brakowało tylko oświadczenia o stanie majątkowym. Gdyby je złożył, już moglibyśmy ogłaszać, że kandyduje. Wszystko zniszczyłaś, on nie żyje, a ty prowadzasz się z mężczyznami...

- Przez dwa tygodnie byłam czysta jak lilia!

- ...i chcę, żeby miasto dowiedziało się, jaka naprawdę jesteś! - dokończyła Helena ze złośliwą radością.

- Możesz spróbować! - Maddie nie starała się nawet opanować gniewu, który wzbudziła w niej głupota teściowej. - Ale znasz moją mamę, a ona też uważa, że miasto powinno dowiedzieć się tego i owego. Nie zgodzę się, by przyszłość Em została przez was zniszczona. Brent uciekał z miasta, Heleno. Sprzedał udziały w przedsiębiorstwie. Kupił bilety do Rio. Chciał zabrać Em. Uciekał, bo okradał własną firmę, a wy zmuszaliście go do kandydowania na burmistrza. Naprawdę uważasz, że wszyscy powinni się o tym dowiedzieć? Naprawdę sądzisz, że nie dowiedzą się, jeśli nie przestaniesz gadać?

- Nie chodzi o niego! Chodzi o ciebie! Ludzie mają cię za słodką i miłą osobkę. Muszą poznać twoje prawdziwe oblicze!

- Poznają, nie martw się. Zmieniłam się i mogę ci obiecać, że sama tego dopilnuję. Ale nie mam zamiaru znosić dłużej twoich oszczerstw. Przestań oczerniać mnie i denerwować mamę, albo cały świat dowie się prawdy o Brennie.

- Nikt w to nie uwierzy - syknęła Helena, ale po raz pierwszy w jej głosie zabrakło pewności.

- Po prostu przestań to robić, nim Em dowie się, jaki naprawdę był jej ojciec.

- Nie bądź śmieszna. - Ale to były jej ostatnie słowa w tej potyczce. Zgasiła światło i zamknęła garaż, już nic nie mówiąc.

Maddie poczuła się usatysfakcjonowana.

Biedny Brent, pomyślała, wsiadając do samochodu. Helena i Norman... W końcu musiałyby zostać burmistrzem. Nic dziwnego, że Ameryka Południowa wydawała mu się tak atrakcyjna. Oświadczenie o stanie majątkowym... Mógł zgodzić się na wszystko, ale nie na ujawnienie majątku, choć większość ukradzionych pieniędzy ukrył z pewnością gdzie indziej, nie na koncie i nie w torbie do golfa. Nie miała pojęcia gdzie, podobnie jak nie miała pojęcia, jakim cudem mógł tego dokonać. Sam był bez szans, musiał mieć współnika. Być może

właśnie mężczyznę, który przez telefon udawał, że Em została porwana. Ktoś

drogo za to zapłaci.

Najpierw jednak trzeba załatwić jeszcze jedną sprawę.

- Co się stało? - spytała matka, gdy tylko Maddie przekroczyła próg jej domu.

- Minęła dziewiąta! Jestem wręcz chora ze strachu! Płakałaś. I to włamanie, i morderstwo, i...

- Em wybrała się na farmę porozmawiać z W.S. Nikt nie wyjaśnił jej, co się dzieje, wszyscy kłamali, więc pomyślała, że on jej pomoże.

- No nie, naprawdę, Maddie... - Matka westchnęła, pokręciła głową.

- Usiądź. Musimy porozmawiać.

Mama usiadła na kanapie obitej różowym materiałem w kwiatki.

- Nie uwierzysz, jaki miałam dzień. Ta Helena...

- Chodzi właśnie o Helenę. Przed chwilą u niej byłam. Obie macie przestać odgrywać scenki z filmu pod tytułem „Godzilla spotyka potwora” czy jak to tam było. Inaczej zrujnujecie opinię obojga rodziców Em. Dajcie lepiej spokój.

- Ona zaczęła.

- A ja skończyłam. Proszę, znajdź sobie inny temat do plotek.

Matka potraktowała to dosłownie.

- Nie uwierzysz, ale Barry wrócił do Glorii, a ona go przyjęła.

- Uwierzę. Jestem w stanie uwierzyć we wszystko.

- Naprawdę? No to posłuchaj: Candace z banku spotyka się z Baileyem, tym strażnikiem z firmy Brenta i Howiego.

- Naprawdę? To rzeczywiście dziwne.

- Cóż, ona jest z Lowerych.

- Oczywiście. Zew krwi. Pewnie dlatego w przyspieszonym tempie zmieniam się w babcie.

- O czym ty mówisz?

- Em uciekła, ponieważ nikt nie chciał jej powiedzieć praw-

dy. - Maddie usiadła na bujanym fotelu naprzeciwko matki- -Spędziłam wiec ten wieczór, udając babcie, to znaczy, mówiąc prawdę nawet tym, którzy nie chcieli jej słuchać. Okazało się to całkiem interesujące. Niedługo pewnie zacznę pluć orzechami.

- Kochanie, nic nie rozumiem. Odetchnęła głęboko.

- Byłyśmy tak zajęte opiekowaniem się sobą nawzajem, że kłamałyśmy na prawo i lewo. Musimy uwolnić się z sieci tych kłamstw. Wszystkie.

- Chodzi ci o mnie? - Matka siedziała sztywno; nie podobał się jej kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

- Tak. Choć nie tylko.

- No nie...

- Em zwróciła się do W.S., ponieważ nie mogła zaufać nam. Nie chcę, by to się kiedykolwiek powtórzyło.

- Nie pojmuję, co ma z tym wszystkim wspólnego akurat W.S. Sturgis.

Sądziłam, że dawno zniknął z twojego życia.

- Ja też, ale okazało się, że się myliłam. Byliśmy kochankami i znów będziemy

kochankami. Nie mam zamiaru niczego ukrywać, więc pewnie dowiesz się o tym natychmiast, kiedy to się stanie. - Doprawdy...

- To trochę tak jak z tobą i panem Scottem. Matka zamilkła na chwilę, ale była to krótka chwila. Oddech odzyskała niemal natychmiast.

- Nie mam pojęcia...

- Daj spokój. Ostrzegłam cię: koniec z kłamstwami. Rozmawiałam z babcią, wszystko mi powiedziała.

Matka spojrzała na nią. Twarz miała zaciętą.

- Babcia jest stara, wszystko się jej myli. Nie zwracaj uwagi...

- Och, co to, to nie. Jest dość dokuczliwa, ale poza tym całkiem normalna i pamięć służy jej bardzo dobrze. Powiedziała, że dla mnie zrezygnowałaś z miłości.

Gdyby babcia tu była, nie przeżyłaby.

- Maddie, nie rozumiem...

- Ja zrobiłam to samo dla Em. - Maddie huśtała się na fotelu, wspominając, jak kiedyś, właśnie tu, kołysała Em tak małą, że wydawała się nic nie ważyć, a potem czytała jej *Are You My Mather*, co drugie słowo upewniając ją, że wszystko będzie dobrze. To tyle, jeśli chodzi o sztukę jako odbicie życia. - Myślałam, że jeśli ukryję przed nią nieprzyjemne fakty, będzie dla mnie lepiej. Postąpiłam jak ty. Ale Em wyczuła fałsz i szukała prawdy u W.S.

- Kochanie, twój mąż zmarł zaledwie dwa...

- Lubiłam pana Scotta. Cieszyłam się, kiedy do nas przychodził. Bo on umiał słuchać dziecka. Bardzo go lubiłam.

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy matka spojrzała jej w oczy.

- Ja również. Nie mogłam jednak z nim zostać. Nie zrozumiałabyś, co się dzieje. A gdybyśmy się spotykali... Przecież wiesz, jakie jest to miasto.

Maddie miała na końcu języka słowa: „Mamo, przecież ty jesteś tym miastem”, ale nie wypowiedziała ich.

- Ze mną będzie inaczej. Pewnie zaczekam trochę, jeśli ma to poprawić sytuację, ale tak naprawdę to nie chcę czekać. Nie kochałam Brenta od dawna, nie zaznałam szczęścia od dawna, a teraz szczęście samo do mnie przyszło. -

Pochyliła się ku matce. - Nawet nie wiesz, jak wspaniale się czuję. Kiedy jestem z W.S., świat pięknieje. Wiem, że nasz związek może się kiedyś skończyć, ale najważniejsze, że dobrze nam teraz. Teraz. Nie myślę o przyszłości i nie marzę o tym, by ludzie widzieli w nas szanowaną parę. Myślę o tym, co jest dziś, w tej chwili. Nie obchodzi mnie nikt poza mną samą. Kochałam się z W.S., żartowaliśmy i śmialiśmy się; widziałam go z moją córką. Niebawem do niego wrócę i wszystko mu opowiem, bo ufam mu bardziej niż komukolwiek na świecie. Jestem przekonana, że oznacza to miłość.

- Pomyśl o Emily.

Maddie opadła na oparcie fotela.

- Nie jestem taka jak ty, mam. Jestem egoistką. Chcę mieć coś dla siebie. Nie poświęcę życia na to, by chować Em w wieży z kości słoniowej. Kocham ją, zapewnię jej jak najlepsze warunki, ale nie będę żyła w kłamstwie i nie zrezygnuję ze szczęścia, które mam w zasięgu ręki, tylko ze względu na opinię miasta.

- Matka jest od tego, by poświęcała się dla dziecka. To oczywiste. Dziecko stawia się na pierwszym miejscu.

- Wiem. - Wstała. Nie ma sensu mówić do ściany. Do mamy nic nie docierało, czuła się po prostu zdradzona. -Stawiam Em na pierwszym miejscu, ale siebie zaraz na drugim, a to oznacza związek z W.S., i to teraz, nie w przyszłym roku. Em lubi go i to jej pomaga w ciężkich chwilach. Kiedy jest przy nim, przestaje się martwić, zaczyna żartować, uśmiecha się. Wracam do niego. W ogóle nie powinnam odchodzić.

- Tylko nie zapomnij, proszę, że ludzie będą gadać.. - Matka pochyliła się ku niej, drżała. - Brent odszedł zaledwie przed dwoma tygodniami. Co powiedzą sąsiedzi?

- Jeśli Em będzie szczęśliwa i ja będę szczęśliwa, sąsiedzi mogą sobie mówić, co zechcą.

Miała już wyjść, ale zatrzymała się w drzwiach. Spróbuje trafić do matki po raz ostatni.

- Powiem ci coś jeszcze: ucieszę się, kiedy ludzie zaczną gadać. Nie masz pojęcia, jak zmęczyło mnie bycie „Maddie -dobrą dziewczynką”. Już wolę, żeby uznano mnie za osobę o wątpliwej reputacji. To znacznie zabawniejsze. Szkoda, że nie chcesz zadzwonić do pana Scotta i dołączyć do mnie.

- Kochanie, mam sześćdziesiąt trzy lata. Jestem za stara na robienie głupstw. - Zaciśnęła zęby, zastanawiała się przez chwilę, a potem powiedziała, starannie dobierając słowa: -Wiele poświęciłam dla twojego dobrego imienia. Wychowywałam cię sama i zawsze byłaś dla mnie najważniejsza. A ty masz zamiar zmarnować to wszystko dla jakiegoś Sturgisa...

- Widzisz, mam, to jest kolejny powód, dla którego nie będę poświęcać życia dla Em. Kiedy dorosnie i zechce pójść własną drogą, nie będę mogła szantażować jej swoim poświęceniem.

- Maddie!

- Kocham cię, mam. - Pochyliła się, pocałowała matkę w policzek. - Rzuciłabyś mi do stóp cały świat, gdybyś tylko mogła... ale w zamian zażądałabyś ode mnie duszy i ciała. Nie jestem gotowa na taką transakcję. Być może, okazałam się niewdzięcznym dzieckiem, trudno. Mam nadzieję, że pewnego dnia i Em okaże mi taką niewdzięczność. Nie bój się - dodała już od drzwi. - Nie zwariowałam, a Emily czuje się coraz lepiej. Odezwę się w niedzielę, po wizycie u babci.

- Ta kobieta!

- Lubię ją. Jest samolubna jak cholera. Mam się na kim wzorować.

Maddie pojechała do Dairy Queen. Zamówiła potrójną porcję lodów w czekoladzie, z owocami i orzechami. Usiadła przy oknie wychodzącym na ulicę oświetloną neonem, pożerała czekoladę, jakby była to jej ostatnia przyjemność na świecie, i myślała o tym, co, do jasnej cholery, dzieje się z jej życiem, czego od tego życia oczekuje, kto chce ją zniszczyć i dlaczego. Ludzie, którzy niegdyś na jej widok machaliby wesoło dłońmi, teraz garbili się, odwracali głowy, szeptali coś między sobą... Kiedyś by ją to przygnębiało, ale teraz nic a nic się nimi nie przejmowała. Em wraca do siebie, Treva jest nadal jej przyjaciółką, Helena trzy razy pomyśli, nim otworzy usta. Pozostało jej jeszcze znaleźć mordercę męża, a następnie rozpocząć nowe życie u boku W.S.

Miała tylko mgliste pomysły na załatwienie pierwszej z tych spraw, ale jak załatwić drugą, wiedziała doskonale, od niej więc postanowiła zacząć.

Kiedy o dziesiątej przyjechała na farmę, W.S. siedział na stopniach ganku i pracowicie rozplątywał żyłki dwóch wędek.

- Wiesz, gdybyście łowili po przeciwnych stronach pomostu, nie musiałbyś teraz tak pracowicie spędzać wieczoru -zauważyła.

- To Phoebe nam pomogła. - W.S. przesunął się, robiąc jej miejsce. Usiadła blisko niego, choć miała sporo wolnej przestrzeni.

- Daj jedną. Pomogę ci to rozplątywać.

- Wiesz, można to zrozumieć metaforycznie... - On też przysunął się trochę, dotknęli się ramionami.

- Chcesz pomóc mi rozsypać węzeł, w jaki splątało się moje życie? - Ujęła spławik. - Może należałoby to zdjąć?

W.S. zabrał jej wędkę i obie rzucił na trawę.

- Beznadziejna sprawa - orzekł. - Lepiej popracujmy nad tym, co da się rozwiązać.

- W porządku. - Maddie pochyliła się nieoczekiwanie i pocałowała go.

Cudownie było poczuć znów smak jego ust, oprzeć się na szerokim ramieniu. Wargi miał gorące, objął ją i przytulił.

Oderwała się od niego, musiała zaczerpnąć powietrza.

- Boże, jakie to cudowne - powiedziała, przykładając czoło do jego czoła. -

Przypomina mi, żebym cię nigdy nie rzuciła. Nadal nie mam zamiaru wychodzić za mąż, ale jeśli chodzi

o wszystko inne, proszę bardzo.

- Żartujesz! - W.S. przez chwilę wyglądał tak, jakby oberwał po głowie. - Nie, przepraszam, ja nic nie mówiłem. -Pocałował ją, wysunął język, muskając jej usta, przygarnął tak mocno, że prawie zgniótł Maddie o swą szeroką pierś. -

Nie, nie żartujesz - rzekł lekko zdyszany, gdy skończył się

i ten pocałunek. - Twoja matka naśle na mnie płatnych morderców.

- Rozmawiałam z nią. Uważa, że to moja sprawa. Uprzedziłam ją bowiem, że gdy tylko przyjadę, natychmiast się na ciebie rzucę, tobie przypadła więc rola

ofiary. Pocałuj mnie.

- Lepiej zejdźmy z ganku. - W.S. poderwał się na równe nogi.

- Mowij nie ma. - Objęła go. Co za wspaniałe uczucie. -

Koniec z ukrywaniem się. Jasne, jestem wdową, ale prawdę o Brennie zna już chyba cały świat, po co więc udawać? Całuj mnie tutaj.

- A Em? - spytał, wciągając ją w cień za gankiem. I pocałował ją, a teraz, kiedy nie byli już tak widoczni, naprawdę się do tego pocałunku przyłożył. Objął ją, przycisnął jej biodra do swoich.

Jej ciało jakby zmiękło. Całowała tego mężczyznę dla niego samego, a nie dla buntu, zemsty, nie po to, by poczuć się wolna i niezależna.

- Oszalałam na twoim punkcie - wyznała.

- Pewnie, ale co będzie jutro, kiedy odzyskasz zmysły?

- Wcale ich nie straciłam.

Znów się całowali, W.S. oddychał ciężko, a ona musiała raz za razem powtarzać sobie, że nim przewróci go na trawnik, muszą porozmawiać.

Oderwała się od mego, straciła trochę pewności siebie i musiała upomnieć się ostro: jestem samodzielna. Nie muszę szukać pomocy u nikogo. Od dziś do śmierci będę się na nim opierać dla przyjemności, nie z konieczności.

- Musimy porozmawiać - oznajmiła.

- Tylko nie to. Masz szaleć, nie myśleć.

- Nie zmienię zdania, ale jest parę rzeczy, które powinieneś wiedzieć.

- I nie są to rzeczy przyjemne, prawda?

Usiedli na stopniach ganku. Przygarnął ją, a kiedy położyła mu głowę na ramieniu, zaczął masować mięśnie jej szyi. Dłoń miał ciepłą i ciężką, masaż sprawiał jej rozkosz, ale równie wspaniała była świadomość, że wreszcie ma go przy sobie.

- Dobra, strzelaj.

- No właśnie... - Maddie westchnęła ciężko. - Mam broń. W.S. zamarł.

- Wiesz, gdzie jest broń, z której zastrzelono Brenta? - wyjąkał.

Skinęła głową, bardziej, by skłonić go do kontynuowania masażu niż na znak potwierdzenia.

- Zechcesz powiedzieć mi gdzie?

- W lodówce Trevy.

- Trevy?

- Ona o tym nie wie. Pistolet zagrzebałam w zapiekance makaronowej od pani Harmon.

W.S. wyglądał tak, jakby oberwał w głowę kijem baseballowym.

- Jezu Chryste!

- No cóż... Pani Harmon bardzo chce być nowoczesna, New Age i w ogóle, ale jakoś nie wbiła sobie w głowę, że nie powinno się jeść tyle makaronu.

- Nie to miałem na myśli, choć taka zapiekanka to musi być obrzydlistwo.

Chodzi mi raczej o ten farsz...

- Włożyłam pistolet do plastikowej torebki, nim wsunęłam go w makaron.

Chyba lodówka mu nie zaszkodzi. Zamrożenie nie szkodzi przecież broni palnej, prawda?

- Przez chwilę myślałem, że dajesz mi znać, iż to Treva jest morderczynią. Wiem, że nie miała motywu, ale mimo wszystko...

- Miała motyw. - Maddie zakreśliło się lekko w głowie. Jak to wspaniale mówić prawdę! - Brent ją szantażował.

- Dlaczego? - spytał spokojnie, jakby była to zupełnie normalna rozmowa.

- Nie mogę ci powiedzieć, ale wiem, że ona jest niewinna.

- No, tak. - W.S. próbował przetrwać te rewelacje. - Wiesz, kiedy zaczynasz mówić prawdę, to rzeczywiście nie masz żadnych zahamowań.

- W tym problem. Bo widzisz, to nie jest mała sprawa. Miło i wygodnie chodzić po świecie, mówiąc wyłącznie prawdę, ale są ludzie, którzy zbudowali swe życie na kłamstwie i mieli po temu powody. Nie możesz ich niszczyć w imię własnej uczciwości. Nie można rozgłosić prawdy, całej prawdy i tylko prawdy, a potem spocząć na laurach. Trzeba po sobie posprzątać. Nie masz pojęcia, co ja dziś nawyprawiałam.

- Nie wątpię. Nadal jednak uważam, że powinniśmy pozostać przy prawdzie. Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

- Owszem. W samochodzie zamiast koła zapasowego wozisz blisko ćwierć miliona dolarów.

- Co...?

- Dokładnie dwieście trzydzieści tysięcy. Ktoś podłożył je w bagażniku mojej hondy. Pistolet znalazłam w skrytce na desce rozdzielczej. Pewnie ten ktoś miał nadzieję, że zostanę z tym złapana.

- Przypuszczam, że przełożyłaś te pieniądze do mojego samochodu?

- Akurat miałam go pod ręką. Chcesz poinformować o wszystkim Henry'ego, czy ja mam to zrobić?

- Powiemy mu razem. - W.S. wstał i poderwał ją na równe nogi. - Ale najpierw zajrzemy do bagażnika.

- Weź dużą torbę. Jest tam mnóstwo studolarowych banknotów. Boże, ale mi ulżyło. Nareszcie zważyłam z barków ten ciężar.

- Na moje. Rozumiem więc, o czym mowa.

Henry'ego bynajmniej nie rozbawił taki obrót sprawy. Maddie jednak była gotowa na najgorsze.

- Dopiero teraz się o tym dowiedziałaś? - ryknął na W.S., gdy tylko zasiedli przy okrągłym kuchennym stole, zasypanym banknotami.

- Tak! Co ty sobie myślisz? Masz mnie za durnia, zgoda, ale takim durniem, który przez dwa tygodnie wozi w bagażniku ćwierć miliona w gotówce, to przecież nigdy nie byłem! Maddie powiedziała mi wszystko dziesięć minut temu, więc możesz przestać krzyczeć. I w ogóle bądź łaskaw nie podnosić głosu. Pobierzemy się.

- Nie - zaprotestowała Maddie. Spojrzał na nią i roześmiał się.

- Ależ tak! Tylko jeszcze nie przyjęłaś tego do wiadomości. Henry zwracał się tylko do W.S., zupełnie jakby Maddie nie siedziała przy tym samym stole.

- Wiesz, chłopcze, istnieje spora szansa, że ta kobieta zabiła swego męża. Jest miła, oczywiście, ale mąż chciał jej zabrać dziecko, a moim zdaniem ona jest w stanie zrobić dosłownie wszystko, by zapewnić bezpieczeństwo małej Emily. Być może zechcesz przemyśleć jeszcze kwestię ślubu?

- Powiem ci szczerze, że i ja jestem w stanie zrobić dosłownie wszystko, by zapewnić bezpieczeństwo małej Emily. To dlatego Maddie nigdy nie będzie musiała mnie zastrzelić. Idź, zadzwoń w sprawie pistoletu, a my tu na ciebie poczekamy. Jest w lodówce Trevy Basset, w środku zapiekanki pani Harmon. To ta z makaronu.

- Głupia baba! - Henry nie sprecyzował, czy chodzi mu o Maddie, czy może panią Harmon, ale poszedł do telefonu.

Wrócił, sprawiając wrażenie odrobinę łagodniejszego. Tylko odrobinę.

- Mam kilka pytań - powiedział.

Maddie przełknęła nerwowo i skinęła głową.

- Może opowiem po prostu wszystko, co wiem? - zaproponowała. - Myślałam trochę i parę rzeczy udało mi się wymyślić.

- No to słuchaj. - Maddie zastanawiała się przez chwilę. -Wszystko zaczęło się, kiedy Helena Faraday wbiła sobie do głowy, że Brent powinien zostać burmistrzem. Poza tym Dottie Wylie przyjaźni się z Lorą Hanes, a kochanka mojego męża chciała, żeby on wreszcie rzucił żonę.

- Żartujesz czy co? - zdziwił się W.S. - Co to ma być?

- Zamknij się! - przerwał mu Henry. - Zapomniałeś już, jak to się u nas odbywa? Kto powiedział co i komu? - zwrócił się do Maddie.

- Mniej więcej miesiąc temu Helena poinformowała syna, że musi on złożyć oświadczenie o stanie majątkowym, czego wymaga się od kandydata na burmistrza. Brent uświadomił sobie wówczas, że znalazł się w kropce. Mniej więcej w tym samym czasie Dottie zwierzyła się Lorze, że firma męża jej córki oszukała ją. Lora zadzwoniła do Trevy, a Treva, która wiedziała, że Dottie jest czysta jak śnieg, podobnie jak i Howie, zadzwoniła do Brenta jako jedyne go człowieka, który mógłby wykręcić taki numer. Spytała go, co się, do cholery, dzieje, i zagroziła, że zacznie mówić. W jakiś tydzień później pod przednim siedzeniem samochodu Brenta znalazłam czarne koronkowe majteczki bez kroku. Ktoś musiał je podrzucić, pewnie kochanka Brenta naciskała na niego ostro...

- Majteczki? - zdziwił się Henry.

- Bez kroku? - zawtórował mu W.S.

- ...bo nie wierzę, żeby te majtki mogły znaleźć się tam przez przypadek. Sporo o tym myślałam, lecz nie od razu zorientowałam się, w czym rzecz. W końcu dotarło do mnie, że majtek o takim kroju nie zdejmuje się przecież do

miłości. -Maddie przerwała, spojrzała na W.S. - Co o tym myślisz?
Henry skrzywił się przeraźliwie. W.S. bardzo starał się wyglądać na cnotliwego młodzieńca.

- Cóż ja mogę wiedzieć na ten temat? Ja czegoś takiego nie noszę.

- W każdym razie nie wierzę, by kobieta nie zorientowała się, że zgubiła majtki. Kiedy wybieraliśmy się na Point, nie włożyłam bielizny i daję słowo, od razu wyczuwa się różnicę.

Henry przeszywał W.S. spojrzzeniami jak sztylety. Jeszcze chwila i rzeczywiście dojdzie tu do morderstwa.

- No i przecież nie kochaliby się na przednim siedzeniu -pospieszyła z wyjaśnieniami Maddie. - Z przodu jest za mało miejsca, zresztą tej nocy, kiedy obserwowałam Brenta i tę blondynkę, widziałam, że przechodzą na tylne siedzenie. Ktoś zatem zostawił te majtki celowo, chciał, żebym je znalazła i rozmówiła się z Brentem. Kochanka popychała go do stanowczych kroków. Zaczęłam zastanawiać się, czy mój wypadek był rzeczywiście wypadkiem.

- Paranoja to ciężka choroba - zauważył W.S.

- Mój samochód był tak stary, że wystarczyła byle stłuczka, by zmienić go we wrak - wyjaśniła Maddie. - To zaś oznaczało, że jeśli się go stuknie, zacznę jeździć cadillakiem. Przedtem jednak go posprzątam, przy czym znajdę majtki,

a w efekcie rozwiodę się z Brentem. No i jest jeszcze jedno: w moją hondę wjechał brat urzędnika bankowego, który był obecny, gdy otwierałam kasetkę z depozytem. Brent nie mógł oszukiwać sam, bo nie znał się na sprawach finansowych, a partnera poszukałby pewnie właśnie w banku, bo tam się na pieniądzech znają.

- Masz rację - przyznał Henry. - Nie wiadomo skąd zwały ci się na głowę wszystkie możliwe nieszczęścia naraz. Nie spodobało mi się to, więc przycisnąłem tego małego Webstera. Nie gada, ale jest cholernie nerwowy. Miałem zamiar zaczekać, aż pęknie, ale jeśli będzie trzeba, przycisnę go mocniej.

- Dziękuję ci bardzo - uśmiechnęła się do niego Maddie. -Myślałam, że wciąż jestem główną podejrzaną.

- Ależ jesteś, jesteś, co nie oznacza, że nie interesują mnie inne możliwości. Mów dalej. Nieźle ci to idzie.

W.S. przenosił wzrok z wuja na Maddie, jakby obserwował mecz w ping-ponga.

- Nie wierzę. Nikt nic mi nie mówił! - rzekł wreszcie.

- Próbowałam załatwić to sama - oznajmiła Maddie. -Przecież wiem, że jestem niewinna, choć Henry, patrząc na mnie, widzi moją babcie.

Henry skrzywił się. W.S. gapił się na tę dwójkę z osłupieniem w oczach.

- Co tu ma do rzeczy babcia?! Czyja babcia?

- Milcz i daj jej mówić! - upomniał go wuj. Maddie mówiła, nie była w stanie przerwać. W.S. widział,

jak z każdym słowem opada z niej napięcie.

- Moim zdaniem wyglądało to następująco. Brent wymienia wszystko, co wpadło mu w łapy, na gotówkę i przygotowuje się do wyjazdu. Ale ja znajduję majtki, W.S. przyjeżdża do miasta i zaczyna go szukać, Treva i ja przeszukujemy biuro i zabieramy kasetkę z fakturami. Brent zaczyna się bać tak bardzo, że traci panowanie nad sobą i uderza mnie. Ma jeszcze dwa dni do odlotu, wie, że skargi Dottie mogą mu zaszkodzić w oczach współnika, który prawdopodobnie nie ma pojęcia

o jego wyjeździe. Dzwoni do niego, by uzyskać pomoc, lecz w ten sposób się pograża. - Przerwała, spojrzała na Henry'ego. - Zwłaszcza jeśli zadzwonił w piątek wieczorem. Był wtedy pijany, nie potrafiłby ukryć niczego. Gdyby aresztować go w ten weekend, przyznałby się do wszystkiego. Myślę, że to współnik go zabił, by kryć siebie. Tylko że głos, który wówczas usłyszałam w telefonie, był głosem kobiecym. W banku pracuje pewna dziewczyna, June Webster. Spokrewniona z pozostałymi Websterami?

- Siostra - poinformował Henry. - Sprawdziłem. Żona Harolda Whiteheade'a również pochodzi z Websterów. W banku roi się od nich.

- Chyba ich nie lubię - burknęła Maddie.

- Opowiedz mi o pieniądzach. Jeśli ich nie ruszyłaś, jakim cudem znalazły się w civicu?

- Nie wiem, ale nie mam wątpliwości, że umieścił je tam sobotni włamywacz. To wtedy znikł klucz do naszej skrytki bankowej. Wiem, że klucz nie wystarczy, by dostać się do depozytów, ale może się przydać. Przypuszczam, że zabójca zabrał pieniądze, przyciął się i czekał, czy mnie aresztujesz. Nie aresztowałeś, więc przeniósł większość gotówki oraz broń do civica i czekał, by znaleźć je Leo. Tylko że ja byłam pierwsza. Potem usłyszał, że zginęła Em, nic dziwnego, wrzeszczałam przecież o tym na całe miasto... - Zamilkła na chwilę. - Henry, przecież byłam wtedy i w banku! Wszyscy tam wiedzieli, że Em znikła!

- Wszyscy w mieście wiedzieli, że Em znikła - zauważył Henry.

- Facet musiał się naprawdę zdenerwować. - W.S. włączył się wreszcie do rozmowy. - Wymknęłaś mu się z pułapki, którą tak starannie przygotował. Pewnie był już gotów wyjść z ukrycia, byle tylko cię dorwać.

- To by się zgadzało, pod warunkiem jednak, że Maddie niczego nie ukrywa - powiedział Henry. - Wiele spraw pozostało nie wyjaśnionych. Na przykład fakt, że nikt oprócz niej nie zszedł z Point tamtej nocy.

- Masz na to wyłącznie zeznanie Bailey'a. Chcę jutro z nim pogadać - zirytował się W.S.

- Jutro czeka nas mnóstwo pracy. - Henry się skrzywił. - Zaczniemy od broni.

- Warto zwrócić uwagę na fakt, że Bailey spotyka się z Candace z banku - przypomniała Maddie. - To go jakoś łączy ze sprawą.

- Był tam ochroniarzem. Zna wszystkich.

- Z całą pewnością porozmawiamy jutro z Baileyem - zdecydował W.S. -

Zwłaszcza że jesteśmy już pewni niewinności Maddie. - Spojrzał wyzywająco na wuja.

Henry zachowywał olimpijski spokój. Jak zwykle.

- Może...? Ale mamy przecież pieniądze i broń, o których nie była łaskawa poinformować nas we właściwym czasie. Mógłbym zatrzymać ją za ukrywanie dowodów.

- Nie mógłbyś - zaprotestowała Maddie. Z lekkim sercem. - Przekazałam ci wszystko, więc wyszedłbyś na małego służbę. A poza tym może wyjdę za siostrzeńca twojej żony? W jakiej sytuacji by cię to postawiło?

- Mniej więcej w takiej, w jakiej z upodobaniem stawiał mnie często W.S. - powiedział Henry, ale w jego głosie nie było gniewu.

- Em jest na górze, śpi w moim łóżku - poinformował Maddie W.S., kiedy Henry pozwolił im wreszcie iść spać. - Po kolacji padła. Miała ciężki dzień. Maddie przytuliła się do niego.

- Brakowało mi ciebie - westchnęła. W.S. cofnął się.

- Mnie ciebie też. Idź spać.

- Co?

- Na piętrze śpi twoje dziecko. Rusz się.

- Za długo przebywałeś w moim towarzystwie. - Maddie poruszała się jak kot. Nie miał żadnych szans. - Brakowało mi ciebie - powtórzyła.

W.S. pocałował ją mocno, znów poczuła jego smak, smak, który kochała. Ale zaraz potem ją odsunął.

- Brakuje mi ciebie - powiedział. - Dlatego też zamierzam spotkać się z tobą jutro w twoim domu. Anna zaopiekuje się Em, Henry zajmie się przestrzeganiem prawa, a ty zarezerwuj sobie przedpołudnie i nie waż się ubierać. Teraz idź na górę.

Czuła się niepełna, gdy nie miała go przy sobie. Proszę, proszę, musiała zbuntować się przeciwko całemu miastu, czuła się gotowa zrobić wszystko, co chce, jak chce i kiedy chce, a tu nic z tego.

- Chyba kpisz - mruknęła.

W.S. spojrział na nią spod zmarszczonych brwi. Groźnego to on udawać nie potrafił.

- Mówię poważnie. Idź na górę. Maddie wzięła się pod boki.

- Postanowiłam dać się zdeprawować, a ty raptem grasz cnotliwego?

- Będę twoim mężem i ojczymem Em. Muszę postępować godnie. Idź spać. Podjął decyzję, choć widać było, że niezbyt mu ona odpowiada.

- Niech cię diabli!

Maddie poszła posłusznie do sypialni, położyła się i zaczęła planować.

W.S. nie pojął jeszcze, że dawna Maddie przepoczwarzyła się w nową, skoro traktował ją po staremu. Gdyby przyszło jej do końca życia spać samotnie, to w końcu musiałaby pewnie go zabić. Powinna więc wymyślić coś wyrafinowanego, by zepsuć go nieodwracalnie, coś takiego, co zlikwidowałoby w zarodku możliwość upodobnienia go do niej z dawnych

czasów. Ma być zbuntowany, ma gorszyć opinię publiczną; im bardziej takim go sobie wyobrażała, tym bardziej go pragnęła. Zasnęła, snując myśli tak podniecające, że aż cierpła jej skóra. Obudziła się, pamiętając je doskonale. Em przy śniadaniu nie była jeszcze całkiem pogodna, ale sprawiała wrażenie spokojniejszej. Rozmawiała z Anną o ciasteczkach i o Phoebe, a głos nie załamał się jej ani razu.

- Mogę zostać tu cały dzień? - spytała. - Nie chcę jeszcze wracać do domu.

- Możesz zostać na cały weekend, jeśli Anna się zgodzi - odparła Maddie.

- Jeśli o mnie chodzi, może stąd w ogóle nie wyjeżdżać - powiedziała Anna. -

Zrobimy ciasteczka cytrynowe, a wieczorem będziemy haftować. To bardzo uspokajające zajęcie. Wymaga skupienia. - Uśmiechnęła się do Maddie ponad głową jej córki. - Bardzo pożyteczne, jeśli na człowieka wali się mnóstwo spraw.

W.S., który poszedł wcześniej po samochód, podjechał już pod dom i zatrzymał. Maddie odsunęła talerz i pocałowała Em w policzek.

- Musimy jechać do miasta - wyjaśniła. - Wrócimy po południu. Bądź grzeczna.

Em spojrzała na nią z naganą.

- Zawsze jestem grzeczna.

- Nad tym też trzeba będzie popracować - zauważyła Maddie. - Ale najpierw muszę załatwić inne sprawy.

Zeszła po schodach. W.S. zabrał marynarkę z siedzenia dla pasażera i gestem zaprosił swą pasażerkę do zajęcia miejsca.

Prawdopodobnie kierował się jakimiś ukrytymi motywami... Ona również, więc wsiadła, myśląc o tym, jak wprowadzić w życie opracowany w nocy plan, by zadziałał skutecznie. Nie mogła zrobić nic w sprawie tłumy Websterów mieszających się w jej życie - to już było zajęcie dla Henry'ego. W jej mocy natomiast było przejęcie kontroli nad własnym życiem tak, by stało się rzeczywiście własne, a nie matki i nie miasta. Uznała, że musi zrobić coś tak szokującego, by nie dało się nawet marzyć o odzyskaniu dobrej reputacji. Do pewnego stopnia zdawała sobie sprawę z tego, że to szalony zamysł, ale do działania popychała ją świadomość, że potrafiła przecież zwycięsko stawić czoło tylu kłamstwom.

Nadszedł dzień, w którym na zawsze miała pożegnać się z dawną Maddie.

W.S. zaś miał jej w tym pomóc. Prezerwatywę, którą znalazła w jego szafce, schowała do kieszeni szortów.

Rzucił marynarkę na tylne siedzenie. Widziała, jak napinają się mięśnie jego muskularnego ciała i uśmiechnęła się do niego, podniecona myślami, przy których budziła się i zasypiała, oraz jego bliskością, jego dostępnością. Podał jej chustkę, zawiązała nią włosy. Przygotowywała kolejne posunięcie. Będzie go miała! Wkrótce. Zdumiewające, jak miło pożądać kogoś zaraz po przezwycięzeniu głębokiej depresji, zwłaszcza gdy się wie, że wuj pożądanego ma zamiar aresztować kogoś innego.

- Najpierw chcę się zobaczyć z Henrym - oznajmił W.S., ruszając spod domu. - Rozmawia z Baileyem, powinienem być przy tym. A potem będę już twój, skarbie, więc nie wychodź z domu. - Uśmiechnął się, a Maddie przygryzła wargi.

Wyglądał imponująco. - Samochód zostawię przed posterunkiem, tak że nikt się nie zorientuje.

Maddie roześmiała się gardłowo. Z trudem opanowywała podniecenie.

- W.S., całe miasto już wie. Samochód zostawisz więc na podjeździe.

- Mowy nie ma. - Spojrzał na licznik i zwolnił.

Będę miała z nim sporo kłopotów, pomyślała i zerknęła na niego ukradkiem. Może jednak nie tak dużo? Kimkolwiek próbował być, gdzieś w środku drzemał przecież dawny W.S.

Włożyła do magnetofonu kasetę Bruce'a Springsteena. Bont to Run poniosło się nad drogą. W.S. ściszył dźwięk.

- Farmerzy pracują na polach - przypomniał. - Po co zwracać na siebie uwagę? Dość tego! Zakochała się w buntowniku, a resztę życia ma spędzić z człowiekiem ubiegającym się o przyznanie medalu idealnego obywatela? Gdy znaleźli się na Porch Road, jechali sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę.

- Szybciej - ponagliła.

- Istnieje coś takiego jak ograniczenie prędkości.

- Oczywiście. - Westchnęła, spojrzała na niego. - Na tej drodze wynosi ono dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Szybciej.

Przyspieszył do osiemdziesiątki. Bruce Springsteen zaśpiewał Thunder Road. Wspaniała piosenka. Maddie usiadła na oparciu siedzenia, jedną ręką przytrzymując się ramy przedniej szyby.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął W.S.

Wiatr owiewał jej ciało, co odczuwała jak głaskanie silnych dłoni, pragnęła krzyknąć, zrzucić ubranie, wciągnąć W.S. na tylne siedzenie i kochać się z nim do utraty zmysłów. Zerwała chustkę, przytrzymała na wietrze i puściła.

- Siadaj! - W.S. złapał ją za łydkę.

Maddie buntowniczo potrząsnęła głową. Czuła, jak szybko bije jej serce, jak wiatr rozwiewa włosy, jak ręka ukochanego zaciska się na jej nagiej skórze.

Przypomniała sobie wszystkie swe fantazje z W.S. w roli głównej. Puściła szybę, rozłożyła ręce. Słyszała, że on coś do niej krzyczy.

- Oszalałaś? Siadaj! - powtarzał, ciągnąc ją za nogę. Oparła nogi na fotelu.

Siedziała nieruchomo, opuściwszy ręce. Powinny obejmować go, nagiego i szepczącego jej do ucha miłe słowa, a nie wrzeszczącego, by zachowywała się przyzwoicie. Trzeba coś z tym zrobić.

- Wiesz, myślę, że to będzie nasza piosenka - krzyknęła. - Tak, z pewnością.

Podobają mi się zwłaszcza te słowa o mieście przegranych. Zjedź na bok, będziemy się kochać.

- Maddie...

Nie czekała, co powie. Zdjęła podkoszulek i pozwoliła mu ulecieć z wiatrem.

W.S. spojrział na nią i samochód omal nie zjechał z drogi.

- Maddie... - powtórzył oszołomiony.

Śmiała się, zachwycona wiatrem pieścącym jej nagą skórę. Podjeżdżali do farmy Drake'ów.

- Zjedź na ten podjazd, proszę.

Po lewej pojawił się farmer na traktorze. W.S. podbił jej stopy tak mocno, że opadła na siedzenie, ale było już za późno. Widzieli wielkie oczy nieszczęsnego człowieka, który omal nie spadł z siodełka.

- To był Todd Overton - stwierdził W.S. ze spokojem maskującym wściekłość.

- Henry będzie miał mi sporo do powiedzenia na twój temat. Przypuszczam jednak, że musiałaś to zrobić.

- Skręć. - Podjazd farmy był tuż-tuż. - Tu!

- Daj spokój.

Maddie zdjęła stanik i rzuciła mu go na kolana. Wiatr porwał go natychmiast, wywiały z samochodu. W.S. spojrział na nią, zaklął:

- Do diabła!

Skręcił; była pewna, że nie wytrzyma! Samochodem zarzuciło. Nim zdążył się zatrzymać, wyskoczyła i padła na miękką trawę.

19

- Maddie, daj spokój. - W.S. pozostał za kierownicą. - To nie żarty. Przecież tu stoi dom.

- Nie żartuję. - Maddie zdjęła szorty, majtki i rzuciła mu je. - To farma Drake'ów. Jest opuszczona. - Usiadła na trawie, krzyżując nogi. - Kochaj mnie zaraz. Na słońcu. Przed Bogiem i ludźmi, którzy przypadkiem znajdą się w pobliżu. Nie chcę się już ukrywać.

W.S. nie spuszczał z niej wzroku.

- Zgadzam się z tobą we wszystkim, z wyjątkiem Boga i ludzi. Wysiadł z samochodu i podszedł do niej, wyciągając rękę. - Za piętnaście minut będziemy u ciebie. Dlaczego nie...

- Tutaj! - Złapała go za rękę, pociągnęła na trawę. Rzuciła się w jego objęcia, przez cienką koszulę poczuła twarde, gorące ciało. Pocałowała go, była świadoma rąk przesuwających się po jej plecach, chłodnego wiatru i ziemi, na której oboje leżeli.

- To nie jest dobry pomysł - powiedział W.S., łapiąc oddech, ale pieścił dalej jej nagą skórę. Obrócił się tak, że leżała pod nim, był ciężki, tak cudownie

ciężki...

Serce wyrywało się jej z piersi, Bruce Springsteen nie przestawał śpiewać.

- Teraz - powtórzyła, drżąc pod jego dotykiem.

Pocałował ją w szyję, w ucho i wreszcie znalazł usta; czuła jego język na podniebieniu.

— Pragnę cię, ale nie tu. Nie bez zabezpieczenia — szepnął.

— W kieszeni szortów jest prezerwatywa. Weź ją. I tak już za długo czekałam. - Przyciągnęła jego głowę, gryzła usta. - Chcę cię zaraz, tutaj. Niech sąsiedzi patrzą. Niech wszyscy nas widzą! - Wiła się pod nim, widziała, jak jego oczy ciemnieją, zasnuwają się mgłą. Przez płótno dżinsów czuła, jaki jest twardy.

- Głupi pomysł - mruknął, ale głos miał schrypnięty. Całował ją, najpierw powoli, delikatnie, pieszcząc językiem wargi i usta, potem mocniej, coraz mocniej. Opuścił głowę, objął wargami sutkę. Maddie dała się ponieść szaleństwu.

- Zrób to! - szepnęła. - Marzyłam o tobie całą noc. że już nie wytrzymam. Tu, za samochodem, ludzie nas nie zobaczą, a ja tak cię pragnę. Weź mnie, mocno, teraz, już...

Przerwała. Poczwała, że kolaniem rozchyła jej nogi. Uniosła biodra, chłodny wiatr na udach uświadomił jej, że dłużej czekać nie może. W.S. odtoczył się na bok, rozpiął dżinsy.

- Pośpiesz się. Nie mogę czekać!

Załoczył prezerwatywę, wziął Maddie w ramiona, uśmiechnął się tym swoim męskim, bezczelnym, podniecającym do szaleństwa uśmiechem.

- Nie. Zrobimy to powoli i tak, by wszyscy nas widzieli. Wsunął rękę między jej uda, ciała zetknęły się. Był wielki, twardy, gorący, przysłaniał jej cały świat, poruszała się, pieszczona stanowczą dłońią, zamknęła oczy oślepienie słońcem, czuła chłodną trawę na skórze, palce w ciele; nie mogła mówić, w uszach huczała jej pulsująca krew.

- Kocham cię - wydyszała.

- Wiem - odparł i pocałował ją. Używał języka i palców, by pozbawić ją przytomności i resztek rozsądku, prowadzić do nieba, a ona nie pozostała dłużna, biorąc w posiadanie go całego, wszystkimi zmysłami, pod ciepłym jesiennym słońcem.

Obok przejeżdżały drogą samochody, ptaki śpiewały, gdzieś pracowała jakaś maszyna, ale były to dla nich tylko odległe odgłosy. Maddie słyszała jego szept, nieprawdopodobne, podniecające, szalone życzenia - dyktował jej, co ma dla niego zrobić tu, teraz, później, zawsze... Podczas gdy jego ciało przygniatało ją do chłodnej ziemi, pieszczoty unosiły do nieba.

Jęczała, opuściła dłoń, poczuła go twardego, gotowego.

- Kłamałem... - jęknął W.S. - Nie dam rady powoli. Robimy to już!

Uniosła biodra, wszedł w nią, stłumił jęki, przyciskając wargi do jej warg.

Obrócił się i teraz ona była na górze, położył dłonie na jej biodra, przyciągnął

ją mocno i wypełnił sobą. Objęła go kolanami i drżała. Oddychała ciężko, przyglądając się jego zamkniętym oczom, długim rzęsom, męskiej, pięknej twarzy, najpiękniejszej, jaką widziała w życiu. Westchnęła, poruszyła się, czuła, jak jego mięśnie napinają się pod dotknięciem jej dłoni.

- Jesteś piękna - powiedział; dopiero wówczas zdała sobie sprawę, że patrzy na nią, że już zapanował nad sobą i porusza się w niej tak, by sprawić jej jak największą przyjemność. -I nowa, inna. Ale nadal moja.

Odpowiedziała mu uśmiechem. Przygryzła wargi, czuła rodzącą się rozkosz spełnienia.

- Może... - szepnęła, a on przetoczył ją pod siebie i wszedł w nią jeszcze głębiej.

- Moja! - powtórzył.

Próbowała potrząsnąć głową, ale nie miała czasu, chciała czuć, a nie udowodniać swą rację. Przez zaciśnięte zęby szepnęła:

- Mocniej... I już tylko kochali się, nie rozmawiali, nie śmiali, lecz przewracali po miękkiej trawie, a dla niego istniała tylko ona.

Oboje byli bezwstydni, oboje nie myśleli, dawali sobie tyle radości, ile tylko potrafili, i wreszcie została już tylko rozkosz nie do ogarnięcia.

Wszelkie wątpliwości, jakie mogła jeszcze żywić Maddie, diabli wzięli właśnie wraz z jej reputacją.

Leżeli na trawie, obejmując się, zadowoleni i spełnieni. Nagle zaczęli się śmiać.

Precz z dawną Maddie! - pomyślała. Babcia będzie ze mnie dumna!

Wsiedli do samochodu. W.S. otulił ją swą marynarką.

- Osobiście wolę cię nagą - powiedział. - Wiesz jednak, jacy są sąsiedzi. -

Pocałował ją tak mocno, że znów gotowa była się z nim kochać.

Piętnaście minut później zatrzymali się pod domem. robiła coś w ogrodzie, z pewnością pielęgnowała trawnik.

- W tym mieście trudno nie wiedzieć, jacy są sąsiedzi -powiedziała Maddie, wysiadając. - Może się stąd wyprowadzę? Podobało mi się na tej starej farmie.

- Mnie też. Ale nie sama się przeprowadzisz. Będziemy razem.

- Może? - powtórzyła, ale obeszła samochód, żeby pocałować W.S. Bardzo to polubiła.

- Oszalałaś?! Wszyscy nas widzą - zaprotestował.

Pocałowała go jeszcze raz, bez pośpiechu, z zacięciem i wyrafinowaniem; była to jej forma podziękowania za wspaniały seks pod czystym niebem.

- Wracam po marynarkę, kiedy tylko rozmówię się z Hen-rym. Mam nadzieję, że będę musiał ją z ciebie zrywać - dodał.

- Tę marynarkę? - Maddie rozchyliła poły i W.S. zapomniał na chwilę o

oddychaniu. Zamknął oczy, a ona tymczasem wyrwała kluczyk ze stacyjki.

- Co ty robisz?

- Pójdiesz piechotą. Czerwony mustang pasuje do tego podjazdu.

- Bardzo śmieszne. Oddawaj kluczyki.

Maddie ruszyła w kierunku domu, świadoma śliskiego jedwabiu ocierającego się o nadwrażliwe po seksie ciało. Jeśli W.S. za nią pójdzie, proszę bardzo. Zwierzęcy seks na świeżym powietrzu jest wspaniały, ale teraz pora na coś wygodniejszego i bardziej wyrafinowanego, pod warunkiem, że W.S. dorósł do działania. No, jeśli nawet nie teraz, to i tak wkrótce z pewnością to nastąpi.

Odwróciła się. Zapewne odczytał jej myśli, bo nie poszedł za nią. Właśnie zamykał drzwi samochodu.

- Dobry pomysł - krzyknął do niej. - Przyda mi się trochę ćwiczeń fizycznych. Poczekaj trochę, to kiedy wrócę, poćwiczymy razem.

Obserwowała, jak odchodzi, lubiła na niego patrzeć. Poruszał się jak kot.

Kiedy znikł, weszła na ganek.

- Maddie...?

Gloriaczywiście! Któż by inny? - Maddie, co ty masz na sobie...? - Gloria była wyraźnie wstrząśnięta... ale i zachwycona. - To męska marynarka!

- Tak, W.S. Przed chwilą kochaliśmy się na starej farmie Drake'ów. Jestem pod nią naga. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

- Doprawdy... Brent odszedł zaledwie dwa tygodnie temu.

- Trudno wytrzymać dwa tygodnie bez seksu. A propos: Wiem, że spałaś z moim mężem i muszę ci powiedzieć, że chociaż niezbyt go lubiłam, ciebie lubię jeszcze mniej. Bądź więc uprzejma zachować dla siebie komentarze na temat mojej postawy moralnej. Na temat moich trawników również.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Na bladą twarz Glorii wypełził rumieniec. Nigdy...

- Zostawił mi list, więc bądź uprzejma dać sobie spokój z usprawiedliwieniami. Nie był tobą zresztą zachwycony. Przypuszczam, że kochaliście się w garażu. Obrzydliwe!

Gloria próbowała coś powiedzieć, ale odebrało jej głos. Maddie uznała, że nie ma na co czekać, i weszła do domu.

Może kiedy Henry znajdzie wreszcie mordercę, i na niego pozwoli jej pokrzyzczyć. To całkiem fajne uczucie być nową osobą, mówiącą ludziom, co o nich myśli. No i ta nowa osoba ma niezłe życie erotyczne...

Maddie uśmiechnęła się i włączyła kasetę z dobrym damskim country.

Zapowiadał się beztronski, słoneczny w każdym sensie tego słowa dzień.

- Sądziłem, że chcesz być przy rozmowie z Baileyem - powiedział Henry, kiedy W.S. pojawił się u niego w biurze, w pogniecionych spodniach, rozchełstanej koszuli i bez marynarki, godzinę spóźniony.

- Kłopoty w drodze - odparł W.S., bardzo starając się udawać, że były to

istotnie kłopoty, a nie chętna, wspaniała dziewczyna.

- Do cholery, durniu, w świetle dnia?! Jeśli kogoś na tym świecie można nazwać kretyńcem, to z pewnością ciebie.

- Jest jeszcze Bailey. - W.S. gorączkowo wpychał koszulę w spodnie. - Co powiedział?

- Że to Meddie zastrzeliła Brenta.

- Co?

- Uspokój się. Całkiem możliwe, że mówi prawdę. Sprawdziliśmy broń, została sprzedana firmie i z firmy mogła do niej trafić.

- Chcę pogadać z Baileyem. - W.S. zacisnął zęby. - Chcę usłyszeć tę jego opowieść.

Maddie założyła podkoszulek, szorty i pogłośniła magnetofon, w który włożyła kasetę Lorrie Morgan; a co, niech Gloria się trochę podenerwuje. Potem usiadła i zaczęła przeglądać zgromadzoną w ciągu tygodnia pocztę. Wypisywała czeki na pokrycie przesłanych rachunków i odkładała je na bok; zapłaci, kiedy na konto wpłynie jej pensja.

Brent zachował się po świńsku, czyszcząc konta. W końcu miał ćwierć miliona, całkiem sporo na bieżące wydatki. To nie było postępowanie w jego stylu. Miał swoje wady, jasne, ale tak nisko by przecież nie upadł. Musiał zdawać sobie sprawę, że czeki Maddie zaczną wracać i że powstanie sensacja. Wróciła do przeglądania korespondencji. Czeki powinny wracać, przecież nie dokonała wpłaty, od czasu kiedy wezwała ją Candace. Więc gdzie się podziały? W poczcie nie było ani jednego upomnienia. Candace uzupełniła jakoś jej konto? Może, ale dlaczego nic o tym nie powiedziała?

Maddie odsunęła listy i zamyśliła się.

A jeśli istniało pokrycie na czeki?

A jeśli Brent nie wybrał pieniędzy z kont?

A jeśli to ktoś z banku opróżnił konta, wiedząc, że Candace zadzwoni do niej, zasugeruje otwarcie skrytki depozytowej i Maddie sama się pogrąży?

Harold Whitehead nie potrafiłby nawet zarezerwować stolika w restauracji, ale Websterowie to już inna para kaloszy. Mogli opróżnić konto, skłonić Candace, by do niej zadzwoniła, wysłać swojego człowieka, żeby zobaczył całą tę forszę...

Ale dlaczego mieliby skłaniać Candace, żeby do niej zadzwoniła. Dlaczego nie zrobili tego sami?

To przecież ona wspomniała o depozycie. „Macie coś w skrytce?” - spytała.

Cholera, tak!

Candace...?

Maddie próbowała dopasować ją do faktów, które znała, ale jakoś nie bardzo się jej to udawało. Owszem, jest blondynką, ale przecież rozsądną, mającą dobrą pozycję, wyjątkowo inteligentną osobą. Candace w czarnych koronkowych majteczkach pod beżowymi eleganckimi spódnicami...? Absurd!

Ale przecież wcale nie musiała ich nosić, tylko podrzucić, a powinny być na tyle wyzywające, żeby popchnąć Maddie do ostatecznej rozprawy z Brentem. Mądra kobieta wepchnęłaby je właśnie pod przednie siedzenie cadillaca. Candace niewątpliwie była mądra. O własnych siłach dotarła do wysokiej pozycji kierownika działu kredytów, ale nie mogła awansować wyżej. Jej z pewnością spodobałby się pomysł zostania żoną burmistrza. Już nie byłaby Lowery. Na przeszkodzie do kariery stała wyłącznie Maddie. Paranoja! Może, ale w takim razie, gdzie są zwrócone czeki? Matka wspominała, że Candace praktycznie samodzielnie rządzi bankiem. Mając klucz Brenta, bez problemu mogła otworzyć ich skrytkę.

Owszem, wszystko pasowało, nawet więcej - wydawało się oczywiste.

Candace była mistrzynią w dziedzinie finansów, wiedziała wszystko, co potrzeba, by Brent niezauważalnie mógł okradać firmę. Zajmowała się depozytami, prowadziła rachunki firmy. To musi być ona!

„Porywacz” z telefonu był jednak niewątpliwie mężczyzną.

Candace spotykała się wprawdzie z Haroldem Whiteheadem, ale Harold nie był zdolny udawać porywacza, nawet gdyby podczas rozmowy tańczyła przed nim nago na stole.

No tak, ale przecież widywano ją także z Baileyem. Ten nikogo by nie porwał, to przecież wbrew prawu, jak i szantaż, ale skoro nie było żadnego porwania, zadzwonić mógł. Subtelności prawa pozostawały poza jego intelektualnym zasięgiem. Głos w słuchawce był ochrypliwy i to pasowało. Bailey mógł dzwonić, bez dwóch zdań.

Ale Bailey nikogo by nie zabił.

Za to Candace - owszem.

Maddie zmarszczyła brwi. Candace Lowery znała przez całe życie. Chodziły razem do szkoły. W podstawówce Candace nosiła używane ubrania, stare sandały. Przecież to śmieszne!

A może nie? Może ma to sens? Właśnie z powodu ubrań i sandałów. Jeśli Brent rzeczywiście okradał przy jej pomocy firmę, jeśli zdecydował się wiać z podkulonym ogonem, a ją zostawić na odstrzał, jeśli ją rzucił, jeśli wiedziała, że tuż za rogiem czekają więzienie...

Candace mogła go zastrzelić. Ciężko pracowała, by zostać kimś; nie mogła pozwolić, by postępek Brenta uczynił ją na powrót nikim. Ludzie powtarzaliby: „Tego należało oczekiwać po kimś z Lowerych”.

Maddie po raz pierwszy w życiu zastanowiła się nad tym, jak to jest, kiedy człowiek urodzi się po złej stronie torów. Nienawidziła roli grzecznej dziewczynki, którą przyszło jej grać przez całe życie. Jakże więc Candace musiała nienawidzić roli białej nędzy.

Ona, Maddie, kochała się publicznie po to, by raz na zawsze odrzucić narzuconą jej rolę. Co zrobiłaby Candace, by raz na zawsze odrzucić rolę narzuconą jej? O tyle gorszą rolę?

Do stracenia miała wszystko. Mogła zatem zabić.

Był tylko jeden sposób, by przekonać się, czy posunęła się do tego. Maddie wzięła kluczyki i poszła do samochodu. Spotka się z Candace Lowery i będzie patrzyła jej w twarz.

— To Maddie go zabiła. W.S. — oświadczył Bailey. W.S. patrzył mu w oczy i wiedział, że Bailey mówi prawdę. Był za głupi, by tak przekonująco udawać. Wierzył w to, co mówił.

- Powtórz, jak to było - zaproponował.

Dozorca westchnął ciężko.

- Weszła na Point, zobaczyła Brenta śpiącego w samochodzie i strzeliła mu w głowę - powiedział bez wahania. To zdanie miał dobrze przećwiczone.

- Brent często sypiał na Point, prawda?

- Czasami przyjeżdżał, żeby uciec od wszystkiego. Nie pytałem o to, ale w domu mu się nie układało. - Zerknął na W.S. spod oka. - Ty to wiesz lepiej ode mnie.

- Coś mi się przypomniało. Próbowaleś szantażować Maddie. Daj sobie spokój, albo będziesz zbierał zęby po ulicy. Co ci strzeliło do tego głupiego łba?

- Ja jej nie szantażowałem! - Bailey szczerze się oburzył. - Pomyślałem tylko, że ma kupę forsy i może odpalić mi trochę za milczenie.

W.S. spojrział na niego z obrzydzeniem... które nagle przerodziło się w zainteresowanie. W swoim przekonaniu stróż mówił przecież świętą prawdę; wierzył w tę prawdę całym

sercem. W.S. zerknął na Henry'ego i zobaczył, jak zwężają się jego źrenice.

- Opowiedz jeszcze raz, co widziałeś na Point.

- Maddie weszła na górę. - Bailey poprawił się niespokojnie w krześle, ale widać było, że mówi szczerze.

- Widziałeś, jak wchodzi? - wtrącił Henry, cicho i bardzo łagodnie.

- Nie, lecz widziałem ślady. Podeszła do samochodu i zastrzeliła go.

- A to widziałeś?

- Widziałem. - Uciekł jednak wzrokiem, poruszył się niepewnie. Tak, kłamstwo go przerastało.

- Bailey, stary przyjacielu, przecież widzę, że łżesz, aż się kurzy.

Bailey spojrział na szeryfa.

- Jemu nie wolno tak do mnie mówić, prawda?

- Nie powinien, oczywiście, ale mam wrażenie, że mówi z sensem. Spróbujmy jeszcze raz. Powiedz nam dokładnie co widziałeś.

- Ona to zrobiła! Nie widziałem, ale wiem, że to ona!

- Kto ci to powiedział? - Głos Henry'ego nadal był łagodny.

Milczenie.

- Stary przyjacielu. - W.S. pochylił się nad dozorcą. - Rzucasz oszczerstwa na

kobietę, którą kocham. Czy masz pojęcie, jak mnie to wkurza?

- Policyjna brutalność!

- Nie jestem policjantem. Możemy mówić wyłącznie o brutalności zwykłego obywatela. A na tym, jak wiesz, znam się całkiem nieźle.

- Henry...

- Nie dotknie cię tu. Wiesz, że na to bym nie pozwolił. Problem w tym, że nie mogę cię chronić, kiedy już stąd wyjdiesz. Oczywiście, jeśli W.S. pośle cię do szpitala, pójdzie siedzieć. Możesz na mnie liczyć.

Bailey przesunął wzrok od jednego do drugiego.

- Nie mogła powiedzieć wam o tym osobiście, bo zrobiłby się wielki skandal. Wiecie, jakie jest to miasto.

W.S. już miał o coś zapytać, ale dostrzegł spojrzenie wuja i zamknął się.

Ktokolwiek namieszał Baileyowi w głowie, odwalił kawał dobrej roboty.

Najlepiej zatem zacząć od wysłuchania tego, co stróż ma do powiedzenia.

- Owszem, to cholerne miasto - stwierdził ze współczuciem. - Opowiedz wszystko po kolei.

Maddie zatrzymała się na skrzyżowaniu obok banku. Była niemal dokładnie dwunasta. Harold Whitehead właśnie zamykał drzwi; dziwne, że ten obowiązek spoczywał na dyrektorze. Zaczekał chwilę na wychodzącą właśnie Candace, ubraną jak zwykle w beże, z torebką z jasnej skóry w jednej ręce i walizką w drugiej.

- Hej, Candace! Chwileczkę!

Candace odwróciła się i pomachała jej dłonią, ale nie zwolniła kroku.

Światło, jak na złość, nie chciało zmienić się na zielone.

- Proszę! Zaczekaj!

Nic z tego. Candace szła równym, pewnym krokiem kobiety zajmującej odpowiedzialne stanowisko, prawdziwej profesjonalistki, która nagle zapadła na głuchotę.

- Do cholery! - Maddie zostawiła kabriolet na środku ulicy i wyskoczyła na chodnik. Światło zmieniło się i kierowcy stojący za nią zaczęli trąbić. - Hej! - krzyknęła i pobięła za Candace.

Candace zatrzymała się.

- Maddie, śpieszę się. Weekend Dnia Pracy. Trzy dni. Muszę złapać samolot Porozmawiamy we wtorek.

- Nie. We wtorek będzie za późno. - Maddie złapała za uchwyt walizki - Musimy porozmawiać teraz.

Przechodnie, którzy znaleźli się blisko nich, nagle bardzo zainteresowali się lustrzaną szybą sąsiedniego Revco.

- Naprawdę, nie mogę...

- Musimy porozmawiać.

Candace próbowała wyrwać walizkę, Maddie trzymała ją tak mocno, jakby od tego zależało jej życie.

- Słuchaj, wiem, że ostatnio sporo przeszłaś, kochanie, ale ja naprawdę muszę złapać samolot.

- Wybierasz się gdzieś z taką forszą? - Szarpnięciem otworzyła walizkę, z której wypadła na chodnik piękna jedwabna bielizna oraz drogie, beżowe i złote ubrania. Pieniędzy nie było.

Candace puściła walizkę i patrzyła na Maddie jak na wariatkę. Ludzie rzucili się na pomoc, wśród nich przyjaciółka mamy.

- Maddie, kochanie - zaszcebiotała. - Proszę, wróć do domu, połóż się...

- Co, do diabła?! Gdzie schowałaś pieniądze? W majtkach?

- Co się z tobą dzieje? - Candace przyklekła. Zaczęła zbierać ubrania. Ludzie otoczyli je obie, współczuli jej wyraźnie i gniewnie popatrywali na Maddie. Podszedł jakiś mały, zaczerwieniony facecik.

- Proszę pani, proszę zabrać samochód!

- Zdenerwowałam się trochę sprawą z kontem...

- Co za brednie! — Candace zdążyła zebrać ubrania z chód-

- Co za brednie! - Candace zdążyła zebrać ubrania z chodnika. - Chodzi ci o konto bieżące? Kochanie, coś wytrąciło cię z równowagi. Wróć do domu, załatwimy wszystko we wtorek, w godzinach pracy.

- Proszę pani, samochód...

- Na koncie są pieniądze.

W oczach Candace pojawił się błysk strachu, krótki i prawie niezauważalny, ale jednak.

- Ty to zrobiłaś, prawda?

- Proszę pani, samochód...

- Nie wiem, o czym mówisz. I nie mam czasu na uspokajanie cię. Wezwij lekarza. Jest ci potrzebny.

Podniosła walizkę, odwróciła się i próbowała odejść. Była tak pewna siebie, że Maddie omal jej na to nie pozwoliła.

- Nie, nic z tego! - Opamiętała się w ostatniej chwili. - Nie wiem, dokąd chcesz polecieć, ale nie wątpię, że to jakieś miejsce, z którego nie uda się nam cię ściągnąć. Nie zostawisz mnie samej, żebyś sprzątała po tobie brudy!

Zaczęły się szarpać. Maddie nie dbała już o nic. Candace próbowała zachować resztki godności. Ludzie przestali udawać, że interesuje ich Revco i po prostu się gapili, nawet facet od samochodu zapomniał, że mu się spieszy.

- Robisz z siebie pośmiewisko! Robisz z siebie idiotkę! Mój Boże, pomyśl o mamie! - szepnęła Candace.

- Do diabła z moją matką! - odszepnęła Maddie. - A jeśli myślisz, że to już koniec, to jesteś w błędzie. Ja sporo potrafię.

Candace udało się wyrwać. Zrobiła jeden długi krok, a Maddie skoczyła na nią. Zatoczyły się.

- Ta kobieta oszalała! Niech ktoś ją zabierze!

Na filmach wyglądało to zupełnie inaczej. Teraz ciągały się po chodniku, krok w tę, krok z powrotem. Na filmach bójki odbywały się jakoś strasznie szybko,

nikt nie miał szansy zastanowić się nad tym, że robi z siebie idiotę. To dobry powód do pośpiechu.

- Niech mi ktoś pomoże! - Candace była bardziej zirytowana niż przestraszona.

Harold Whitehead zrobił niepewny krok w stronę kobiet.

- Spokojnie, Haroldzie. - Maddie walczyła jak o życie. -Bo oskarżą cię o współudział w morderstwie.

- To śmieszne. Ona kieruje działem kredytów!

- Rozwaliła mi samochód, zabiła męża i przeraziła córkę. -Te słowa zostały wypowiedziane donośnie i niesłychanie zainteresowały gapiów. - Jak mogłeś zatrudnić kogoś takiego?!

Candace znów się wyrwała, Maddie znów ją złapała. W kołczanie miała ostatnią, zatrutą strzałę.

- A przecież tego należało się spodziewać po którejś z Lo-werych!

- Ty suko! Ty nędzna, głupia dziwko! - odparowała urzędniczka.

Maddie dostała kopniaka w kolano, krzyknęła z bólu. W tym momencie na polu bitwy pojawił się Henry.

- Dostaliśmy informację o zakłóceniu spokoju publicznego - oznajmił beznamiętnie. - Zdaje się, że nie ma wątpliwości, kto go zakłóca. Maddie, co ludzie pomyślą?!

- Mam w nosie ludzi. Pieprzyć sąsiadów! Nic mnie nie obchodzą. Nie pójdę do więzienia. Nie zabiłam męża. Czy możesz aresztować tę kobietę?

- Ona oszalała. - Candace ciągle zachowywała spokój. -Zabiła męża, a teraz o wszystko obwinia mnie. Po prostu oszalała. Henry, niech ona mnie puści. To boli.

- Puść ją, dobrze?

- O nie!

- Puść!

Maddie zrozumiała, dlaczego W.S. darzy wuja takim szacunkiem. Nie można było zlekceważyć jego polecenia.

- Masz rację, Candace - powiedział szeryf spokojnie. — Maddie ma problemy...

- Co...? - wysyczała Maddie.

- ...więc może pojedziemy na posterunek. Wniesiesz oskarżenie...

Brzmiało to niezłe. Wizyta na posterunku to krok we właściwą stronę.

- Nie mam czasu. Muszę złapać samolot... - Candace do-prowadziła się do porządku. Podniosła walizkę i odwróciła się.

Henry zrobił krok w jej kierunku, a Maddie złapała walizkę.

- Nie wyjedziesz z Frog Point! - krzyknęła.

Candace spojrzała na nią, wściekła i przerażona jednocześnie. Zamachnęła się torebką. Maddie oberwała w głowę. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, mdlejąc, były frunące w powietrzu studolarowe banknoty. Mnóstwo studolarowych banknotów.

Ocknęła się w szpitalu.

- Nie mogłaś poczekać na Henry'ego? - spytał z wyrzutem stojący obok łóżka W.S.

- Gdzie Candace?

- W areszcie. Henry miał zamiar załatwić to dyskretnie, ale ty dostałaś ataku szału. Rozumiesz chyba, że nie mogę się teraz z tobą ożenić? Moja rodzina by tego nie przeżyła.

- Za co ją aresztowano? - Maddie próbowała usiąść, ale W.S. przytrzymał ją.

- Nie wolno ci wstawać. Zaraz przyjdzie lekarz, sprawdzi, czy nie doznałaś wstrząśnienia mózgu. Potem ja ci zrobię prześwietlenie, żeby sprawdzić, czy w ogóle masz mózg. Dlaczego, do diabła, tak zajadle rzuciłaś się na tę babę?!

- Wyjeżdżała. - Nie było sensu wstawać, za bardzo bolała ją głowa. - Zabiła Brenta. Wszystkiego się domyśliłam, ale zdążyłaby uciec. Weekend Dnia Pracy. A gównno! Uciekała z miasta.

- Owszem.

- Tylko mi nie mów, że wiedziałeś wszystko od początku!

- Nie wiedziałem. Zorientowaliśmy się na krótko przed twoją akcją. Historia ze skrytką depozytową nie podobała się Henry'emu; był prawie pewien, że kłamiesz, ale jeśli przypadkiem mówiłaś prawdę, w sprawę musiał być zamieszany ktoś z banku. Plotki o bandycie doprowadziły go do Candace. Nie rozumiał tylko, dlaczego je rozpuscita.

- Chciała dostać od Brenta pistolet. - Maddie przypomniała sobie rozmowę telefoniczną. - Ależ ta baba wszystko precyzyjnie obmyśliła!

- Candace wszystko w życiu robiła z premedytacją. Zdeterminowana z niej suka. Pozostałaś jednak główną podejrzaną, póki nie złamaliśmy Bailey'a. Wydusił z siebie, że to ona zeszła drogą tamtego dnia i opowiedziała mu, że zabiła Brenta. Uwierzył jej, zwłaszcza kiedy zaczęła spotykać się z nim wieczorami. - W.S. uśmiechnął się. - Nie uwierzysz, jaka jest wkurzona. Kiedy zaczęła mówić, przede wszystkim poskarżyła się, że popsuła jej szyki. Miała klucze Brenta, weszła do domu i odłożyła kluczyk od kasetki depozytowej do biurka -to było w piątek, po zabójstwie - żebyś mogła otworzyć ją następnego dnia i zabrać pieniądze. Ale ty pieniędzy nie wzięłaś, jesteś tak cholernie uczciwa! Musiała więc włamać się znowu, kiedy byłaś na farmie, i sama je zabrać.

- A więc Websterowie nie mieli z tym nic wspólnego? -Maddie zawstydziała się trochę. - A ja tak źle myślałam o nich.

- Najmłodszy miał w tym swój udział. Candace wysłała mu pocztą, anonimowo, połowę studolarówki z informacją, że dostanie drugą, kiedy rozbije ci samochód. Założyła, że zrobi to gdzieś na parkingu, ale ten dureń

spowodował wypadek. Tak się bał, że nic nikomu nie powiedział, ale Candace nie miała oporów. Poskarżyła się, a jakże, na jego głupotę. Po tobie ten chłopak zajmuje drugie miejsce na liście ludzi, którzy w jej przekonaniu robią nie to, co powinni. - Potrząsnął głową. - Powiedziała nam, że nie rozumie, dlaczego nie pozwoliłaś miastu, żeby się o ciebie zatroszczyło, w końcu zawsze tak robiłaś. Nie oczekiwała, że będziesz walczyć.

- A ja nie spodziewałam się, że ona zacznie mówić prawdę. Byłam pewna, że spokojnie, jak to ona, opowie jakąś historyjkę i włos jej z głowy nie spadnie.

- Laboratorium znalazło odciski palców na magazynku pistoletu. Henry chciał zdobyć jej odciski dla porównania, chciał zawieźć ją na posterunek grzecznie i spokojnie, ale ty

musiałaś zrobić widowisko. Stałaś się sensacją stulecia.

- Przecież ja wytarłam pistolet!

- Dzięki czemu bardzo nam pomogłaś. Magazynek był w środku! Wyjęła go, sprawdziła, włożyła na miejsce i zastrzeliła Brenta.

- Aha. Twarda kobieta.

- Nie taka twarda jak ty. Zdajesz sobie sprawę, że urządziłaś bójkę w samo południe i powiedziałaś „pieprzę” wobec mniej więcej pięćdziesięciu świadków, w tym i mojego wuja?

- Nie mogłam pozwolić jej wyjechać, choć nie całkiem wierzyłam, że ona to naprawdę zrobiła, więc strasznie się denerwowałam. Nadal nie bardzo potrafię uwierzyć w jej winę. Przecież dobrze ją znam. Chodziłyśmy razem do szkoły. Przeżyłyśmy całe życie w tym mieście.

- Myślę, że o to właśnie chodziło. Miała dość zabijania się pracą, więc postanowiła raczej zabić kogoś.

- Nie, nie tak. - Maddie poruszyła się ostrożnie. Nie jest najgorzej. Głowa

jeszcze jej nie odpadła. - Przecież mogła

wyjechać z Frog Point w każdej chwili. Była wykształcona, miała

doświadczenie zawodowe. Nie, ona chciała czegoś jeszcze. Podrzuciła majtki w samochodzie Brenta. To jego musiała chcieć.

- Mogła cię o niego poprosić. Tę prośbę z pewnością byś spełniła. Ba, jeszcze byś go zapakowała i obwiązała wstążką!

- Poczekaj chwilę, - Usiadła ostrożnie. Udało się! - Em jest już bezpieczna, prawda? Ja jestem bezpieczna. Mam rację?

- Nie całkiem. Nie zapomnij, że ja tu jestem. - W.S. zajął jej w oczy. - Źrenice w porządku. Jeśli się okaże, że nic ci nie jest, to wrócimy chyba później na farmę Drake'ów, dobrze? Z twojej reputacji i tak zostały tylko strzępy.

- I dzięki Bogu! O ile prościej będzie mi się teraz żyło!

- Nie liczyłbym na to na twoim miejscu. Chyba znowu zapomniałaś o mnie.

Następnego dnia Maddie poszła do Revco kupić naszyjnik przeznaczony na żer dla babci. Wszyscy się na nią gapili, niektórzy nawet porzucali zakupy, by

przyjrzeć się zakale miasta. Nie zachowywali się nieprzyjaźnie, ale nie klepali jej też po ramieniu. Wyglądało to tak, jakby zastanawiali się, kiedy znów zrobi coś skandalicznego, czego za nic w świecie nie chcieliby przeoczyć. Maddie bardzo kusiło, by krzyknąć: „Zacznijcie żyć! Patrzcie, mnie się udało!”.

Zobaczyła wisiorek ze złotym kotem o wielkich, zielonych oczach ze szkła. Podniosła go, by się przyjrzeć, gdy ktoś szturchnął ją w plecy.

- Słyszałam, że wczorajszą walkę ma uczcić wmurowana w ścianę tablica - powiedziała Treva. - Oczywiście, twoje nazwisko wypisane zostanie olbrzymimi literami. Boże, co za obrzydlistwo! - Wskazała kota. - Reputacja swoją drogą, ale nie musisz przecież robić z siebie pośmiewiska!

- To dla babci - Maddie była tak szczęśliwa, że może rozmawiać z Trevą jak zawsze, jak od lat, że usiadła na gablotce, mimo iż Susan rzucała jej zza lady gniewne spojrzenia, - A w ogóle to nie znęcaj się nade mną za to, co zrobiłam wczoraj. Mama nie szczędziła mi opinii na temat mojego upadku. Podczas olimpiady nie pokazują tylu powtórek, ile przygotowała dla mnie.

- I komentatorem z pewnością okazała się fachowym. Mam nadzieję, że zniósłś to w milczeniu?

- Ależ skąd! Świetnie się bawiłam. Powiedziałam, że prowokować skandale to znacznie przyjemniejsze niż tylko o nich mówić, i zasugerowałam, żeby sama spróbowała.

- I posłuchała. Proszę, proszę...

- Gdzie tam! Przez godzinę uświadamiała mi, z czym wiąże się zaszczyt noszenia nazwiska Martindale. Czegoś takiego w życiu nie słyszałam. W warunkach Frog Point jesteśmy po prostu drugimi Kennedymi. Ciężar dźwigania dobrego imienia rodu spoczywa już tylko na wątych barkach jej i Em.

- Tu się mylisz! Pozostała tylko Em. Moja mama widziała panią Marthę wczoraj wieczorem w kręgielni. Piła kawę z Samem Scottem. Esther pierwsza się o wszystkim dowiedziała. Na uciechę sąsiadów.

- Żartujesz! - Maddie roześmiała się beztrąsko. - Boże, to przecież wspiania! Ale się babcia ucieszy. Zew krwi, nie ma co mówić.

- Ja i tak jestem lepsza. Powiedziałam Howiemu. Maddie zamarła, ale zaraz zorientowała się, że tak wesołej, tak pogodnej Trevy nie widziała od miesięcy,

- Rozumiem, że dobrze to przyjęła?

- On o tym wiedział. - Treva też przysiadła na gablotce. Nogi ugięły się pod nią, kiedy przypomniała sobie, jaką ulgę przyniosła jej ta rozmowa. - Od samego początku. W szpitalu wyszło coś z grupą krwi. Przez dwadzieścia lat żyłam z tym strasznym, wstydlwym sekretem, a to nie był żaden sekret! I wiesz, wcale go to nie obeszło. Powiedział, że skoro wychowywał Trzeciego, to jest on jego dzieckiem i tylko to się liczy. Nie wierzyłam własnym oczom, taki był spokojny. Podobno wściekał się na mnie przez pół godziny

dwadzieścia lat temu, ale potem wziął dziecko na ręce, pomyślał: „Do diabła z tym!” i zapomniał o całej sprawie aż do dnia, kiedy - parę tygodni temu - zaczął podejrzewać, że znów śpiam z Brentem. Jakbym mogła upaść tak nisko! - Treva nagle ugryzła się w język. - Ale ta uwaga nie dotyczy ciebie. Ty byłaś jego żoną.

- Mój Boże. - Maddie nie potrafiła uwierzyć własnym uszom. - Dwadzieścia lat w poczuciu winy, której nie było!

- Straszne. Przez chwilę miałam ochotę zamordować Ho-wiego, ale ja go przecież kocham! I co mam teraz zrobić?

- Idź krzyknąć „pieprzę!” przed bankiem. Tylko poczekaj na mnie, chętnie się przyłączę.

- Mama powiedziała, że twojego tatę zastrzeliła jakaś pani. - Mel i Em siedziały na pomoście z wędkami w rękach. Próbowaly łowić ryby.

- Tak. Candace. - Em zabębniła piętami o pomost. - Nie chcę o tym rozmawiać.

- Jasne. Ale to okropne.

- Tak. Phoebe nie wpadła do wody? Mel obejrzała się.

- Nie. - Wyciągnęła z wody wędkę. Nic. - Dobrze się czujesz, Em?

- Tak. - Mała powiedziała to proste słowo mocnym, stanowczym głosem, tak jak wypowiadał je W.S., kiedy mówił poważnie. - Rozmawiałam z mamą. Rozmawiałam z W.S. Wszystko już wiem. Chciałabym, żeby tata żył. - Przerwała, jej palce, zaciśnięte na wędzisku, pobielaly. - Naprawdę, bardzo bym chciała, ale już koniec tego wszystkiego. Nikt niczego od nas nie chce. Będziemy miały spokój.

- Pewnie. - Mel wyciągnęła z plecaka ciasteczka pokryte zmiękłą czekoladą. - Te są najlepsze.

Em wzięła jedno. Siedziała zapatrzona w błękitne wrześnie niebo, starając się myśleć tylko o tym, że wszystko będzie dobrze. Wolałaby, żeby Mel nie pytała jej o tatę, ale ludzie tacy już są. Zawsze chcą rozmawiać o tym, o czym ty nie chcesz.

- A mama... wyjdzie za W.S.? No, przepraszam, nic o tym nie mówisz, a ja jestem bardzo ciekawa.

- Chyba tak. Nie od razu, ciągle mówi „nie”, pewnie szczerze, bo obiecała przecież, że nie będzie mi kłamać, ale założę się, że W.S. w końcu namówi ją na ślub. Może za rok, bo za rok mają skończyć dom. Będziemy mieszkać na wsi, Phoebe ma tu dużo miejsca do biegania, a ja codziennie będę widywać Annę. Mama mówi „nie”, ale W.S. mówi „tak”, a on nigdy nie kłamie.

- Będziesz mieszkać na wsi? - zmartwiła się Mel. - Nigdy się już nie spotkamy?

- Ależ skąd! - Em ugryzła ciasteczko. Rzeczywiście, było bardzo dobre. - W.S. może wozić cię do mnie albo mnie do ciebie. Już go pytałam, powiedział, że oczywiście, bo będzie pracował w mieście. Myślę, że razem z wujkiem

Howiem, w firmie. Wszystko się jakoś ułożyło. - Ale tata nie żyje -dodała w myśli, nie czuła już jednak tego bólu co poprzednio, bolało, oczywiście, ale nie aż tak jak zaraz po śmierci ojca. Zamknęła oczy. Tata w baseballowej czapeczce, z rożkiem lodów w ręku; pamiętała go doskonale. - Wszystko będzie dobrze - powtórzyła i całą uwagę skupiła na ciasteczku.

- Świetnie. A wiesz co Cindy Snopes powiedziała o Jassonie Norrisie? - Nie, Co takiego? Mel podsunęła jej pudełko.

- Często się. To długa historia. Ale naprawdę dobra.

- Wszystko spaprałaś - przywitała babcia Maddie, wchodzącą do pokoju. - Mogłaś żyć sobie jak u Pana Boga za piecem, ale nie wytrzymałaś i proszę, jaki skandal! Zdrada małżeńska, sprzeniewierzenie, morderstwo, przeklinanie w miejscu publicznym. Nie umiesz siedzieć cicho?

- Nie umiem. Postanowiłam, że będę podobna do ciebie. -Maddie pokazała staruszce wielką, trzykilogramową bombonierkę.

Babcię zamurowało z zachwytu.

- Mnóstwo czekolady - powiedziała z uznaniem, kiedy odzyskała głos. - Cudownie. - Zerwała folię, wstażkę, otworzyła bombonierkę. Maddie udało się wyprzedzić ją w wyścigu do żółwia.

- To mój ulubiony! - zaprotestowała babcia.

- Ale plujesz orzechami. To obrzydliwe. Zresztą jest jeszcze jeden, z ciemnej czekolady.

Babcia opadła na poduszki. Wydeła wargi.

- Nie lubię ciemnej czekolady. Nie będę z wami długo...

- Świetnie. Zostanie dla mnie. - Wzięła żółwia, ugryzła. Czekolada rozplątywała się w ustach, orzechy były kruche, przepyszne. - Jakie to dobre!

- Zjadasz mi czekoladki! Niedobra dziewczynka! Wiesz przecież, że niedługo już będę z wami...

- Przeżyjesz nas wszystkich - odparła Maddie, zajęta żółwiem. - Jesteś jak nasze miasto. Nic was nie ruszy, chyba że kołek wbity w serce.

- A pewnie! Ale i tak głupio zrobiłaś, pozwalając, by wszystko się wydało. Co za skandal! Jakby tego było mało, twoja matka pozwala sobie na wizyty w kręgielni, u tego Scotta.

- Poradzisz z tym sobie. A w ogóle to skąd o tym wiesz?

Ja dowiedziałam się zaledwie godzinę temu. Babcia prychnęła pogardliwie.

- Rozmawiam z ludźmi, a ty pewnie cały wolny czas spędzasz w łóżku z tym mężczyzną, jakimś włóczęgą. Gadanie nigdy się nie skończy.

- Wcale nie chcę, żeby się skończyło. - Maddie zajęła się drugim żółwiem. -

Wiesz, to świetna czekolada. Nie rozumiem doprawdy, dlaczego zawsze nie jadłyśmy jej razem.

Babcia chwyciła śmietankową czekoladkę z orzechem i całą wsadziła do ust. I zaraz wypluła orzech.

- Przecież to obrzydliwe!

- A myślisz, że po co to robię? Teraz opowiedz mi o tym mężczyźnie.
 - Jest wspañiały w łózk. Em go kocha. Kupił jej psa. Pewnie wyjdę za niego za mąż.
 - Tylko się nie spiesz! I tak straciłaś dobrą opinię.
 - Musisz być ze mnie dumna.
 - Jestem. Nie uwierzysz, jakie zaczęłam mieć powodzenie. Masz ładny naszyjnik.
 - Prezent. Od mojego faceta. Nie mogę go oddać.
 - Niedługo już z wami będę. Moje serce...
 - Symbol jego miłości. Sypiam w nim.
- Babcia dostała ataku kaszlu, Maddie musiała podać jej wodę, pojawiła się nawet pielęgniarka, ale okazało się, że pomoc lekarza jest zbędna.
- Nie rób tego więcej! - powiedziała, kiedy pielęgniarka wyszła. - Przestraszyłaś mnie. Właśnie zaczęłam cię lubić, więc zaczekaj jeszcze trochę z umiarem.
 - Czuję się o wiele lepiej, kiedy mam przy sobie coś pięknego. A ten naszyjnik jest naprawdę piękny.
 - Wygrałaś. - Maddie podała jej obrzydliwego kota. - Tylko skończ z tym kaszlem. I opowiedz mi o Mickeyu.
- Babcia usunęła bombonierkę z jej zasięgu. Założyła naszyjnik.
- Do diabła z nim! Opowiadaj mi o tym mężczyźnie. Chciałabym go poznać. Naprawdę jest taki dobry?
 - Nieprawdopodobny. Najlepszy. Za każdym razem krzyczę.
 - To już chyba lekka przesada. Zachowuj się ciszej, przecież musimy żyć w tym mieście.

- Maddie wróciła do domu, nastawiła Bonnie Raitt, ale nim usłyszała pierwsze takty Something to Talk About, zadzwonił telefon. Nie chciała podnosić słuchawki, lecz w końcu zmieniła zdanie. A nuż czeka ją na odmianę jakaś przyjemna niespodzianka?
- To będzie nieprzyzwoita rozmowa - usłyszała głos W.S. i natychmiast zrobiło się jej gorąco. - Co pani ma na sobie?
 - Mniej więcej to samo co na farmie Drake'ów. Dlaczego nie ma cię we mnie? - Mówiąc to, przypomniała sobie wszystko: ciężar jego ciała, smak ust, uśmiech, miłość i na chwilę przestała oddychać. On chyba też, bo najwyraźniej oniemiał. Ale nie na długo.
 - Byle tak dalej, Maddie. Graj niezdobytą, to szalenie podniecające. Co to ja chciałem powiedzieć? E tam, nieważne. Czekać na mnie, zaraz będę.
 - Chwileczkę. A co z Em? Henry nie będzie dzwonił?
 - Anna ma zamiar opiekować się nią i Mel do końca wieku. Henry zajął się

księgami i fakturami z tej kasetki, a ja jestem wolny jak ptak i mam zamiar doprowadzić cię zaraz do szaleństwa.

Maddie przygryzła wargi i oparła się o ścianę. Telefoniczna gra wstępna... Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu pomyślała ciepło o AT&T.

- Nie masz nic innego do roboty?

- Myślałem, żeby zająć się sobą, ale skoro mnie potrzebujesz, zabiorę się do ciebie. Mam odpowiednie narzędzia i wiem, jak ich używać.

- Babcia cię pokocha.

- Ty pierwsza, skarbie, ty pierwsza.

- Ja już cię kocham. - Maddie zakreśliło się w głowie. - Kocham cię bezgranicznie, szczęśliwie i z pewnością głośno. Przyjedź natychmiast, do diabła z ograniczeniami szybkości! Zaparkuj przed domem. Okna zostawimy otwarte.

W.S. rzucił słuchawkę bez słowa pożegnania. Wyobraziła sobie, jak wskakuje do samochodu, jak rusza z piskiem opon. Nie przekroczy, oczywiście, dozwolonej szybkości, jest teraz zwykłym, porządnym obywatelem, ale ten obrazek bardzo się jej spodobał.

Choćby jechał jak najszybciej, pojawi się najwcześniej za dwadzieścia minut. Może w tym czasie zadzwonić do matki, dowiedzieć się, co u niej, ale mama mogłaby przestraszyć się telefonu, uznać, że w wieku sześćdziesięciu trzech lat nie powinna kompromitować się w uszach miasta. Może więc zadzwonić do Trevy? Ale z Trevą będzie rozmawiać do końca życia. Może siedzieć i wyobrażać sobie, co będzie wyprawiać w łóżku? Była już wystarczająco podniecona. Dwadzieścia minut...

Batoniki w lodówce! Z orzechami! I - dzięki jakże praktycznemu kochankowi - nowa mikrofalówka! Może podgrzać batonik w trzydzieści sekund!

Myśl o słodkim batoniku przypomniła jej o słodkim W.S. Zdjęła małe majteczki bikini i rzuciła je na podłogę korytarza; z pewnością ich nie przeoczy. Nie, miała lepszy pomysł. Wyszła na ganek i powiesiła je na kłance. Pomachała do pani Crosby, która przyglądała się jej ze swego ganku. Wróciła do środka. Majteczki z pewnością wywrą piorunujący efekt na jej kochanku, i tak przecież piorunującym, i miłe popołudnie zmieni się wkrótce w popołudnie wręcz kosmiczne. A na razie jest jeszcze czas na zjedzenie batonika.